

PRZEGŁĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO” *Ps. 143.*

ROK LV

Tom 219

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1 9 3 8

WARSZAWA
DRUKARNIA „WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW“

SPIS RZECZY
NA KOŃCU TOMU

Na powitanie św. Andrzeja Boboli.

*Wracasz więc na Ojczyzny łono, dusz Hetmanie,
Bobolo Święty! — Polska twoja, zjednoczona
Macierzyńskie do Ciebie wyciąga ramiona
I wybiega radośnie na twe powitanie,
Królewski tron gotując dla swego Patrona...!
Słysz! Ziemię twą rodzimą dreszcz wstrząsnął radosny,
Chylą się do stóp twoich znane Ci od młodu
Polskie kwiaty, znajome witają Cię sosny,
Nabrzmiła pełnym szczęściem odrodzenia wiosny
Wita Cię pieśń upojna wolnego narodu...!
Witają Cię kurhany i sędziwe krzyże
Na rozstajach — i dęby, które Ci szumiały
Przed wiekami — i morze w spienionych fal wirze
Weseląc się twym przyjściem, pieśń głosi twej chwały...!
Słysz! — Ze stepów dalekich wicher głuchy się zrywa,
Chrzęszcząc zbroje rdzą zżarte i szemrząc szfandary...
Nad przesiąkłym krwią łanem wieść leci szczęśliwa,
Że wraca do Ojczyzny Bojownik jej wiary...!*

*Spójrz: w dali, tam,
Pod blasków luną
Z Wawelu bram
W cisz majestacie
Ku Tobie suną
Jasne postacie...
Tęcza im krasi
Szkarlałów strój,
Blask bije zbrój —*

*To króle nasi...
 Ich orszak dumny
 Jak fala chyża
 Rażno się zbliża
 Do twojej trumny.
 Jak słońce lśnią
 Złote korony,
 Lśni szczęścia łza
 Wzrok rozjaśniony..
 „Tulaczu boży
 Z dalekich stron,
 Wstąp — szepcą — w zorzy
 Na królów tron!
 Przez burz zamiecie,
 Przez życia bój
 Wiedź naród swój
 Ku szczęsnej mecie...!”*

*Patrzaj! Patrzaj! — Za królów jasnym korowodem
 W zwartych szykach wielmoży tłumny orszak kroczy...
 Twarze śniade na nowo życiem płoną młodem,
 Spod krzaczastych brwi bystre rozbłyskują oczy —
 Szyszaków stał wpół kryje ogorzałe lica:
 Hetmani to, co władli rozległej krainie,
 Nad nimi las sztandarów, a z dali hen płynie
 Jak głośny grzmot — potężna pieśń „Bogu-Rodzica”! —
 Bojowy śpiew podnosząc na znajomą nutę
 Niby morza bałwany mkną zastęp wytrwały
 Starych wojów, szeregi w żelazo zakute,
 Co nieraz odpierały najeźdźców nawały...
 Nieprzejrzany szeregim na twoje spotkanie
 Śpieszą, o nieśmiertelny narodu Hetmanie...*

*Zaparskały rumaki w łun jasnych pożarze,
 Nowe szyki blask słońca promienny szkarłaci
 I potężny się hufiec rycerzy okaże...
 Patrz, patrz! Z chrzęstem orłowych piór jadą skrzydlaci
 Mężę, nieustraszeni w natarciu — husarze...!
 Znasz ich! Nieraz za życia szumiały Ci z bliska
 Ich skrzydła orle...! Patrzaj, jak suną ich konie,*

*Jak sztandar z orłem białym ku słońcu się ciska,
Jak cudnie las ich włóczęni w słonecznych skrach płonie...!
Pędzą ławą, jak ongi na parady marsze,
Z krzykiem hołdy powinny narodu monarsze
Oddając Tobie, Polski królewski Patronie...!*

*Za nimi, patrz! — świeflany
Rozbłyska sztandar znów:
Przez kwiecień strojne łany
Rój kwiatów to — ulany —
Tęczowy jedzie huf...
Rabaty świecą białe,
Lanc długich sferczy las,
Maryi głoszą chwałę
Ryngrafy pełne kras...
Jak strzała rwą z kopyta,
Iskrami szabel lśnią,
A każde Ciebie wita,
Cześć w pędzie głosi twą...
Kresowi to rycerze,
Co starą pełnią wić,
By mocno stać we wierze
I mocno wroga bić...!
O, nieraz krwią ulana,
Co padał w wiosnie lat —
Świeciła ruń rumiana,
Słupowy błyszczał kwiat...!
Lecz dziś ich zapal krewki
Radości nie zna tam,
Szeleszczą chorągiewki:
„Hetmanie, witaj nam!”*

— — — — —
*Za ulańskim zastępem, patrzej, roła nowa,
Wysokich rząd kaszkietów rozbłyska radośnie,
Lśnią bagnety, grzmia surmy, że aż serce rośnie!
To „Pulk czwarty”, kurzawą okryty Grochowa...
W dali, hen, w srebrnym dymie Olszynka się chowa
Strzaskana od granatów i Wawru bór szary...
Nad nimi — w strzepy zdarte szeleszczą sztandary,
A oni idą, luną rozświeceni jasną*

*Zapafu...! Twój to przykład, potęga twojej wiary
 Na śmierć ich wiodły szczytną w brzaski, co nie gasnął
 Za piechotę, patrz, z chrzestem ciężkie suną działa,
 Drży ziemia, luf spiżowych szeregi się złocą:
 To dziarskie dzieci gromu, artyleria śmiała,
 Co piekło Ostrołęki zniosła z ducha mocą,
 Z brawurą jedzie witać szczątki twego Ciała...!*

Tuż, z bliska sztandar w dłoni

Rycerze nowi niosą:

Szaleńcy są to oni,

Co poszli w bój bez broni,

Armaty biorąc — kosą...

Z dalekich tajg Sybiru

Wygnańców szereg kroczy,

Co nie znał z wrogiem miru...

Do Ciebie wznosząc oczy,

Radości lśniące łzą,

Witają trumnę twą!

Za nimi, cali w zorzy

Z chorągwi rojem mkną

Unicy, hufiec boży,

Męczeńskie rzesze z Kroży,

Kresowa wierna straż...

Patrz, dzielna ich postawa:

To wojsko dobrze znasz...!

Na każdym blizna krwawa —

Twój znak je wiedzie stary,

Testament chrobry twój:

„Nie damy ojców wiary,

Za Zbawcy my sztandary

Ochotnie bieżym w bój...!”

— — — — —

*Proroku Polski wolnej, patrzaj: cud się isci,
 Niebiańskiej przepowiedni twojej pełni się słowo:
 Z kurzawy, w tle sreżogi płonącej tęczowo
 Wyłania się huf wojska nowy — Legioniści...
 Grzmia surmy, huczą bębny, puzony i fletnie,
 A oni idą w słońcu... Spójrz, chłopcy nieleśnie,
 Z których żaden już matki pieścioty nie zazna,*

Bo legli w polu chwaty... lecz lica ich dumne,
Niby stare wiarusy wifają twą trumnę —
To sławna z tylu bitew „Dywizja żelazna”
Społem z „Pierwszą Brygadą”... Patrzaj, tam na przedzie
Na kaszance znajomy Komendant ją wiedzie
Wódz, który po pół-wiecznym śnie kamień grobowy
Pierwszy począł odwalać i targać okowy...
Naczelnik, co do Rzymu zasylał błagania
O diadem twojej chwaty — i działając śmiało
Jak piorun, w pierwszych brzaskach wolności zarania
Z Połockiem — szturmem wrócić chciał Polsce twe Ciało...!

Zjaw nowy! — patrzaj, świeci
Lechicki sztandar znów
I idą — rzędem dzieci,
Co obroniły Lwów...
Szczerniały w zwalisk gruzie,
Zroszone jeszcze krwią,
Marsowe chłopiąt buzie
Weselem z dala lśnią...
Najmłodsze to „Orleń”,
Pierwszozna nowych rot,
Zerwały się, rwąc pęta,
Jak sprawa chciała święta
Na orłów górny łof...!
Dziewczątka, patrzaj, małe,
Z uśmiechem, pełne czci,
Oddają Tobie chwałę,
Broń prezentując Ci...!

— — — — —
Zniknęła cudna baśń fęczowa
W mgłę się rozwiały senne mary...
Przed Tobą, patrzaj, gród Krakowa,
Łódź mroczna, Kalisz, Poznań stary...
Na twe przyjęcie huczą działa,
Chylą się kłosa polskich niw:
To zjednoczona Polska cała,
Dzieł Pańskich wielki sławiąc dziw,
Świętego szczątki wifa Ciała,
Do lśniącej w słońcu srebrnej trumny,

Z nowego skarbu swego dumny,

W procesji idzie naród, żyw...!

Naród polski przed swoim Patronem skroń chyli,
 Usta dzieciąt głośnie chwałę śpiewa Tobie,
 Naród, co przez półtora roku leżał w grobie
 I powstał, jakoś wieścił...! Naród, do tej chwili
 Grzeszny jeszcze, pogrążon w waśni i rozferce —
 A przecież wszyscy jego synowie przybyli,
 Miłość ku Tobie wszystkim — jedno dała serce...!
 Spójrz: armii narodowej orły w słońcu płoną,
 Gotowe na łot nowy przez gromy i burze,
 By, gdy wezwie ojczyzna, pod łuną czerwoną
 Pożogi — nowe spiętrzyć dla wiary przedmurze...!

Tulaczu boży,

Łez minął czas,

Bije z przestworzy

Brzask pełen kras...

Zostań wśród nas

Ludu Hetmanie,

My niesiem Ci

Hołd pełen czci

Na powitanie!

Win deptać jad,

Co nas poniża,

Za Tobą w ślad

Pójdziemy drogą

Ciernistą krzyżą!

Serca nam trwogą

Nie zwałfli trud,

Męka nie złamie!

Mrok rozprosz złud,

Wspieraj nam ramię...!

Z wiosek i miast,

Z dna własnej duszy

Wyplenim chwast,

Co ziarno gluszy...!

Zatrąty zaród

Zetrzemy w pył,

By wolny naród

*Swym życiem żył...
A gdy nas w boje
Surm rzuci zew,
Za hasło twoje
Oddamy krew...!*

*Spocznij, Polski Patronie po znojów udreće
W stolicy twego kraju, otoczony chwałą
Pokoleń, nad twą Polską wyciągaj stąd ręce,
Zasłaniaj swą Ojczyznę przed nieszczęść nawałą...!
Nim nową, godną Ciebie wzniesiem Ci świątynię
Niech łagodny szum Wisły ucho twoje pieści,
Niech szept łąk mazowieckich pod stopy twe płynie,
Niech od morza wiatr dobre przynosi Ci wieści...!
Na nowo krzep stąd serca i uleczaj nędze
W wieku szczęścia, co wolnej się Polsce wyłania —
Do chwili, kiedy surmy anielskie w potędzie
Obwieszczą Szczątkom twoim — rozkaz zmartwychwstania...!*

Ks. Tadeusz Karyłowski T. J.

Lublin, 15 czerwca 1938 r.

Religia wspólnoty narodowej.

U źródeł narodowego socjalizmu.

Narodowy socjalizm jako ruch polityczny i kulturalny przedstawia dla krytycznego obserwatora szereg zagadek, niełatwych do rozwiązania. Zrozumiałym jest niewątpliwie odruch polityczny przeciw „hańbie Wersalu“. Niemcy nigdy nie byli skłonni, tak jak Polacy i Francuzi¹⁾ do szukania przyczyny swych niepowodzeń w sobie, lecz zawsze woleli zwać je na innych. Znając tę narodową cechę Niemców trudno się też łudzić, by kiedykolwiek mieli oni uznać dobrowolnie fakt, że odebrano im jedynie zagrabioną przez nich cudzą własność. Zrozumieć można też odruch antysemityzmu, gdyż Żydzi pozwalali sobie istotnie za dużo w okresie republiki weimarskiej. Warto tu przypomnieć choćby organizowanie związków homoseksualistów, na którego czele stał dr Hirschfeld, albo różne wydawnictwa skrajnie pornograficzne, którymi producenci żydowscy zalewali Niemcy w znacznie wyższym stopniu niż dzisiejszą Polskę. Wiadomo też, że Żydzi zasobni w finanse gustowali bardzo w nordyckich blondynkach... Zrozumiałym jest więc przynajmniej po części cały ten biologizm a raczej pseudobiologizm przejawiający się w kulcie rasy i krwi. Natężenie jednak tego ruchu, nieproporcjonalne do siły tych kierunków w dziedzinie teorii, szczególnie zaś cały irracjonalizm, naginający teorie naukowe do założeń ideologicznych, może już budzić duże zdziwienie. W dziedzinę zagadek wkraczamy

¹⁾ Fustel de Coulanges czyni nawet swym rodakom zarzut, że są zbyt pochopni do samobiczowania.

dopiero, gdy zaczynamy analizować zjawiska takie, jak załamanie się separatyzmu austriackiego, nie tyle może ze względu na sam fakt, który nie od wczoraj się zapowiadał, ile ze względu na tempo i wymiary tego przełomu. Można zrozumieć, że pewną część społeczeństwa, a szczególnie młodzieży opanowała idea wielkich Niemiec i że dla tej idei poświęcili oni wolność polityczną, z której zresztą, przyznać to trzeba, już i w Austrii Schuschnigga niewiele zostało. Lecz jak wytłumaczyć ten entuzjizm... katolików austriackich, po tym wszystkim, co się działo i dzieje w samej Rzeszy? Jak ocenić wystąpienie episkopatu austriackiego, które wywołało i wywołuje tyle niepokoju moralnego w świecie katolickim, gdyż tak trudno oprzeć się wrażeniu, że chodzi tu o jakiś zbytni utylitaryzm czy nawet serwilizm wobec zwycięzców? Fakt, że pierwsze enuncjacje wywołały niezadowolenie Stolicy Apostolskiej i zostały pod jej naciskiem osłabione, musiał tylko wzmocnić te podejrzenia. Dołączają się inne jeszcze, niemniej zdumiewające zjawiska, jak owo tak zupełne, jakby się zdawało, załamanie się inteligencji niemieckiej pod obuchem antyintelektualistycznego ruchu, który zniósł wolność nauki i zmusza tak do niedawna jeszcze pełnych swego *Äkademikerdünkel* inteligentów niemieckich do przechodzenia twardej służby w obozie pracy i zastępowania wyjeżdżających na wycieczki oceaniczne robotników.

Nade wszystko jest jednak tajemnicą powodzenie nowopogaństwa w kraju do niedawna przodującym kulturą intelektualną i bądź co bądź od półtora tysiąclecia chrześcijańskim!

Ruchy polityczne są zawsze zjawiskiem bardzo złożonym. Cały szereg czynników decyduje o ich powodzeniu. Można w nich jednak zwykle wyodrębnić pewną oś krystalizacyjną, dookoła której grupują się różne czynniki. Zdaje nam się, że tej osi hitleryzmu dotąd jeszcze u nas dosyć jasno nie wyodrębniono, brano raczej rzeczy drugorzędne, jak np. antysemityzm czy nawet reakcję przeciwwersalską za istotę rzeczy. Tymczasem istota ta, jak sądzimy, nie może być zjawiskiem chwilowym. Narodowy socjalizm nie jest jedynie wytworem stosunków powojennych ani nawet dzie-

łem samego organizacyjno-agitacyjnego geniuszu *Führer'a*. Korzenie tego zjawiska tkwią o wiele głębiej.

Szukając klucza do zrozumienia narodowego socjalizmu i jego straszliwej dynamiki, która zwycięsko mijałdży wszystkie napotymane na swej drodze, choćby tysiącletnie wartości, natrafiamy na jedno ciekawe słowo, które się w Niemczech dzisiejszych stale w różnych związkach powtarza i odmienia — mianowicie *Gemeinschaft* czyli wspólnota.

Termin ten ma swoją historię. Do socjologii niemieckiej wprowadził go Tönnies, który swą książką *Gemeinschaft und Gesellschaft* stworzył całą szkołę, co się zresztą w niemieckiej socjologii, ze względu na jej konstruktywistyczne tendencje, niezbyt często zdarza. Kontynuatorem Tönniesa był przede wszystkim Vierkandt.¹⁾ Koncepcja ta wywarła jednak duży wpływ i na innych socjologów a także i filozofów niemieckich. Poza Niemcami pojęcia i koncepcje te nie znalazły na ogół wielkiego oddźwięku (oprócz Ameryki, gdzie je częściowo przejęto), za to w samych Niemczech termin ten wyszedł poza granice socjologii. Zaczęła się tworzyć cała „filozofia wspólnoty“. Pod takim tytułem wydano pod redakcją Feliksa Kreugera siedem wykładów, wygłoszonych na zjeździe niemieckiego Towarzystwa Filozoficznego, odbytym w Lipsku w r. 1928.²⁾

Te pozornie oderwane problematy, które tam dyskutowano, były refleksem najgłębszych dążeń narodu niemieckiego. „Wspólnota jest bożyszczem stulecia“ — powiedział w swej książce na ten temat (*Die Grenzen der Gemeinschaft*) H. Plessner.³⁾ Na kongresie lipskim szukano tej wspólnoty w różnych dziedzinach życia, nawet takich, jak stosunek lekarza do chorego, zastanawiano się nad jej istotą i genezą, i praformami biologicznymi, szukano jej „dawnych przodków“, dopatrując się koncepcji wspólnoty już u Leibniza no i oczywiście u Hegla.

Wśród tych poszukiwań za wspólnotą nie brakło momentów bardzo ciekawych, szczególnie dla nas, Polaków.

¹⁾ A. Vierkandt: *Gesellschaftslehre*. Stuttgart 1923.

²⁾ *Philosophie der Gemeinschaft*. Hr. v. Felix Kreuger. Berlin 1929.

³⁾ Tamże, str. 140 n.

Pewien austriacki profesor, katolik, Hans Eibl z Wiednia, szukając wspólnej wszystkim Niemcom idei, mogącej stanowić podstawę wspólnoty dążeń, znalazł ją, ku zdumieniu polskiego czytelnika, w dążeniu do ponownego oparcia stosunków międzynarodowych na prawie, które dziś zostało opuszczone i zdradzone. Chce on, by to nie było tylko dyplomatycznym wyliczeniem, bo „inaczej zabraknie siły przekonania, która jest tu potrzebna. („Zdaje się, że Polacy, którzy dotąd uważali siebie za reprezentantów tej idei, nie zastanawiali się nigdy nad ...celowością szczerości“!) Lecz Eibl idzie dalej i odślania swe karty szeroko: pozycję tę trzeba — jego zdaniem — zająć, bo prawo jest najsilniejszą bronią w walce o ...*Änschluss* i obroną ciemnionych przez ...Włochy i ...Polaków mniejszości niemieckich.¹⁾ A więc: wspólnota idei to narzędzie do walki o cele polityczne.

II.

Lecz czymże jest ta wspólnota?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Można się o tym przekonać, czytając rozprawę Fr. Delekata na ten temat.²⁾ Ostatecznie dochodzi on tylko do tego stwierdzenia, że wspólnota powstaje zawsze tam, gdzie nacisk jakiejś określonej sytuacji tak silnie na nas ciąży, że pozwoli nam odczuć powiązania naszej woli i uwolni nas od siebie samych, tj. od własnego egoizmu.

O wiele więcej wyjaśnień istotnych daje znany socjolog Freyer.³⁾ Wspólnota, to grupa, oparta na identyczności przeżyć i dążeń. Działanie wspólnoty nie wyrasta z umowy i celowości, lecz z tego charakterystycznego poczucia jedności, którego wyrazem jest stałe używanie zaimka liczby mnogiej: „my“. Przykładami pierwotnych wspólnot są: rodzina, ród, klan, związek rówieśników, gromada wiejska. Zawsze istnieje tam poczucie pełnej przynależności i najsilniejszego związania. Przeciwnieństwem wspól-

¹⁾ *Philosophie der Gemeinschaft*, str. 140 nast.

²⁾ Tamże, str. 23 nast.

³⁾ *Gemeinschaft und Volk*. Tamże, str. 7 nast.

noty jest grupa celowa, zorganizowana czyli społeczeństwo (*Gesellschaft*). Istotną rzeczą jest to, że więzią jest tu wspólność celów konkretnych. Jest to więc współzycie na stopniu zorganizowania i podziału pracy między grupy, do których przynależy się jedynie częścią swej osobowości. Jednostka, przynależąca do różnych grup zawsze tylko częścią swej jaźni, uzyskuje dzięki temu swą wolność i indywidualność. Na miejsce przeżycia „my“, przychodzi świadomość „ja“. To „ja“ przeciwstawia się grupie i walczy o swoje prawo do odrębności i kierowania się własnymi upodobaniami i interesami. Między grupami celowymi i ideologicznymi, opartymi na jedności dążeń i wartości, powstają różne antagonizmy i zaczyna się walka. Spólnota się rozpada w wyniku postępu i miejsce jej zajmuje indywidualizacja i atomizacja społeczeństwa, która rodzi tęsknotę za odbudową grupy, opartej na powiązaniach osobistych i wspólności przeżyć.

Trzeba jednak sięgnąć do historii, jeżeli zrozumieć pragniemy, jak to się stać mogło, że te tak niewinne koncepcje socjologiczne stać się miały formułami światoburczej ideologii. Rozbicie na liczne i nienawidzące się nawzajem plemiona, nie było specjalnością niemiecką. W fazie przedhistorycznej jest ono zjawiskiem normalnym. U Niemców utrwaliło się ono jednak na okres nieprawdopodobnie długi. Wszak separatyzm tych państewek przetrwał aż do rewolucji hitlerowskiej. Nie zdołał go przełamać twórca drugiej Rzeszy, „żelazny kanclerz“ Bismarck. Nie zmiotła go bynajmniej rewolucja niemiecka, która raczej była skłonna afirmować „prawa“ do separatyzmu w imię zasad samostanowienia i demokracji. Separatyzm nie zawsze bywa oceniany ujemnie. Szwajcarzy np. nie martwią się bynajmniej z tego, że tam każda prawie dolina stanowi odrębne państwo, a maleńki narodek mówi aż pięciu językami. Lecz separatyzm stanowi hamulec, jeśli jakiś naród jest nastawiony na ekspansję imperialistyczną. Różnorodność można traktować jako bogactwo narodu, jak to czynią Szwajcarzy, albo też jako jego nieszczęście. Niemcy jako naród wojowniczy od prawieku, lubowali się zawsze w subordynacji i żołnierskiej równości. Mają oni jakiś szczególnie

silny pęd do kolektywu, zupełnie przeciwnie niż Polacy i Francuzi — urodzeni indywidualiści.

Rozwój historyczny nie zaspokoił tej plemiennej tęsknoty do jedności i „wyrównania”. Złożył się na to cały szereg czynników. Najpierw już same różnice rasowe, a raczej istotniejsze, jak sądzimy, przeciwieństwa kulturalne między Zachodem, wychowanym w dużej mierze na infiltracji kultury romańskiej i Wschodem niegdyś słowiańskim. Wiąże się z tym różnica domieszek krwi, tam celtycko-romańskiej, tu słowiańskiej. Do tej mieszaniny włączył się element semicki, jako przymieszka obca, negatywnie oceniana, a przy tym pochodząca od grupy etnicznej, której się zdawało, że można równocześnie być sobą, mieć własne cele polityczne i aspiracje i przy tym zachować przywileje, jakie mają ci, którzy należą do narodu, na danym terenie panującego. Fakt, że ci obcy potrafili zagarnąć najlepsze pozycje ekonomiczne pośredników, a równocześnie popierać wszelkie ruchy rozkładowe, musiał tu wytworzyć z czasem odruch niezwykle silny. Dochodzą jeszcze inne momenty. Żydzi, jak wiadomo, przeszli w r. 1917 za cenę Palestyny do obozu Koalicji. Niemcy, którzy z nimi od r. 1870 oficjalnie szli ręką w rękę, zapomnieć im tego nie mogli. Ten udział obcych w życiu własnego narodu i przemożne ich wpływy, musiał niesłychanie spotęgować tęsknotę do jedności narodowej.

Drugim czynnikiem zasadniczym była reformacja. Jej plonem było najgłębsze rozbitcie narodu, sięgające o wiele głębiej, niż różnice plemienne. Luter skierował bieg dziejów niemieckich w stronę materializmu i doczesności. Inna rzecz, że był to zwrot przygotowany przez humanizm i bardzo zgodny z mentalnością niemiecką, która zawsze miała skłonność do postawy czysto doczesnej, do materializmu i imperializmu. Rozdarcie religijne narodu, tym groźniejsze, że pokrywające się częściowo z granicami plemiennymi, choć minęły już czasy wojny trzydziestoletniej i przebrzmiała potworna zasada *cuius regio, eius religio*, pozostało nadal krwawiącą raną. Rys ten szedł przez całe życie polityczne i kulturalne narodu. Gorzej że wytworzyły się już dwa odrębne typy, między którymi rodziła się har-

monia uczuć jedynie w chwilach ekstazy narodowej (jak w okresie wojny).

Zróżnicowanie polityczne jest zjawiskiem naturalnym. Gdy jednak ilość stronnictw i frakcyj zbyt się rozmnoży, jak to się stało w okresie republiki weimarskiej, to zrodzi się zawsze tęsknota za koordynacją. Będzie ona tym większa, im dalej sięga rozproszkowanie polityczne i im mniej uzasadnione są te różnice — a także, im bardziej aktualna rzeczywistość odbija od realnego czy wyidealizowanego obrazu przeszłości. Naród niemiecki, zawsze skłonny do wojskowej subordynacji i przyzwyczajony od stuleci do autokratycznych rządów, odczuwał tolerancję i demokratyczność rządów republikańskich jako słabość. Skojarzenie z tą słabością wewnętrzną obezwładnienia zewnętrznego i upokorzenia przez wymuszone przyznanie się do winy za wywołanie wojny, musiało tę tęsknotę do silnej władzy zamienić w Sorelowski mīt,¹⁾ którego głównymi składnikami były: idea wspólnoty narodowej i związana z nią pragermańska tęsknota za wodzem. Jej napięcie będzie wzrastać w miarę, jak sytuacja będzie się pogarszać. Okres strasznego kryzysu gospodarczego, który dał Niemcom sześć milionów bezrobotnych, nadał tym ideom jakiś na wpół mesjaniczny charakter. Wspólnota musi mieć swoją głowę widomą. Jest to tym ważniejsze, im bardziej nabiera ona charakteru grupy dynamicznej i ekspansywnej.

Były jednak w tej tęsknocie do wspólnoty inne jeszcze motywy, sięgające głębiej. Chodzi tu o reakcję przeciw przerostowi rzeczywistości stosunków, przeciwko ich mechanizacji, która wyparła wszelkie uczucia i wystudiła niezdolność stosunki między ludźmi. W idei wspólnoty jest jakaś tęsknota za ciepłem rodzinnym w życiu zbiorowym, jakiś sentymentalizm swojskości, tkwiący w niedającym się ściśle przetłumaczyć słowie *Heimat*. Zwłaszcza młodzież chce kochać jakąś całość ale i bliźniego oczywiście o tyle,

¹⁾ Sorel rozumiał pod mitem pewien obraz myślowy, który jest zdolny do stania się ośrodkiem przyciągającym, nie dla ustalonych, zmechanizowanych form działania, lecz dla twórczości i dążeń bojowych. (Patrz Brzozowski *Legenda Młodej Polski*, str. 93 i Wyka J. Sorel, str. 28).

o ile jest on „swój“. Z natury rzeczy rodzić się z tego musi poczucie rosnącego antagonizmu do obcych, spotęgowane do szału przez poczucie krzywdy i reakcję przeciw narzuconej rzeczywistości czy urojonej przemocy.

Takie są najważniejsze składniki idei wspólnoty narodowej.

III.

Od idei do jej urzeczywistnienia droga jest normalnie daleka. Nie można też twierdzić, że idea wspólnoty bezpośrednio i oficjalnie została uznana za podstawę nowego ruchu. Hitler z pewnością nie czytał uczonych traktatów, wydanych przez niemieckie Towarzystwo Filozoficzne. Wystarczyło jednak, że ruch narodowo-socjalistyczny wyczuł tę tęsknotę, leżącą u podstaw tej idei. Hitler jest niewątpliwie człowiekiem genialnej intuicji. Sam powiedział on o sobie, że działa jakby w transie. Człowiek ten potrafił w wymiarach zupełnie niezwykłych wyczuć duszę swego narodu i jej potrzeby. Jego austriackie pochodzenie ułatwiło mu sytuację. Wykazano już, że taki „pół-obcy“ jest w lepszej sytuacji, niż swój, który nie rozumie tego, w czym sam tkwi i co mu się oczywistym wydaje. Hitler to wprawdzie przybysz, nie jest jednak osobnikiem plemiennie obcym, z którym już brak więzi duchowych; będąc związanym potrafił równocześnie zachować pewien dystans — być wpośród swoich a jednak równocześnie poza i — ponad nimi. Taką była właśnie i sytuacja Wielkiego Korsykanina. To, że Hitler nie jest intelektualistą, że nie widzi w samej kulturze celu autonomicznego, że akcentuje zawsze interes szerokich mas, a raczej całości — „wspólnoty narodowej“ — to wszystko zjednało mu w niezwykłym, szturmowym tempie fenomenalną, niewidzialną chyba dotąd w dziejach, subordynację i popularność.

Ideologia narodowo-socjalistyczna odpowiadała niewątpliwie wyśmienicie strukturze duchowej mas niemieckich. A masy te, to nie tyle właściwy proletariat, ile przede wszystkim to zapomniane przez socjologów (jak np. Mannheim) drobnomieszczaństwo, warstwa niezmiernie liczna, nieustępująca chyba proletariatowi, zdolna do organizowania

się, patriotyczna, ale intelektualnie mniej rozbudzona niż robotnik fabryczny, który dzięki marksizmowi i walce z *pro* lub *contra* został wciągnięty w poważny ruch intelektualny i wydał szereg przywódców bardzo wyrobionych. Na tej masie, tęskniącej do ładu i potęgi narodowej, masie politycznie zaniedbanej, stanowiącej dotąd obiekt współżawodnictwa różnych grup politycznych, ale pozbawionej własnej, to jest na niej szczególnie opartej reprezentacji, oparł się w głównej mierze Hitler w okresie swego dochodzenia do władzy. Była to jakby centralna pozycja społeczna, od niej nie trudno było już o pomosty — najpierw w stronę robotnika, któremu dano niemało cukierków, byle tylko zapomniał o czerwonych prorokach. Zadanie to było zresztą ułatwione, gdyż prorocy ci zawiedli mocno robotnicze masy a idee ich kolidowały z poczuciem narodowym, z którego nigdy zupełnie wyprać nie zdołano niemieckiego robotnika. Może łatwiej jeszcze poszło nawiązanie styczności z przemysłem, który w ruchu tym rychło dojrzał drogę do odbudowy potęgi politycznej i... możliwości niekępowanych już zbrojeń, źródła ogromnych dochodów. Znalezione i drogi do duszy chłopu niemieckiego; droga do duszy w polityce wiedzie najczęściej przez kieszeń. Najtrudniej poszło z junkrami ze względu na to, że warstwa ta widziała się, słusznie zresztą jak się rychło okazało, zagrożoną w swej pozycji polityczno-społecznej, którą od wieków zajmowała. Lecz wiązania tej wiekowej konstrukcji socjalnej, którą byli junkrzy, nie oparły się toczącej się lawinie nowego ruchu. Znacznie słabszym był opór inteligencji niemieckiej. Warstwa ta, najbardziej zindywidualizowana, nigdy nie była zdolna do solidarnych wysiłków organizacyjnych czy politycznych. Gdy uczonych berlińskich spędzono do jednej wielkiej sali, wszyscy ci czcigodni profesorowie o nazwiskach głośnych w świecie, wysłuchali pokornie buńczucznej mowy jakiegoś młodego doktora, który w porę wyczuł koniunkturę i teraz jako przedstawiciel reżimu mógł przedstawić nauki niemieckiej rzucić w twarz oskarżenie, że byli dotąd na bezdrożach i dopiero teraz, pod rządami Hitlera, zacznie się właściwy okres rozwoju nauki niemieckiej. Nastąpiło tu to samo zjawisko, które na większą je-

szcze skalę obserwowaliśmy na terenie Rosji: przeciwselekcja charakterów. Silniejsi duchowo poszli na emigrację. Należeli do nich bynajmniej nie tylko sami żydzi, jak np. wspomniany już Mannheim, lub głośny Einstein, ale i katolicy, jak słynny socjolog, Leopold von Wiese. Słabsi ugięli się, a młodzi przyjęli nowe idee najczęściej z entuzjazmem. Przyznać trzeba, że hitlerowska reforma nauki miała za sobą pewne pozory słuszności. Są to w każdym razie idee fascynujące, szczególnie dla umysłów nie bardzo krytycznych. Zrozumieć można je również dopiero na tle idei wspólnoty narodowej.

O co tu właściwie chodzi?

Dawnej nauce niemieckiej zarzucono to, co jej zresztą zarzucano i z innej strony: przerost specjalizacji, zabijający poczucie całości, brak kontaktu z rzeczywistością, zamykanie się w kapliczkach fachowości, niedostępnych dla niespecjalistów dzięki chińszczyźnie fachowej terminologii. Chodziło jeszcze o coś więcej. Odkąd stracono wspólną podstawę wiary, zaginęło poczucie obiektywnej prawdy. Krytyki czystego rozumu nie zdołano przewyciężyć. Żadna z późniejszych teorii poznania nie ustaliła kryteriów prawdy, które by zyskały powszechne uznanie. Skutkiem tego musiało być rozbicie myśli filozoficznej na zwalczające się bez nadziei zwycięstwa kierunki. Agnostycyzm, pozytywizm, materializm, kult fikcji (*Die Philosophie des als ob* Vaihingera) i wreszcie zrodzony na ziemi amerykańskiej pragmatyzm, to wszystko przygotowało grunt pod hitlerowską reformę nauki. Nie widząc podstaw pod zjednoczenie w jedność wiary, postanowili hitlerowcy zrezygnować ostatecznie i oficjalnie z tego, w co myśl niemiecka już na ogół od dawna zwątpiła — z poznania (a nawet i istnienia) obiektywnej prawdy. Chcąc skoordynować wolę narodu, a nie mając ku temu podstawy w jedności wiary, odrzucili oni poznanie prawdy jako takiej, zastępując ją jednością woli. Prawdą jest to, co jest zgodne z ideologią i z interesami narodu. Na tej nowej podstawie oparła się zreformowana przez narodowy socjalizm nauka niemiecka. Rektorzy wszystkich wyższych uczelni niemieckich zaprzysięgli uroczyście tę

nową „konstytucję“ naukową. Dążenie do poznania prawdy zostało wykreślone z programu nauki...

Potworna ta dla nas, którzy się jeszcze uważamy za Europejczyków, decyzja, jest jednak zupełnie konsekwentnym zastosowaniem zasad nowej ideologii, opartej na idei „spólnoty narodowej“.

IV.

Zrozumiemy teraz już łatwo stosunek hitleryzmu do religii. Ruch ten wyrósł z dążenia do potęgi i jedności narodowej. Przełamanie muru wyznaniowego z tego punktu widzenia jest rzeczą ważniejszą, niż treść samej religii. Gdyby to było możliwe, Hitler byłby się zgodził na to, by cały naród stał się albo protestanckim albo... katolickim. Wyrazem tych dążeń były próby rehabilitowania Chrystusa, przez wykazanie, że był On... aryjczykiem. Były momenty, w których o tym myślano i łudzono się naiwnie. Lecz tu musiało przyjść do konfliktu. Katolicyzm nie mógł się nigdy zgodzić na aprobatę etyki kolektywistycznej, głoszącej, że dobre jest to, co służy grupie. Etyka ta, spadek po marksizmie i jego epigonach, jak Sorel, była naturalną konsekwencją zaparcia się dążenia do prawdy. Jeśli nie ma obiektywnej prawdy, to nie ma i ogólnie obowiązujących nakazów moralnych. Zasada ta w okresie walk o władzę stała się jedną z podstaw hitleryzmu. Sam Hitler oburzał się szczerze i głęboko, że sąd skazał na śmierć jego bojówkarzy, którzy „w walce o wielkość ojczyzny“ zamordowali w bestialski sposób różnych przeciwników politycznych. Etyka kolektywistyczna weszła tu już w skład świadomości moralnej. Bez tego nie byłoby rzeczą możliwą, by legalnie przez sąd skazanych morderców czczono jako bohaterów narodowych. Jest to już moralność nowej religii, religii „spólnoty narodowej“. Bo ostatecznie jest to już pewnego rodzaju pseudo-religia. Tworzy się już coś w rodzaju kultu. Są już i zakony partyjne. Nie braknie i pewnych wkładów transcendentnych, choć jest to transcendentność podporządkowana doczesności. To istniejące już za Hohenzollernów pojęcie „niemieckiego Boga“, (popierającego obowiązkowo i bez zastrzeżeń „swój“ naród), którego genezy można ~~by~~ szukać aż w czasach krzyżackich,

teraz stało się jakby bardziej oficjalne i nieosłonięte. Od pojęć Starego Testamentu różni się ono tym, że tu poparcie nie jest wyraźnie uzależnione od wypełniania przykazań i od dochowania wierności. Filozof narodowego socjalizmu Herman Schwarz, którego książkę *Nationalsozialistische Weltanschauung* omawialiśmy swego czasu na tych łamach,¹⁾ głosił, że Bóg się chce wytwarzać (*hervortun*) w naszej woli społecznej. Tego rodzaju Bóg oczywiście nie może być dawcą pozytywnego objawienia, lecz za to wysmienicie da się użyć jako poręczyciel pewnych dążeń ideologicznych i etyki kolektywistycznej. Jest on jakby duszą tej wspólnoty narodowej. Tego rodzaju naiwnie panteistyczna religia jest o wiele bardziej groźna od jawnego ateizmu, gdyż ten, dzięki swej negatywności, pociągać będzie tylko pewne typy, podczas gdy taka pseudo-religia może, przynajmniej na pewien okres, oszukać tkwiący w człowieku głód metafizyczny i naturalną potrzebę oparcia się o siły wyższe. Jest to po prostu system oszałamiania sumień. O ile sobie uprzytomnimy, że istnieje naturalna skłonność do rozgrzeszania czynów, które były podyktowane dobrem jakiejś większej grupy, szczególnie wywołującej tak gorące uczucia jak naród, wtedy będziemy mogli bez trudności wmyśleć się w tę mentalność i zrozumieć podłoże, na którym ta „religia wspólnoty” narodowej wyrasta.

Z ideałem jedności narodowej spleta się nierozzerwalnie cały rasizm, który w gruncie rzeczy jest tylko ujętym w kategoriach antropologicznych przejawem naiwnego samoubóstwienia narodowego i groźnych dla wszelkich innych narodów ambicji imperialistycznych, uzasadnionych wynikającą z naturalnej wyższości „misji” i „przeznaczenia do roli władczej”. Ciekawą jest rzeczą, że z dążeniem do jedności treści duchowych, które jest cechą wszelkiej wspólnoty, związało się tu wymaganie jednolitości wzoru fizjologicznego (rasowy ideał nordycki). Pewne, już przez naukę odrzucone, koncepcje biologiczne stały się dekoracją ideologiczną, derywacją Pareta pewnych dążeń politycznych. Zaznaczył się tu ten fragizm ideałów, opartych na teoriach

¹⁾ Patrz *Przegląd Powszechny* 1936, str. 234 nast.

naukowych, polegający na tym, że nim idee te przesiąkną do mas i staną się twórczym ideologiem, stały się one już przestarzałe.¹⁾ Ta dogmatyzacja teorii pseudo-naukowych prowadzi z konieczności do ideologicznej kontroli nad nauką, do zniesienia jej wolności, do „wyrównania” prasy i wszelkich wydawnictw.

A jednak naród niemiecki zniósł to wszystko i pozwolił sobie narzucić obowiązkowy kult nonsensów. Dziwne to zjawisko nie da się wytłumaczyć jedynie działaniem niewątpliwie przemożnego nacisku, jakim nowoczesne państwo totalne dysponuje. *Anschluss* wykazał nam jakby w świetle błyskawicy, jaką potęgę stanowi idea wspólnoty narodowej.

V.

Po tych z konieczności tylko szkicowych rzutach, będzie nam już łatwiej zrozumieć katolików austriackich z ich episkopatem na czele. A może i to słynne już zakończenie listu kard. Innitzera słowami *Heil Hitler!* czy najnowsze wystąpienie ks. bpa Waitza, wyda nam się psychologicznie zrozumialsze. Mówi się nieraz, że było tu przede wszystkim wyliczenie i to długodystansowe. Chodzić miało o to, by hitlerowcy nie mogli powiedzieć, że katolicyzm przeciwstawiał się dziełu połączenia narodowego. Wobec niewątpliwego faktu, że, szczególnie młodzież głębiej znacznie przejmowała się sprawami narodowymi niż religią, zarzut taki mógł istotnie stać się niesłychanie groźnym. Ale odegrały też rolę i to wybitną inne psychologiczne momenty. Niewątpliwie idea wspólnoty narodowej — może tylko jako zwykłe zjednoczenie szczepu, pozbawione cech religijnego kultu, ale niezbyt od niego odległe — w chwili dokonania się połączenia miała jakąś nieprzepartą siłę sugestywną. Nie ulegali jej biskupi niemieccy, którzy stoją już od dawna w ogniu strasznej walki o prawa Kościoła i o jego najwyższe wartości — o jego honor. — Lecz Austria cała przeżywała wtedy trans.

¹⁾ Zjawisko to mogliśmy tu niedawno stwierdzić w odniesieniu do marksizmu.

Wytworzył się nastrój entuzjazmu narodowego, który wiąże się z urzeczywistnieniem dawnych i tłumionych długo tęsknot. Ulegli tym nastrojom najbardziej krytyczni ludzie. Nie oparli się im i katolicy. Można nawet dopatrywać się pewnych dalszych momentów psychologicznych. Ci, którzy dotąd popierali Schuschnigga, czuli się jakby winowajcami wobec idei wspólnoty narodowej. Wytworzyła się na tym tle może nie całkiem świadomie dążność do pewnego popisywania się gorliwością. Nie są to wprawdzie rzeczy wzniosłe, ale ludzkie. Nie stwierdzamy tego w formie zarzutu, bo nie chodziło tu bynajmniej jedynie o ratowanie osobistej pozycji jednostek, lecz o pewne, istotne „wyrzuty sumienia”, że się nie brało udziału w tym wielkim dziele zjednoczenia. Uczucia narodowe są uczuciami na wskroś pozytywnymi. Czyż może istnieć tendencja bardziej naturalna, jak chęć pogodzenia obu wartości, religijnych i narodowych? Wiązały się z tym zresztą i różne nadzieje. Z jednej strony na to, że Hitler w Austrii będzie musiał się o wiele bardziej z katolikami liczyć i że w ogóle punkt ciężkości przesunął się teraz w Rzeszy, skoro ilość elementu katolickiego tak wzrosła. Był to nastrój entuzjazmu, w którym się z natury rzeczy optymizm wytwarza. Błędna jest teza, że nastroje ulicy nie docierają do mózgów chłodnych, dojrzałych polityków.

Im bardziej się wmyślimy w te dni i ich przeżycia, im lepiej zrozumiemy ten cały mętlik jedności narodowej, który się zamienił w kult religijny, tym łatwiej będzie nam wyłuszczyć to, co zrobili katolicy austriaccy... i zrozumieć nawet te swastyki, zawieszone na kościołach...

Inne będą nasze wnioski, gdy spróbujemy oceny tego tak ciekawego zjawiska tworzenia się w naszych oczach najbardziej dynamicznej wspólnoty narodowej. Ze stanowiska przyszłości politycznej Niemiec jako potęgi, jest to niewątpliwie olbrzymi krok naprzód dzięki koordynacji sił narodowych. Inna rzecz, czy wszelka zbyt daleko idąca subordynacja jakiegoś narodu pod jedną ideę i jedno kierownictwo nie musi się kiedyś straszliwie zemścić, gdy zabraknie charyzmatycznego Wodza, który ma tak genialne wyczucie rzeczywistości i potrzeb chwili. Katastrofą jest to

dla kultury niemieckiej, gdyż nawet w tym kraju, tak przyzwyczajonym do dyscypliny, zniesienie wolności przekonań musi zabić wszelką twórczość humanistyczną, zasługującą na to miano. Dziś niewątpliwie Niemcy podobnie jak Włosi przeżywają reakcję przeciwko rozproszkowaniu kultury i jej niekonsekwencjom i upajają się wspólnotą narodową, opartą na jednolitości treści kulturalnych dążeń. Upojenie to może stać się źródłem jakiegoś szału nacjonalistycznego, którego już sam Hitler nie potrafi w ryzach utrzymać — i w tym leży groza, idąca stąd dla innych narodów. Rychło musi się jednak objawić druga strona medalu, monotonia, jałowość i straszliwe obniżenie poziomu. Niemcy będą już odtąd pociągać jedynie techników i przyrodników. Wzrost samopoczucia narodowego wypadnie im okupić utratą szacunku, jaki dla twórczości tego wielkiego narodu mieli inni. Za potęgę polityczną zapłaci naród niemiecki upadkiem kulturalnym. Zdaje się, że można dziś już taką tezę ryzykować.

Położenie katolicyzmu niemieckiego jest niewątpliwie tragiczne. Nie dlatego, że grożą mu prześladowania, które się teraz, po wizycie Hitlera w Rzymie, z pewnością wzmożą. Prześladowania były dla Kościoła zawsze drogą do odnowy i odrodzenia. Tragicznym jest tu konflikt interesu narodowego, tj. jego potęgi i idei jedności z religią. Może kiedyś z tego konfliktu wyniknie dobro, może zbliżenie protestantów i katolików w walce z neopogaństwem uitoruje z czasem drogę do likwidacji ciężkiego dziedzictwa zbuntowanego mnicha z Witembergi. Prędzej czy później chyba też ten przecież tak do niedawna przodujący w dziedzinie intelektualnej naród otrząśnie się z pod sugestyj mitów rasowych. Może. Ale na razie jest to naród, który postawił ideę jedności ponad Prawdę i Dobro — zszedł na bezdroża, groźne dla niego i dla innych.

Dr Andrzej Niesiołowski.

Konwertyta w sprawie żydowskiej.

O sprawie żydowskiej pisze się i mówi w Polsce bardzo dużo, coraz więcej. Świadczy to nie tylko o rosnącym zainteresowaniu się tym zagadnieniem, ale i o fakcie, że jest to sprawa żywotna, obchodząca najszerze warstwy i wymagająca zasadniczego rozwiązania. Że tak jest, świadczy też nie dające się zaprzeczyć zjawisko, że od słów coraz bardziej społeczeństwo polskie przechodzi do czynów, coraz to konkretniejszych i stosowanych na coraz to szerszym froncie.

Przypuszczam, że nie będzie zbędnym w naświetleniu tej kwestii głos konwertyty, który choć od kilkunastu lat zerwał wszystkie więzy łączące go z żydostwem, miał przecież w przeszłości możność głębszego, bo wewnętrznego, poznania sprawy żydowskiej. Wyrażone tu myśli nie mają oczywiście pretensji, by można je było uważać za wyczerpujące przedstawienie sprawy żydowskiej, względnie za jakiś program czy choćby jakieś autorytatywne rady; nie, są to tylko uwagi człowieka, który miał możność bezpośredniej obserwacji, i na tej podstawie głębszego przemyślenia tak żywotnego dla całej Polski zagadnienia.

W rozważaniach swoich dzielę całość sprawy na dwa momenty, na religijną i narodową stronę zagadnienia żydowskiego w Polsce. Momenty natury osobistej starałem się, w miarę możliwości, wyłączyć. Trudno wszakże pozbyć się pewnej dozy subiektywizmu, tym bardziej, gdy piszę właśnie w charakterze nawróconego. Starałem się również nie ulec zbytnej gorliwości, przeradzającej się często w nie-

nawiść, zwłaszcza u „renegatów”. Maksimum możliwego obiektywizmu, prawdy i szczerości — oto dążenie moje przy rozpatrywaniu poruszanej sprawy.

Zagadnienie chrystianizacji Żydów.

Bóg dla Żydów to głównie synonim strachu przed czymś Ogromnym, Niepojętym, Wszechwładnym... W pojęciu wierzących Żydów Bóg zatracił swój charakter najwyższej Istoty miłości, łaski i dobroci, a przyjął postać prawie wyłącznie groźnego sędziego, srogiego dla grzesznych żydów i mściwego wobec tych wszystkich, którzy dla żydów nie są przyjaciółmi lub nie chcą im ulegać. Tak pojęty Bóg to istotna cecha żydowskiej „religijności”, wpajana w dziecko żydowskie od kołyski prawie i przenikająca całą mentalność żyda. Wiara współczesnego żydostwa jest przy tym nader powierzchowna, jest raczej słownym wyznaniem i ekskluzywną sektą, aniżeli pełnią wiary w myślach i uczynkach. Przy tym u absolutnej większości wierzących żydów wiara jest względna, giętką, dopuszcza ona nie tylko życiowe kompromisy, ale również daleko sięgające odstępstwa od jej zasad, gdy wymagają tego doraźne interesy ziemskiego życia czy użycia. Zjawisko takiej względności wiary występuje nawet u tych żydów, którzy są formalnie aż fanatycznie religijni, chociaż u nich ta względność jest maskowana pewnymi pozorami pseudo-religijnymi i dlatego nie-żydom jest dość trudno ją zauważyć.

Dalszą charakterystyczną cechą żydowskiej mentalności, strojącej się w religijne pozory, to bezgraniczna pycha, bezkrytyczne spoglądanie z góry na wszystkich ludzi innej niż żydowskiej wiary, czyli na tzw. gojów. Wątpię czy jest wśród niechrześcijańskich religij religia bardziej szowinistyczna aniżeli właśnie żydowska. Nie wchodzę tu w zagadnienie czemu tak jest, co przyczyniło się do tak karykaturalnego wypaczenia sensu prawdziwej religijności. Powyżej wspomniane cechy są bezsprzecznym faktem, który miałem możność obserwować z bliska w okresie 30 lat życia pośród żydów.

Pod względem religijnym żydzi, nie stanowią rzecz jasna, jednolitej masy. Z grubsza, przy schematycznym ujęciu,

da się żydów podzielić na trzy warstwy różniące się w swym ustosunkowaniu się do religii.

Topniejącą z każdym rokiem warstwą żydów są fanatycy religijni, zwący się ortodoksami, posłuszni nie tyle zasadom Starego Testamentu ile talmudowi. Społecznie składa się ta warstwa przede wszystkim ze znacznej części starej burżuazji żydowskiej (kupców, właścicieli nieruchomości, pośredników handlowych, giełdowych itd.) oraz z ilościowo znacznej wśród żydów warstwy nierobów, pozostających na utrzymaniu rodzin czy społeczeństwa. Warstwę ściśle talmudystyczną charakteryzuje głęboka nienawiść do chrystianizmu, o wiele większa aniżeli do różnego pokroju bezbożnictwa. U ortodoksyjno-talmudystycznej młodzieży przeskok od religijności do pełnego bezbożnictwa są zjawiskiem dość częstym i z miejsca przyjmują postać wprost patologicznej nienawiści do religii, zwłaszcza do katolicyzmu.

Drugą warstwę stanowią starozakonni w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Trzymają się oni mniej więcej zasad Starego Testamentu i są raczej obojętni wobec przepisów talmudu, a już zupełnie nie liczą się z jego swoistą filozofią. Wobec chrześcijaństwa warstwa ta jest raczej obojętna niż wroga. Społecznie rekrutuje się z rzemieślników i drobnych kupców. Choć starozakonni są ilościowo dość liczni, wpływ ich na mentalność i politykę żydowską jest prawie że znikomy. Jest to warstwa przejściowa i coraz częściej w latach ostatnich zlewa się z warstwą trzecią.

Tę najliczniejszą warstwę trzecią stanowią wśród żydów ludzie areligijni lub nawet wprost bezbożnicy. Zdaniem moim stanowią oni większość współczesnego żydostwa w Polsce. Żydzi areligijni a tym bardziej bezbożnicy, pałają niepohamowaną nienawiścią do chrześcijaństwa i do religii w ogóle w daleko wyższym stopniu niż bezbożnicy innych narodów. Stanowią oni niewyczerpalny rezerwuar dla ruchu bezbożniczo-wolnomyślicielskiego wśród wszystkich prawie narodów oraz tworzą kierownicze kadry dla rewolucyjnych i lewicowo-radykalnych ruchów polityczno-społecznych. Skład społeczny tej warstwy to przeważnie żydowski proletariat, spauperyzowane drobnomieszczaństwo, prawie cała

inteligencja i pół-inteligencja oraz młode, powojenne, pokolenie żydowskiej burżuazji.

Mówiąc o zagadnieniu czy o możliwościach chrystianizacji żydów trzeba mieć na oku powyższy ich podział pod względem religijnych uczuć oraz zapatrywań. Jestem głęboko przekonany, że prawda Chrystusowa jest tak wielka i wszechpotężna, iż koniec końców może zdobyć nawet najbardziej opornych, nie wyłączając zatem i żydów, którzy wobec Pana Naszego najwięcej chyba zgrzeszyli. Odróżnić jednak trzeba możliwość masowej i indywidualnej chrystianizacji żydów.

Co się tyczy masowego prozelityzmu wśród żydów to widzę jego możliwość jedynie wówczas, gdy żydzi znowu znajdą się na swej własnej ziemi, w swoim samowystarczalnym narodowym środowisku, gdy przestaną wieść swój pasożytniczy żywot pośród innych narodów, a odnajdą warunki normalnego i wszechstronnego życia we własnej ojczyźnie. Warunek ten uważam za konieczny, by żydzi jako naród mogli odnaleźć prawdziwe drogi Boże, ongiś przez nich zagubione. Nim jednak na drogę prawdy Bożej wkroczą, muszą uświadomić sobie ogrom ciężącego na nich po dziś dzień niezmazanego grzechu ukrzyżowania Chrystusa a następnie szerzenia bezbożnictwa i przewrotów wśród wszystkich narodów świata, gdziekolwiek znaleźli gościnę.

Najlepsze, rzecz jasna, możliwości nawrócenia zaistnieją wówczas w pierwszym rzędzie wśród warstwy ściśle starozakonnej, u której odejście od źródeł prawdziwej wiary jest względnie najmniejsze. Skutkiem fatalnych dla Żydów warunków historycznych, warstwa ta zatrzymała się w swoim rozwoju religijnym i dziś raczej cofa się ku bezbożnictwu, niż zbliża ku Chrystusowi. Skoro wszakże słusznie katolicy uznają, że Stary Testament w istocie swojej dogmatyczno-etycznej harmonizuje najzupełniej z Nowym Testamentem, to rozwój religijny żydostwa — w odpowiednich warunkach materialnych, o których wyżej wspomniałem — nawet opóźniony, nie jest wykluczony. Znacznie trudniej przedstawia się zagadnienie nawrócenia talmudystów. Talmud nie da się nigdy i za żadną cenę pogodzić z chrześcijaństwem. Aby talmudysta mógł się stać chrześcijaninem,

musi on odrzucić wszelkie poglądy wynikające z tamuldu, musi przeżyć głęboką rewolucję duchową. Otóż wobec znacznej zatwardziałości i fanatyzmu talmudystów mniemam, że nadzieje na ich chrystianizację są więcej niż nikłe. Jest to zresztą warstwa na wymarcie, i nim dokona się proces przesiedlenia się żydów do swojej ojczyzny czy jednego jakiegoś kraju, zagadnienie takie straci dużo na swej aktualności.

We własnym już kraju sami żydzi-starozakonni będą zmuszeni stoczyć ideową walkę ze swoimi bezbożnikami, o ile nie zechcą skazać się na nową własną zagładę. Dopóki zaś żydzi pozostają w krajach chrześcijańskich walka z żydowskimi bezbożnikami jest i musi być jednym z naczelných zadań chrześcijan. Często żydzi nie rozumieją, lub udają zdziwienie wobec faktu, że właśnie rozkładowy wpływ w dziedzinie etyki i religijnej myśli, płynący z bezbożniczej postawy tak wysokiego procentu żydów jest często najgłębszą przyczyną coraz powszechniejszej wrogości z jaką odnosiły się i coraz powszechniej odnoszą się do nich inne narody i dążą do szybkiego i radykalnego pozbycia się ich z poszczególnych krajów. To po prostu zdrowe organizmy wyzwalają się z chorobotwórczych bakterii. Bezbożnictwo bowiem jest przede wszystkim chorobą duszy, a przy tym chorobą zaraźliwą, niekiedy wprost epidemiczną.

Przez masowe przyjęcie chrześcijaństwa na swej ziemi żydzi mogą znowu stać się normalnym, zdrowym narodem, wprawdzie już nie wyłącznie jak niegdyś przez Boga wybranym, ale jednym spośród wielu narodów wybranych przez Boga do głoszenia Jego chwały i Jego wiecznych prawd.

Czy to, co wyżej pisałem o możliwościach masowej chrystianizacji żydów, oznacza że wykluczona jest możliwość wcześniejszego nawrócenia się żydów? Tak, jeśli chodzi o zjawisko masowe, zbyt bowiem nienormalne jest życie żydów wśród obcych sobie narodów, aby mogli oni wkroczyć już obecnie na drogę prawdy. Religijno-kulturalna obcość — przyjmująca u żydów najczęściej postać wrogości — wobec chrześcijaństwa, to dla żydów jeden z najważniejszych atutów przy zachowaniu ich narodowej odrębności. Ustanie ten moment wówczas dopiero, gdy znajdą się sami między sobą.

Nie można atoli żadną miarą wykluczyć możliwości indywidualnego nawracania się na wiarę Chrystusową oddzielnych żydów. Chcąc pozostać szczerym, nie mogę wszakże nie zaznaczyć, że prawdziwe nawrócenie, nawet u jednostek spośród żydów, jest zjawiskiem wyjątkowym i w perspektywie najbliższej przyszłości, jako zjawisko częstsze, mało prawdopodobnym.

Za zasadniczy bowiem warunek szczerego nawrócenia się żyda uważam zerwanie węzłów, nawet towarzyskich, łączących go ze środowiskiem żydowskim, i to zerwanie zupełne, bezpowrotne. Mógłby ktoś wyrazić wątpliwość, czy nie lepiej by było, żeby nawrócone jednostki nadal działały w starym swoim środowisku w charakterze apostołskim, w celu nawrócenia innych żydów. Z wielu względów jest to niemożliwe a nawet niepożądane. Wymienić mogę niektóre z tych względów. I tak obecne nienormalne warunki narodowego bytu żydów nie sprzyjają żywszej akcji chrystianizacji nawet wśród poszczególnych żydów. Dalej, sfanatyzowane nienawiścią środowisko żydowskie może raczej z powrotem zarazić świeżo nawróconego, aniżeli ten pociągnąć czy nawrócić innych żydów. Apostołem w ogóle a już specjalnie pośród żydów, może być jedynie jednostka głębokiej wiary, poświęcenia i wytrwałości oraz odporności charakteru. Zalety te daje zazwyczaj dopiero tradycja całych pokoleń, wychowanych w cnotach chrześcijańskich, u neofity mogą być zjawiskiem wyjątkowym. Pełne zerwanie z żydostwem to jeden z poważniejszych znaków, że nawrócenie się danego osobnika było szczerze, pozostawanie zaś w środowisku żydowskim i oddawanie usług żydostwu to zazwyczaj oznaka koniunkturalności i nieszczeroci przyjęcia chrztu.

Powszechnie zresztą znane są smutne doświadczenia z przechrztami. Iluż to żydów przyjęło chrzest jedynie po to, by utorować sobie karierę życiową, ułatwić studia, uzyskać posadę itp.? Iluż to żydów stało się paszportowymi katolikami jedynie w celu poślubienia katoliczki, z miłości czy po prostu dla majątku lub kariery? Jak dużo jest takich, którzy wprowadzie z początku szczerze, w porywie duszy przeszli na łono Kościoła, ale później coraz bardziej

od Kościoła oddalali się, wiarę utracili i ostatecznie stali się zagorzałymi wrogami Kościoła? Nie posiadam cyfr, ale z bezpośrednich obserwacji wiem, że takich właśnie neofitów jest dużo, a obawiam się, że ci koniunkturalni konwertyci stanowią większość wśród nawróconych żydów. Faktem jest, że pomiędzy kierowniczymi jednostkami masonerii, wśród czynnych bezbożników, socjalistów i komunistów odsetek żydów-przechrztów jest bardzo znaczny.

To też nie można się dziwić ogólnie panującemu uprzedzeniu rdzennych chrześcijan do świeżo nawróconych żydów. Większa ostrożność przy udzielaniu żydom sakramentu chrztu świętego jest dla dobra Kościoła rzeczą ogromnie doniosłą. Nie godzi mi się wprawdzie zabierać głosu w sprawie dotyczącej się prawa kanonicznego i polityki kościelnej, ale uważam, że dla konwertytów, szczególnie żydowskiego pochodzenia, konieczne są specjalne rygory, jak najściślejsza kontrola praktykowania religijnego u takich jednostek, stopnia lojalności i przywiązania w stosunku do Kościoła itp. Przed udzieleniem chrztu powinien kandydat na konwertytę przejść dłuższy okres próby, nie tylko w tym celu by się formalnie nauczył katechizmu, ale po to również by społeczność katolicka, a przede wszystkim odpowiedni kapłan, mogli lepiej poznać kandydata i jego intencje. Wobec jednostek, które ujawniły, że ich nawrócenie było li tylko oszustwem, a przyjęcie chrztu — świętokradztwem, szczególnie zaś wobec otwartych wrogów Kościoła spośród przechrztów, należałoby nawet stosować kary kościelne z podaniem ich do powszechnej wiadomości społeczności katolickiej. Jednostka bowiem wartościowa, serdecznie i szczerze pragnąca Boga prawdziwego nie odstraszy się takimi czy podobnymi rygorami, a miernoty duchowe czy nawet osoby przewrotne będą miały trudniejszy dostęp do Kościoła.

O asymilacji narodowej żydów i sprawie żydowskiej w Polsce.

Jeśli możliwości chrystianizacji żydów są nikłe, jak to przedstawiłem powyżej, to narodowa asymilacja żydów jest sprawą o wiele jeszcze trudniejszą. Katolikiem może zostać

każdy człowiek, niezależnie od przynależności narodowej, który uznaje i wypełnia prawdy i przykazania Boga i Kościoła. Natomiast stać się członkiem innego narodu to sprawa bardziej zawiła. Wchodzą tu takie elementy jak: przywiązanie do ziemi, języka i zbiorowości danego narodu. A to nie są sprawy łatwe. Naród formuje się całymi wiekami, wieków też potrzeba aby jednostka mogła naprawdę zerwać z jednym organizmem narodowym i wejść naprawdę w skład innego narodu. Że zaś jednostki wieków całych nie przeżywają, może więc proces asymilacji narodowej dokonać się jedynie stopniowo, z pokolenia na pokolenie. Dziełu asymilacji sprzyja fakt bliskości rasowej, wspólnoty religijnej, przynależności do jednego typu kultury i wreszcie pomieszanie jednostek pośród danego narodu. Otóż żydzi nie posiadają w Polsce żadnego z wyliczonych elementów sprzyjających asymilacji. Rasowo są dalecy od Polaków; religijnie obcy raczej wrodzy; kultura zupełnie odrębna, wywodząca się z innego pnia; żyją ponadto w zwartej masie, mniej czy więcej wyodrębniającej się całym swym bytem, mentalnością, obyczajami itp. od społeczności narodowej Polaków. Możliwości więc masowej asymilacji żydów są w Polsce... żadne.

U oddzielnie wziętych jednostek asymilacja jest wprowadzić w wyjątkowych wypadkach możliwa, przy uwzględnieniu wyżej zestawionych postulatów, ale jeszcze bardziej, aniżeli w dziedzinie religijnej, koniecznym warunkiem szczerości jest zupełne odseparowanie się od żydowskiego środowiska i ponadto przejęcie się misją służenia Polsce, a nie chęcią kierowania czy panowania nad Polską. Sam fakt jakichś zasług wobec Polski nie świadczy jeszcze o stanie się Polakiem, może to być tylko państwowy, przyjacielski patriotyzm.

Ża najważniejszy warunek wkroczenia żyda na drogę stawania się Polakiem, uważam szczere przejście na łono Kościoła, gdyż katolicyzm to najbardziej istotna podstawa kultury polskiej. Ale dobra wola i świadomość przynależenia do polskiego narodu to dopiero początek prawdziwej przynależności narodowej. Toteż jak powiedziałem, możliwości

asymilacji pojętej poważnie, są u żydów w Polsce bardzo ograniczone i wprost wyjątkowe.

W stosunku do całości żydostwa polskiego może być tylko jedna polska polityka, a mianowicie ta, która stała się już udziałem bodaj, że całego narodu polskiego: żydzi muszą Polskę opuścić, aby naród polski mógł normalnie żyć i rozwijać się. Zupełnie słusznie zauważył przy ostatniej dyskusji budżetowej w Senacie p. senator Petrazyski, że wyjście żydów z Polski stało się socjologiczną i dziejową koniecznością.

Moim zdaniem najlepiej dla Polski, jak również dla żydów będzie, gdy żydzi pogodzą się z myślą o dobrowolnym opuszczeniu dotychczas dla nich przez długie wieki tak gościnnej Polski i to w tempie możliwie najszybszym. Za zupełnie realne rozwiązanie można uważać ewakuację przynajmniej $\frac{3}{4}$ obecnej masy żydowskiej w ciągu jakichś 20—30 lat. Przy dobrej woli żydów, przy pomocy państwa polskiego, jak i innych zainteresowanych państw, oraz przy poparciu międzynarodowego żydostwa, emigracja około 100.000 żydów rocznie z Polski jest najzupełniej możliwa. Zagadnienie — dokąd?, nie jest tak bardzo trudne do rozwiązania, jak się pozornie wydaje. Znając doskonale żydów wiem, że nie zechcą oni opuścić Polski tak długo, jak długo nie będą mieli okazji osiedlenia się w kraju, gdzie im lepiej może się powodzić. U przytłaczającej większości żydów nie gra żadnej roli uczucie przywiązania do Polski, jako do swej ojczyzny. Obawiają się oni jedynie emigracji do krajów, w których zmuszeni będą od nowa budować, w ciężkim trudzie, własną gospodarkę, a może i własną państwowość. Terytorialnie wchodzi w grę nie tylko Palestyna czy Madagaskar, ale i olbrzymie wolne połacie na wschodzie Rosji Sowieckiej, gdzie przecież żydom powodzi się daleko lepiej niż innym narodom, okrutnie przez bolszewików ciemnionym. Gdy żydzi na prawdę zechcą, to bez wątpienia znajdą odpowiednie terytoria do osiedlenia się.

Cała trudność tkwi właśnie w tym, że żydzi nie chcą opuścić dobrowolnie Polski, łudząc się wciąż, że nastąpią jeszcze takie zmiany polityczne, które im umożliwią nie tylko pozostanie, ale i rozszerzenie swego stanu posia-

dania w dziedzinie gospodarczej i politycznej. Ten upór żydów i te ich złudzenia stanowią najważniejszą przyczynę zaognienia sprawy żydowskiej w Polsce, zaognienia, które mimo hamującej akcji czynników państwowych i politycznych może w przyszłości doprowadzić do katastrofalnego wybuchu namiętności po jednej i po drugiej stronie.

Walka gospodarcza, polityczna i kulturalna z duchowym wpływem żydów, którą prowadzi naród polski jest akcją na wskrós pozytywną, a z punktu widzenia tak narodowego jak i religijnego, najsłuszniejszej samoobrony. Akcji tej powinno towarzyszyć przedmiotowe przekonanie żydów, że ich emigracja z Polski jest absolutną koniecznością i że pozostając w Polsce, pogarszają jedynie swą sytuację i tracą czas oraz dobre możliwości korzystnego dla nich załatwienia sprawy dobrowolnej ewakuacji.

Dobrze sytuowanych żydów, a szczególnie polityków żydowskich nie da się żadnymi argumentami przekonać, że powinni pomóc przy wysiedleniu się żydów z Polski i sami dać dobry przykład. Do żydowskich zaś mas przemawiać można i przemawiać trzeba przede wszystkim faktami — jak bojkot gospodarczy, izolacja w życiu społeczno-politycznym, wyeliminowanie z aparatu państwowego, kulturalnego itp. — a zatem argumentami, które trafić do nich winny poza głowami i bez pośrednictwa ich politycznych przywódców.

Te zaś nieliczne jednostki, które pochodząc z żydów z żydostwem ostatecznie i radykalnie zerwały i wykazują najlepszą wolę, by stać się w pełni Polakami, muszą z całych sił i bez wszelkich uprzedzeń popierać naród polski w jego walce, którą zmuszony jest prowadzić chcąc zdobyć pełną i ostateczną niepodległość. Poparcie, czy raczej współudział tych zasymilowanych jednostek, powinien się odbywać niezależnie od tego, że w toku prowadzonej walki i oni, jako z żydów pochodzący, mogą nieraz ucierpieć. Bo, kto głęboko ukochał naród, którego z własnej woli stał się częścią, musi być gotowym do poniesienia ofiar dla żywotnych interesów tego narodu, nie oglądając się na swoje prywatne interesy. Z powodu zaś uporu i ślepoty żydów, walka z nimi musi niestety przyjąć formy bezkompromisowe, których gra-

nicą jest jedynie katolicka etyka, a w tym stanie rzeczy mogą się zdarzyć i omyłki przy odróżnianiu przyjaciół od przeciwników.

Od dość dawna obserwuję walkę narodu polskiego z obcym mu duchowo nalotem żydowskim i doszedłem do głębokiego przekonania, że w walce tej Polacy nie kierują się nienawiścią do żydów jako takich. Kieruje nimi jedynie i wyłącznie umiłowanie własnej sprawy i słuszną a sprawiedliwą dbałość o zdrowie moralne, kulturalne i państwowe własnego narodu.

Świadectwo to daję, mimo że sam jako były żyd, mam nieraz w związku z mym pochodzeniem, poważne przykrości moralne i trudności materialnej natury. Chodzi mi wyłącznie o świadectwo prawdzie, o nakaz sumienia.

Konwertyta.

Małe środki i wielka obłuda.

Pracodawcom ku rozwazde.

Z powodu poświęcenia w Kamienicy pod Szczawnicą domu wypoczynkowego, zbudowanego przez Tow. „Saturn”, pismo *Depesza*, w numerze 48 z dn. 13 czerwca 38 r. zamieściło krótki, redakcyjny artykuł poświęcony temu wydarzeniu.

Depesza jest niezależnym organem społeczno-gospodarczym, ale służy interesom polskiego przemysłu, jest wyrazicielem poglądów polskich przemysłowców, którzy bardzo często zabierają głos na łamach *Depeszy*. Dlatego też poglądy wypowiedziane w artykule wspomnianym można uważać za dosyć wierny obraz poglądów naszych sfer przemysłowych i ich ustosunkowania się do poruszonych w tym artykule zagadnień społecznych.

Ten „mały”, naprawdę krótki artykuł porusza jednak tak dużo zagadnień, stanowiących bolączki życia społecznego, a jednocześnie odsłania tak „wielkie” — powiedzmy — nieporozumienie w oświeceniu tych zagadnień i wyprowadzanych zeń wniosków, że trzeba koniecznie zająć się ich omówieniem. Nie dla polemiki, nie dlatego, że o tych sprawach jeszcze nie mówiono, ale dlatego, że można je oświecić nie abstrakcyjnie na podstawie różnych naukowych założeń, ale że tak powiem analizując *in flagranti* pewien typ rozumowania, na konkretnym przykładzie życiowym.

Każdy ustęp, omal że każde zdanie artykułu pozwala na na osobne naświetlenie jakiegoś zagadnienia, to też z rozważania poszczególnych zagadnień nie otrzymamy jakiejś zamknię-

tej, naukowo rozbudowanej całości. Będą one jednak stanowiły próbę znalezienia jednej, istotnej przyczyny, która doprowadza do tych nieporozumień w oświeceniu i błędnych wniosków, jakie w artykule wspomnianym znajdziemy.¹⁾

Trzeba było być na miejscu i brać udział w uroczystości, widzieć robotników pensjonarzy Domu Wypoczynkowego... aby ocenić jak może zmienić się stosunek robotnika do pracodawcy, jaki dobroczynny wpływ może wywierać pracodawca na robotników, gdy dba o ich byt i zdrowie, gdy myśli o nich, jako o sile pracowniczej na czas dłuższy, gdy umożliwia im godziwy wypoczynek urlopowy i ułatwia odnowienie zużytych sił —

pisze autor wspomnianego artykułu.

Czyż dlatego, ażeby ocenić dobroczynny wpływ wypoczynku i to w należytych warunkach, trzeba koniecznie zobaczyć rozradowane, wyobrażam sobie, zadowolone twarze, wesołe rozmowy pensjonarzy? — Ażeby zrobić to od-

¹⁾ Dla uniknięcia zarzutu, że zdania artykułu zostały podane w skrócie błędnie odtwarzającym myśl autora, pozwoliłem sobie przytoczyć artykuł *Depeszy* w dosłownym brzmieniu, dając tym samym możliwość sprawdzenia skrótu:

Jak małymi środkami można dużo dobrego zrobić.

„Jak już donosiliśmy w num. 46-tym *Depeszy* z 6 bm., w pierwszy dzień Zielonych Świąt odbyła się w Kamienicy pod Szczawnicą uroczystość poświęcenia zbudowanego przez Tow. „Saturn” Domu Wypoczynkowego dla robotników Zakładów Towarzystwa. Trzeba było być na miejscu i brać udział w tej uroczystości, widzieć robotników-pensjonarzy Domu Wypoczynkowego, zaobserwować ich zachowanie się, wygląd, stan ducha i to wielkie zadowolenie, że mają możliwość przebywania z dala od przedsiębiorstwa, w którym pracują, na łonie natury i w obliczu pięknego krajobrazu, aby ocenić, jak może zmienić się stosunek robotnika do pracodawcy, jaki dobroczynny wpływ może wywierać pracodawca na robotników, gdy dba o ich byt i zdrowie, gdy myśli o nich, jako o sile pracowniczej na czas dłuższy, gdy umożliwia im godziwy wypoczynek urlopowy i ułatwia odnowienie zużytych sił.

Szczęśliwe Towarzystwo „Saturn”, że zbudowało taki Dom Wypoczynkowy i szczęśliwi robotnicy, tego przedsiębiorstwa, że mogą korzystać z takiego odpoczynku podczas urlopu!

Jest to, zdaje się, jeden z pierwszych „Domów Wypoczynkowych” tego rodzaju. Wysunęliśmy ten fakt na pierwszej stronie *Depeszy*, gdyż uważamy, że jest on wydarzeniem socjalnym pierwszorzędnej wagi. O co tu chodzi?

Otóż dziś między przemysłowca i robotnika wypycha się ten trzeci i chce odsunąć jednego od drugiego możliwie najdalej, przedstawiając pierwszego, jako wroga, wyzyskiwacza i ciemięzyciela robotników. Z jednej strony socjalista czy komunista obiecuje robotnikom raj na ziemi, a z drugiej biurokracja uszczęśliwia świat robotniczy i pracowniczy różnymi reformami socjalnymi, oczywiście, głównie za pieniądze przemysłu, jest ona dobrodziejem robotników z cudzej kieszeni. W jednym i dru-

krycie, że człowiek, chociażby był robotnikiem, nie jest maszyną, która zresztą też się zużywa, lecz istotą żywą, mającą swe pragnienia i pożądanja, mającą swoje potrzeby nie tylko materialne? Jednakże jak mało pracodawców o tym myśli, a jak wielu stara się o tym nie myśleć, rozumiejąc, że z myśli takich należy wyciągnąć konsekwencje, które zmuszają do mniejszych lub większych ofiar.

Lecz jak widać nie o ten bezinteresowny dobroczynny wpływ dla zdrowia i tężyzny robotnika-człowieka tu chodzi, ale o łatwiejszy wpływ pracodawcy na robotnika wypoczę-

gim przypadku wytwarza się coraz większa przepaść, jaka dzieli przemysłowca od robotników. Dobrodziejami jest biurokracja i socjaliści, tylko nie przemysłowcy. To samo dzieje się w dziedzinie urządzeń kulturalnych, higienicznych, rozrywkowych itd.

Wszyscy zbierają laury, zasługi, hołdy, uznanie, tylko nie przemysł. On jest obciążony najrozmaitszymi daninami, opłatami i świadczeniami, na niego przypada największa suma wpływów publicznych, ale owoce natury społecznej i moralnej przywłaszcza sobie kto inny. Tak wygląda, że ten trzeci robi wszystko dobre, a przemysł wszystko złe i jest jeszcze szargany w opinii publicznej robotniczej i pracowniczej.

Czy nie czas wielki, aby zacząć demaskować tę wielką obłudę i to wbijanie przez biurokrację klina w solidaryzm pracodawczo-robotniczy? Czy nie należałoby wytrącać z ręki biurokracji i radykałów socjalnych tej wielkiej broni, jaką jest bezpośredni wpływ na robotnika i pracownika, urabianie jego światopoglądu i arbitrowanie w sporach o warunki pracy i płacy! Wydaje nam się, że takie właśnie Domy Wypoczynkowe, jak ten Tow. „Saturn”, mogłyby w akcji pogłębienia solidaryzmu pracodawczo-robotniczego odegrać bardzo skuteczną rolę. W takich Domach Wypoczynkowych można by zapewnić robotnikom takie kulturalne rozrywki i wytworzyć takie nastawienie umysłowe, że robotnicy zrozumieliby w końcu, kto jest ich prawdziwym dobrodziejem, a nie zamaskowanym i za cudze pieniądze.

Idea Domów Wypoczynkowych dla robotników jest bardzo zdrowa. Zapoczątkowało ją Tow. „Saturn”. Ale czy za nim pójdą inne przedsiębiorstwa i koncerny? Jeżeli są rentowne i mogą sobie na to pozwolić, powinnyby pójść w ślady „Saturna”. Tu chodzi nie tylko o sam wypoczynek fizyczny dla robotników, ale także i o wzmocnienie solidaryzmu pomiędzy pracodawcami i robotnikami, przekonanie tych ostatnich, że ich interes leży w dobrze prosperującym i rentownym przedsiębiorstwie, w tym przyjaznym dla inicjatywy prywatnej klimacie, a w końcu o odgrodzenie robotników od agitacji wywrotowej podczas urlopu. Nigdzie tak się nie nastroja umysłu i ducha w odpowiednim kierunku, jak podczas wypoczynku w ładnej okolicy.

Kierownictwo Tow. „Saturn” dobrze pojęło znaczenie Domów Wypoczynkowych i to jego pionierstwo w tej dziedzinie niewątpliwie znajdzie naśladowców.

Udział w uroczystości dyr. Centralnego Związku Przemysłu Polskiego p. Andrzeja Wierzbickiego jest dowodem, że naczelna organizacja przemysłu przywiązuje do tego wydarzenia należną mu wagę.

Uroczystość wywołała także duże zainteresowanie wśród ludności miejscowej i okolicznej, bo Dom Wypoczynkowy to także oddziaływanie kulturalne na bliższe i dalsze otoczenie. *Depesza 13/VI 38. Nr 48.*

tego, zadowolonego — zawdzięczającego to zadowolenie nie normalnemu, jaki powinien istnieć, stosunkowi do pracy, ale tylko dobrej woli tego pracodawcy.

O cóż się troszczy ten pracodawca, tworząc Dom Wypoczynkowy. Dbą o byt i zdrowie, myśli o sile pracowniczej, ułatwia odnowienie zużytych sił. A więc znów nie chodzi o to, co się z natury rzeczy należy każdemu człowiekowi, o wyłchnienie, o potrzeby umysłu i serca, ale o tę siłę roboczą. Mimo woli przypomina się zagadnienie zarobku wystarczającego tylko na takie podtrzymanie sił fizycznych, aby robotnik nie przestał pracować. Dorzucać należy paliwa, aby maszyna parowa nie stanęła!

Błędne, zupełnie błędne podejście. Proszę przetrząść encykliki społeczne, chociażby tylko obecnego Ojca św. Jakże wiele innych wysuniętych potrzeb robotników znajdziemy tam, prócz podtrzymania zdolności siły fizycznej do pracy.

Ale dla przeciętnego przemysłowca robotnik to tylko siła robocza, nierównouprawniony w swym dostojęństwie człowiek, mający równe potrzeby o tym samym charakterze, choć może w skali różnej.

„Dom Wypoczynkowy“ w Kamienicy ma być jednym z pierwszych tego rodzaju i mamy to uważać za wydarzenie socjalne pierwszorzędnej wagi.

Czyż można się dziwić, jak dalej nad tym ubolewa autor artykułu, że wepchnie się ten trzeci i będzie przedstawiał pracodawcę jako „wroga, wyzyskiwacza i ciemniźciela robotników“ — jeżeli dziś dopiero możemy się chwalić pierwszym tego rodzaju wprowadzonym w życie pomysłem i każemy uważać za wydarzenie pierwszorzędnej wagi to, co powinno od dawna stanowić zjawisko normalne. Bo nie chodzi tu o samą formę, w jakiej się troska pracodawcy o robotnika przejawiała, ta forma może być nowa, ale czy i ilu innymi, choćby nie nowymi przejawami troski mogą się poszczycić pracodawcy na ogół, jeżeli tak mała stosunkowo rzecz, jak Dom Wypoczynkowy, wyrasta do znaczenia wydarzenia omal, że nie epokowego, mającego wywołać omal że nie przełom w stosunku robotnika do pracodawcy!

Tak dalece, że nawet naczelna organizacja przemysłu przywiązuje do tego wielką wagę, wysyłając na poświęcenie swego sztandarowego członka. Przemysłowcy na ogół, wyjątki są i zawsze były, nie są skorzy do troski o potrzeby swych robotników, rzadko pamiętają na zdanie encykliki, że nadmiar zysku ponad zaspokojenie wszystkich odpowiednich stanowi potrzeb, winien pracodawca obrócić ku ogólnemu społecznemu pożytkowi a więc i ku pożytkowi robotników, jako części składowej społeczności, najmniej przeważnie znajdującej w swych zarobkach możliwości zaspokojenia wszystkich swych potrzeb. Czyż można się dziwić wobec wyolbrzymienia tak stosunkowo małej rzeczy, a zaniedbania wielu, wielu innych, że „biurokracja uszczęśliwia świat robotniczy i pracowniczy różnymi reformami socjalnymi“?

Niejedno jest w tych reformach złe, niejedno spotykamy marnotrawstwo grosza publicznego, ale coś kiedy pracodawcy nie chcieli na ogół zrozumieć konieczności zmiany stosunków panujących, nie chcieli zmienić dobrowolnie swego ustosunkowania się do potrzeb robotniczych.

Pracodawcy nie chcieli zrozumieć, że te pieniądze, za które dziś robotnik otrzymuje mniej lub więcej udane lub nieudane dobrodziejstwa społeczne, nie są „pieniądzmi przemysłu“, a więc jak gdyby groszem prywatnym, dobrodziejstwem z cudzej kieszeni, lecz dobrem publicznym, tą częścią zysku, która ma charakter społeczny. Encykliki wyraźnie podkreślają obok indywidualnego charakter społeczny własności, pracy, płacy i zysku.

Trudno wymagać, aby w tym stanie rzeczy, ogół nie uważał za dobrodziejów, czy to biurokrację czy innych, którzy się do tych, choć niedoskonałych reform socjalnych przyczynili, a wyżej stawiał pracodawców, którzy sami się na tę myśl nie zdobyli, a gdy ona została w czyn wprowadzona, zalegali z wykonaniem swych obowiązków, zatrzymując w swym ręku przez niepłacenie składek olbrzymie sumy grosza publicznego i dezorganizując nieraz w ten sposób nawet tę niedoskonałą pomoc, jaką w założeniu powinien otrzymać robotnik, z tytułu przeprowadzonych reform socjalnych.

Przemysł jest obarczony najrozmaitszymi daninami, opłatami i świadczeniami, ale owoce natury społecznej i moralnej przywłaszcza sobie kto inny, laury zbierają wszyscy, tylko nie przemysł, biada autor artykułu.

Tak jest rzeczywiście, ale dlaczego się tak dzieje?

Jeszcze na długo przed Marksem katolicka myśl społeczna piętnowała wyzysk uprawiany przez pracodawców, nawoływała do zmiany ustosunkowania się do pracowników i ich potrzeb, wskazywała na konieczność sprawiedliwego podziału zysku, na warunki, którym powinna odpowiadać sprawiedliwa płaca. Niestety tylko niewielu poszło dobrowolnie, z pełnym zrozumieniem za tym głosem i ci na pewno zbierali swoje laury, ich zasługi oceniono, jak na przykład dzisiejszych twórców Domu Wypoczynkowego w Kamienicy. Ale było ich tak niewielu, że w blasku ich zasług nie utonąła masa pracodawców, która nawoływania tego nie usłuchała.

Nawet zapoczątkowana przez Marksa walka klas niewiele w tym zmieniła. Wywalczone to i owo, ale istota ustosunkowania się nie uległa zmianie i dziś po stu latach nawoływania w imię miłości chrześcijańskiej z jednej, a w imię nienawiści klasowej z drugiej strony musimy stawiać te same postulaty co do sprawiedliwości pracodawcy wobec pracownika jak dawniej.

Przemysł uiszcza daniny, opłaty i świadczenia pod przymusem, gdzie może unika ich bez względu na to czy są słuszne czy niesłuszne, czy konieczne czy niekonieczne. Rzadko przyjdzie ze świadczeniem dobrowolnym, jak w Kamienicy. Nawet ten urlop, dla którego stworzony został Dom Wypoczynkowy, jakże dużo miał i dziś jeszcze ma przeciwników w imię rzekomej dezorganizacji pracy, wywołanej zwalnianiem na urlop. Powoli pracodawcy osławiają się z koniecznością udzielania urlopu, ale jeszcze nie przestali uważać tego za narzucone z zewnątrz *malum necessarium*.

Czyż można się dziwić jeśli robotnik, wdzięczny Saturnowi za uprzyjemnienie urlopu, za sam jednakże urlop będzie wdzięczny partii, urzędnikowi, prawodawcy, którzy się do wydania odpowiedniej ustawy przyczynili, a nie przemysłowcowi, który się na urlop zżymał, musiał go dać, że

tak powiem pod przymusem. Niestety nie podług wyjątków, sądzi się ogół, przeciwnie wyjątki jeszcze bardziej podkreślają regułę niezgodną z tymi dobrymi wyjątkami.

W oświeceniu powyższym przyznawanie wszystkiego dobrego tylko temu trzeciemu — mniejsza o to, kto jest tym trzecim — jest może przesadą, nigdy jednak nie jest wielką ani nawet małą obłudą. Przeciwnie obłudą będzie przysstrajanie się ogółu przemysłowców i pracodawców w pawie piórka Saturna i niewielu jemu podobnych oraz załamywanie rąk nad brakiem uznania dla siebie. Jeżeli więc trzeba cokolwiek demaskować, to nie tę rzekomą obłudę, ale właśnie to zaślepienie, które nie pozwala większości pracodawców dojrzeć własnej winy w układzie dzisiejszych stosunków.

Mamy demaskować „wbijanie klina w solidaryzm pracodawczo-robotniczy“, ale próżno by ktoś szukał u nas przejawów tego solidaryzmu. Gdzie on istnieje? Poczucia solidaryzmu nie wyrobiła, bo nie mogła wyrobić, walka klas w imię rzekomo przeciwnych sobie interesów pracodawcy i robotnika. Poczucia solidaryzmu niestety nie wyrobiły głoszone hasła miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej znajdujące potężnego dla siebie przeciwnika w materialistycznym egoizmie ludzkim. Powoli zbliżamy się już może do zrozumienia solidaryzmu ale jeszcze go nie ma i dlatego na razie słuszniej jest zwalczać obłudę zawartą w twierdzeniu o „wbijaniu klina w solidaryzm pracodawczo-robotniczy“, który wcale nie istnieje niż dopatrywać się tej obłudy w przypisywaniu przez pewne grupy zasług tylko sobie.

Wydaje mi się, że Domy Wypoczynkowe zakładane przez pracodawcę odegrają swoją rolę w dążeniu do solidaryzmu jedynie wówczas, jeśli będą zakładane w imię szczerzego bezinteresownego poczucia sprawiedliwości, a nie dla wytrącenia z rąk innych czynników broni bezpośredniego oddziaływania oraz wpływu na robotnika i pracownika. Chybiony będzie cel zakładania Domów Wypoczynkowych, jeżeli w zapewnieniu robotnikom kulturalnych rozrywek pracodawca będzie szukał drogi do takiego nastawienia umysłowego robotnika, aby uznał swego pracodawcę za dobrodzieja.

Dostarczenie, ułatwienie robotnikowi i pracownikowi warunków należytego wypoczynku, bądź to jak w tym wypadku w formie Domu Wypoczynkowego bądź w innej formie, nie stanowi żadnego dobrodziejstwa, lecz jest zwykłym nakazem społecznym dla każdego pracodawcy.

Zresztą dążenie do uznania w sprawiedliwym pracodawcy swego dobrodziejstwa uniemożliwia a co najmniej ogromnie utrudnia jakiekolwiek dążenie do solidaryzmu, a w każdym razie je wypacza. Prawdziwy solidaryzm to zrozumienie wspólnego interesu i pragnienie dążenia do wspólnego celu, który powinien dać zadowolenie wszystkim. Współpracujący są i w dążeniu tym i w prawie do sprawiedliwego podziału owoców swej wspólnej pracy równi. Odczuwanie zaś rzeczy dokonanych w interesie robotnika jako dobrodziejstwa doznawanego, to uznanie swego podporządkowania, swej zależności, oczekiwanie dla siebie dobra już nie ze wspólnej pracy, lecz z powodzenia swego „dobrodziejstwa”. Jeśli robotnik dopomoże w powodzeniu pracodawcy-dobrodziejstwa, może liczyć na jego wdzięczność, otrzymać hojniej, otrzymać więcej. Lecz tu nie będzie już solidaryzmu a tylko okazanie pomocy w nadziei wygrania na tym. A jeśli dusza dobrodziejstwa się odmieni, gdzie będzie robotnik szukał sprawiedliwości?

Przypuśćmy jednak, że wszystko to, co się czyni dla podniesienia materialnego, zdrowotnego i moralnego robotnika lub pracownika, nie jest wynikiem nakazu społecznego, obowiązkiem ale tylko dobrodziejstwem. Czy i wówczas można mówić, że ci, którzy okazanie tego dobrodziejstwa spowodowali, są dobrodziejami z cudzej kieszeni, za cudze pieniądze? Chyba nie.

Co w przedsiębiorstwie należy do pracodawcy-przemysłowca? W szerokim znaczeniu kapitał wytwórczy, a więc nieruchomości, narzędzia, maszyny, gotówka obrotowa. Należy się też pracodawcy część dóbr wytworzonych przez współdziałanie tego kapitału z pracą robotnika, część sprawiedliwa, to znaczy odpowiadająca kapitałowi włożonemu, zasłudze pracodawcy w przedsiębiorstwie i potrzebom jego wynikającym ze stanowiska społecznego. To, co będzie je-

szcze zyskiem ponad to sprawiedliwe, powiedzmy, wynagrodzenie pracodawcy i część zysku z tytułu kapitału włożonego, nie powinno wcale stanowić wyłącznej własności pracodawcy, lecz staje się co najmniej współwłasnością pracodawcy i tego robotnika.

Koszty wszystkich wymaganych dziś od przemysłowca-pracodawcy dobrodziejstw nie pokrywa on wcale ze swego kapitału i sprawiedliwie należącego mu się zysku. Będzie on je pokrywał z wpływów skalkulowanych w cenie dóbr wytworzonych, z nadwyżki ponad własny zysk sprawiedliwy, również w cenie przewidzianej. Innymi słowy pracodawca na te dobrodziejstwa od niego wymagane normalnie nie będziełożył nic ze swego własnego grosza. Będzie to ta społeczna część zysku.

A więc ten, który w ten lub inny sposób zmusił pracodawcę do należytego zużytkowania tej części wpływu, nie czyni wcale dobrodziejstwa za cudze pieniądze. Byłoby dobrze gdyby istniał właśnie solidaryzm, który pozwoliłby pracodawcy i robotnikowi zgodnie rozrządzić tym zyskiem, ale dopóki tego solidaryzmu nie ma, dopóki nie ma ani u pracodawcy ani u robotnika należytego zrozumienia dla wzajemnych zobowiązań — musi być ktoś trzeci, który zagadnienie to możliwie obiektywnie rozwiąże. Nie zawsze się to udaje, nie tylko dlatego że samo zagadnienie jest trudne, ale bodaj przede wszystkim dlatego, że ogromnie trudno wśród ludzi o prawdziwy obiektywizm. W każdym razie nie może być mowy o rozporządzaniu się cudzymi pieniędzmi.

Czy pójdą za przykładem Saturna inne przedsiębiorstwa? Tak, jeżeli są rentowne i mogą sobie na to pozwolić.

O jakże duże możliwości kryją się w tych słowach dla uzasadnienia wstrzemięźliwości w myśleniu o potrzebach robotników-pracowników, o ich dobrobycie!

Rentowność przedsiębiorstwa — pojęcie tak rozciągle, zwłaszcza jeżeli zgodzimy się z tym, że zasadniczo rentowności nie można określać na podstawie jednego roku pracy. Jakże łatwo powiedzieć: nie mogę sobie na to pozwolić w imię utrzymania przedsiębiorstwa. Jakże łatwo na podstawie bilansu, suchych, formalnie zestawionych jego cyfr, udo-

wodnić, że przedsiębiorstwo nie jest rentowne. Słyszymy przecie nieraz, jak dla różnych emisyjnych kombinacji układa się bilans aktywny aby wykazać rentowność przedsiębiorstwa. A więc można na pewno zrobić i odwrotnie.

Należy przypuszczać, że pracodawcy tego robić nie będą, bo przecież chodzi nie tylko o fizyczny odpoczynek robotnika, „ale także i o wzmocnienie solidaryzmu pomiędzy pracodawcami i robotnikami, przekonanie tych ostatnich, że ich interes leży w dobrze prosperującym i rentownym przedsiębiorstwie”. Tak jest istotnie. Zużytkowanie zysku z rentownego przedsiębiorstwa na potrzeby robotnika może bardzo się przyczynić do solidaryzmu pomiędzy pracodawcą i robotnikiem, ale tylko z jednym małym zastrzeżeniem. Robotnik musi mieć tę pewność, że z owoców dobrze prosperującego wskutek jego wysiłku i nastawienia interesu będzie on również korzystał, że nie będzie to zależało tylko od dobrej woli, a może nawet fantazji pracodawcy, który będzie mógł chcieć lub nie chcieć wybudować dajmy na to, taki Dom Wypoczynkowy. Robotnik musi mieć tę pewność, że z owoców jego pracy nie wzbogaci się nadmiernie tylko pracodawca.

I jeszcze o jedno chodzić może przy budowie takich Domów Wypoczynkowych: o odgródkowanie robotników od agitacji wywrotowej podczas urlopu.

Nie ulega wątpliwości, że w zdrowym ciele zdrowa dusza, że w ciele zbolałym od głodu i nędzy, zgniebionym trudnymi warunkami życia i pracy łatwiej zamieszka dusza chora, podatna na wszelkie podszepty agitacji wywrotowej. Ale nie łudźmy się, że w duszy robotnika nastąpi przewrót po dwutygodniowym pobycie w Domu Wypoczynkowym, jeżeli poza tymi dwoma tygodniami będzie pracował w warunkach urągających wszelkim wymaganiom społecznym, pracował wyzyskiwany przez pracodawcę. Jeżeli zaprowadzane przez pracodawców urządzenia takie jak domy wypoczynkowe mają służyć tylko do celów samoobrony przemysłowców-pracodawców, a nie być wyrazem nastawienia pracodawcy do potrzeb pracownika, nastawienia, które znamienuje dążenie do solidaryzmu pracodawcy (zazwyczaj my

żądamy solidaryzmu tylko od robotników), w takim razie trudno mówić o głębszym znaczeniu takiej akcji. Będą to ładne, niewątpliwie, ale tylko pojedyncze karty z księgi współzycia pracodawcy i robotnika. Pracodawca i robotnik są skazani na współzycie. Wynika to z podkreślonej w encyklice *Quadragesimo anno* współzależności kapitału i pracy w wytwarzaniu dóbr. Nic nie znaczy kapitał bez pracy, ani praca bez kapitału. I dlatego kapitałnym zagadnieniem jest ułożenie współzycia pracodawcy i robotnika z pełnym uwzględnieniem wzajemnej współzależności.

Wreszcie ostatnia myśl o tych małych środkach, którymi można zrobić dużo dobrego.

Rzeczywiście, dobrze robić można małymi środkami. Ale wartość dobrego, które się ludziom robi, wartość wykonania dobrych nie mierzy się jedynie wysiłkiem materialnym w te wykonania włożonym, mierzy się przede wszystkim moralnym efektem jaki dają.

I dlatego bodźcem do czynu nie powinna być taka lub inna materialna możliwość wykonania, ale cel, który się zamierza osiągnąć. Ile to wielkich dzieł powstało jak się to mówi z niczego. Zwłaszcza w dziedzinie poczyniń społecznych byłoby zabójczym uzasadnienie: nie drogo kosztuje, więc mogę to zrobić.

Byłoby na przykład bardzo śmieszne, gdyby się dziś więcej przemysłowców chciało zabrać naraz do budowania domów wypoczynkowych dlatego, że to nie drogo kosztuje, wymaga małych środków (nie wiem czy tak jest istotnie), a może przyczynić się do włożenia na skronie przemysłowca laurów dobrodziejstwa stanu robotniczego. Jesteśmy w Polsce niezmiernie wrażliwi na modę, jesteśmy w wielu wypadkach snobami, to też taki pęd jest zupełnie możliwy.

Tymczasem do rozwiązywania zagadnień społecznych, spełniania wymagań wysuwanych przez życie w dziedzinie rozwiązania sprawy robotniczej, powinniśmy przystępować, odsuwając na razie na stronę kwestię materialną. Należy zrozumieć co trzeba w tej dziedzinie czynić, co nie jest łataniem sprawy dla efektu zewnętrznego, a prowadzi istotnie do jej rozwiązania — a potem dopiero zastanawiać się nad tym, skąd

i jakie środki znajdują się na wykonanie. Rozwiązanie zagadnienia robotniczego, to nie zadowolenie dziecka cukierkiem lub zabaweczką; rozwiązanie tego zagadnienia, to nie tylko kwestia spędzenia dwutygodniowego urlopu wypoczynkowego.

Dlatego też niebezpieczne jest kuszenie pracodawców-przemysłowców na małe koszty urządzenia domów wypoczynkowych. Niejeden będzie myślał, że dużo zrobił a tej pełnej wdzięczności i zrozumienia się nie doczeka. Bo trudno znaleźć zrozumienie, kiedy się samemu rzeczy należycie nie rozumie.

A teraz wnioski na tle tych krótkich rozważań. Wszelkie próby rozwiązania zagadnienia robotniczego, zagadnienia stosunku pracodawcy do robotnika i pracownika, rozwiązania, którym może być tylko zapewnienie panowania sprawiedliwości społecznej, wszelkie te próby będą bezowocne dopóki pracodawcy nie staną na stanowisku zrozumienia, że wszyscy — i oni i pracownicy — są w godności swojej ludzkiej równi i dopóki z tego stanowiska nie wyciągną praktycznych konsekwencji dla stosunku swojego do pracowników i robotników.

Równość w godności to znaczy, że robotnicy, jak i pracodawcy, mają swoje potrzeby umysłu i serca — intelektualne i moralne, potrzeby duchowe i fizyczne — kulturalne i materialne. Skala potrzeb może być różna, nawet wśród samych rzesz pracowniczych (robotnik w Anglii i w Polsce, robotnik fizyczny i pracownik umysłowy itd.), ale prawo do ich zaspokajania wszyscy posiadają jednakie.

Potrzeby robotnicze, w skali właściwej w danej chwili i środowisku, muszą znaleźć zaspokojenie w układzie stosunków pracodawczo-pracowniczych. W kalkulacji przemysłowca wynagrodzenie za pracę, wysokość zysku, świadczenia społeczne muszą być skoordynowane nie wyłącznie z interesem przemysłowca-przedsiębiorcy, dla którego praca najemnika mogłaby być tylko towarem, ale właśnie z tymi potrzebami robotnika w skali właściwej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że ta skala jest ruchoma, stale wzrasta, ale ten ruch odbywa się powoli i można jednak

do potrzeb tych zastosować pewne kryteria statystyczne, a poza tym trzymać rękę na tętnie życia społecznego i do jego rozwoju dostosowywać kryteria dynamiczne. Nie wyklucza to załamień, niedociągnięć w różnych miejscach i w pewnych chwilach; dochodzi ogólne nastawienie i poziom. Historia nas uczy, że pracodawcy przystosowywali się nieraz do zmienionych warunków, ale dlaczego to ma być osiąganе tylko w drodze walki i przymusu, a nie wynikać ze zrozumienia roli pracodawcy-właściciela kapitału, który musi być solidarny z robotnikiem-właścicielem pracy?

Solidaryzm ten jest konieczny, ale zrozumienie potrzeby jego, musi poprzedzić, poza należytym ustosunkowaniem się do robotnika jako człowieka, należyte zrozumienie charakteru własności, pracy, zysku i płacy. Jak to już zaznaczyłem, należy zrozumieć i rozróżniać ich charakter indywidualny i społeczny.

Prawdziwy solidaryzm wymaga zrozumienia, że obok swego interesu istnieje czyjś drugi interes ale ponad nimi istnieje jeszcze interes wspólny, społeczny. Rozwiązanie zagadnienia robotniczego w drodze walki klas ma się opierać tylko na uzgodnieniu dwóch indywidualnych interesów, a zapoznaje zupełnie czynnik trzeci, interes wspólny społeczny (narodowy, państwowy). W tym interesie społecznym nie może ginać interes indywidualny, nazwijmy go po imieniu — egoistyczny. Bo tak jak myśl o własnej płynącej stąd korzyści nie ujmuje nic wartości pracy nad swoim udoskonaleniem, tak też troska o pracodawców i robotników, powiedzmy o ogólny społeczny dobrobyt nie traci nic na swoim charakterze sprawiedliwego solidaryzmu, ponieważ istnieje jednocześnie świadomość połączonego z tym własnego dobrobytu.

Konsekwencją jednak prawdziwego solidaryzmu jest bezwzględna współzależność interesów pracodawców i pracowników, przemysłowców i robotników, z tytułu społecznego charakteru zagadnienia. Dlatego też nie można go załatwiać dorywczo, przez rzucanie tak jakby ochłapów z tego, co z zysków pozostaje, dając tylko to, na co wystarczą małe środki. Tak jak wszelkie inwestycje w maszynach mają dawać zyski od zaraz, ale ciężar ich ko-

sztów rozłożony będzie często na wiele lat, tak też wszystkie nakłady czynione w imię wymagań wynikających z solidaryzmu będą w skutkach swoich błogosławione od zaraz, mogą jednak być rozłożone na wiele lat, wynosić nie mało i środki na nie znaleźć trzeba.

Jeżeli ogół przemysłowców-pracodawców to zrozumie i wedle tego zrozumienia zacznie postępować — domy wypoczynkowe, jak ten w Kamienicy, przestaną być wydarzeniami epokowymi, przestaną grać rolę bastionów samoobrony pracodawczej i nie trzeba będzie broni tej używać przeciw „wielkiej obludzie“ tych, którzy jednak tak jak trzeba zagadnienie pracownicze rozumieją i dla niego coś robią, nie mogąc niestety jednocześnie znaleźć uznania dla stanowiska przemysłowców-pracodawców.

Kazimierz Kiersnowski.

„Sanacja“, konsolidacja i chłopi.

Między sesjami.

Najświeższy okres smutnych dotąd dziejów polskiej „konsolidacji“ otworzyła w końcu kwietnia katowicka mowa wicepremiera Kwiatkowskiego.

Był to gorący apel na rzecz zjednoczenia narodowego. Pan minister silnie podkreślił niebezpieczne położenie kraju między dwu totalizmami, uzbrojonymi po zęby i gotującymi się do gigantycznej orężnej rozprawy między sobą. Stwierdził, że na tym miejscu Europy, które nosi obecnie nazwę „Polska“ może istnieć w mocy i całości tylko organizm jednolity, prężny, twórczy, zdolny przystosować wysiłki wewnętrzne do naporów idących od zewnątrz. Zlekceważenie tej konieczności to groźba, że odbudowany kosztem tylu ofiar i krwi organizm państwowy nie wytrzyma ponownej wielkiej burzy dziejowej, że zanim ona wybuchnie może zacząć zjadać się i rozkruszać sam, mocą własnego fermentu.

Najważniejszym zadaniem, wobec którego ustąpić winny wszelkie doktryny i dążenia partykularne, jest wzmocnić potencjał obronny państwa przez szybki rozwój gospodarstwa narodowego, oraz naprawę wadliwej jego struktury. Nie sposób zaś skutecznie zadanie to przeprowadzić w atmosferze nieustającej waśni. Osiągnięcia gospodarcze zamierzane na rok 1939 w wielkiej mierze są zależne od postępów konsolidacji politycznej w r. bieżącym. Należy ją przeprowadzić za wszelką cenę, a jeśli nie chce się tego czynić pod biczem totalizmu, to trzeba dobrowolnie nałożyć na siebie pewne więzy, ograniczyć indywidualizm poglądów, party-

kularyzm interesów i rozbieżność dążeń na rzecz wyższego od nich wszystkich celu, jakim jest potęga państwa. Zjednoczenie i współdziałanie pod tym hasłem ugrupowań politycznych prawych i lewych, prorządowych i opozycyjnych poprze rozbudowę gospodarczą; a wtedy znajdzie swój wyraz także w politycznych reformach, z ordynacją wyborczą do samorządów i parlamentu na czele.

Tak mniej więcej wygląda przewodnia myśl mowy katowickiej. Wywarła ona w opinii publicznej silne wrażenie. Oceniono ją jako zapowiedź „zmiany kursu” w zakresie metod konsolidacyjnych, jako rezygnację z daremnego zwoływania społeczeństwa pod chorągiew O z o n u, jako decyzję bezpośredniej ugody z partiami, zmiany ordynacji wyborczej do samorządów i parlamentu, oraz przyspieszenia nowych wyborów. Dopuszczano nawet „szaloną” myśl radykalizacji polityki gospodarczej, co wszystko znalazło swój wyraz w sensacyjnej pogłosce, jakoby miała nastąpić rekonstrukcja rządu, jakoby katowicki mówca miał odstąpić tekę skarbu komu innemu, sam zaś miał ująć w swe ręce kierownictwo konsolidacją jako premier i minister spraw wewnętrznych.

Te daleko idące oczekiwania spowodowane zostały po części gorącym tonem mowy, przede wszystkim zaś sympatyczną osobą mówcy, oraz okolicznościami, które towarzyszyły jego wystąpieniu. Wszak na temat polityki wewnętrznej przemówił minister skarbu, wicepremier a zarazem bliski przyjaciel Głowy Państwa, i to po tygodniu świątecznym spędzonym w Spale. Treść jednak mowy, którą w Katowicach wypowiedział p. wicepremier nie usprawiedliwiała tak daleko sięgających nadziei. W porządku bowiem zmian wyraźnie wysuwała na pierwsze miejsce konsolidację, a dopiero na drugie — ordynację, może nie bez pewnej analogii z zasadą, której hołdował przedwojenny rząd rosyjski: „naprzód uspokojenie, a potem reformy”. Ówczesne społeczeństwo rosyjskie zasadzie tej nie ufało, przewidując, że gdy się uspokoi, to usłyszy, iż reformy niepotrzebne, albo otrzyma mizerny ich ochłap dla zatkania ust; żądało więc naprzód reform, które by je uspokoiły. Ponieważ opinia polska mowę katowicką najwidoczniej źle

zrozumiała (bo nie jako wezwanie pod swoim adresem, lecz jako zapowiedź zwrotu ze strony rządu), przeto po kilku dniach, p. wicepremier nie omieszkał naprowadzić jej na właściwy tor. W wywiadzie z płk. Miedzińskim oświadczył, iż żadnych „krótkofalowych“ a konkretnych zamierzeń nie miał na myśli i w Katowicach nie ujawnił.

Sytuacja wyjaśniła się więc szybko w sensie *status quo* dotychczasowej polityki wewnętrznej państwa. Zilustrował ją zresztą wymownie równoległy i dalszy rozwój wypadków. Mowa katowicka zwracała się rozgłosnie do całego społeczeństwa, ale miała również swój adres bliższy, do rządzącego obozu legionowego i Ozonu. Wygłoszona została w chwili, gdy obóz ten, a w szczególności jego Ozonowa ekspozytura konsolidacyjna, wkroczyła w stadium tak niebywałego napięcia wewnętrznych niesnasek, że poczęła zagrażać rozłamem. Temu przede wszystkim nieszczęściu pragnął zapewne zapobiec p. wicepremier gorącym apelem w Katowicach. Celu jednak nie osiągnął. Zapoczątkowany przez kierownictwo Ozonu „na lewo zwrot“, który się stał punktem wyjścia wzmożonego wewnętrznego fermentu, wyładował się ostatecznie w dość gromadnej secesji żywiołów nacjonalistycznych, oraz w próbach utworzenia przez nie odrębnych ugrupowań politycznych, nawet w parlamencie.

Ozonowy ośrodek konsolidacyjny uległ więc sam częściowej dekompozycji. Gdy później na radzie naczelnej Ozonu, z wysokich ust uzasadniano ozonowe niepowodzenie w społeczeństwie, jego swarliwością, gderliwością, interesownością i wiecznym pieniacstwem, to nie bez słuszności jedno z pism podniosło w odpowiedzi, iż działacze ozonowi odznaczają się takimi samymi cechami jak i społeczeństwo. Jak więc takie kłótlive środowisko może zachęcać do „zjednoczenia narodowego“?

Czy mowa katowicka skuteczniej zdołała doń zachęcić szeroki ogół niżli własny obóz? W każdym razie nie bezpośrednio i nie decydująco. Jeśli, być może, zanosì się w tym względzie na coś pozytywniejszego niżli dotąd, to ani od strony Ozonu, ani też hasła konsolidacji wyprzedzającej „reformy“. Silniejszy od tego hasła wpływ konsolidacyjny zdolne są wyrzucić tylko te zarodki realnych zmian, w ukła-

dzie sił społecznych, które życie nieubłagane włacza w państwowy program polityki wewnętrznej. Konsolidacja żadną miarą nie zdoła wyprzedzić ordynacji do samorządów, a poważniej rozwinąć by się mogła zapewne dopiero po reformie wyborczej parlamentarnej. Ta jednak z kolei może się okazać nie końcem, lecz punktem wyjścia jeszcze głębszych przeobrażeń tak politycznych jak ustrojowych.

Ewolucja poczyniła w Ozonie i kołach rządzących posuwała się też raczej po tej właśnie linii, bardziej „krótkofalowej“ i konkretniejszej niżli katowickie intencje p. wicepremiera. Na pierwsze miejsce wysunęły się projekty nowych ustaw samorządowych i wyborczych dla gmin wiejskich, miast mniejszych i sześciu miast wielkich. Nadzwyczajna sesja parlamentarna, zwołana została głównie celem ich uchwalenia. Projekty te są wprowadzić powściągliwe i ostrożne, jednak odstępują bądź co bądź od dotychczasowych zasad totalnej przewagi obozu rządzącego nad samorządem. Mają więc pewne dane na to, że gdy wejdą w życie, mogą zapoczątkować nowy etap nie tyle konsolidacji, co ewolucji. Wypełniłaby go zapewne walka o dalsze rozszerzenie „dopustu“ społeczeństwa do władzy ustrojowej, zwłaszcza w związku z reformą wyborczą do izb prawodawczych.

Zwolna i dyskretnie reżim zdaje się do niej gotować. Po silnym wstrząsie, przez który przeszedł Obóz Zjednoczenia Narodowego, dała się wyczuć jakby pewna reakcja wobec poprzedniego „zwrotu na lewo“, który ten wstrząs wywołał. Ożywił swą działalność na ozonowym gruncie płk Miedziński, wdrożył „węgierski kurs“, oraz antysemickie uchwały rady naczelnej. Samorządowe ordynacje wyborcze też idą na rękę nie tyle lewicy, ile żywiołom centrowym, po części ludowcom. Przed nadzwyczajną sesją sejmową żywo zainteresowały opinię pojednawcze kontakty zamku z ludowcami, oraz jakby zdążający ku odprężeniu stosunek władz do chłopskiego „przeglądu sił“ na Zielone Świątki. Zezwolono nań i powiódł się, aczkolwiek przy konfiskacie zaprojektowanych rezolucyj i ograniczeniu zebrań do rozmiarów powiatowych. Prezes Rataj odwzajemnił się za to mieszaną, ale bądź co bądź dosyć „propaństwową“ enuncja-

cją. W zgodzie zresztą z tą linią pozostaje nominacja na opróżnione krzesło senatorskie nie szefa Ozonu, jak się spodziewano, lecz prof. Bartla. Nadawałby się on zapewne jako rezerwowowy kandydat na premiera, gdyby chodziło o parlamentarną reformę wyborczą, a nawet radykalniejszą politykę gospodarczą.

Poturbowany autorytet.

Sytuacja wygląda zatem tak, jakby się zanosilo na stopniowe dopuszczenie do władzy w państwie innych czynników niżli sam tylko obóz legionowy i w odmiennym sensie, niżli do tego zmierzała konsolidacja ozonowa. Wzywała ona społeczeństwo, by się zaparło dzielących je różnic, skupiło i oddało do dyspozycji rządzącego legionowego autorytetu. Zmiana ustaw wyborczych, zwłaszcza parlamentarnej, oznacza coś odmiennego, dopuszcza do współdecyzji w prawodawstwie pozalegionowe grupy społeczne. Stąd wiedzie droga bliższa lub dalsza, do ich współudziału również w rządach. Rozpoczęłoby się zatem ograniczenie władzy monopartyjnej, dotąd niepodzielnej. Jakim sposobem do takiej możliwości doszło i jakie są widoki dalszej ewolucji?

Rządy marszałka Piłsudskiego nie były totalne, gdyż nie zniosły swobody prasy i zrzeszeń partyjnych. Były jednak wyraźnie monopartyjne i autorytatywne. Opierały się na mocnym fundamencie potężnej indywidualności Wodza. O tyle też były podobne i o tyle odmiennie od rządów Mussoliniego i Hitlera, o ile innym od nich człowiekiem był Piłsudski i o ile dyktatorem być nie chciał. Czując zbliżający się zgon, Marszałek postanowił ten umiarkowanie autorytatywny charakter swych rządów przekazać w trwałym dziedzictwie państwu. Formalnie uczynił to za pomocą nowej konstytucji, faktycznie za pomocą stanu posiadania władzy, którą przelał na obóz legionowy.

Intencją obozu było dziedzictwo to podjąć i władzę niepodzielnie nadal sprawować. Wyrazem tej intencji stały się ustawy samorządowe a zwłaszcza sławkowska, parlamentarna ordynacja wyborcza. Sprawować jednak monopartyjne wództwo nad krajem jest to zadanie, którego nikt nigdzie

dotąd nie wykonał bez potężnej indywidualności kierowniczej. Co gorsza istnieje jeszcze inny *sine qua non* warunek trwałości rządów autorytatywnych, jak zresztą i wszelkich innych. To powodzenie. Wszelki rząd i wszelki ustrój ma zapewnioną trwałość tylko o tyle, o ile zdolny jest zapewnić gospodarcze i polityczne minimum egzystencji ludowi i państwu. Gdy tak nie jest, wówczas nieubłagana natura rzeczy wtrąca kraj w coraz cięższe zaburzenia, które z reguły wiedą albo do zmiany rządu i ustroju, albo też rozsadzają i niszczą państwo. Naprawdę autorytatywnym, chętnie słuchanym i szczerze popieranym przez społeczeństwo bywa zawsze tylko taki rząd i ustrój, który należycie spełnia swoje doniosłe dla rządzonych zadania. Im one są trudniejsze, ale mimo to opanowywane, tym bardziej rośnie siła i powaga rządu. Zarówno Mussolini jak Hitler dlatego są w swych państwach nieograniczonymi władcami, ponieważ dotąd imponują rządzonym wynikami swej działalności. Na odwrót zaś chwieje się demokracja we Francji i zagrożony jest stalinowski ultra-totalizm w Rosji, ponieważ niedostatecznie panują nad wewnętrznymi i zewnętrznymi niebezpieczeństwami, które się spiętrzyły dookoła ich państw.

Nad Polską niebezpieczeństwa piętrzyć się poczęły również coraz groźniej jeszcze za ostatnich lat życia Marszałka. Wystąpiły w postaci wielkiego kryzysu gospodarczego, oraz uwydatnionej przezeń zasadniczej wadliwości budowy społecznej. Po zgonie Wodza, gdy reżim zajął nową, wybitnie autorytatywną pozycję wewnętrzną, w nowej konstytucji i ordynacji, wzrosły równocześnie niebezpieczeństwa społeczno-ekonomiczne, koncentrujące się w deficytowym budżecie i nędzy wsi. Nie był to tylko kryzys „krótkofalowy”, lecz polska odmiana głębokiego przełomu ustrojowego, w obliczu którego stanął cały świat kapitalizmu. Grozie tego kosmicznego zjawiska reżim nie umiał przeciwstawić nic prócz ślepej wiary w nienaruszalność zasad gospodarczego liberalizmu. Na nich, jak na fundamencie oparł cały swój program ratowania kraju — z podręcznikiem ekonomiki w ręku.

Powodzenie, które tą metodą osiągnął okazało się najzupełniej niewspółmierne z coraz szybciej narastającymi za-

grożeniami; w końcu nie tylko ekonomicznymi, lecz wprost międzynarodowymi i wojennymi. Nie mogło być inaczej wobec uporczywego niezrozumienia istoty niebezpieczeństw, oraz lekkiego konserwatyzmu stosowanych przeciwko nim środków. To niepowodzenie stanowi zasadniczą słabość pozycji reżimu w kraju. Ponadto posiada ona jeszcze ważną przyczynę dodatkową, również wynikającą z liberalnego programu polityki gospodarczej, który stał się tragedią tak dla kraju, jak dla rządzącego autorytetu. Przyczyny tej dostarczył niezbity pewnik historyczny, że określonym formom ustrojowym gospodarki odpowiadają zawsze określone formy ustroju politycznego. W szczególności gospodarka liberalna rozwijać się może tylko przy parlamentaryzmie, nigdy zaś w ustroju autorytatywnym.

Tutaj więc reżim popadł w jaskrawe *contradictio in adiecto*, które go musiało zapędzić w impas. Nie można oczekiwać od społeczeństwa, by ono wykazało żywiołowe napięcie prywatnej inicjatywy gospodarczej, pędzone żądzą zysku i przedsiębiorczością, z których rodzi się kapitalizm, politycznie zaś pozwalało się „trzymać za buzię”, lub choćby delikatniej wodzić za nos. Te rzeczy nie są w psychice ludzkiej do pogodzenia, nigdy też i nigdzie się nie godziły. Skoro więc rząd autorytatywny postanowił systematycznie hodować w zacofanym kraju kapitalizm, pomimo jego rozpadania się na Zachodzie, to tym samym musiał wejść na drogę liberalizacji ustrojowej, pomimo, że gdzie indziej parlamenty są ujarzmiane przez dyktatury. Kapitalizm bowiem to liberalizm, liberalizm to demokracja, demokracja zaś nie znosi nad sobą żadnego autorytetu. Jej istotą jest nieustająca walka grup społecznych między sobą o to, by jak największy ochłap władzy wydrzeć współzawodnikom i przeciągnąć na swoją stronę. Nie ma więc w tym nic dziwnego, owszem jest to logiczne i nieuniknione, że liberalnym metodom walki z kryzysem towarzyszyło w Polsce ożywienie wielopartyjnictwa i zażartej wśród niego, a zwłaszcza między nim a reżimem, walki o władzę.

Wyraziście rysowały się ostatnimi laty poszczególne fazy tego procesu liberalizacji. Gdyby premier Sławek, wykazawszy silną rękę przy wprowadzeniu nowej Konstytucji,

oraz ordynacji wyborczej, pokrewnej zresztą korporacjonizmowi, rozporządzał niemniej autorytatywnym planem polityki gospodarczej, zdolnym sprostać zadaniom koniecznej tutaj przebudowy — to ewolucja reżimu i ustroju mogła się była rozwinąć inaczej niż rozwinęła się w rzeczywistości. Moglibyśmy znajdować się już w pełnym biegu do organicznego korporacjonizmu. On by zaś na pewno wyprowadził kraj z matni, wpędzając w nią natomiast importowane doktryny marksistowskie i rasistowskie, potężną dynamiką realnych osiągnięć, podniósłby potencjał wojenny i umocnił państwo na zewnątrz, stanąłby zaś w poprzek reakcji demo-liberalnej i utrwalił autorytet władzy na wewnątrz.

Tymczasem, stało się wprost odwrotnie. Reżim nie rozumiał istoty położenia kraju, ani środków, jakich ono wymaga, nie stanął więc na wysokości zadań. Po latach dręczenia społeczeństwa i wyniszczania jego sił zapamiętała, tępą deflacją, przodując całemu światu... od końca, reżim struchlał przerażony wobec deficytu budżetowego r. 1935. Jak deski zbawienia chwycono się więc raz jeszcze „krzepiącego“ wzoru lavalowskiej deflacji, którą wówczas w obronie swych „wełnianych pończoch“, zastosowała ultra-kapitalistyczna i liberalna Francja. Polska wprawdzie z reguły posiada pończochy zbyt dziurawe, ażeby w nich oszczędności nagromadzić mogła. Niemniej jednak i w Polsce, politycznym liściem figowym dla hiperdeflacji Matuszewskiego mogła być tylko „kiereńszczyzna“ gabinetu Kościalskiego. Rejterując w nią z pozycji Sławka, pozwolił tym samym reżim stracić się z linii autorytetu już w kilka miesięcy po zgonie Wodza.

Następnej wiosny r. 1936 przysłała na szczęście w pomoc najjaśniejsza pani kapitalizmu, wszechwładna koniunktura światowa. Dźwignął się więc reżim, wzmocnił skoszlawioną linię Wielkiego Marszałka oparciem o jego następcę w armii, a pokrzepiwszy się kredytem z Francji, ogłosił w 1937 roku swój „wielki plan“ gospodarczy i ufundował O z o n. Lecz znów, jeżeli ta nowa linia była bardziej zgodna z wielkomarszałkowską spuścizną polityczną, to jej równoleżnik ekonomiczny nastawiony został po dwakroć błędnie: raz dlatego, że rozstrzygające dzieło dynamizacji gospodar-

czej związano nie z przebudową społeczną, lecz z budową kapitalizmu, biorąc w ten sposób tempo ślimacze zamiast szturmowego; po wtóre zaś dlatego, że usiłując forsować budowę kapitalizmu musiano mu dostarczyć liberalnego tchu politycznego, który prowokuje reakcję parlamentarną.

Spróbowano więc dostarczyć tego tchu w Ozone, tej specyficznej mieszance gazów społecznych, gdzie azot uległości wobec autorytetu miał wejść w związek z tlenem, indywidualistycznej dynamiki kapitało-twórczej. To łączenie wody z ogniem okazało się alchemią zbyt fantastyczną. Nie dziw, że się Ozonowi nie powiodło, tym bardziej, że ekonomicznie „odbijano od dna”, gdy dach nad głową się palił. W miarę niepowodzeń rosło zdenerwowanie rządzącego środowiska. Przy nazbyt skromnych postępach „wielkiego planu” Ozon począł gorączkowo szamotać się między prądami, rozdzierającymi społeczeństwo, w nadziei, że któryś z nich na swój użytek zahaczy. Zahaczył się tylko, rozszamotał i rozdarł sam. Odżyła atmosfera kiereńszczyzny i znów podupadł sponiewierany autorytet. Znekane gospodarczym kalectwem społeczeństwo ujrzało przed sobą obnażoną niemoc ideo-twórczą reżimu poza obrębem wyświechtanych doktryn, oraz niemoc czynu na miarę potrzeb poza wyżłobionymi koleinami. Rozbiegane między antysemityzmem a liberalizmem „wództwo” znalazło się na tak kompromitującym dlań poziomie, że jak lew wystąpić musiał w jego obronie w Katowicach sam twórca Copu. Ale nieubłagana rzeczywistość zwróciła główny nurt wydarzeń przede wszystkim do reform wyborczych i do zbliżeń ku P. S. L.

Na krótkiej i długiej fali.

Jest to droga obecnie najbardziej realna. Droga układów o podział władzy pomiędzy siłami czynnymi w społeczeństwie, z których żadna nie okazała się zdolną do stańcowego podporządkowania sobie innych. Sił takich jest szereg, rozmaitej natury i zasięgu. Siłą jest reżim, dysponujący władzą państwa; siłą — P. S. L. jako reprezentacja największej liczby najbardziej przez niedorozwój narodowego gospodar-

stwa zagrożonych obywateli; siłą — Lewiatan, jako reprezentant kapitału wytwórczego, oraz inspirator budowy kapitalizmu w Polsce; siłą — P. P. S. jako przedstawicielka „świata pracy”, jego walki klasowej; siłą też — S. N. jako przedstawicielstwo prądu narodowego, w swych mniejszych ale rwących strumykach rasistowsko-totalizującego.

Reżim mógłby nad tymi siłami zapanować i poddać je sobie jedynie wówczas, gdyby je społecznie zdystansował ideą lepiej odpowiadającą zadaniom rzeczywistości oraz czynem skuteczniej zdolnym te zadania rozwiązać. Jeśli zdolności tej nie wykazał, to zasadniczo nie ma przed sobą innych dróg, jak tylko manowce policyjnego absolutyzmu (który jednak ani konsolidacji, ani potencjału wojennego nie wytworzy) albo ustępstw w kierunku podziału władzy i odpowiedzialności za państwo. Totalizm o którym wspomiano w Katowicach jest dla obozu rządzącego niedostępny, gdyż wymagałby jego rozłamu i fuzji prawicy legionowej z S. N. przeciwko lewicy legionowej i opozycyjnej.

Reformy samorządowe i próby pojednawcze z P. S. L. odchylają się od dotychczasowej taktyki Ozone po raz pierwszy w kierunku ustępstw. Jakież się na tej nowej drodze zarysowują perspektywy „krótko i długofalowe”?

Na najbliższym planie raczej spokojnie. Przed sesją parlamentarną postarano się wytworzyć nastrój możliwie odprężeniowy. Pan Prezydent Rzplitej mógł wobec tego wyruszyć na urlop do Abazji, skąd zresztą może w razie potrzeby, w parę godzin powrócić samolotem, który stale mieć będzie do swej dyspozycji. Samą sesję nadzwyczajną przygotowano bardzo starannie i celowo. Program prac, przy krótkotrwałości obrad, naładowany został tak obfitym materiałem, że na gruntowniejszą debatę nad samorządem nie starczy przypuszczalnie czasu. Zapewnia to maksimum prawdopodobieństwa, iż ustawy samorządowe zostaną uchwalone gładko i cicho bez żenującego rozgwaru. Wobec tego, jak pisze jeden z dzienników, optymizm sfer miarodajnych co do spokojnych wakacji, sięgnął aż tak daleko, że ich zdaniem może nawet uda się uniknąć nowego strajku chłopskiego. Ze stanowiska konsolidacji nadzieja o tyle znamienna, że raczej zbyt skromna.

Mimo to, nawet i w tych rozmiarach niezupełnie zdaje się ona być uzasadnioną, raz dlatego, że ceny rolne spadły, a po wtóre, że ze strony ludowcowej odzywają się poważne głosy krytyczne, które reformę ordynacji samorządowej oceniają jako niedostateczną. Istotnie została ona skonstruowana nie bez myśli osłabienia wpływu partyj przy wyborach na rzecz politycznie niezorganizowanej części społeczeństwa. Ludowcom bezpośrednio możeby to mniej szkodziło, gdyż są liczebnie i organizacyjnie silni, ale ograniczenie proporcjonalności wyborczej godzi silnie w PPS. Głosy tedy ludowcowe, które się o nią upominają, przywiązują widocznie wagę do tego właśnie sprzymierzeńca. Jest to zresztą zrozumiałe, skoro sam p. Rataj stwierdził, że chłopom chodzi więcej o polityczny dostęp do władzy w państwie, niżli o koncesje gospodarcze, bo w „łatanie sytuacji plasterkami gospodarczymi” nie wierzą.

Na krótkiej, a nawet średniej „fali” rząd może wprowadzić liczyć na pewne atuty gospodarcze. Tutaj należy przede wszystkim fakt, że polska poprawa gospodarcza nie ustaje, pomimo, iż na Zachodzie koniunktura znów poczęła kapryścić, a nawet przechodzi w recydywę kryzysu. Polski to na razie nie dotknęło po części dlatego, iż rzeczywiście „wielki plan gospodarczy” posiada pewien zasięg względnie samoistny, niezależny bezpośrednio od światowej koniunktury, aczkolwiek katastrofalnie skromny. Po wtóre zaś doświadczenie uczy, iż wpływ koniunktury światowej dosięga Polskę zawsze z pewnym opóźnieniem, obecny więc nawrót kryzysu na Zachodzie jeszcze do nas nie dotarł. Ponadto liczyć można i na inne jeszcze, krótko i średnio-falowe atuty jak nowa rata pożyczki francuskiej, która podobno już wpłynęła, oraz układy handlowe z Czechami i spodziewane ożywienie tranzytu z Czech do Gdyni.

Wszystkie te okoliczności, dodatnie i ujemne, wytworzą w bliskiej perspektywie sytuację niepewną i niejasną, dobrą tylko o tyle, o ile nie przestaje „odbijać od dna”. Odbić od niego sprężyskiej, wyżej i trwalej mogłaby jedynie wówczas, gdyby na arenie międzynarodowej doszło do kilkoletniej choćby pacyfikacji, oraz ostatniej próby ratowania światowej gospodarki kapitalistycznej metodą van Zeelanda.

Wtedy i my moglibyśmy na tym zyskać, a kapitalizm polski możeby nie tylko nareszcie odbił od dna, lecz zaczął podpływać do minimum egzystencji ludu, narodu i państwa. Inna rzecz, że mógłby się tam osadzić na dobre jedynie w tym wypadku, gdyby światowy rozejm przeobraził się w trwałe odrodzenie kapitalizmu na całym globie i zapewnił człowieczeństwu nową dobę rozkwitu w demo-liberalnym stylu XIX stulecia.

To są jednak najczystsze „długofalowe” fantazje, aczkolwiek bliskie sercom nowojorskich bankierów, francuskich radykałów, polskiego Lewiatana i legionowego reżimu. Ten sam stopień prawdopodobieństwa przyznać należy teoretycznej możliwości, że w razie gdyby kapitalizm odrodził się, to w Polsce mógłby się pogodzić z półautorytatywnym ustrojem politycznym, na podobieństwo przedwojennych monarchicznych Niemiec, albo dzisiejszej Japonii. Nie wiele realniejszą jest nawet „średniofalowa” perspektywa van Zee-landowego rozejmu, chociaż dążą doń mocarstwa zachodnie i chociaż w Polsce on jedynie mógłby zapewnić obecnej polityce gospodarczej to minimum sukcesu, bez którego nie może być mowy o minimum obronności państwa, egzystencji ludu i konsolidacji w stosunku społeczeństwa do władzy. Nawet bowiem gdyby rozejm nastąpił, to borykać mu się przyjdzie z tak ogromnymi trudnościami i oporem gospodarstw kapitalistycznych, że może trwać krócej i przynieść skromniejsze owoce od oczekiwanych. Ponadto w obecnym położeniu międzynarodowym tylko co wyszliśmy z bezpośredniego niebezpieczeństwa wojny z powodu Czech i stoimy wobec nowych na tym tle knowań. Gdyby się one powiodły, to nawet bez wojny wtrąciłyby nasz kraj w taką zależność od Niemiec, że kapitalizm istotnie zyskałby wówczas lepsze szanse rozwoju, ale byłby to już wówczas kapitalizm więcej niemiecki niż polski.

Stawka na kapitalizm.

Przyszłość bliska zarysowuje się więc niejasno i niepewnie, przyszłość dalsza — zdecydowanie antykapitalistycznie. Wyraziście również rysuje się tragiczna teraźniejszość polska. Reżim po zgonie swego Wodza, w obliczu przełomu

w dziejach świata i na rozstajnych drogach losów Polski, proklamował swą stawkę na kapitalizm. Oznacza to negację przełomu w skali światowej, oraz wolę dźwignięcia polskiego gospodarstwa przez zajęcie pozycji, z których i inni już schodzą i które są dla nas — o własnych siłach — niedostępne. O z o n wzywa społeczeństwo, by na tę drogę wkroczyło z rozmachem — pełnym uległości dla reżimu; ażeby wzniosło gmach polskiego kapitalizmu — bez walki klas, a polską demokrację zbudowało bez walki partyj. To zostało nazwane konsolidacją! W zetknięciu z polską rzeczywistością hasła te przyskają jak złudne sny. Społeczeństwo polskie jest do szpiku kości zliberalizowane, ale nie idealnie tylko realnie, na wzór demokracji zachodnich. Zgodnie z tym wzorem nie znosi ono za długo autorytetu i zawzięcie gryzie się między sobą o kości zysków, posad i dochodów, o korzyści zbiorowe grup społecznych, o strzępy ideałów w doktrynach, a przede wszystkim o władzę, gdyż ona najskuteczniej prowadzi do celów poszczególnych. Solidaryzuje się to demokratyczne społeczeństwo tylko wobec tego, kto już władzę porwał i od niego uniezależnił, bo wtedy staje się wspólnym „wrogiem zewnętrznym”.

Te dwa żywioły, autorytetu i demokracji ścierają się w Polsce już od dawna, lecz dopiero w latach ostatnich na nowej płaszczyźnie — konsolidacyjnej. Gdyby ich walka miała rozstrzygnąć tylko o tym kto ma rządzić, to jej wynik miałby, ze stanowiska polskiej racji stanu, znaczenie raczej podrzędne. Tak bywa w demokracjach, gdy jedna partia przegłosuje inne na wyborach i na parę miesięcy, wyjątkowo lat, uformuje gabinet. Ważniejsza sprawa wchodzi w grę, gdy partie demokratyczne łączą się we wspólny „ludowy”, czy inny front, przeciwko grupie społecznej niedemokratycznej, która chce zdobyć lub już zdobyła władzę państwową jako swój trwały przywilej. Wtedy przedmiotem walki staje się już nie tylko sama władza, lecz ustrój: demokratyczny, w którym władza jest łatwo dostępna i stanowi przedmiot powszechnego współzawodnictwa, lub autorytatywny, w którym władza stanowi przywilej rządzącej mniejszości, jest trudno dostępna i mało podlega współzawodnictwu.

W Polsce przez czas długi, toczyła się walka tego drugiego typu, walka opozycji z „sanacją“ o powrót do pełnej demokracji i nieskrępowanego parlamentaryzmu, by nie powiedzieć sejmowładztwa, w którym by dopiero skutecznie można wszcząć walkę o władzę. Jedna i druga, walka o ustroj i walka o władzę, są zjawiskami pod pewnym względem ujemnymi, pochłaniają bowiem energię społeczną i osłabiają państwo. W polskich warunkach, wysokiego zagrożenia politycznego z zewnątrz a gospodarczego z wewnątrz, niezwykłą doniosłość posiada zagadnienie ustroju: demokratycznego, który siły rozprasza i osłabia, lub autorytatywnego, który je skupia i zwraca w jednym kierunku. Stanom niebezpiecznym, wymagającym skoncentrowanego wysiłku bezwzględnie lepiej odpowiada ustroj autorytatywny, o ile umie wysiłek ten wprowadzić na właściwy tor.

W ostatnich latach w Polsce opinia publiczna uległa niewątpliwie pewnemu ożywieniu na punkcie tęsknot za sejmowładztwem. Opowiadają się za nim obecnie już tylko niezbyt silne liczebnie „kluby demokratyczne“ oraz „stronnictwa pracy“ spośród inteligencji, a także DPS i lewicująca część PSL. Na ogół przeważają w społeczeństwie raczej prądy przychylne zasadzie autorytetu, a nie brak nawet prądów totalizujących. Jednak proporcja sił nie jest na tyle wyrazista, ażeby w razie przywrócenia powszechnego głosowania do izb ustawodawczych i przesunięcia do nich punktu ciężkości władzy państwowej, nie zachodziło prawdopodobieństwo reakcji parlamentarnej *usque ad finem*.

Głosowanie powszechne jest kamieniem węgielnym parlamentaryzmu i wyzwala go niemal automatycznie. W swej postaci zachowawczej, czteroprzymiotnikowej (powszechne, tajne, równe i bezpośrednie) odpowiada ono parlamentaryzmowi zachowawczemu typu angielskiego, lub przedwojennych Niemiec. W postaci zaś zradykalizowanej do sześciu przymiotników (proporcjonalne i bez różnicy płci) głosowanie powszechne stanowiło podstawę powojennych parlamentarnych demokracji o skrajnym rozbiciu partyjnym. Parlamentaryzmowi umiarkowanemu odpowiada kapitalizm wczesny, indywidualistyczny i zdobywczy. Hiperdemokracji parlamentarnej czyli sejmowładztwu odpowiada kapitalizm

przekwitowy i zrzeszeniowy (koncerny, kartele, trusty); a także skrajne natężenie walki partyj i walki klas, ciężące do zamachów monopartyjnych. W Polsce, która przy całym swym bolesnym niedorozwoju ma za sobą już okres sejmowładztwa, jego recydywa byłaby tym prawdopodobniejsza im skuteczniej rozwijałby się równocześnie kapitalizm oraz nieodłączna odeń walka klas. Niemniejszym zresztą niebezpieczeństwem zagrażałoby państwu, gdybyśmy próbowali rozwiązać problemat jego ustroju w duchu autorytatywnym, lub pawet totalizującym, lecz w jednostronnym oparciu o tzw. prawicę lub lewicę, opozycyjną względnie prorządową. W tej bowiem supozycji uniknęłoby się wprowadzie sejmowładztwa, ale za to grupa rządząca musiałaby się rozpaść na dwa odłamy, lewy oraz prawy. Odłamy te, sfuzjonowane z odpowiednimi odłhami opozycji, stanęłyby jednak do walki z sobą na śmierć i życie.

Sesja, ordynacja i przyszłość.

Czyż więc z polskiego impasu nie ma żadnego wyjścia? Owszem wyjście istnieje, tylko się jeszcze nie wynurzyło dostatecznie z głębin tragedii społecznej na burzliwą powierzchnię zjawisk, nie przeniknęło dostatecznie do świadomości walczących między sobą o władzę grup, sił i prądów. To wyjście nie jest ani prawe, ani lewe, ani rasowe, ani klasowe, ani totalne, ani parlamentarne. Otwiera się powyżej poziomu wszystkich pojęć, dążeń i urządzeń pochodnych od libero-kapitalizmu. Jest syntetyczne i przełomowe, ustrojowo-korporacyjne, narodowo-katolickie. Droga doń prowadzi jedynie przez głęboką przebudowę społeczną pojętą tak, jak o tem już nieraz w *Przeglądzie* była mowa. Wymaga taka przebudowa nowych, odważnych i twórczych metod w walce z klęską nowej rzeczywistości materialnej. Wymaga niemniej przebudowy psychiki zbiorowej i przekształcenia panujących pojęć w duchu katolickiego poglądu na świat. W pierwszej z tych dziedzin staraliśmy się tutaj nieco przecierać zachwaszczony kapitalizmem i marksizmem teren. W drugiej bardzo dużo jeszcze pozostaje do zrobienia. Dlatego zapewne tak trudno wyzwo-

lić się nam spod mocy doktryn, które ignorują lub przeciwnie stawiają się przebudowie społecznej w duchu korporacjonizmu. Perspektywy to zatem jeszcze niestety odległe.

Jakież więc horoskopy pozwala na tym tle snuć obecne stadium naszego „konsolidacyjnego“ przesilenia? W chwili gdy piszę niniejszy artykuł, nadzwyczajna sesja parlamentarna jest już zaawansowana i przyniosła pewne objawy nowe. *Deus ex machina* to zgon marszałka Cara oraz następstwo po nim b. premiera, płk. Walerego Sławka. Komplikuje to jeszcze bardziej położenie obozu rządzącego, który po rozłamie na prawicę i lewicę w Ozone ujawnia teraz, w sławkowskim sejmie i jego nowym marszałku, wyraźną reakcję antyozonową, a pro-autorytatywną. Czy można liczyć, że ta reakcja zmierzać będzie do czegoś więcej, jak do powrotu ze swego punktu wyjścia z r. 1935, że odbudowę jednolitej władzy autorytatywnej poczytuje nie za cel, lecz za środki do wdrożenia przebudowy społecznej?

Za takimi przypuszczeniami zdawałby się przemawiać kontakt płk. Sławka z posłem generałem Żeligowskim, autorem wniosku o międzypartyjnej radzie przybocznej Prezydenta Rzplitej, o czym pisałem w kwietniu w „Pochwale parlamentu“. Z drugiej strony młodo-konserwatyści usiłują związać płk. Sławka z p. Matuszewskim. Tutaj ujawnia się bardzo niebezpieczna tendencja zachowawczo-liberalna, bo gdyby płk Matuszewski przejął tekę skarbu to zapewne uszczęśliwiłby nas deflacją od dotychczasowej jeszcze o wiele konsekwentniejszą, czyli eksperymentem zabójczym nie tylko dla Copu, lecz dla gospodarstwa narodowego, państwa, nie mówiąc już oczywiście o reżimie. Nie zachodzi też najmniejsza potrzeba tego rodzaju zmiany, gdyż p. wicepremier Kwiatkowski prowadzi swą politykę gospodarczą pod względem technicznym wzorowo, jak przystało na wybitnego specjalistę. Prowadzi ją tylko metodą ustrojowo błędną, lecz za to ponosi już odpowiedzialność nie tyle minister, ile reżim i jego czynniki decydujące. Co do płk. Sławka, to jako „trzeci czynnik decydujący“ w reżimie, ma on na razie pozycję słabszą od dawniejszych dwóch czynników. Sławkowska bowiem izba zbliża się do końca kadencji, a przy tym może być nawet wcześniej rozwiązana.

Jej komisja samorządowa, w której większość mają ozonowcy, uchwała posłusznie nową ordynację samorządową według projektów rządowych. Charakterystycznie układa się przy tym stosunek do projektów zarówno rządu jak społeczeństwa. Wobec powszechnego protestu stronnictw opozycyjnych, rząd odstąpił od zasady kurialności w wyborach, ale nie przyjął jej też w odniesieniu do kurii żydowskiej, której domagała się słusznie opozycja nacjonalistyczna w społeczeństwie i obozie rządzącym. Nie uległ też rząd naciskowi opozycji lewicowej, z ludowcami włącznie, na rzecz proporcjonalności wyborczej, która znajdzie ograniczone tylko zastosowanie, obok okręgów jedno i dwumandatowych. Nada to nowej ordynacji charakter zachowawczo-parlamentarny, a zarazem do pewnego stopnia indywidualistyczny, antypartyjny. Dogodniejszą jest ta tendencja raczej dla stronnictw prawicowych, chociaż lewica może się pocieszać i wspomagać równouprawnieniem żydów w powszechnym głosowaniu.

W sumie jednak niezadowoloną będzie tak lewica jak i prawica, czyli że na postęp konsolidacji dzięki nowej ordynacji liczyć trudno. Postęp ten w duchu Ozonowym da się pomyśleć jedynie wówczas, jeśli dopisze reżimowi jego „stawka na kapitalizm“, a dopisać by mogła jedynie w postaci szybkiej i potężnej pomocy kapitalistycznej z zewnątrz. Gdyby na tej drodze gospodarstwo narodowe dźwignęło się wydatniej, to otworzyłaby się perspektywa na owe upragnione 20 najbliższych lat wczesnego w Polsce kapitalizmu, umiarkowanego liberalizmu i parlamentaryzmu, które dałyby się pogodzić zapewne z półautorytatywną, konserwującą swój stan posiadania, władzą reżimu.

W przeciwnym a bardziej prawdopodobnym wypadku, jeśli Polska będzie zmuszona ratować się i nadal, jak dotąd o własnych przede wszystkim siłach, ewolucja ustroju pójdzie odmiennymi drogami. Gdyby przypuścić, że Polskę można podźwignąć do minimum egzystencji w drodze samoistnej budowy rodzimego kapitalizmu, jak do tego w zasadzie aspiruje Ozon, to do parlamentaryzacji stuprocentowej dojść musi. Ustępstwa ordynacyjne okażą się dla niej tylko punktem wyjścia. Jeżeli zaś, jak przypuszczam, za wiedzie kapitalistyczna pomoc z zewnątrz, samoistna zaś bu-

dowa polskiego kapitalizmu, równie słabo jak dotąd, nadążać będzie za nagłącymi koniecznościami życia, to zarówno reżim jak społeczeństwo, coraz boleśniej przekonywać się będzie, iż dotychczasowe metody ratunku są niewystarczające i nie prowadzą do celu. Wtedy reżim może nareszcie zrozumie, że nie uruchomi żywiołowego ruchu kapitałotwórczej inicjatywy prywatnej, nie zbuduje COP, nie usunie przeludnienia wsi, nie skonsoliduje się z P. S. L. — przez deflację; S. N. może dojść do przekonania, że nie spolszczy miast i nie usunie żydów z kraju przez sam tylko żywiołowy napór zrozpaczonych mas; P. S. L. zacznie się zastanawiać nie tylko nad tym jak zdobyć demokratyczną ustawę wyborczą i dostęp do władzy, lecz także nad tym jak użyć zdobytej władzy, do czegoś więcej niżli sama tylko reforma rolna, która przeludnienia wsi nie opanuje; wreszcie nawet może PPS się zreflektuje, że nie poprawi doli robotniczej przez same tylko „zdobycze socjalne” w walce klas z wielkim kapitałem, którego w Polsce jest za mało ażeby zatrudnić lud i utrzymać państwo.

Jeśli którakolwiek z tych obecnie czynnych sił społecznych wcześniej od innych zrozumie, iż w ramach swych dotychczasowych pojęć i środków nie opanuje obecnej rzeczywistości polskiej, jeśli odkryje pojęcia i środki nowe, dostatecznie pogłębione i skuteczne, to zaprzoduje społeczeństwu, poprowadzi je, ocali i pozostanie na jego czele jako siła kierownicza, nosicielka władzy.

Najwięcej widoków po temu mają chłopi, zwłaszcza a może i koniecznie w zjednoczeniu i współpracy z narodową inteligencją. Nie dlatego ażeby mieli być bardziej od innych uświadomieni, lecz dlatego, że uświadamiają się coraz więcej i że oni stanowią 70% ludności kraju. Są więc i największą w narodzie ilościową potęgą a zarazem tym jego ilościowym tworem, który najbardziej bezpośrednio i osobiście został zagrożony w swoim bycie przez niedorozwój społeczno-gospodarczy kraju, oraz fałszywe metody ratunku.

Ta masa żywiołowo rwie się do władzy nie dla niej samej, lecz dlatego ażeby jej użyć na swoją obronę przed grożącą jej zagładą. Ona nie ma czasu na 20-letnie plany, zmierzające do konserwacji władzy w ręku *beati possidentis*. Już

czuje ona, że jej nie przynosi ocalenia deflacja, już rozumie po trochu, że jej nie uratuje reforma rolna, przekona się niezadługo, że i na spolszczenie miast nie wystarczy sam tylko impet, bez innych głębszych, konsekwentnych środków. W miarę jak chłopci zdobywać będą władzę, wywrą nią nacisk na metody, które zawodzą i nie cofną się przed metodami nowymi. Jeśli dotąd sobie tego nie uświadamiają, to im w tym dopomoże bieg wypadków i natura rzeczy. W pierwszym rządzie powinnyby dopomóc właśnie katolicko-narodowa inteligencja. Musiałaby ona jednak zdobyć się koniecznie na wysiłek poważnego pogłębienia swej myśli o przebudowie społecznej.

Przy obecnym stanie umysłów i pojęć żadna z czynnych sił społecznych nie jest bezpośrednio i samodzielnie zdolna do objęciawództwa w wielkim przełomie ustrojowym, który nam rzeczywistość narzuca. Zarówno pojęcia jak dążenia i cele, musiałyby ulec gruntownemu przeobrażeniu w kierunku ustrojowym narodowo-katolickim. Idea i siła, która tę przebudowę przeprowadzić będzie zdolna, okazać się musi ideą i siłą nową, samoistną. Przewlekła walka między reżimem a opozycją sprzyja mimo wszystko wykształtowaniu się takiej właśnie siły, gdyż z jednej strony zapobiega zmianie zbyt gwałtownej, przedwczesnej, która by mogła spowodować recydywę sejmowładztwa, z drugiej zaś wyważając stopniowo a coraz silniej politykę reżimu ze skostniałego szablonu, budzi w społeczeństwie coraz głębszą tęsknotę za prawdziwym zjednoczeniem, opartym na elemencie narodowym a ideologii pełnego katolicyzmu.

Dopomóc do ukształtowania tej idei i do wyzwolenia tej właśnie siły powinien wysiłek twórczy katolickiej myśli społecznej. Czas do tego nagli.

St. Szczutowski.

Współczesna Belgia.

Dwadzieścia lat minęło od dnia, w którym Belgia zrzuciła jarzmo obcego najazdu. Dzisiaj w samym momencie tej dwudziestoletniej rocznicy, państwo belgijskie przeżywa kryzys politycznej, duchowej oraz gospodarczej natury. Kryzys ów może wydać się w oczach powierzchownego obserwatora znakiem upadku oraz wewnętrznego rozprzężenia. Przy bliższym jednak wejrzeniu te objawy stanowią dowód zdrowego życia, życia zdolnego do budowania oraz tworzenia przyszłości. Świeżo odbyłem podróż po tej ziemi, gdzie tętni radosna pracowitość, zdumiewają bogactwem źródła wszelkich pomocniczych zasobów, obok tego zaś istnieje ustawiczne pragnienie wciąż nowych zdobyczy i wzlotów. Zetknąłem się ze wszystkimi warstwami ludności i przedstawicielami obydwóch narodowości zamieszkujących Belgię; rozmawiałem z politycznymi przywódcami i z czołowymi osobistościami ze świata nauki i piśmiennictwa, zarówno jak społecznej i państwowej gospodarki. Wszystko to umożliwiło mi na miejscu głębokie wejrzenie w stosunki, ba! może nawet coś więcej jeszcze... Jakkolwiek bowiem byłem tylko gościem, posiadałem wszakże pewną przewagę nad Stendhalowym towarzyszem broni spod Waterloo, tę mianowicie, jaką w ocenie ludzi, spraw oraz wydarzeń, daje człowiekowi stanowisko pewnego oddalenia. Dzięki temu, przez względnie krótką chwilę pobytu w Belgii zdołałem zobaczyć więcej, aniżeli zobaczyć mogą sami uczestnicy belgijskiej walki o byt polityczny.

1. Belgijski Problem.

W Belgii, podobnie jak w Szwajcarii i w Czechosłowacji, żyje obok siebie kilka odrębnych narodowości. Każda z nich należy do jakiejś społeczności językowej, stojącej już na najwyższym kulturalnym poziomie; każda również posiada powinowatych w mowie poza granicami kraju; żadna natomiast nie rozporządza zdolnością wynaradawiania innych ludzi, ani na drodze pokoju ani też przemocy. I w Belgii więc, tak samo, jak w dwóch wyżej wymienionych państwach, chodzi o znalezienie recepty na pokojowe i harmonijne współdziałanie szczepów plemienne różnych. Od takiej recepty będzie zależało, czy wszyscy współdziedzice jednej wspólnej ojczyzny poczują się w niej dobrze, czy też pójdą szukać zbawienia w irredentyzmie, czy wreszcie zechcą oczekiwać wyzwolenia z zewnątrz.

Położenie w Czechosłowacji ukształtowało się źle na skutek uroszczeń czeskiego narodu do wyłączności państwowej. Szwajcarię oglądamy jako twór organicznie zrośnięty, posiadający za sobą sześć wieków samodzielnego bytu. Dla zapewnienia wszystkim czterem ludom helweckiej ziemi niczym niezakłóconej i równouprawnionej egzystencji, trudno byłoby obmyśleć warunki lepsze niż te, które daje im dzisiejsza rzeczpospolita szwajcarska. Poza jej granicami natomiast, wszyscy owi Szwajcarzy niemieccy, francuscy i włoscy, różnią się między sobą bardzo znacznie, tak pod względem narzecza oraz zwyczajów, jak z punktu widzenia zapastrywań politycznych i historycznej tradycji.

Belgia zajmuje pośrednie stanowisko pomiędzy Szwajcarią i Czechosłowacją. Pomijając sprawę powojennych nabytków: Eupen'u oraz Malmedy, liczy ona 108 lat samodzielnego bytu państwowego w obrębie dzisiejszych terytorialnych granic. W przyszłym zaś roku przypada stuletnia rocznica uznania tegoż bytu przez powszechne prawo międzynarodowe. Tradycja trzech pokoleń przyspieszyła dojrzewanie poczucia łączności wśród Belgów. Jeżeli podobne poczucie u Szwajcarów przewyższa poprzednie swą mocą, to w Czechosłowacji wyraża się jego działanie w sposób zupełnie odmienny. W Belgii natomiast uzyskało probierz trwałości za pośrednictwem dwójakiej próby życiowej: w ciągu

błogosławionych lat pokoju oraz w ogniowych doświadczeniach wojny światowej. Na koniec wreszcie znalazło widomy wyraz w panującej dynastii belgijskiej. Wychodzili z niej zawsze władcy gorliwi i zdolni, niezmiernie czujni na wszelkie wymagania chwili. Zawsze z wielkim taktem wyrównywali oni wszelkie pojawiające się antagonizmy, a w chwilach ciężkich i trudnych okazywali się dla podległego sobie kraju i narodu — wodzami z łaski Bożej.

Jeden jeszcze węzeł jednoczy ziemie belgijskie — to zupełny brak jakich bądź rozdzźwięków czy niesnasek na tle religijnym. Cała ludność z wyjątkiem nieznacznej mniejszości wyznaje wiarę rzymsko-katolicką, przy czym na tym miejscu nie będziemy roztrząsać zagadnienia, o ile ta przynależność do Kościoła przekracza ramy zwykłej formalności. Na ostatku nie wolno nam niedoceniać czynnika rasowej jednolitości, która znajduje wyraz w każdym przeciętnym belgijskim typie z jakiej bądź dzielnicy. Celtyckie oraz germańskie pierwiastki mieszaney rasy nordycko-fallickiej otrzymały wszędzie — oprócz wpływów z Zachodu — jeszcze dodatek krwi nadśródziemnomorskiej. Ostatni wywodzi się częściowo z czasów rzymskich, częściowo — z hiszpańskich. Stąd to narodowy charakter belgijski (pomijając wszelkie osobliwości miejscowe) wykazuje pewne istotne rysy, wspólne wszystkim Belgom. Należy tu wymienić: zmysł ładu, porządku oraz czystości, ducha sprzeciwu w obliczu zbyt ostrych rygorów i pobożność, która nieraz wprawdzie trzyma się przejawów czysto zewnętrznych, ale również często przenika mistycznym żarem najtajniejsze głębie duszy. Powyższym cechom towarzyszą: namiętna żądza użycia, wraz z upodobaniem do uciech spod znaku Bachusa i Wenery i do bogato zastawionych biesiad; dalej szczególny sposób ujmowania życia zakrojonego na wielką i szeroką skalę, a przy tym wszystkim — nierzadko — skrupulatna oszczędność. I jeszcze: popędliwość i porywczosć w gniewie przy równocześnie miękkim sercu; kłótniowość obok rzetelnego zamiłowania do pokoju i zgody; długo zachowywana pamięć o doznanej krzywdzie przy wielkodusznej wyrozumiałości dla dawnych nieprzyjaciół. Oto niektóre z dziwnych sprzeczności, jakie istnieją obok siebie w łonie narodu ruchliwego, aczkolwiek

ociężałego na pozór; mądrego, dzielnego, uzdolnionego, pełnego tężyzny, godnego szacunku i miłości.

Nie koniec na tym. Wszak w obrębie tego narodu, jednolitego aż do mowy włącznie, współlistnieją z sobą inne jeszcze przeciwieństwa, mianowicie antagonizmy narodowościowe pomiędzy Flamandami a Wallonami. Pierwsi podnieśli jedno z niderlandzkich narzeczy do godności literackiego języka; drudzy nadali takie samo stanowisko mowie francuskiej. Nie będziemy zaprzeczać istnienia tych dwóch szczepów, ani go szeroko omawiać. W szczegółach wszakże dzieje się w Belgii podobnie jak w Czechosłowacji. W Pradze bowiem, gdy ktoś nazywa się „Herdlička“ — będzie to na pewno krwiożerczy Teuton; jeżeli jednak nazwisko jego brzmi „Schuster“, w mgnieniu oka przerabia się je na Šusta i wnet gotów jest najzacieklejszy szowinista czeski.

Wódz belgijskich Flamandów nazywa się Borginon, podczas gdy nazwisko zasłużonego prezesa chrześcijańskich związków zawodowych w Belgii brzmi Pauwels. W rzeczywistości spotyka się o wiele częściej zwallonizowanych Flamandów, niż na odwrót — zflamandyzowanych Wallonów. Literatura dostarcza w tym względzie przykładu takich sławnych imion, jak: De Coster, Maeterlinck, van Lerberghe i Rodenbach. To właśnie wyrzucają w Belgii germańscy „towarzysze mowy“ swym romańskim współobywatelom: że Walloni zagarnęli dla siebie górne sfery społeczeństwa, szlachtę z rodu i szlachtę z ducha. Powyższe fakty przypominają podobny stan rzeczy w dawnych Czechach, Irlandii oraz w Polsce, gdzie odnośne klasy panów oraz władcy (czeskich, celto-irskich, rusińskich) porzuciły rodzinną mowę i kulturę odziedziczoną po przodkach, aby za to przystosować się do politycznych władców każdego z wymienionych krajów, a co zatem idzie — stać się Niemcami, względnie Anglikami lub Polakami. I jak w Irlandii czy Czechosłowacji podobnie i w Belgii, wynarodowiona flamandzka szlachta usiłuje powrócić teraz na łono ojczystego ludu.

Z tym wszakże znowuż Walloni nie mogą się pogodzić, nie chcą bowiem dać sobie odbić zdobytej palmy pierwszeństwa. Jednakże zarówno prawo liczby jak i współczesne nakazy sprawiedliwości oraz mądrości politycznej ferują nie-

pomyślny wyrok na coraz to bardziej słabnące wysiłki skierowane ku utrzymaniu wallońskiej hegemonii. Musiało dojść w Belgii do równouprawnienia obydwóch języków i obu narodowości — i dobrze się stało, że do tego doszło. Inaczej bowiem, dotychczasowa „jednowładczyni“ urządziłaby się niebawem osamotniona w swych władczych uroszczeniach i dążeniach. Na złożoność zjawiska walki flamandzko-wallońskiej nie mało wpływa fakt istnienia, obok tych dwóch obozów oraz pomiędzy nimi, pewnego czynnika, tworzącego w niejakej mierze trzecią narodowość: mieszkańców Brukseli. Ten milion ludzi, przeważnie flamandzkiego pochodzenia, używa w potocznej mowie języka francuskiego. Niejeden też z mieszkańców stolicy sam nie umiałby dokładnie powiedzieć do jakiej cywilizacji się zalicza. Szczerymi brukselczykami są trzej politycy: Vanderwelde, Hymans i Spaak, którzy poza tym stanowią żywy dowód, jak flamandzkie pochodzenie łączy się z francuską kulturą w pewną całość, wyraźnie różną od właściwego wallońizmu.

Należałoby wspomnieć jeszcze o Niemcach zamieszkujących starobelgijskie ziemie na południu, a także Eupen oraz Malmedy. Są to obywatele ze wszystkich Belgów najnieszorniejsi, a przy tym bardzo mało liczebni. Z tego ostatniego względu, zagadnienie to pominiemy. Kwestia bowiem bytu albo niebytu belgijskiego państwa, a również i jego dwujęzyczności, ogniskuje się całkowicie w innym zagadnieniu, którego treść stanowi symbioza wallońsko-flamandzka.

Gdybyśmy chcieli słuchać kraczących głosów wszystkich „życzliwych“ przyjaciół Belgii lub choćby tylko ufać wynurzeniom skrajnych członków obydwóch partii (którym to wynurzeniom sprzyja w Belgii wprost bezprzykładna w dzisiejszej Europie wolność prasy) — moglibyśmy już dzisiaj bić podzwonne belgijskiemu państwu. *L'Action Wallonne* upomina swych ziomków, aby w razie konfliktu z Francją przeszli przy warkocie bębnow i przy dźwiękach trąb na stronę Trzeciej Rzeczypospolitej.

Flamandzcy zapaleńcy idei Wielkich Niderlandów zgadzają się ze swymi dziedzicznymi wrogami (Wallonami) w tym punkcie, że trzeba by rozbić Belgię na części skła-

dowe, a treść sporu stanowiłyby wtenczas jedynie nowopowstające granice pomiędzy Wielką Francją a Wielkimi Niderlandami. Jednakże nim się to stanie dużo jeszcze wody przeleje się w nurtach Renu i jego dopływów. Separatystyczne zachcianki zamykają się w obrębie parotysięcznej grupy intelektualistów, którzy z biegiem czasu nabrali złośliwości w poczynaniach. W szeregach tych stoją obok siebie w „zachwycającym” zespole: mili albo niemili marzyciele, rozjuszeni profesorowie, poeci bez czytelników, zasuspendowani księża i niedoważona młodzież. Żadna natomiast z wielkich, poważnych partii politycznych nie zamieściła w swym programie wrogiej postawy względem belgijskiego państwa. Jeżeli tu i ówdzie zdarzy się, że języki rozbiegają się zbyt szybko, to takie fakty miesza miejsce bez jakiejś szczególniejszej złej myśli: nierozważne słówko przychodzi Belgom lekko, później jednak sami najpierwsi je obżalują.

Ankieta, którą przeprowadziłem we wszystkich partiach, pozwoliła mi stwierdzić jak daleko sięga przywiązanie do Belgii u Wallonów i Flamandów, u katolików, liberałów i socjalistów, u rexistów oraz flamandzkich narodowców. Faktyczny ten stan rzeczy częstokroć przewyższa o wiele indywidualną świadomość własnych uczuć oraz doznań. Nie bez znaczenia jest tu zrozumienie okoliczności, że podział kraju bynajmniej nie zachwyciłby ani Francuzów ani Holendrów tj. żadnego z ewent. beneficjentów takiej zmiany. Na koniec wpływa tu również znajomość nadzwyczajnych politycznych i gospodarczych możliwości, związanych z państwową odrębnością Belgii, jako też uznanie doniosłości i wagi powyższego zagadnienia dla całej Europy. Nie tylko zatem rzuca się w oczy powszechna zgodność w afirmowaniu państwa, ale obok niej także i różnica, dzieląca przeciętne zapatrywania obydwóch narodowości, dla obcego obserwatora z zewnątrz — bardzo nieznaczna. Kto się przyzwyczaił do biegunowo sprzecznych i wzajemnie się zwalczających żądań, stawianych przez politycznych współpracowników u ludów wschodnio-europejskich, temu Belgia wyda się symbolem rajskiego współżycia między dwoma mniej więcej równo silnymi narodowościami w ramach jednego państwa.

A więc najpierw nieco statystyki. Z okrągłych ośmiu z połową milionów ludności, trzy i pół miliona stanowią Walloni, cztery miliony — Flamandowie, podczas gdy pozostały milion stołecznych mieszkańców przedstawia dla tamtych koszt niezgody. Przodujące stanowisko Flamandów zarysowuje się z roku na rok coraz wyraźniej, tymczasem wszakże nie jest jeszcze dość znaczne, aby wytrącić Wallonom z dłoni kulturalną oraz gospodarczą przewagę. Francuski pokost stolicy, francuskie wychowanie starszych pokoleń, większa zamożność Wallonów, ich przeważająca rola w życiu wielkiego przemysłu oraz kredytu — wszystkie te czynniki dają się silnie odczuwać jeszcze i nadal.

Flamandowie walczą przeciwko takiemu położeniu we wszystkich dziedzinach życia. Wymogli oni używalność dwojaczego języka przy sprawowaniu czynności urzędowych, a także i na Uniwersytecie lowańskim (Louvain — Löwen!). W Gandawie zdobyli dla siebie wyższą uczelnię państwową. Co się zaś tyczy średniego szkolnictwa, obydwie narodowościowe odłamy otrzymały obecnie w tym zakresie zupełnie jednakowe udziały. Na polu dziennikarstwa oraz piśmienictwa Flamandowie tworzą dzieła znakomite i nadążają olbrzymim krokiem za rodakami, mówiącymi po francusku. Walloni bronią własnego stanu posiadania, jednakże — rzecz szczególna i budująca zarazem — czynią to bez jakiegokolwiek tłumionej nienawiści, podczas, gdy z drugiej strony Flamandowie również nie zaniedbują okazywać powinno szacunku swym współzawodnikom.

Giovanni Hoyois, przewodniczący wallońskiej Sekcji Partii Katolickiej oraz Henri Pauwels, prezes chrześcijańskich Związków Zawodowych, mówią do mnie o Flaman-dach słowami braterskiej miłości. Nie dopuszczają przy tym żadnego zwątpienia co do faktu, że życzą sobie pełnego równouprawnienia obydwóch narodowości. Senator Verbiest, przewodniczący Partii katolików flamandzkich, uznaje osobliwy charakter Brukseli oraz sądzi, że nie wolno i nie należy domagać się samolubnie historycznie-geograficznego stanu posiadania wówczas, gdy cała sprawa toczy się dokoła zagadnienia, ażeby tak dla Wallonów jak dla Flamandów utrzymać wartość Brukseli jako stolicy i uczynić ją dla nich

w jednakowym stopniu miłym miejscem pobytu. Jan Boon, waleczny redaktor naczelny flamandzkiego *Standaard*'u, podkreśla poczucie belgijskiej państwowości, ożywiające jego partię. Współ z b. ministrem finansów, Lap'em, przedstawia on w łonie swego ugrupowania kierunek bardzo radykalny; równocześnie zaś okazuje rzetelne zrozumienie dla swego rasistowskiego rywala. Nigdzie zatem nie słyszy się brzydkich słów o wytępieniu przeciwników ani o ich pośledniej wartości. Nie inaczej też dzieje się w dwóch innych partiach koalicyjnych, liberalnej oraz socjalistycznej. Tak samo jak u katolików, można i tam dowoli popuścić wodze belgijskiemu indywidualizmowi; tolerancja jednak w dziedzinie narodowościowej nigdzie nie wykazuje większego wahania. Powyższa ocena stosuje się również do antydemokratycznych grup, „Rex'a” oraz Flamandzkiego Związku Narodowego. Mocno zelżony „faszysta” Degrelles rządził się i rządzi otwartym i wysokim zrozumieniem dla dzieła rasistowskiej zgody, zawartej w granicach gorąco umiłowanej ojczyzny belgijskiej. Niechaj tu starczy za dowód współpraca, jaka istniała pomiędzy Degrellem, pochodzącym ze starofrancuskiej rodziny, a kimś tak znacznym, jak De Mont, głowa rexistów flamandzkich. Gdy później dokonano się zerwanie sojuszu pomiędzy „Rex'em” a flamandzkimi narodowcami, przyczyny tego faktu leżały poza zakresem walki narodowościowej. Ostatnio wspomniane ugrupowania można jeszcze najprędzej uważać za przedstawicieli stanowiska, zasadniczo zaprzeczającego belgijską państwowość. Ale zaledwie mała część tych ludzi zdradza nieprzejednane przekonania. Taki zaś Borginon albo De Clercq, usiłują połączyć ideę Wielkiej Holandii z myślą o Belgii, z wiernością dla dynastii oraz z życzliwą postawą sąsiedzką w stosunku do Wallonów. Krótko mówiąc, nie istnieje żaden „belgijski problem”, który by stawiał pod znakiem zapytania państwo zorganizowane w latach 1830—39. Istnieją natomiast w Belgii tylko takie zagadnienia, które oczekują rozwiązania w ramach wyżej wspomnianego państwa, a co do których zapatrywania różnych partii jako też i poszczególnych ich członków, rzecz prosta, silnie się rozchodzą.

2. Istota partyjnego życia w Belgii.

Przed wojną istniały w Belgii trzy parlamentarne stronnictwa: katolickie, liberalne i socjalistyczne. Od tego czasu przyłączyły się do nich jeszcze trzy frakcje, stanowiące zasadnicze zaprzeczenie demokracji w jej tradycyjnej postaci. Są to mianowicie: rexiści, rekrutujący się z obydwóch narodowości, związek zwany: *Vlaamsche National Verbond* i komuniści. Wszystkie trzy ostatnie grupy posiadają przedstawicieli w Izbach. Czwarta, flamandzka frakcja, znana pod imieniem *Verdinaso*, jest wprawdzie pozbawiona parlamentarnego mandatu, odgrywa za to godną uwagi rolę w życiu duchowej elity swojego narodu. Belgijski indywidualizm, a wraz z nim pewna skłonność do frondy święci triumfy w każdej z wymienionych ideologicznych społeczności. Nawet „Rex“, zbudowany na autorytatywnych podstawach nie stanowi wyjątku z tej reguły. Należy tu zauważyć, że rozstrzyganie konfliktów światopoglądowych, względnie osobistej natury, pociąga za sobą dużo większą dozę rozgoryczenia, aniżeli załatwianie sporów o narodowym podłożu.

W partii socjalno-demokratycznej można rozróżnić co najmniej cztery odrębne kierunki, których wcieleniem w życie są nazwiska: De Brouckère, Vanderwelde, Spaak oraz de Man. W brukselskich kołach politycznych krąży anegdota o pewnym powiedzeniu Goeringa, który przed kilku tygodniami usiłował — za pomocą jednego ze swych znamienitych słówek — scharakteryzować trzech z wyżej wymienionych mężów stanu: Vanderwelde'a — jako socjalnego bolszewika, Spaak'a — jako socjalnego patriotę, wreszcie De Man'a — jako narodowego socjalistę. Chcielibyśmy poczynić pewne zastrzeżenia co do takiej charakterystyki Vanderwelde'a oraz De Man'a. Ziarno prawdy tkwi w niej istotnie, tylko że raczej należałoby De Brouckère'a opatrzyć komunistyczną etykietą. Wprawdzie antyfaszystowski zapal występuje u przewodniczącego II Międzynarodówki z niepospolitą siłą, również wpływu jego małżonki, stojącej na dalekim krańcu lewicy nie można niedoceniać, w rozstrzygających wszakże chwilach zaledwie dałoby się stwierdzić u Vanderwelde'a jakieś uchybienia przeciwko uczuciom

narodowym. O Spaak'u oraz De Man'ie można z całą powagą i świadomością powiedzieć, że pozbyli się całkowicie marksistowskich uprzedzeń. Obydwaj są politykami o widnokręgach bardzo rozległych. Spaak jest przy tym praktyczniejszy i myśli realniej od De Man'a, który za to posiada gruntowniejszą wiedzę teoretyczną i naukową. Obydwaj wyrzekli się doktryny przedwojennego socjalizmu, szczególnie w dziedzinach: religijnej oraz państwowo-politycznej. Spaak okazuje szacunek wobec obcego dlań, niemniej przeto czciwego światopoglądu chrześcijańskiego; De Man sam siebie uważa za wierzącego człowieka. Większość robotników nieraz w ostatnich czasach skupiała się dookoła osoby Spaaka, gdy w spornych kwestiach wypadało uczynić wybór pomiędzy nim a starą partyjną gwardią. Wymienione fakty stanowią rękojmię poważnych nadziei na przyszłość. Budowa bowiem belgijskiej partii socjalistycznej nie tylko stoi niewzruszenie i niezachwianie, ale, odmiennie niż się to dzieje w większości pozostałych krajów, czyni raczej postępy wzwyż. Chodzi więc tylko o to, jaka treść wewnętrzna wypełni te niezłomne, zewnętrzne formy.

Socjaliści tworzą w drugiej Izbie najsilniejszą grupę, rozporządzającą pokaźną liczbą, 70 na 202 poselskie mandaty. Jak u nich tak i u liberałów antyklerykalni politycy przedwojenni przeciwstawiają się młodszemu a zarazem śmiałojszemu i roztropniejszemu czynnikom. To rozdwojenie odpowiada mniej więcej analogicznemu stanowi rzeczy, jaki zachodzi pomiędzy ugrupowaniem: „Fransquillons” a zwolennikami narodowego porozumienia. W szeregach liberałów, starych i młodych, spotykamy „reakcjonistów” tj. stronników mieszczańskiej koalicji na prawicy i przyjaciół obecnego, trójpartyjnego systemu politycznego. Potężne niegdyś stronnictwo liberalne, skurczyło się z biegiem czasu do granic ustalonego wprawdzie, niemniej przeto skromnego stanu posiadania. Obecnie liczy ono w swym gronie szereg wybitnych osobistości i na nich opiera swą siłę. Należy tu wymienić: Pawła Emila Janson'a, który był poprzednikiem Spaak'a na stanowisku pierwszego ministra; Hymans'a, długoletniego kierownika belgijskiej polityki zagranicznej, a także burmistrza Brukseli; na koniec sławnego z czasów wojny

ministra wojny, Max'a. W dalszym ciągu oparcie dla współczesnego stronnictwa liberałów stanowi bogaty we wpływy aczkolwiek dziwnie mieszany orszak, w którym spotykają się w jednym szeregu uniwersyteccy profesorowie, przemysłowcy oraz bankierzy z zamkniętą falangą... restauratorów. Ci ostatni tzw. *cabaretiers* stanowią naprawdę główną podporę liberałów wobec szerokich mas ludowych.

Być może, że rozdwojenie sięga najdalej u katolików. Aby umożliwić dalsze istnienie Partii Katolickiej musiano przyznać wielką wolność poszczególnym jej ugrupowaniom o niezmiernie rozbieżnych wyznaniach politycznej wiary. Frakcja rozpada się przede wszystkim na części flamandzką oraz wallońską pod przewodnictwem adwokata Hoyois oraz prof. Verbiest'a. „Tradycyjalna“ prawica z hr. D'Aspremont-Lynden na czele staje w obronie koncepcji obywatelsko-mieszczańskiego bloku. Równocześnie potężne liczbą (800 tysięcy!) Chrześcijańskie Związki Zawodowe, pod wodzą znakomitego organizatora Paulwelsa, pragną koalicji trzech stronnictw, współdziałających w obecnym rządzie i już od szeregu lat dzielących władzę między siebie. Prawicowego natomiast bloku żądają prawie wszyscy Flamandowie z b. ministrem Sap'em na czele.

Blok prawicowy liczył już bez liberałów 99 na 202 mandatów poselskich. Po przyłączeniu się doń frakcji liberałów osiągnął większość i spowodował wykluczenie socjalistów od władzy z równoczesnym jej przejęciem przez Flamandzki Związek Narodowy oraz rexistów. Pierwszy zbliża się do katolików przez swe uznanie chrześcijańskiej kultury, z pominięciem wszakże jego wojowniczości na terenie nacjonalizmu. Różnice zarysowują się w tym razie na tle autorytatywnego programu narodowców, zawierającego kilka punktów zapożyczonych z niemieckiego socjalizmu narodowego, i dalej, na tle antagonistycznego ustosunkowania się względem demokracji przy jednoczesnej skłonności ku rasistowskiej ideologii. Flamandzcy wszakże narodowcy przedstawiają czynnik, nad którym nie da się ani przejść do porządku dziennego, ani też wyłączyć go trwale poza nawias politycznej odpowiedzialności. Złożyło się zaś na to parę przyczyn, a więc żelazna dyscyplina stronnictwa, jego dy-

namika, przede wszystkim zaś osobistości czołowe, jak wyżej już wspomniani De Clercq i Borginon.

Nie można z całą pewnością twierdzić tego samego o „Rex’ie”. Dzieło pełnego temperamentu a nieobliczalnego Degrelle’a kpi z wszelkich przepowiedni i prorocत्व. „Rex” wyrósł z niczego na najniebezpieczniejszego przeciwnika całego wiekowego już systemu politycznego. Potem przeżył nieoczekiwany a głęboki upadek, gdy, w czasie wyborów do Izby, przeciwstawił się Degrelle’owi van Zeeland. Jeszcze później groził mu wewnętrzny rozłam i zdawał się grozić niechybny koniec. Tymczasem od kilku miesięcy niespodzianie dźwignął się w górę i dąży znowu do dawnego poziomu. Nikt dzisiaj nie może tego wiedzieć, czy „Rex” wejdzie do najbliższego parlamentu z pół-setką mandatów, czy też z zerem. Zależy to od ogólnej atmosfery politycznej oraz od atmosfery publicznych skandalów, które jak dotąd w Belgii bywają wywlekane na światło dzienne i rozwlekane, na podstawie prawdziwych, sztucznie rozdmuchanych lub tylko zmyślonych „panamskich afer”. W każdym razie stała przyczyna Degrelle’owych powodzeń trwa nadal i działa. Albowiem zawsze jeszcze rzesze średnich warstw społeczeństwa żywią uczucia niezadowolenia. (Gdzieżby nie i jakżeby nie? Pewien belgijski konkurent Degrelle’a, nazwiskiem van Renynghe de Voxurie, usiłuje ubiec wodza rexistów, zapoczątkowując ruch społeczny o charakterze czysto stanowym). „Rex” posiada rozpęd i program o rozciągłych ramach, nie zna zaś skrupułów, jak każdy prawdziwy agitator, zdecydowany i gotów na wszystko. Umie też z każdej okoliczności wyciągnąć własną korzyść. Tak np. ostatnio spożytkował zmianę frontu austriackich biskupów, w wyniku czego ma być dowiedzione, że zakaz wydany w swoim czasie przez belgijskiego Kardynała Prymasa, nie posiada dostatecznych usprawiedliwiających go podstaw. Jednego tylko nie dostaje Degrelle’owi: możliwości wykazania się osiągniętymi już rezultatami w dziedzinie gospodarczej, czego i on sam i wszyscy jemu podobni niezbędnie potrzebują, aby móc stanąć i działać w obliczu mas ludowych.

O komunistach powiemy w kilku zdaniach. U boku świetnie zorganizowanej partii socjalistycznej nie mają oni

żadnych widoków powodzenia, a na dobitkę brakuje im wódza. Jaquenotte, niedawno zmarły ich przywódca, był to człowiek świeży, niezwykle sympatyczny i mądry. Dotychczas nikt nie zastąpił go w partii. Zresztą pojednanie z Kościołem poprzedziło jego zgon przedwczesny. Całkowita zdobycz, jaką belgijscy wasale Moskwy zdołali osiągnąć, ogranicza się do podżegania i wzniecania strajków, burd oraz awantur po wielkich miastach i ośrodkach górniczych.

3. Demokratyczna koalicja czy blok prawicowy?

Obecne położenie wymaga od belgijskich stronnictw parlamentarnych rozstrzygnięcia zagadnienia, czy wspólny rząd katolicko-liberalno-socjalistyczny ma istnieć nadal, czy też należy spróbować innego rozwiązania. Jako takie zdaje się być możliwym, zgodnie z układem parlamentarnych sił — jedynie blok prawicowy. Oczywiście zobaczymy, że polityczny rozsądek, a co zatem w rozumnej Belgii idzie — i prawdopodobieństwo, przemawiają na korzyść trzeciej możliwości, przed wszystkim innym — nieoczekiwanej.

Gabinet Janson'a nie czuje się dobrze we własnej skórze. Przypomina sobą posąg, któremu odcięto właściwą głowę i na to miejsce przyprawiono inną, w samej sobie bardzo cenną, ale niedostosowaną do reszty pierwotnego korpusu. Koalicja trzech stronnictw była dziełem van Zeelanda; zarazem stanowiła tło dla jego polityki. Van Zeeland był to nadzwyczaj uzdolniony ekonomista i gospodarz. Za królewskim poparciem potrafił z zewnątrz zjednać parlament dla swoich zamiarów, dla programu przenikniętego na wskroś myślą gospodarczą. Pomimo tego program ów był już wówczas skazany na ostateczne, końcowe niepowodzenie we własnym zakresie gospodarczego działania. Pozostawimy bez odpowiedzi pytanie, o ile w owym niepowodzeniu zawiniły intrygi, związane przeciwko van Zeelandowi. Jest rzeczą pewną, że znakomity bankier musiał ustąpić, zanim jeszcze zdołał wypełnić swoje zadanie; że za jego rządów sprawy czysto polityczne zostały zaniedbane; że na koniec jego amerykańskie, na wielką skalę zakrojone metody naj-

pierw zaskoczyły burżuazyjnych par excellence Belgów, potem ich przeraziły, zraziły, wreszcie spowodowały z ich strony wybuch gwałtownego oporu. Niedawny zwycięzca Degrelle'a popierany przez katolików, liberałów i socjalistów musiał teraz jako prezes ministrów ustąpić przed zjadliwą plotką, która b. wice-gubernatorowi Belgijskiego Banku uniemożliwiła dalsze pozostawanie na kierowniczym stanowisku politycznym. Trzy zatem połączone ze sobą stronnictwa zostały pozbawione silnej dłoni, która dotychczas wspólnie je prowadziła i kierowała nimi. W następstwie gabinetowego kryzysu, wprost niemożliwego do rozwikłania, premierem został Janson, ogólnie poważany i istotnie godny szacunku. O tym nowym gabinecie, przynajmniej zaś o jego parlamentarnych członkach, należałoby powtórzyć słowa, które niegdyś wypowiedział pewien austriacki minister o swych współkolegach: „Jakże możemy ręczyć wzajemnie za siebie tam, gdzie nawzajem nie możemy wytrzymać?” Każde z trzech stronnictw rządowych posiadało w swym łonie licznych senatorów i posłów, którzy żywili w stosunku do koalicji jedno jedyne pragnienie: aby z niej wystąpić. Na lewicy, u socjalistów, spodziewano się dalszych postępów, a więc i stworzenia koalicji bądź w łączności z katolicką demokracją, bądź z liberałami, ale zawsze z tym warunkiem, żeby władza przypadła w udziale marksistom. Takie oczekiwania były i są w równej mierze nietrafne, jak niebezpieczne i byłyby mogły doprowadzić antydemokratyczne elementy do użycia przemocy. Belgia nie umiałaby znieść pod żadnym pozorem czerwonego reżimu, chociażby nawet z zawodowo-chrześcijańskim dodatkiem. Co najmniej mogło nastąpić rozpętanie wszystkich złych duchów po flamandzkiej stronie, co byłoby naprawdę wywołało nieistniejący dzisiaj państwowy kryzys.

Od strony prawicy zwalczali koalicję „tradycjonałiści” oraz flamandzcy katolicy, którym część liberałów udzielała swego poparcia. Czy należało zatem utworzyć blok ze stronnictw obywatelsko-mieszczańskich? Liczbowo byłoby to najzupełniej możliwe. Katolicy, flamandcy narodowcy oraz rexiści posiadali ogółem 99 mandatów. Trzy głosy brakujące do bezwzględnej większości w Izbie byłyby się znalazły

z łatwością. Tylko, że tutaj natrafiono na nieprzewidywane przeszkody. Chrześcijańskie Związki Zawodowe obok znacznej części innych katolików zgrupowały się dokoła osoby b. premiera, Carton de Wiart oraz dokoła potężnego czasopisma *Revue Catholique des Idées et des Faits*, zostającego pod redakcją ks. van den Hout'a, przechowującego wierne tradycję wskazań kard. Mercier'a. Powyższa grupa wzbraiała się przystąpić do prawicowego bloku w towarzystwie rexistów. To bowiem mogłoby nadać mieszczańskiemu stronnictwu pozór zmiany frontu na rzecz niemieckiego obozu. W Belgii zaś można wprawdzie walczyć z marksizmem, nie da się wszakże, bez wywołania ciężkich konfliktów społecznych, rządzić wbrew całej rzeszy robotniczej.

Król więc, idąc za radą van Zeelanda i mając przy tym zupełną aprobatę kardynała van Roey'a, zdecydował się na trzeci sposób rozwiązania położenia. Postanowiono dokonać zjednoczenia wszystkich młodych sił Belgii, a dokonawszy tego, zachować i utrzymać te siły dla idei państwowej; dalej przedsięwziąć ostrożnie niezbędne reformy oraz środki, mające na celu społeczną i polityczną przebudowę i zwoła na przygotować teren dla współpracy z opozycją. Paweł Henryk Spaak, człowiek ze wszech miar wskazany dla przeprowadzenia akcji rządowej na powyższych podstawach, objął następstwo po swoim wuju, Janson'ie. Syn dramaturga i dyrektora teatru, jubilata pracy scenicznej, siostrzeniec sławnego liberała, męża stanu i prezesa ministrów, Janson'a, zawodnik tenisowy, a z usposobienia — szumny przywódca akademickiej młodzieży, dalej pierwszorzędny publicysta i mówca znakomity, nade wszystko zaś w osobistym obejściu sztukmistrz i czarodziej życiowy, operujący szczerym belgijskim realizmem, Spaak zrobił karierę niezwykle szybko. Jako trzydziestoletni mężczyzna był jednym z czołowych posłów socjalistycznego stronnictwa, na którego lewym skrzydle pozostał tak długo, dopóki nie wszedł do rządu van Zeelanda. Zwrotu na prawo dokonał w pośpiesznym tempie, jako mąż stanu już obciążony odpowiedzialnością. Politykę zagraniczną prowadził pod hasłem zupełnej neutralności, w czym okazał się pojętym uczniem króla i van Zeelanda. Z tymi dwoma mężami łączą go najściślej-

sze węzły osobistej przyjaźni. Spaak przedstawia jak gdyby żywy przekrój belgijskiego ogółu: jako Brukselczyk wzrósł w atmosferze francuskiej kultury, pochodzi jednakże z Flamandów i z wolnomyślnego środowiska, co mu nie przeszkadza szanować religię. Obywatelski syn o manierach, zapożyczonych od cyganerii, prędko zżył się z atmosferą dworską i ze światem dyplomatycznym. Dzięki temu wszystkim, Spaak, obdarzony subtelnością i swadą adwokata, dziedzicznym krasomówczym talentem Janson'ów i poklaskami tłumu, okaże się równie zręcznym na gładkich posadzkach parlamentu, salonów, królewskiego zamku i apartamentów poselskich, jak był dawniej na zielonych trawnikach kortów tenisowych.

Tutaj należy uczynić pewne zastrzeżenie. Obecny minister spraw zagranicznych posiada wszelkie zalety z politycznego punktu widzenia. Mógłby też, bez nadmiernych wstrząsów, wypełnić ramy aktualnego systemu parlamentarnego autorytatywną treścią i coraz więcej przepajać socjalizm myślą narodową; dałby radę katolikom, socjalistom i Flamandom i potrafiłby bądź pogodzić się z rexisdami, bądź postawić pod znakiem zapytania ich popularność. Pod względem gospodarczym natomiast zagraża mu to niebezpieczeństwo, że jako politykowi, gospodarcze zagadnienia są mu niemniej obce, jak były nimi zagadnienia polityczne dla narodowego ekonomisty, van Zeelanda. Wszelkie jednak chroniczne niedostatki i potrzeby oficjalnego życia w Belgii zależą w mniejszym stopniu, od politycznych, narodowych, religijnych albo wreszcie strukturalnych sporów i zatargów, niż od gospodarczych niepowodzeń. W innych zagadnieniach, a zetem w sprawie dwujęzyczności kraju i równouprawnienia obydwóch jego narodów, w sprawie wyrzeczenia się antyklerykalizmu (należałoby zaś również dodać i klerykalizmu), w sprawie wreszcie uznania konstytucyjnej monarchii i ewolucyjnej, nie rewolucyjnej przebudowy obecnego społeczeństwa, panuje w Belgii w rzeczach istotnych jedność i zgoda. Szkopuły natomiast leżą w terenie gospodarczym oraz w dziedzinie polityki zewnętrznej. O tym ostatnim punkcie będziemy mówić poniżej.

4. Belgijska polityka zagraniczna.

W pierwszych latach po wojnie zdawała się istnieć w Belgii zupełna jednomysłność co do kierunku zagranicznej polityki. Przed rokiem 1914 panowało na królewskim dworze, wśród katolików i socjalistów, a także w łonie rozwijającego się flamandzkiego nacjonalizmu, bardzo życzliwe usposobienie dla Niemiec. W wyniku niemieckiej okupacji przejawy takiego nastroju musiały w zupełności zaniknąć. We wspomnieniach ludności żyły fakty takie, jak pogwałcenie belgijskiej neutralności, spalenie Lowanium i tysiące krzywd wyrządzonych mieszkańcom przez obcą przemoc wojskową, szczególnie przykrych dla narodu rozmiłowanego w wolności. Wszystko to popchnęło kraj w ramiona zwycięskich zachodnich potęg, których wystąpienie uratowało Belgię od zaborczych zakusów Rzeszy. Wobec powyższego faktu flamandzcy aktywiści, którzy swego czasu współpracowali z niemieckimi władzami, uchodzili teraz za zdrajców w oczach własnych współrodaków. Panowanie czarno-czerwonej koalicji w weimarskiej republice nie budziło w Belgii sympatii ani wśród katolików ani wśród socjalistów. Ze wszystkich członków Ententy Belgia najdłużej zachowała bezwzględnie nieprzejednaną postawę z czasów wojny, kiedy to w każdym Niemcu widziano wstrętnego *boche'a*. Epizod z umieszczeniem „hańbiącego napisu” na murach nowoodbudowanej biblioteki w Lowanium, stanowi charakterystyczny rys dla chęci odwetu i zemsty, ożywiającej podówczas poddanych bohaterskiego króla Alberta.

Dnia 7 września 1920 roku naczelnicy sztabu Francji oraz Belgii, generałowie Buat i Maglinse zawarli imieniem państw, które reprezentowali, przymierze wojskowe. Akt dokonany w obecności marszałka Focha, wywołał jednogłośnie uznanie w całym kraju; nie przedstawiał on wprowadzie formalnego układu międzypaństwowego, niemniej przeło wspomniana umowa, zabezpieczająca od „niesprowokowanej napaści ze strony Niemiec” wiązała Belgię z Francją węzłami dyplomacji oraz polityki obronnej. Na potwierdzenie tego sojuszu Belgowie przyłączyli się do Francji, aby wspólnie z nimi dokonać zajęcia okręgu Ruhr'y. Agresywna i wroga Niemcom postawa opierała się głównie na zasadach

sankcji, wyjątkowego stanowiska Niemiec oraz ewentualnej wojny prewencyjnej. Rok 1925 spowodził pierwsze odchylenie od powyższego stanowiska. Traktat, zawarty w Locarno, ustalił granice belgijskie, tak samo jak francuskie i niemieckie, i ustanowił, odnośnie do nich, dobrowolną i wzajemną gwarancję pięciu mocarstw (Francji, Belgii, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Włoch). Belgijskie Izby przyjęły ten układ prawie jednomyślnie, jedynie 5 głosów w izbie poselskiej podniosło sprzeciw. Jednakże zasadnicza niechęć ku Niemcom, jako też najściślejsza spólnota losów z Francją trwały wciąż nadal. W każdym razie Belgia nie powróciła bynajmniej do dawnej neutralnej postawy, którą jej narzucano w r. 1839. W 1914 pogwałciły ją Niemcy, traktat zaś lokarneński nie zdradzał najlżejszego nawet cienia związku z minionym stanem.

Niebezpieczeństwo grożące Belgii w dziedzinie polityki zewnętrznej ujawniło się z chwilą, gdy na skutek narodowo-socjalistycznej rewolucji w Niemczech, w położeniu ogólnoeuropejskim zaszedł radykalny przewrót. W ciągu roku 1934 horyzonty zaciemniały się coraz bardziej. Sojusz francusko-belgijski nabrał niespodziewanej aktualności. Zamierzano włączyć go do tego systemu sojuszy, za pomocą którego minister Barthou usiłował okrażyć Trzecią Rzeszę. Obok Polski oraz Małej Ententy przewidywano także miejsce i dla Belgii, mianowicie w charakterze *brillant second*. Dyplomaci z Quai d'Orsay równie mało wątpili o Brukseli lub o Warszawie, jak o Bukareszcie albo o Belgradzie.

Tymczasem polityczny wygląd Europy zmienił się w okresie niecałego roku, od grudnia 1933 do października 1934. Stało się to na skutek szeregu zgonów, po części gwałtownych i tajemniczych. Zmiana zaś przede wszystkim dotyczyła właśnie tych krajów, na których Barthou opierał budowę swoich koncepcji. Duca w Rumunii, Dollfuss w Austrii, król Aleksander w Jugosławii i na koniec sam *chef de file*, Barthou, padli ofiarą morderców. W Polsce zawarto w maju układ z niemiecką Rzeszą. W Belgii, doszedł do władzy młody król, wolny od przywiązań, które mogłyby go skuć z własną przeszłością. Musiano teraz zastanowić się nad pytaniem, czy belgijskie

państwo ma jeszcze w dalszym ciągu trwać samotnie u boku francuskiej polityki zagranicznej? Przy tym należało wziąć pod uwagę oddźwięk, który niemiecki socjalizm narodowy zbudził wśród flamandzkiej części społeczeństwa. Nacjonalizm podnosił tam głowę coraz śmielej, wspomnienia wrogie Niemcom słabły, pokrewieństwo z germańską rasą dawało się odczuwać. Ponad wszelkie wszakże uczucia czy urazy wybijał się głos rozsądku, nawołujący, aby zawczasu usunąć się od ewentualnej wojny przewencyjnej przeciwko coraz silniejszym Niemcom, choćby nawet z takim stanowiskiem wiązała się bądź milcząca, bądź wyraźna tolerancja niemieckich wykroczeń przeciwko pokojowi wersalskiemu. Mowa, którą b. szef rządu, Broqueville wygłosił w senacie 6 marca 1934 r., wyjaśnienie, którego udzielił van Zeeland na wiosnę r. 1936, wreszcie tymczasowy układ francusko-belgijski tej samej daty, stanowiły niejako przygotowania do sensacyjnej mowy króla Leopolda III, wypowiedzianej w dniu 14 października 1936 r.

Za pośrednictwem wymienionej mowy Belgia ogłosiła swój powrót do polityki zupełnie samodzielnej, odsunięcie się od sojuszu z Francją, zaniechanie bezwarunkowej a wymuszonej neutralności, zamiar zachowania sobie wolnej ręki w wyborze decyzji, zgodnych z własną korzyścią, wreszcie wolę trzymania się z dala od wielkomocarstwowych konfliktów, zwłaszcza francusko-niemieckich.

Belgijski monarcha zaznaczył przy tej sposobności, że jego kraj nie życzy sobie służyć obcym państwom za teren przemarszów wojskowych oraz, że nie uznaje on żadnego takiego zobowiązania, które by go zmuszało do przepuszczania obcych wojsk przez własne terytorium.

Odpowiedzialność za treść powyższego oświadczenia ponosił van Zeeland, ówczesny prezes ministrów. Nie bez wpływu i to rozstrzygającego musiało być tu wojskowe otoczenie Leopolda, a więc generałowie: Filkens, Six i Nuytens wraz z szefem sztabu generalnego — van den Bergen'em. Deklaracja miała na celu: po pierwsze — odstraszyć Francję od budowania jakich bądź planów na podstawie przestarzałego układu z r. 1920; po drugie — odebrać Niemcom wszelkie preteksty, za pomocą których mogliby sobie stwo-

rzyć prawo do przekroczenia belgijskiej granicy, jak to miało miejsce w pamiętnym roku 1914 jedynie na skutek jednostronnego porozumienia Belgii z wrogami Rzeszy.

„Niewdzięczność“ belgijskiego przyjaciela i domniemanego wasała Paryża, wywołała na Quai d'Orsay „burzę oburzenia“, (zupełnie podobną reakcję spowodował tam dwa lata temu „zdrajca“ pułk Beck.) Po upływie wszakże pewnego czasu poczęto zastanawiać się spokojniej nad faktem dokonanym. W ostatecznym wyniku rządy Francji oraz Wielkiej Brytanii udzieliły w dniu 24 kwietnia 1937 roku zezwolenia, mocą którego uwolniono Belgię od wszystkich klauzul układu lokarneńskiego, jako też od umowy wojkowej z r. 1920. Niemniej jednak wymienione mocarstwa zapewniły Belgię, że w razie niemieckiego napadu udzielą jej ze swej strony obiecanej w swoim czasie pomocy. W ślad za tym pośpieszyły Niemcy (w dniu 13 października tego samego roku) z analogiczną obietnicą. Zobowiązywały się one względem belgijskiego państwa szanować nienaruszalność jego granic, a także nie atakować go, o ile samo „nie weźmie udziału w wojennych przedsięwzięciach przeciwko Rzeszy“.

W tym punkcie mieści się początek sporu o 16 paragraf paktu Ligi Narodów. Jako członek Ligi, Belgia musiała współdziałać z uchwalonymi sankcjami, na co wszakże bynajmniej nie miała ochoty. Doświadczenia abisyńskiej epepei działały odstrasżająco; zarazem ostrzegały przed powtórzeniem bezcelowej komedii karnej. Belgijscy prawnicy z karkołomną zręcznością wykładają pakt Ligi Narodów w ten sposób, żeby zostawić Belgii swobodę w decyzjach (polscy, a także i inni egzegeci prawa doszli do wniosków uderzająco podobnych w zestawieniu z brukselskimi uczonymi). Bezstronny obserwator widzi tylko to, że Belgia pragnie jednocześnie uratować *la chèvre et le chou de Bruxelles* — nie życzy sobie natomiast pod żadnym pozorem wciągnięcia w wojnę z Niemcami, jedynie na skutek automatycznego działania miłości dla kogoś trzeciego; pomimo zaś tego wszystkiego nie chce również opuszczać swego miejsca w Lidze Narodów. Raz, że Belgia zabiega o dobre pożycie ze wszystkimi sąsiadami, a po drugie, że musi uwzględniać

obydwa prądy ujawniające się w belgijskiej opinii publicznej na temat zagranicznej polityki.

W rządowych kołach panuje jednomyślne przeświadczenie, że Belgia nie ma wtrącać się do europejskiego bigosu i winna prowadzić co do tego zupełnie realną politykę. Masy ludności nie troszczą się o powyższe zdanie, dają się za to powodować uczuciom. Socjalistów i liberałów pociąga Francja, Flamandów i rexistów — Trzecia Rzesza. U katolików rozłam przebiega przez wszystkie niższe grupy i podgrupy. Nawet w tradycyjalnej prawicy, spotykamy przeciwstawiających się germanofilów jak D'Aspremont, frankofilów jak Carton de Wiart.

Na tym polega wielka zasługa belgijskiego króla oraz jego wspomnianych wyżej doradców wraz z następującymi po sobie ministrami spraw zagranicznych, van Zeelandem i Spaak'em, że umieli oni wznieść się ponad wszelkie uczucia i stanąć na gruncie faktów, mając ten jedyny cel przed oczami, żeby Belgię, narażoną na zmiżdżenie pomiędzy dwoma wielkimi mocarstwami, Niemcami i Francją, wyzwolić od jakiego bądź skrępowania ideologicznymi blokami. Wszystkie siły woli, nastawionej na obronę państwową oraz skuteczność mądrej dyplomacji służą wyłącznemu celowi ochrony pokoju, przynajmniej na belgijskich granicach. Jedynie w razie gwałtownego ataku z zewnątrz, odnośne siły byłyby użyte na obronę całości i niezawisłości państwa.

Co do tego ostatniego punktu zgadzają się wszyscy Belgowie. Tak zatem sprawdza się również w dziedzinie zewnętrznej polityki twierdzenie, że w wielkich, rozstrzygających pytaniach istnieje w Belgii owa jednomyślność, która wyłącznie poręcza państwu prawo do dalszego jego bytu. Licząc na własne siły, Belgia szuka przecież także łączności z krajami, z którymi posiada wspólne interesy i sympatie, z którymi dzieli wspólne niebezpieczeństwa i możliwości obrony. Wielka Brytania przedstawia dzisiaj, tak jak zawsze, naturalną osłonę dla bezpieczeństwa belgijskiego państwa. Rozluźnienie wojskowo-politycznych związków z Francją nie zmieniło w niczym żywych kulturalnych stosunków Belgii z tym krajem, przy czym w wallońskich prowincjach stosunki te mają nie mniejsze znaczenie, niż to, jakie ma bli-

skie pokrewieństwo językowe z Holendrami dla Flamandów. Szczególniejszą opieką otacza Belgia przyjaźń z państwami skandynawskimi. Odnosnie do Szwajcarii chciałaby osiągnąć podobne współzycie a do urzeczywistnienia tych planów brakuje zaledwie jednego kroku, przede wszystkim w sprawach kulturalno-gospodarczych, potem również i w politycznym zakresie. Analogia polityki belgijskiej i polskiej jest rzeczą oczywistą, ma zaś swe źródło w pewnej mierze w wizerunku pułk. Becka w Brukseli przed wiosną r. 1935. Na koniec stosunki z Włochami znajdują się na drodze większego zbliżenia, aniżeli by sobie tego życzyli belgijscy socjaliści z lewicy, dzieje się zaś tak na skutek węzłów pokrewieństwa, łączących królewskie domy w obu krajach, włoski bowiem następca tronu pojął za żonę siostrę belgijskiego Leopolda.

W obliczu faszystowskiego Imperium oraz III Rzeszy niemieckiej, Belgia zachowała ostrożną neutralność podczas hiszpańskiej wojny domowej i w chwili austriackiego *Anschluss'u*. Przez takie postępowanie okazała się zwolenniczką owej *Troisième Force*, bloku państw bez bloku, przyjaściół z chęci i z potrzeby. Wszystkie te państwa razem i bez wyjątku głoszą i perswadują wielkim a zażartym na siebie mocarstwom ideę pokoju, w najgorszym zaś razie chciałyby się wykręcić od walki olbrzymów. Bynajmniej nie tchórzostwo przyspieszyło rozwój tego pacyfizmu, mądrego a świadomego własnej warunkowości. Poprzez nieprzychylną atmosferę dzisiejszych czasów, twardych i nieugiętych jak stal, Belgia pragnie zachować słodczye własnej egzystencji, upływającej pomiędzy pracą a wyrafinowanym używaniem życia, przy czym zostało uratowane od zagłady górne spojrzenie wzwyż, ku ideałom. Belgia żywi mocną wiarę, że wolność da się połączyć z mądrze wykonywaną władzą autorytetu, że dwa narody, względnie rozmaite klasy społeczne, mogą żyć z sobą i obok siebie bez zachowywania niewolniczego posłuszeństwa śmiercionośnym hasłom; a nawet, że pewnego rodzaju roztropna interesowność osobista nie tylko nie sprzeciwia się powszechnemu dobru, ale zdolna jest niekiedy stworzyć jego podstawy oraz rękojmię.

W pięknej, prawidłowo założonej i błyszczącej czystością ulicy rządowej dzielnicy Brukseli, otrzymują tak Belgowie, jak i zagraniczni ich goście, poglądową lekcję, jak należy budować cywilizowane i dobrze rządzone społeczeństwo. Tam to, w Rue de la Loi, gromadzą się jedno obok drugiego, okazałe a wytwornie wygodne i przytulne gmachy ministerialne z siedzibą parlamentu po środku. Naprzeciw, w należytych przepychu, wznosi się zamek królewski, osłonięty po bokach budowlami akademii i muzeów. Ponad wszystkim góruje z wysoka wspaniała *Palais de Justice* ze swą 80 metrową kopułą, budzącą podziw i szacunek. Budynki i kamienie mówią. Ta królewsko-obywatelska budowlana koncepcja przemawia do nas słowami hasła, w którym Belgowie zawarli tajemnicę swojego szczęścia, rozkwitu i zdolności do dźwigania się z wszelkich możliwych doświadczeń. Hasło to brzmi: *Le Roi, la Loi, la Liberté*. Autorytet i wolność, spojone przezwyciężającym je prawem, dalekim od samowoli, stojącym ponad jednostką i społeczeństwem i dążącym wzwyż ku niebu oraz transcendencji.

Dr Otto Forst Battaglia.

Najnowszy prąd w socjalizmie.

Tarcia w socjalizmie belgijskim.

W łonie socjalizmu belgijskiego dokonywują się od pewnego czasu przeobrażenia, które mogą mieć doniosłe znaczenie nie tylko dla tego kraju, ale i dla międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Ścierają się w nim dwa prądy. Jeden głosi konieczność ścisłego przestrzegania zasad ideologii, wyznawanej przez międzynarodówkę. Przewodzą mu Emil Vandervelde i Louis de Brouckère. Drugi wyznaje hasła realizmu politycznego i jest reprezentowany głównie przez ministrów Spaaka i De Mana. Minister spraw zagranicznych Spaak nie ufa polityce sowieckiej, chce zgody z Rzymem i sprzeciwia się 16 artykułowi paktu Ligi Narodów, uważając, że Belgia nie powinna otwierać swych granic żadnemu przemarszowi wojsk, nie tylko niemieckich, ale i innych. Te jego poglądy spotkały się z aprobatą większości reprezentantów stronnictwa. Niedawno zebranie delegatów belgijskiej partii socjalistycznej, mimo gwałtownego sprzeciwu Vanderveldego i de Brouckera, ogromną większością głosów opowiedziało się za nim. Vandervelde i de Brouckère potraktowali to niemal jako zdradę wobec zasad socjalistycznych i postanowili odwołać się do kongresu partii. Wszystko zdaje się wskazywać, że i kongres poprze Spaaka.

Sukces obecnego ministra spraw zagranicznych ma znamienne wymowę. Jest to przede wszystkim zwycięstwo realistów politycznych nad teoretykami, „młodych” nad starymi. Następnie jest to nowy przejaw tak charakterystycznego dla naszych czasów potęgowania się pierwiastka narodowego w socjalizmie. Niedwuznacznie stwierdzono, że

w danych warunkach interes wspólnoty narodowej należy postawić przed interesem międzynarodówki proletariackiej. Zapewne nie brak w tych pociągnięciach motywów zwykłego oportunizmu politycznego, ale to wcale nie pomniejsza faktu, że w decydującym momencie solidarność narodowa okazała się silniejszą od solidarności klasowej.

Socjalizm psychologiczny.

Strona negatywna: krytyka marksizmu.

Błędem byłoby tłumaczyć samym tylko oportunizmem rozgrywające się na naszych oczach wydarzenia w socjalizmie belgijskim. Mają one głębsze podłoże i są niewątpliwie refleksem prądów nurtujących współczesny socjalizm zachodnio-europejski, prądów, które znalazły swe ujęcie myślowe w głośniejszej już dziś teorii socjalizmu psychologicznego De Mana. Czy bez znaczenia jest wieloletnia współpraca Spaaka i De Mana w rządzie? Czy bez znaczenia jest dalek niechęć ortodoksyjnego kierunku marksowskiego w partii przeciwko tym dwu mężom stanu, których zwolennicy Vanderveldego nazywają największymi wrogami socjalizmu? Nie wydaje się to prawdopodobnym, tym więcej, że nie trudno wykazać związek między polityką Spaaka, która jest najbardziej charakterystycznym przejawem dzisiejszej praktyki socjalizmu belgijskiego, a postulatami teorii De Mana. W świetle tych śmiałych prób realizacji, które tak wcześniej zostały podjęte i jak dotąd cieszą się niemałym powodzeniem, poglądy twórcy socjalizmu psychologicznego tym więcej zasługują na uwagę.

Co to jest socjalizm psychologiczny? Nie jest wskazane zamykać odpowiedzi na to pytanie w ramach nawet najobszerniejszej definicji.¹⁾ Lepiej jest trzymać się jako nici przewodniej metody autora, który kolejno ustala zasadnicze elementy pojęcia. Skoro mowa o tej metodzie, trzeba zaznaczyć, że punktem wyjścia dla De Mana jest krytyka marksizmu, która równocześnie służy mu za podstawę dla pozytywnych sformułowań nowej doktryny.

¹⁾ Henryk de Man: *O psychologii socjalizmu*, Warszawa, 1937, Tow. Wyd. „Rój”; z II wydania francuskiego przełożył Adam Pragier.

De Man, wybitny uczony i polityk, przez długie lata był czynnym marksistą. Co go skłoniło do wystąpienia przeciw marksizmowi? Sam w ten sposób tłumaczy swój krok:

Przestałem być marksistą nie dlatego, że takie czy inne twierdzenie marksizmu uważam za błędne, lecz dlatego, że od chwili, gdy wyzwoliłem się z marksowskiego sposobu myślenia czuję się bliższy zrozumienia socjalizmu, jako zmiennego w różnych czasach przejawu wieczystego dążenia do ustroju społecznego, odpowiadającego naszemu poczuciu moralnemu.

W wyznaniu tym odsłaniają się zasadnicze elementy nowej teorii socjalistycznej: wiara w socjalizm, przekonanie, że marksizm jest przeszkodą do zrozumienia socjalizmu i afirmowanie wartości moralnych. To są trzy główne filary, na których opiera się gmach nowej koncepcji światopoglądowej, noszącej miano socjalizmu psychologicznego. Fundamentem jego jest psychologia jednostki i zbiorowości.

De Man jest entuzjastą idei socjalistycznej. Ten opanowany myśliciel, snujący spokojnie i beznamytnie swoje rozważania, raz po raz zdradza żywsze uczucia, gdy broni moralnego dostojęstwa swojej idei. Do walki z marksizmem skłoniła go wyłącznie głęboka troska o tę ideę. Pchnęły go do niej uroszczenia marksizmu, który będąc tylko jedną z przejściowych form socjalizmu, uzurpuje sobie prawo do wyłącznej nazwy socjalizmu. Nie kwestionując wielkiej roli, jaką marksizm odegrał w historii ruchu społecznego, ani jego zasług, De Man stwierdza jego bezsilność wobec zagadnień, które przyniosły ludzkości najnowsze czasy po wielkiej wojnie. Wykazawszy starcze osłabienie marksizmu i zaznaczywszy, że

...młodzi ludzie podobnie jak i intelektualiści widzą w polityce przede wszystkim urzeczywistnienie pewnej idei, opartej zarazem na zasadach moralnych, jak na rozumie,

autor dodaje:

Młodzież mniej odczuwa potrzebę nowej teorii ekonomicznej, czy nowej metody badania dziejów; szuka raczej nowej koncepcji życia — nowej religii. Marksizm nie przynosi jej odpowiedzi na te zagadnienia — więc odwraca się od niego.

Ta nieporadność marksizmu wobec aspiracji i pragnień nowych pokoleń sprawiła, że dzisiejsza jego krytyka musi mieć zupełnie odmienny charakter niż krytyka badaczy minionego okresu. Podczas gdy dawniejsza krytyka miała za przedmiot poszczególne tezy teoretyczne oraz braki i niedociągnięcia wnioskowań ekonomicznych i społecznych, dzisiejsza zwraca się ku samej metodzie poznania marksizmu i ku jego dążności, by tę metodę poznania przeobrazić w metodę działania. Stwierdzenie ścisłej zależności między ową metodą a hipotezami filozoficznymi, które panowały w połowie ubiegłego wieku, doprowadza autora do ustalenia przedmiotu swej krytyki. Są nim cztery zasadnicze cechy marksizmu: determinizm, historycyzm, racjonalizm i hedonizm ekonomiczny.

Determinizm markowski polega na przyznawaniu prawom rozwoju społecznego charakteru praw przyrodzonych. Prawa te działają w formie dialektycznej i w sposób mechaniczny. Wiara, że z przyczyn danych lub uważanych za znane można wysnuwać wnioski o nieuniknionych skutkach, sprawia, że marksistom stawia się niekiedy zarzut fatalizmu w tym znaczeniu, że przeczą wpływowi woli ludzkiej na zdarzenia historyczne. De Man wykazuje niesłuszność takiego posądzenia, ale za to wysuwa zarzut fatalizmu nieuniknionych celów logicznych. Prawo determinacji przyszłości przez przeszłość, mające u swych podstaw założenie, że wszystkie nasze działania społeczne są determinowane przez poznanie pewnych celów, tkwiących w ewolucji społecznej, uzasadnia poczytywanie celów markowskich za nieuniknione. A temu w sposób jak najbardziej przekonujący przeczy samo doświadczenie historyczne. W deterministycznym wyznaniu wiary autor widzi odwoływanie się do jakiejś siły nadprzyrodzonej a w „prawach naturalnych” rozwoju społecznego sformułowanych przez Marksa dostrzega odmienną formę symboliczną, przystosowaną do naszych bezbożnych czasów, owego prawa rządzącego losami ludzi, które poprzednie pokolenia nazywały Bogiem. Ponieważ wiara w konieczność naturalną osłabia wiarę w obowiązek moralny, marksizm zasługuje na zarzut hamowania woli ludzkiej pobudek etycznych na korzyść innych pobudek,

a głównie na korzyść interesów gospodarczych. — Historycyzm wyraża się w poczytywaniu człowieka za wynik pewnego środowiska, a celów ludzkich za wynik „warunków” tego środowiska, wcześniejszych od woli ludzkiej.

Fakt, że początki marksizmu przypadają na okres szczytowego rozwoju racjonalistycznej metody myślenia, nie jest bez znaczenia. Metoda ta, opracowana na wzorach nauk ścisłych, polega na przenoszeniu zasady przyczynowości mechanicznej, ujawniającej się w technice, na zjawiska psychologiczne. Z tego sposobu myślenia zrodziły się dwa pozornie przeciwstawne kierunki filozoficzne: materializm racjonalistyczny i idealizm racjonalistyczny, ujawniające wspólną dążność do wprowadzenia między człowieka i zjawiska wszechświata kategorii czyli abstrakcyjnych pojęć ogólnych. Marks usiłował tłumaczyć przeszłość przy pomocy zapożyczonej od nauk przyrodniczych zasady przyczynowości materialnej, był więc materialistą. Równocześnie jednak przyszły rozwój ludzkości widział w urzeczywistnieniu idei uznanej przez rozum, był więc także idealistą racjonalistycznym. „Rozwój świata uważał zarówno dzięki determinacji idei przez materię, jak dzięki reakcji dialektycznej idei na materię, za spełnienie praw identycznych z prawami myśli rozumowej”. Był więc racjonalistą. Racjonalizm marksizmu zmusza go do posługiwania się kategoriami, a stąd grozi mu niebezpieczeństwo, zwane realizmem pojęciowym, czyli pomijaniem tego, że pojęcia są fikcjami i hipotezami, które winny służyć tylko jako środek do badania rzeczywistych zjawisk. Marksizm nie utożsamia kategorii, którymi się posługuje, z rzeczywistością, lecz ze szczególną formą rzeczywistości — z materią. Zastanawiając się w związku z tym materializowaniem kategorii nad kardynalnym, jak je nazywa, zagadnieniem: czemu przyczynowość dialektyczna, którą marksizm wprowadza między swe kategorie, pozostaje w sprzeczności z rzeczywistością historyczną? — De Man po dłuższym wywodzie dochodzi do wniosku, że

...głównym zarzutem, który można postawić sposobowi myślenia marksowskiego, jest nie tyle realizm pojęciowy jako taki, ile raczej niewspółmierność mechanicznej przyczynowości

owego realizmu pojęciowego z woluntarystycznym i teleologicznym charakterem reakcyj psychologicznych, właściwych wszystkim działaniom w historii.

Marksizm obrał kategorię gospodarczą za przyczynę rozwoju społecznego. Stawia on tezę o determinacji przyczynowej stanów ideologicznych przez stany materialne i dla umocnienia się na tym stanowisku posługuje się wyrażeniem: „w ostatecznej analizie”. Reakcję stanu ideologicznego na stan materialny uważa za zjawisko pochodne i podrzędne, za dalsze ogniwo w łańcuchu szeregów przyczynowych, których początek widzi „w ostatecznej analizie” w szeregu przyczynowym „rozwoju sił wytwórczych” — czyli, by użyć prostszych słów, w przyczynach gospodarczych. Wiara w przyczyny gospodarcze, zdaniem De Mana, jest w gruncie rzeczy wiarą w pobudki gospodarcze. Wola jest punktem wyjścia teorii; u kresu ostatecznej analizy znajdujemy ostateczną wolę. Jeżeli teoria przyczyn jest ukrytą teorią pobudek, to krytyka materializmu historycznego (teorii przyczyn gospodarczych) sprowadza się do krytyki hedonizmu psychologicznego (teorii pobudek gospodarczych). Hedonizm ekonomiczny, czyli wiara, że przyczyny gospodarcze decydują o rozwoju społecznym, jest podstawą marksistowskich pojęć klasy, interesu klasowego i walki klasowej. Z pojęciem interesu klasowego wiąże się najściślej słynna marksowska teoria nadwartości. Zdaniem De Mana ta część dzieła Marksa bardziej niż jakakolwiek inna wykazuje, że niepodobieństwem jest zrozumienie rzeczywistości społecznej przy pomocy czystych kategorii ekonomicznych. „Doprawdy — pisze — rzadko zdarzało się, żeby taka olbrzymia góra wiedzy zrodziła taką maleńką mysz”. Najważniejszy zarzut, jaki De Man stawia tej teorii, polega na tym, że nie udowadnia ona, poprzestając na milczącym założeniu, rzeczy najważniejszej, mianowicie niemoralności zysku kapitalistycznego. Ów zarzut ignorowania wartości moralnych rozszerza De Man, podkreślając skłonność Marksa do wyłączania ze swej analizy wszelkich sądów etycznych, których nie można uzasadnić przy pomocy kategorii ekonomicznych.

Szczegółowe omówienie i odrzucenie wspomnianych czterech głównych myśli Marksa nie wyczerpuje jednak de-

manowskiej krytyki marksizmu. Że uczony belgijski stara się być obiektywnym, świadczą liczne i częste wyrazy uznania, gdy mówi o osiągnięciach i zdobyczach marksizmu.

Twórca nowego kierunku w socjalizmie dobrze zdawał sobie sprawę, że naraża się na ekskomunikę. Wspomina o tym, gdy omawia rolę *Kapitału* Marksa jako biblii socjalizmu. Dowodzi to także jego troski o bezstronność a równocześnie świadczy o odwadze cywilnej. Nie omylił się w swych przewidywaniach. Jak wspomnieliśmy, w Belgii marksiści uważają go dziś za najgorszego wroga socjalizmu. A w innych krajach? I nasi polscy ortodoksi marksistowscy przyjęli książkę niechętnie i starają się obalić wysunięte przez nią tezy. Obok niechęci, świadczącej o tym, że nie bardzo w tym wypadku dbają o obiektywizm, ich stosunek do dzieła cechuje przekonanie, typowe dla wyznawców prawdy religijnej. Tą swoją postawą wybitnie fideistyczną dostarczają bezwiednie nowego dowodu na potwierdzenie słuszności jednej z tez De Mana, że marksizm stał się religią i że w tym właśnie tkwi wielka jego siła. Zajawszy postawę apologetów, nie wahają się jego obrońcy sięgać nawet po argumenty z apologetyki chrześcijańskiej.

Strona pozytywna: zasady.

Hipoteza psycho-energetyczna.

To, co w nowej teorii jest negatywne i co polega na krytyce marksizmu, ujęte zostało w książce De Mana w schemat, obejmujący analizę czterech wyżej wskazanych podstawowych właściwości systemu marksowskiego. Natomiast stronie pozytywnej brak przejrzystego uporządkowania zasad według z góry pomyślanego planu. To jest niewątpliwie słabą stroną dzieła i sprawia, że ortodoksyjni marksiści piszą o pobieżnym tylko naszkicowaniu zasad nowego kierunku. Nie mają jednak racji, gdyż próba skonstruowania takiego planu i oparcia go na głównych założeniach psychologicznej krytyki marksizmu wykazuje bogactwo i różnorodność pozytywnych sformułowań najnowszego prądu. Z odrzucenia racjonalizmu, hedonizmu ekonomicznego i determinizmu płyną bardzo doniosłe konsekwencje.

Zacznijmy od negatywnego stosunku do racjonalizmu marksowskiego. Wyraża on się w głoszeniu prymatu psychologii.

Wspólnym źródłem wszystkich przekonań socjalistycznych — pisze de Man — jest stan psychologiczny: wyobrażenie kompensacyjne i teleologiczne (to zn. skierowane ku pewnemu celowi) stłumionego instynktu społecznego, czyli bodźca zrodzonego z uczucia wspólnoty, zahamowanego przez rzeczywistość środowiska społecznego.

Z tego właśnie stanu należy wywodzić socjalizm, a nie z interesu klasowego, jak to czyni materialistyczna hipoteza marksizmu. Toteż tę hipotezę materialistyczną trzeba zastąpić hipotezą psycho-energetyczną, która ma tę wyższość nad tamtą, że wyjaśnia zjawiska psychologiczne przy pomocy praw psychologicznych, nie zaś mechanicznych i dzięki temu tłumaczy znacznie więcej zjawisk niż marksizm — a w tej liczbie także i sam marksizm. Socjalizm psychologiczny posługuje się właśnie taką hipotezą psycho-energetyczną. Jaką rolę w tym psychologicznym tłumaczeniu genezy socjalizmu odgrywa pierwiastek intelektualny?

Rozumowe uzasadnienie socjalizmu — odpowiada De Man — trzeba uważać tylko za formalne określenie celu, który już uprzednio został wyznaczony przez pragnienie emocjonalne: formuła ta sama w sobie jest celem, który już przedtem musi być upragniony. Jeżeli mimo to cel ten można uznać w zasadzie za osiągalny, to dlatego, że rozum jest w gruncie rzeczy czymś innym, niż samą tylko logiczną i krytyczną zdolnością porządkowania i kojarzenia. Wszelki apel socjalizmu do rozumu, zwraca się zawsze do tej praktycznej zdolności sądzenia, która nazywa się zdrowym rozsądkiem. Opiera się to jednak na tym założeniu, że nie tylko pewne logiczne prawa myślenia, lecz i pewne praktyczne prawa oceny moralnej są pewnikami wspólnymi wszystkim ludziom na danym poziomie cywilizacji. Ale uzasadnienie socjalizmu przez zdrowy rozsądek wspólny całej ludzkości, możliwe jest tylko wówczas, gdy rozsądkiem nazwiemy wartościowanie, zawierające także pewne oceny etyczne.

W ten sposób wprowadza De Man do swej teorii motyw dynamiki etycznej, której zagadkę stara się rozwiązać na drodze poznania naukowego, mimo całej jego niedoskonałości. I tu także obiera metodę psychologiczną, która działa na podstawie faktów biologicznych i zbliża się

do etyki od strony eudemonizmu. Zakładając przekonanie o istnieniu absolutnego porządku wartości etycznych immanentnych ludzkości (a może i wszechświatowi) i wskazujących jej cel, wybiera spośród sformułowanych już norm wartości tylko dwie, które uważa za prawdy wspólne wszystkim ludziom i stanowiące podstawę każdego rozsądnego sądu: 1) Wartości życiowe są wyższe niż wartości materialne, spośród zaś wartości życiowych wartości duchowe są najwyższe. 2) Motywy uczucia wspólnoty są wyższe, niż motywy własnej korzyści moralnej czy materialnej.

W takim ustaleniu hierarchii wartości widzi De Man wskazówkę, gdzie należy szukać w socjalizmie tego, co jest powszechnie ludzkie.

Psychologia instynktów.

W teorii socjologicznej, posługującej się hipotezą psycho-energetyczną, zasadniczą rolę odgrywa psychologia instynktów. Błędna jest teza marksizmu: na początku było poznanie; walka klasowa zrodziła się ze świadomości klasowej. Zamiast niej De Man wysuwa postulat badania stanów uczuciowych robotnika, usposabiających klasę robotniczą do wiary w socjalizm. Badania te muszą liczyć się z wrodzonymi człowiekowi instynktami oraz z instynktownością ruchów masowych. Nie zrozumie należycie ruchu robotniczego, kto nie uwzględni głównego motywu tego ruchu, którym jest instynkt samopoczucia. Lekceważenie psychologii doprowadza marksizm do tego, że nie liczy się on wcale z kapitalnym zagadnieniem radości pracy, zagadnieniem, „o którym można powiedzieć, że jest ostateczną próbą zwycięstwa czy klęski socjalizmu”. W związku z obojętnością dla sprawy radości pracy De Man poddaje surowej ocenie błędne poglądy marksizmu na kwestię mechanizacji, dekwalfikacji i rekwalifikacji siły roboczej. W łączności z problemem dekwalfikacji pracy omawia sprawę postępu i obala pogląd Marksa, który wszelki postęp ludzkości uzależniał od postępu technicznego, jako przyczyny ostatecznej. Wywody swoje w tym względzie uzupełnia niezwykle ciekawymi uwagami o stosunku klasycznej starożyt-

ności i średniowiecza do kwestii „postępu” technicznego oraz wnikliwą analizą taylorizmu.

Na tle instynktownego dążenia do zmniejszenia nierówności społecznej w ciągu długiego rozwoju historycznego w warunkach życia klasy robotniczej wytworzył się jej kompleks upośledzenia. Kompensacyjnym wyobrażeniem tego kompleksu jest socjalistyczne hasło równości. Także i w dziedzinie realizacji tego hasła marksizm popełnia zasadniczy błąd z punktu widzenia wymagań psychologii, gdyż nie liczy się z tym, że przeciętny robotnik uważa klasy posiadające za wzory wyższego sposobu życia. Trzeba przyjąć za pewnik, że „wiera w wyższość klas posiadających stanowi właśnie główną siłę w walce klasy robotniczej o wydarcie klasom posiadającym tej ich wyższości. Burżuazja ostatecznie tylko dlatego jest dziś klasą wyższą, że każdy chciałby być „burżujem”. Ale obok tej „karykatury rzeczywistej psychologii robotniczej” jest jeszcze inne, bardziej zasadnicze niedomaganie marksizmu, polegające na błędnym rozwiązaniu zagadnienia stosunków między socjalizmem a demokracją. Zdaniem uczonego belgijskiego marksizm nigdy nie próbował zbadać w całej pełni tego zagadnienia. Zbывa je płytkim twierdzeniem, że socjalizm należy uważać za cel a demokrację za środek, wiodący do tego celu, i w ten sposób sprowadza je do zwykłego sporu taktycznego. Nowa teoria nie godzi się na takie upraszczanie sprawy. Głosi ona, że demokracja nie jest jedną z gałęzi na drzewie socjalizmu, lecz jednym z korzeni drzewa.

Socjalizmowi bez demokracji propagowanemu przez komunistów — woła De Man — trzeba przeciwstawić dumną koncepcję ideału humanitarnego, czerpiącego swą siłę z odwiecznego dążenia ludzi do równości.

Jeżeli zapoznawanie instynktu samopoczucia prowadzi w praktyce do zgubnych następstw, to to samo trzeba powiedzieć o nieuznawaniu instynktu istoty społecznej, który moralisci nazywają instynktem altruistycznym. Tu właśnie należy szukać wyjaśnienia solidarności robotniczej, która jest szczególną formą owego instynktu wspólnoty, wrodzonego człowiekowi, a nie w marksowskim tłumacze-

niu jej przez wspólność interesów klasy robotniczej, w przeciwstawieniu do interesów pracodawców. Tłumaczenie to trzeba odrzucić, gdyż interes klasowy nie wyjaśnia wszystkiego, a przede wszystkim nie stwarza motywów etycznych. Na podstawie solidarności interesów proletariatu nie można budować nowej etyki, gdyż poczucie wynikające wyłącznie ze świadomości interesów, nie ma nic wspólnego z żadną etyką.

Solidarność klasowa jako wyraz poczucia moralnego sprawia, że kompleks upośledzenia społecznego przeobraża się z czynnika przygnębienia w czynnik entuzjazmu. Jednym ze składników a zarazem motorem tego przeobrażenia jest uczucie eschatologiczne, które

...wprowadza w grę instynkt, wybiegający poza dobrobyt osobisty, podczas gdy chęć zysku, instynkt samopoczucia a nawet instynkt stadowy wiążą się mniej lub bardziej ściślej z dobrobytem. Jest to instynkt pomocy społecznej.

Uczuciu eschatologicznemu De Man przypisuje doniosłość tak wielką, że twierdzi, iż bez niego nie można zrozumieć żadnego przekonania socjalistycznego. Ono decyduje o tym, że socjalizm jest wiarą i że jako dążność społeczna mas, oparta na wierze w lepsze jutro, ma charakter religijny. Tego uczucia, tej tęsknoty do „lepszego jutra” nie można stłumić pod grozą całkowitej demoralizacji człowieka i załamania się jego równowagi duchowej. Z oczekiwania eschatologicznego rodzi się

...tak znamienne dla stanu emocjonalnego klasy robotniczej uczucie właściwe każdemu przekonaniu socjalistycznemu, mianowicie odpowiedzialność moralna jednostki za całą wspólnotę ludzką.

Eschatologia socjalistyczna wytworzyła sobie swoistą symbolikę świecką.

Obok wspomnianych instynktów samopoczucia, spółnoty i pomocy społecznej badanie stanów uczuciowych robotnika musi uwzględniać jeszcze inne instynkty, jak instynkt posiadania, walki i konstrukcyjny. Racjonalizm marksowski, nie licząc się z instynktem posiadania u robotnika, przeczy oczywistej prawdzie, że „każdy

człowiek dąży nie do zniesienia własności, lecz do posiadania więcej własności, przynajmniej w tym rozumieniu, że chciałby rozporządzać nią w szerszym zakresie". Instynkt walki, łącząc się z instynktem społecznym, stwarza wolę socjalistyczną a zespolenie różnych form instynktu konstrukcyjnego z instynktem opieki społecznej daje szereg typów inspiracji socjalistycznej, z których najbardziej znamienne są: typ naukowy, ekonomiczny, narodowy i eugeniczny.

Socjalizm inteligencji.

Marksizm przecenia znaczenie chęci zysku i wskutek tego nie docenia przeciwieństw woli społecznej, wynikających ze starcia innych motywów. To sprawia, że nie uznaje on istnienia klasy inteligencji i nie umie sobie poradzić z zagadnieniem inteligencji, które od dawna według wyrażenia Bebla, stanowi ropiejącą ranę na ciele partii. Nieuznawanie inteligencji uniemożliwia w praktyce zrozumienie zasadniczych podstaw problemu państwa, a poza tym utrudnia socjalistycznemu ruchowi robotniczemu zrozumienie znamienych cech psychologicznych klasy pracowników umysłowych. A przedstawicielom tej klasy tak samo jak robotnikom nie obcy jest kompleks upośledzenia. I w nich także instynkty społeczne buntują się przeciwko niesprawiedliwemu ustrojowi społecznemu. Wskazawszy w ten sposób na źródło skłonności pracowników umysłowych do przekonań socjalistycznych, De Man ogłasza się rzecznikiem socjalizmu inteligencji. By mógł on powstać, trzeba w inteligencji obudzić wolę władzy, co równałoby się usunięciu kapitalizmu jako czynnika ustrojowego w społeczeństwie. Socjalizm inteligencji stałby się zbawienną przeciwwagą przeciw zmonopolizowaniu ruchu socjalistycznego przez klasę robotników przemysłowych, „a przez to samo — przeciwko kurczeniu idei socjalistycznej, utożsamianej dotąd z interesem klasowym proletariatu”.

Teoria poznania.

Racjonalizm marksowski tkwi korzeniami swymi w umysłowości XIX w. Natomiast najnowsza teoria socjali-

styczna De Mana opiera się na sposobie myślenia w. XX, który nazwano wiekiem psychologii. A ten wiek nie wierzy już, by poznanie mogło całkowicie pomieścić się w myśli logicznej. Sceptycyzm w stosunku do rozumu, ale sceptycyzm swoisty, taki, który jest lepszym punktem wyjścia na drodze prowadzącej z powrotem ku rozumowi, niż racjonalizm naszych przodków — oto postawa teoriopoznawcza twórcy nowego kierunku. De Man jest przekonany, że stwierdzając względność wiedzy naukowej, nie niszczy się samego pojęcia prawdy. Credo swoje w tym względzie wypowiada słowami:

Człowiek czerpie prawdę z innych jeszcze źródeł prócz nauki ścisłości. Za prawdę uważamy przede wszystkim to, co widzimy, czym jesteśmy, w co wierzymy. Ludzie znali prawdę na długo przed tym, zanim nauczyli się używać mikroskopów, teleskopów i retort.

Zgodnie z tym przeświadczeniem wielką rolę zarówno w życiu jednostki, jak i w życiu zbiorowym przypisuje pogardzanemu tak długo czynnikowi, któremu na imię — wiara.

Sądzę — pisze — że niedaleki jest dzień, gdy oportuniści polityczni przekonają się, że nieliczenie się z potrzebą wiary mas pozbawia ich najlepszego atutu. Ci, co uważają się za najchytrzejszych i sądzą, że mogą się obywać bez wiary, często okazują się w końcu najgłupszymi.

Zagadnienie kultury socjalistycznej.

Odrzucenie zasady hedonizmu ekonomicznego określa stanowisko De Mana w sprawie kultury socjalistycznej. Marksisci operują pojęciem kultury proletariackiej i powołują się na odpowiedni ustęp „Manifestu Komunistycznego”. Według uczonego belgijskiego kultura proletariacka jest bądź teoretycznym przemysłowaniem, bądź też pojęciem propagandowym ale na pewno nie jest rzeczywistością dnia dzisiejszego. Pojęcie proletariatu w znaczeniu pierwotnym i marksowskim i pojęcie cywilizacji wyłączają się wzajemnie. Nie jest prawdą, że walka klasowa stanowi dla proletariatu narzędzie budowy nowej kultury, zupełnie

różnej od kultury burżuazyjnej. Zbyt wielkie znaczenie przypisuje się klasie.

Cywilizacja, jako całokształt wspólnych sposobów pojmowania, jest sprawą epoki, nie zaś klasy.

Na treść kultury składają się pojęcia naukowe, filozoficzne, estetyczne, moralne i religijne. Wiedza nie podlega ocenie klasowej. To samo dotyczy filozofii. Jeżeli chodzi o odczuwanie estetyczne, to rzeczywistość wykazuje, że masa proletariacka nie tylko nie ma zrozumienia dla pionierskich osiągnięć dobrej sztuki socjalistycznej, ale odnosi się do niej niechętnie.

Wiem aż nadto dobrze z własnego doświadczenia — pisze autor — że klasa robotnicza uważa całą tę sztukę nie tylko za „zbyt wysoką”, ale też za niezrozumiałą i po prostu brzydką.

Co się tyczy etyki i religii, to prawdą jest, że położenie klasowe może wywierać na nie nawet znaczny wpływ, ale niemniej prawdą jest i to, że walka klasowa nie może nigdy stwarzać motywów moralnych, które nie istniały przed tą walką.

Trzeba się zgodzić z faktem, że masa proletariacka nie dba o wywody teoretyków, co to jest kultura proletariacka, ale po prostu próbuje naśladować burżuazję. Czyni to, gdyż odczuwa instynktownie jedność przewagi kultury i potęgi. De Man nie wierzy, by w hierarchicznie zorganizowanym ustroju społecznym mogła istnieć kultura mas inna, niż czerpiąca wzory z klas wyższych. Dlatego uważa, że

...trzeba uznać kulturę mas robotniczych za to, czym ona jest w istocie: za kulturę surogatów, naśladowującą drobne mieszczaństwo. I to nie tylko w tym znaczeniu, że masie robotniczej narzucono tę kulturę, lecz — co jest o wiele ważniejsze — że nie pragnie ona żadnej innej.

Nie należy jednak wyrzekać się socjalistycznych tendencji przeciwnych. Przed socjalizmem stoi wzniosłe zadanie wychowawcze i konieczność stwarzania dla mas warunków materialnych, niezbędnych dla wszelkiej cywilizacji w ogóle, a więc i dla przyszłej cywilizacji socjalistycz-

nej. Zadanie wychowawcze winno być realizowane przez kierowniczą elitę duchową.

Od kosmopolityzmu do socjal-patriotyzmu.

Wszystko wskazuje na to, że w przyszłości będziemy mieli cywilizację światową. Ta cywilizacja powszechna będzie organiczną syntezą różnych cywilizacji narodowych. Nie ma do niej innej drogi niż przez cywilizacje narodowe. Są dane, pozwalające wierzyć w lepszą przyszłość. Ale przede wszystkim trzeba się liczyć z obecną rzeczywistością. A dziś wszelka kultura jest narodowa. Masy mają w niej swe uczestnictwo. Im bardziej przyswajają sobie kulturę narodu, tym silniej zaznacza się narodowy charakter ich własnej kultury. Nie trudno wykazać, że

...każdy ruch robotniczy, w miarę jak zdobywa wpływ na państwo narodowe, staje się przez wolę potęgi ostoją obrony państwa i narodowości.

A to samo dotyczy socjalizmu.

Im bardziej socjalizm staje się nosicielem idei państwa, tym bardziej staje się też nosicielem idei narodu, przejawiającej się w państwie.

Nie da się zaprzeczyć, że dokonywa się ewolucja, wypierająca motyw kosmopolityzmu socjalistycznego przez motyw socjal-patriotyzmu. Przeczy temu wbrew oczywistości tylko marksizm, który upiera się, by z abstrakcyjnej powszechności interesu klasowego wysnuwać wniosek o istnieniu jednej powszechnej woli politycznej. Doktrynerstwo nie pozwala mu dostrzec, że uczucie narodowe jest istotną częścią składową treści uczuciowej socjalizmu w każdym kraju i że staje się ono coraz mocniejsze.

Etyka.

Determinizmowi marksowskiemu, osłabiającemu wiarę w obowiązek moralny, socjalizm psychologiczny przeciwstawia konieczność liczenia się z istnieniem woli, której pochodzenie jest natury etycznej. Źródła

tej woli wytryskają z głębin istoty moralnej człowieka. Wiedza musi uznać moralną istotę człowieka

...za daną, której przeobrażenia można opisać, ale której treści nie można poznać, a tym mniej uzasadnić.

Jedyna wiedza, która może rościć sobie prawo do kierowania naszymi obowiązkami, to wiedza dobrego i złego, czyli sumienie. Ono jest tą siłą, której nie można już rozłączyć na inne składniki, ono jest boskim pierwiastkiem duszy. I w życiu społecznym siły moralne wiary zawsze zwyciężają. Zgodnie ze swym przekonaniem, że uzasadnienie etyczne jest jednocześnie najlepszą i jedyną polityką realną, De Man domaga się umocnienia przekonania socjalistycznego przez świadomość etyczną i religijną. Nie do przyjęcia jest postawa marksizmu, który do wyżyny przykazania moralnego podnosi interes gospodarczy. Socjalizm winien głosić moralność wolności i tolerancji. Toteż z potępieniem i to bezwzględny musi się spotkać wszelki gwałt i wszelka przemoc. Pojmując w ten sposób obowiązki moralne jednostki i zbiorowości, De Man nie może przyjąć militarystycznej koncepcji rewolucji. Odrzuca też ją stanowczo i zaznacza, że wierzy za to w rewolucję, która przekształci nas samych. Potępia również dyktaturę.

Stosunek do chrześcijaństwa.

Etyka socjalizmu psychologicznego, szukająca normy moralności poza Bogiem i znajdująca ją w instynkcie istoty społecznej, „który jest źródłem wszelkiej moralności”, tworzy jeden z systemów tzw. etyki niezależnej. Jaki jest stosunek tej nowej teorii socjalistycznej do idei Boga? Cokolwiek przyjdzie na ten temat powiedzieć, trzeba stwierdzić, że twórca jej wierzy w Boga. Dowodem poniższe wyznanie:

Jest w tym coś wzruszającego i wzniosłego, że wystarczy zgruntować duszę dość głęboko w jakimkolwiek kierunku — nawet jeżeli zrazu ma się na uwadze tylko jej naturę zwierzęcą — a zawsze natrafi się na to, co w duszy tej jest boskiego. Co prawda nie trzeba było na to psychoanalizy, żeby stwierdzić siłę wiary w dobro i zło. Lecz jakże świetnym potwierdzeniem po-

przednich poznań intuicyjnych i zarazem jak cennym świadectwem głębokości metody psychoanalizy jest fakt, że nie musi ona mówić o Bogu tak, jak mówił kiedyś Lalande: „Mogę się obejść bez tej hipotezy”, lecz musi mówić właśnie: „nic nie jest w człowieku bardziej rzeczywiste, niż boska siła prawa moralnego”.

Z treści dzieła wynika, że De Man głęboko odczuwa potrzebę religii. Dowodem często powtarzane żądanie umocnienia przekonania socjalistycznego przez świadomość religijną i wypowiedziane w zakończeniu wyznanie głębokiej wiary osobistej, że nastąpi odrodzenie duchowe socjalizmu, które

...rychło przywiedzie masy od panoszącego się dziś cynizmu materialistycznego do żarliwości religijnej, która ożywiła socjalizm w jego początkach.

Można więc przyjąć, że tej nowej koncepcji socjalizmu nie obca jest wiara w Boga. Natomiast na podstawie materiału dostarczonego przez dzieło trudno byłoby określić bliżej tę wiarę i powiedzieć na pewno, czy przedmiotem jej jest Bóg transcendentny czy immanentny. Głęboka sympatia dla chrześcijaństwa, ustawiczne wykazywanie, co socjalizm zawdzięcza chrześcijaństwu, podkreślanie tożsamości podstaw psychologicznych socjalizmu i chrześcijaństwa, przekonanie o istnieniu wspólnej formy odczucia, chrześcijańskiej i socjalistycznej, wymogi etyczne w rodzaju: musimy socjalizować samych siebie, co ma znaczyć — musimy dążyć do doskonalenia siebie, wreszcie wyniesienie wartości moralnych ponad wszelkie inne wartości — wszystko to pozwala przypuszczać, że Bóg socjalizmu psychologicznego jest jednak Bogiem takim, jak Go pojmuje chrześcijaństwo.

Mimo tej wiary nowa doktryna jest bezbożna w tym znaczeniu, że zupełnie obchodzi się bez chrystianizmu. Jej religia jest religią czysto przyrodzoną. Religią jest dla niej socjalizm, a jeżeli jeszcze nie jest, to powinien być w przyszłości. De Man świadomie nie staje na gruncie Objawienia i w poszukiwaniu rozwiązań tajemnicy bytu wyrzeka się drogi metafizycznej. Obiera drogę poznania naukowego, choć wie o całej jego niedoskonałości.

Jeżeli się weźmie pod uwagę, że w imię ateistycznego marksizmu prowadzona jest dziś krwawa i okrutna walka z religią, że winę za to barbarzyńskie prześladowanie ponosi nie tylko marksizm skrajny, to znaczy komunizm, ale także i ten drugi bardziej umiarkowany, to znaczy socjalistyczny, jeżeli weźmie się to pod uwagę, to w tej ewolucji, która odbywa się dziś w łonie socjalizmu od ortodoksji marksowskiej do teorii psychologicznej, nie można nie widzieć pewnego zbliżenia ku chrześcijaństwu. Socjalizm psychologiczny nie jest jeszcze prądem chrześcijańskim, ale ten prąd już znalazł się w zasięgu oddziaływania idei chrześcijańskiej.

Dr Apolinary Żukowski.

Prześladowani katolicy angielscy i szkoccy, w Polsce XVI wieku.

W ostatniej ćwierci XVI wieku szczególnie wybitnego znaczenia nabrały w stosunkach polsko-brytańskich motywy religijne. Chodziło teraz nie, jak przed laty, o podejrzanych o luteranizm, ale wręcz przeciwnie, o katolików, wobec których, jako „rekuzantów” (tj. odmawiających uczestnictwa w nabożeństwach anglikańskich), stosować zaczęto w Anglii surowe represje. Nie inaczej było i w Szkocji, gdzie już parlament 1560 r. uznał zarówno odprawianie, jak słuchanie Mszy św. za przestępstwo, które po trzykrotnym udowodnieniu karane miało być śmiercią. W różnych katolickich krajach kontynentu zaroilo się wtedy od religijnych emigrantów z Anglii i Szkocji. Znalazło się ich sporo i w Polsce. Pierwszym, zdaje się, z Polaków, który nawiązał z nimi stosunki, był Stanisław Hozjusz. Była to, jak wiadomo, wśród ówczesnych dostojników Kościoła wielka prawdziwie postać (św. Piotr Kanizjusz nazwał go „najznakomitszym teologiem i najlepszym biskupem swoich czasów”), zajmował też w hierarchii kościelnej bardzo wysokie stanowiska (dość przypomnieć, że był jednym z najbardziej wpływowych członków Kurii papieskiej, że jako kardynał-legat brał udział w soborze frydenckim, od roku zaś 1573 był wielkim penitencjariuszem), a losy katolicyzmu w Anglii przejmowały go szczególnie. W młodości już zaprzyjaźnił się Hozjusz w Padwie z Reginaldem Pole, późniejszym kardynałem i arcybiskupem Canterbury, z którym przez długie lata potem korespondował. W latach późniejszych,

w Rzymie, wszedł w bliskie stosunki z licznymi uchodźcami angielskimi. Jego sekretarz i biograf Stanisław Reszka jako tych, z którymi go łączyła przyjacielska zażyłość, wymienia — spośród duchownych: Tomasza Goldwella, Mikołaja Sandersa, Tomasza Stapletona, Williama Allena, Alana Cope i Owena Lewisa; — spośród świeckich zaś: Ryszarda Nortona, Sir Francisa Englefielda, Sir Tomasza Copley i Sir Ryszarda Shelleya. Wszystko to były osobistości niepospolite i niepospolitego znaczenia. Tomasz Goldwell, biskup diecezji St. Asaph, był ostatnim żyjącym przedstawicielem katolickiej hierarchii kościelnej Anglii. Tomasz Stapleton słynął jako świetny teolog i polemista. Kardynał William Allen należał do pierwszych duchownych angielskich, którzy — po wstąpieniu na tron Elżbiety i ogłoszeniu o usunięciu z Anglii religii katolickiej — zrezygnowali ze swoich stanowisk. Alan Cope był kanonikiem przy kościele św. Piotra w Rzymie, poetą łacińskim i teologiem. Owen Lewis, biskup Cassano, miał sławę świetnego znawcy prawa kanonicznego, był profesorem tego przedmiotu w Douai (gdzie emigranci angielscy założyli studium teologiczne), potem zaś zorganizował seminarium angielskie w Rzymie. Stary Ryszard Norton miał w Anglii pozycję niezmierznie wpływową za Henryka VIII i Edwarda VI, i nawet jeszcze w pierwszych latach panowania Elżbiety był szeryfem hrabstwa Yorku. Taką godność w Berkshire i w hrabstwie Oxford piastował pozbawiony później praw i majątku Sir Francis Englefield. Innego typu postacią był Sir Tomasz Copley: za młodu protestant, w opozycji przeciwko rządowi Marii Tudor i Filipa, później nawrócony na katolicyzm, cierpiał zań w więzieniu, kiedy zaś kraj opuścił, był powszechnie uważany za wodza uchodźców angielskich. Sir Ryszard Shelley wreszcie był rycerzem zakonu św. Jana i ostatnim tego zakonu wielkim przeorem w Anglii; towarzyszył mu zaś na wygnaniu bratanek, imieniem Ryszard również, który miał być później uwięziony i zginąć za wiarę w więzieniu Marshalsea. Takie było koło przyjaciół angielskich Hozjusza. Jeśli zaś wierzyć słowom Reszki, nie byle jaka była to przyjaźń. *Alium re*, czytamy w jego entuzjastycznej łacinie, *alium consilio, alium*

commendatione, omnes vero charitate christiana sublevabat, tanquam Christum ipsum in illis exultantem et egentem aspicere. Starał się (jak z tejże relacji wynika) o znaczne dla uchodźców sumy pieniędzy u papieża Piusa V, a i sam, jak mógł, wspomagał niektórych z nich, zarówno w Rzymie, jak we Flandrii i Francji. „By ograniczyć się do samych tylko Anglików — pisze jeden z nich, jezuita Mikołaj Sanders — któż z nich kiedykolwiek przybywszy do Rzymu z jakiegokolwiek części świata, nie znalazł gościny w domu hożjuszowym?” Tenże Sanders, głośny później polemista i historyk, był zabrany przez Hozjusza na sobór trydencki, potem zaś towarzyszył mu do Polski, gdzie Hozjusz miał realizować uchwały soboru. Wielkie dzieło Sandersa *De Visibili Monarchia Ecclesiae* (1571), zawierające między innymi najwcześniejszy zarys historii prześladowania katolików w Anglii, jest zaopatrzone w list dziękczynny do Hozjusza (przy czym nazywa go Sanders *cardinalis meus*).¹⁾

Nie trzeba może przypominać tych stosunków osobistych, by wy tłumaczyć zainteresowanie Anglików dla pism Hozjusza, które były współcześnie czytane w całej Europie. Zasługuje wszelako na uwagę, że dwa z nich, *De origine haeresium nostri temporis* i *De expresso Dei verbo*, były wydane w przekładzie angielskim (1565 i 1567 r.), głośny zaś teolog purytański William Fulke wystąpił przeciwko jednemu z nich w r. 1578 w osobnej broszurze polemicznej.²⁾

Jednym z pierwszych dzieł Hozjusza po soborze trydenckim było założenie pierwszego w Polsce kolegium jezu-

¹⁾ O Hozjuszu i jego stosunkach angielskich: życiorys pióra Reszki we wstępie wyd. *Hosii epistolarum* t. I. Kraków 1879 (*Acta Historica* t. IV) s. LXXXIV etc.; Ks. J. Umiński: *Opinie o cninach, świętobliwości i zasługach S. Hozjusza*, Lwów 1932; *The Catholic Encyclopaedia*, ed. Ch. G. Herbermann, Edw. A. Pace etc., 15 t., N. York (R. Appleton Co.); *Dictionary of National Biography* sub. verb. Sanders i Copley; J. Gillow: *A Literary and Biographical History, of Bibliographical Dictionary of the English Catholics, from the breach with Rome, in 1534, to the present time*, 5 t. Lond. 1885 i n.

²⁾ Hosius: *A most excellent treatise of the begynnynge of heresy in oure tyme*, Antwerpia 1565; Hosius: *Of the Exprese Worde of God*, Louvain 1567; Gulielmi Fulconis Angli, *ad Epistolam St. Hosii Varmiensis Episcopi de Expresso Dei Verbo, Responsio*, Lond. 1578 (odpis tej broszury w bibliotece Muzeum XX Czatort., rps. 2019, s. 97—100).

ickiego. Na jego siedzibę wybrał Brunsbergę, stolicę swojej diecezji Warmińskiej.¹⁾ Już w roku 1564 na skutek jego starań wyruszyło tam z Rzymu (nb. pieszo) trzech jezuitów, z których jeden był Szkotem. Nazywał się on Robert Abercrombie; jako wygnaniec jednak używał czasem, dla tajności, innych nazwisk (Sanders, Robertson), w wielu zaś dokumentach nazywany jest po prostu Robertus Scotus. Spędził on w Brunsberdze 23 lata: 10 lat jako kapłan kolegium, 13 jako magister nowicjusów. Kiedy nowicjał z Brunsbergi został przeniesiony do Krakowa i on z nim podążył, by się tam znaleźć pod zwierzchnictwem Piotra Skargi. Skarga nie widział w nim tęgiego nauczyciela i martwił się, że z nowicjuszami (których było do trzydziestu) słabo sobie radę daje; osobiste jednak ich stosunki były, zdaje się, bardzo przyjazne; jeden zaś szczegół z korespondencji Skargi świadczy charakterystycznie o lojalności szkockiego jezuity dla kraju, w którym przebywał. Kiedy mianowicie Possewin w broszurze o Moskwie wyraził się obraźliwie o Polakach i kanclerz gwałtownie odczuł tę obrazę, „ojciec Robert“ doradził Skardze (1586) zwrócenie się do generała jezuitów z prośbą, by zapobiegł niebezpieczeństwu i skandalowi. W r. 1588 Abercrombie udał się na pracę misyjną do Szkocji i pozostał tam lat blisko dwiętnaście. Jemu to przypisywano nawrócenie na katolicyzm Anny duńskiej, żony króla Jakuba (VI szkockiego, a I angielskiego). Wysoka nagroda została wyznaczona za jego schwytanie; umiał się jednak ukrywać. Kiedy wszelako w r. 1606 parlament szkocki uchwalił prawo, karzące konfiskatą majątku i śmiercią za przechowywanie kapłanów katolickich przybyłych z zagranicy, powrócił do Brunsbergi i tu umarł (1613), dożywszy lat 80. Prowincjał litewski jezuitów wysłał na jego miejsce dwu młodych księży do Szkocji.²⁾

¹⁾ O kolegium w Brunsberdze: ks. St. Załęski: *Jezuici w Polsce*, Krak. 1900—06, t. IV s. 17 etc.; Karl Benrath: „Die Ansiedlung der Jesuiten in Braunsberg“, *Zeitschrift des Westpreussischen Geschichtsvereins*, Heft XL (1899), s. 1. 106; Ludwig Koch: *Jesuiten-Lexicon*, Paderborn 1934; Th. A. Fischer: *The Scots in Germany*, Edynburg 1902, s. 298 (podaje spis Szkotów, którzy byli uczniami kolegium).

²⁾ O Abercrombiem: art. T. J. Campbella w *The Catholic Encyclopedia*, Załęski l. c. IV 24; Rostowski: *Lithuanicarum Soc. Jesu historiarum*

Innym głośnym nauczycielem kolegium brunsberskiego był Anglik, Ryszard Singleton, pochodzący z hrabstwa Lancaster, a wychowany i wyświęcony w Rzymie. Jezuiti uważali go za szczególnie zdolnego teologa. Pierwszy wykład z jego kursu filozofii (w r. 1592) był szczególnie uroczystą chwilą w życiu kolegium, na którą zjechało wielu dostojników kościelnych, panów i szlachty, nie tylko z pruskich województw. Singleton był później mianowany profesorem Akademii Wileńskiej (która, jak wiadomo, była również uczelnią jezuicką). I jego jednak gorącym pragnieniem była praca misyjna w ojczyźnie. Prosił generała jezuitów, by go do niej przeznaczył; w oczekiwaniu odpowiedzi umarł w Wilnie w czasie zarazy w 1602 r. Jego pogrzeb był manifestacją głębokiej żałoby ze strony mieszkańców miasta, a zwłaszcza studentów, wśród których zdobył wielką sympatię.¹⁾

W spisach uczniów kolegium brunsberskiego raz po raz spotykamy nazwiska szkockie: Szkotów naliczono trzydziestu w okresie lat sześćdziesięciu trzech. Niektórzy z nich, jak możemy wnosić z notat, którymi te spisy są opatrzone, „powrócili do swego kraju“, jeden został żołnierzem, ci i owi po prostu „uciekli“, lecz niektórzy otrzymali święcenia, jak np. William Abercrombie, o którym pod rokiem 1610 czytamy: *missus est in patriam, ubi fructificavit inter catholicos*, albo James Lindsay, który również został jezuitą i w Szkocji miał skończyć swoje życie.

Szkockie i angielskie nazwiska spotykamy też pośród uczniów kolegium wileńskiego. Niektóre z nich widnieją w spisach autorów zbioru poezyj łacińskich, którymi w r. 1604 uczczono uroczystość podniesienia kości św. Kazimierza. Nie brak też było Anglików i Szkotów wśród nauczycieli. Zanim jeszcze została założona akademia, magistrem reto-

libri decem, I, Paryż 1877, 254; H. Foley: *Record of the English Province of the Society of Jesus*, Roehampton 1877 i nast., VII, 2; Benrath l. c., s. 16; Skarga: *Listy z lat 1566—1610*, wyd. ks. Jan Sygański, Krak. 1912, s. 236, 247 i passim; raport agenta ang. w Gdańsku Patricka Gordona z dn. 29. X 1610 w rps. lond. Public Record Office (SP. 88/2).

¹⁾ O Singletonie: Foley l. c., Rostowski l. c.; M. Baliński: *Dawna Akademia Wileńska*, Petersb. 1862, s. 76.

ryki w gimnazjum jezuickim był Szkot John Hay. Wśród profesorów akademii, obok wspomnianego już Singletona, spotykamy dwu jeszcze jezuitów angielskich: Faunta i Bosgrave'a.

Artur Laurence Faunt pochodził z hrabstwa Leicester. Młodo wysłany na studia do Lowanium, w 17 roku życia został jezuitą. Studiował potem jeszcze w Rzymie, a w r. 1579 (dwudziestopięcioletni wówczas) został wysłany do Polski, by nauczać w świeżo wtedy założonym kolegium w Poznaniu. Uczył teologii i greki, zasłynął jednak przede wszystkim jako polemista i uczestniczył w wielu publicznych dysputach z protestantami. W r. 1589 wygłosił mowę wstępną na synodzie prowincjonalnym w Gnieźnie. Szczególnym celem, który sobie postawił, było nawracanie magnatów protestanckich, wśród których jako uczony i ofiara prześladowania religijnego cieszył się wielkim szacunkiem. Pisał między innymi także na tematy Polski dotyczące (jak np. *De controversiis inter ordinem ecclesiasticum et saecularem in Polonia*, 1587). Bibliografia Estreichera wymienia cały szereg dzieł jego drukowanych w polskich oficynach. Wezwano go potem do Wilna, gdzie miał wykładać teologię scholastyczną. Pracę tę jednak przerwała niebawem (1591) śmierć Faunta w wieku lat 37.¹⁾

Najbardziej wszelako dramatyczne były losy Jamesa Bosgrave'a. Pochodził on z Godmanstone w hrabstwie Dorset (ur. 1547 r.) ze znanej i szanowanej rodziny szlacheckiej. Jako dziecko był wywieziony na kontynent, gdzie otrzymał wychowanie katolickie, odbył studia w Rzymie i został jezuitą. Otrzymawszy święcenia w Ołomuńcu na Morawach, skierowany został do Polski, gdzie pracował jako nauczyciel kolejno w Krakowie, Poznaniu i Brunsberdze, aż wreszcie został mianowany profesorem matematyki w Wilnie. W r. 1580 z rozkazu generała jezuitów udał się Bosgrave do Anglii. Wyprzedził go jednak raport posła angielskiego z Polski, który donosił, że jest to papista,

¹⁾ O Hayu i Fauncie: M. Baliński l. c., s. 41, 76 (mylnie tam nazwisko podane jako Fauntney); Foley l. c., VI 527, II 286; Załęski l. c. I 758.

szpieg, „wróg obecnego rządu“, a przez papieża już dawniej używany był *in rebus maximis*. To też ledwo Bosgrave wysiadł z okrętu, został aresztowany i niebawem znalazł się w więzieniu Marshalsea. Nie widziawszy Anglii od dziecka, nie znał stosunków, zapomniał nawet trochę języka, bronił się bardzo niezręcznie; przewieziono go więc do Toweru i badano drogą tortur. Oskarżony o zdradę wraz z głośnym Edmundem Campionem i innymi, uznany był za winnego i wraz z nimi skazany na okrutną śmierć (zwykle wtedy w takich wypadkach w Anglii stosowaną) przez powieszenie, odcięcie za życia od szubienicy, wyprucie wnętrzności i rozćwiartowanie („I niech się Bóg zechce zmiłować nad waszymi duszami“: taką pobożną formułą kończył się wyrok). W tym jednak czasie Batory wystąpił w jego sprawie do Elżbiety, wyrażając nadzieję, że królowa angielska zrozumie, czym jest dla uniwersytetu tak długa nieobecność profesora i „jak dalece sprawa nauki cierpi na tym?“ Wyraził też zdziwienie, że Bosgrave („mąż wielkiej pobożności i wiedzy“) został uwięziony jedynie z powodu swojej wiary. W związku z tym upewniał królowę, że wszyscy jej poddani, którzy przybywają do Polski, mają zupełną swobodę bez względu na to, jakiego są wyznania, i wypowiadał nadzieję, że ta swoboda będzie odwzajemniona przez takie samo traktowanie katolików w Anglii. List ten, jak się zdaje, zaoszczędził Bosgrave'owi losu męczennika. Na krótko przed terminem egzekucji został uwolniony. Wraz z dwudziestu innymi spośród współoskarżonych, wzięto go na okręt i wysadzono na brzegu normandzkim. Ze zdrowiem zniszczonym wrócił do Polski, by tu spędzić resztę życia. Umarł około r. 1621.¹⁾

Jeden z towarzyszy jego londyńskich męczarni John Hart, człowiek, którego współcześni (np. historyk Camden) wysoko cenili za uczoność, uwolniony na chwilę przed każ-

¹⁾ O Bosgrave'ie: M. Baliński l. c., s. 88, 438; Załęski l. c., I 331; Foley l. c., III 279, 290, 773; raport Rogersa, jak niżej; list Batorego z 29. I 1583 w rps. P. Record Office (SP. 88/1 nr 21), ogłosz. przez Balińskiego (j. w.), a w przekładzie ang. w *Calendar of State Papers: Foreign* 1583 (Add. nr 707). A. Warschauer, *Mitteilungen aus der Handschriften-sammlung des British Museums*, Lipsk 1909, s. 17, mylnie ten list datuje.

nią, po dłuższych wędrówkach, zostawszy jezuita, również osiadł w Polsce i dokonał życia w Jarosławiu.¹⁾

Mniej głośniejszych emigrantów katolickich z Anglii i Szkocji musiało być w Polsce wcale dużo. Raz po raz trafiamy na wzmianki o nich w źródłach historycznych. Oto np. Reszka przedstawia w r. 1583 papieżowi *Scotum adolescentem*, który przybył do Rzymu z listami króla polskiego; w roku następnym znowu *Thomas Anglus*, jezuita, przybywa do Polski z listami od Possewina. Possewin sam w piśmie do papieża z tego czasu (1583) mówi o mnogości Anglików-katolików w Elblągu, a nawet w Rydze, i doradza zużycie ich w szkolnictwie litewskim i inflanckim. Znany nam już Robert Abercrombie pisze w r. 1607 do biskupa warmińskiego w sprawie młodego Szkota Williama Ruana, nawróconego na katolicyzm. Wiadomości podobnych dałoby się zebrać wiele.²⁾

Dzięki tym wygnańcom kolegia jezuickie w Polsce stawały się w pewnej mierze ośrodkami kultury angielskiej. Kiedy Zygmunt III odwiedzał Wilno w r. 1589, Akademia tamtejsza wydała zbiorek wierszy panegirycznych (*Gratulationes S-mo ac P-mo Principi Sigismundo III in optatissimo et felicissimo S. R. M. suae in Vilnam adventu factae*), ułożonych przez studentów w różnych językach. Między innymi znalazł się tu i wiersz angielski (*To the Realme and People of Poolande*); pierwszy zapewne w tym języku utwór, jaki w Polsce ogłoszono. Składa się on z trzech tylko zwrotek czterowierszowych i jest, trzeba przyznać, dość koślawy; autorem jego był Polak na pewno, bo lista współpracowników na końcu zbioru same tylko polskie nazwiska zawiera.³⁾

Identyfikacja tych emigrantów religijnych jest nieraz bardzo trudna, gdyż często przybierali zmyślane nazwiska, aby wymknąć się uwadze szpiegów i posłów angielskich. Ci ostatni musieli mieć ściśle instrukcje co do zbierania

¹⁾ O Harcie: Foley l. c., II 326 (tam wymienione inne źródła).

²⁾ Wzmianki drobne o katolikach ang. i szkoc.: St. Reszka: *Diarum 1583–1589*, ed. J. Czubek, Krak. 1915, s. 261, 78; A. Possevino: *Livoniae commentarius*, Ryga 1852; list Abercrombiego z 15. XI 1608 do biskupa Sz. Rudnickiego w bibliot. Muz. XX Czart., rps. 1630, p. 283.

³⁾ *Gratulationes etc.* Wilno 1589, 4-o, kart 34. Egzemplarz w Bodleianie; odpis u Czartoryskich (rps. 2019).

informacji o rekuwantach. Jeden też przynajmniej z nich wykazał w tym zakresie niepospolitą gorliwość, mianowicie dr John Rogers, poseł z r. 1580—1581. Przedsięwziął on zwłaszcza „metodyczne poszukiwania” z „podstępami” (według własnych jego wyrażen) celem skompromitowania Bosgrave’a. Wykrył istotnie wszystkie miejscowości, w których ten przebywał, i wszystkie fałszywe nazwiska, które przybierał. W porę też, jak wiemy, wysłał raport, oskarżający go o zdradę. Raport ten daje nam wyobrażenie, w jaki sposób tego rodzaju wywiady były wówczas robione. Zaczęło się od zbierania wiadomości okólną drogą (nie tylko w Polsce), potem przyszło spotkanie w podróży i przejęcie listów; później, będąc w Królewcu, Rogers tak ułożył swoją marszrutę, by móc wstąpić do Brunsbergi. Tu, zjawiwszy się w kolegium, aby pozyskać zaufanie, oświadczył na wstępie, że „katolicy angielscy i irlandzcy martwią się długą nieobecnością jego drogiego przyjaciela, który nazywa się czasami James Leonard, James Bosgrave etc.”; dodał, że przywiózł dla niego 100 talarów i kilka innych przesylek. Bosgrave’a już wtedy w Brunsberdze nie było. Przy tak świetnej służbie wywiadowczej trudno się dziwić, że go aresztowano, jak tylko znalazł się w porcie angielskim. Nie był on jednak jedyną osobą, która w Brunsberdze interesowała posła angielskiego. „W tym samym kolegium”, pisze Rogers w dalszym ciągu swego raportu, „znalazłem fałszywego Szkota, który się nazywa Dawid Gud z Berwick; od niego dowiedziałem się, że Robert Abercrombie z Fife wyjechał ostatnimi czasy do Szkocji, skąd ma się udać do Anglii... Był też w tym kolegium 80-letni William Good, jawny papista i bezwstydný zdrajca, mający wielkie łaski u papieża”. Ów Good miał być także „prawą ręką kardynała Stanisława Hozjusza, z którego rozkazu dano mu pomieszczenie w kolegium”. Z tych dwóch pensjonariuszy brunsberskich wyciągnął Rogers nazwiska jeszcze innych Szkotów wysłanych na misję. Sprawdził te wiadomości jeszcze i uzupełnił w Elblągu. Nie poprzestając zaś na raporcie do Londynu, poczynił jeszcze kroki u Mikołaja Radziwiłła (Rudego), wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego i kanclerza W. Księstwa Litewskiego (o którym powiada, że

był „rzetelny ewangelik“ i „przyjaciół narodu angielskiego“), aby „w razie gdyby rzeczony Bosgrave, Broke i inni powrócili, polecił schwytąć ich i należycie ukarać“. Szczytem jednak ognistej i metodycznej gorliwości dr. Rogersa była o pół roku późniejsza poufna nota „o jezuitach“, dołączona do jego raportu z dn. 4. IV 1581. Przedstawiała ona Walsinghamowi listę dziesięciu nazwisk jezuitów angielskich i ich przyjaciół, i to nie przebywających na kontynencie, ale w Somersetshire, w Oxfordzie, a nawet w śródmiejskich dzielnicach Londynu, w Newgate, Smithfield, koło Fishmongers' Hall etc., choć wiadomości o nich zdobyte były w Polsce. O niektórych nie mógł się Rogers dowiedzieć, gdzie mieszkają, zaznaczał jednak, że musi to wiedzieć Bosgrave, albo Henryk Finch (wymieniony na liście jako ten, który pośredniczył jezuitom w korespondencji i zbierał na nich składki). Prawdopodobnie dokładniejsze o nich wiadomości starano się wymusić na Bosgrave'ie torturami. Szczególnie charakterystyczny jest następujący ustęp raportu: „Partridge, złotnik z Cheapside, naprzeciwko krzyża, ma syna w Wilnie i nie może (jeżeli prawdą jest wszystko, co tu słyszę) nie wiedzieć o jezuickich »towarzyszach«. Jego syn jest ich zwolennikiem“. Arcywzór wywiadowców, Rogers kończył swoje konfidencyjne pismo słowami: „Jeżeli czas dostarczy innych nazwisk, nie ukryję ich przed Waszą Miłością. Nie przeszkodzi to moim innym zajęciom“. ¹⁾

Z późniejszych czasów nie znamy tego rodzaju raportów. Może to sprawa przypadkowego ich zaginięcia. Może jednak późniejsi posłowie byli już ludźmi mniejszej zaciętości a rozleglejszych horyzontów. Może też i to miało swoje znaczenie, że w późniejszych latach sprawy represyj religijnych w Anglii i przebywania katolików - emigrantów w Polsce stały się w większej mierze przedmiotem jawnej polemiki i dyplomatycznych interwencji. Tak naprz. władze miejskie Elbląga doniosły królowej Elżbiecie (w piśmie z dn. 31. III 1583) o publikacjach, szerzonych przez nuncjusza, a mówiących o tym, że księża jezuici ciężko cierpią za

¹⁾ Raporty Rogersa z 10. X 1580 i 4. IV 1581 w P. Record Office (SP. 88/1 nr 7, IIa), streszcz. w *Calendar of State Papers, Foreign* 1583 (Add. nr. 590, 616).

swoją wiarę w więzieniach angielskich; oni, Elblązanie, temu nie wierzą; zwracają się więc do królowej z prośbą, by jej wysłannik był dobrze o prawdzie powiadomiony, aby w razie potrzeby mógł odpiierać fałszywe zarzuty. W r. 1584 Batory, przyjmując w Grodnie posła angielskiego Herberta, osobiście się wstawiał za katolikami w Anglii. Działalność jezuitów w Polsce i uprawiana przez nich „bezkarna” krytyka rządów Elżbiety wspomniane też były w odpowiedzi udzielonej przez radę tajną angielską w r. 1597 posłowi polskiemu Działyńskiemu.

Dwa lata wcześniej, przebywający w Polsce poseł angielski dr Parkins doniósł do Londynu, że w Krakowie ukazała się książka o swobodzie religii z obelżywą wzmianką o królowej Anglii i że równocześnie powiadomiono go, że „kaznodzieja królewski poruszał wielokrotnie takie tematy w jego własnej obecności”; wobec czego „poczynił starania, aby królowi zwrócono na to uwagę”. Kaznodzieją królewskim był wtedy nie kto inny, jak Skarga. On też, nie kto inny, był autorem wspomnianej przez Parkinsa broszury *Proces Konfoederaciy* (Kraków 1595), w której Elżbieta nazwana była „jawną wszetecznicą, i krwią ludzką męczenników Chrystusowych i poddanych nienasyconą”.

W późniejszych latach, za Jakuba I, często wstawiano się z Polski za katolikami angielskimi. Istnieją np. w tej sprawie listy Zygmunta III i Zamoyskiego z r. 1604 (sam papież zresztą prosił króla polskiego o tę interwencję). W r. 1616 był w Anglii syn Zamoyskiego i na jego wstawiennictwo uwolniono jezuیتę angielskiego Fludda, związanego z kolegium w Brunsberdze, a więzionego w Gatehouse (pod warunkiem, że do Anglii nie wróci).¹⁾

¹⁾ Interwencje dyplomatyczne: list Elblązan do Elżbiety z 31. III 1583 w P. Rec. Office (SP. 88/1 nr 23); Załęski l. c. I 370; Privy Council w odpowiedzi Działyńskiemu, P. Rec. Off. (SP. 88/2. 13. VIII 1597); relacja Parkinsa z 1595 r. w rps. British Museum (Nero. B. II. f. 222 v.); papież Klemens VIII do Zygmunta III w 1603, kopia w rps. Czartor. 1623, s. 242; kopia listu Zamoyskiego do Jakuba I, tamże; streszcz. listu Zygmunta III do Jakuba I z 31. I 1604, *Calendar of State Papers, Domestic*, 1603—1610, p. 72; sprawa Fluda: *Acts of the Privy Council of England* 1615—1616, p. 638; raport P. Gordona z 29. X 1610 w P. Rec. Office (SP. 88/2).

Nie wszyscy uchodźcy byli niezłomni. W r. 1593 niejaki William Poole (Gulielmus Polus) wracał z Gdańska do Anglii i zaopatrywał się w pisma stwierdzające, że słuchy o jego związkach z jezuitami są czystym fałszem. Zdradził jezuitów ich wychowanek, już wspomniany dr Christopher Parkins (o którym szerzej przy innej sposobności). W r. 1615 wrócił do Anglii niejaki Floyd i zeznał, że niechęcił się do jezuitów, bo więcej zajmowali się polityką, niż religią; potępiał drukowane w Polsce książki, zawierające obelgi na panujących w Anglii; zarzekał się, że nigdy z ich autorami nie rozmawiał; upewniał, że nie był w Brunsberdze ani w r. 1609, ani 1610, a jeśli tam co drukował, to tylko rozprawy filozoficzne i mowę o św. Bernardzie.¹⁾

Jak było naprawdę, stwierdzić trudno. To pewna, że nie brakło w Polsce publikacji, przedstawiających i surowo oceniających postępowanie rządu angielskiego z katolikami. W r. 1582 już ukazała się osobna książeczka, licząca ponad 200 stron w 16-ce, pt. *Okrucieństwo kacyrskie przeciw katolikom w Anglijej krotko a prawdziwie przez iednego tegoż narodu opisane a na polski ięzyk przełożone*.²⁾ Nikt

¹⁾ O Poole'u: akta P. Rec. Office SP. 88/1. (22. IX 1593); o Floydzie: *Calendar of State Papers: Domestic*, vol 81 (list. arcyb. Abbota do Sir Ralpa Winwooda z dn. 17. VIII 1615: „...Friffith Floyd (...) was not at Brunsberg, in Prussia, in 1609 or 1610. Never employed the printer there, except to print philosophical theses, and an oration of St. Bernard. Never spoke to Gaspar Sicochius [*sic!* zam.: Cichocius], nor saw Bartolus Passenius work. Blamed the publishing in Poland of books slandering the King, and solemnly protests that he had no hand in them“.

²⁾ *Okrucieństwo kacyrskie* znane jest Estreicherowi z dwóch egzemplarzy: w Ossolineum i w bibl. uniwersyteckiej w Wrocławiu. Być może, iż do tego dziełka odnosi się wzmianka w liście podkanclerzego koronnego bisk. Jana Borukowskiego do nuncjusza Caligarego z 21. IV 1581: „M-tas R. diligentissime ...legit... scripta illa boni Jesuitae illius Anglicani... iussitque statim illa in Polonicum sermonem vertere“ (Caligari, *Epistolae et acta*, Krak. 1915, „Monumenta Pol. Vaticana“ t. IV, s. 627). Dziełko ma formę listu do przyjaciela, zaczyna się od słów: „Często listy brałem od ciebie, o jednejże jakmiarz rzeczy. Bo prosisz i barzo mi nalegasz, abych ci pisanie oznajmił, co bych pewnego a doświadczonego miał, o prześladowaniu Catholików w Anglijej“; opowieść najszerzej mówi o nowszych wypadkach, zwłaszcza o procesie i kaźni Campiona.

wszelako nie okazał większego przejęcia się sprawą prześladowania katolicyzmu w Anglii, niż Piotr Skarga.¹⁾

Zażyłość wieloletnia z Robertem Abercrombie, a zapewne i z innymi jezuitami szkockimi i angielskimi dała mu możliwość dobrego poznania nowszej historii Anglii; było mu też dobrze znane nowsze angielskie piśmiennictwo teologiczne i polemiczne. Szczególnie mocne wrażenie wywarły na nim pisma Tomasza Stapletona (1535—1598), profesora kolegium katolickiego w Douai, a później w Louvain. Wielki zbiór Skargi *Kazań na niedziele i święta* (po raz pierwszy wyd. 1595) zawdzięcza temu teologowi angielskiemu wiele pomysłów, cytat, przykładów ilustracyjnych i porównań. Co więcej, skoro tylko w *Kazaniach* tych pojawia się motyw polemiczny (a zdarza się to bynajmniej nierzadko), przykłady działań antykatolickich są niemal zawsze czerpane z prześladowania katolików we współczesnej Anglii. Kiedy jezuita Edmund Campion zginął w Londynie w r. 1581 śmiercią męczennika, Skarga przełożył jego sławne pismo *Rationes decem redditae academicis Angliae*, zwrócone do angielskich kół uniwersyteckich, i ogłosił drukiem w Wilnie 1584 r. pt.: *Dziesięć wywodów, dla których Edmundus Kampianus heretyki w Anglii na dysputacji wyzwał*. Stanisław Windakiewicz, znakomity znawca pism Skargi, ocenia to tłumaczenie jako „popularne” i stwierdza, że uczone terminy teologiczne zostały w nim zastąpione przez wyrażenia bardziej przystępne: najwidoczniej Skarga przeznaczał tę rzecz do szerokiej cyrkulacji.

Najwięcej jednak tematów angielskich znajdujemy w tym dziele Skargi, które on sam uważał za swoje *opus maximum*, mianowicie w *Żywotach Świętych*. Obszerny ten zbiór, wypełniający dobrze ponad tysiąc stron folio, ujawnia, jak zauważył Windakiewicz, szczególną predylekcję do dziejów kościelnych Anglii. Przejęty grozą wypadków, jakie świeżo

¹⁾ O Skardze: St. Sapiński: *Badania źródłowe nad Kazaniami Niedzielnymi i Świątecznymi Skargi*, Kraków 1924; St. Windakiewicz: „Skarga i Anglicy”, *Sprawozdania Pol. Akademii Umiejętności*, 1920, nr 4; toż po angielsku: „Skarga and the English”, *Bulletin international de l'Académie Polonaise des Sciences et des Lettres, Classe de Philologie*, 1919—20, s. 120; Estreicher s. v.

się w tym kraju rozegrały, Skarga zagłębił się w jego przeszłości. Zapoznał się, jak stwierdzono, z pismami Wielebnego Bedy i wielu innymi źródłami hagiografii angielskiej. Rozpoczął ją w swoim dziele od życiorysu św. Augustyna, który poprzedził krótką notą o najdawniejszych dziejach Anglii. Po nim następowały życiorysy św. Ceada i św. Cuthberta. Samemu Bedzie, który mu do tych ustępów dostarczył najwięcej wiadomości, poświęcił Skarga rozdział osobny (pt. „Nauka Wielebnego Bedy”). W dalszym ciągu opowiedział nasz hagiograf o św. Guthlaku, św. Dunstanie, św. Elfegu; z późniejszych czasów wciągnął biografie św. Edwarda Wyznawcy, św. Anzelma, św. Tomasza Beketa i innych mniej głośnych; uwzględnił też patronów Szkocji i Irlandii. W sumie, jak policzył Windakiewicz, mamy w dziele Skargi około dwudziestu żywotów świętych brytyjskich. Dzięki temu ze zbioru Skargi, wedle słów tegoż badacza, „można lepiej poznać pierwotną historię angielską, niż francuską i hiszpańską, które przecież Polakom XVI i XVII wieku były bliższe i zrozumialsze”.

Łacińskie dzieło znanego nam już Mikołaja Sandersa *De visibili monarchia Ecclesiae* (wyd. 1571 r.) dostarczyło naszemu pisarzowi materiału do rozdziału „O męczennikach w Anglii”, który był zamieszczony jako „przydatek” już w pierwszym wydaniu *Żywotów* (1579). „Jest to — jak powiada Windakiewicz — artykuł retrospektywny, dosyć pouczający, w którym jednak w potopie ostrych zarzutów gubią się interesujące wzmianki o wybitnych przedstawicielach renesansu angielskiego, Tomaszu Morusie i Janie Fisherze”. W wydaniu następnym (1585) rozszerzył Skarga ten „przydatek”, dołączając żywot straconego tymczasem Edmunda Campiona. Skarga był też pierwszym wybitnym pisarzem, który po polsku przedstawił proces i egzekucję Marii Stuart: plastyczny i przesycony uczuciem obraz tych wypadków został wcielony do szóstego wydania *Żywotów* (1603).

Zainteresowanie i sympatia Skargi dla katolików angielskich były wówczas wiadome dobrze już i w Anglii; to też kiedy nową grupę „rekuzantów” uwięziono w Londynie, Henryk Garnet, prowincjał jezuitów angielskich, napisał do niego (przez posła polskiego Stanisława Cikowskiego),

prosząc o wstawiennictwo króla polskiego i kanclerza na dworze londyńskim. Nim jednak był czas na tę dyplomatyczną interwencję, wybuchła w Londynie sprawa tzw. „spisku prochowego”¹⁾ (nie wyjaśniona dotychczas, w świetle jednak wielu dokumentów wyglądająca na to, co się dziś nazywa prowokacją). Sam Garnet, oskarżony o udział w przygotowanym zamachu na parlament, został uwięziony i powieszony. Jezuici w ogóle byli oskarżani o współudział w konspiracji. Skargę wystąpił w ich obronie, przedstawiając przebieg wypadków w jednym z ustępów pisma *Proba zakonu Societatis Jesu*, ogłoszonego w Krakowie 1607 r. Ustęp ten pt. „Męczeństwo Henryka Garneta” został z tego pisma później przedrukowany w dziesiątym wydaniu *Żywotów Świętych* (1610).

¹⁾ O „spisku prochowym”: *Trial of Guy Fawkes and others*, ed. Donald Carswell, Edynburg 1934. Zob. też: David Mathew: *Catholicism in England*, Londyn 1936.

Wacław Borowy.

Przegląd piśmiennictwa.

Gertruda von Le Fort: *Chusta Weroniki*, tłumaczenie Marii Winowskiej (wyd. św. Wojciecha). — Jarosław Iwaszkiewicz: *Pasje błędomierskie* (wyd. Gebethner i Wolff). — Czesław Straszewicz: *Przekłeta Wenecja* (wyd. Rój). — Maria Ukniewska: *Strachy* (wyd. Rój). — Jan Straszewski: *Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki* (wyd. Rój). — Józef Paciorek: *Słońce wśród chmur* (wyd. tygodnik *Nasza Sprawa*). — Antoni i Maria Bechcysz-Rudniccy: *W retorcje życia* (wyd. Dom Książki Polskiej). — Maria Kuncewiczowa: *Kowalscy się odnaleźli* (wyd. Rój).

Chusta Weroniki Gertrudy von Le Fort jest książką z gatunku coraz liczniejszych obecnie w literaturze światowej opowieści o najgłębszych przeżyciach duchowych, zamkniętych w pozornie pospolitych i niczym na zewnątrz nie odznaczających się kolejach losu. Zawiera ona historię dwóch nawróceń, ściśle ze sobą związanych. Młodziutka Weronika, córka zmarłej w szpitalu dla obłąkanych matki i niewierzącego ojca, zostaje oddana na wychowanie ciotce, kobiecie religijnej, z tym jednak zastrzeżeniem, że trzymana będzie z dala od wszelkiego chrześcijańskiego wyznania. Pomimo przestrzegania tego nakazu dziewczynka, obdarzona niezwykłą subtelnością, wrażliwością duchową i intuicją religijną, czuje się pociągnięta ku tajemnicom wiary katolickiej. Jej droga do Boga, znaczone kolejno tajemnymi wezwaniami bożymi, „wizjami Największej Miłości”, to znów zniechęceniami i rozczarowaniem, spleciona jest ściśle z drogą duchową, którą w tym samym czasie kroczy wychowująca ją ciotka. Ta czterdziestoletnia kobieta, pochodząca z niemieckiej, protestanckiej rodziny, przed laty doznała podobnych jak teraz siostrzenica łask bożych, podobnego nagłego olśnienia wiary, nigdy jednak nie zdobyła się na całkowite oddanie się Bogu, przeciwnie, stawiała opór Jego wezwaniom, oddalała się stopniowo od Niego, aż doszła do zupełnego zaparcia się wiary. Ten moment jej życia duchowego zbiega się z całkowitym dojściem do Boga Weroniki, która teraz równie gorąco modli się o nawrócenie ciotki, jak ona niegdyś modliła się o wiarę dla niej. I łaska zwycięża w końcu

małość, nikczemność i słabość ludzkiej natury. Ciotka Edelgarda załamuje się w swojej nienawiści do Boga i po wstrząsającej spowiedzi z całego życia, umiera jak święta.

Ten zasadniczy wątek powieściowy, jakim są przeżycia religijne dwóch bliskich sobie dusz, rozwinięty jest w powieści Gertrudy von Le Fort z dużym talentem kompozycyjnym. Droga duchowa Weroniki odsłania się nam w kolejnych swych, jeśli tak rzec można — naturalnych etapach rozwoju, od pierwszego odczucia wzruszeń religijnych aż do decyzji wstąpienia do klasztoru. Przeciwnie rzecz się ma z historią Edelgardy. Od początku powieści wyczuwamy w jej postaci coś tajemniczego, niesamowitego — istota jednak jej przeżyć, sprężyna kierująca jej postępkami, pozostaje długi czas ukryta przed nami i właściwie dopiero ostatnie karty książki, zawierające jej spowiedź, wyjaśniają nam tajemnicę jej losu. Spowiedź ta stanowi punkt kulminacyjny powieści, jej zamknięcie, w którym zbiegają się i znajdują ostateczne rozwiązanie oba odgałęzienia głównego wątku: historia Weroniki i historia Edelgardy. Ten głęboki, utajony nurt życia wewnętrznego bohaterki płynie poprzez drobne wydarzenia zwykłego życia codziennego, które stanowią „materię” powieści, a rozgrywają się na przepięknym tle kościołów, zabytków i ruin Rzymu. Rzym jest w tej powieści czymś więcej, niż zwykłym „miejscem, w którym rzecz się dzieje”, — żyje on własnym życiem, bierze czynny udział w losach zamieszkujących go ludzi. Czcieliwą Rzymu i ostateczną piękna jest babka Weroniki, szlachetna i prawa poganica z ducha, której religią jest wiara w człowieka. Miłość do niej i do tego wszystkiego, co ona ukochała stanowi czas jakiś najsilniejszą nutę w duszy Weroniki i stopniowo dopiero zdobywa dziewczynka własną niezależność duchową, własną, odmienną postawę wobec życia. Wtajemniczenie Weroniki w „Rzym babuni”, w wielkość tej stolicy duchowej świata i smutek wieków, ciężący na nim, bunty i wątplenia towarzysza Weroniki, młodego niemieckiego poety, którego Rzym przytłacza i budzi w nim grozę, składają się na wytworzenie niezwykle poetycznej i sugestywnej wizji wiecznego miasta, wobec którego człowiek czuje tak silnie swoją małość i znikomość. To znakomite odczucie Rzymu, uchwycenie różnorodności jego wielorakich oblicz i subtelne oddanie nastrojów, związanych z jego krajobrazem i zabytkami, stanowią wielki, swoście egzotyczny urok tej powieści. — Jeżeli można by mieć w związku z tą głęboką i interesującą książką jakieś zastrzeżenia, to dotyczyłyby one chyba tylko operowania motywami „nadprzyrodzonymi”. Olśnienia wewnętrzne, wizje, poczucie obecności aniołów czy szatana, jakkolwiek mogą stanowić momenty bardzo istotne w historii przeżyć religijnych, są jednak materiałem powieściowym tak niezmiernie delikatnym, że wymagają niezwyklego umiaru w ich stosowaniu. Na ogół talent Gertrudy von Le Fort wskazuje

jej szczęśliwie drogę wśród tych trudności i podsuwa właściwe, nieraz bardzo sugestywne słowa dla opisania niezwykłych przeżyć i wyrażenia tego, co niewyraźne. Jedyne w spowiedzi Edelgardy struna „dziwności” została odrobinę przeciągnięta, przez danie temu momentowi nazbyt już fantasmagorycznej oprawy. W mieszkaniu rozwierają się bezgłośnie wszystkie drzwi, a klęcząca Weronika czuje szum skrzydeł anielskich... Może zresztą nie wszystkich czytelników te akcesoria owej sceny będą razić — jest to zawsze w dużej mierze kwestia indywidualnego odczuwania. Przekład M. Winowskiej bardzo dobry.

W nowej powieści Jarosława Iwaszkiewicza *Pasje błędomierskie* odnajdujemy wiele elementów charakterystycznych dla twórczości tego autora i znanych nam już z wcześniejszych jego utworów. Odnajdujemy w niej przede wszystkim doskonałość pisarskiego rzemiosła: wyrafinowaną prostotę stylu, która jest cenną zdobyczą Iwaszkiewicza, czar i rytm jego pięknej prozy, niezwykłą maestrię w kreśleniu lakonicznych a przecieź niezmiernie sugestywnych opisów przyrody, umiejętność kreślenia krótkich, świetnych charakterystyk, (dzieci Zamoyłły) oddawania skomplikowanych, nieuchwytnych nastrojów. Kompozycyjnie powieść ta zdradza również swoje pochodzenie spod pióra wytrawnego nowelisty, jakim przede wszystkim jest Iwaszkiewicz. Nie tylko bowiem jej poszczególne wątki są ze sobą dość luźno związane, ale niektóre rozdziały, jak np. bardzo piękny pobyt Zamoyłły w Paryżu, czy jego śmierć na leśniczówce, stanowią same w sobie skończone całości, doskonałe nowele, zrozumiałe nawet w oderwaniu od całokształtu powieści. — Jednolitej fabuły książka ta nie posiada. Około błahego zdarzenia jakim jest nieudana próba zamienienia na artystyczne, wyreżyserowane przedstawienie prymitywnego widowiska Męki Pańskiej, urządzanego tradycyjnie przez ludność okolic miasteczka Błędomierza — skoncentrowane są losy kilku postaci, w ten czy inny sposób z tym przedstawieniem związanych. Właściwie „skoncentrowane” nie jest odpowiednim określeniem. Życie tych ludzi przepływa niejako obok sprawy „pasyj błędomierskich”, ociera się o nią, zostaje przez nią częściowo zmodyfikowane, jak przez inne napotymane okoliczności — i płynie dalej własnym korytem. Luźno tylko związana jest z przedstawieniem pasywnym najcięższa, najtragiczniejsza postać książki, starzejący się wielki pisarz Tadeusz Zamoyłło. Problem stosunku twórcy do własnych dzieł, niezaspokojenia artystycznego i ideowego, jakie pozostawia nawet najbardziej przez świat uznawana twórczość, został w historii tej postaci połączony z przejmującymi doznaniem starości i zbliżającej się śmierci. Przedśmiertna ucieczka sędziwego hrabiego Zamoyłły z rodzowego pałacu, gdzie żył i tworzył długie lata, na nieznaną, ukrytą w puszczy leśniczówkę, ten gest prze-

kreślający niejako całe życie i wszystko, czym ono było wypełnione, i śmierć w osamotnieniu z tragicznym akcentem ostatnich słów, wypowiedzianych do najmłodszego syna, Anka: „gdybyście mnie jeszcze wyratowali, Anek, to bym dopiero zaczął naprawdę pisać” — to wszystko odkrywa przed nami perspektywy największych głębin duszy ludzkiej. Drugą postacią skupiającą na sobie uwagę autora i czytelnika jest również pisarz, młody poeta Kanicki, jeden z organizatorów „pasyj”. Jest to typ nerwowca, psychopaty, nieodpowiedzialnego erotomana, który popełnia ze spokojem, a raczej jakby bez pełnej świadomości, bez rozeznania wagi swego czynu, ohydny zbrodnię zamordowania własnego nieślubnego dziecka, a kończy samobójczą śmiercią w opuszczonej fabryczce, która służyła za scenę niefortunnemu przedstawieniu pasyjnemu. Tu właśnie, w postaci Kanickiego, koncentrują się pewne charakterystyczne motywy „iwaskiewiczowskie”, znane nam już z *Młyna nad Utratą* i *Brzeziny*. A więc ów smutny erotyzm, bezsensowność nie wiadomo skąd i po co biorących się uczuć, fatalistyczne wytrącenie życia uczuciowego spod kontroli rozumu i świadomości — a następnie ta makabryczność, która już mniej więcej od połowy książki zaczyna otaczać Kanickiego, by znaleźć swój punkt kulminacyjny w krótkim, rzeczowym, ale niemniej przeto przejmującym opisie jego śmierci. Dokoła tych dwóch postaci, których dzieje zabierają najwięcej miejsca w powieści, zgrupowane są inne osoby, bliżej czy dalej z nimi związane. Galeria typów ludzkich obszerna i urozmaicona, w której nawet epizodyczne postacie żyją własnym życiem, poruszają się we własnej, przekonującej rzeczywistości. Bo jak wszędzie, tak i tutaj Iwaszkiewicz, jako prawdziwy artysta, do niczego rzeczywistości nie nagina, nie komentuje jej, a tylko daje wycinek życia, tworzy słowem jego plastyczną, spokojną wizję, w której wszystko jest takim, jakim jest naprawdę, akcenty tragizmu mieszają się z optymizmem, a zło i dobro współistnieją obok siebie.

O książce Czesława Straszewicza *Przekłeta Wenecja* pisano, że jest to powieść poświęcona zagadnieniu rasy, że naczelnym jej problemem jest problem krwi. Jest to jednak zdanie częściowo tylko słuszne. Istotnie bohaterka powieści Elza jest pół-Polką, pół-Niemką i oscyluje niemal przez cały czas opowiadania między ideologią ojca, oficera pruskiego i gorącego germańskiego patrioty, a wpływami środowiska polskiego, którego cichą rzeczniką jest jej zahukana matka. Wszystkie jednak decyzje życiowe Elzy, mające związek z wyborem takiej czy innej narodowości, odbywają się niejako bez pełnej świadomości ich zasadniczej wagi. Elza wyjechała na uniwersytet do Warszawy a nie do Monachium — w tajemnicy przed ojcem, a przy pomocy matki — nie dlatego, że bliższą jej była Polska niż Niemcy, ale dlatego, by choć potajemnie przeciwstawić się ojcu, kierującemu

twardą ręką życiem całej rodziny. Niemieckość kochanka Elzy była rzeczą przypadku. Małżeństwo z Polakiem miało być przede wszystkim nową demonstracją przeciw władzy ojcowskiej, udokumentowaniem własnej niezależności. Aby tego celu dopiąć, Elza zaręczyła się z pierwszym lepszym kandydatem do jej ręki, a gdy ojciec umarł zanim zdążyła mu o tym kroku donieść, siłą jakiejś dziwnej inercji pozwoliła ponieść się raz w ruch wprawionej fali wypadków i wyszła za mąż za owego Aleksandra. Pobyt po ślubie w Wenecji — gdzie Aleksander był sekretarzem delegacji polskiej na konferencję rozbrojeniową — wypełniony został dla Elzy rozpaczliwym szukaniem sensu własnych czynów, szukaniem usprawiedliwienia dla swoich odruchowych, nieprzemyślanych postępów. Odgłosy konferencji, widok nieprzejeźdźnych nienawiści narodowych, zmusiły Elzę do wyrzeczenia się złudzeń, jakoby jej małżeństwo z Polakiem mogło mieć jakiś „sens mistyczny” zbratania, pojednania wrogich narodów. Ze świadomością bezsensu własnego życia małżeńskiego powróciła do Warszawy, by poprzez wspomnienia o ojcu i o kochanku, rosnący wstęś do męża i ciągle gorączkowe rozmyślenia dojść wreszcie do stwierdzenia, że jest jednak Niemką... podczas meczu bokserkiego Polska—Niemcy. Ile w tym stwierdzeniu było przekory wobec męża i publiczności oklaskującej Polaków, ile czysto kobiecego współczucia dla niesprawiedliwie wypunktowanego Niemca, ile wreszcie owego podświadomego, nieuzasadnionego impulsu, który zawsze rządził życiem Elzy — trudno rozstrzygnąć. W każdym razie książka kończy się powrotem Elzy do germańskiego patriotyzmu ojca, nie mamy jednak wrażenia, by i tym razem było to jakieś zdecydowane i nieodmienne pociągnięcie życiowe, a przede wszystkim by było ono wyrazem świadomej woli. Obarczenie „problemem krwi” istoty bez mózgu i bez charakteru osłabia znacznie siłę przekonywującą, jaka mogłaby z tej historii emanować. I nie w perypetiach narodowościowych Elzy leży — moim zdaniem — punkt ciężkości książki. Są one tylko rusztowaniem, na którym rozpina się misterna kanwa psychologicznych subtelności w kreśleniu ekscentrycznych sylwetek działających osób i w opisach na wpół podświadomych, trudnych do zdefiniowania stanów duchowych, z jakich składa się życie Elzy. Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie osoby występujące w powieści są typami psychopatów, z których każdy obciążony jest taką czy inną manią. Maniakiem jest mąż Elzy, Aleksander, hodujący zboże w doniczkach roślin pokojowych i dopatrujący się w jego wzroście „metafizycznego sensu”. Niesamowite są przeżycia Elzy w Wenecji przy boku ekscentrycznej Rumunki, pani Papp, która wierzy w reinkarnację i na każdym kroku przypomina sobie swoje poprzednie wcielenie. Niesmaczna — jak w ogóle cały nadmierny erotyzm tej powieści — jest „erotofobia” przyjaciela Aleksandra, Sokołowskiego. Nie jest wreszcie normalnym, zdrowym typem

sama Elza, ze swoim bezwładem psychicznym i nieodpowiedzialnością życiową. Toteż i cała atmosfera tej powieści o najdziwniejszych powikłaniach psychicznych jest w pierwszym rzędzie atmosferą patologiczną. W jej wytworzeniu, w pewnej sugestywności, którą niewątpliwie posiada, współdziałają — oprócz tematycznych i charakterologicznych momentów — także i przede wszystkim właściwości stylistyczne tej książki, która pisana jest w sposób rwany, pełen przeskoków i niedopowiedzeń, tokiem naśladowującym jakby bieg myśli.

Strachy Marii Ukniewskiej są czymś pośrednim pomiędzy powieścią a reportażem, choć bez wątpienia nie można odmówić im pewnych literackich zalet, nie pozwalających postawić tej książki w rzędzie prymitywnych „dokumentów życia”. Jest to opowieść z życia girls’ów, rewiowych tancererek. Dzieje dziecka proletariatu, Teresy Sikorzanki, której talent taneczny i kariera girlsy mają przynieść dobrobyt całej rodzinie, stanowią główny wątek opowiadania. Życie Teresy jest niesłychanie ciężkie, wypełnione w dużej swej części przede wszystkim troskami materialnymi. Nędza przesładuje ją w domu, gdy zaczyna karierę taneczną; marznie i głoduje później, występując w teatrzyku prowincjonalnym. Pewne odprężenie następuje dopiero po powrocie do Warszawy i uzyskaniu engagement w dobrze prosperującym teatrze rewiowym „Złota Kurtyna”, a całkowitym wypłynięciem na szerokie wody powodzenia życiowego jest związanie się ze sławnym i bogatym aktorem Modeckim, który był pierwszą miłością Teresy. Życie Teresy i jej koleżanek dalekie jest od wzorowości. Poniewierane przez życie, znużone walką z biedą, chwytają się każdego sposobu, by tylko los swój poprawić, mają najrozmaitsze, przelotne i dłużej trwające przygody. Szukają nie tylko ulgi w trudnościach życia, szukają także uczuć, pragną miłości. Młodziutkie, naiwne dziewczęta, pozostawione samym sobie, narażone na tysiączne pokusy, przeżywają rzeczy okropne, czasem tragiczne, czasem groteskowe i śmieszne. Niektórym uśmiecha się los: wychodzą za mąż, mają dzieci, wracają w ramy normalnego życia kobiety, za jakim świadomie lub podświadomie wszystkie tęsknią. Inne spadają coraz niżej, źle kończą. I te, i tamte przesuwają się przed naszymi oczami w *Strachach*. Jest ich dużo — dużo jest figur w tej książce, której cechą charakterystyczną jest niezwykle tempo opowiadania, a niemal wszystkie, z tych nawet, które odmalowane są tylko kilkoma pociągnięciami pióra, są żywe i prawdziwe. Atmosfera teatrzyków, próby, premiery, udane i nieudane numery, trema przed występem, mozół artystyczny, towarzyszący temu na pozór lekkiemu życiu, mają w książce p. Ukniewskiej smak całkowitej autentyczności. Podglądamy w *Strachach* ten egzotyczny świat od strony kulis, widzimy go w całej nagiej prawdzie. Na plus książki zapisać trzeba

zdolność kreślenia sylwetek ludzkich, oraz umiejętność interesującej narracji, owo wyjątkowe tempo opowiadania, odpowiadające szczęśliwie gorączkowemu pośpiechowi życia teatrzyków. Minusem natomiast jest język, nie tylko wedle słusznych słów przedmowy Hemara „paprzący się w bezwstydnym wulgarnościach”, ale także przetkany tu i ówdzie nieprawidłowymi w języku polskim zwrotami, czego już nie da się usprawiedliwić postulatami takiego czy innego realizmu. Pewne przeszarżowania idą w tej książce w dwóch kierunkach: odsłaniania intymnych szczegółów życia oraz melodramatyczności, która niepotrzebnie zabarwia np. stosunek Teresy do znienawidzonego krzywdziciela Linki, Fensterglassa, nadając temu epizodowi posmak nienaturalności. — Jak przy wszystkich debiutach tego rodzaju — p. Ukniewska jest podobno sama fancerką — nasuwa się po przeczytaniu *Strachów* pytanie, czy autorkę stać będzie nadal tylko na opisywanie z różnymi modyfikacjami zdobytych w życiu zawodowym doświadczeń, czy też jej zdolności pisarskie rozwijając się pozwolą na przełamanie kręgu najbliższych, własnych przeżyć i wprowadzą ją w świat właściwej, nie reportażowo-pamiętnikarskiej twórczości literackiej.

Po gruntownym przestudiowaniu autorów XVI, XVII i XVIII w. po rozczytaniu się w różnych mało znanych szerokiemu ogółowi pamiętnikach, kronikach rodzinnych i diariuszach, dał nam Jan Straszewski w tomie zatytułowanym *Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki* szkic zwyczajów i obyczajów staropolskich, lekko, barwnie i zajmująco opisanych. Dowiadujemy się z tej książki, jak mieszkali nasi pradziadowie, jak podróżowali, jak wiele jedli i jak bez przestanku, w święta i w dni powszednie, pili, jak się odbywała toaleta ranna rokokowej damy i modnego kawalera, a nawet jakie były wówczas modne choroby. Poznajemy kłopotliwą gościnność staropolską, która nie pozwalała gościowi opuszczać rychło domu gospodarza, nawet gdy go ważne i pilne interesy przynaglały, staropolską hojność w obdarzaniu krewnych, przyjaciół i znajomych, skomplikowane przepisy obowiązującej wtedy grzeczności. Widzimy zalety naszych przodków, więcej jednak ich wad. Smutne refleksje nasuwają takie rozdziały, jak ten np. w którym *Waszmość Pan sprawy publiczne odprawia*, pijatyką, kłótniami i rąbaniną wypełniając czas służby ojczyźnie na sejmach i sejmikach. Z pobłażliwym, choć często niepozabawionym ironii uśmiechem opowiada nam autor o dniach powszednich i świątecznych ówczesnych Polaków, wtrącając tu i ówdzie dla porównania trochę wiadomości o tym, jak układało się życie współczesne w innych krajach Europy. Czytając tę żywo i interesująco napisaną opowieść czuje się wdzięczność dla autora za udostępnienie nam w lekkiej i miłej formie ciekawych rysów staropolskiego obyczaju rozsianych

po różnych mało pociągających źródłach. Każdy, kto ma choć trochę zainteresowań historyczno-kulturalnych, przeczyta książkę Straszewskiego z dużą przyjemnością.

O treści książki Józefa Paciorka *Słońce wśród chmur* mówi nam od razu jej okładka. Wyraz „słońce” oraz umieszczone nad nim emblematy Akcji Katolickiej i katolickich stowarzyszeń młodzieży odbijają od ciemnego tła jasno-żółtym, słonecznym kolorem. Słowo „chmur” i znajdujący się poniżej sierp z młotem krwawią się ponurą czerwienią. Życie wsi Gliniarki na przetrzeźnieniu kilku miesięcy, propaganda komunistyczna w walce z księdzem i członkami stowarzyszeń, perypetie pary bohaterów: idealnego młodego włościanina Staszka Skubła i jego ukochanej Baśki, która cierpliwością i miłością nawraca komunizującego ojca i chwiejnego brata — oto tworzywo tej powieści. Nie trzeba dodawać, że słońce przebija w końcu zwycięsko chmury — otumanieni przez agitatorów chłopci powracają do wiary ojców i umiarkowanej polityki stronnictwa ludowego, organizacja komunistyczna chyli się do upadku, a Staszek i Baśka po zwalczeniu wszystkich przeszkód w najbliższej przyszłości mają stanąć przed ołtarzem. Możliwe, iż ta książka o pocziwej tendencji będzie mogła mieć w pewnych środowiskach znaczenie propagandowe pomimo swego całkowitego literackiego prymitywizmu.

W reforcie życia Antoniego i Marii Bechczyc-Rudnickich to zbiór jedenastu nowel, w którym pięć pierwszych zarówno tematyką jak językiem odbija od reszty. Są to nowele z życia wsi, opowiedziane dialektem mazurskim, zlekka „markowanym” (wedle wyrażenia samych autorów) w narracji, wiernie zaś zachowanym w dialogach występujących postaci. Pozostałe opowiadania w liczbie sześciu są już pisane zwykłym, książkowym językiem. Nowele ludowe obracają się około wypadków, związanych z wojną. Pierwsza, pod tytułem *Kazus*, opisuje powrót człowieka, którego miano za zaginionego podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Cztery inne dotyczą zdarzeń wojennych i powojennych z czasów zawieruchy bolszewickiej 1920 roku. Dalsze opowiadania mają już za temat wydarzenia w innych niż wiejskie środowiskach. Korzystnie wyróżniają się wśród nich dwie nowele o zabarwieniu dyskretnie ironicznym. *Owacje* opisują powrót uczonego ze zjazdu naukowego, jego lęk przed spodziewanymi owacjami, próbę ich uniknięcia i wreszcie rozczarowanie, gdy dowiaduje się, że przygotowane były nie dla niego, lecz dla znanego boksera. W *Kołowrotku* mamy znów dobrze podchwyczone przewartościowanie wartości życiowych podczas ciężkiej choroby i... powrót do dawnego punktu widzenia z chwilą gdy w stanie zdrowia nastąpiła poprawa. Pozostałe opowiadania nie zawierają ciekawszych momentów. — Wszystkie nowele tego

zbiorku posiadają wybitny charakter anegdotyczny: są krótkie, oparte na jednym tylko motywie, zdążają do wyraźnie zaznaczonej pointy, stanowiącej zamknięcie króciutkiej akcji i zarazem koniec opowiadania. Wszelkie rysy obyczajowe, opisy, zresztą skąpe, są tylko koniecznym sztafażem dla anegdoty, która w szybkim tempie zmierza do rozwiązania. Dzięki tej właściwości nowele te nie robią wrażenia fragmentów życia (pomimo, że niektóre z nich przynajmniej, są — wedle wyznania autorów — oparte na autentycznych zdarzeniach), lecz wyglądają na historyjki, lepsze lub gorsze pomysły, wkomponowane dla osiągnięcia wrażenia rzeczywistości w jakieś lekko tylko zaznaczone tło. Oczywiście ten rodzaj noweli ma, tak jak każdy gatunek literacki, swoją rację bytu, wymaga jednak dużej i specjalnej zdolności żywego opowiadania, ponieważ „stoi” jedynie akcją i z chwilą gdy ta nie jest umiejętnie przeprowadzona, gdy dobór jej poszczególnych momentów nie jest artystycznie trafny, nie pozostaje w noweli nic, żadnego ośrodka zainteresowania. Niestety w opowiadaniach pp. Rudnickich ten postulat dobrej noweli anegdotycznej nie zawsze jest szczęśliwie spełniony. Pewna nieporadność stylistyczna i ubóstwo języka wpływają również niekorzystnie na wartość tych nowel, pomimo niezłych nieraz pomysłów.

Wszyscy pamiętamy dobrze sympatyczną parę, Irenę i Pawła Kowalskich, z którymi zapoznała nas najpierw radiowa powieść mówiona, opisująca ich „dni powszednie”, a potem tejże powieści wydanie książkowe. Jako uzupełnienie ich dziejów dała nam teraz Maria Kuncewiczowa mały, bo tylko pięć obrazków zawierający tomik, *Kowalscy się odnaleźli*. Odnacza się on tymi wszystkimi zaletami, które przyniosły powieści o Kowalskich zasłużony sukces zarówno wśród słuchaczy radiowych, jak później wśród czytelników. Czy to będzie obraz rodzinnych konfliktów i trudności, jakie zjawiły się w życiu Kowalskich wraz z narodzinami upragnionego zresztą i bardzo kochanego dziecka, czy pełna sentymentu dla stolicy rozmowa małżonków o Warszawie, czy świetna satyra na plotkarstwo, głupotę i obłudę rzekomych przyjaciół w rozdziałku *Gość z sercem* — wszędzie odnajdziemy ową zdolność poetyckiego widzenia i przedstawienia tego, co się po prostu nazywa szarym życiem szarych ludzi, subtelność psychologiczną, trafność spostrzeżeń, humor niepozabawiony żdziebelką złośliwości i to mistrzostwo w operowaniu dialogiem, które sprawia, że postacie Pawła, Ireny i ich otoczenia są tak bardzo żywe i prawdziwe. Zamykamy tę małą książeczkę z uczuciem żalu, że to już naprawdę koniec naszej z Kowalskimi znajomości, że nie będzie już dalszego ciągu, pozwalającego przyglądać się temu życiu, w którym niejeden z czytelników odnajdywał wiele rzeczy sobie bliskich. Autorka jednak zastrzega się stanowczo przeciwko

dalszemu „śledzeniu“ Kowalskich, pozwalając tylko domyślać się, że dalsze ich życie wypełni całkowicie osoba jedynaka.

Mgr Hanna Wierzbicka.

K. Wrotny-Klimowiczowa: *Tajemnica człowieczeństwa*. Studium filozoficzno-religijne. Księg. św. Wojciecha, Poznań. Str. 150.

Tajemnica człowieczeństwa — to tajemnica, wobec której stają wszyscy: dobrzy i zli, umysły płytkie i głębokie, dusze podle i dusze szlachetne, ale w sposób jakże różny. Jedni, zasklepieni w ciasnych granicach, jakie im ich małość zakreśla, nie mogą tej tajemnicy rozwiązać; drudzy, jak św. Augustyn, wsłuchani w tajemniczy rytm serca, wznoszą się ponad jego ograniczoność do Boga i w Bogu znajdują rozwiązanie tajemnicy człowieczeństwa rozumiejąc, że dla Boga stworzone jest serce ludzkie i że nie zazna spokoju, póki w Nim nie spocznie.

Na takie głębie augustynowe sprowadza tajemnicę człowieczeństwa p. Wrotny-Klimowiczowa. W Bogu i w Chrystusie znajduje klucz do zrozumienia tej „najdziwniejszej władczej potęgi, której mieszkaniem jest wyłącznie pierś ludzka, a terenem działania wszystkie światy i zaświaty“ (str. 1).

W trzech rozważaniach, stanowiących trzy rozdziały książki, omawia tajemnicę człowieczeństwa kolejno ze stanowiska nauki (str. 13—40), w świetle świadomości religijnej, leżącej u podstaw każdego systemu religijnego (str. 41—84), wreszcie w świetle objawienia Bożego w Jezusie Chrystusie (str. 85—148).

Nauka zmieniała i zmienia swój sąd o człowieku, w miarę jak sama się zmienia i rozwija. Krótko a trafnie przedstawia Autorka koleje, przez jakie przechodziła i przechodzi wiedza ludzka, a wraz z nią sąd o człowieczeństwie. Fizyka i chemia, anatomia, biologia, fizjologia kusiły się kolejno o rozwiązanie zagadki człowieczeństwa. Ale zanim na podstawie wyników, do jakich te nauki doprowadziły, utworzono sobie sąd o człowieczeństwie, one same już postąpiły dalej i za każdym krokiem naprzód nowe im się otwierały horyzonty, nowe się wyłaniały tajniki człowieczeństwa. Sąd o człowieczeństwie, utworzony na podstawie tzw. najnowszych zdobyczy nauki, już w pierwszej chwili swego istnienia okazywał się przestarzały. Wobec takich doświadczeń można co prawda uznawać za słuszne wszystko to, co nam nauki mówią o człowieku, ale byłoby nieracjonalnym przyjmować za prawdę tylko to, co nam one o człowieku mówią. Ograniczoność umysłu, który musi używać mózgu fizycznego za narzędzie, stanowi nieprzewycięzoną przeszkodę do zgłębienia zagadki człowieczeństwa.

Wobec niewystarczającej odpowiedzi nauki, zwraca się Autorka do świadomości religijnej człowieka. W przeciwieństwie do nauk, zmieniających stale swój sąd o człowieku, jest ona

we wszystkich religiach ta sama, niezależnie od okresów historycznych, w jakich one się pojawiły. W świadomości religijnej człowiek występuje zawsze jako twór boski, przeznaczony do bytu doskonalszego, niż życie ziemskie. Źródłem tej świadomości religijnej i jej pewników (Bóg, nieśmiertelność duszy) nie jest poznanie umysłowe, drogą wnioskowania czy intuicji, lecz „wiedza duszy”, nabywana z zaświata innymi drogami, niż wiedza naukowa (str. 42 i nast.). Ale i ta świadomość religijna nie daje Autorce pełnej odpowiedzi. Ukazuje Boga i przykazania Boże, ukazuje człowieka z duszą nieśmiertelną, ale zarazem pogrążonego w materii, uwikłanego w sidła grzechu. Lecz „kto stworzy punkt styczny Boga i ugrzęzłej w materii natury człowieka?”, pyta Autorka i dochodzi do wniosku, że mogło to się stać tylko przez interwencję jestestwa bosko-ludzkiego, a więc przez Wcielenie Boga (str. 80).

Całkowite zrozumienie tajemnicy człowieczeństwa daje nam tylko Chrystus. Tylko w Chrystusie dochodzimy do pełnego poznania Boga, który nam się objawia jako Miłość ukrzyżowana. I tylko w Chrystusie poznajemy w pełni człowieka, w jego właściwym stosunku do Boga. „Jezus Chrystus wie, czym jest człowieczeństwo, jako Ten, który wie wszystko, i jako Ten, który je przeżył do dna, i może każdemu z nas powiedzieć, jak onego czasu Natanaelowi: *Gdyś był pod drzewem figowym, widziałem cię* (str. 141). Ale tak do poznania Boga w Jezusie Chrystusie, jak i do poznania w Nim człowieczeństwa dochodzi się tylko drogą naśladowania Chrystusa, drogą przeżycia Chrystusa przez życie się z Ewangelią.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść tego studium filozoficzno-religijnego, w którym Autorka daje nam próbę oryginalnej syntezy filozoficzno-teologicznej. Rozważania Autorki tchną świeżością i bezpośredniością jej osobistych przeżyć religijnych, jej silnej i płomiennej wiary w Prawdę pozaświatową i umiłowania tejże Prawdy. Porzuciwszy uciążliwą i określną drogę poznania intelektualnego, kroczy Autorka do Boga jakby na przełaj; przy pomocy wiedzy, którą nazywa wiedzą duszy i stamtąd, jakby od strony Boga, w pełni światłości jasno ogląda to, co od strony ludzkiej wydaje się otoczone mgłą tajemniczości i zagadkowości. Ale niejeden czytelnik nie dotrzyma jej może kroku w tym biegu, pozostanie w tyle, a może nawet zwątpi o tym, czy kroczy za nią dobrą drogą. Nasuwa mu się szereg wątpliwości i pytań, na które oczekuje od Autorki odpowiedzi w dalszych jej studiach.

W szczególności pragnąłby czytelnik wyjaśnień, jak Autorka pojmuje tę „wiedzę duszy”, różną od wiedzy, którą osiąga rozum drogą doświadczenia zmysłowego lub myślenia wnioskującego, różną także od intuicji, wiedzę duszy, która powstaje sama przez się i pojawia się nie wiadomo skąd, której źródła i drogi są niedocieczone, gdyż gubią się w technieniach bezbrzeżnego oceanu

ducha, którego dotyka dusza od swej własnej strony? (por. str. 42). Jaki jest stosunek tej wewnętrznej wiedzy duszy do rozumu? czy podlega ona kontroli rozumu? czy jej postulaty dadzą się usprawiedliwić wobec postulatów rozumu? Czy może słowa Autorki, że „wiele pewników wiedzy wewnętrznej nie może być udowodnionych“, że „dusza ma jakieś swoje własne wieści“, przychodzące do niej inną drogą, „która nie ma nic wspólnego z pracą umysłu“ (str. 45) — czy te i tym podobne wyrażenia Autorki należy rozumieć w sensie negatywnej odpowiedzi na powyższe pytania?

A poznanie Boga? Autorka mówi o nim na str. 56: „Do Boga nie ma drogi prócz tej, która prowadzi przez Niego Samego; Boga osiąga się przeżywaniem i wcielaniem w siebie tego, co jest boskim na ziemi“. Czy i ta droga do Boga przez Boga, przez przeżywanie Boga w tym, co jest boskim na ziemi, nie ma nic wspólnego z pracą umysłu, nie podlega kontroli rozumu? Jest rzeczą oczywistą, choćby z powyższych słów, że dla Autorki *Tajemnicy człowieczeństwa* Bóg jest rzeczywistością w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, że nie jest plodem wyłaniającym się z głębin podświadomości. Jasnym jest też, że punktem wyjścia dla człowieka w drodze do Boga jest w myśl Autorki to, co jest boskim na ziemi, w człowieku i poza człowiekiem. Pod tym względem Autorka stoi na stanowisku Kościoła, który zwłaszcza w ubiegłym stuleciu często przypominał naukę, zawartą zresztą wyraźnie w Piśmie świętym, że człowiek nawet bez pomocy objawienia Bożego może dojść do poznania Boga ze znajomości świata nas otaczającego, a na soborze watykańskim tę naukę w sposób uroczysty określił jako objawioną przez Boga (sesja 3, rozdz. 2). Ale w *Tajemnicy człowieczeństwa* to zagadnienie nie jest dość jasno wyrażone. A przecież jest to zagadnienie zasadnicze dla całej książki. Od tego bowiem, co rozum ma do powiedzenia w kwestii znalezienia Boga przez człowieka zależy znalezienie w Bogu rozwiązania tajemnicy człowieczeństwa. Słusznie Autorka w pierwszym rozdziale oceniła metody nauk doświadczalnych jako niedostateczne do rozwiązania tej tajemnicy. Ale trzeba było następnie wykazać, że wnioskowanie rozumowe ze zjawisk świata widzialnego na istnienie rzeczywistości poza- i ponadświatowej, której przyjęcie tłumaczy harmonijnie i bez reszty wszelkie zagadki bytu, nie jest porzuceniem metody naukowej, lecz jej przedłużeniem, owszem wyższym jej stopniem. Może Autorka to właśnie rozumowanie miała na myśli, odwołując się do zjawisk owej „wiedzy duszy“, o której była mowa. Nie wydaje się to jednak dość jasnym. Dlatego byłoby pożądanym, by Autorka swe poglądy odnośnie do tej kwestii wyłożyła dokładniej.

Oprócz tego centralnego dla całej książki zagadnienia, teolog znalazłby jeszcze nie jedno zagadnienie, równie doniosłe dla całości rozwiązania danego przez Autorkę *Tajemnicy człowieczeń-*

stwa, a nasuwające mu pewne zastrzeżenia. Tak na str. 80 dochodzi p. Wrotny-Klimowiczowa do wniosku, że na to, aby stworzyć punkt styczny między Bogiem i ugrzęzłą w materii naturą człowieka, musiało zjawić się na świecie jestestwo bosko-ludzkie, celem pojednania i zespolenia człowieka z Bogiem. A na str. 100 fakt przyjęcia się w świecie religii Boga wcielonego tłumaczy tym, że dalekie głosy z zaświata znalazły oddźwięk w duszy, która „od wieków wiedziała o konieczności przyjścia Chrystusa”. Wszyscy bez wyjątku teologowie katoliccy stwierdzają, że nie było żadnej wewnętrznej konieczności, żadnego wewnętrznego związku między innymi dziełami Bożymi a Wcieleniem tak, że było ono w całej pełni dziełem wolnej i niczym nie skrupowanej woli Bożej. Część teologów katolickich twierdzi, że Odkupienie tylko w tym wypadku było jedynym, a więc koniecznym środkiem, jeśli Pan Bóg chciał odkupić ludzkość tak, aby zadośćuczynienie za grzech w całej pełni odpowiadało ogromowi winy i upadku. Ale cała szkoła franciszkańska nawet i w tym wypadku nie przyjmuje konieczności Wcielenia jako jedynej możliwej drogi takiego odkupienia.

Dalej nauczają teologowie, że Wcielenie żadną miarą nie mogło być przez człowieka przeczute ani poznane, że jest ono tajemnicą, którą tylko Bóg sam mógł człowiekowi objawić, a i wtedy jej najgłębsza istota pozostaje dla umysłu niedościgłą. Głosząc ją ludziom, na mocy misji sobie przez Chrystusa powierzonej i żądając od nich przyjęcia tej tajemnicy za prawdę, powołuje się Kościół jedynie na powagę i nieomylność Boga, który swym autorytetem prawdziwość tej przez się niezrozumiałej i trudnej do przyjęcia nauki poręcza. Autorka natomiast odwołuje się do „najgłębszych odczuć, rozjaśnień ducha i tych bezwzględnych osobistych doświadczeń wewnętrznych, których jeden człowiek drugiemu przekazać nie może” (str. 100). Tak pojmując wiarę, uważa Autorka, że wierzący „więcej pomogą bliźniemu w osiągnięciu prawdy Chrystusowej modląc się za niego, niż przekonywując go” (str. 101). I tutaj słowa Autorki wymagałyby bliższego omówienia i uzupełnienia, skoro Chrystus Pan powierzył Apostołom i ich następcom w urzędzie nauczycielskim nie tylko misję modlenia się za Kościół, ale w pierwszym rzędzie misję głoszenia słowa Bożego i od usłuchania lub nieusłuchania nauki głoszonej ustami ludzi uzależnił przyjęcie do Królestwa niebieskiego. — Kościół dążył też zawsze do tego, żeby ludzkość przekonać o słuszności wiary. Głosząc z jednej strony, że wiara nadprzyrodzona jest darem Bożym, o który trzeba się modlić, nie poprzestaje jednak na modlitwie o nawrócenie świata, lecz wychodzi naprzeciw ludzkości, wysyła ku niej swych misjonarzy na cały świat, by nauczali...

Te zastrzeżenia, któreśmy poczynili, w niczym jednak nie pomniejszają wielu zalet wartościowej książki p. Wrotny-Klimowi-

czowej. Owszem, uważamy ją za zjawisko wysoce dodatnie i pocieszające w polskiej literaturze filozoficzno-religijnej. Autorka dała w niej siebie, swe osobiste przekonania i przeżycia religijne, jak na niejednym miejscu zaznacza. Ten wątek osobistych przeżyć religijnych autorki, głęboko przywiązanej do Kościoła (str. 125), olśniewa czytelnika i wywołuje w nim wrażenie, może nie zamierzone przez Autorkę, jakoby jej droga do Boga i do Chrystusa, droga na przełaj, jak ją nazwaliśmy wyżej, była jedyną drogą do Boga i do Chrystusa. Uważając książkę p. Wrotny-Klimowiczowej za godną ze wszech miar polecenia, pragnęliśmy jedynie zaznaczyć w ten sposób, że oprócz tej drogi albo raczej tych dróg nadzwyczajnych — bo jest ich tyle, ile jest dusz tymi drogami kroczących — istnieje jednak droga zwyczajna do Boga i do wiary i że pseudo-naukowym uroszczeniom wszelkiego rodzaju ateuszów należy się przeciwstawiać nie tyle przez wykazywanie, że wiara znajduje się w zupełnie innej sferze i skądinąd się wywodzi, ile raczej przez wskazywanie na to, że ma ona silne fundamenty na ziemi, choć szczyt jej, niby szczyt świątyni gotyckiej, strzela wysoko ku niebu.

Ks. B. Waczyński T. J.

Josephus de Guibert S. J.: *Theologia spiritualis ascetica et mystica. Quaestiones selectae in praelectionum usum.* 8^o, X+496. Roma 1937, Pontificia Universitas Gregoriana.

Znany autor wielu artykułów z zakresu życia wewnętrznego, publikowanych głównie w czasopiśmie *Revue d'Ascétique et de Mystique*, współredaktor i współpracownik wielkiej encyklopedii *Dictionnaire de Spiritualité*, długoletni profesor teologii ascetycznej na uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, przysłużył się ogromnie niniejszą pracą dla studium ascetyki i mistyki. Książka przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla wydziałów teologicznych, na których w myśl konstytucji apostolskiej *Deus scientiarum Dominus* przepisany jest specjalny kurs teologii ascetycznej i mistycznej. A ponieważ czas, na wykłady tego przedmiotu przeznaczony, jest ograniczony, Autor opracował wszystkie kwestie, wchodzące w zakres teologii ascetycznej i mistycznej, krótko i zwięźle, aby zależnie od okoliczności profesor wykładający ten przedmiot, mógł niektóre z nich wybrać i szerzej omówić. Tak więc stanowi książka pewną całość, która i w prywatnym studium teologii niemałe oddać może przysługi. Kwestie poruszone w niej wymagają już uprzedniego studium teologii dogmatycznej i moralnej i uzupełniają je. Pod tym względem jest książka o. de Guibert'a znakomitym uzupełnieniem dawniejszych podręczników teologii ascetycznej, jak Tanqueray'a, Zimmermanna, Hertlinga, Heerinckxa, Garrigou-Lagrange'a i innych.

Praca dzieli się na następujące rozdziały: 1. Wstęp do nauki teologii ascetycznej i mistycznej. — 2. O naturze doskonałości życia duchownego. — 3. O natchnieniach i darach Ducha Św. i o rozeznawaniu duchów. — 4. O współdziałaniu człowieka z Bogiem w życiu duchownym. — 5. O modlitwie myślniej. — 6. O stopniach życia wewnętrznego. W tych sześciu kwestiach jest właściwie wyczerpany cały traktat ascetyczny. — 7. Kwestia o naturze kontemplacji wlanej należy już do teologii mistycznej i wyjaśnia naturę oraz stopnie kontemplacji wlanej, jej stosunek do doskonałości duchowej i do zjawisk nadzwyczajnych. Na końcu znajduje się obszerny wykaz ważniejszych pisarzy ascetycznych od pierwszych wieków chrześcijaństwa aż po nasze czasy; uwydatnione są też ważniejsze szkoły życia wewnętrznego. Z polskich autorów wymienieni są Łęczycki i Drużbicki. Jest wreszcie spis rzeczy, który jednak mógłby być pełniejszy, oraz spis nazwisk.

Czytający tę książkę łatwo zauważą, że Autor jest biegły w teologii dogmatycznej, na której jako na solidnym fundamencie oparł całe dzieło; znakomicie posługuje się metodą scholastyczną przedstawiania kwestii trudnych w sposób prosty i jasny oraz rozwiązywania trudności przeciw stawianym tezom. Pismo św., tradycyjna nauka Ojców, dokumenty hierarchii kościelnej, wielcy doktorowie (św. Tomasz przede wszystkim, ale i inni, jak św. Bonawentura, Suarez, Lesjusz) oraz wybitni pisarze ascetyczni — oto źródła, z których autor czerpie. Wykaz dzieł pisarzy starszych i nowszych świadczy o wielkiej erudycji autora, dzięki której sąd jego nawet w kwestiach trudniejszych jest dojrzały i umiarkowany.

Jest to naprawdę dzieło teologiczne o ascezie i mystyce. Często nawet drobniejsze ustępy zawierają cenne ziarna, jak np. o modlitwie, zaparciu siebie, pokorze, posłuszeństwie, o czystości intencji, o zgodzie z wolą Bożą itd. Niektóre kwestie są znowu obszerniej opracowane, jak kwestia o kierownictwie duchownym (str. 167 — 205), która i teoretycznie i praktycznie może być bardzo pożyteczna tak dla kierowników, jak i dla dusz potrzebujących kierownictwa. Natomiast w traktacie o kontemplacji wlanej pożądanym by było obszerniejsze omówienie kierownictwa, ponieważ dusze, które się w tym stanie znajdują potrzebują specjalnego, doświadczonego kierownictwa. Z rozdziału o kierownictwie duchownym autor wysnuwa następujące praktyczne wnioski: a) dobry kierownik na wzniosłej drodze życia duchownego winienby uprzednio sam być pod dobrym kierownictwem duchownym; b) tym skuteczniejsze i lepsze jest jego kierownictwo duchowne, im wyższy stopień świętości posiada, o ile oczywiście w równym stopniu posiada inne zalety.

Miedzy życiem ascetycznym a mistycznym i konsekwentnie miedzy teologią ascetyczną i teologią mistyczną nie da się

wprawdzie przeprowadzić ścisłej granicy; jednak w najogólniejszych rzutach można oba przedmioty dobrze rozróżnić. Z tego względu lepiej by było, gdyby i książka przez nas omawiana podzielona była na dwie odrębne części, według obu rozróżnionych przedmiotów, zwłaszcza jeżeli teologię mistyczną ogranicza się tylko do kontemplacji wlanej, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Podział według zagadnień, jaki w niej zastosowano, zaciera i przysłania te dwie różne dziedziny. Pożądanym by było opracowanie poszczególnych kwestii bardziej systematyczne, aby lepiej był uwidoczniiony ich wzajemny logiczny związek. Rozdział dotyczący teologii mistycznej jest w porównaniu z materią zaliczoną do teologii ascetycznej za szczupły. Autor stara się to uzupełnić, odsyłając czytelnika do swego traktatu *Étude de Théologie mystique* (Toulouse 1930) i do innych autorów, jak Poulain, Maumigny itd. Swój podręcznik traktuje Autor jako zbiór zagadnień wybranych z dziedziny ascetyki i mistyki.

Dzieło jego jest jednak jednym z najlepszych w tej dziedzinie i przyniesie niewątpliwie dużo pożytku tak profesorom jak i studentom, a także kierownikom duchownym. Skromne życzenie autora, by się choć w małym stopniu przyczynić do rozwoju teologicznego i prawdziwie naukowego studium życia wewnętrznego (str. VI), spełni się całkowicie.

Ks. J. Zoré T. J.

Ks. dr Stanisław Adamczyk: *Tomistyczna teoria poznania zmysłowego*. Str. XVIII+114.

Praca ta jest pierwszym tomem „Tarnowskich Studiów Teologicznych” — wydawnictwa naukowego, które dzięki inicjatywie J. E. ks. biskupa dr Fr. Lisowskiego zgrupowało licznych teologów i filozofów diecezji tarnowskiej. Wydawnictwo to, wezwane do pracy hasłem Arcypasterza *ad maiorem Dei gloriam*, powitają wszyscy z radością, jako wymowny dowód intensywnego zainteresowania się głębszą wiedzą.

Odnosnie do dziełka ks. dr Adamczyka z uznaniem należy podkreślić przejrzystość w podziale materiału, jasne stawianie problemów oraz proponowane rozwiązania, wyrażane często w zwartych i śmiałych definicjach. Autor nie cofa się przed słowem, by łagodzić swoje poglądy. Z niesłabnącym zainteresowaniem czytający śledzi bieg jego myśli, tym więcej, że odwieczne, łacińskie formuły nabierają tutaj w języku polskim świeżości i rumieńców życia. Pierwsze trzy rozdziały (o podmiocie i przedmiocie poznania zmysłowego, o determinacji władzy i o właściwym akcie poznawczym) są doskonałym, opartym na bardzo licznych tekstach różnych autorów przedstawieniem ogólnych, a często nierozumianych zagadnień z zakresu poznania zmysło-

wego. Przeprowadzenie analogii między organem i władzą z jednej strony, a materią i formą z drugiej, omówienie umiejscowienia zmysłów, stosunku organicznej zmiany do postaci zmysłowej, wprowadzenie problemu *alicuius tertii* w związku z jednością, jaka zachodzi między postacią zmysłową a samą władzą poznawczą, objawiają prawdziwego erudyte, któremu można zaufać, mimo przelotnego wrażenia, że autor dąży do rozwiązywania problemów i przyjęcia nowych myśli drogą prawie mechaniczną, mianowicie drogą zmuszania walczących stron do obopólnych ustępstw i mimo nieusprawiedliwionego lęku, że nawał szczegółów przeszkodzi autorowi ogarnięcie całości. Myślą szczególnie drogą autorowi jest przedmiot formalny zmysłów. Cały swój pogląd o tym przedmiocie streszcza autor w łacińskim sumariuszu, umieszczonym na końcu dziełka. Przedmiotem formalnym jest, zdaniem autora, pewna natura wspólna wszystkim przedmiotom właściwym, według której każdy przedmiot danej władzy do niej się odnosi. W ten sposób istnieje ogólna natura barwy we wszystkich poszczególnych barwach, ogólna natura głosu we wszystkich indywidualnych głosach. Zmysł poznaje ten przedmiot jako ogólny, choć w sposób specyficznie różny od poznania umysłowego, bo nie przez abstrakcję, ale *naturaliter*. Teksty św. Tomasza, jakimi autor udowadnia swą tezę brzmią w przybliżeniu jak tekst z I-II q. 29 a 6 *potest tamen aliqua potentia sensitiva, et apprehensiva et appetitiva ferri in aliquid universaliter*. Tej tezie autora zarzucono kiedyś zbyt ścisłą analogię między poznaniem intelektualnym a zmysłowym, na co autor napisał źródłową odpowiedź w *Collectanea theologica* z roku 1935. Przyznaję, że zdanie autora miałoby za sobą długą naprawdę tradycję, gdyby przytaczanych tekstów nie można było tłumaczyć w sposób prostszy. Podejrzewam bowiem, że autor do ustalonej liczby powszechników wprowadza nowe kategorie, wskutek czego zaciera się różnica między wyrażeniem nieokreślonym a powszechnym. Nie należy utożsamiać powszechności przedmiotu formalnego, jako jego cechy wewnętrznej i sposobu podchodzenia do przedmiotu materialnego w celu wyłowienia w nim wartości ogólnych, z możliwością stosowania przedmiotu formalnego (bez względu na jego naturę powszechną, czy szczegółową) do jakichkolwiek przedmiotów indywidualnych, wchodzących w skład tak zwanego *obiectum adaequatum* danej władzy. Autor podkreśla podobnie fakt, że zmysły nie są przywiązane do tego lub owego przedmiotu, ale ogólnie dążą do jakiegoś przedmiotu, znajdującego się w zasięgu władzy. Lecz czyż i narzędzie robotnicze jest przykułe do jednego tylko materiału?

Możliwość przechodzenia z przedmiotu na przedmiot w nieokreślonym szeregu istot obdarzonych doskonałością, stanowiącą przedmiot danej władzy, nie decyduje o specyficznej doskonałości przedmiotu formalnego. Jeśli cechę tę uważamy za pewien ogół, nie zapominajmy, że istnieje on jedynie dzięki nieokreśleniu,

a raczej niezaktualizowaniu możliwości. A taka ogólna, próżna forma, choć dostosowana przez naturę do jednego tylko rodzaju przedmiotów, może być udziałem tak rzeczy materialnych, jak zmysłowych i intelektualnych. Własności i naturę przedmiotu formalnego danej władzy powinno się badać nie w czasie jej spoczynku, ale w działaniu, przy przedmiocie; a o powszechności czy szczegółowości przedmiotu formalnego powinna decydować możliwość — i to nie jakaś mimowolna, przechodnia, nieświadoma — ale pełna możliwość wydobywania własności ogólnych z przedmiotu materialnego. Niektórzy wprawdzie autorowie dziwnie wyolbrzymiają tę „nieokreśloną” powszechność zmysłowej władzy poznawczej, ale czynią to tendencyjnie. Do takich może należy również O. Maréchal ze swą ugodową filozofią między aprioryzmem Kanta i nauką tradycyjną.

Krytykę powyższą uważam raczej za trudność postawioną znawcy omawianego problemu, niż za zarzut skierowany przeciwko poglądom autora; dziełko bowiem ks. dr Adamczyka jest doskonałą pracą, z jaką wszyscy interesujący się filozofią powinni się zapoznać.

Ks. Antoni Kuśmierz T. J.

Pierre Mandonnet O. P.: *St. Dominique, l'idée, l'homme et l'oeuvre*, augmenté de notes et d'études critiques par M.-H. Vicaire O. P. Professeur à l'Université de Fribourg. 2 vol. Paris, Desclée de Brouwer et Cie, 1938.

Zdawało się, że kilka lat temu, o. Petitot O. P. powiedział na razie ostatnie słowo o św. Dominiku; a oto dziś pojawia się nowa, obszerna bo dwutomowa monografia niedawno zmarłego profesora uniwersytetu fryburskiego, o. Piotra Mandonnet, dominikanina. Był to znakomity historyk, pierwszorzędny znawca dziejów swojego zakonu i w ogóle wieków średnich. Przez całe życie zbierał materiały do wyczerpującego dzieła o swoim wielkim Zakonodawcy, lecz nie zdołał ich uporządkować i nadać im ostatecznej formy. Trudnego zadania podjął się uczeń zmarłego, o. Vicaire O. P. dziś także profesor we Fryburgu; z największym pietyzmem pozbierał różne fragmenty, szkice, plany, notatki, schematy, artykuły drukowane i rękopiśmienne swego mistrza i ugrupował je umiejętnie dookoła większej pracy o. Mandonnet o św. Dominiku, wydanej w Gandawie 1921 roku, a dziś już wyczerpanej. Rzecz ta pisana od ręki dla *Études religieuses*, bez żadnego balastu naukowego, nosi tytuł: „Św. Dominik — człowiek, idea i jego dzieło”. Tego planu i tego nawet tytułu trzymał się wiernie wydawca i dla obecnej, bardzo rozszerzonej pracy, opatrzonej w obszerne opisy, odnośniki i cały aparat naukowy.

Św. Dominik żył na przełomie XII i XIII wieku, tj. w epoce wielkiego przewrotu myślowego, z którego się wyłonił świat nowy, nowa epoka cywilizacji. Odpowiadając potrzebom czasu stworzył on nowy typ zakonnika, zupełnie odrębny od dotychczasowego. „Trudno nam dziś zrozumieć, jaka przepaść leżała wówczas między pojęciem o mnichu średniowiecznym XII wieku, benedyktynie lub cystersie, a zakonnikiem na wskrós nowożytnym, jakim był w połowie XIII wieku dominikanin. Dzieli ich ogromny odstęp stworzony przez ewolucję społeczną i religijną, która się w tym właśnie czasie dokonywała. Zadaniem nowego zakonu było nauczanie na wszechnicach i kaznodziejstwo dogmatyczne. W związku z tym musiały nastąpić różne zmiany w ustroju zakonnym: skrócenie oficium chórowego, zasada udzielania koniecznych dyspens od obserwancji monastycznych, opuszczenie uroczystej ciszy opactwa dla wielkich i ludnych miast, zniesienie ślubu *stabilitatis* dla możliwości szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, wedle potrzeby, oraz zaniechanie obowiązującej wszystkich pracy ręcznej, aby móc się oddać niepodzielnie ciągłym a głębokim studium.“

Pierwszy tom omawianego dzieła nosi podtytuł: *Étapes — Perspectives*.

W I tomie kreśli o. Mandonnet wizerunek Patriarchy Zakonu kaznodziejskiego, którego natura i łaska hojnymi obsypały darami. Był on urodzonym Duce; niedarmo Honoriusz III, w pierwszej bulli konstytucyjnej nazwał go wodzem niezwycięzonych zapaśników Chrystusowych, *athletae invicti, pugiles fidei et vera mundi lumina*. W tych słowach określa wielki papież cel zakonu: walczyć w obronie wiary i świecić w Kościele Bożym nauką i cnotą; słowa te są jednocześnie lapidarną charakterystyką samego św. Dominika.

Dalej przechodzi autor różne fazy jego dzieła, organizacje szkolne średniowiecza, prace apostolskie i misyjne pierwszych dominikanów, świętość i życie mistyczne w łonie zakonu, ustosunkowanie się jego do liturgii i do sztuki.

W II tomie, po części pióra o. Mandonnet, po części zaś jego wydawcy, opracowana jest misja Zakonu Kaznodziejskiego w Kościele, na tle kryzysu kaznodziejstwa w zaraniu XIII wieku i kryzysu szkolnictwa średniowiecznego w tej samej epoce. Następuje historia reguły dominikańskiej, poprzedzona głębokim studium o regule św. Augustyna, która służy tamtej za podstawę i rozdział o tercjarstwie (*Ordo de Poenitentia*) szerzącym się bujnie w owych czasach, pod egidą nowych zakonów żebrzących, dominikanów i franciszkanów.

Św. Dominik o. Mandonnet — to dzieło poważne, źródłowe, epokowe. Słusznie zatem wydawca Desclée zaopatrzył ją pasową opaską z napisem: *Une oeuvre monumentale*.

S. M. R.

Ostatnie wydanie Indeksu w roku 1929, powtórzone bez zmian w 1930, mamy tu pomnożone o nowe dzieła, które w tych latach były potępione. Dla łatwiejszego przeglądu dzieła potępione uroczyście przez bulle lub listy apostolskie oznaczone są w obecnym wydaniu krzyżykiem, czasowo zaś potępione aż do chwili usunięcia błędnych mniemań oznaczono gwiazdką. Oczywiście nie wyczerpuje ten spis dzieł zakazanych. Olbrzymia liczba dzieł, zagrożających moralności, tak wzrasta, że Kongregacja św. Oficjum ogranicza się po większej części do piętnowania dzieł przeciw wierze i przeciw należnemu posłuchowi dla rozporządzeń Kościoła a i to nie wszystkich, ale bardziej znamienitych. Zwłaszcza książki w językach słowiańskich, z bardzo nielicznymi wyjątkami, są pomijane. Dlatego właściwy spis dzieł zakazanych poprzedza Instrukcja św. Oficjum o literaturze, szerzącej rozpustę, często nawet owianą jakimś religijnym mistycyzmem oraz Kanony Prawa Kościelnego, które stawiają ogólne zasady, co do wydawania i wolności czytania książek. Oczywiście przy tak ogólnie postawionych zasadach często sąd, czy książka jakaś podlega zakazowi czy nie, zależeć musi od czytelnika, o ile Księża Biskupi nie zakazą takiego dzieła lub pisma we własnych diecezjach. Indeks jednak daje pewną orientację a zarazem stanowi obowiązujące w sumieniu prawo dla wiernych. Powinien się więc znaleźć w rękach kapłanów, osobliwie pracujących po miastach, oraz w katolickich czytelniach i w rękach bibliotekarzy.

Ks. Wład. Rejowicz T. J.

Preces et Pia Opera Indulgentiis ditata. Typis poliglottis
Vaticanis 1938. Str. 654. Lir 25. Prostat exclusive apud Marietti.
Romae (119).

Książeczka nieodzowna dla każdego kapłana. Usuwa ona dotychczasowe zbiory czy to *Raccolta*, czy zawarte w klasycznym dziele Beringera-Steinena, przerobionym na język polski przez o. Arndta T. J. pt. *Odpusty*. Wobec licznych zmian w udzielonych przez Stolicę św. odpustach, jakie zaszły w ostatnich latach, są tamte dzieła już nieaktualne. Pius XI cofnął wszelkie ogólnie nadane przedtem odpusty, nie zamieszczone w obecnym wykazie i tylko obecny wykaz kazał odtąd uważać za autentyczny. Dzieło obejmuje 708 modlitw i pobożnych ćwiczeń udarowanych odpustami. w językach w jakich były przedstawione do nadania odpustu. Dodane Kanony Prawa uzupełniają wykaz a zarazem zawierają ważne rozstrzygnięcia św. Penitencjarii, że do uzyskania odpustu tam, gdzie dodana jest klauzula, by się pomodlić na intencję Ojca św., trzeba odmówić 1 Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała

Ojcu; jedynie dla zyskania odpustu *foties quoties* wymaga się przy każdym nawiedzeniu kościoła, o ile ono jest przepisane, odmówienia 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś i 6 Chwała Ojcu. W tłumaczeniu modlitw odpustowych pamiętać należy, że wszelkie dodatki, opuszczenia lub wtręty udaremniają zyskanie odpustu, jeżeli zmieniają istotę tych modlitw. I tak np. w litaniach śpiewanych na cześć Matki Bożej musi po każdym wezwaniu następować „Módl się za nami”. Inaczej odpustu się nie uzyskuje. (S. Paen. AAS XII, str. 18).

Ks. Wład. Rejowicz T. J.

Basilius Steidle O. S. B.: *Patrologia seu Historia Antiquae Litteraturae Ecclesiasticae, scholarum usui accomodata*. Herder et Co., Friburgi Brisgoviae 1937. Str. XVII, 294.

Podtytuł tego podręcznika patrologii dla seminariów duchownych i wydziałów teologicznych wskazuje na to, że Autor pojął go nieco szerzej: nie tylko jako studium Ojców Kościoła w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz jako historię literatury chrześcijańskiej, także w jej pomnikach częściowo lub całkowicie obcych ortodoksyjnej nauce, jak apokryfy i dzieła heretyków. Takie pojęcie patrologii pociągnęło za sobą nieco odmienny, niż w dawniejszych podręcznikach patrologii, układ dzieła. Autor połączył układ chronologiczny z rzeczowym. W pierwszych trzech częściach przedstawił właściwą literaturę patrystyczną, dzieląc ją według ogólnie przyjętej praktyki na okres trzech pierwszych wieków (przedniejszy), okres złoty (w. IV do końca V), okres powolnego upadku (w. VI i VII). W każdym okresie wyodrębniono nie tylko mniejsze podokresy, ale też literaturę poszczególnych ognisk chrześcijańskiej nauki. Osobno uwzględniani są też pisarze ascetyczni. Po raz pierwszy chyba w podręcznej Patrologii uwzględniono szczegółowo literaturę wschodnich odłamów chrześcijaństwa, które wcześniej odpadły od jedności wiary: Ormian, Syryjczyków, Koptów, Gruzinów, Abisyńczyków. W części IV osobno została przedstawiona literatura historyczna, hagiograficzna, liturgiczna, zbiory dokumentów dogmatycznych i prawnych. Wreszcie w dodatku zebrana została literatura apokryficzna.

Wartość podręcznika podnosi bogata literatura ogólna oraz szczegółowa do poszczególnych pisarzy. Polska literatura patrystyczna i polskie tłumaczenia Ojców Kościoła nie zostały jednak dostatecznie uwzględnione.

Wielką zaletą podręcznika są liczne i dobre skrowidze ułatwiające korzystanie z niego. Dzięki zastosowaniu całego systemu skrótów książka nie rozrosła się do zbyt wielkich rozmiarów, mimo bogatego materiału w niej nagromadzonego. Słowem jest to podręcznik pod każdym względem wzorowy.

Ks. B. Waczyński T. J.

P. Croizier S. J.: „Devant l'ordre nouveau, Responsabilités et Devoirs des Catholiques“. Édition Spes, Paris 1938, prix 12 fr.

Ostatnia książka o. Croizier, zasłużonego pisarza na niwie społecznej, nosi na karcie tytułowej wzmiankę: *À la lumière des encycliques*. — Od lat kilku wypadki polityczne tak przekształciły warunki ekonomiczne na całym świecie, że wywołały niepojęty zamęt w umysłach. Rola katolików w dzisiejszym społeczeństwie jest coraz wybitniejsza; Akcja Katolicka nabiera coraz większego znaczenia i działa coraz sprawniej. Papież Pius XI, jej twórca i organizator, nakreślił po mistrzowsku obowiązki katolików, metodę ich pracy, cel i środki do osiągnięcia tego celu. Na pierwszym miejscu stoją tu encykliki *Quadragesimo anno* i *Divini Redemptoris*, które Autor często przytacza.

Pisze stylem żywym, bezpośrednim, pełnym francuskiej werwy i dowcipu. Oto jak np. kończy swój wstęp:

„Jeżeli, drogi czytelniku, należysz do tych, co chętnie drzemią, i nie lubią, aby im przeszkadzano w tej popołudniowej drzemce,

jeżeli sądzisz, że „i tak wiesz, czego się trzymać“,

jeżeli jesteś przekonany, że jedyny sposób zaprowadzenia „porządku“ jest zmusić krzykaczy do milczenia, —

to nie czytaj tej książki: napsułaby ci ona krwi i mogłaby przeszkodzić ci w trawieniu.

Ale — i sądzę, że raczej tak będzie —

jeżeli czujesz pewien pociąg do prawdziwego porządku, a niezadowolenie z tego, co się dzieje wokoło,

jeżeli sądzisz, że możesz się jeszcze niejednego nauczyć, a zwłaszcza, że twoja znajomość encyklik papieskich jest nieco pobieżna,

jeżeli słowo „Akcja Katolicka“ nie pozostawia cię obojętnym,

Tedy puśćmy się razem w drogę — dobrze?

Jeżeli się nie znajdziesz w towarzystwie uczonego, to będziesz miał przynajmniej przy sobie przyjaciela, który ci dobrze życzycy...”

Książka obejmuje trzy części: w pierwszej Autor charakteryzuje dawny i nowy porządek rzeczy; w drugiej, pt. „Odpowiedzialności“, rzuca jeszcze światło na wady dawnego porządku rzeczy i na wymagania Kościoła co do nowego, w świetle encyklik papieskich. W trzeciej rozpatruje obowiązki katolików, które dzieli na dwie grupy: „Rozumieć“ i „Działać“. Należy dążyć do zrozumienia położenia robotnika (tu następuje bystra analiza rozstroju moralnego i religijnego mas pracujących, oraz braków moralnych i materialnych, które spowodowały obecny kryzys ekonomiczny). Trzeba też poznać i zrozumieć myśl Kościoła w sprawie kryzysu: jest to rozdział mistrzowski, najciekawszy może z całej książki. — Ale nie wystarczy rozumieć sytuację: trzeba działać i przeciwdziałać. Ewangelia każe nam wprowadzać w czyn

prawdę poznana: *facere veritatem*. Nie dość „nazywać się Synami Bożymi”, trzeba nimi być w życiu i w czynie.

„Zbyt wielu ludzi — powiedział niedawno znany dobrze w Polsce generał Weygand — są połowicznymi tylko katolikami, z tradycji lub z sentymentu. Gdyby ich myśl była prawdziwie karmiona katolicyzmem, byłoby z pewnością lepiej na świecie... Wiara katolicka, w tym co ma nadludzkiego, jest wymagająca: obowiązuje swoich wyznawców do ciągłego rachunku sumienia. Jest ona szkołą szczerości, zmusza do spojrzenia prawdzie w oczy... Dogmat chrześcijański zmusza tego, co mu się dobrowolnie i rozumnie poddaje, do ciągłego kontrolowania wartości tych idei, którymi operuje”.

Niech więc nasz katolicyzm nie będzie tylko fasadą, wedle znanego wyrażenia Piusa XI; nie ma bowiem miejsca na dwóch panów w chrześcijańskiej duszy: Jeden jedyny powinien w niej panować na całej linii — Jezus Chrystus, miłość wcielona! Oto idea, której służy ostatnia książka o. Croizier.

S. M. R.

Chanoine P. Magaud: *Les Evangiles du dimanche expliqués et commentés*. Paris, Téqui, 1938, str. 402, cena 15 fr.

Tak jak ów ewangeliczny „człowiek gospodarz, który wyjmuje ze skarbca swego nowe i stare rzeczy” (Mat. 13, 52), tak i komentatorzy Ewangelii, choć liczni, zawsze przyniosą coś nowego, wyjątego ze starego skarbca Pisma św. Nowego Testamentu.

Stosuje się to i do nowej książki ks. kanonika Magaud, przełożonego Ks. Misjonarzy diecezjalnych w Clermont. Zawiera ona rozważania na wszystkie niedziele roku i niektóre ważniejsze święta. Autor trzyma się z góry nakreślonego planu: najpierw podaje tekst perykopy, przypadającej na dany dzień; potem część historyczną, dającą ustępowi potrzebne objaśnienia i ramy sytuacyjne; nareszcie idzie część dogmatyczno-moralna, tłumacząca jakiś punkt nauki Kościoła, wynikający z przeczytanego tekstu, oraz jego zastosowanie w życiu codziennym. Dzieło to łączy zatem wiedzę teologiczną z pobożnością, a piękne ujęcie literackie dodaje wartości książce. Może ona służyć zarówno jako budująca lektura niedzielna dla inteligencji, lub jako pomoc w przygotowaniu homilii niedzielnych dla duchowieństwa.

S. M. R.

Dr med. Carla Zawisch, Privatdozent d. Universität Wien: *Werden des christlichen Arztes. Persönlichkeit und Gestaltung. Einsiedeln-Köln 1937, Benziger & Co. Str. 167.*

Prawdziwie piękna, rzeczowo i głęboko ujęta książka o powołaniu lekarza w ogóle, a lekarza-katolika w szczególności,

i o urabianiu jego osobowości. Czytelnikom, którzy pamiętają niedawny artykuł prof. dra L. Wachholz'a pt. „Chrystus a medycyna” (*Przegląd Powsz.*, grudzień 1937 r.), zrozumienie myśli autora nie będzie przedstawiało trudności. Stan lekarski, mający za zadanie szukanie dobra cierpiącej ludzkości, zbliża się tak bardzo do misji, jaką niegdyś wykonywał Zbawiciel na ziemi, kiedy leczył ciała i dusze. Stąd postać Chrystusa Pana, który kierował się duchem miłości, gdy śpieszył wszystkim z pomocą, powinien przyświecać każdemu lekarzowi i być wzorem, podług którego winien kształtować swą osobowość. Bliższe rozwinięcie tych zagadnień jest właśnie tematem niniejszej książki.

Troska o wyrobienie charakteru jest obowiązkiem każdego człowieka, a formowanie go podług wzoru Chrystusa Pana jest powinnością każdego katolika, lekarza zaś w szczególności. Wymagania, jakie w tej mierze stawia autor, są wysokie, ale liczące się z rzeczywistością życiową, w czym pomaga mu zarówno znajomość medycyny, jak bystra orientacja w teoretycznych i praktycznych zadaniach pracy lekarskiej. Tym tłumaczy się równowaga, jaką umie zachować w ocenianiu wartości czynników przyrodzonych i nadprzyrodzonych, w stawianiu postulatów i w uwzględnianiu konkretnych warunków. A jeśli żądania autora przekraczają dość znacznie przeciętną miarę, nie wolno zapominać, że stawia on przed oczy ideał, do którego należy dążyć, i że nie tajno mu jest, jak bardzo potrzebny jest ten wysoki ideał, żeby zapobiec istniejącym niedomaganiom w świecie lekarskim i żeby podtrzymać na duchu jego członków w ciężkich warunkach dzisiejszej ich pracy.

Ta pierwsza część książki, dająca obraz lekarza z powołania, zwłaszcza katolika, jest najpiękniejsza i radzimy ją przeczytać wszystkim. Nie tylko pokazuje bowiem, czym jest stan lekarski, ale wyjaśnia, jak wiele zależy w każdym zawodzie od duchowego nastawienia i wyrobienia człowieka i że wszędzie można dążyć do doskonałości, jeśli się opiera na chrześcijańskich zasadach w całym postępowaniu.

Pozostałe dwie części są poświęcone przede wszystkim kandydatom do stanu lekarskiego i młodym lekarzom. Stwierdzenie, czy dana jednostka jest powołana do tego zawodu, zachowanie się podczas lat studiów i w początkowej praktyce lekarskiej, wszystkie te zagadnienia omówione są dostatecznie obszernie i jasno, tak że dla wszystkich, którzy pragną się poświęcić stanowi lekarskiemu lub już go obrali, oraz dla tych, którzy pragną służyć dobrą radą młodym ludziom, rozdziały te będą prawdziwym światłem i pomocą. Ostatnie dwa ustępy poświęcone są naukowej pracy lekarskiej, karierze profesora medycyny i lekarza misyjnego.

Ks. St. Podoleński T. J.

Jerzy Kuncewicz: *Republika globu*. Warszawa 1938. Tow. Wyd. Rój. Str. 327.

W *Republice globu* Jerzy Kuncewicz przedstawia nam rozwój życia gospodarczego świata „cywilizowanego” w okresie ostatniego półtorawieczia, to znaczy mniej więcej od czasów rewolucji francuskiej, zwracając uwagę na olbrzymie przemiany społeczno-polityczne, wywołane rozwojem techniki. Autor posiada umysł żywy, spostrzegawczy i oryginalny, rozpatrywane zagadnienia przedstawia przystępnie i jasno, stąd też zaciekawia czytelnika.

Republika globu zawiera ogromną ilość bardzo ciekawych danych i porusza wielką ilość zagadnień. Z wieloma ujęciami autora można się nie zgodzić, co nie przeszkadza jednak, że książka jego zaciekawia i daje bardzo dużo do myślenia. Linią przewodnią autora jest twierdzenie, że świat obecny czekają dalsze wstrząsy i przemiany, bo to, czym żył świat przez półtora wieku, już się przeżyło.

Po dłuższych rozważaniach Autor przystępuje do charakterystyki trzech nowych systemów gospodarczo-politycznych, które powstały już na gruzach starego, walącego się świata, a mianowicie: komunizmu rosyjskiego, rooseveltyzmu amerykańskiego i faszystwu włoskiego; hitleryzmu Autor jeszcze nie opracował. Uwagi swe kreśli Autor z dużą dozą bezstronności i krytycyzmu. Największe zastrzeżenia budzą jego rozważania na temat komunizmu rosyjskiego, gdyż autor nie z powodu jakiejś sympatii do komunizmu, o co bynajmniej posądzać go nie można, lecz w ferworze dyskusji o sprawach ginącego świata i wyłaniania się nowego, upatruje w bolszewizmie niektóre wartości, których on w rzeczywistości nie posiada. I tak np. posługując się statystykami sowieckimi dochodzi do wniosku, że realne uposażenie robotnika rosyjskiego, zostało podwyższone za czasów komunistycznych, wynosząc w latach 1905—9 34% uposażenia robotnika angielskiego, 55,5% francuskiego itd., podczas gdy w roku 1928 procent ten podnosi się do 52 w stosunku do robotnika angielskiego i 56 francuskiego (patrz str. 110). Współczesna nędza rosyjska przeczy, kunsztownie zestawionym, oficjalnym statystykom sowieckim, na lep których dał się Autor lekkomyślnie złapać.

W rozdziale o komunizmie rosyjskim znajdziemy sporo uwag Autora, z którymi zgodzić się w żaden sposób nie można, zastępuje natomiast na uwagę dość obiektywna ocena doktryny Marksa i jej rozwoju. Autor odróżnia słusznie niektóre ekonomiczne rozważania Marksa, w których wniósł pewne wartości do ogólnej skarbnicy wiedzy ludzkiej, od jego „doktryny”, która jest już ułomną, a w niektórych działach z gruntu fałszywą.

O wiele mniej niedociągnięć i usterek znajdziemy w rozdziałach traktujących o rooseveltyzmie i faszyzmie, jakkolwiek i tu niejedno dałoby się sprostować. Nie ulega jednak wątpliwości, że rooseveltyzm i faszyzm są opracowane dość dobrze i obiektywnie.

Dominięcie hitleryzmu stanowi niewątpliwą lukę.

Autor ze swej strony nie podaje, przynajmniej na razie, koncepcji gospodarczo-polityczno-społecznej najodpowiedniejszej dla przyszłej ludzkości, z toku jednak jego rozumowania można się niejako pewnych rzeczy domyślić. Autor posiada wiele zdrowych i twórczych koncepcji, co nie przeszkadza, że domniemana jego wizja przyszłości, przezierająca tu i ówdzie z poszczególnych stronici książki, nie wydaje się być zbyt realną, to znaczy że *en bloc* nie ma większych widoków powodzenia. Pomimo tych zastrzeżeń, książkę Kuncewicza warto przeczytać.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Tadeusz Teslar: *Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku*. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Warszawa 1938. Str. 304.

Książka Tadeusza Teslarsa jest ciekawym przyczynkiem do poznania sprężyn agitacji bolszewickiej podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 r. Odtwarza ona sposoby, jakimi bolszewicka Rosja starała się rozsadzić duchową jedność i spójność narodu polskiego, podczas jego wielkiej walki na śmierć i życie. Wartość jednak książki nie polega na zapoznaniu czytelnika z organizacją i techniką propagandy bolszewickiej, która wydała wiele milionów egzemplarzy odezw, broszur i wszelkiej bibuły agitacyjnej celem obezwładnienia świeżo do bytu niepodległego powołanego narodu polskiego, lecz na zebraniu i ogłoszeniu często *in extenso* głównych odezw dynamicznych marksistów polskich (komunistów), idących ręką w rękę z marksistami rosyjskimi, a raczej pracujących dla ich sprawy, z zagrożeniem bytu Polski nie tylko jako państwa, lecz i jako narodu.

Najciekawszym jest rozdział zawierający zbiór „manifestów”, odezw, „deklaracyj” itd. tak zwanego „Czerwonego Rządu polskiego”, powołanego oficjalnie do życia w dniu 2 sierpnia 1920 r. w Białymstoku, pod nazwą: „Tymczasowego Rewolucyjnego Komitetu Polski”, na czele którego stanęli komuniści: Julian Marchlewski, jako przewodniczący, Feliks Dzierżyński (przyszły szef rosyjskiego „czeka”), Feliks Kon, Edward Próchnik i Józef Unszlicht. Z odezw tych jasno wynikają cele i metody komunistów polskich, którzy w owej historycznej chwili poszli za Marksem a przeciw Polsce, w przeciwieństwie do socjalistów, którzy wraz ze swym wodzem Ignacym Daszyńskim wypełnili swój obowiązek narodowy. Godne to i jedynie rzeczowe stanowisko P. P. S. stanęło w poprzek marksowskim celom komunistów polsko-żydowskich, stąd też wyładowanie się całej furii bolszewików polskich skierowane zostało przeciwko wodzom partii socjalistów, którym zarzuca się zdradę marksizmu i proletariatu. Słownictwo używane do szkalowania wszystkiego tego, co przeciwstawia się wprowadzeniu komunizmu

w Polsce, jest analogiczne do stosowanego wobec „wrogów ludu” przez obecny komintern moskiewski, zdania takie jak: „Rząd polski z socjalistą Piłsudskim na czele sprzedał wszystko...” „Najhaniebniejszą rolę odegrali zdrajcy socjalizmu, zdrajcy sprawy robotniczej z tak zwanej Polskiej Partii Socjalistycznej...” są na porządku dziennym u tych, którzy dążyli do uszczęśliwienia Polski marksowskim reżimem z Marchlewskim i Dzierżyńskim na czele. Książka Teslara jest ciekawa i pouczająca.

H. J. Korybut-Woroniecki.

Józef Orzech: Samouczek do nauki języka łacińskiego, ułożony na podstawie tekstów liturgicznych. Cwiczenia, gramatyka, słowniczek, Nakładem własnym. Tarnów 1938, str. 97.

Nie znajdzie tu czytelnik opowiadań ze starożytnej historii ani mitologii. Autorowi bowiem przyświecał cel bardziej praktyczny: uprzystępnienie liturgicznej myśli Kościoła, liturgicznych zdań i opowiadań. W dobie odrodzeniowego ruchu liturgicznego, jakiego jesteśmy świadkami, inicjatywa ta jest prawdziwą przysługą.

Antoni Trepieński: Dziennikarz na prowincji. F. Hoesick. Warszawa, 1938, str. 45.

Pogodzić tempo pracy w redakcji wielkomińskiej z ruchem i warunkami życia prowincjonalnego — oto niełatwe zadanie. Omawia je i uprzystępnia niniejsza broszura, przeznaczona dla kandydatów na stałych współpracowników prasowych. Wskazówki zawarte w tej książeczce, pochodzą ze stanowiska dziennikarza o skali ogólnokrajowej. Zgrupowano je mniej więcej w kolejności, w jakiej korespondent praktycznie zaznajamia się z zagadnieniami służby informacyjnej.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności:

Henryk Barycz: Polacy na studiach w Rzymie w epoce Odrodzenia (1440—1600), str. 261.

Jan Rutkowski: Badania nad podziałem dochodów w Polsce w czasach nowożytnych. Tom I. Rozważania teoretyczne. — Klasyfikacja wielkich właścicieli ziemskich. Z zasiłku Funduszu im. Wł. Fedorowicza, str. 328.

Studia ekonomiczne. Economic Studies. V, str. 82.

Nakładem Książnicy-Atlas, Lwów—Warszawa:

Bogdan Nawroczyński: Polska myśl pedagogiczna. Jej główne linie rozwojowe, stan współczesny i cechy charakterystyczne, 1938, str. 293.

Stefan Baley: Psychologia wychowawcza w zarysie. Z 19 rylinami. 1938, str. 675,

Stefan Szuman: *Rozwój myślenia u dzieci w wieku szkolnym*. 1938, str. 248.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

Ks. Paweł Ilniński: *Bądźcie wierni. Przemówienia religijne dla młodzieży*. Wstępem opatrzył ks. prof. J. Winkowski. 1938, str. 241.

Ks. Jan Pelz: *Kazania dla dzieci. Credo na tle roku szkolnego*. Spolszczył Józef Birkenmajer, 1938, str. 237.

Dr Mieczysław Skrudlik: *Chryścianizm a świat zwierzęcy*. 1938, str. 111.

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

Andrzej Strug: *Miliardy*, str. 260.

Dr med. Władysław Wiktor Hertzberg: *Twórczość*. Z przedmową dra Witolda Rubczyńskiego, str. 138.

Nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, Warszawa:

Lucjan Socha: *Na nowej drodze*. 1938, str. 121.

Wiersze żołnierskie. 1938, str. 159.

Karol Römmel: *Zaprawa i jazda wyścigowa. Praktyczne wskazówki zaprawy konia do wyścigów z przeszkodami i biegów na przełaj*. 1938, str. 109.

Nakładem Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy, Kraków:

Ks. Franciszek Kwiatkowski T. J.: *Z pogranicza filozofii i teologii*. Wykłady dla katolickiej inteligencji, str. 563.

R. Mäder: *Z powrotem do Mszy św.* Przełożył z niemieckiego ks. Józef Wiliam Janus T. J., str. 155.

Nakładem różnych:

Baltic and scandinavian countries. Vol. IV. No. 2. (9) May. 1938. Published by The Baltic Institute. Gdynia—Poland, str. 296.

Aleksander Hertz: *Socjologia współczesna*. Nakładem Biblioteki „Życia i Wiedzy”. Warszawa, 1938, str. 228.

Maria Czapska: *Ludwika Śniadecka*. Nakładem „Biblioteki Polskiej”. Warszawa, 1938, str. 269.

Paulus Gaechter S. J.: *Summa introductionis in Novum Testamentum*. Sumptibus Feliciani Rauch, Oeniponte Lipsiae. 1938, str. 252.

Ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski: *Ewangelie. Ich powstanie i rodzaj literacki*. Warszawa, 1938, str. 152.

Ks. dr Kazimierz Kowalski: *Spiritus sanctitatis*. Konferencje dla duchowieństwa. Tuchów, 1938. Nakładem Wydawnictwa „Homo Dei”, str. 73.

P. M. Bernard: *Petits enfants. Histoires récréatives*. Éditions Téqui, Paris 1938, str. 169.

C. F. Ramuz: *Pastwisko na Derborence*. Przekład Stefana Flukowskiego. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa-Kraków, 1938, str. 222.

Zygmunt Wojciechowski: *Miedzy Niemcami a Rosją*. Z powodu książek: Adolfa Bocheńskiego *Miedzy Niemcami a Rosją* i W. Bączkowskiego *Grunwald czy Pilawce?* Nakładem „Awangardy Państwa Narodowego”, Poznań, 1938, str. 23.

Ks. Michał Klepacz: *Karol Hubert Roszkowski*. Biblioteka „Spraw otwartych” t. II. Wilno, 1938, str. 88.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Powrót św. Andrzeja Boboli do Polski.

Bohater, prorok i patron polskiego narodu, św. Andrzej Bobola, wyniesiony na ołtarze przez „polskiego Papieża”, podjął więc na nowo szczytną misję, której poświęcił niegdyś swe życie aż do heroizmu męczeństwa.

Jeśli genialnego wodza i zdobywcę Napoleona, zdumiewał fakt, że Chrystus dopiero po swej krzyżowej śmierci, wbrew wszelkiej logice dziejów, rozpoczął największy podbój, jaki zna historia ludzkości, że skupił około swej osoby najpotężniejszą armię, której nic nie może złamać, której nikt nie może wydrzeć zwycięstwa, — to faktem jest nie mniej znamienym, że i podkomendni Chrystusa, sztabowcy tej armii ducha uczestniczą w dziwny a realny sposób w nieśmiertelności swego Wodza. Świętość to zespolenie się (moralne) z Chrystusem, zrealizowanie Jego życia w życiu człowieka, to przechrystusowanie istoty ludzkiej i dlatego właśnie wznosi się ponad czas i przestrzeń a wpływem swym sięga poza wszelkie kordony ograniczoności ludzkiej.

Cóż znaczą w tych perspektywach wieczności trzy wieki? Cóż znaczy doczesna śmierć i ciemnia grobu, nad którą triumfuje nieśmiertelny duch mocą swej indywidualności, modelowanej w trudzie i znoju na Chrystusowym wzorze! Nic więc dziwnego, że z trumny, kryjącej szczątki Męczennika począł promieniować jego mocarny duch, duch Chrystusowego krzyżowca, który ległszy na szafcu w krwawej aureoli, nie mogąc dokończyć wówczas swej misji, podejmuje ją dziś z tym samym zapalem i uporem a z daleko większym skutkiem.

Z Bożej łaski i z Bożej nominacji ambasador, przedstawiciel Rzeczypospolitej, polskiej kultury i polskiej dziejowej misji, zareprezentował swą ojczyznę zagranicą jak najświetniejszy mąż stanu. Pod stropem bazyliki święta przypomniawszy milionom bohaterskie dzieje i zdobycze „przedmurza chrześcijaństwa”, odebrał w imieniu swej macierzy hołd od przedstawicieli wszystkich narodów, okrył chwałą tę, która go zrodziła, wychowała i na męczeńskie skierowała szlaki! To coś więcej, niż chwilowy dyplomatyczny sukces w tej lub innej stolicy.

W Watykanie oddano mu najwyższe honory a Piotrowy Następca, przyjmował klęcząc tego ambasadora Rzeczypospolitej. Śląc go na północ, na ojczyznę łono, powierzył mu niesłychanie doniosłą misję: jednoczenia i skupiania narodu przy wielkiej i godnej tego narodu idei, (by włóczony między bezbożne totalizmy, nie uląkł się dyktatorów chwili, ale śmiało stanął w obronie kultury ducha i chrześcijańskiej tradycji Zachodu.)

Perchè dire polacchi nel suo vero significato è come dire cattolici, wołał z rozrzewnieniem i głębią przekonania Pius XI.

We wspaniałej świątyni Al Gesù lśniącej od złota i marmurów, zęgnął Bobolę katolicki Rzym. Grono purpuratów, zastępy duchowieństwa, przedstawiciele władz, tysiączne rzesze Rzymian wszelkich stanów składało hołd bohaterowi katolickiej Polski. A potem w triumfalnym pochodzie odprowadzono go na *stazione termini*. Najświetniejsze ulice Wiecznego Miasta, zasłane kwieciami, rozebrzmiały okrzykami na cześć bohatera wiary. Imię św. Polaka budziło nie tylko entuzjazm ale przesłaniało zrenice łzami rozrzewnienia i żalu, że odchodzi... — Piazza Venezia, Foro Italico, Via del Impero, Via Cavour... wspaniały szlak rzymskiej świętości, na którym przeszłość łączy się ze współczesnością rozbrzmiewał okrzykami: *E viva il santo Polacco!*

Świadkom tej uroczystości nasuwała się z nieprzepartą siłą analogia innego przyjęcia, które urządzono niedługo przedtem na tych samych ulicach Rzymu... Wówczas na tle przepychu i dekoracji, pomimo pracowitej i w szczegółach obmyślanej inscenizacji, uderzała sztuczność, raził poprzez okrzyki źle maskowany chłód tłumów; Boboli towarzyszył entuzjazm, zbudzony nie rozkazem czy reklamą ale tryskający spontanicznie z serc. Nie interesy politycznego przetargu ale wspólnota wiary i odwiecznych ideałów spajała ten alians, którego rzecznikiem stał się w Rzymie duchowy ambasador Rzeczypospolitej Andrzej Bobola.

Jeszcze wspaniałej wypadło przyjęcie w stolicy Słowenii, w Lublanie. Królewskie honory przy powitaniu relikwii Męczennika na dworcu; udział władz, duchowieństwa,

armii i obywateli miasta; imponująca swymi rozmiarami, ła-dem i religijnym skupieniem procesja do kościoła św. Józefa i te tłumy wiernych, cisnących się do trumny św. Polaka, wzruszały do głębi.

Mijały godziny modlitwy a tłumy otaczające kościół wciąż rosły. Wszystkie pobliskie ulice i place były przepełnione; z trudem policja i organizacje młodzieży zdołały utrzymać porządek. Tak minęło całe popołudnie i zbliżył się wieczór. O godz. 7³⁰ zaczęło się pożegnalne nabożeństwo. Po hymnie ku czci Świętego wygłosił słoweńskie kazanie znakomity mowca ks. Pate, a polskie dziękczynne przemówienie ks. prowincjał Sopuch. Po litaniach i *Te Deum* nastąpił pochód ku dworcowi kolejowemu.

Trudno opisać tę chwilę. Na ciemnym niebie mrużą oczy gwiazdy a ulice Lublany płoną morzem światła — światła niebieskie ustępują na ten wieczór miejsca blaskom ziemskim. Niekończące się szpalery mężczyzn wznoszą w górę płonące pochodnie. Z iluminowanych domów powiewają flagi, rozzwoniły się wszystkie dzwony. Gdzie rzucić okiem nieprzejrzone tłumy. Z różnych ulic płyną uroczyste fanfary, dźwięki orkiestr, pobożne śpiewy. A środkiem tego morza ludzkiego posuwa się majestatycznie, zaprzężony w cztery białe konie, triumfalny rydwan z trumną Świętego, zarzucony lasem wieńców i kwiatów. W ogrodowych częściach miasta, w których z natury rzeczy światła mniej, ciemny wóz i białe konie, miotane wiatrem płomienie pochodni, zjawiające się raz w świetle raz w półcieniu rysy twarzy ludzkich, sprawiają wrażenie dramatycznego misterium religijnego, tak właściwego tej trumnie.

O godz. 22 stanął pochód przed wspaniale iluminowanym dworcem. Ustawiono trumnę na wysokim, bogato ozdobionym podium. Dokoła podium gromadzą się w zwartym kolisku wszystkie chorągwie, sztandary i pochodnie, a w ich blasku ustawiają się przedstawiciele władz kościelnych i cywilnych, wszystkich stanów i organizacji w przeróżnych uniformach. Serca przepełnione entuzjazmem, więc jeszcze raz padają ostatnie słowa pożegnania. Po błogosławieństwie ks. biskupa Niemiry, przy dźwiękach orkiestr i śpiewie ulubionej pieśni ludowej: „O święty krzyżu, światło życia...” trumna zniża się z podium, przenoszą ją do wagonu-kaplicy.

Ten wagon-kaplica czeka w Lublanie na pociąg rzymski do godz. 24 w nocy a odchodzi z tym pociągiem o godz. 1. Przez te trzy godziny katolicka Lublana trwa wiernie przy kaplicy, w hołdzie oddawanym świętym relikwiom. I tak jak przy wejździe trumny w granice Słowenii, czekała na nią na ostatniej stacji włoskiej, Postunia delegacja słoweńska, tak przy jej odjeździe do Budapesztu, odpro-

wadza ją delegacja słoweńska do granicy węgierskiej. Na wszystkich stacjach, na których zatrzymywał się pociąg pędzący, mimo wczesnych godzin porannych, trumnę witała tłumnie katolicka Słowenia. Słusznie powiedział O. Sopuch w Lublanie: „Oby Słowenia pozostała zawsze tak katolicką i tak Bogu wierną”.

Zapewne znużyłoby czytelników, gdybyśmy chcieli opisywać wszystkie szczegóły triumfalnego pochodu polskiego męczennika przez pół Europy, bo szczegóły te z natury rzeczy były na wszystkich przystankach do siebie zbliżone. To że na dworcu budapesztańskim pierwszy zjawił się węgierski minister wyznań, że odbył się pochód z relikwiami do kościoła św. Elżbiety, w którym złożono im hołd, to są zdarzenia, od których roi się w tym zwycięskim, wyczarowanym marszu ku Polsce. Większe znaczenie ma ten szlak, którym szła trumna Boboli, szlak, który przy obecnym kształtowaniu się nowoczesnej linii katolickiej w Europie, może mieć w historii doniosły sens. Po Rzymie i po katolickich Włoszech katolicka część Jugosławii, po niej katolickie Węgry, po katolickim Budapeszcie katolicka Słowacja i katolickie Morawy. Ostatnim ogniwem katolicka Polska.

Jeżeli trumna ze szczątkami Boboli we wszystkich krajach, przez które przejeżdżała, tak donośnie budziła echa, coś dziać się musiało w sercu rodzonej matki, Polski, która dała Bogu i światu tak dostojnego Syna. Jest to jedna z jej największych chlub, jeden z jej największych bohaterów, ludzi czynu i bezgranicznego poświęcenia. Jak wielkie musiały być w życiu tego Świętego wartości, jeśli najsprawiedliwszy Sędzia połączył je nieskruszonym węzłem z losami Kościoła i z losami Polski i w 280 lat po śmierci dał mu największą chwałę, jaką jest aureola Świętego a aureolę tę połączył z tak triumfalnym pochodem przez Europę do zmartwychwstałej ojczyzny, jakich w historii niewiele i to w tym celu, by był tej ojczyzny głównym patronem.

Nie byłoby zbyt owocnym pytanie, które miasto polskie czy która dzielnica najgodniej przyjęła Świętego. Niewątpliwie, najlepszy przykład dał Kraków, w ślady Krakowa poszedł Poznań, ani pierwszemu ani drugiemu nie chciała ustąpić Warszawa. Dużo jednak ważniejszym zdarzeniem nad te regionalne zagadnienia był fakt, że cała Polska stanęła w tej chwili jak jeden mąż. Rzadko w historii Polski zdarzało się, by cała dusza, całe serce narodu, tak jednym uczuciem i jedną myślą były przejęte, jak w tym momencie. Z radością patrzył z nieba Skarga, jak w tych chwilach spełniały się jego upomnienia: „Upominałem, aby obie matki swoje, Kościół Boży i Ojczyznę, w jednym końcu związane, wiernie i uprzejmie miłowali”. Dzień powrotu

świętego Andrzeja Boboli był tryumfem Polski katolickiej. Witła go Polska urzędowa i nieurzędowa, możnowładcy i bezrobotni, armia i młodzież wszystkich szkół, wszystkie stany i wszystkie partie. Partia socjalistyczna nie miała innego wyjścia, jak milczeć. Gdy skończyły się uroczystości, rzuciła kilka frazesów tłumaczenia się, ponad całą jednak frazeologią nietknięte stały idee takie, jak kult świętości, a więc miłości Boga i bliźniego, męczeństwa i krzyża — a więc cały katolicyzm. Czy takie było wewnętrzne przekonanie wszystkich, to inna sprawa. Powiedzmy szczerze, że dla nielicznych zresztą grup było to tylko liczenie się z siłą katolicyzmu w dzisiejszym świecie i w dzisiejszej Polsce. Tego liczenia się po tej i po tamtej stronie barykady było w tych dniach wiele. Nie zmniejsza to oczywiście w niczym parcia katolicyzmu do spełnienia swojej misji.

Co działo się w tych dniach w wielkich miastach Polski, przy wszystkich torach kolejowych, którymi biegł pociąg z trumną Świętego, podawała obszernie codzienna prasa. Od trzech tygodni patrzymy na to nieustannie w małej kaplicy przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, jak do tej trumny cisną się rzesze, jak gną się kolana i pochylają głowy, jak wznoszą się dłonie a łzy przesłaniają źrenice. Postać Boboli przeszła zwycięsko tragiczną historię Polski od prorocत्व Skargi, od dni „Ogniem i mieczem“ i „Potopu“, przeszła dolę lochów podkościelnych i tajemnicę grobu, przebiła skorupę wieków, niepamięci i obojętności współczesnych i potomnych, i ucieleśniła w swoich nieskazanych zwłokach mandat Boży do Polski. Rany męczeńskie nie zabliźniły się na jego ciele, ale jaśnieją jak zastrygłe stygmaty i przemieniają to ciało w potężną kartę, pisaną palcem Bożym do Polski *magna charta libertatum et privilegiorum*. Ten list i mandat Boży przepowiedział i urzeczywistnił zmartwychwstanie Polski i zapowiada jej doniosłe posłannictwo, jako przedmurza chrześcijaństwa. Nie są chyba próżne słowa wieszczce Boboli: „Zostanę uznany jej głównym patronem“.

Podniesiono już gdzie indziej, że naród polski jest obecnie pod znakiem oczekiwania. Leżą obok siebie cement, wapno i cegły, a domu się nie buduje. Nie buduje się zaś dlatego, że na te złoża materiału i energii nie pada twórcza iskra. W takiej chwili zjawia się w Polsce Ten, który dał zapowiedź zmartwychwstania Polski i swego patronatu. Daj Boże, ażeby i tak należało zrozumieć tę przepowiednię.

Wszystko o tej właśnie roli patrona odrodzonej Polski w tej chwili głośno mówi. Życie i czyny Świętego krzepią współczesne pokolenie tym duchem, którego On był apostołem i męczennikiem. Z chwilą powrotu kanonizowanego Świę-

tego do ojczyzny, na ścież otwierają się oddrzwia jego szkoły, w której dokształcać się winni wszyscy Polacy, nie tylko kapłani, ale i ludzie świeccy.

A najpierw posłannictwo Polski na Kresach Wschodnich. Ideę tę oczyścić trzeba jak najrychlej z wszelkich naleciałości politycznych, z wszelkich animozyj i niechęci obrządkowych. Im więcej w grunt tej idei złoży się poświęceń, tym rychlejsze i obfitsze będzie żniwo. Nie wolno tej sprawy ignorować, jak gdyby wcale nie istniała, bo ignorowanie takie pomściłoby się stokrotnie nawet na terenie narodowym. Niech na Kresy Wschodnie idą dobrzy i zdolni ludzie, niech idą wkłady materialne i duchowe, na jakie nas stać. Choćby nagrodą za zasługi polskie na Wschodzie był tylko jeden Bobola, to byłoby to stokrotną nagrodą.

W równej linii z posłannictwem na Wschodzie idzie duchowe odrodzenie i zjednoczenie Polski, jako narodowej siły. Bobola jest tą iskrą, tym wielkim duchem, który może przybliżyć wcielenie narodowego i chrześcijańskiego ideału. Jego powrót do Polski trafia właśnie na chwilę, w której zrozumienie idei Chrystusowej i umiłowanie tej idei zaczyna święcić w najmłodszym pokoleniu wielkie tryumfy. Rola Jasnej Góry w duszy tego pokolenia jest ta sama co w duszy Boboli; za jego życia Jasna Góra stała się szczytem, unoszącym się nad falami potopu szwedzkiego. A wysoki poziom etyczny w wykładach i dyskusjach stowarzyszeń akademickich, a religijny nastrój w wydawnictwach *Polski Zbrojnej*, takich, jak „O mocnego człowieka w Polsce”, a takie hasła rzucane w armię, jak „z Bogiem i z Najświętszą Maryją Panną” — lub inne hasło, które niedawno padło z ust komendanta szkoły lotników w Dęblinie: „bliskie są sercom naszym słowa Pawłowe *obviam Christo in aera*, ku Chrystusowi przez przestworza”, ...wszystko to ma swoją wymowę, świadczy o wewnętrznym odrodzeniu narodu.

Oby wymowę tych ostatnich tygodni zechciała zrozumieć oficjalna Polska, oby wodzowie narodu zechcieli uderzyć w te właśnie struny polskiej duszy, które rozdzwoniły się tak rozgłośnie a harmonijnie na powitanie bohatera i patrona ojczyzny! Zjednoczenie narodu dokoła wielkiego programu polskiej katolickiej tradycji i polskiej katolickiej misji, to dzieło które przybył realizować w swej ojczyźnie jej najlepszy, bohaterski syn św. Andrzej Bobola.

Ks. Jan Pawelski T. J.

Sprawy Państwa.

Bezsenne noce kanclerza Hitlera. — Katolicyzm polityczny. — Dunaj, Bałkan i Hiszpania. — Sowiety i Ameryka. — Pokój kapitalistyczny.

Po miesiącu groźniejszego niż kiedykolwiek naprężenia, gdy pokój ocalała tylko angielska gotowość do wojny z Niemcami o Czechosłowację, nastąpił znów miesiąc łagodniejszy. Pomimo gwałtownego wstrząsu, jakim był niemiecki zamach na Czechy, kierunek dążeń i bieg wydarzeń nie od razu się jednak zmienił. Zastosowano naprzód pewne posunięcia dodatkowe według dotychczasowych koncepcyj, próbując czy w ich obrębie nie da się mimo wszystko osiągnąć jeszcze pozytywnych wyników. Dopiero w miarę napotykanych przeszkód poczęły się modyfikować same dążenia, a przynajmniej ich wzajemny stosunek.

Dotyczy to przede wszystkim osi rzymsko-berlińskiej. W miesiącu poprzednim niemiecki nacisk na Czechosłowację podjęty został, jak wiadomo, pod osłoną włoskiego nacisku przeciwko Francji z powodu Hiszpanii. Solidarna ta akcja zmierzała równocześnie do pozyskania Anglii, a więc rozerwania jej „ententy” z Francją. Dalekosiężny szturm załamał się z trzaskiem na skutek postawy Wielkiej Brytanii, która w sprawie czeskiej poparła Francję. Pomimo to, nie dając za wygraną, ós rzymsko-berlińska poczęła dodatkowo sondować możliwości, które na tej samej linii zdawały się jeszcze zarysowywać w Hiszpanii.

W pierwszych tygodniach działania włoskie i niemieckie rozwijały się dosyć zgodnie. Mussolini nie wygłosił wprawdzie zapowiedzianej mowy o solidarności hiszpańsko-włoskiej, wyręczył się jednak swoim zięciem i ministrem spraw zagranicznych, hrabią Ciano. W jego mediolańskiej mowie silnie dźwięczała nuta przyjazna wobec Londynu, głuchym zaś milczeniem pominięty został stosunek do Paryża. W Berlinie pojawiły się wtedy równoległe pogłoski o nowej podróży agitacyjnej Henleina do Anglii w sprawie Sowietów. *Times* wystąpił nawet z artykułem zalecającym polityce brytyjskiej ustepliwe stanowisko wobec Niemiec w sprawie czeskiej. Praga uskarżała się na zbyt ostry nacisk Paryża i Londynu w kierunku zaspokojenia żądań sudeckich. W Niemczech mogło to budzić pierwsze nadzieje.

Rychło jednak znów one osłabły. Impuls w tym kierunku wyszedł naprzód z samej Czechosłowacji. Jej polityczna zdolność oporu nieco się wzmogła na skutek wyniku wyborów gminnych, które Niemcy traktowali jako rodzaj plebiscytu na obszarze sudeckim. Plebiscyt ten wypadł dla nich mniej pomyślnie niż oczekiwali. Ujawnił dość znaczną, przeszło 30⁰/₀, mniejszość czeską i niemiecko-marksistowską. Na Słowaczyźnie w Bratysławie nad Dunajem, odbyła się wprawdzie imponująca manifestacja separatystyczna z powodu przewiezienia z Ameryki przez Polskę oryginału umowy pittsburskiej, w której śp. prezydent Masaryk pod-

czas wielkiej wojny zapewnił Słowakom w państwie czeskim autonomię. Wszakże wybory gminne wykazały większość po stronie zwolenników statutu mniejszościowego premiera Hodży. Natężenie ruchów odśrodkowych w Czechosłowacji zelało i zbliżyło się do miary ustępstw zaofiarowanych przez rząd praski.

Nie brakło też momentów zewnętrznych, które przyniosły ciężko zagrożonym Czechom pewien sukurs pośredni, może nie tylko doraźny. Tu w pierwszym rządzie wymienić należy nieoczekiwane trudności z jakimi się Niemcy spotkali w zagarniętej niedawno Austrii. Z góry było wiadomo, że ten kraj przeludniony, przeindustrializowany i niesamowystarczalny może po przyłączeniu do Niemiec tylko pogorszyć ich ciężki stan gospodarczy. Ale nikt się nie spodziewał, że *Anschluss* może się stać dla Niemiec kłopotliwym także w polityce wewnętrznej. Tak się właśnie stało. Austriacy hitlerowcy, którzy do niedawna gotowi byli z orężem w rękę przelać krew za zjednoczenie narodowe, w kilka miesięcy po realizacji tak gorąco upragnionego celu przeszli do ostrej opozycji wobec Berlina, tworząc samoistną, tajną organizację. Spotkał ich zawód, gdyż sądzili, że z ramienia i pod zwierzchnictwem Hitlera oni będą rządzić Austrią, okazało się zaś, iż te rządy zostały powierzone hitlerowskiej biurokracji z Niemiec. Ponadto ogół ludności, zwłaszcza w Wiedniu, począł się burzyć z powodu surowych niemieckich ograniczeń żywnościowych. Idylla *Anschluss*-owa szybko przysła w zetknięciu z rzeczywistością. Niewiadomo czy temu zaradzi nawet sam Hitler, który podobno w tym celu incognito bawił pod Wiedniem. Kłopoty austriackie nie pozostały bez ujemnego dla Niemiec wpływu także na ich sudeckich rodaków w Czechach, gdyż sudetyczcy i sam Henlein pozostawali z dawną w porozumieniu z hitlerowcami austriackimi. Ich więc opozycja mogła ostudzić zapał unifikacyjny wśród Niemców czeskich. Znalazło to, jak słychać, swój wyraz w niełaskie Hitlera wobec Henleina.

Na tym jeszcze nie koniec. Czesi postarali się nieco poprawić swe stosunki z Polską, której postawa wobec ich zatargu z Niemcami uzgodniona z Zachodem, przyczyniła się do ocalenia Czechosłowacji. Odegrały pewną rolę także obietnice ustępstw dla polskiej mniejszości na Śląsku za Olzą. Przejazd owacyjnie w Warszawie witanej delegacji Słowaków z Ameryki oddziałął psychologicznie w kierunku zbliżenia. Najrealniej jednak poparty tę sprawę automatyczne konieczności życiowe czeskie natury ekonomicznej, które się zrodziły z *Anschluss*-u Austrii. Czechosłowacja została osaczona nie tylko politycznie i militarnie lecz także i komunikacyjnie i gospodarczo. Stąd czeski pęd do zapewnienia sobie tranzytu handlowego przez Gdynię, duży udział w Targach Poznańskich, oraz zapowiedź układów z nami o nowy traktat handlowy. Zaniepokoilo to Niemców o tyle, że pozwolili swojej mniejszości polskiej złożyć memoriał w sprawie ucisku,

któremu ona niezmiennie podlega. Perspektywą ustępstw dla nas w tym zakresie Niemcy usiłują równocześnie hamować nas w sprawie swego zatargu z Czechami i moralnie popierać żądania sudeckie.

Wysoce nieobojętną jest także postawa Węgier. Jeszcze przed zatargiem czesko-niemieckim, wkrótce po *Anschluss*'ie zachowały się one wobec Niemiec wprawdzie kurtuazyjnie, ale zarazem energicznymi posunięciami polityki wewnętrznej, zmianą rządu i ustawami przeciwyżydowskimi dały poznać, iż hitleryzować się i wasalizować Berlinowi nie pozwolą. Ta postawa zaakcentowana została i podniesiona do wszechludzkiej skali ideowej we wspólnie manifestacji Kongresu Eucharystycznego w Budzie. Oddając się pod opiekę chrześcijańskiego Boga, zaznaczając swą tysiącletnią przynależność do wiary i kultury katolickiej, rząd i naród węgierski tym samym oświadczyły swą solidarność z międzynarodowym frontem obrony przed naporem poganizującej potęgi hitlerowskich Niemiec. Szlak relikwii św. Andrzeja Boboli przebyty w triumfalnym pochodzie z Rzymu przez słoweńską Lublanę i stolicę Węgier do Polski, rozwinął skupioną w buda-peszteńskim Kongresie energię ducha jakby w kordon święty, polskiego męczeństwa, który symbolicznie opasał Niemcy, przeciął im drogę i osłonił przed nimi ludy ościenne. Prawie równocześnie Stolica Apostolska wdroyła przeciwko hitleryzmowi nowy krok duchowo ofensywny. Może on uderzyć w Niemcy gromem nieomylnego potępienia „wiary” narodowo-socjalistycznej, jako herezji.

Nie pozostał dłużnym odpowiedzi urzędowy „niemiecki kościół narodowy”. W świeżo ogłoszonych „zasadach wiary” domaga się on od hitlerowskiego państwa bezwzględnej walki z wszystkimi wyznaniem chrześcijańskimi, zakazu czytania Pisma Świętego i używania znaku krzyża, konfiskaty całej własności nieruchomości kościołów. Urzędową „ewangelią” tej „wiary” miałby być proklamowany *Mein Kampf* Hitlera, a miecz niemiecki i swastyka jej znakami. Tu i ówdzie w Niemczech już zaczynają palić lampki przed portretami wodza w miejscach publicznych.

To nie przeszkadza, że czuje się on ciężko skłopotanym, cierpi na bezsenność, a przy tym nawet w nocy spotykają go dodatkowe, choć tylko symboliczne, nieprzyjemności. O godz. 3 rano, pewnego razu, całe Niemcy towarzyszyły Hitlerowi w czuwaniu przy odbornikach radiowych w nadziei, że z Ameryki usłyszą jak na meczu bokserskim niemiecka pięść zdobędzie mistrzostwo świata. I oto w 2 minuty Niemiec leży powalony z nadwyręzoną szczęką, kręgosłupem i nerką, nota bene w parę tygodni po „świełym” zwycięstwie w teście Ameryce pięści polskiej. Co za ból dla wyznawców „niemieckiego kościoła narodowego” i jaki fatalny omen dla przyszłej wojny!

Dajmy jednak pokój tej bądź co bądź wątpliwej symbolice. Faktem jest, że pomimo sukcesu jakim był zabór Austrii, Hitler

ma znów coraz więcej powodów do bezsenności. Za Sudetami i nad Dunajem powstają niespodziewane ogniska materialnego oporu a nad nimi aż do Polski rozpościera się, łączy, błogosławi i krzepi nadludzka, duchowa potęga katolicyzmu. Ach ten „katolicyzm polityczny“! *Es ist ja eine Spinne*. Coraz ostrzejsze napięcie z Kościołem Rzymskim staje się w tych warunkach dla Niemiec istotnym niebezpieczeństwem. Wszak gdyby zrealizowały one pogroźki „niemieckiego kościoła narodowego“, to naraziłyby się na najstraszliwsze wewnętrzne rozdarcie w narodzie. Trzeba by je tłumić podniesioną do szczytu tyranią budzącą nienawiść rządzonych przy coraz wzrastającym odosobnieniu międzynarodowym. Gdyby nastroje i dążenia rozwijały się konsekwentnie w już zarysowanym kierunku, gdyby zwłaszcza panującym wyznaniem w Hitlerii stał się „niemiecki kościół narodowy“ i podjął eksterminacyjną walkę przeciwko chrześcijaństwu, to następstwa takiego zwrotu mogłyby się okazać dla Niemiec fatalne także i w najbliższej dla nich dziedzinie zewnętrzno-politycznej. Należałoby się wtedy poważnie liczyć z przyspieszonym stygnięciem zapałów narodowo-zjednoczeniowych za Sudetami i w Austrii. Wcale nie jest wyłączone, że Niemcy czeszy szczerze by się zadowolnili autonomią w łagodnej zależności od Pragi i przestaliby tęsknić za centralistyczną a fanatyczną tyranią Berlina. Obecna opozycja hitlerowców austriackich przeobrazić by się wtedy mogła w walkę o autonomię wobec Rzeszy niemniej zawziętą, jak długo trwała walka dotychczasowa o połączenie. Więcej nawet, gdyby Austriacy doszli do przekonania, że od Berlina autonomii nie uzyskają, to mogliby się zacząć oglądać za oparciem z zewnątrz a nawet... za powrotem do niepodległości. Bardzo by temu sprzyjało dojście do skutku unii czy sojuszu obronnego zagrożonych przez Niemcy państw środkowo-wschodnich, oraz ich gospodarcze i militarne wzmocnienie; zwłaszcza, że w razie rozrostu bezbożnego totalizmu hitlerowskiego połowa ludności w Niemczech zaczęłaby się również oglądać za pomocą zewnętrzną, zdolną wyzwolić ją od ucisku.

Władca Niemiec myśli sobie zapewne, że byłoby rozważniej nie przeciągać struny w totalizmie, ale to nie tylko od niego samego zależy. Watykan prowadzi rozległą kontrofensywę na arenie międzynarodowej, własna zaś partia nieprzyzwyczajona do kapitulacji, krępuje swego wodza od wewnątrz. Wszakże i tak może on być zmuszony wystawić na próbę karność niemiecką, jeżeli przyjdzie poczynić rzeczywiste ustępstwa w dziedzinie antypolskiej polityki wewnętrznej. Gołosłowne deklaracje w nowym położeniu międzynarodowym coraz mniej są zdolne utrzymać Warszawę na pasku Berlina. Warszawa poczęła ciążyć ku Zachodowi, ogląda się też na południe, więc realne ustępstwa mniejszościowe mogą się okazać konieczne. Można by wprawdzie znów spróbować dywersji antyżydowskiej, ażeby w tym kierunku dać upust temperamen-

towi rasistowskiemu, żadnemu czynu. Środek ten oddał już reżimowi wielkie usługi gdy nawiązywano cenną „przyjaźń” i zawierano traktat z Polską, równocześnie zaś nie było wskazane zanadto drażnić bolszewików. Zastosowany więc został i obecnie w takiej mierze jaka była potrzebna dla utrzymania opinii w równowadze wobec polskiego memoriału, czeskich trudności i austriackiej opozycji. Jednak środek ten może nie wystarczyć, gdyby przy ustępstwach dla Polski wypadło jeszcze „pójść do Canossy” wobec Watykanu.

Bije się więc *Führer* po nocach z myślami zwłaszcza, że na arenie międzynarodowej wyrasta dla Niemiec inne jeszcze niebezpieczeństwo, które się z naddunajskim kojarzy i wzmacnia je. Główną w nim rolę odgrywają Włochy i Anglia.

Według ostatniej umowy, zawartej między obu dyktatorami w Rzymie, układy anglo-włoskie zostały przyjęte do programu z tym, że mają służyć także do oderwania Anglii od Francji i Czechosłowacji. W takim też duchu została wygłoszona mediolańska mowa hr. Ciano. Rychło wszakże okazało się, iż Anglii od Francji, a więc i Czech oderwać się nie da, tym bardziej wobec niekorzystnych dla Niemiec zmian, jakie zaszły w zachodniej części dorzecza Dunaju. Włochy bynajmniej nie wyciągnęły stąd wniosku na korzyść swej solidarności „osiowej” z Niemcami, a przeciwko układom z Anglią. Na odwrót, poczęły postępować tak, jakby niemieckie kłopoty z Czechami wcale im nie leżały na sercu, zależało natomiast bardzo na śpiesznej realizacji zgody z Anglią, pomimo jej wierności wobec Francji i Czech. Ugoda bowiem anglo-włoska (jak wyjaśniałem w poprzednim miesiącu) miała służyć Włochom jako reasekuracja wobec zajęcia przez Niemcy Austrii, oraz ewentualnie Czech. Miała zapewnić wspólną przewagę Włoch i Anglii w Turcji i na Bałkanie wraz z Rumunią i Węgrami. Wszystkie te kraje miały otrzymać pomoc gospodarczą i być zorganizowane w blok zaporowy dla ekspansji Niemiec na południowy-wschód.

Dla Niemców była ta kombinacja możliwą do przyjęcia tylko w razie opanowania Czech i rozerwania ententy Anglii z Francją, bo wtedy mogliby się nie liczyć z Francją i *Drang nach Osten* zwrócić przeciwko Polsce. Ale ententa zachodnia nadal trwa, Czechy pozostają dla Niemiec niedostępne, równocześnie zaś Włochy dążą do ugody z Anglią oraz wspólnej z nią organizacji przeciwniemieckiego oporu na Bałkanie i nad Dunajem. Dążność ta staje się tak śpieszną, że wyprzedza nawet formalne wejście w życie układu anglo-włoskiego, uzależnione od Hiszpanii, a przybiera przy tym kształty materialne, wyraziste i ważne.

Początek dała Wielka Brytania kupując sobie politycznie Turcję za wielką pożyczkę zbrojeniową rozłożoną na dziesięć lat, a przeto równoznaczną ze stałym subwencjonowaniem wojskowego budżetu tureckiego. Posunięcie to ciekawe i dalekosiężne, gdyż

odrywa Turcję od Rosji i może ewentualnie zwrócić przeciwko niej, chociaż w obecnej koniunkturze umacnia Turcję przede wszystkim wobec dążeń niemieckich. Nie bez znaczenia jest fakt, że w krótkim czasie Turcja ma otrzymać w Konstantynopolu kompletną bazę na 200 samolotów bombowych.

Precedens turecki wzbudził żywe poruszenie w Rumunii, która od dawna bezskutecznie zabiegała o pomoc wojskowo-finansową Zachodu. Król Karol II odwiedził więc dyktatora Kemala na morzu pod Stambułem. Układy b. premiera rumuńskiego Tatarescu w Londynie ruszyły pomyślniej i z urzędu spraw zagranicznych poczęły się przesuwac do ministerstwa skarbu angielskiego. Pojawiły się nawet sensacyjne pogłoski, z bardzo różnych co prawda dziedzin, gdyż jedna głosi, że bazę na 200 bombowców otrzyma również Rumunia w Konstancy, druga zaś, że król Karol gotów jest pogodzić się ze swą małżonką, Heleną grecką (blisko spokrewnioną z dworem angielskim) i koronować ją na królowę Rumunów. Rumunia tedy sama się garnie do planu anglo-włoskiego. Nie opiera mu się również i Jugosławia, do której tymczasem ponownie zwróciły się Włochy. Zjazd w Wenecji min. hr. Ciano z premierem Stojadinowiczem zainicjowany przez Mussoliniego miał za przedmiot ściślejsze współdziałanie gospodarcze i polityczne Italii z Jugosławią, jako państw najbardziej zagrożonych przez *Anschluss* Austrii. Wreszcie pisze się także o projektowanym nowym układzie anglo-greckim.

Jeśli te wszystkie zgodne poczynania polityki angielskiej i włoskiej zestawic z wyżej omówionymi nastrojami Węgier, wewnętrzna ewolucją austriacką i czeską, oraz posunięciami Watykanu to trudno nie zauważyć, że na całym południowym-wschodzie Europy montuje się od wewnątrz i od zewnątrz, moralny i materialny odpór przeciwko ekspansji Niemiec. Jeśli się on należyście rozwinie, to może Niemcom nie tylko zdmuchnąć sprzed nosa Czechosłowację, lecz nawet podważyć ich panowanie w Austrii, a w każdym razie gruntownie zamknąć przed nimi drogę z austriackich wrót na dolinę Dunaju, aż po „Bizancjum i Bagdad“, względnie Ukrainę. Co najgorsza, to że przy tym „zdmuchnięcie“ Czechosłowacji wiąże się ściśle z umocnieniem ententy anglo-francuskiej, oraz przymierza polsko-francuskiego, a więc zagraża Niemcom kompletną blokadą polityczną. Powraca więc dla nich to samo niebezpieczeństwo, które wyzierało z „gwiazdkowego odprężenia“ w zimie i które doraźnie rozerwali przez *Anschluss*.

Jedynym polem, na którym ta ewolucja jeszcze nie została przesądzona i na którym można próbować przeszkodzić jej rozwojowi jest Hiszpania. Układ anglo-włoski wchodzi już wprawdzie w życie *de facto*, ale nabierze mocy prawnej i utrwali się dopiero po wycofaniu wojsk włoskich z obozu gen. Franco. Według umowy ma to nastąpić od razu i jednostronnie, w razie zwycięstwa po-

wstańców nad czerwonymi w ciągu trzech miesięcy, które się właśnie już kończą. Jeżeli w tym terminie Franco czerwonych jeszcze nie pokona, wojska posiłkowe obce mają być wycofywane stopniowo z obu stron walczących. Polityce włoskiej dążącej do faszyzacji i wasalizacji półwyspu iberyjskiego bardziej odpowiadała wersja pierwsza, podobnie jak gen. Franco.

Dlatego właśnie Moskwa nie pożałowała trudu, by wprost i przez Francję, wspierać czerwonych, dopóki się obawiała, że układ anglo-włoski może rozerwać zachodnią ententę i skonsolidować oś rzymsko-berlińską na trupie Czechosłowacji. Cel ten został o tyle osiągnięty, że istotnie w oznaczonym terminie Franco nie rozgromił czerwonych. Italia stanęła więc wobec alternatywy: albo przyjąć wersję drugą i wycofać się z Hiszpanii, przyjmując zalecaną przez Zachód zasadę nieinterwencji, albo też odłożyć i zakwestionować układ z Anglią. Włochy skłaniały się raczej w kierunku pierwszym, w Berlinie więc postanowiono utrudnić im zgodę z Londynem i uzależnić ją od uprzednich ustępstw angielskich dla Niemiec w sprawie Czech. Ponieważ czerwoni otrzymali posiłki i opór ich się wzmógł, przeto Niemcy dopomogli generałowi Franco na własną rękę.

Uczynili to celowo w sposób jak najbardziej drastyczny zarówno dla Anglii jak i dla Włoch. Niemieckie eskadry lotnicze w służbie powstańczej poczęły systematycznie bombardować okręty handlowe angielskie wchodzące do portów czerwonej Hiszpanii.

Taka powietrzna blokada leżała jak najbardziej w interesie gen. Franco, to też aprobował on ją urzędowo. Anglia czuła się sprowokowaną, Italia zaś znalazła się w bardzo niezręcznej sytuacji, bo jako protektorka powstańców winna była stanąć po ich stronie a tym samym przeciwstawić się Wielkiej Brytanii, z którą właśnie forsowała porozumienie. Była taka chwila, że w Paryżu obawiano się by Mussolini raz jeszcze nie dokonał zwrotu i nie stanął po stronie Hiszpanii. Zdawała się za tym przemawiać także wiadomość, iż dyktator Italii pragnąłby trwale przywiązać Hiszpanię do polityki włoskiej, osadzając na tronie madryckim jednego z książąt panującej włoskiej dynastii. Wątpliwe jednak czyby się to powiodło bez poparcia Anglii, a przy panującej w Hiszpanii niechęci do cudzoziemców, wojujących między sobą „na próbę” hiszpańską krwią.

Hiszpańska dywersja dała Niemcom przelotną nadzieję, że uwikła Rzym w zatarg z Zachodem i rozwiąże przez to ręce niemieckie wobec Czechosłowacji. W rzeczywistości jednak przyniosła Niemcom doraźny zawód. Obie prowokowane przeciw sobie strony, angielska i włoska, ustąpiły sobie rozważnie nawzajem. Premier Chamberlain oświadczył w izbie gmin, że nie chce wkląć położenia międzynarodowego dla obrony statków angielskich na wodach terytorialnych hiszpańskich, stanowiących teatr wojny domowej; że więc statki mogą tam pływać tylko na własne ry-

zyko. Włochy zaś zachowały milczenie w tej sprawie i nadal ujawniały skłonność do przyjęcia anglo-francuskiej zasady nieinterwencji oraz prowadziły układy o wycofanie wojsk. Ta skłonność była tym poważniejsza, że po zasileniu czerwonych materiałem wojennym nadzieje na szybkie zwycięstwo znów zmalały.

Zwłoka ta zdawała się iść na rękę Niemcom, gdyż przypuszczali oni, że dopóki wojna w Hiszpanii trwa, dopóty piętrzyć będzie nieprzezwyciężone trudności na drodze anglo-włoskiego porozumienia, które się zwróciło przeciwko nim i które w Hiszpanii zwalczali. Doszło do tego, że w Paryżu poczęto podejrzewać Niemcy, iż byłoby zdolne wesprzeć nawet czerwonych, gdyby ich Franco zanadto przycisnął do muru, względnie do morza. Wśród takich okoliczności, po długiej przerwie, zwołano w Londynie komitet nieinterwencji, na którym wybuchła nowa sensacja: Sowiety oświadczyły się za angielskim planem stopniowego wycofywania obcych wojsk posiłkowych z obu stron walczących w Hiszpanii. Oczywiście uczyniły to na przekór Niemcom, dlatego, ażeby ułatwić ugodę anglo-włoską, którą zwalczały dopóki zmierzała do obalenia zachodniej ententy i wydania Czech Berlinowi, ale którą poparły odkąd poczęła wciągać Italię w zbliżenie z Zachodem przeciwko Niemcom.

Choć bowiem na razie Włochy dążą tylko do ugody z Anglią, nie chcąc zrywać z Niemcami przedwcześnie, jednak zasadniczo ta linia na którą wkroczyły prowadzi także i do Paryża. Prowadzi zatem ku przeciwniemieckiemu „frontowi Stresy”, pomimo, że jeszcze w swej ostatniej genueńskiej mowie Mussolini ogłosił ją za umarłą. Francja ze swej strony robi co może ażeby tę tendencję rozwinąć. Rządowi Daladier’a udało się zamknąć granicę pirenejską dla dowozów do Hiszpanii, czego domagały się z dawna Włochy. Udało się zaś dlatego, że Daladier uniezależnił się na kilka miesięcy od lewicy socjalistycznej zamykając sesję parlamentu.

Ani sprawa hiszpańska, ani skojarzona z nią ewolucja polityki Włoch w kierunku wyjścia z osi rzymsko-berlińskiej na „front Stresy”, nie są jeszcze zamknięte. Osaczenie Niemiec nie jest również faktem dokonanym. Gdyby istotnie nastąpiło, to mogłoby znów zaciążyć w kierunku „paktu czterech” (względnie pięciu, wraz z Polską) mocarstw, oraz bloku przeciwsowieckiego. Jakże się wobec tego zachowuje Moskwa i co się w ogóle dzieje na tym drugim planie widowni międzynarodowej, który obejmuje świat poza europejski: Rosję, Daleki Wschód, Amerykę. Czy nie gotują się tam jakieś zmiany mogące wyrzucić wpływ na bieg wydarzeń także w Europie?

Wnosząc z posunięcia na komitecie nieinterwencji Rosja ma nadzieję, że bieg wydarzeń europejskich nie zwróci się przeciwko niej. Nadzieję tę opiera Rosja częściowo na „hermetyczności”

ewentualnego osaczenia Niemiec przez zachodni front Stresy, oraz skonsolidowany wschód europejski wraz z Polską; po wtóre również na tym, że po osaczeniu Niemiec, Chamberlain zamierza narzucić im swój plan pacyfikacji oraz odbudowy gospodarczej Europy; wreszcie, po trzecie, Sowiety liczą, że do tego planu i sami wejdą i uda im się wciągnąć Amerykę.

W poprzednim miesiącu, gdy Anglia złamała nacisk Niemiec na Czechosłowację, na Kremlu zapanowało uczucie ulgi. Niemcy zostały unieruchomione ogromnie w porę, bo właśnie Japończycy rozgromili Chińczyków pod Suczou, zagarnęli złów kilka ważnych prowincyj i znacznie się posunęli na drodze do opanowania całych Chin. Zdawało się, że nadchodzi ostatnia chwila dla zbrojnej interwencji rosyjskiej. Rosja na Dalekim Wschodzie przygotowała się do niej lepiej niż kiedykolwiek, rozwijając i potęgując, obok armii nadamurskiej, drugą armię mongolską. Wobec unieruchomienia Niemiec w Europie pozwoliła też sobie na nową demonstrację zbrojną. Do wybuchu jednak nie doszło, po części dlatego, że Chińczycy powstrzymali na jakiś czas Japończyków przez wylew Rzeki Żółtej, po części zaś dlatego że unieruchomienie Niemiec w Europie nie było jeszcze utrwalone.

W tych okolicznościach Stalin zaprosił ambasadora amerykańskiego na parogodzinną, poufną konferencję. Zwróciła ona powszechną uwagę, ale tym bardziej jej treść została pokryta najgłębszą tajemnicą. Wnioskować o niej można tylko na podstawie natury położenia, które jednak jest dość wymowne.

Ameryka i zachodnio-europejskie mocarstwa kolonialne nie życzą sobie podboju Chin ani przez Japonię ani przez Sowiety. Jeżeli jednak układ anglo-włoski nie wejdzie w życie w całej rozciągłości w najbliższym czasie, to Japończycy mogą pokonać przeszkołę Rzeki Żółtej i ruszyć na Hankou, zanimby ich od tego powstrzymać mogła flota brytyjska, uwięziona przez Italię na Morzu Śródziemnym. W takim razie nie byłoby dla mocarstw anglo-saskich innego wyjścia, jak dopuścić zbrojną interwencję rosyjską. Stalin ją niewątpliwie zaofiarował, ale zażądał ażeby mu gwarantowano bezpieczeństwo od strony Niemiec w Europie.

Uczynić to może front Stresy, poparty przez Amerykę. Prawdopodobnie zapewnienie w tym kierunku zostało Sowietom udzielone wzamian za nieinterwencję w Hiszpanii. Mocarstwa zachodnie znajdują się przy tym w położeniu o tyle korzystnym, że gdyby im się powiodło uzależnić gruntownie od siebie Berlin, to mogą nim także szachować Moskwę, gdyby wyparłszy Japonię z Chin, zechciała sama w Chinach zająć jej miejsce. Stalin więc przypuszczalnie zepewnił Amerykę, że Chin sowietyzować nie zamierza, lecz za ewentualną usługę przeciwjapońską zażądał zapłaty w innej formie: 1^o trwałego zabezpieczenia przed Niemcami przez front Stresy, oraz 2^o dopuszczenia Moskwy do udziału w planie Chamberlaina, rozszerzonym na powszechną pacyfi-

kację globu oraz odbudowę światowej gospodarki kapitalistycznej.

Propozycja taka jest w zasadzie ponętna przede wszystkim dla Ameryki, z dawną żadną dostępu do bogactw naturalnych rosyjskich; ale i dla europejskich mocarstw zachodnich wydaje się raczej pozytywną. Mogłaby się stać zbędną i przyprawić Moskwę o nowy zawód, gdyby układ anglo-włoski doszedł do skutku tak solidnie i tak śpiesznie, że flota brytyjska zdążyłaby jeszcze w porę na Daleki Wschód. O tyle więc mają słuszność te sfery wojskowe niemieckie, które znów zaczynają krytykować politykę Hitlera w Hiszpanii, obliczoną na przeciwdziałanie ugodzie anglo-włoskiej. Dopuszczając bowiem do niej, Niemcy wprowadzić musiałyby zrezygnować z Czech ale nie dopuściłyby do wejścia Moskwy w światową koalicję przeciwniemiecką. Pozostałby jeszcze cień nadziei na pakt czterech i blok przeciwsowiecki.

Tymczasem walka trwa nadal. Niemcy starają się przedłużyć i powikłać wojnę hiszpańską, ażeby nie dopuścić do ugody anglo-włoskiej, bez Czechosłowacji dla siebie. Układy Henleina z Pragą przeciągają, by zyskać na czasie, równocześnie zaczynają przeciwczeską ofensywę gospodarczą, wymówiwszy czeską dostawę węgla dla Austrii. Zwracają się też ku Polsce, nie tylko „ujmująco”, w memoriale o mniejszości polsko-niemieckiej, lecz także agresywnie, przez wzmożone subwencje dla niemieckiego życia gospodarczego w Wielkopolsce. Liczą, że może jeszcze uda im się zdobyć upragnioną wolną rękę wobec Czech zarówno jak i wobec Polski.

Nasza dyplomacja w ub. miesiącu na ogół nie miała wielkiego pola do popisu. Najrealniejszym objawem była skłonność bliższej gospodarczej współpracy z Czechosłowacją oraz zabiegi o kapitał angielski na elektryfikację. Rewizyta p. min. Becka w Estonii, po niedawnej bytności w Sztokholmie, kontynuowała „orientację północną”, o której była mowa w referacie poprzednim.

W chwili gdy kończę to sprawozdanie nadeszła wiadomość, że mocarstwa zachodnie, zwłaszcza Francja, domagają się wyraźnego określenia stanowiska Polski wobec montowanego obecnie bloku przeciwniemieckiego. Narzuca to pytanie nieubлагana logika rozwoju wydarzeń, lecz odpowiedź jest niesłychanie drastyczna i trudna. Jeśliby bowiem Polska przystąpiła do tego bloku, to będzie musiała faktycznie przyjąć francuski system zbiorowego bezpieczeństwa z paktem francusko-sowieckim włącznie, zobowiązać się do otwartej obrony Czechosłowacji, oraz przeciwstawić się Niemcom; może nawet zerwać swój z nimi dziesięcioletni pakt pokojowy. Jeśli zaś Polska opowie się nadal za swą polityką bariery między Niemcami a Rosją, to może pokrzyżować plany mocarstw zachodnich tak w Europie wobec Niemiec, jak wobec Rosji, Japonii i Chin. Może więc narazić się Zachodowi, który

pragnie „aktywizować przymierze francusko-polskie, może nadto popaść w jeszcze większą zależność od Niemiec i znaleźć się poza nawiasem kapitalistycznej ekspansji projektowanej przez mocarstwa zachodnie na środkowym wschodzie Europy.

Andrzej Prawdź.

Kronika gospodarcza.

Zainteresowanie całego świata gospodarczego, wszystkich ekonomistów zarówno teoretyków jak i praktyków skupia się dzisiaj na pytaniu, w jakim punkcie rozwoju gospodarczego znajdujemy się obecnie? Pod tym względem panują różne dość rozbieżne poglądy w poszczególnych krajach. Gdy bowiem jedni twierdzą, że znajdujemy się na linii wstępującej i że kroczymy stale ku poprawie, to drudzy udowadniają, że pomyślna koniunktura już się skończyła i że świat cały wszedł w nową fazę kryzysu, który na domiar złego stale się pogłębia. Jak jest istotnie?

Otóż z położeniem gospodarczym jest sprawa podobna, jak ze zdrowiem. Normalnie stwierdza się, że ono było wtenczas, gdy być przestało, to znaczy gdy dotyczy przeszłości. Pomyślność bowiem położenia gospodarczego częstokroć mierzona jest nie tyle objawami bieżącymi, ile porównaniem z szeregiem przejawów okresów poprzednich. I tak w tym porównaniu historycznym panuje na ogół zgodność, iż rok 1937 był okresem stosunkowo dużej pomyślności prawie na całym świecie. W roku tym przejawiało się wzmożenie produktów i obrotów i to znowu zwłaszcza w porównaniu z okresem sprzed lat dziesięciu.

Jeżeli bowiem poziom zjawisk w roku 1928 przyjmiemy za 100, to w roku 1937 jest on znacznie wyższy. I tak produkcja przemysłowa całego świata — poza Sowietami — wykazuje 109, a w Europie nawet 115. Znaczy to, iż w porównaniu tych 10 lat roczna produkcja zwiększyła się około 15%.

Najsilniej wzrosło wydobycie podstawowych surowców, a to głównie węgla i ropy naftowej. Ponadto bardzo wydatnie zwiększyła się produkcja kauczuku, stali i jedwabiu sztucznego.

To ożywienie produkcji w roku 1937 posiadało przyczyny głównie gospodarcze, którymi też tłumaczy się, iż wzrost produkcji dotyczy właśnie takich artykułów, jak stal, jedwab sztuczny, kauczuk (guma), a więc towarów mających duże znaczenie nie tylko czysto gospodarcze. Należy bowiem jasno stwierdzić, że koniunktura ta była wybitnie zbrojeniowa.

Mimo jednak, iż podstawowa jej przyczyna, to jest tempo zbrojeń trwa w dalszym ciągu, punkt kulminacyjny koniunktury światowej mamy niewątpliwie poza sobą. Najwyższy bowiem poziom produkcji i obrotów był w miesiącach wiosennych 1937 r.

Od tego czasu zwolna następuje recesja, której przebieg jest różny w poszczególnych krajach. Najsilniej kryzys objawia się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, następnie zaś we Francji. Lekkim osłabieniem koniunktury dotknięta jest również Anglia, Belgia i kraje skandynawskie.

Wyjątek w ogólnym spadku wytwórczości, jaki objawia się w roku obecnym na całym świecie, stanowią Niemcy, Włochy i Japonia. Nie oznacza to oczywiście, aby w tych krajach położenie gospodarcze było z natury rzeczy pomyślne. One jedynie silniej od innych rządzą się zasadami autarchii oraz gospodarki wojennej.

W ostatnich miesiącach szczególnie ujemnie na kształtowanie się koniunktury ekonomicznej wpłynęły wypadki polityczne na całym świecie. Z wyjątkiem bowiem jedynie Australii, wszystkie części świata objęte są wojnami względnie groźbami tychże i niepokojami. A więc w Europie ciągle trwa jeszcze „wojna domowa” w Hiszpanii. Drugi bardzo silny punkt niepokojów stanowi Czechosłowacja, ponadto wymienić należy zajęcie Austrii przez Niemcy i istniejące tam ciągle fermenty. Wreszcie jedyny punkt niepokoju, który szybko minął, stanowiło chwilowe napięcie stosunków pomiędzy Litwą a Polską. Pomyślne wyjaśnienie tego zatargu jest jedynym jasnym punktem w stosunkach międzynarodowych w Europie.

W Azji trwa ciągle inwazja japońska w Chinach, gdyż formalnie wojny nie ma, nie została ona bowiem wypowiedziana przez Japonię.

W Afryce głównymi punktami niepokojów są Palestyna oraz okręg Aleksandretty. Wreszcie w Ameryce nie wygaś ciągle jeszcze zatarg Boliwii z Paragwajem i ciągle jeszcze również niejasną jest sytuacja Meksyku, mającego pono stać się „Hiszpanią Ameryki”.

Jak już powyżej wspomnieliśmy, głównymi ośrodkami pogorszenia gospodarczego są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Rozwój kryzysu w nich odbija się w konsekwencji ujemnie na sytuacji gospodarczej innych krajów. W Stanach produkcja przemysłowa spada silnie od mniej więcej połowy roku 1937. Spadek w ostatnich czasach został nieco zahamowany, lecz całkowicie nie ustał. I tak — jeśli stan gospodarczy Stanów Zjedn. Am. Półn. w roku 1928 przyjmiemy za 100 — to w ogólnym wskaźniku produkcji przemysłowej wyniósł on w lutym b. r. 71, wykazując poziom znacznie gorszy od lat ostatnich a lepszy tylko od r. 1932, który jak wiadomo — był rokiem bardzo głębokiego przesilenia w Stanach.

Natomiast jeśli chodzi o wskaźnik produkcji tekstylnej, a więc artykułów o charakterze głównie konsumcyjnym, to wskaźnik ten obecnie jest nawet gorszy, aniżeli w najbardziej kryzysowym dla Stanów roku 1932. Na odwrót wskaźnik kosztów

utrzymania jest stosunkowo wysoki, wyższy nie tylko od r. 1932 ale nawet od r. 1936, co z natury rzeczy pogarsza wybitnie położenie ludzi, żyjących ze stałych dochodów, a więc przede wszystkim świata pracy. Na domiar złego świat ten obciążony jest ogromną ilością bezrobotnych, których liczba w Stanach wynosi dzisiaj ponad 6 milionów osób. 6 milionów robotników bezrobotnych oznacza co najmniej 20-kilka milionów ludzi (tj. robotników łącznie z ich rodzinami), znajdujących się bez środków do życia.

Ponieważ — jak to przed chwilą wykazaliśmy — sytuacja gospodarcza świata znajduje się ciągle pod znakiem niepewności i nie wroży szybkiej poprawy, przeto Stany Zjedn. głównie ze względów socjalnych zmuszone są „nakręcać koniunkturę“, nie mogąc doczekać się wyjścia z kryzysu drogą normalnych procesów gospodarczych. Toteż prezydent Roosevelt ogłosił 14 kwietnia b. r. orędzie do Kongresu, w którym zapowiedział przejęcie w swoje ręce inicjatywy w kierunku zwiększenia tempa działalności gospodarczej. W tym celu ma być podjęty wielki plan inwestycyjny kosztem przeszło 4 miliardów dolarów. Dnia 21 czerwca b. r. prezydent Roosevelt podpisał ustawę, upoważniającą rząd federalny Stanów do wydatkowania 3.700 milionów dolarów na wielkie roboty publiczne oraz na udzielanie pożyczek dla przedsiębiorstw prowadzących roboty publiczne. Tą drogą prez. Roosevelt spodziewa się zwiększyć stan zatrudnienia i zmniejszyć bezrobocie, zwłaszcza iż równocześnie ma być wprowadzone skrócenie czasu pracy do 44 godzin tygodniowo, a za kilka lat nawet do 40 godzin tygodniowo.

Drugi kraj, w którym przesilenie gospodarcze jest bardzo wydatne, stanowi Francja. Różni się ona o tyle od Stanów Zjedn., iż gdy Stany Zjednoczone od kilku miesięcy ponownie weszły w kryzys, to Francja w ogóle jeszcze z niego nie wyszła. Dopiero w czasach ostatnich wyłaniają się we Francji pewne pocieszające objawy, a to głównie od czasu ustąpienia rządu Bluma, który szeregiem nieudanych eksperymentów przyczynił się do stałego pogłębiania depresji ekonomicznej we Francji.

Dojście do władzy gabinetu p. Daladiera oraz opublikowane przez ten rząd w ciągu maja liczne dekrety gospodarcze uspokoiły społeczeństwo francuskie i spowodowały powrót kapitałów do Francji. Dzięki temu nastąpiła obniżka stopy dyskontowej oraz oprocentowania przez rząd bonów skarbowych i bonów tzw. obrony narodowej.

Dla scharakteryzowania stanu gospodarczego Francji przytaczamy kilka cyfr. I tak jeśli rok 1928 przyjmiemy za 100, to w ogóle wskaźnik produkcji przemysłowej wyniósł w pierwszych miesiącach tego roku około 85, czyli znajdował się na poziomie przeciętnej z roku 1936. Najgorzej przedstawiała się sytuacja w przemyśle budowlanym, dla którego wskaźnik ten wyniósł

w marcu b. r. tylko 59, następnie dla przemysłu skórzanego 69, dla metalurgicznego 73.

W związku z tym spadkiem produkcji pozostaje bardzo niepomyślne kształtowanie się rynku pracy. Ilość bezrobotnych wynosi we Francji ponad 400.000 osób.

Istniejące lekkie polepszenie sytuacji gospodarczej we Francji zależne jest jednak w pierwszej mierze od momentów politycznych, a zwłaszcza od trwałości rządu, jedynie bowiem w oparciu o trwały rząd i zdyscyplinowane społeczeństwo będzie mogła Francja drogą konsekwentnej, przez lata prowadzonej pracy przeprowadzić szereg reform, koniecznych do uzdrowienia jej sytuacji gospodarczej i finansowej.

Z innych krajów dla nas szczególne znaczenie posiada kształtowanie się koniunktury ekonomicznej w Niemczech.

Niemcy w roku 1937 oraz w pierwszych miesiącach roku bieżącego żyły pod hasłem przeprowadzenia wielkiego czteroletniego planu, mającego gruntownie przeobrazić oblicze niemieckiej gospodarki. W związku z ustąpieniem właściwego dyktatora gospodarczego Niemiec dr Schachta ze stanowiska kierownika Ministerstwa Gospodarstwa, faktycznym dyktatorem gospodarczym Rzeszy stał się premier Goering. Energiczne przeprowadzanie planu czteroletniego pod kierunkiem Goeringa przyczyniło się do ożywienia gospodarki niemieckiej. Produkcja wykazuje stały wzrost, jeżeli bowiem rok 1928 przyjmiemy za 100, to ogółem wskaźnik produkcji przemysłowej wyniósł dla Niemiec w pierwszych miesiącach tego roku około 120. Szczególnie silny wzrost wykazuje wydobycie węgla kamiennego oraz produkcja stali i energii elektrycznej.

Natomiast w miesiącach ostatnich na czoło zagadnień gospodarczych w Niemczech wysunęła się sprawa przyłączenia Austrii do Niemiec oraz wszystkie wynikające stąd konsekwencje. W związku bowiem z włączeniem Austrii nastąpić musiała zmiana całego nastawienia gospodarczo-politycznego Niemiec i wystąpiły nowe zagadnienia. Wprawdzie Rzesza zyskała w Austrii szereg tak koniecznych dla Niemiec surowców, jak w pierwszej mierze żelazo i drzewo, a ponadto duży wzrost energii elektrycznej, zwłaszcza sił wodnych, ale równocześnie włączenie Austrii nakłada na Rzeszę konieczność podjęcia w tym kraju całego szeregu inwestycji i to ze względów nie tylko gospodarczych lecz głównie zbrojeniowych oraz polityczno-propagandowych. Wysuwa się zatem kwestia sfinansowania tych inwestycji. Na uzyskanie większych sum przez banki austriackie liczyć nie można, uzyskanie zaś poważniejszych kredytów zagranicznych dla Rzeszy wydaje się niemożliwe, jeśli się zważy, wiele kłopotów posiadają Niemcy z dotychczasowymi swymi długami zagranicznymi.

Trudno bawić się w prorocтва, można jednak przypuszczać, iż wchłonięcie Austrii spowoduje lekkie zwichnięcie dotychcza-

sowej linii wytycznej realizacji czteroletniego planu i nastręczyć może Rzeszy szereg nowych kłopotów gospodarczych.

Jak na tym tle przedstawia się położenie gospodarcze Polski, omówimy w kronice następnej.

Dr M. J. Ziomek.

Ze świata filmu.

(Nowa kompromitacja — Poleszuki i „Groźny Bill” — Z „dżungli” — Zagadnienie nadprogramu — O polską kreskówkę — Eksperyment kinematografii — Film uniesmiertelnia aktora — 13 wielkich ról Solskiego — Działalność PAT-a — Sugestie etyczne filmu — Ślub, małżeństwo, rozwód — Nowela filmowa — Muzyka i przestępstwo — Lili Pons — Komedia muzyczna — Pastel Marca Allegreta — Film psychologiczny — Katalog 24 premier).

Drugie sprawozdanie filmowe *Przeglądu Powszechnego* obejmujące okres 23 maj — 25 czerwiec trzeba niestety zacząć zanotowaniem nowej kompromitacji — znamienego faktu, będącego probierzem stanu polskiego filmu i naszego trwałego lekceważenia, jakim otaczamy tę dziedzinę sztuki i propagandy.

Oto do Warszawy przyjechała masowa wycieczka dzieci poleskich. Naïwne dzieciaki szczerze zachwycone stolicą podziwiałały pokazy lotnicze, podziwiałały armię, na przyjęciu u Prezydenta, poczęstowane kanapkami i ciastkami, pocziwie siadały w kucki pod ścianą, nie śmiejąc zająć wyścielanych krzeseł. Po raz pierwszy w życiu jechały koleją, po raz pierwszy widziały tramwaje, które nazwały „czerwonymi domkami”. Czymże jeszcze dzieciśka ucieszyć? Oczywiście ZOO i kino. Ale gdy wycieczka do ogrodu zoologicznego była prostą rzeczą, projekt pójścia do kina okazał się trudniejszy. Organizatorzy wycieczki nie przypuszczali, że w stolicy państwa, zamieszkałego przez 23 miliony Polaków, znajduje się jeden, dosłownie jeden duży kinoteatr, którego całkowitymi właścicielami są Polacy-katolicy. Ponieważ nie było wyboru, postanowiono zaprowadzić dzieci do „Romy”. Lecz tu nowy paradoks: „Roma”, jako kino polskie, unika filmów produkcji żydowskiej, czyli — tym samym unika filmów polskich (czytaj: żydowskich) i w rezultacie dzieci z Polesia po to przyjechały do Warszawy, by zobaczyć film amerykański *Groźny Bill* z Wallacem Beery w roli głównej i słuchać niezrozumiałego szwargotu zepsutej angielszczyzny. Bodaż by już zobaczyły *Kościuszkę pod Racławicami*, nakręconego przez żydowskiego reżysera Lejtesa! Nie było jednak nawet i tej dosyć oportunistycznej możliwości, skoro jedynym filmem o polskim temacie (oczywiście nie licząc rajfurskiej *Pani Walewskiej*) był wówczas w Warszawie *Wrzos* Rodziewiczówny, wyraźnie nieodpowiedni dla dzieci. Wątpię jednak również, czy odpowiedni był *Groźny Bill*, którego treścią są przygody przywódcy bandy rabusiów na Dale-

kim Zachodzie. Wprawdzie ostatecznie zwycięża prawda i sprawiedliwość, ale Poleszuki z pewnością tego nie rozumiały — w pamięci został im obraz napadów, walk i licznych morderstw, jakimi hojnie szafują reżyserzy w tego rodzaju obrazach.

Zażydzeniu filmu w Polsce zawdzięczamy już niejedną przykrą niespodziankę. Do ostatnich należy stanowisko Niemiec, przekreślające pewne minimum korzyści, jakie zagwarantowaliśmy sobie w polsko-niemieckiej umowie filmowej. Jak wiadomo, umowa przewidywała określony kontyngent importu filmów niemieckich, w zamian za to Niemcy zobowiązały się przyjąć na swój rynek wewnętrzny zastrzeżoną ilość filmów polskich. Strona niemiecka zřęcznie wykorzystywała umowę kierując filmy niemieckie na Pomorze, Poznańskie i Śląsk, filmu zaś polskiego niedopuszczając do wyświetlania w polskich skupieniach narodowościowych na terenie Rzeszy. Ostatnio wysunięto nową trudność — oświadczono mianowicie, że patronująca umowie Reichsfilmkammer (Izba filmowa Rzeszy) nie może brać na siebie odpowiedzialności za częstowanie niemieckiego widza obrazem, w którym grają aktorzy o wyraźnych rysach semickich, obrazem reżyserowanym przez żydowskiego reżysera. Cóż więc mamy wysłać do Niemiec? *Plomienne serca* Gantkowskiego? Trudno wymagać, aby Niemcy oddali swoje ekrany dla filmu propagandowego, zakończzonego defiladą armii przed marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Pozostaje zatem kilka marnych komedii muzycznych względnie nierażących niemieckiego poczucia aryjskości. Jest to cały nasz kapitał wymienny w dziedzinie filmowej i w tych warunkach doprawdy nie łatwo domagać się równości obu stron przy podpisywaniu układu. Opanowanie filmu w Polsce przez kapitał żydowski zamyka najłatwiejszą drogę eksportu, wzmacniając zarazem u nas pozycję filmu niemieckiego.

Gdzież tu zresztą mówić o normalnej produkcji, o przyciąganiu polskiego kapitału, skoro świat filmowy ma opinię „dżungli” zarówno artystycznej, jak i finansowej. Specyficzne żydowskie metody handlowe, chęć nadmiernego zysku, tendencja niszczenia warsztatu pracy, byle wyżyłować z niego jak najwięcej, krótkowzroczność przedsiębiorców, lekceważenie opinii publicznej, gonitwa za tandetą — wszystko to sprawia, że produkcja filmu już z góry wydaje się interesem niepewnym. Weksel właściciela kamienicy o czystej hipotece zdyskontuje każdy bank — weksel właściciela kina nie łatwo znajduje dyskontera bankowego. Jak w wielu innych dziedzinach, droga uzdrowienia prowadzi przez przywrócenie zaufania, to zaś można osiągnąć tylko przez powrót w stosunki handlowe rzetelnej etyki, którą może wnieść jedynie człowiek, wyznający zasady chrześcijańskie.

Biorąc pod uwagę zarówno słabość finansową prawdziwie polskiego filmu jak i brak odpowiedniego zespołu fachowców,

należałoby zacząć pracę od dziedziny wymagającej stosunkowo niewielkich nakładów, a będącej doskonałą szkołą i nieocenionym źródłem doświadczeń — od krótkometrażowego nadprogramu. Nadprogram krajowej produkcji jest w zasadzie bardzo poszukiwany przez kina, ponieważ przynosi ulgę podatkową. Jeżeli mimo tego przywileju tak często widzimy nudne nadprogramy zagraniczne, typowe zapchajdziury, oznacza to, że na rynku nie ma odpowiedniej podaży nadprogramu polskiego. Kino zabiega o dobrą kreskówkę Disneya, wiedząc, że jest ona atrakcją dla publiczności, ale zarazem przyjmuje z musu wycinki amerykańskiej rewii, murzyński tap-dance i monotonne zawożenia standardowych piękności, byle wyłatać konieczne dwie godziny widowiska. Nakręcany w kraju artystyczny i ciekawy nadprogram — to sprawa z góry wygrana. Wystarczy przypomnieć powodzenie cyklu tańców ludowych, zacytować wyświetlane obecnie krótkometrażówki krajoznawcze Bilarzewskiego („Ogródki działkowe“, „Zamki i pałace Wielkopolski“, „Gdynia“), by udowodnić jak łatwo zyskać tu sukces. Skoro nikt tej produkcji nie popiera, nie zachęca do niej, nie udziela kredytu — niech chociaż Fundusz Kultury Narodowej im. Piłsudskiego zwróci uwagę na nielicznych Polaków, którzy podjęli się słusznej, pionierskiej pracy w polskim filmie.

Idźmy dalej: kreskówka. Po stworzeniu filmu rysunkowego, wykształceniu jego typu i zdobyciu przychyłnej publiczności, nakręcenie przeciętnej kreskówki nie jest nadzwyczajnym zadaniem. Rozporządzamy bogatym zasobem utalentowanych rysowników i grafików, nie brak ludzi dowcipnych, czemuż nie próbujemy stworzyć polskiej kreskówki? Kto wreszcie pozostanie nieczuły na argumenty, odwołujące się do ambicji, do prestiżu naszej kultury, niech zważy argument gospodarczy, niech zrozumie, że ów tłum co wieczór zapełniający kina oddaje ciężko zapracowane złotówki, jak posłuszny haracz — amerykańskiemu producentowi, żydowskiemu pośrednikowi-importerowi i najczęściej żydowskiemu też właścicielowi kina.

Zdaje się, że właśnie zrobiono pewien krok ku poprawie tego stanu rzeczy. PAT, niezależnie od stałego tygodnika aktualności, przystąpił do produkcji krótkometrażówek, częściowo propagandowych i dokumentarnych, częściowo rozrywkowych. Będzie więc nakręcona krótka farsa z Kurnakowiczem w głównej roli, oraz nadprogramy poświęcone polskiej komunikacji lotniczej i polskiej flocie handlowej. Możliwe, że przy sposobności podróży „Daru Pomorza“ do Afryki, powstanie również film krajoznawczy z Palestyny i Egiptu.

Na czoło jednak wysuwa się film dokumentarny o Solskim. Zamierzony pierwotnie jako krótki metraż, rozrósł się podczas zdjęć do pełnego obrazu, który będzie stanowił

pierwszy tego rodzaju dokument w dziejach teatru, a także — w specjalnym opracowaniu — wejście może bez skrótów na ekran. Niezależnie od tego, czy ze zdjęć z Solskim powstanie kilka filmów fragmentarycznych, czy też jeden, obejmujący całość, mamy tu niespotykany dotąd bardzo interesujący eksperyment kinematografii.

Dzięki filmowi po raz pierwszy będzie unieśmiertelniona płynna, przemijająca, nieuchwytna — twórczość aktora. W filmie PAT-a występuje jeden z największych mistrzów polskiej sceny — Ludwik Solski, grając popisowe sceny swych 13 najgłośniejszych ról. Począwszy od legendarnego już dziś Wiarusa z *Warszawianki*, poprzez metamorfozy Łatki (*Dożywocie*), Chudogęby (*Wieczór Trzech Króli*), sędziego Dogberry (*Wiele hałasu o nic*), molierowskiego *Skąpca*, Pana *Jowialskiego* Fredry, Ojca w *Niespodziance* i Profesora w *U mefy* — Rostworowskiego, Gospodarza w *Weselu*, Mickiewicza w *Legionie*, aż po genialne kreacje *Judasza z Kartoflu* i *Fryderyka Wielkiego* — wspaniały przegląd aktorskiego dzieła i wielkich pozycji polskiej sztuki dramatycznej, których oprawą będzie prelekcja Adama Grzymały-Siedleckiego, zdjęcia T. Narodowego w Warszawie, T. im. Słowackiego w Krakowie i fotografia słynnej garderoby Solskiego w krakowskim teatrze.

Jeżeli dotąd określenie „sfilmowany teatr” brzmiało jak dotkliwy zarzut dla reżysera, teraz właśnie o to idzie, aby na takie zdanie zasłużyć. Intencją kierującego produkcją dyrektora Inst. Filmowego PAT-a, T. Katelbacha i reżysera R. Gantkowskiego, jest jak najwierniejsze zarejestrowanie gry Solskiego. Prowadzi to do dość oryginalnego obrazu, będącego zespoleniem teatru z filmem. Gantkowski bowiem przypominając widzowi w scenach łączących poszczególne fragmenty ról, że idzie tu o sfilmowanie kreacji teatralnej, równocześnie — z chwilą gdy rozpoczyna zdjęcia z gry Solskiego, wykorzystuje efekty realistyczne, jakich dostarcza film. Znaczy to, że reżyser zacierą wówczas konwenans i akcesoria teatru, a stara się dać złudzenie rzeczywistości. W teatrze — najlepszej, najbardziej łudzącej dekoracji towarzyszy zawsze prostokątna rama sceny, w filmie — wystarczy zbliżenie aparatu, aby uwierzyć, że jest to fotografia nie sceny, ale prawdziwej Judei, prawdziwej wiejskiej chaty, prawdziwego pałacu w Sans-Souci. Plener teatralny pozostanie kulisą, plener filmowy — choćby fotografowany z dekoracji — zmienia się na ekranie w rzeczywistość przestrzeni.

Warto podnieść jeszcze jedną korzyść z filmu o Solskim. Oto dla dalekiej prowincji będzie ten obraz jedyną może sposobnością ujrzenia nie tylko mistrza sceny polskiej, ale także i innych czołowych aktorów (np. Węgrzyn), którzy w filmie Solskiego grają epizody. Jeśli próba powiedzie się artystycznie i kasowo, Instytut Filmowy PAT-a projektuje nakręcenie podobnego filmu o znakomitej tragiczce — Stanisławie Wysockiej.

Są to początki, na razie skromne — oby w ślad za nimi przyszło zrozumienie wpływu, jaki film wywiera na masy i zajęcie czynnej postawy wobec sugestii ideowych i obyczajowych, niesionych przez film zagraniczny. Oddziaływanie filmu amerykańskiego już dziś byłoby warte obyczajowego studium — film nie tylko szerzy modę, ale i kształtuje w wyobraźni rzesz odwiedzających kina, ideał mężczyzny, ideał kobiety, ideał małżeństwa, nie mówiąc już o wytwarzaniu ideałów z zakresu kultury materialnej, a więc ideał higieny, komfortu mieszkaniowego itd. Niewątpliwie film wpłynął dodatnio na budownictwo domowlane, na meblarstwo, na mechanizację gospodarstwa domowego. Szary człowiek nabrał chęci mieszkania tak, jak obywatel Ameryki, lecz obok tego — wyrósł ideał snobistycznego, kosmopolitycznego mieszkania à la gwiazda filmowa. W obrazach amerykańskich nie brak też pożytecznych cech moralnych: wyśmiewają one próżność, uczą prostoty, tępią mizantropię, zachęcają do uśmiechu, zaszczepiają pogardę dla tchórzostwa, dają świadectwa siły i odwagi. Obok tych plusów, są i minusy, oddziaływanie szkodliwe, przedostające się do nas bez kontroli (cenzura nie wchodzi tu w grę) i nie pozostające bez echa.

Dla przykładu — przyjrzyjmy się migawkowo zagadnieniu małżeństwa w filmie amerykańskim. Film komediowy, podobnie jak i komedie teatralne, jak i lekka powieść, musi mówić o tradycyjnym temacie — o miłości. Tam gdzie jest miłość — naturalnym biegiem rzeczy zjawia się sprawa małżeństwa. Otóż w trzech filmach amerykańskich tego typu, jakie ostatnio przeszły przez ekrany warszawskie, małżeństwu stale towarzyszy — rozwód. Bohaterka *Piętna przeszłości* jest rozwiedzioną mężatką, której drogę do szczęścia może utarować znów tylko rozwód ukochanego mężczyzny; w komedii Foxa *Dwaj mężowie pani Vicky* tytuł mówi sam za siebie; w filmie R. K. O. *Zakochani wrogowie* również w grę wchodzi rozwód, a wszystko razem stwarza wskutek przeniesienia amerykańskiego filmu w inne środowisko obyczajowe — sugestię, iż istnienie ludzi, którzy zmieniają partnerów życiowych, jest bogatsze, barwniejsze, bardziej emocjonujące, niż życie par złączonych węzłem nierozwalnego małżeństwa.

Mało tego — przy sposobności następuje ośmieszenie instytucji ślubu, obojętne może dla Amerykanina, ale swoisto propagandowe, gdy film trafi do Polski. U nas nikomu nie przysłoby na myśl żartować z ceremonii ślubu, przedstawiać ją groteskowo, a rolę kapłana-celebransa powierzać artyście komicznemu. W Ameryce, w kraju gdzie duchowni sekt protestanckich udzielają ślubów w pociągu, w samochodzie, na plaży i w basenie kąpielowym — akt ślubny doznał niesłychanego spospolitowania, trywializacji i ośmieszania go widać nie razi zblazowanej opinii publicznej. W Polsce — scena ślubu z *Zakochanych wrogów*, mimo swej zręcz-

nej humorystyki, przez analogię z katolickim obrzędem kościelnym budzi niesmak; ślub z *Dwóch mężów pani Vicky* wywołuje wrażenie lekceważące, w sumie zaś narasta niepostrzeżenie sugestia, pomniejszająca powagę związku małżeńskiego. Ta sprawa zaznaczona tu ledwie szkicowo, bynajmniej nie jest błaha i winna służyć ostrzeżeniem. Najwyższy czas ująć film w własne ręce i kształtować umysły i serca widzów zgodnie z ideałem rodzimym i potrzebą Polski, a nie pod strychulec obyczajów państwa odległego od nas o tysiące kilometrów.

W ciągu ostatniego miesiąca (23 maj — 25 czerwiec r. b.) mieliśmy w Warszawie 24 premiery filmowe. Przewinęło się przez zeroekrany 12 filmów amerykańskich, 7 francuskich, 2 angielskie, 2 austriackie, 1 niemiecki. Ani jeden polski... Rozpoczęty już sezon letni wpłynął na układ repertuaru. Reprezentacyjne filmy produkcji 1937/38 poschodziły z afiszów, przyszła kolej na lekkie komedie rozrywkowe, filmy sensacyjne, filmy egzotyczne i na różne niedobitki z głównego sezonu wraz z typowymi amerykańskimi bzdurami, jakimi biura wynajmu masowo zapychają ekrany aż do września. Są to obrazy, poza stroną techniczną, niewiele lepsze od polskich, i doprawdy dajemy dowód marnotrawstwa i braku inicjatywy, nie zastępując ich filmem krajowym.

Wśród wspomnianych 24 premier jest przecież jeden film wysokiej wartości, jest kilka bądź z różnych względów interesujących, bądź bardzo udanych technicznie, i kilka z powodzeniem spełniających cel rozrywkowy. Pierwsze miejsce w nielicznej tym razem kategorii filmów artystycznych należy się *Damie pikowej*. Obraz produkcji Général Film, reżyserowany przez sowieckiego filmowca Fedora Ozepa, który przeszedł do kinematografii francuskiej. Treść opiera się na zmienionej nieco noweli Puszkina pod tym samym tytułem. Według rosyjskiej legendy ludowej dama pikowa przynosi nieszczęście — w Petersburgu „dama pikową” nazywają sędziwą hrabinę, słynną z burzliwego życia, licznych przygód, posiadającą podobno sekret trzech wygrywających kart, powierzony jej przez Cagliostro. Tajemnica hrabiny mać spokój służącego w armii rosyjskiej Niemca, porucznika Hermanna. Hermann wszystko poświęca wydarcie sekretu, zdobywa podstępem miłość wychowanki hrabiny, zakrada się do jej pałacu, grozi rewolwerem, by osiągnąć w końcu to, że stygnąca ręka zmarłej z przerażenia hrabiny wskaże mu przedśmiertnym skurczem trzy zrzucone ze stolika karty... Wartość filmu polega na doskonałym wydobyciu nastroju, podkreśleniu malowniczego egzotyizmu obyczaju rosyjskiego, na pięknie komponowanej fotografii i wręcz niezapomnianej grze. Na długo zostają w pamięci — dzięki swym walorom plastycznym i emocjonalnym — scena na balu, scena hołdu u trumny zmarłej i sza-

leńczej jazdy obłąkanego Hermanna. Całość można nazwać nowelą filmową, taka tu zwartość akcji, skupienie środków wyrazu, umiejętność stwarzania uroku niesamowitości. Krecja M. Moreno, świetnej aktorki teatralnej, w roli hrabiny jest wprost niebywała, Hermanna gra Pierre Blanchar, o demonicznych oczach, orlim profilem, żywy portret Buonapartego z lat młodości. Trio głównych postaci uzupełnia delikatna Madeleine Ozeray, jako wnuczka hrabiny, przypominająca cichym smutkiem i wdziękiem nieśmiertelną *Eugenię Grandet* Balzaca. „Damę Pikową” trzeba zaliczyć do najlepszych filmów całego roku.

Nie może więc być porównania między filmem *Ozepa*, a zręcznym filmem kryminalno-muzycznym produkcji Paramountu pt. *Rapsodia*. W ciągłym szukaniu nowego tematu, nowych efektów, scenarzyści amerykańscy wpadli na pomysł połączenia szablonowej akcji filmu gangstersko-defektywnego z obrazem w rodzaju „Sonaty księżycowej”. Rolę starego pianisty, który już opuścił estradę, powierzono jednemu z najlepszych artystów filmowych Levisowi Stone, rolę sprytniej złodziejki 17-letniej gwiazdce, sprowadzonej do Hollywood z Francji — Olympii Bradna. Nieodczownym pięknym chłopcem został Gené Raymond. W rezultacie mamy obraz, w którym tony rapsodii węgierskiej przerywa klakson policyjnego auta ścigającego przestępców — odpowiedni montaż przecina koncert pogonią aut, co z jednej strony jest dość trywialne, ale z drugiej doprowadza do równoczesnego zbliżania się ku rozwiązaniu dwóch równoległych, zajmujących akcji filmu. Sytuacje są nieprawdopodobne, podane jednak tak lekko i żywo, że widz, oszołomiony akcją, porzuca chęć krytykowania. Film dobrze spełnia zadanie rozrywkowe, zwłaszcza, że Olympia Bradna śpiewa miłym głosem przy towarzyszeniu muzyki Liszta Griega.

Wzorem filmowej komedii muzycznej mógłby być film ze znaną amerykańską śpiewaczką — Lily Pons (fenomenalny sopran koloraturowy), grającą główną rolę w *Dziewczęciu z Paryża* (RKO). Dowcipna historyjka przygód jazzowej orkiestry, do której niemal siłą przyłączyła się dziewczyna, zakochana w jednym z grajków. O powodzeniu filmu rozstrzyga świetne trio charakterystyczne: Micha Auer, Jack Oakie, H. Bing — czwartym członkiem zespołu muzycznego jest już amant: wymieniony przed chwilą przy „Rapsodii” Gené Raymond. Pyszne tempo, naturalność sytuacji, w jakich Lily Pons śpiewa, pełno gagów i pogodnego humoru — a na dodatek aria z „Cyrulika Sewilskiego”, co razem daje jeden z najsympatyczniejszych filmów tego typu.

Miłą również, choć znacznie skromniejszą, ale też i bardziej sentymentalną komedią muzyczną jest film wiedeński *Muzyka dla ciebie*, znany także i pod tytułem *Syn czterech ojców* (Patria-Film, Wiedeń). W rolach głównych: Magda Schneider i Hans Söhnker. Do szablonowych poprawnych operetek należy *Gasparone* (Uni-

versum film), czego nie można powiedzieć o nudnej i niecnofliwej *Cnofliwej Zuzannie* produkcji francuskiej.

Z filmów psychologicznych warto wyróżnić *Dzisiejszą miłość* (prod. francuska) według powieści Vicki Baum, z uroczą Simone Simon w głównej roli. Reżyseria Marca Allegreta (twórca „*Zbłądziłam*”) dała delikatny pastelowy obrazek życia górskiego miasteczka nad jeziorem, dokąd zjeżdżają letniskowi goście, wnosząc powiew innego świata. Ryzykownie brzmiący tytuł niepotrzebnie rzuca cień na poetyczną treść filmu. Wzmianka należy się *Piętnu przeszłości* (Warner Bros) ze względu na dojrzałą grę Bette Davies w roli kobiety, wpłatanej w konflikt etyki i uczucia, oraz filmowi *Pod fałszywym oskarżeniem* (prod. francuska — Hugon Film) według powieści H. Bettauera *Rue sans joie*, poruszającemu przykry temat podstępnego wyzyskiwania młodych dziewcząt, które nędzą może popchnąć do najgorszego. W treści filmu charakterystyczny jest duch laicki — ani jedna z dotkniętych nieszczęściem nie szuka ratunku przede wszystkim w Bogu. W formie filmu — interesuje fotografia deformująca ciało i twarze aktorów dla wywołania odczucia brutalności, zwierzęcego instynktu, ślepego popędu.

Pozostałe filmy nie wychodzą poza standartowe typy filmu lotniczego, sensacyjnego, rewiewowego itp. Oto krótki ich katalog: film lotniczy — *Skrzydła nad Honolulu* (Uniwersal Pictures), sportowy — *Mały gentleman* (Metro Goldwyn) z udziałem młodocianego aktora Mickey Rooney, świetnego Puka ze *Snu nocy letniej* zrealizowanego przez Reinhardta dla wytwórni Warner Bros. Następnie: komedia obyczajowa — *Dwaj mężowie pani Vicky* (Fox) z piękną Loretą Young i najładniejszym podobno amantem Hollywoodu — Tyronem Power. Obraz bardzo słaby. Do tej samej kategorii należy *Kapryśna ekspedientka* (prod. francuska) z Danielle Darrieux, i *Sekretarka jej męża* (Warner Bros).

Z trzech filmów szpiegowskich najlepszy jest francuski obraz *Byłam szpiegiem* z doskonałą parą aktorską: Pierre Blanchar — Ditta Parlo. Dwa pozostałe: *Agentka H-21* (prod. franc. Paris-Film) z Erykiem von Stroheimem i film angielski *As kier* — przeciętne. Egzotykę reprezentuje kiepska *Zemsta Tarzana* (Fox) i *Indyjski grobowiec* (prod. niem. — Tobis) dalszy ciąg omawianego w poprzednim sprawozdaniu *Tygrysa z Esznapuru*. Filmów kryminalnych dwa i obydwie bez żadnej wartości: *Gentleman wierzy kobiecie* (Warner Bros) oraz *Cienie Paryża* (R. K. O.). Beznadziejnie nudny zlepek popisów rewiewowych — to *Hotel Hollywood* (Warner Bros) obok dość milej *Wiosny nad Sekwaną* — filmu rewiewowego produkcji angielskiej. Na koniec film humorystyczny — błazeński *Astrolog* (R. K. O.) z Joe Brownem, tym razem zupełnie nieudanym.

Zdzisław Broncel.

Dziecko a przestępstwo.

Troska o dzieci, o młode pokolenie, przestała już być wyłączną troską rodziców, stała się obecnie również udziałem społeczeństw i rządów. Wszak dzisiejsze dziecko, to przyszły obywatel kraju, jego podpora lub zakała, to przyszły rzemieślnik, artysta, urzędnik, minister, kapłan, działacz społeczny, nauczyciel, kupiec, przemysłowiec, lub też przyszły złodziej, zbrodniarz, oszust... zależnie od wrodzonych skłonności i wychowania. Słusznie też o przyszłe pokolenia troszczy się dziś całe społeczeństwo. Bo dziecko, to możliwość zaopatrzona w pytańnik; czy przemieni się ona w wartość pozytywną, społeczną, czy w negatywną i antyspołeczną, to zależy w znacznej mierze od społeczeństwa. Opieka zatem nad dzieckiem, to praca nad przyszłością narodu i państwa.

Często, nawet bardzo często, słyszy się dziś narzekania rodziców na dzieci. Gdyby jednak dobrze zastanowili się, niezadowoleni ze swych dzieci rodzice, dostrzegliby na pewno w takim stanie rzeczy dużo własnej winy. Czy mogą sobie z czystym sumieniem powiedzieć, że zawsze zwracali uwagę na dziecko? Czy baczylili na to, z kim przestaje? co robi w godzinach wolnych? kiedy wraca? jeżeli ma własne zarobki, na co je obraca? Po latach dziecięcych przechodzi wiek młodzieńczy. Najniebezpieczniejszy okres czasu w życiu człowieka. Młodzieniec to materia wybuchowa, łatwo zapalna, z którą najczęściej obchodzimy się z zadziwiającą lekkomyślnością, z najwyższym niedbalstwem. W wielkich miastach, zwłaszcza w klasie robotniczej, wiek młodzieńczy dostarcza najwięcej przestępców. Znamy wszyscy dobrze nasze przedmieścia — te wylęgarnie dzieci — przestępców! Ile tam biedy i nędzy! Mieszkaniami tych rodzin, to najczęściej poddasza lub sufereny, gdzie np. na przestrzeni 4 m szer. i 4 m długości mieści się 3 osoby dorosłe (rodzice i babka), czworo dzieci, oraz — warsztat pracy matki — praczki, a więc balia i stosy brudnej bielizny. Gdzie indziej na poddaszu: izba i małeńka kuchenka mieści 10 osób — w tym 4 rodziny — tam jest nieco „lepiej“. To „lepiej“ przedstawia się jednak w ten sposób, że z tych osób w mieszkaniu zarabia jeszcze tylko jedna, mianowicie — żebraczka.

Jak schodzi dzień w takich rodzinach? — Ojciec rano ucieka z domu przed kłótniami sublokatorów, idzie w beznadziejnym nastroju szukać pracy. Matka jest zajęta praniem, lub posługami, dzieci są zostawione same sobie, zamyka się je w izbie, w której od zimna, aż woda zamarza i każe się siedzieć spokojnie w łóżku, jako „najluźniejszym miejscu“. Dziesiątki chłopaków małoletnich z takich właśnie rodzin wałęsają się po mieście, żebrzą lub kradną. Czasem chłopak taki otrzymuje zarobek. Czuje się wtedy niezależnym, a zdobycie niezależności przed dojrzało-

ścią bywa nieszczęściem nie tylko dla chłopców. Również i dziewczęta, zarabiające na życie czują się niezależnymi i śmieją się w twarz matce, gdy ta zwraca im uwagę na zbyt poufale obcowanie z mężczyznami. Matka porzuca szybko wymówki. Zresztą cóż dziś słyszy dorastająca młodzież w domu? — Niejednokrotnie słyszy tylko o zdobywaniu praw dla proletariatu, o konieczności zrzucenia jarzma kapitalizmu; zwierzchnik, pracodawca są przedstawiani jako jedyny cel nienawiści. Młodzieńczość uczy się w domu nienawidzić i zwalczać zwierzchność, rozkazy, przepisy, a co idzie za tym i prawo, wreszcie i rodziców.

Przy takim systemie wychowawczym, dziecko nawet z natury łagodne staje się dzikie i skłonne do przestępstwa. Nikt mu wędzidła nie nakłada, przeciwnie całe otoczenie jeszcze go podszucuwa do złego, ciągnie na demonstracje, gdzie w duszę zapadają mu znów tylko nienawistne okrzyki. Mało kto mówi mu o religii, o obowiązkach względem Ojczyzny, względem rodziców. Często natomiast wpajają weń, że jest pokrzywdzone, że należy wydzierać, aby mieć.

Młodociany przestępca rekrutuje się ze sfer najrozmaitszych, ale przeważnie spośród środowiska przestępczego. Jakkolwiek zdarzają się wypadki, że jest on synem zamożnych rodziców, lecz idąc po drodze najmniejszego oporu w życiu, wykoleił się i stanął w konflikcie z kodeksem karnym — to jednak większość przestępców, to ludzie z niższych klas społecznych, pchani nędzą do pierwszego przestępstwa. Widząc, że to pierwsze przestępstwo udało im się i uszło bezkarnie, nabierają odwagi i powoli przeradzają się w przestępców zawodowych.

Bezwzględnie przykład odgrywa tu bardzo poważną rolę. Dziecko ulicy wychowujące się w otoczeniu i towarzystwie rzezi-mieszków, zatracą wszelkie poczucie moralności. Nie rozumie ono, że kradzież jest przestępstwem i grzechem. Rośnie w zbrodniczej atmosferze, jest świadkiem ukrywania skradzionych rzeczy, radości z obfitego łupu, przechwałek z powodu udanej kradzieży i wyprowadzania w pole organów bezpieczeństwa publicznego. Słyszane ciągle opowiadania o przestępcach wszelkiego rodzaju pobudzają wyobraźnię dziecka, tworząc w ten sposób doskonały grunt dla rozwoju przyszłego zbrodniarza. Dziecko takie wprowadzają często sami rodzice na drogę występku. Kronika policyjna notuje aż nazbyt często współudział dzieci w kradzieżach i innych przestępstwach pod kierunkiem rodziców.

Dalej ulica wyciska piętno na duszy dziecka. Ulicznik, chłopak 14-letni, unika już towarzystwa rówieśników, obraca się wyłącznie wśród starszych. Ci starsi przyjaciele — to przeważnie najgorsze szumowiny miasta.

Trafiają się bezdomni chłopcy włóczędzy, którzy spędzają noce na dworcach kolejowych, w melinach złodziejskich, w halach targowych. Taki ma już nieraz nawet kochankę-ulicznicę, która

eksploatuje chłopaka w bezczelny sposób. Kradnie on dla niej ze straganów słodycze, a jak się uda, to i sztuki materiału, daje zarobione tu i ówdzie pieniądze. Wierzyć się nie chce, że ten 14-letni chłopak ma umysł dorosłego przeżytego człowieka, gra w karty, nocuje w melinach, gdzie za drobne przysługi oddawane starym kryminalistom — dostanie kielich wódki i barłóg do spania. Czasem znowu awantury w domu ojca nałogowego alkoholika, pastwienie się nad chłopcem są powodem, że opuszcza on dom rodzinny.

Kryminologia poucza, że dzieci występne są to albo dzieci nienormalne pod względem psychicznym, dotknięte psychopatyczną degeneracją, albo też najczęściej są to jednostki moralnie zaniedbane przez rodziców, pozbawione racjonalnego wychowania ze strony rodziny i społeczeństwa.

Uczeni, którzy badają dręczący nas tak bardzo obecnie problem przestępczości, stanęli oko w oko z prawdą w swej prostocie wprost przerażającą, mianowicie że problem ten pokrywa się właściwie z zagadnieniem przestępczości u nieletnich. Jak długo walczyć będziemy tylko z przestępczością dorosłych, to tak, jak gdybyśmy w przypadkach chorób zakaźnych walczyli tylko ze stanami wywołanymi infekcją, a pominęli walkę z samymi bakteriami chorobotwórczymi. Jak długo kadry przyszłych przestępców nie zostaną unieszkodliwione, tak długo cała praca polityki kryminalnej musi być bezowocna.

Prawie każde dziecko, nawet najzupełniej normalne, przejawia od najwcześniejszych lat cechy tzw. „pierwotnego egoizmu”, a więc jest niezwykle chciwe względem otaczających je przedmiotów, zaborczo-zazdrosne w stosunku do innych dzieci, często wpada w gniew przy odmawianiu mu czegokolwiek, niszczy przedmioty, potrafi okrutnie obchodzić się ze zwierzętami itp. W pewnym okresie rozwoju, a mianowicie w okresie przedszkolnym, skłonne jest dziecko do kłamstwa, które wypływa z wybujałej w tym wieku wyobraźni, często znowu z chęci pochwalenia się jakimś niezwykłym przeżyciem, niekiedy też kłamstwo powstaje wskutek niedokładnych jeszcze spostrzeżeń dziecka, nieścisłych zeznań i niewyrobionej pamięci. Najgłówniejszą jednak cechą wieku dziecięcego jest wybitna skłonność do naśladownictwa. Wskutek tej podatności na wpływy otoczenia, dziecko nadzwyczaj łatwo ulega pokusom i stąd powstaje specjalny rodzaj występków z namowy czy przykładu starszych. Również stwierdzamy u dzieci wybitny zazwyczaj rozwój wyobraźni, wskutek czego dziecko działa zwykle pod wpływem pierwszego wrażenia, a nieraz pragnie odegrać jakąś rolę, zaimponować rówieśnikom niezwykłym postępkami i to doprowadza do tzw. „niewinnych przestępstw”, gdy dziecko dopuszcza się wykroczenia przez nieświadomość i przypadek, a niekiedy wprost przez figiel lub dziecinną zabawę. Ostatnio 8-letnia dziewczynka podpaliła w Filadelfii umyślnie dom

i z tej okazji gazety zamieściły jej portret z podpisem „Szczyt zbrodniczości”. Tymczasem badanie dziecka wykazało, że było to przestępstwo z nadmiaru wyobraźni. Na pytanie bowiem sądu, dlaczego to zrobiła, dziewczynka odpowiedziała: „Chciałam zobaczyć pożar i straż ogniową”.

Każde prawie dziecko przechodzi okres krnąbrności i nieposłuszeństwa, lubi wtedy kłamać, a nawet czasem ukradnie jakąś drobnostkę, o ile w ogóle kradzieżą i kłamstwem nazwać można różnorodne jego „zdrożne postęпки”. Często nawet, gdy dziecko jest za spokojne i poważne, oraz nie popełnia dziecinnych wybryków — to tę przedwczesną dojrzałość uważa się nawet za cechę nienormalną. Zwłaszcza w wieku przejściowym, okresie dojrzewania płciowego powstaje u młodzieży ogólne niezrównoważenie duchowe, fantastyczność usposobień, skłonność do nieumotywowanych postępków i zatargów z otoczeniem. W tym okresie mają dzieci popęd do ucieczki z domu i do włóczęgostwa, wywołanego chęcią poszukiwania przygód, tracą ochotę do nauki, wpadają w konflikt z rodzicami, są skłonne do złych przyzwyczajęń i nałogów chorobliwych.

Dlatego jedynie umiejętna opieka i odpowiednie kierownictwo ustrzeże dziecko od upadku. W tym czasie brak opieki, czy też nieracjonalne obchodzenie się, może łatwo doprowadzić do wykolejeń. Umiejętne kierowanie nieletnim jest tedy najważniejszym przejawem rozumnej polityki kryminalnej, zmierzającej do zwalczania przestępczości.

Cztery czynniki muszą w tej dziedzinie najściślej współdziałać: rodzina, organizacje religijne i społeczne oraz państwo. Niewątpliwie najważniejszym ośrodkiem wychowania dzieci jest rodzina, bo tylko tu wytwarza się ta specyficzna atmosfera miłości, której znaczenie pedagogiczne jest olbrzymie. Tak, jak jednak z jednej strony brak miłości jest czynnikiem ujemnym w wychowaniu, tak i sama miłość nie wystarcza, w szczególności, gdy staje się ona miłością bezrozumną, którą w stosunku do dzieci tak często można obserwować. Niestety możliwość stwarzania potomstwa nie idzie w parze ze zdolnością pedagogiczną. Przeciwna zaś zdolność pedagogiczna nie wystarcza, jeśli idzie o przypadki trudne; wreszcie — rzecz bardzo ważna — wychowanie wymaga, aby wychowawcy dysponowali wielkim zasobem wartości moralnych, by mieli chęć i czas oddania się temu zajęciu.

W zasadzie wszystkie inne czynniki winny współdziałać w wychowaniu rodzinnym, winny je po części kontrolować, uzupełniać, a w razie potrzeby prostować. Z tą chwilą jednak, gdy odpada możliwość rodzinnego wychowania, muszą wkroczyć inne instancje, w szczególności wkroczyć musi państwo przy współudziale społeczeństwa. I nie chodzi tu już o jakiś akt dobroczynności, ale po prostu o interes, o zabezpieczenie się przed możliwymi wykolejeniami, które każdemu wyrządzić mogą wielką

szkodę indywidualną, a zawsze wyrządzają wielką szkodę społeczną. Jeśli problemem walki z przestępczością w ogóle, a z przestępczością nieletnich w szczególności w niedostatecznym tylko stopniu interesuje się całe społeczeństwo, to jest to w każdym razie przejawem wielkiej krótkowzroczności. Wszak każdy może stać się ofiarą przestępstwa i wszyscy płacimy drogo za przestępstwa. Racjonalna walka z przestępstwem opłaci się zawsze tak jednostce jak i społeczeństwu.

Mając w Polsce najbardziej postępowy kodeks karny wśród państw cywilizowanych, jesteśmy chwilowo bezsilni, nie mogąc zrealizować jego najlepszych i najbardziej celowych instytucyj. W specjalnym rozdziale o postępowaniu z nieletnimi w art. 69 kodeks karny stanowi, że nieletni, który przed ukończeniem 13 lat popełnił czyn zabroniony pod groźbą kary, nie ulega karze, natomiast sąd stosuje do niego środki wychowawcze, mianowicie upomnienie, oddanie pod dozór odpowiedzialny rodzicom, opiekunom lub specjalnemu kuratorowi, albo umieszczenie w zakładzie wychowawczym. Jest jasne, że pierwsze z wymienionych środków są skuteczne tylko wtedy, gdy ci, którym powierza się dozór, dają gwarancje moralne i materialne, że sprostają zadaniu. W innych wypadkach celowym jedynie byłoby umieszczanie w zakładzie wychowawczym, a dostatecznej ilości takich zakładów, przy zupełnym braku kredytów na ten cel, przez długie jeszcze lata mieć nie będziemy.

Zresztą podnieść należy, że prawo karne zajmuje się nieletnimi dopiero z chwilą, gdy nastąpiło już zwichnięcie w kierunku przestępczości, podczas gdy w problemie przestępczości u nieletnich chodzi w pierwszym rzędzie o racjonalną profilaktykę, która prowadzi przynajmniej do zmniejszenia liczby przestępstw małoletnich.

Wobec rosnącej fali zbrodni, jaka zalewa coraz silniej nasz kraj, trzeba by skupić wszystkie siły nie przy budowie wałów ochronnych ale przy umiejętnym ujęciu i opanowaniu jej źródeł.

*Jan Wierzbówka.
Nadkom. Polic. P.*

U progu dwudziestolecia Polskiego Czerwonego Krzyża.

Wszyscy wiedzą, co oznacza czerwony krzyż w białym polu. Widnieje on na szpitalach, poradniach ambulatoryjnych, izbach chorych, na opaskach personelu sanitarnego. Często godło to ozdabia samoloty czy samochody, sztandary młodzieżowych organizacji, a nierzadko też i pierś zarówno dorosłego mężczyzny jak i dziecka... Zżyliśmy się więc z tym symbolem i może właśnie dlatego prawie bezwiednie przechodzimy koło niego bez

wrażenia. A przecież ten prosty znak kryje w sobie tyle głębokich prawd i tyle przypomina momentów życiowych, tyle symbolizuje potęgę uczuciowej i wyobraźniowej, iż naprawdę żadną miarą nie powinien uchodzić naszej uwagi. Dla nas katolików jest to przede wszystkim symbol miłości, heroicznej i bezgranicznej, miłości, która dla dobra drugich umie cierpieć i poświęcać się bez reszty. Dlatego też genezy ideowych początków organizacji „Czerwonego Krzyża” dopatrujemy się tam, gdzie wzięło początek to niezniszczalne przykazanie, gdzie się ugruntowało i najdobitniej wyraziło...

Międzynarodowa organizacja „Czerwonego Krzyża”, jakkolwiek posiada tyłowiekową tradycję, różniczkowaną wymaganiami czasów, jest mimo to w swych obecnych konkretnych przejawach młodzieżowym dziełem z drugiej połowy ostatniego stulecia. Wyrosła na bojowym gruncie, wśród przelewu krwi i jęków rannych. Nic więc dziwnego, iż celem zasadniczym „Czerwonego Krzyża” jest wzajemna współpraca kulturalnych narodów w trosce o ochronę życia ludzkiego, zwłaszcza w okresie i na terenie orężnych starć, równocześnie jednak współpraca ta ma na celu także w okresach pokoju troskę o zdrowie zarówno całych społeczeństw jak i jednostek. Międzynarodowa forma organizacji nie narusza jednak w niczym organizacyjnych zespołów narodowych i państwowych w formach, zakresie i niezależności ich działania. Jak każda poważna instytucja tak też „Czerwony Krzyż” podlega przyjętym statutom, posiada swój prawny byt, a jako instytucja międzynarodowa odbywa co cztery, a nawet w razie potrzeby co dwa lata, międzynarodowe konferencje, najczęściej w jednej ze stolic 62 stowarzyszonych państw. Tematem tych obrad są przeważnie praktyczne zagadnienia, występujące aktualnie w związku z doświadczeniami wojen i działalnością „Czerwonego Krzyża”. Na XVI-ej międzynarodowej Konferencji C. K., która się odbyła w czerwcu br. w Londynie, poruszono cały szereg interesujących problemów ogólniejszej natury, w oparciu o dane, zaczerpnięte ze świeżo odbytej kampanii włosko-abisyńskiej oraz niekończącej się krwawej zawieruchy hiszpańskiej. W tej to Konferencji wziął udział i „Polski Czerwony Krzyż” przez swoją delegację.

P. C. K. staje obecnie w przededniu swego żmudnego dwudziestolecia pracy.¹⁾ Długi czas kroczył po ciernistej drodze obojętności i zapoznania, mimo że konsekwentnie zmierzał do szczytnego humanitaryzmu, do bezinteresownej miłości ogółu. Pracę w okresie powojennym zaczął po prostu od podstaw. Za to osiągnięte wyniki — to cały jego tylko dorobek, początkowo nie obliczany ani nie rejestrowany z powodu ustawicznych borykań

¹⁾ Por. *Polski Czerwony Krzyż* — Sprawozdanie za 1937 rok. Warszawa 1938, oraz Maria Ulrichsowa: *Czy jesteśmy potrzebni? — Co mogą uczynić kobiety dla Polskiego Czerwonego Krzyża*. Obydwie broszury Nakł. Zarządu Główn. P. C. K.

się z ogromnymi trudnościami i pozostałościami wielkiej wojny, dorobek jednak nieprzeciętny, zapisany głęboko w pamięci tych, którym P. C. K. śpieszył z pomocą.

Do niedawna P. C. K. był jedyną prawie u nas świecą organizacją, która szkoliła kadry sanitarnej służby zdrowia w celu ratowania ludności dotkniętej skutkami wojny lotniczej i chemicznej tudzież urządzała specjalne instruktorskie kursy z zakresu ratownictwa ogólnego i przeciwgazowego, grupując zainteresowanych w ratownicze drużyny. Bez względu na rolę, jaką odegrać miały na wypadek wojny, zadaniem tych drużyn było udzielanie pierwszej pomocy ofiarom klęsk żywiołowych, katastrof ogólnych itd. Tak zorganizowane i odpowiednio wyposażone drużyny P. C. K. dzięki swej nieustrudzonej aktywności zyskały wkrótce zatwierdzenie odnośnych władz cywilnych i wojskowych. W ten sposób zainicjowana działalność P. C. K. w zakresie organizacji ratownictwa sanitarnego pokrywała najbardziej zaniedbane polacie kraju coraz gęstszą siecią zespołów i ośrodków ratowniczych, służących wojsku, ludności cywilnej i przemysłowi.

Jakby zwrotnym punktem samoistnie dotychczas organizowanej akcji P. C. K. stała się najpierw likwidacja trwającego dotąd ustroju drużynowego i przeorganizowanie go w oparciu na nowych zasadach oraz dostosowanie do postulatów ogólnego techniczno-kulturalnego postępu. Drugim znamienym faktem tego przełomowego roku (1937) dla działalności P. C. K. — to zarządzenie Rady Ministrów z 29 stycznia tegoż roku w sprawie przygotowywania w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej Państwa. W myśl § 13 tego rozporządzenia P. C. K. ma „współpracować z władzami w organizowaniu ratownictwa i lecznictwa”, ma „szkolić i zaopatrywać organa ratowniczo-sanitarne i lecznicze”, wreszcie „brać udział w pokrywaniu kosztów przygotowań ratownictwa i lecznictwa sanitarnego obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej”.

Jak widać, zadanie włożone na barki P. C. K. jest wprost olbrzymie, wymaga znacznego nakładu środków materialnych a jednocześnie wydatnej współpracy wszystkich warstw społecznych. Boć przecież przystosowanie i reorganizacja na podstawie nowych metod nie obejdzie się bez znacznych wkładów i wydatków. Dlatego całkowite przeorganizowanie dawnych drużyn na sekcje i wyposażenie ich w nowszy sprzęt a nadto powoływanie do życia i zaopatrywanie nowopowstałych sekcji odbywać się może teraz tylko stopniowo, w miarę finansowych zasobów.

Pierwszym etapem pracy P. C. K. jest obecnie troska o wyszkolenie i uposażenie sekcji ratowniczych, zleconych przez wojsko, a to z tego prostego powodu, iż na P. C. K. ciąży w tym względzie obowiązek z racji powołania do bytu nowej organizacji ochotniczej służby zdrowia dla ogółu ludności. Na drugim miejscu dopiero wystąpić może staranie o zespoły przewidziane dla lud-

ności cywilnej. W związku z tą reorganizacją nastąpiła zasadnicza konieczność urządzania kursów dla instruktorów i personelu ratowniczego, utrzymania ich i należytego wyposażenia, na co szczupłe zasoby P. C. K. wystarczyć nie mogą i domagają się rozłożenia finansowych ciężarów na inne czynniki. Oprócz obowiązków związanych z organizacją terenowej służby ratowniczo-sanitarnej przystąpić musiał P. C. K. do zorganizowania i wyszkolenia w tym kierunku cywilnej ludności oraz organów wykonawczych samoobrony domów i bloków-domów.

Jeśli zaś idzie o konieczność likwidacji pierwotnego ustroju drużyn i zastąpienia ich nowymi formami, to zmianę ową spowodował postęp prac nad ustaleniem właściwych ogólnych zasad organizacyjnych dla sanitarnej akcji ratowniczej, jako jednego z zadań obrony przeciwgazowej i przeciwlotniczej. Stało się to tym bardziej niezbędnym, iż ustawowe powołanie innych czynników, mianowicie Ubezpieczalni Społecznych, do zadań, które dotychczas leżały w zakresie poczynąń P. C. K., pociągnęło za sobą możliwie najdokładniejsze uzgodnienie i ujednolicenie z ogólnymi zasadami wszystkich organów ratowniczo-sanitarnej akcji.

Nieszczęścia społeczne i klęski elementarne, jak wojny, epidemie itp. budzą ducha narodowego i patriotycznego, zażrzewiają serca obywateli do bezinteresownej daniny i ofiar na rzecz drugich dotkniętych okrutnym losem. Ale, by prócz najlepszych może chęci owi ochotnicy wnosili również pewne praktyczne umiejętności, potęgujące ekonomiczną wartość poświęceń i prac, muszą być fachowo i proporcjonalnie wyszkoleni w rozważanym zakresie... Kobiety-obywatelki, z powodu fizycznych warunków nie mogą w większej przynajmniej mierze brać udziału w walce orężnej na polu bitew. W poczuciu jednak patriotycznego obowiązku zgłaszają się gromadnie do szpitali i ambulatoriów. Pomoc ich jest wówczas bardzo pożądana, owszem prawie konieczna, gdyż w Polsce już nawet w okresie pokoju odczuwa się wielki brak zawodowych pielęgniarek. Z tej to racji P. C. K. urządza w większych ośrodkach miejskich, na terenie całego kraju, kursy dla sióstr Pogotowia Sanitarnego. Celem bezpośrednim tych kursów jest przygotowanie kobiety do pomocniczej służby pielęgniarskiej w szpitalach pod kierunkiem zawodowych pielęgniarek na wypadek wojny, epidemii itp. Kurs taki obejmuje 105 godzin teoretycznych wykładów, miesiąc praktycznych zajęć w szpitalu oraz 2-tygodniowe przeszkolenie w szpitalach, sanatoriach, żłóbkach co 3 lata po ukończeniu kursu. Można by przypuszczać, iż odbycie takiego kursu — to wprawdzie obywatelski czyn kobiety, przygotowujący ją jednak do pracy może odległej i nigdy nieziszczalnej... Byłoby to zapatrywanie zupełnie fałszywe. Ukończenie bowiem tego rodzaju kursu przynosi niemałe korzyści kobiecie także i w codziennym życiu. Podaje bowiem mnóstwo praktycz-

nych wiadomości o zapobieganiu schorzeniom, wystrzeganiu się chorób zakaźnych, o walce z chorobami społecznymi, jak np. gruźlicą, jaglicą itd., o pielęgnacji chorych, o higienie osobistej i ogólnej, o wychowywaniu i pielęgnowaniu niemowlęcia, o pomocy w nagłych wypadkach itp.

Poza tymi korzyściami doraźnymi w zakresie teorii siostry Pogotowia Sanit. P. C. K. zdobywają także i korzyść trwałą, gdyż nabyte w okresie przeszkolenia wiadomości mogą im zapewnić stały zarobek, stałą i płatną posadę. Szpitale bowiem wojskowe a nawet prywatne, sanatoria lub poradnie niejednokrotnie powołują siostry P. C. K. do pomocy zawodowym pielęgniarcom. Nadto P. C. K. zatrudnia bardzo często absolwentki kursów w ośrodkach zdrowotnych, na punktach sanitarno-odżywczych, w akcji dożywiania dzieci lub bezrobotnych itd.

Zasadniczym celem P. C. K. jest, jak to już zaznaczyliśmy, przede wszystkim propagowanie teoretyczne i praktyczne najniezbędniejszych zasad zdrowotności w obrębie całego kraju. Siłą więc faktu musi zwracać uwagę na te głównie czynniki, które mogą osłabić, względnie spotęgować ogólnospołeczną zdrowotność a w konsekwencji wzmocnić lub osłabić naród. Otóż jak wiadomo, głównym elementem składowym naszego społeczeństwa, bo wynoszącym prawie 70% ogółu ludności, to chłop, pozbawiony najczęściej zupełnie opieki lekarskiej, żyjący w rozpaczliwych higienicznych warunkach. Nic więc dziwnego, iż P. C. K. skierował baczną uwagę na tak doniosły odcinek wiejski. Pomoc dla wsi polega na organizowaniu wiejskich „ośrodków zdrowia“, przy czym P. C. K. dostarcza nie tylko fachowo przygotowanego personelu, ale nadto w okresie pierwszych trzech lat istnienia „ośrodka zdrowia“ personel ten opłaca, o ile tylko mieszkańcy i samorząd gminny przystąpią do urządzenia danego „ośrodka“. Tak pojęta akcja została uwieńczona niebywałym sukcesem tak dalece, iż nie podobna dziś zaspokoić wszystkich zgłoszeń. Dlatego też P. C. K. uwarunkował swoją w tym wypadku współpracę, kierowaną przez Zarząd Główny oraz Oddziały i Wydziały Powiatowe, w ten sposób, że wybiera przede wszystkim miejscowości położone z dala od miast, a więc upośledzone specjalnie pod względem opieki lekarskiej, dalej P. C. K. żąda od gminy wynalezienia odpowiedniego lokalu na „ośrodek zdrowia“ i zapewnienia mu stałych dochodów...

Jakie rezultaty daje ta akcja, jakie z niej płyną korzyści? Najważniejszą troskę „ośrodka zdrowia“ stanowi opieka nad niemowlętami. A więc przeprowadza się okresowe lekarskie badania, odwiedzania przez pielęgniarki domów; udzielają one matkom wskazówek w zakresie wychowania i higieny. Nieocenioną wprost usługę oddają pracujące przy niektórych ośrodkach położne; gdzie nigdzie nieistnieją też tzw. punkty porodowe — rodzaj klinik ginekologicznych na minimalną skalę.

Innym zadaniem takiego „ośrodka” — to troska o młodzież w wieku szkolnym, o jej higienę, walka z wszawicą, jaglicą itp., troska o należyty rozwój fizyczno-umysłowy. Niemniej ważnym terenem pracy w wiejskich „ośrodkach zdrowia” P. C. K. jest walka z chorobami zakaźnymi, specjalnie z gruźlicą i chorobami wenerycznymi przez udzielanie bezpłatnych porad, owszem nawet lekarstw. Liczne ambulatoria i przychodnie sanitarne przeprowadzają selekcję chorych, umożliwiając przez to szybkie i możliwie najtańsze leczenie. Całe kolumny okulistyczne, dezynfekcyjno-kąpielowe wędrują od sioła do sioła, zatrzymując się dłużej lub krócej w ośrodkach epidemicznych, operują i uzdrawiają, ratując tym sposobem biedną wiejską ludność.

Nie wolno też zapomnieć o urządzaniu specjalnych kursów dla tzw. przodownic zdrowia. Kandydatki na te kursy, rekrutowane spośród wiejskich dziewcząt, przyswajają sobie najbardziej niezbędne wiadomości z zakresu higieny, odżywiania, zapobiegania chorobom, elementarnej diagnozy i pierwszej pomocy w nagłych wypadkach itp. W ten sposób wykorzenia się zgubne praktyki zabobonu, otumaniające znachorstwo, jako też wszelkie błędy i grzechy przeciwne kulturze i higienie życia codziennego. Problem zdrowotności po wsiach jest niesłychanie doniosły dla całego kraju, toteż P. C. K. coraz usilniej dąży do pogłębienia i rozszerzenia swego działania w tym właśnie kierunku.

P. C. K. obejmując swą dobroczynną akcją całokształt życia społecznego musiał siłą konsekwencji wkroczyć także i na teren szkolny, by „w ścisłej współpracy z władzami szkolnymi wdrażać dzieci i młodzież obojga płci do przestrzegania zasad higieny i przyzwyczajać ją do podnoszenia kultury życia codziennego... rozbudzania serdecznych uczuć w stosunku do bliźnich i odczuwania ich niedoli...” Praca młodzieży na tym polu skupia się w Kołach Młodz. P. C. K., w oddzielnych sekcjach: higienicznej, społecznej, ratowniczej itp. Członkowie tych Kół przechodzą cztery stopnie, przy czym przejście z jednego stopnia na drugi następuje na skutek wykonanych prac programowych oraz wykazania się znajomością historii i ideologii „Czerwonego Krzyża”.

Akcja tych Kół wiąże się jak najściślej z programem szkolnym; nie wymaga przeto specjalnych manifestacyjnych imprez, ale przejawiać się winna w każdym momencie szkolnego życia. Koła Młodz. P. C. K. coraz upodabniające się organizacyjnie do sekcji „dorosłych”, jakkolwiek noszą na sobie cechy pewnej odrębności, stanowią atoli jakby rozdrobnione charakterem zadań i zainteresowań odcinki, wsparte na wspólnym ideowym podłożu. Jak każda tego rodzaju nowość i one przechodziły chwile uprzedzeń i obojętności.

Formy pracy koncentrują się w metodach działania poszczególnych sekcji. Jako główne wymienić należy akcję społeczną,

która obejmuje dożywianie, pomoc w nauce, szycie, reparację i rozdawanie odzieży i bielizny, opiekę nad ubogimi rodzinami, urządzanie dla niezamożnej działwy gwiazdki, święconego itp. Akcja higieniczna uwidacznia się w urządzaniu konkursów zdrowia i czystości, w propagowaniu zasad higieny przez pogadanki i pokazy... Członkowie sekcji ratownictwa przechodzą odpowiednie przeszkolenie w zakresie ogólnego i przeciwgazowego ratownictwa, kursy pielęgnowania niemowląt, chorych, sporządzania sobie podręcznych apteczek itp. Z rówieśniczą młodzieżą w kraju i za granicą zawierają ścisły kontakt sekcje korespondencyjne przez wymianę wzajemną listów, albumów, lalek w regionalnych strojach, przez organizację wycieczek do innych Kół itd. By praktycznie swój program przeprowadzić podejmuje się zrzeszona młodzież szeregu prac celem zdobycia funduszków przez hodowlę, roboty hafciarskie, słomkowe, koszykarskie, zamianę i sprzedaż ziół leczniczych itp. Przez taką drobiazgową na pozór pracę wdraża się młodzież w tryby poważnego życia, przygotowuje się do należytej pojętej roboty społecznej, słowem do życia organizacyjnego, co jako środek samokształceniowy posiada niepospolite znaczenie. Co więcej, dobrze zorganizowana młodzież w Kołach P. C. K. swój zbawienny wpływ przenosi w otoczenie, na rodzinę i kolegów, pociągając ich do współpracy i zmuszając do samokontroli.

Zasięg pracy i wpływów Kół Młodz. P. C. K. stale wzrasta, zarówno liczbowo jak i środowiskowo. Według najnowszych danych z maja br. organizacja Kół Młodz. P. C. K. liczy 6611 Kół, 222 Komisji Oddziałowych i 16 Komisji Okręgowych, w których wre praca organizacyjna i społeczna. Miesięcznik *Czyn Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża* wyznacza program akcji na przyszłość, beletrystyczno-artystyczne utwory o ideowej treści wzbogacają wyobraźnię. Świetlice i czytelnie zapoznają wzajem i zbliżają ku sobie członków, umożliwiając obopólną wymianę zdań i pomysłów... Oto szkicowy jeno obraz pracy P. C. K. na terenie młodzieżowym.

Do całego zastępu niepoślednich zasług P. C. K. zaliczyć także trzeba znaczne owocne pociągnięcia i pozycje propagandowe wśród rodaków-wychodźców na obszarach Starego i Nowego Świata, zwłaszcza w Belgii i do niedawna w Z. S. R. R. Nie zapomina też P. C. K. o propagandzie. Szeroko a praktycznie pojęta prasowa działalność z ślicznie rotograwiurą, w 10 tys. nakładu wydawanym oficjalnym miesięcznikiem *Jestem! w czasie pokoju i wojny na stanowisku!* na czele, doskonałe a niedrogie publikacje na tematy praktyczne, różnorakie druki, broszury, książki, ulotki świadczą najwymowniej o intensywności podejmowanej roboty przez P. C. K. W pomoc propagandzie prasowej śpieszą radio, wystawy różnego rodzaju, konkursy, fototechnika i kinematografia.

Jednym słowem — samarytańska działalność P. C. K. zakrojona jest na możliwie najszerszą miarę. U progu swego 20-letniego etapu pochlubić się może świetnymi wynikami. Ogólny bilans tylko za rok 1937 wyraża się liczbą bez mała 24 milionów złotych. Posiadane nieruchomości ocenia się na łączną sumę przeszło 8 milionów złotych. Własnych instytucyj w całym państwie ma 273, kursów sanitarnych różnego rodzaju zorganizował P. C. K. około 700, działalność sanitarno-społeczna pochłonęła przeszło milion 455 tys. złotych. Ale co przy tym najboleśniej — to zbyt mała liczba członków, bo tylko 600 tysięcy. Pracy i zadań wszelakich, niezmiernie ważnych mnóstwo, sił roboczych i zasobów — zaledwie garstka.

„Polski Czerwony Krzyż liczy na to, że ogół obywateli, doceniając znaczenie państwowe i społeczne powierzonych mu zadań a także w dobrze rozumianym interesie własnym, dostarczy mu potrzebnych środków materialnych przez masowe zapisywanie się w poczet członków Stowarzyszenia. Ci zaś, którzy dysponują wolnym czasem, zechcą licznie zasilić szeregi jego ochotniczych pracowników...”

Niech jubileuszowy rok P. C. K. zgromadzi pod jego sztandarem przynajmniej milion członków!

Ks. St. Nawrocki T. J.

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 13 lipca 1938 r.

Chodzi o coś więcej niż o Maritain'a.

Sprawa hiszpańska stworzyła podział świata na dwa obozy. Wniosła ten rozbrat także i do świata katolickiego. Ujawniła, że potężny historyczny proces odgradzania się dwóch prądów: demokratyczno-wolnościowego i autorytatywnego, proces, który w zakresie stosunków społeczno-politycznych w czasach najnowszych stał się głównym znamięm epoki, że ten proces nie ominął także społeczności katolickich. Jaskrawość form, w jakich się ta inwazja przejawia, świadczy o żywiołowej sile zjawiska.

Zróżnicowanie polityczne wśród katolików istniało zawsze i istnieć będzie. Zwykle jednak nie bardzo pamięta się o nim i mało się do niego przywiązuje wagi. Dopiero takie wypadki, jak te, których obecnie jesteśmy świadkami w Hiszpanii, podkreślają jego znaczenie.

Nie ma w tym podziale nic dziwnego. Przeciwnie, jest on zjawiskiem całkiem normalnym i dowodzi żywotnego uczestnictwa ogółu katolickiego w szybkim rytmie falowania dziejów. Katolicyzm, jako światopogląd, może pomieścić w swym uniwersalizmie ideowym i czasowo-przestrzennym różne poglądy społeczno-polityczne. Jest więc w nim miejsce i dla demokratów i dla zwolenników autorytatywnego sposobu rządzenia. Wiadomo, że Kościół, pomimo pewnych sympatyj, czy nawet wskazówek, głosi swoje zasadnicze *désintéressement* w sprawach ustrojowych, oczywiście pod warunkiem poszanowania praw chrześcijańskiej etyki.

Zło i niebezpieczeństwo zjawia się dopiero w tym, że pewne sfery elity katolickiej, przeważnie świeckie, nie umieją uchronić się przed roznamiętnieniem, które niesie z sobą

problem hiszpański. Znalazło ono między innymi wyraz w gwałtowności, z jaką jeden z odłamów katolickich intelektualistów francuskich wystąpił w obronie czerwonego rządu hiszpańskiego a przeciwko powstańcom generała Franco. Zdumiewa pasja, z jaką te sfery organizują kampanię w interesie Barcelony od samego wybuchu powstania. O ich akcji prasowo-propagandowej można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest prowadzona *sine ira et studio*. O ich stosunku do wojny domowej w Hiszpanii decyduje nie tyle sympatia do ideałów socjalistycznych czy komunistycznych, ile nienawiść do faszyzmu. Względy katolickie i patriotyczne odgrywają tu podrzędną rolę, co nie może nie dziwić u katolików. Namiętna, na wskrós emocjonalna postawa sprawia, że rozumowanie ich wykazuje braki, które nie mogą ująć uwagi spokojnego obserwatora. Nie mogą, a właściwie zaślepieni uczuciem, które ich opanowało bez reszty, nie chcą zrozumieć, że dla sprawy wolności i sprawiedliwości, której tak żarliwie bronią, komunizm jest równie groźny, jeżeli nie groźniejszy niż faszyzm. Nie chcą przyznać, że komunizm jest jeszcze gorszą formą totalizmu niż faszyzm, że jego wrogość wobec religii jest bezwzględna, okrutna i nieubłagana, że przymierze demokracji z komunizmem to przyjaźń owcy z nigdy nienasyconym wilkiem.

Kto by wątpił, że przedstawiciele elity umysłowej wśród katolików mogą tak dalece ulec roznamiętnieniu, wyrzec się stosowania katolickich kryteriów w ocenie najdonioślejszych faktów i sprzeniewierzyć się zdrowemu rozsądkowi, niech przeczyta np. artykuł pt. *Bilan et avenir exférieurs* Georges'a Duveau w marcowym (1938) zeszycie francuskiego miesięcznika katolickiego *Esprit*. Autor tego artykułu omawia francuską politykę zagraniczną ostatnich lat. Wywody jego dadzą się streścić pokrótce w następujących тезach: Od zakończenia wojny światowej do roku 1935 polityka francuska mimo swych celów imperialistycznych i niezręczności dawała jeszcze krajowi pewien *prestige* i sprawiała wrażenie pewnej spistości i stałości; decydowała o tym wierność Francji wobec Ligi Narodów i idei bezpieczeństwa zbiorowego. Od jesieni 1935 roku, kiedy wojska włoskie zalały Etyopię, Francja poczyną coraz bardziej chorować na zbytek roz-

sądku czyli inaczej mówiąc na tchórzostwo i popełnia coraz więcej błędów, podkopujących jej powagę w świecie. Pierwszym takim błędem na wielką skalę była jej zgoda na podbój Abisynii przez Mussoliniego. Winę za to ponosi machiawelizm Laval'a. „Po faktorze Laval'u następuje faktor Delbos“, który, „w sprawie hiszpańskiej zaproponował fikcję nieinterwencji, gdyż powiedział sobie, że lepiej zgodzić się na hipokryzję, niż zwiększyć niebezpieczeństwo wojny europejskiej“. Postąpił tak, mimo że, zdaniem publicysty, wspólność interesów międzynarodowego ruchu antyfaszystowskiego i interesów Francji nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ministrowie Frontu Ludowego nie chcieli uznać tej prawdy i odmówili „wzięcia udziału w wyprawie krzyżowej, kiedy świat pełen jest krzyżowców“. Ta słabość Francji podzieliła świat na dwa bloki i zmusiła Rosję sowiecką, „by stanęła na czele wyprawy krzyżowej przeciw faszyzmowi“. I gdy Rosja podejmuje się tego zadania, rząd Frontu Ludowego we Francji wstydzi się sojuszu z nią. Francja drży ze strachu przed Hitlerem przed wojną z nim. Dureau piętnuje to mocnymi słowami, ale sam nie kryje strachu. Tylko boi się kogo innego: Stalina. „Kiedy Stalin, w swoim liście do Iwana Iwanowa tłumaczy, że Związek Sowiecki nie jest zupełnie zabezpieczony przed agresją z zewnątrz, kiedy wzywa proletariát międzynarodowy, by jego zwarte szeregi przygotowały się odważnie do wojny, odczuwamy w plecach zimny dreszcz“...

Nie bardzo nawet ukrywany między wierszami sens tych wywodów jest oczywisty: zamiast bawić się w politykę nieinterwencji Francja powinna była stanąć po stronie czerwonego rządu w Hiszpanii, bez względu, czy groziłoby to wojną światową czy nie. Co znaczy groza wojny powszechnej, gdy można nasycić potrzebę zemsty nad znienawidzonym prądem politycznym? Trudno zaprzeczyć, że źródłem tego rodzaju wystąpień są uprzedzenia i sympatie a nie spokojna, trzeźwa myśl. Ten sam zarzut powodowania się przede wszystkim namiętnościami politycznymi można by postawić hiszpańskim poczynaniom Maritain'a, Mauriac'a, Bernanos'a i innych reprezentantów tego kierunku, który z pobudek niechęci nazwano „katolicyzmem liberalnym“.

Ale czy tylko im? Czy tylko tamta „liberalna” strona wysuwa na pierwszy plan kryteria uczuciowe? Czy tylko ona daje pierwszeństwo względem polityczno-ustrojowym przed względami religijnymi? Jeżeli prawdą jest, że katolicy typu Duveau są przede wszystkim antyfaszystami (co nie znaczy jeszcze, że muszą być komunistami) a dopiero później katolikami, to równie prawdą jest, że ci, co stoją na przeciwnym biegunie politycznym, często są najpierw nacjonalistami a dopiero później katolikami. I tu i tam katolicyzm jest spychany w cień, i tu i tam traktuje się go jako coś podrzędnego. Jeżeli katolicy spod znaku Duveau zdają się zapominać, że walka z Bogiem i religią jest podstawową ideą komunizmu, to wielu „katolickich” nacjonalistów z równą zapamiętałością nie chce dojrzeć w krańcowym nacjonalizmie wroga chrześcijaństwa. A przecież mnożą się głosy, że ten wróg jest może jeszcze niebezpieczniejszy, bo ukryty i obłudny, bo „nadużywa imienia Boga i nim ludzi tych, co czując się w chrystianizmie zbyt skrupowani jego ascezą, obawiają się jednak ateizmu bezkompromisowego”.¹⁾ A tymczasem z ust Namiestnika Chrystusowego raz po raz padają słowa ostrzeżenia przed wybujałościami nacjonalizmu, słowa coraz twardsze i coraz bardziej stanowcze. Świeżo właśnie, bo 15 lipca, przyjmując przedstawicielki Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Maryi Panny z Wieczernika w obecności kardynała sekretarza stanu Pacelli’ego i biskupów, Papież wygłosił dłuższe przemówienie poświęcone błędom i niebezpieczeństwom skrajnego nacjonalizmu. W przemówieniu tym Ojciec św. przypomniał swoje przestrogi sprzed kilku lat i podkreślił, że nigdy dotąd nie myślał o tych sprawach z taką jak obecnie dokładnością, ścisłością i rzec można, taką bezkompromisowością w formułowaniu poglądów. Jeśli zaś Bóg obdarzył go tą jasnością rozumienia, za słuszne uważa podzielić się swymi myślami ze swoimi dziećmi, zwłaszcza w tej chwili, gdy błędne idee tyle czynią zamętu i tyle szkód wyrządzają. Dziś oto doniesiono Ojcu św. o pewnych rze-

¹⁾ K. L. Koniński: „W sprawie chrześcijańskiej odbudowy świata”, cz. I, *Marchoff* Nr 3, kwiecień 1938 r.

czach nader poważnych. Idzie już o prawdziwą apostazję. To nie ta lub inna idea jest błędna, to cały duch doktryny jest sprzeczny z wiarą Chrystusową. Jeszcze surowsze i bezwzględnie negatywne stanowisko wobec rasizmu zajął Ojciec św. w słynnym już dziś na cały świat przemówieniu z 29 lipca, wygłoszonym w Castel Gandolfo do alumnów Kolegium de Propaganda Fide.

Wybujałości grożą nam więc na obu skrzydłach: i na skrzydle zajmowanym przez Duveau i na odcinku przeciwnym, gdzie mit rasy i narodu tak często usuwa z serc wiarę ojców. Wydobyła je z ukrycia sprawa hiszpańska, ułatwiając szczere odsłanianie przyłbicy.

Roznamiętnienie, wywołane wypadkami na półwyspie Iberyjskim, jest bardziej zrozumiałe i mniej niepokojące w świecie pozakatolickim, ale musi niepokoić, gdy jawi się wśród katolików. Bo czego ono dowodzi?

Dowodzi, że wśród pisarzy i publicystów katolickich są ludzie, dla których zaspokojenie zemsty nad znienawidzonym systemem rządzenia jest czymś bez porównania ważniejszym niż sprawa katolicka, niż dobro własnego kraju. W odczuciu tych ludzi dokonało się takie uszeregowanie wartości, w którym katolicyzm w stosunku do „demokracji” lub „fasyzmu” zajął miejsce upośledzone.

Rozumie się, że od takiego nastawienia jest już tylko jeden krok do posługiwania się katolicyzmem jako narzędziem i cennym atutem w walce politycznej. Nie tak odległe to czasy, gdy taka metoda, stosowana przez *Action Française*, naraziła tę organizację rojalistyczną na bezwzględne potępienie przez Stolicę Apostolską. Niewątpliwie to degradowanie Kościoła w hierarchii wartości odbywa się najczęściej podświadomie, mimo to przynosi wielką szkodę i to z wielu względów.

W owych mimowolnych i nieświadomych pomniejszych cielach katolicyzmu rodzi się nietolerancyjność i ekskluzywność. Tylko my, „nacionaliści”, tylko my, „demokraci”, jesteśmy prawdziwymi katolikami, „tamci” to zamaskowani masoni i liberali lub faryzeusze, fałszujący naukę Chrystusową. Katolikom w bezkresnym domu wspólnego Ojca zaczyna się robić ciasno. Zaczyna ich mierzić obecność

„famtych“ — wyznawców innego credo społeczno-politycznego.

Innym szkodliwym rezultatem roznamiętnienia jest budzenie wśród wrogów przekonania, że Kościół wiąże się z faszyzmem (argument pism w rodzaju *Epoki*) lub z komunizmem (ulubiony argument władców Trzeciej Rzeszy, perfidny, jeżeli chodzi o przywódców, może być szczery w umysłach szerszych sfer, otumanionych przez propagandę nazytyczną).

Co gorsza, postawa wspomnianego Duveau czy niektórych odłamów nacjonalistów każe przypuszczać, że to wiązanie Kościoła z pewnym reżimem politycznym istotnie się odbywa — jeżeli nie formalnie, to na podłożu wspólnych sympatyj i upodobań, ale w granicach z punktu widzenia katolickiego niedopuszczalnych — że w pewnych wypadkach jest to już nie tylko wrogi zarzut, nie tylko pobożne życzenie nieprzyjaciół, ale fakt rzeczywisty.

Z fanatyzmu rodzi się doktrynerstwo. Umysły nawet wybitne, nawet wielkie, karmiąc się długo uprzedzeniami i antypatiami, obniżają swój lot tak dalece, że wprost trudno w to uwierzyć. Profesor uniwersytetu w Oviedo Alfred Mendizabal, katolik, wrogo względem narodowej rewolucji w Hiszpanii i generała Franco usposobiony, wydał książkę pt. *Aux origines d'une tragédie. La politique espagnole de 1932 à 1936*. Wpatrzony w swój ideał polityczny poważny myśliciel Maritain zaopatrzył ją we wstęp, o którym *Civiltà Cattolica* (Nr 2107, 43) nie zawahała się napisać: „Nie znajdujemy w nim ani metody, ani istoty, ani głębokości filozofa“. Podkreślmy fakt, iż *Civiltà Cattolica* pisują ludzie zrównoważeni. Jak bardzo musiał być rozdrażniony i przejęty odrazą do wszelkiego „faszyzmu“ inny wybitny pisarz — Bernanos, gdy pisał niedawno te słowa: „Nie jestem, nie byłem i nie będę nigdy „narodowy“ nawet, jeżeli rząd Republiki przyzna mi kiedyś pogrzeb o takiej nazwie... Mnie wystarcza słowo „uniwersalny“ a i „katolicki“ wydaje mi się zupełnie niezłe.“¹⁾

¹⁾ Cytujemy za recenzentem nowej książki Bernanos'a: *Les grands cimetières sous la lune* Ch. Albertem Zingaria w „Sygnałach“ z 1 VII 1938.

To rozdrażnienie przeniosło się teraz także na łamy polskich pism katolickich, atakujących czy broniących Maritain'a, Mauriac'a, Bernanos'a i ich zwolenników. Nadaje ono ton polemikom, w których padają słowa cierpkie, krzywdzące — o nadużywaniu firmy katolicyzmu, to znowu o zdradzie, o heretyckim liberalizmie katolickim...

Czytelnik z przerażeniem myśli, do czego by to doszło gdyby i hierarchia kościelna była tak pochopna w ferowaniu wyroków na współwyznawców, którzy w kwestiach politycznych i społecznych mają odmienne zdanie. Na szczęście miarodajne czynniki kościelne nie potępiają tak prędko i tak łatwo ani „liberałów“ ani „nacionalistów“ katolickich.

Wzajemne ataki na siebie, jakie pewne odłamy katolików prowadzą w związku z wojną hiszpańską, nie są sprawą czysto wewnętrzną. Gromy rzucane z zapałem godnym lepszej sprawy na współbraci nie są rzeczą miłą, choćby się nawet wyczuwało w nich święte oburzenie i widziało podziwu godną energię w obronie zagrożonych ideałów. Ostatecznie jednak są to porachunki rodzinne, a rodzina w chwilach uspokojenia łatwiej się ze sobą dogada. Zgorszenie tą kłótnią wywołane w szeregach obcych i radość wśród wrogów także nie są czymś, co musiałoby budzić szczególną troskę i zaniepokojenie. Tę troskę budzi co innego. Jeżeli w rozmowach między sobą używamy takiego tonu i nie chcemy lub nie musimy ukryć rozdrażnienia, to jak niekiedy wyglądają nasze stosunki z obcymi i z wrogami? Jak one muszą wyglądać nie w naszych oczach, a w oczach tamtej strony? A to przecież najważniejsze, bo apologetyka i trud apostołowania nie miałyby w ogóle sensu, gdybyśmy nie brali pod uwagę faktu, z jaką oceną spotykają się nasze metody w tamtym obozie.

Oddźwięki wojny hiszpańskiej w prasie katolickiej, polskiej i obcej, pozwalają sformułować w tym względzie pewną tezę: naszym poczynaniom apologetycznym i apostołskim przy całej obfitości dobrej woli zapału i wysiłku umysłowego często brak braterskiej wyrozumiałości. Brzmi to paradoksalnie, ale tak jest istotnie — grzeszymy często nadmiarem zapału nieroztrop-

nego i nieposkramianego, a brakiem serca. Ulegając bezwiednie szerzącemu się dziś pod różnymi postaciami kultowi siły, ufamy więcej naszej woli zdobywania choćby gwałtem, choćby przemocą, niż nakazom serca. Odwracamy się, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, od zbawczej nauki chrześcijaństwa o miłości i szukamy skuteczniejszych środków walki u źródła, z którego zrodził się duch różnych totalizmów. Stąd oschłość, która tak zraża naszych przeciwników ideowych.

Nasz katolicki dynamizm, zjawisko wspaniałe i radosne, tu i ówdzie poczyną zbyt mocno upodabniać się do energii, którą pulsują powojenne wielkie prądy społeczno-polityczne. Zjawia się wyniosłość i nieprzystępność. Swoim nowym obliczem, w którym więcej jest obcych naleciałości, niż rysów istotnie katolickich, budzi on gwałtowne sprzeciwy nie tylko wśród nieprzyjaciół, ale i wśród swoich. Doszło do tego, że ludzie, nawet we własnym obozie, poczynają się lękać „dynamicznych“ katolików. Ten oschły, władczy „dynamizm“ utożsamiają z klerykalizmem, którego poskramianie uważają za jeden z negatywnych wprawdzie, „ale na pewno bardzo skutecznych sposobów walki z bezbożnictwem“ (Koniński).

Zarzut tak pojętego klerykalizmu kieruje się głównie przeciwko osobom świeckim. Ludzie świeccy, zwłaszcza młodzi, bardziej związani z bojową bieżącą polityką i mniej skrupowani rygorami dyscypliny kościelnej, łatwiej ulegają wpływom modnych haseł politycznych. Powodowani szlachetną ale nieumiarkowaną gorliwością przenoszą zbyt pochopnie metody polemik i działań politycznych w dziedzinę stosunków religijnych. Wskutek tego ich wielka i pożyteczna aktywność nierzadko przynosi równocześnie szkody i wywołuje od czasu do czasu gwałtowne protesty przeciwko ultrasom i zelantom religijnym.

A właśnie w protestach tych tkwi ów charakterystyczny zarzut braku miłości bliźniego. „Widocznie nigdy żywego chrześcijańskiego wzruszenia miłości nie doświadczywszy — pisze Koniński — wspaniałej, Boskiej zaiste wielkoduszności i — jeśliby tak wolno rzec z domieszką paradoksu — lekko-myślności ewangelicznej nigdy nie pojawiawszy i nie zakosztawwszy, fanatycy na modłę starozakonną przez swą oschłość

i faryzejski jakiś wspólny rys uspokojonego pyszałstwa — swym hałasem i tym sroczym jakimś kwantytatywnym skrzekotem od katolickiego gniazda odstraszaają ptaki bezdomne szlachetnego lotu; mimowolni gasciele cichego pożaru tęsknot religijnych, szkodliwi tak samo lub nawet bardziej, niż propagandyści bezbożnictwa, wbrew woli podają bezbożnictwu argument kapitalny, że w chrześcijaństwie możliwa jest jałowa susza serc, pospolite brutalstwo i nawet okrucieństwo, że więc chrześcijaństwo nie uszlachetnia i nie wznosi, że więc?... Ci ludzie bywają cnotliwi i porządni, może nawet przy okazji do heroicznych cnót zdolni, ale nie o to w niniejszym sprawa idzie. Rzecz w tym, w jakiej skórze podaje się soczysty owoc?”

Na nasze polemiki w kwestii hiszpańskiej patrzy się przeważnie jako na wewnętrzne rozgrywki i kłótnie. I wtedy filipiki w rodzaju tych, jakie kieruje się przeciwko Maritain'owi i „liberalnemu” katolicyzmowi francuskiemu, nie budzą głębszych refleksyj. Ale tu chodzi o coś więcej niż o Maritain'a i jemu podobnych. Tu chodzi o to, że owe polemiki są także przejawem naszych możliwości apologetycznych i naszych uzdolnień do trudu apostołskiego, za który w mniejszym lub większym stopniu wszyscy ponosimy odpowiedzialność, a który jest nie do pomyślenia bez udziału pogardzanego dziś serca. A gdy się o tym pamięta, wówczas nie braknie powodów do lęku, że istotnie odstraszaamy ptaki bezdomne szlachetnego lotu, że istotnie możemy być mimowolnymi gascielami cichego pożaru tęsknot religijnych i nade wszystko, że usprawiedliwiamy bolesny zarzut, iż w chrześcijaństwie możliwa jest jałowa susza serc.

Tak, owe polemiki nie pomnożyły rejestru „katolickiej apologetyki serdecznej, porywającej” (Koniński), do której tęskni wielu katolików i niemało spośród ich przeciwników ideowych.

Dr A. Żukowski.

Mit XX wieku.

Wszystkie światła gasną... Nagłe ciemności zalegają nas wokoło, otaczają ze wszystkich stron... przenoszą niezmiernie daleko od maleńkiego punktu oparcia i od momentu szczęścia, które przed chwilą były naszym udziałem. Z drżeniem świętej ciekawości obecni zwracają oczy ku scenie, zawieszają wzrok na rozpostartej przed nimi próżni, na czarnym chaosie, z którego mają wyłonić się niebawem sprawujący czary bogowie i boginie, olbrzymi i karły. Dysharmonia, brzemienność mnogością wszelakich harmonii, dobywa się z głębin ukrywających orkiestrę. Pierścień Nibelungów poczyną czarować, poczyną wywierać magiczny i władczy swój urok na wszystkich — tak zwolennikach nowej wiary jak i niewiernych.

Ryszard Wagner był heroldem wiekuistych dążeń swojego narodu i swojej rasy. Całkowite dzieło, stworzone przezeń w zakresie sztuki, daje właśnie wyraz tym dążeniom, łącząc w sobie zarazem i religijne misterium i liryczną spowiedź artysty. Wagner wypowiada w nim swoją nienawiść do rzeczywistości a tęsknotę za dawnymi złudzeniami chwały, odwraca się z pogardą od kartezjańskiej logiki i przypadkowości, gdyż ponosi go żądza wskrzeszenia i przeżywania porywających snów epicznych. Ta chęć, ta żądza układa się zupełnie zgodnie z tragizmem ludzkich losów i losów wszelkiego stworzenia; uznaje „stawanie się“ za niewzruszone prawo we wszechświecie i nie domaga się — tak jak to czynił Olimpijczyk Goethe — wstrzymania czasu w pochodzie tylko po to, ażeby przedłużyć trwanie pięknych

chwil, przelotnych szczęśliwostek. Dusza germańska przyjmuje dynamizm wraz ze wszystkimi skutkami, które niesie on ze sobą wraz z walką o byt oraz nieuchronnym jej skutkiem, wszelkim bojem, który kiedyś — w dniu śmierci — będzie musiał ustać dla tej najprostszej z przyczyn, że już nie stanie żywych bojowników.

W każdym z nas, choćby był najgorliwszym zapaleńcem i zwolennikiem wielkich przygód, tkwią skłonności statyczne, tkwi pragnienie pokoju i ciszy. U Germanów dążności te doznają zaspokojenia za pośrednictwem Wielkiej Nicości, na wewnętrznym terenie sumienia nordyckiego człowieka. Germanie nie znają właściwie klasycznej *Vollendung*, doskonałego dokonania zamierzonego biegu żywota przez osiągnięcie ostatecznego celu; nie oczekują też wiekuistego szczęścia jako uwieńczenia doczesnych nędz, cierpliwie zniesionych i przetrwanych. Wedle tej twardej i okrutnej nauki życie ludzkie na zawsze pozostanie niedokończoną symfonią, ustawicznym konaniem, walką bohaterską a beznadziejną.

Istoty śmiertelne posiadają dwa sposoby ucieczki przed takim fatalizmem ostatniej próby i przed zupełną anarchią, która musiałaby wypłynąć z podobnego pojmowania świata: wspaniałą, prometejską hardość, tzw. *Trotz*, nieugiętą zarówno w obliczu bogów jak boleści, albo też odejście w krainę marzeń. Wielki pyszałek Hagen i szlachetny marzyciel Zygfryd są ucieleśnieniem tej dwojakiej odporności wobec Przeznaczenia, jej syntezą zaś — jest wspaniały obraz Dürera, przedstawiający Śniącego Rycerza. Walczyć i bić się, wiedząc, że trzeba będzie zginąć, ale pomimo tego nadać owym wysiłkom sens oraz znaczenie; nie liczyć na pomoc żadnej potęgi niebieskiej ani nie wzywać miłosierdzia, które nie jest z tego świata: oto zasady germańskiej *Welfanschauung*, światopoglądu, przechowanego w sagach, w bohaterskich epejach, a wzmocnionego przez Lagarda, i Ryszarda Wagnera, przez Nietzschego, Müllera von Bruck, na koniec przez Alfreda Rosenberga.

Analizując jedno z obydwóch dzieł, które już odtąd ukazują się nam jako te święte księgi nowej wiary —

narodowego socjalizmu — przedstawiając zatem „Mit XX Wieku” czytelnikom, chcemy położyć nacisk na więzy łączące sztandarowego myśliciela Trzeciej Rzeszy z najprawdziwszymi, najwierniejszymi tłumaczami germańskiej, nordyckiej duszy.

Nie darmo Rosenberg broni się przed zarzutem, jakoby miał stworzyć i wymyśleć nową filozofię. Ani jej nie stworzył, ani nie wymyślił, lecz odkrył ją, odnalazł i przystosował, poczyniwszy w niej pewne zmiany. Czerpał przy tym ze skarbcza przodków i niekiedy z odwiecznych przesłanek wysnuwał wnioski nie tylko zuchwałe ale wręcz przerażające, takie, jakich nikt dotychczas nie ośmielił się wygłosić. „Mit XX Wieku” — to objawienie się duszy germańskiej, wolnej od jakiej bądź naleciałości obcej czy choćby ogólnoludzkiej.

Aby osiągnąć możliwie doskonałą czystość w odbudowie powyższego objawienia, p. Rosenberg sięgnął odważnie aż do mglistych początków własnej przeszłości narodowej. Unika on dziennego światła historii nowoczesnej czy współczesnej; nie zatrzymuje się również w półmrokach średniowiecza; za to jednak rzuca się w otchłań przedhistorycznej epoki, poprzedzającej okres wpływów nadśródziemno-morskich, łacińsko-chrześcijańskich. Idąc jego śladem, znajdziemy się w atmosferze „Reńskiego Złota”, w mistycznych ciemniach i głębiach, zamieszkałych przez symbole i alegorie, które niemiecki człowiek naszych czasów odtworzył sobie na obraz i podobieństwo własne, wedle zachcianek swojej własnej wyobraźni. Wkroczyliśmy zatem w królestwo mitu, w krainę pół-snu i pół-jawy.

Mit — w wiernym przekładzie z języka greckiego — to kłamstwo. Rosenberg nie wniesie w tej kwestii sprzeciwu, ponieważ sam nie uznaje prawdy bezwzględnej. Natomiast kłamstwo wraz ze złudzeniem zlewają się u niego z pewną prawdą o bardzo względnym znaczeniu; prawda ta zaś opiera się tylko jedynie na dwóch czynnikach: twierdzeniu oraz wyznaniu (*Behauptung u. Bekenntnis*) i posiada wyłączną wartość dla zbiorowiska osób jednej i tej samej krwi. Jego książka zwraca się więc wyłącznie do tych ludzi, którzy

dostrzegą w niej... „wyraz swego własnego życia albo dążności swego własnego serca.“ Ci to bracia — wedle rasy i wiary — uznają w podanym im micie „organiczną odpowiedź“ — na pochłaniające ich zagadnienia, tym samym więc i prawdę, która ich zadowoli. Co znaczy i co może ich obchodzić zdanie obcoplemieńców? Każda z pozostałych ras ziemi posiada swoją własną prawdę, a zatem nie podlegają one wcale wskazaniom nordyckiej nauki ani nordyckiego sumienia. *Eines schickt sich nicht für Alle!*

Prawda germańska jest tego rodzaju, że odpowiada ludziom, którzy ją stwierdzają i wyznają. Jest twarda, bohaterska, wyznaczona przez najwyższy ideał honoru, alogiczna, wszakże nie illogiczna; została objawiona Wielkim Wtajemniczonym drogą intuicji. Każe przekładać miłość własną, osobistą lub zbiorową nad miłość bliźniego; potępia złe uporządkowane miłosierdzie, łaskawe dla słabych, a nawet dla wrogów. Żadnego uniżenia, ani pokory, ani litości względem wydziedziczonych przez los o tyle, o ile należą oni do rasowo obcych społeczności.

Powyższa prawda dotyczy dwóch ściśle rozgraniczonych dziedzin: zewnętrznej natury oraz świata wewnętrznego. Leżącym poza nami wszechświatem rządzą imperatywne prawa, które możemy poznać za pomocą zmysłów oraz doświadczenia. Żaden wyjątek nie jest zdolny naruszyć ustanowionych w ten sposób prawideł. Ani cud żaden, ani innego rodzaju wmieszanie się transcendentnej siły. Natomiast z całą swobodą dają się tu wprowadzić w wątek psychicznej introspekcji pierwiastki czarodziejskie. Nasza dusza — to krajobraz wybrany, będziemy mogli go zaludnić wszystkimi naszymi marzeniami, pod tym wszakże oczywistym warunkiem, że zgadzać się one będą z prawem rasy, prawem tej bezwzględnej władczyni i pani, która rozkazuje czynom i naszym myślom.

Poznanie Boga, Jego istoty i doskonałości, jako też wyjaśnienie tego, co przekracza naszą znajomość widzialnego świata, wszystkie te dziedziny, pozostawia objawienie nordyckie wolnej grze naszej wyobraźni. Jednakże przy tym granice pomiędzy naturą a nadprzyrodzonością są niestałe, a gdy się wahają, to zawsze na korzyść pierwszej. Marzenie

senne tak długo karmi naszą ułudę, aż wreszcie samo stanie się dotykálną rzeczywistością, zrodzoną wprawdzie w odmiennej postaci, niemniej przeto jako realizacja naszych pierwotnych wyobrażeń. Tak np. Ikarowe loty przeniosły się z zakresu legendy w krainę nauki: samoloty i napowietrzne statki pływają po niebie, którym zawładnęli ziemianie. Wszechobecność Najwyższej Istoty zastępują dzisiaj cuda pozbawione osłon tajemnicy: telegraf bez drutu obok telewizji.

Poglądy Rosenberga zbliżałyby się niesłychanie do zapatrywań p. Homais oraz innych zachodnio-alpejskich „pod-ludzi”, którzy są gotowi darować wróblom niebo, ogłoszone z Tajemnicy, gdyby nie to, że wyżej wspomniany autor dochodzi w swych przekonaniach praw nordyckiego człowieka do wiekuistej konieczności odnawiania własnego metafizycznego marzenia. Zdetronizowanego Boga oraz odkrytą tajemnicę będą ustawicznie zastępowały inne twory wyobraźni. Z umierającego mitu powstaje inny, długowieczny, aż i on z kolei zaginie. Germańskie „stawanie się” skazuje na śmierć bogów i religie, ale zabezpiecza przed zniszczeniem ideę Boskości i religijne uczucie. Tak wygląda filozofia i teologia „Mitu XX Wieku”.

Otóż przede wszystkim można odróżnić w filozofii tej starą, racjonalistyczną mądrość Cycerona, wedle której ludzie mieli rzekomo stworzyć Boga na własne podobieństwo; dalej odnajdujemy w niej niemieckich mistyków, jak Eckeharta aż po Jakuba Boehme, Anioła Ślázaka, aż po Rainera Marię Rilkego, którzy istnienie Stworzyciela uzależniają od własnego życia i własnego aktu wiary.

*Was bist Du, Gott, wenn ich verderbe?
Mit mir verlierst Du Deinen Sinn...* (Rilke).

U poety twórcy „Księgi godzin” oraz „Elegii Duina” jest to krzyk rozpacz, który wyrывa się ze słabej zniewieściałej duszy, obracającej się dokoła własnego „Ja”. To samo u Rosenberga stanowi wyzwanie rzucone dłonią nieposkromionej ludzkiej jednostki, temu Bogu, któremu zaprzecza się istotności bezwzględnej. Człowiek bohaterski przedstawia dla „Mitu XX Wieku” miarę wszelkiej rzeczy, nie wyłączając Przedwiecznego. Bohater

jest tu jednocześnie artystą, ponieważ ci dwaj typowi, a zarazem wzorowi przedstawiciele ludzkiego rodzaju, w zakresie człowieczeństwa tworzą jedno; przez swoje czyny i dzieła urzeczywistniają zgodność rozumu i woli z uczuciem oraz z podświadomymi dążnościami rasy.

Rozum bowiem, jego sądy, a także i wolna wola w człowieku, nie mogą spełniać swych czynności inaczej, jak zgodnie z prawem krwi. Dziedziczne skazy, — a wyrażenia tego nie bierzemy w ujemnym ani pogardliwym znaczeniu — wyznaczają i nakazują każdemu potomkowi postawę, którą winien zachować w obliczu wydarzeń oraz zjawisk. Zboczenie z tej drogi, wytkniętej i przepisanej, nie jest wprawdzie niemożliwością, pociąga wszakże za sobą niewybaczalną zbrodnię, grzech przeciwko krwi. Nordycka Europa ściągnęła na siebie winę właśnie takiego śmiertelnego grzechu na skutek przyjęcia i uznawania w ciągu wieków syryjskiej doktryny chrystianizmu będącego nie autentyczną Chrystusową Ewangelią, lecz wymysłem i nauką Kościoła.

Chrystus urodził się w Galilei, z przodków nordyckich, i głosił heroiczną etykę. Apostołowie, synowie Izraela, a więc najwstrętniejszej, najpodlejszej ze wszystkich ras naszej planety sfałszowali natychmiast Jezusowe posłannictwo. Bliscy pobratymcy tego przekłętego ludu, Etruskowie, przyłączyli się do jego niszczycielskiego dzieła. Wynikiem ich wzajemnej współpracy jest właśnie katolicyzm. Tak twierdzi „teolog i egzegeta“ Rosenberg.

Etruskowie przyszli z Azji Mniejszej, a osiedlili się w środkowej Italii. Należą oni do tej samej rasy co Żydzi i tak jak oni, są sprośni, sadystyczni, chciwi zysków, niewolnicy najniższych rozkoszy zmysłowych, a oporni i krnąbrni wobec każdej myśli wzniosłej. Popełniają występki, których imię nie chce przejść przez usta i świętokradstwa, od których włosy jeżą się na głowie, a czynią tak bądź dla dogodzenia własnym przewrotnym instynktom, bądź dlatego, aby ulec przesądowi, nie tylko dziwaczному i śmiesznemu, ale równie nikczemnemu jak głupiemu!

Człowiek nordycki poddaje się posłusznie nieskazitelnym prawom natury i do walki o byt, jako też o dobro

swej rasy, nie miesza życia swej czystej wyobraźni, nie usiłuje więc zmieniać wieczystego porządku świata. Syryjczycy natomiast, Żydzi i Etruskowie buntują się przeciwko przeznaczeniu, wymyślają więc magiczne rytuały i oczekują od słów oraz gestów, że spowodują one wtargnięcie jakiejś transcendentnej siły w doskonale uporządkowany wszechświat. Daremne wszystkie całopalenia i zaklęcia, orgie i urokil. Żaden rozpaczliwy czyn nie zdoła obalić ustalonych norm po to, aby zamiast nich zatryumfował ślepy przypadek! Wszystkie te praktyki zepsuły tylko naiwną duszę narodów czystych i ufnych. Rzymski papież odziedziczył po etruskich haruspexach najnienawistniejsze podstępny i szalbierstwa. Święte Kolegium podjęło spadek po syryjskich klebach. Papieże, biskupi, księża i zakonnicy katolickiego Kościoła, ci szalbierze i czarownicy, żerujący na nordyckich skłonnościach religijnych, zboczyli nasz ład tysiącem zbrodni popełnionych na innowiercach w imię szalonej i zabójczej nauki. Ale ani groźby, ani obietnice, ani obawa piekieł, ani nadzieja rajy, ani prześladowania, ani podstępne sposoby szerzenia katolicyzmu, nie zdołały utrzymać w łonie Kościoła ludów, które stanęły u progu własnej dojrzałości rasowej.

I tak ludzie Odrodzenia i Reformacji, poprzedzeni przez wielkich średniowiecznych mistyków zwłaszcza przez najślawniejszego wśród nich mistrza Ekehartę, opuszczają duchowe więzienie swych przodków, powracają do źródeł rasowego geniuszu, do starożytnej Hellady, do starożytnej Germanii. Syryjskie zjawy, nocne widziadła znikają za zbliżeniem się słońca, w którym błyszczy zwycięskie godło swastyki. I oto znowu znaleźliśmy się wpośród wagnerowskiego krajobrazu, kędy Zygryd, pół-bohater epopei i pół-bożek światłości bierze górę w sagach, nad potworami i czarnymi karłami. Dzień wychodzi zwycięsko z pojedynku z Nocą; khtonice siły „matki“, uginają się pod pazurem pięknego i wszechpotężnego samca.

Chociaż *Mit XX wieku*, jako swoista dogmatyka, potępia teologię, a jako mistyka zaprzecza istniejącemu w życiu połączeniu wiadomości przyrodzonych z nadprzyrodzonymi, niemniej przeto odważa się na częste wycieczki na

wyspę Cythery, do kraju, gdzie miała niegdyś rozkwiąć baśniowa miłość Erosa i Psychy. Nasz autor maluje seksualne pierwiastki religij syryjskich najczarniejszymi barwami, ponieważ czynniki te wywodzą swój początek z matriarchatu czyli uświęconego nierządu, poddającego mężczyznę pod władzę kobiety, podczas gdy nowa wiara opiera się na patriarchacie, na androkracji, dzięki czemu płeć brzydka korzysta z wszelkich przywilejów, wypływających z jej przewagi i siły, córy zaś Ewy muszą ograniczyć się do właściwej sobie roli strażniczek czystości rasy, a więc do roli kochanek i matek. Emancypacja kobiet ma w Rosenbergu surowego i bezlitosnego krytyka. Raczej gotów jest przyjąć poglądy Moebiusa, albo — o zgrozo! — żyda Weininger'a, który twierdzi, że fizjologiczna słabość umysłowa kobiet przeznacza je do spełnienia funkcji biernych. Inicjatywa, prowadzenie interesów oraz kierowanie społeczeństwem należy wyłącznie do mężczyzn.

Zdaniem Rosenberga popełniamy błąd, gdyż uważamy rodzinę za pierwszą komórkę państwa. Tymczasem każda zorganizowana społeczność wywodzi się z *Männerbundów* — stowarzyszeń męskich. Dowodem tego są greckie *fratrie* oraz rzymskie *tribus*, duchowieństwo katolickie aż do zakonów rycerskich włącznie; to samo na koniec da się powiedzieć o tym najdoskonalszym przykładzie kierowniczej kasty, jaki przedstawia korpus pruskich oficerów. W podobny też sposób powstanie elita przyszłego państwa narodowo-socjalistycznego.

Staranny dobór męskiej arystokracji, złożonej z ludzi, kierujących się kultem honoru, zapewni narodowi potrzebnych przywódców. Otrzymają oni odpowiednie wykształcenie i wychowanie z dala od rodzinnego ogniska, a wszystkich ich łączyć będzie niezniszczalna solidarność. Zakonne zamki, *die Ordensburgen*, w których Trzecia Rzesza kształci przyszłych wodzów, zależą wszystkie od Rosenberga jako W. Mistrza narodowego odrodzenia. Stanowią one wał obronny i przedmurze dla prawdziwego zrzeszenia mężczyzn, wyzwolonych od węzłów rodzinnych, miejscowych i zawodowych. Są to templariusze nowej wiary, a *Mit XX wieku* stał się dla nich rycerskim katechizmem.

Na tle wagnerowskiej scenerii wyznaczaliśmy prehistoryczne i prelogiczne punkty wyjściowe tej filozofii honoru. Postaramy się teraz uzupełnić poprzedni wykład przez odnalezienie jeszcze innych, a mniej więcej pewnych śladów myślowego ojcostwa. Obok posłanników *gaya saber*, etyki władców oraz prawa mocniejszego, obok pokolenia Nietzschego oraz jego nadludzkiego potomstwa, należy tu odróżnić entuzjastów starożytnej Hellady, poczynając od Hölderlina, a kończąc na Rohdem; dalej nieco fantazujących egzegetów folkloru, sztuki ludowej, a także socjologii i archeologii, jak Bachofena, Grünwedela, Schuchhardta i Frobeniusa; wreszcie protoplastów teoryj rasistowskich, poczynając od Gobineau i Vacher'a de Laponge, od St. Chamberlaina i Woltmanna, a kończąc na niezwykłym Hermanie Wirth'cie, którego „mistyczne marzenia mieszkańca Północy” wydatnie zapłodniły wyobraźnię Rosenberga. Nie zapominajmy również i o duchowym spadku po wielkich niemieckich filozofach: Leibnitz'u, Kancie, Herderze, Fichtem i Schopenhauere; wśród współczesnych nie pomijajmy Spenglera, Dacqué'a i Spanna. Wszyscy oni przyczynili się do powstania *Mitu XX wieku*, bądź przez wniesienie doń poszczególnych pierwiastków, bądź przez podniecie daną Rosenbergowi, do przeciwstawienia się ich teoriom, do namiętnych częstokroć zaprzeczeń, sprostowań i zarzutów.

Na samym wstępie uderza nas w filozofii p. Rosenberga brak jakiegokolwiek wpływu obcego, a raczej niegermańskiego. I tu natrafiamy na pierwszy słaby punkt w argumentacji naszego narodowo-socjalistycznego myśliciela. Rosenberg bowiem odrzuca to, o czym nie wie i nie zna tego, co odrzuca. To, czego nie ma w jego książce, nie istnieje również i w tym świecie, którego prawa „Mit” objawia. Zapewne, że Rosenberg wspomina o Lao-Tseu, o mistrzu Kongu, o hinduskich eposejach, o Grekach i Rzymianach. Przytacza wszakże jednych po dyletancku, jako dowody niearyjskiej koncepcji świata, innych natomiast, jako prawdziwych lub domniemanych poprzedników i prarodzców nordyckiego poglądu na świat. Niewyczerpane bogactwa myślowe zawarte w pismach Ojców Kościoła i w tej filozofii, która nosi miano *philosophia perennis*, ideologia średnio-

wieczna, wysiłki filozofii kartezjańskiej, Malebranche, Pascal, teologowie hiszpańscy; wreszcie subtelny kwiat współczesnej filozofii francuskiej, angielskiej czy włoskiej — nie robią żadnego wrażenia na pisarzu, który zaprzeczając im jakiegokolwiek wartości, potępia je milcząco albo i wyraźnie.

Mitowi minionych wieków i tysiącleci opowiedzianemu przez Rosenberga nie podobna odmówić wielkiego piękna, które dzieło jego zawdzięcza z jednej strony stylowi o liniach twardych i surowych, z drugiej zaś — wzorowej dyscyplinie myślowej, oddającej najromantyczniejsze pomysły za pomocą metody o przejrzystości zupełnie klasycznej. Ale opowiadanie to, z umysłu niedokładne i niesprawiedliwe, a do tego przepojone nienawiścią jest zbudowane jako obrona tezy powziętej z góry. Pomimo tego żadna krytyka nie zdołałaby obalić którekolwiek z twierdzeń Rosenberga, jako teologa, historyka, socjologa czy moralisty; tym mniej zaś nie potrafiłaby tego uczynić w stosunku do Rosenberga jako męża stanu. Zabezpieczył się on bowiem przed wszelkimi zarzutami i przed jakąkolwiek dyskusją, wprowadzając jako wyłączone i jedyne kryterium prawdy: sumienie rasy, sprawujące swe funkcje w służbie nordyckiej krwi i narodu niemieckiego, dla ich ogólnego dobra. Kto więc nie podziela zapatrywań Rosenberga, ten postępuje tak dlatego, gdyż własna jego nieczysta krew albo wierność przeciwnordyckiej nauce sprowadza go na manowce błędu. Na koniec wywody uczonych profesorów mało znaczą w oczach genialnego dyletanta, skoro jego osobista intuicja odgaduje to, czego nigdy nie zdoła wyszperać — na poparcie swoich dowodów słuszności — plemię archiwalnych szczurów i mólów książkowych.

Mimo tych przestróg odważymy się w następnym artykule na analizę i krytykę „genialnych“ pomysłów proroka nordyckiej krwi.

F. Walczyński.

Rooseveltyzm i korporacjonizm.

Czy zbankrutowały?

Idea przebudowy ustroju społecznego w duchu korporacjonizmu napotyka w Polsce na grunt raczej oporny. Jej przeciwnicy wskazują na słabe wyniki prób dotąd w tym kierunku przedsięwziętych za granicą, tak w Europie jak w Ameryce. Pewien filo-kapitalistyczny dziennik z „triumfatorską” *Schadenfreude* obwieścił niedawno „bankructwo rooseveltyzmu” na takiej podstawie, że... kryzys wraca. Dowód stąd „niezbity”, iż radykalizm polityki gospodarczej prezydenta Stanów, nie doprowadził do celu; *ergo* kapitalizm był, jest i będzie ustrojem jedynie możliwym, niezastąpionym, niezniszczalnym, wiekuistym, oczywiście ze wszystkimi jego nieodłącznymi właściwościami, jak nędza proletariatu, walka klas, wyzysk konsumenta, liberalizm polityczny i walka partyj.

Tak myślą i piszą, taką się cieszą nadzieją patrioci dogorywającego ustroju zarówno u nas w Polsce, jak na Zachodzie. Potężni są i tu i tam i jednakowo zaślepieni. Nie ma faktów dość groźnych, nie ma dość straszliwych niebezpieczeństw, które by im mogły oczy otworzyć na nieuniknioną konieczność uwzględnienia w budowie społeczeństw nowych zjawisk i nowych konieczności życiowych. Ta konserwatywna zawziętość jest jednak bardziej usprawiedliwiona na Zachodzie niżli u nas. Ameryka, Anglia, Francja w epoce kapitalizmu i dzięki niemu wzbily się na szczyty bogactwa i potęgi. Polska w epoce kapitalizmu była niewolnicą, żywioną okrucami z kapitalistycznych gospodarstw zaborców. Hamowana i uwstęcniona przez nich

w swym rozwoju znalazła się w matni bez wyjścia, gdy ją los powołał do samoistnego bytu w dobie schyłkowego rozkładu kapitalizmu na Zachodzie. Niejednokrotnie na tym miejscu przytaczane ponure liczby statystyk świadczą o niemożliwości sprostania walce o byt narodowy za pomocą spóźnionych podciągnięć w rozwoju kapitalizmu polskiego.

Czy jednak istotnie nie ma drogi innej i czy rzeczywiście uprawnia do takiego wniosku mała skuteczność stosowanych dotąd w świecie metod walki z chaosem gospodarczym i politycznym? Czy świadczy o tym w szczególności recydywa kryzysu? Gdyby tak być miało to przyszłość i to raczej niedaleka; przedstawiałaby się rozpaczliwie. Katastrofa zdolna wytepić połowę ludności Europy, obrócić w perzynę dumną materialistyczną cywilizację, a w pierwszym rzędzie zdruzgotać ponownie między niemieckim młotem a sowieckim kowadłem, nasz kraj, byłaby nie do uniknięcia. Jeżeli bowiem człowieczeństwo miotła się obecnie jak oszalałe między wojną powszechną i rewolucją z jednej strony, a „pokojem“ opartym na wyścigu zbrojeń i nowym kryzysem z drugiej, to nie dla czego innego, jak tylko z powodu, że dotychczasowe zasady ustroju społecznego i międzynarodowego, nie są już w stanie zaspokoić nowych konieczności życia.

Żaden ustrój nie jest wieczny, lecz ulega zmianom w miarę jak społeczeństwa rozrastają się ilościowo i komplikują w swej budowie. Kapitalizm, wraz ze swym automatyzmem ekonomicznym funkcjonował użytecznie i dość prawidłowo w warunkach XIX stulecia, gdy ludność i rozmiar obrotu gospodarczego wewnątrz i zewnątrz państwa były nieporównanie niższe niż obecnie. Wtedy na ogół, za wyjątkiem przejściowych „cyklicznych“ przesileń, było dość miejsca na rynkach dla pomieszczenia produkcji, nie dawała się więc tak tragicznie we znaki ich ciasnota. Podstawową zaś właściwość kapitalizmu stanowi właśnie niczym nieograniczona swoboda produkcji, pędzona chęcią bogacenia się jednostek. Stąd żywiołowy rozmach w wytwarzaniu dóbr oraz kumulacji kapitałów, przy daleko posuniętym upośledzeniu wielkich mas najemnych pracowników i spóżywców.

Przez długi czas wytwórca kapitalistyczny był z reguły pewien, iż zbyt na wyprodukowany towar zawsze znajdzie, jeśli nie w kraju to za granicą. Światowy popyt z reguły zawsze miał przewagę nad światową podażą. Jeśli na skutek szybko wzmagającej się produkcji przewaga ta chwilowo stawała się wątpliwą, to wolna konkurencja starała się ułatwić zbyt zniżką cen, odbijaną na robotniku, który w ogóle grał rolę białego murzyna powołanego do jak największego wysiłku w wytwarzaniu dóbr i kapitałów oraz jak najmniejszego udziału w ich spożyciu. Jeśli i ta procedura znajdowała swój chwilowy kres a podaż towaru rzeczywiście przenosiła istniejący nań popyt, to następował krach rujnujący nadmiernie rozbudowaną część produkcji. Podaż równoważyła się z popytem aż do chwili ponownego wzrostu spożycia, a w ślad za nim i produkcji. I tak dalej, automatycznie „raz dokoła“, aż do nowego „cyklicznego kryzysu“ zmiennych fal haussy i baissy, dobrej i złej koniunktury.

Tak mogło być długo, choć nie bez groźnych komplikacji społecznych w postaci zwłaszcza walki klas. Podjął ją najemny proletariatus robotniczy w obronie poziomu płac i prawa mas ludowych do sprawiedliwego udziału nie tylko w wytwarzaniu, ale i w spożyciu wytworzonych dóbr. Jednak już w przededniu wielkiej wojny, a później w coraz wyższym stopniu aż do ostatniego wielkiego kryzysu, stosunki poczęły ulegać głębokiemu przeobrażeniu, tak wewnątrz mocarstw wielko-kapitalistycznych, jak na rynku światowym. Dzięki temu przeobrażeniu przewaga podaży nad popytem ongi tylko „cyklicznie“, co pewien czas powodująca brak zbytu, poczęła wyraźnie ciążyć do przejścia w stan kryzysu ekonomicznego. *Lucida intervalla* fal dobrej koniunktury stają się coraz krótsze w porównaniu z okresami depresji; a przy tym wywoływane być mogą tylko przy pomocy zabiegów niezgodnych z duchem kapitalizmu oraz okoliczności „sprzyjających“, lecz bardzo niepewnych i zmiennych.

Przekwit kapitalizmu.

Najklasycyjszy, najprzejrzystszy obraz tych podstawowych zmian przedstawiają Stany Zjednoczone, ponieważ

tam kapitalizm rozwinął się najpotężniej i najkonsekwentniej. Ustrój, którego wszystkie urządzenia i dążenia, namiętności i obyczaje skoncentrowane są w kierunku osiągnięcia jak największej *prosperity* przez jak najforsowniejszą produkcję mógł ulegać kryzysom tylko przejściowym jedynie dopóty, dopóki wzrost produkcji (na dłuższych odcinkach czasu) pozostawał zawsze w tyle w swoim wyścigu ze wzrostem spożycia, to znaczy przede wszystkim ze wzrostem ludności. Obecnie jednak, zwłaszcza w Ameryce, wyścig ten stanął już u swojej mety. Techniczny aparat produkcji, jego zdolność wytwórcza, oraz kumulacja kapitałów dosięgły w swoim rozwoju takiego przełomowego szczytu, od którego zaczyna się ich trwały, strukturalny przerost ponad zdolnością spożywczą i możliwością zbytu tak na rynku krajowym jak międzynarodowym. Jest to fakt dziejowy olbrzymiej doniosłości, którego żadną łataniną paliatywów ani „falami” koniunktury opanować się nie da. Zjawiska społeczne nowe mogą być ujęte w karby jedynie przez zasady i formy ustrojowe nowe.

Zasadniczą właściwość kapitalizmu stanowi nierównomierny podział dochodu społecznego. W Stanach Zjednoczonych 2% ludności dysponuje 40% tego dochodu. Gromadzi to wytwarzany kapitał jednostronnie w ręku burżuazji, która nie ma dlań innego zastosowania jak tylko inwestycję w dalszy, coraz większy wzrost produkcji. Równocześnie też jednostronność utrzymuje na stosunkowo niskim poziomie dochód społeczny pracującej i spożywającej większości narodu, a przez to ogranicza zdolność konsumcyjną rynku wewnętrznego. Taka struktura społeczna w dawniejszych okresach kapitalizmu dawała się we znaki jedynie podczas przesilen przejściowych. Przejściowymi mogły one być dlatego, że na dłuższych odcinkach czasu produkcja nie dostrzymywała jeszcze kroku przyrostowi ludności i jej potrzeb spożywczych, a przynajmniej chłonności rynku międzynarodowego. Wtedy więc w interesie rozwoju gospodarstw narodowych leżało forsowanie procesów wytwórczych wszelkimi środkami i za wszelką cenę, choćby kosztem równoczesnego kurczenia spożycia przez wyzysk robotników i niską stopę życiową mas. Od chwili wszakże gdy zdolność

wytwórcza i zasób wytwórczego kapitału w Stanach Zjednoczonych rozrosły się do stopnia zasadniczo i trwale przewyższającego możliwość zbytu tak wewnętrznego, jak międzynarodowego, stało się rzeczą jasną, iż ustroj kapitalistyczny koncentrujący całą energię gospodarczą w produkcji za cenę upośledzenia konsumpcji, został zredukowany do absurdu.

Ten stan rzeczy ujawnił się szczególnie jaskrawo w ostatnim wielkim kryzysie, już nie „cyklicznym” jak ongi w XIX stuleciu, lecz głęboko strukturalnym. Kapitalizm amerykański znalazł się w matni. Stany Zjednoczone pogrzały się w „nędzy pośród bogactw”. Naprzeciw siebie stały dwie równoległe katastrofy społeczne: Krocie miliardów bezrobotnego kapitału zamrożonego w produkcji pozbawionej zbytu, oraz kilkunasto milionowa, bezrobotna rzesza ludzka, która wraz z rodzinami ograniczała krajowy zbyt o jakie 30—40%. Machina ustrojowa kapitalizmu odmówiła posłuszeństwa i ugrzęzła w absurdzie tak głęboko, jak nigdy jeszcze podczas przejściowych zaburzeń dawniejszych. W obliczu dziesiątków milionów głodujących ust niszczyć poczęto „stoki” nagromadzonej żywności, ażeby ulżyć „klęsce nadmiaru” zbrodnią obraży majestatu człowieczeństwa. Kapitalizm rozkładający się społecznie dobił się tym moralnie.

Reakcja amerykańska.

Wielki kryzys ustroju został otwarty. Okazało się jasno, że gospodarstwo narodowe nie może być ponownie uruchomione, a zwłaszcza nie zdoła osiągnąć trwałej równowagi funkcji przy jednostronności produkcyjnej, systematycznie upośledzającej konsumpcję. Stara, klasowa dążność proletariatu do „poprawy bytu” poczęła odfąd przybierać charakter ogólnospołecznej racji stanu. Ujawniła się wyraźnie konieczność takich nowych zasad, środków i form ustrojowych, które by były zdolne rozwijać nie tylko wytwórczość lecz i spożycie, oraz utrzymywać je stale we właściwym do siebie stosunku. Wynikał stąd szereg zasadniczych postulatów, których realizację zapewnić winien ustroj nowy. Przede wszystkim produkcja nie może być chao-

tyczna, jej impulsem nie może być wyłącznie żądza zysku osobistego a jej kierunek i natężenie nie mogą zależeć wyłącznie od tego zasięgu przewidywań, jakim się interesuje przedsiębiorca lub choćby nawet trust wielko-kapitalistyczny. Zarówno bowiem przedsiębiorca i zrzeszenie wytwórcze nie ma dla kapitału innego zastosowania jak właśnie produkcję; z reguły więc bywa skłonne produkować i kapitalizować bez miary, choćby w interesie równowagi gospodarczej leżała raczej dekapitalizacja na rzecz konsumpcji.

Planowość tedy produkcji i całej w ogóle gospodarki narodowej jest pierwszym podstawowym postulatem nowego ustroju, postulatem przeciwnym żywiołowości i automatyzmowi gospodarstwa kapitalistycznego. Gospodarka planowa ma na celu: 1^o utrzymać produkcję w rozmiarze odpowiadającym konsumpcji; 2^o zapewnić finansowanie konsumpcji równoległe i równomierne do finansowania produkcji. Ażeby cele te osiągnąć gospodarka planowa musi: 1^o obejmować całokształt gospodarstwa narodowego; 2^o mieć centralę planującą i dyspozycyjną; 3^o mieć odpowiednie organy wykonawcze w łonie samego wytwarzającego i spożywającego społeczeństwa; wreszcie 4^o musi rozporządzać technicznymi środkami równoległego finansowania produkcji i konsumpcji. Środki te leżą w sferze kapitału i pieniądza, sfera ta zatem musi również podlegać w znacznym stopniu dyspozycjom centrali planującej. Poważnym przy tym odchyleniem od teorii i praktyki kapitalizmu ulec musi sama metoda użycia środków obrotu gospodarczego, gdyż chodzi o osiągnięcie odmiennego celu.

Przy kapitalizmie żaden z powyższych postulatów urzeczywistnić się nie da, bo wszystkie stanowią jaskrawe jego zaprzeczenie. Planowość, celowość, równowaga są antytezą kapitalistycznej żywiołowości i automatyzmu. Nowy ustrój jest bardziej sztywny, ale bardziej przewidujący i obliczalny od kapitalizmu, ogranicza i normuje prywatną inicjatywę gospodarczą. Przeciwstawia się kapitalizmowi w samej jego zasadzie ustrojowej. Dla kapitalizmu jest nią niczym nieokiełznany indywidualizm, pędzony niepohamowaną żądzą osobistego zysku. Z tych dopiero rozproszkowanych, chaotycznych wysiłków indywidualnych pod hasłem *enri-*

chissez vous „całość sama się składa” automatycznie — w prosperity z walką klas, „społeczne władanie własnością prywatną”, czyli uznanie działalności gospodarczej jednostek za sprawę nie tylko ich osobistą, lecz co najmniej w równej mierze, także za funkcję publiczną, zorganizowaną celowo i zgodnie z wymogami dobra publicznego.

Ustrój oparty na „społecznym władaniu własnością prywatną” występuje jako konieczna reakcja przeciwko zabójczym konsekwencjom skrajnej indywidualistycznej anarchii kapitalizmu. Ale w niemniejszym stopniu przeciwstawia się również odwrotnej, kolektywistycznej skrajności marksizmu, który głosi zasadę bezpośredniego uspołecznienia własności, czyli po prostu etatyzację wszelkich warsztatów wytwórczych. Oba te ustroje skrajne, kapitalistyczny i komunistyczny grzęzną obecnie pośród katastrof i składają jaskrawe dowody niezdolności do kierownictwa życiem społecznym. Kapitalizm zachodni funkcjonuje coraz gorzej dlatego, że już spełnił swoje dziejowe zadania, a nowym sprostać, dla samej swej natury nie może. Wschodni natomiast kolektywizm państwowy usiłuje wprowadzić realizować gospodarkę planową, jednakże przystąpił do tego dzieła nie ze stanowiska dobra publicznego, oraz realnych a nowych konieczności społecznych, lecz z punktu wyjścia walki klas. Dokonał zupełnego pogwałcenia jednostki na rzecz zbiorowości, anarchii kapitalizmu przeciwstawił zbiurokratyzowaną despotię komunizmu, w ucisku pogrążył planowość i równowagę.

Si duo faciunt idem, non est idem. Reakcja przeciwko kapitalistycznej anarchii w Ameryce potoczyła się zgółą odmiennym torem, niżli klasowy terror antykapitalistyczny w Rosji. Roosevelt i jego „trust mózgów” podjęli się walki z pierwszym paroksyzmem wielkiego kryzysu bez żadnych zgółą obciążeń klasową doktryną marksizmu. Chodziło im po prostu tylko o to, ażeby ratować kraj. Zdawali sobie sprawę, że w tym celu konieczny jest „nowy podział” dochodu społecznego między produkcją a konsumcją, między kapitałem a pracą, oraz że konieczne jest opanowanie przez gospodarkę planową anarchii produkcyjnej,

która zrodziła „nędzę pośród bogactw“. Być może, iż prezydent i jego sztab gospodarczy niezupełnie jasno zdawali sobie sprawę z dalszych konsekwencji swoich działań, być może, iż nie byli pewni czy w ostatecznym wyniku zastąpiłyby one kapitalizm przez ustrój nowy, odrębny, lub też przypuszczali, że przedsięwzięją jedynie „gruntowny remont“ ustroju dawnego. Prawdopodobnie traktowali to zagadnienie jako *cura posterior*, a tymczasem podjęli posunięcie śmiało i daleko sięgające, dlatego, że w danej sytuacji były nieodzowne i że je wskazywała natura rzeczy. Niemniej posunięcia te ułożyły się w pewien charakterystyczny system wyraźnie zmierzający do realizacji przytoczonych wyżej postulatów zasadniczej przebudowy społecznej. Szkicowy zarys nowego ustroju zaczyna kiełkować na gruncie rozkładu kapitalizmu, jako reakcja jedynie zdolna rozkład ten opłówać i gospodarstwo uzdrowić.

Nie mogę tu opisywać bliżej tego systemu, który raz już w naszym miesięczniku referowałem.¹⁾ Przypomnę więc tylko, że prezydent przede wszystkim powołał do życia centralną władzę państwową planowania i dyspozycji gospodarczej tzw. N. R. A. dla przemysłu i A. A. A. dla rolnictwa. Za ich pośrednictwem, oraz za pomocą słynnych „kodeksów pracy“, pracował Roosevelt nad planowym przystosowaniem produkcji, szczególnie rolnej, do istniejących możliwości zbytu, a z drugiej strony nad rozszerzeniem zdolności spożywczej rynku, przez redukcję bezrobocia i poprawę bytu klasy robotniczej. Bardzo znamienita jest walka z potęgą finansjery i dążność do podporządkowania jej dyspozycji państwa, dalej celowa i konsekwentna organizacja korporacji zawodowych pracodawców i pracobiorców, z którymi następnie N. R. A. zawierała „kodeksy pracy“. Wreszcie szczególny rozmach nadała całej akcji Roosevelta tzw. inflacja kredytowa, oraz dewaluacja dolara i odłożenie waluty. Te zabiegi należą do kategorii środków kapitałowo-pięniężnych, za pomocą których państwowa gospodarka planowa wpływać może decydująco na ustalenie równowagi między produkcją a konsumcją, w związku z re-

¹⁾ Patrz *Przegląd Powszechny*, luty 1937 „Forpocztą nowego ustroju“.

gulangą podaży i popytu, stanów zatrudnienia, poziomu cen, zarobków, czasu pracy i kosztów produkcji.

Dlaczego kryzys wraca?

Gdyby prezydentowi Rooseveltowi było dane system ten wprowadzić w czyn konsekwentnie aż do końca, to nie tylko zapewniłby on gospodarstwu amerykańskiemu trwałą prosperitę oraz równowagę funkcji, ale przeobraziłby przy tym bardzo gruntownie jego urządzenia i samą ich zasadę. Nie ulega wątpliwości, że tak dogłębnie „zremontowany” kapitalizm amerykański przestałby w ogóle być kapitalizmem, lecz stałby się formacją ustrojową odeń odrębną i zgoła nową. Co jednak najdrażliwsze, to że nieodłączny od takiej przebudowy „nowy podział” dochodu społecznego zmieniłby dotychczasowy w tym zakresie stan rzeczy bardzo wybitnie na korzyść pracy i konsumpcji, a na niekorzyść kapitału i produkcji.

Dlatego właśnie prezydentowi Rooseveltowi nie pozwolono rozwinąć wdrożonej przebudowy. Burżuazja amerykańska, nie tylko wielka, lecz także średnia i zupełnie drobna nazbyt jest przywiązana do „robienia pieniędzy” jako najwyższego celu życia ludzkiego na ziemi, ażeby łatwo się mogła wyrzec ustroju, który tej właśnie dążności przede wszystkim służy. Gdy ustrój ten załamał się i przestał działać, wtedy powołano Roosevelta do władzy i poddano się wszelkim jego zarządzeniom byle tylko rozerwał śmiertelny zastój. Ale gdy to już nastąpiło, wówczas szybko wzniesiono przeciwko przebudowie społecznej skuteczne barykady prawne. Wyrokami najwyższego trybunału konstytucyjnego obalono urządzenia i zawieszono w wykonaniu cały system reformistyczny Roosevelta. Wszak „kryzys minął”, prosperitę powróciła, co prawda w skromnym wydaniu, ale bądź co bądź znów można było żyć, tj. robić interesy. Ameryka chętnie by z pewnością widziała falę koniunktury wyższej, ale i taką jaką nastąpiła wołała się zadowolnić niżli szukać guza na nieznanych drogach pod przewodem odważnego reformatora.

Rooseveltowi pozwolono więc opanować pierwszy wielki kryzys tylko doraźnie i bardzo powierzchownie.

Do żadnych zasadniczych przeobrażeń nie dopuszczono. Kapitalizm w Stanach jako ustrój panujący utrzymano nadal, wraz z tymi jego zasadniczymi właściwościami o których była mowa wyżej, a które dalszy jego trwały rozwój i pomyślność wyłączają. Takie powierzchowne opanowanie pierwszego kryzysu mogło być tylko przejściowe, a następna jego fala w bliskiej przyszłości nieunikniona. Nadejść ona musiała także i z tego powodu, że osiągnięcia Roosevelta w walce z poprzednim kryzysem odegrały rolę owocną jako bodziec przełamujący zastój, ale bardziej stanowczo od nich przywróciły ruch interesów dwie „okoliczności sprzyjające” zgoła nie planowe i od rządów kapitalistycznych niezależne. Są to: 1^o „błogosławieństwo nieurodzaju”, które usunęło ogromne „stoki” pszenicy pozostałe z lat urodzajnych, a spychające poziom cen rolnych poniżej opłacalności, oraz 2^o międzynarodowy wyścig zbrojeń, który wzmógł produkcję ciężko-przemysłową i zapotrzebowanie na surowce. Otóż oba te czynniki dobrej koniunktury światowej ostatnich dwu lat, obecnie odmawiają posłuszeństwa. Nad rolnictwem tak w Ameryce jak i na rynku światowym zawisła ponownie „klęska urodzaju” a więc i spadek cen rolnych. Przemysłowi zaś amerykańskiemu wyścig zbrojeń, jako bodziec produkcji, wystarczył na pewien czas, lecz obecnie wystarczać już przestaje; tym bardziej przy ponownym spadku siły nabywczej rolnictwa, która równocześnie ogranicza zbyt dla wytworów przemysłu lżejszego.

Takie są przyczyny, że „kryzys wraca”. Nie świadczy to o „bankructwie rooseveltyzmu” w walce z kryzysem pierwszym, lecz o bankructwie kapitalizmu, który Roosevelta zatrzymał w jego reformatorskich dążeniach, nie dopuszczając do uniezależnienia gospodarstwa od „okoliczności sprzyjających”. Za to się owe „okoliczności” na kapitalizmie teraz mszczą — kryzysem nr 2. Kto twierdzi przeciwnie, ten świadomie lub nieświadomie „obraca kota ogonem” gwoili pro-kapitalistycznej demagogii.

W Ameryce kryzys nr 2 poczyną zresztą wywierać dostateczne wrażenie, ażeby społeczeństwo znów się zwróciło po ratunek do swego prezydenta. W chwili gdy piszę nadchodzą wieści o wznowionej przezeń walce z kryzysem

za pomocą tych samych co poprzednio, choć ze względu na postawę społeczeństwa, nieco uproszczonych i skromniejszych na razie metod. Inflacja kredytowa na roboty publiczne podniesie stan zatrudnienia a więc i konsumpcję, ciężary z nią związane działać będą dekapitalizacyjnie; zapowiedziany zaś ustawowy skrót czasu pracy ma wywrzeć wpływ prokonsumcyjny i dekapitalizujący na produkcję przemysłową.

Czy tym razem otrzyma Roosevelt większą swobodę ruchów i będzie mógł dalej się posunąć w przebudowie ustroju, której się zresztą nigdy nie wyrzekał, nawet w okresie „dobrej koniunktury“, gdy musiał zająć postawę wyczekującą? Zdaje się, że to będzie znów zależało głównie od „okoliczności sprzyjających“. Jeżeli się one ponownie nawiną, choćby w odmiennej postaci (np. jakiegoś międzynarodowego paktu ekonomiczno - politycznego w rodzaju Dawesa lub Younga), to i przebudowa ustroju w Stanach ponownie utknie, dopóki się nie wyczerpie nowa koniunktura. Po czym wystąpi z kolei na widownię kryzys nr 3. Takim trybem zmiennych załamań i podźwignięć mógłby kapitalizm pociągnąć jeszcze kilka dobrych lat, gdyby nie to, że o „okoliczności sprzyjające“ będzie coraz trudniej. „Numerowane kryzysy“ nie są już bowiem przesileniami funkcjonalnymi dawnego „cyklicznego“ typu. Pochodzą z głębokiego strukturalnego zwyrodnienia, które będzie się jawiło we znaki coraz przeciąglej, ostrzej i niebezpieczniej.

Korporacjonizm europejski.

„Rooseveltyzm“ jako próba przebudowy społecznej w Ameryce „zawiódł“, ponieważ mu się rozwinąć nie pozwolono. Oddał więc tylko usługi z natury swej przejściowe. W Europie kryzys pokrewnego, wewnątrzno-ustrojowego typu, przechodzi Francja. Tam dążył do przebudowy społecznej Blum. Osiągnął wyniki raczej ujemne, po części dlatego, że swe poczynania wdrożył w atmosferze walki klas, która je bardzo utrudnia, głównie zaś dlatego, że nie wiedział jaką pójść drogą w doniosłej dziedzinie kapitałowo-pieniężnej. Roosevelt miał w tym względzie więcej inicja-

tywy, śmiałości zamierzeń i swobody ruchów, lepsze też osiągnął rezultaty.

Z drugiej jednak strony w Europie wcześniej niż w Ameryce powstał bardziej uświadomiony i teoretycznie skryształizowany prąd przebudowy społecznej, która by likwidowała kapitalizm nie na rzecz marksistowskiego państwowego kolektywizmu, lecz drogą samoistną, częściowo nawiązującą do przedkapitalistycznych tradycji ustrojowych. Stąd zrodziły się plany reform w duchu katolickim lub nacjonalistycznym, którym nadano nazwę korporacjonizmu.

Jest to doktryna bardzo pokrewna, nawet identyczna w swej materialnej podstawie z tymi zarysami „nowego ładu”, które się wyłoniły w Ameryce w akcji Roosevelta. Na gruncie amerykańskim system ten nie został wprowadzony w czyn i nie otrzymał nazwy. W Europie wprowadzono go formalnie w niektórych państwach a nazwę wzięto od zrzeszeń zawodowych, które stanowią jego najwidoczniejszą cechę organizacyjną. Dwuklasowej, burżuazyjno-proletariackiej budowie społecznej kapitalizmu, oraz nieodłącznej odeń walce klas, przeciwstawia korporacjonizm budowę stanowo-zawodową, opartą na współdziałaniu zorganizowanych grup wytwórczych w gospodarce planowej kierowanej przez państwo, a także na współdziałaniu w obrębie każdej z tych grup zarówno składających ją przedsiębiorstw, jak kapitału i pracy.

Można by powiedzieć że korporacjonizm jest formą dla której treść przygotowywał Roosevelt. W Europie prześcignięto go o tyle, że proklamowano korporacjonizm *de jure* we Włoszech, Portugalii, Austrii i częściowo w Niemczech. *De facto* jednak, podobnie jak w Stanach, nie dokonano jednak stanowczego przełomu, który by zrywał z kapitalizmem. Roosevelt zabierał się do przebudowy społecznej stosunkowo dogłębnie, lecz jej nie przeprowadził skutkiem oporu społeczeństwa. W Europie zaś wprowadzono nowe formy dla innych niż w Ameryce przyczyn, nie wypełniono ich jednak nową treścią. Słusznie w każdym razie dotychczasowy korporacjonizm europejski otrzymał krytyczny przydomek „fasadowego”. Choć bowiem przyjął odmienną od kapitalistycznej, solidarystyczną myśl przewodnią i nową organizację, jednak nie

zdołał jej wcielić w życie. W szczególności nie zdołał w dostatecznym stopniu zrównoważyć produkcji z konsumpcją, pomimo teoretycznego zrównania praw kapitału i pracy, oraz częściowo urzeczywistnionej gospodarki planowej. Czemu się tak stało?

Dwie są główne przyczyny tej dotąd zbyt małej skuteczności społecznej europejskiego korporacjonizmu. Pierwsza, pod względem ustrojowym najistotniejsza, to nieznanomość techniki przełomu w dziedzinie kapitałowo-pieniężnej.¹⁾ Roosevelt ma więcej odwagi ponieważ stoi na czele społeczeństwa cierpiącego w sposób oczywisty od nadmiaru dóbr i kapitału. W Europie panują na tym punkcie nastroje lękliwe, pochodzące od panicznych wspomnień powojennej destrukcji inflacyjnej. Ta trudność, jak wspominałem, daje się we znaki nie tylko państwom korporacyjnym, lecz jeszcze bardziej Francji, gdzie konieczność rzeczywistej przebudowy ustroju jest bardziej nagląca niż w państwach, które już przeszły na korporacjonizm. Nieznajomość dróg wielkiej reformy finansowo-monetarnej, jaką by należało rozwinąć z punktu wyjścia dotychczasowych „manipulacyj walutowych“, oraz rozbratu z walutą złotą, jest główną wewnętrzną przeszkodą, dzięki której nie było dotąd sposobu oderwać się stanowczo od kapitalizmu, niezależnie od tego czy się korporacjonizm proklamowało lub nie. Tu bowiem leży materialna dźwignia przełomu.

W Austrii a zwłaszcza w mocarstwach faszystowskich działa ponadto jeszcze przyczyna inna, dzięki której zagadnienie zmiany ustroju kapitalistycznego na korporacyjny schodzi raczej na drugi plan. O Austrii można mówić tylko w czasie przeszłym ponieważ zlikwidowały ją Niemcy.

¹⁾ Dziedzina ta jest materialnie kluczową dla likwidacji kapitalistycznego produkcjonizmu na rzecz korporacyjnego repartycjonizmu. W pracy niniejszej zaznaczam tylko istnienie i wagę problemu pieniężno-obrotowego, gdyż omawiałem go wielokrotnie. W szczególności patrz: *Przegląd Powszechny* czerwiec, lipiec i wrzesień 1936 r. artykuły: „Inflacja i deflacja“, „W ślepych zaułkach gospodarki“ i „Na podbój koniunktury“, oraz czerwiec 1938 r. „Złoto, pieniądz i ustrój“ o książkach Zdziechowskiego i Młynarskiego w tejże kwestii. Także w *poznańskiej Kultury* 1938 r. numery 15, 17 i 19 „Reakcja kapitalizmu“, „Technika sprawiedliwości“ i „Dostępny do korporacjonizmu“.

Austria była przeindustrializowana, a co najważniejsza prze-ludniona, niezdolna więc do względnie choćby samoistnego bytu ekonomicznego. Nawet gdyby rozszerzyła zdolność spożywczą swego rynku przez rzeczywistą repartycjonistyczną przebudowę społeczną, to może jeszcze bardziej by zaakcentowało jej niesamowystarczalność w zakresie surowców, a zwłaszcza żywności.

To samo, w odpowiednio powiększonej skali, powiedzieć należy o Włoszech i Niemczech. Tragiczny węzeł ich narodowego bytu nie leży w ich budowie społecznej, w przeroście produkcji i kapitalizacji nad siłą nabywczą szerokiego ogółu pracowników. Węzeł ten mieści się poza obrębem ich terytoriów zbyt ciasnych i zbyt ubogich na to, ażeby utrzymać ich ludność, niezależnie od ustroju. Niemcy i Włochy rozwijać się a nawet egzystować mogą tylko o tyle, o ile posiadają nowe nieprzeludnione i niewyzyskane w zakresie surowców ziemie. Stąd ustrój ich uległ już gruntownej przebudowie, ale nie tyle w zakresie społeczno-gospodarczym ale politycznym, co z kolei dopiero oddziaływało także na ich życie gospodarcze. Swoje w tej dziedzinie poważne, choć niewystarczające osiągnięcia zawdzięczają mocarstwa faszystowskie przede wszystkim energii i bezwzględności swoich totalistycznych dyktatur. Nie zerwały one z kapitalizmem zasadniczo, nie tylko z powodu braku odpowiedniej koncepcji reformistycznej kapitałowo-pieniężnej, lecz także dlatego, że to nie byłoby dla nich doraźnie celowe. Włochy a zwłaszcza Niemcy rozporządzają dobrze rozwiniętym aparatem produkcji i znaczną siłą kapitałotwórczą, które jednak bynajmniej nie przerastają ich narodowych potrzeb i nie zagrażają „klęską nadmiaru“.

Najważniejszą przeto i najskuteczniejszą zmianą ustrojową jaką te mocarstwa przeprowadziły u siebie w odniesieniu do kapitalizmu jest centralizacja dyspozycji kapitałowej w rękę państwa oraz gospodarka planowa, zastosowana w takim zakresie, jaki jest możliwy bez zasadniczej reformy obrotu pieniężnego. Ponieważ ich gospodarstwa narodowe były względnie zasobne, przeto zarówno Mussolini, jak Hitler planową i autorytatywną gospodarką zdziałali więcej niżby to było dostępne dla klasycznego, libero-kapitalizmu

zachodniego w warunkach środkowo-europejskiej niesamowystarczalności. Solidarystyczna zasada i korporacyjna forma ustrojowa były przy tym pomocne, ale nie odegrały roli decydującej.

Strukturalny kryzys kapitalizmu istnieje również w Niemczech i Włoszech, lecz jego ostrze zwraca się nie tyle przeciwko jednostronnie produkcyjnej budowie wewnętrznej, ile przeciwko niemniej dysharmonijnej międzynarodowej budowie wielko-kapitalistycznej gospodarki światowej. Jest to niezmiernie doniosła strona współczesnego przełomu, o którym wszakże tylko kilka słów powiedzieć tu mogę, głównie pod kątem jej związku z kwestią ustrojowo-wewnętrzną. Kapitalizm doprowadził do wyrodnienia nie tylko wewnętrzne rynki mocarstw zachodnich, gdzie wytworzył przerost zdolności wytwórczej nad spożywczą. Ten sam przerost zaciążył także i na rynku międzynarodowym wywołując jego katastrofalną ciasnotę ujawnioną w pierwszym wielkim kryzysie przez spadek obrotów handlowych do $\frac{1}{3}$. Walka z tym pierwszym kryzysem w Niemniejszej niż na wewnątrz mierze zwracała się także ku gospodarce światowej, zwłaszcza przez „manipulację” kursem walut oraz kontrolę obrotów i wypłat.

Dezorganizacja wszakże rynku światowego powstała nie tylko dlatego, że kapitalizm nie był zdolny należycie rozwinąć siły nabywczej rynków wewnętrznych. Niemniej przyczynił się do tego (równoległy do wadliwego podziału dochodu społecznego między burżuazją a proletariatem) nierównomierny podział między państwami terytoriów, surowców i złota. Dzięki nadmiernemu bogactwu mocarstw zachodnich, w zakresie tych dóbr, a nieproporcjonalnemu upośledzeniu państw innych, zdolność spożywcza rynku międzynarodowego pozostała daleko w tyle poza zdolnością wytwórczą. Państwa bowiem ubogie nie mają za co nabywać od państw bogatych nie tylko wyroby ich przemysłu, ale nawet surowce i żywność. Nie można na to pomóc nawet kredytem. Kredyt międzynarodowy został „zamrożony” jeszcze dokładniej niż handel towarowy, gdyż zwrot pożyczek mógłby się odbywać ze strony państw ubogich tylko w wytworzonym za te pożyczki towarze. To znaczy,

że po przejściowym, koniunkturalnym ożywieniu na skutek jakiegoś nowego „paktu Younga“ czy van Zeelanda, zachodni wierzytiele stanęliby w obliczu zwiększonej u siebie „klęski nadmiaru“, bo musieliby przyjmować wzmożony import dłużniczy. I od tej więc strony wynurza się konieczność regulowania produkcji i przystosowania jej do potrzeb spożycia. Tego zaś wolna gospodarka kapitalistyczna dokonać nie może.

Drogi polskie.

Z powyższego stanu rzeczy tak na widowni światowej jak w poszczególnych państwach wynika jasno, że nie ma mowy ani o „bankructwie rooseveltyzmu“ ani o ujawnionej jakoby zawodności korporacjonizmu, ani o rzekomym tryumfie „wypróbowanych zasad“ gospodarki kapitalistycznej. Wręcz przeciwnie wystawione są one na coraz cięższe próby, Zachód zaś wpada z kryzysu w kryzys dlatego, że kapitalizmu broni. Broni go o tyle tylko skutecznie, że nie dopuścił dotąd do rooseveltowskiego „nowego podziału“. Konieczność przebudowy społecznej, w dostępnej i celowej dla nich mierze, uwzględniły w Europie mocarstwa faszystowsko-korporacyjne. Gdzie indziej, jak we Francji i Portugalii przebudowa kapitalizmu napotyka na trudności techniczne, dotąd nie opanowane, lecz najzupełniej do opanowania możliwe. Światowa rzeczywistość wykazuje przede wszystkim przełomowy stan walki między porządkiem starym, który się przeżył i stał szkodliwym, a porządkiem nowym, który już otworzył ofensywę reformistyczną, ale jej jeszcze należycie nie rozwinął.

W szczególnym wobec tego położeniu znalazł się Wschód europejski. I on przechodzi ciężki kryzys, który wszakże nie polega ani na przekwicie kapitalizmu i klęsce nadmiaru, ani na przeludnieniu i braku surowców, lecz po prostu na niedorozwoju gospodarczym, na słabości aparatu wytwórczego i ubóstwie kapitału. Wobec toczącej się na świecie walki zasad ustrojowych, zarówno jak wobec walki mocarstw o ziemię i surowce zajęła stanowisko czynne jedynie Rosja. Jest to stanowisko klasowo-antykapitalistyczne i rewolucyjno-imperialistyczne. Dokąd ją ono zaprowadzi to

się dopiero okaże, ale rzeczywistość nie szczędzi Moskwie złowróżnych objawów klęski, na razie przede wszystkim wewnętrznej i społecznej.

Natomiast europejski wschód środkowy, z Polską na czele, trzyma się dotąd biernie, na uboczu od światowych zapasów, nie tylko międzynarodowych, lecz także ustrojowych. Pytanie za kim się opowiedzieć, jakim systemem dźwigać zacofane gospodarstwo narodowe i struktury społecznej, słabo dotąd przenika do świadomości ogółu. Zapewne dlatego w państwowej polityce gospodarczej przeważa zasada zachowawcza, prokapitalistyczna.

Zagadnienie ustrojowe jest w Polsce istotnie może trudniejsze niż gdziekolwiek, ponieważ nie mamy do czynienia z przekwitem kapitalizmu, lecz musimy myśleć o tym, jaką drogą się wydostać z katastrofalnego, podkapitalistycznego prymitywu. Jak już nieraz stwierdziłem, wyjście z takiej sytuacji za pomocą „dopędzania” Zachodu w jego kapitalistycznym rozwoju jest możliwe tylko w wypadku systematycznej i bardzo wydatnej z jego strony pomocy. Pomoc znów taka w dostatecznym rozmiarze da się pomyśleć tylko w razie trwałego odrodzenia światowej gospodarki kapitalistycznej, co zasadniczo jest niemożliwe, choć może być jeszcze przedmiotem usiłowań i prób.

Sporną zatem nie wydaje się z polskiego stanowiska sprawa czy mamy nasz rozwój społeczno-gospodarczy skierować na tor kapitalizmu lub ustroju nowego, który się zeń wyłania. To drugie wyjście pozostaje jedynie przed nami otworem w szerszej perspektywie. Ono też mogłoby nam zapewnić podźwignięcie się z nędzy do potęgi o własnych siłach i w szybkim tempie, które już nieraz wydawało się nieodzowne wobec alarmujących niebezpieczeństw międzynarodowych. To drugie wyjście ma wszakże to do siebie, że wymagałoby z naszej strony śmiałej inicjatywy, która by nas w światowej walce zasad ustrojowych postawiła nie tylko wyraźnie po stronie reformistycznej, lecz zmusiła do przodownictwa. Wypadłoby wejść na drogę przełomu techniczno-finansowego wcześniej nim go wypróbowały Stany Zjednoczone i nim się nań odważy Francja. Tu właśnie nasuwa się kwestia sporna, czy to jest możliwe

wobec niskiego stanu naszego uświadomienia w problematyce ustrojowej w ogóle a kapitałowo-pieniężnej w szczególności?

Na takim tle konserwatyzm kapitalistyczny naszej polityki gospodarczej może mieć swoje zalety, zwłaszcza wobec tego, że światowa walka zasad ustrojowych toczy się jeszcze z powodzeniem, że przeto nie są wyłączone obok nawrotów kryzysu, także fale kapitalistycznej reakcji, oraz sztucznej dobrej koniunktury. Wyzyskując je szczęśliwie i umiejętnie dałoby się przypuszczalnie zapewnić Polsce pewien zysk na czasie, oraz wygodę pierwszych podciągnięć w zakresie poprawy gospodarczej na drogach znanych, nie zaś nowatorskich.

W tym kierunku zdążamy 'w rzeczywistości. Okazać się on może na pewien dystans trafny, jeżeli utrafi w jedną jeszcze falę kapitalistycznej koniunktury i wyzyska ją. Z kierunkiem tym łączy się jednak tzw. „niebezpieczeństwo poprawy gospodarczej“. Polega ono na tym, ażeby opinia nasza nie zachwyciła się doraźnymi postępami tak dalece, by przyszłość kraju w szerszej perspektywie opierać na kapitalizmie. To bowiem włączyłoby Polskę do obozu ustrojowego, którego katastrofa jest tylko kwestią niezbyt długiego czasu. Katastrofy zaś ustrojowe pokrywają się nieraz z państwowymi, szczególnie jeśli chodzi o państwa mniejsze i niebezpiecznie położone.

Dlatego nawet w tym wypadku gdyby przełom ustrojowy w Polsce utracił charakter konieczności nagłej i jedyne go nagłego ratunku, jakim się już nieraz wydawał, nie trzeba zapominać, że pozostanie koniecznością oddaloną najwyżej o kilka czy w najlepszym razie kilkanaście lat. Należy więc jego perspektywy dyskutować i popularyzować. Poświęć im artykuł następny.

St. Szczufowski.

Contardo Ferrini — nowoczesny święty.

W r. 1902 umarł w sile wieku profesor prawa rzymskiego na Uniwersytecie w Pawii, Contardo Ferrini. Postać jego zaciekawia nie tyle dla wielkich zasług naukowych, które postawiły jego nazwisko obok największych luminarzy wiedzy w dziedzinie studiów nad prawem rzymskim. Jeszcze więcej zaciekawia nas blask niezwykłych cnót u tego genialnego uczzonego, które już za życia otoczyły go nimbem czci, a po śmierci ujawniły się w całej pełni, budząc szczególnie wśród sfer inteligencji katolickiej gorące pragnienie, by ujrzeć świątobliwego profesora wyniesionym na ołtarze Kościoła katolickiego. Przypatrzmy się jego życiu.

Contardo Ferrini pochodził z Włoch północnych. Ojciec jego Rinaldo Ferrini pełnił obowiązki profesora w Wyższym Instytucie Technicznym w Mediolanie, a zarazem rozwijał wcale wybitną działalność naukową w zakresie fizyki. Odznaczał się on szczerą i głęboką religijnością i w tym kierunku wywarł słowem i przykładem silny wpływ na charakter swych dzieci, zwłaszcza najstarszego Contarda. Matka Ludwika z domu Buccelati była kobietą ząną, wzorową żoną i matką, ale jako indywidualność nie wykraczała wiele ponad przeciętną miarę. Państwo Rinaldostwo Ferrini zawarli związek małżeński dnia 4 kwietnia 1858 r., a równo w pierwszą rocznicę ślubu urodził się im najstarszy syn Contardo. Dziecko, odznaczające się żywym temperamentem, rosło zdrowo. Rodzice dbając o rozwój fizyczny swego potomstwa, nabyli w półtora roku po narodzeniu najstarszego syna niewielką willę w uroczej miejscowości Suna nad Lago

Maggiore. Tam co roku wyjeżdżali państwo Ferrini na letnie wywczasy. Rodzina powiększała się stopniowo; przybył jeszcze jeden syn Giannino oraz dwie córki Antonina i Eugenia. W domu panowała atmosfera ciepła i serdeczna, ojciec trzymał jednak dzieci krótko i nie pozwalał na zbytne swawole.

Mały Contardo był dzieckiem grzecznym, pobożnym i pilnym, ale aż do dwunastego roku życia nie wyróżniał się wybitnie, dopiero pierwsza Komunia św., którą przyjął będąc w trzeciej klasie gimnazjalnej, dokonała stanowczego zwrotu w jego psychice. Odtąd uwydatnia się u niego znaczne pogłębienie religijności i to zdecydowane nastawienie psychiczne ku pobożności utrzymało się u niego przez całe życie. Pod wpływem tej głębokiej pobożności zaczął się w młodzieńcu kształtować silny charakter, który wytrzymał zwycięsko ciężkie próby, na jakie młodzieniec był narażony w czasie studiów uniwersyteckich.

Ukończywszy chlubnie gimnazjum i liceum w Mediolanie, młody Contardo zapisał się w r. 1876 na uniwersytet w Pawii, gdzie wuj jego, ks. Antoni Buccelati był profesorem prawa karnego. Przez cały czas studiów akademickich Ferrini mieszkał w Kolegium Boromejskim. Ten internat przeznaczony dla słuchaczy uniwersytetu był instytucją wprawdzie katolicką, lecz jego pensjonariuszom udzielał się w szerokiej mierze duch obojętności religijnej oraz liberalizmu dogmatycznego i obyczajowego, który panował wówczas wszechwładnie na uniwersytetach włoskich. To też młody Contardo przez swoją niezwykłą pobożność i czystość obyczajów odbijał wyraźnie od reszty swych towarzyszy. Spostrzegli oni np., że Contardo w czasie kwadransowych przerw między wykładami znikał spośród grona bawiących się towarzyszy, by zjawić się z powrotem z chwilą rozpoczęcia się wykładu. Zaczęto go śledzić i stwierdzono, że wymykał się cichaczem do pobliskiego kościółka, gdzie klęcząc, zatapiał się w żarliwej modlitwie. Konwiktorzy Kolegium Boromejskiego mogli też zauważyć, jak Ferrini codziennie raniutko wybiegał do jednego z kościołów Pawii. W niedzielę i święta obserwowali w własnej kaplicy jego modlitewną żarliwość, graniczącą z mistyczną ekstazą. Te

i inne objawy głębokiej pobożności Contarda budowały jednych, innych (a tych było więcej) kłuły w oczy. Ci ostatni nie mogli zrozumieć postępowania swego kolegi; obcymi im były mistyczne wzloty w nadziemską krainę ideałów, dziwaczną i przesadną wydawała się niezwykle subtelna wrażliwość świątobliwego młodzieńca na wszelkie zewnętrzne przejawy zmysłowości, czy to w formie plastycznych wyobrażeń, czy to w postaci swobodnych żartów, śpiewów itp. To też padał on dość często ofiarą przeróżnych figlów i złośliwych a płaskich żartów. Raz po przybyciu Ferriniego do Kolegium powieszono mu w jego pokoju dwie ryciny, jedną pornograficznej treści z napisem: „Twój początek“, a drugą przedstawiającą szkielet ludzki z napisem: „Twój koniec“. Gdy Ferrini miał wejść do pokoju, towarzysze jego skupili się koło drzwi z drwiącymi minami, zaciekawieni, jak też zareaguje on na powyższy płaski dowcip. Młodzieniec jednak nie wybuchnął gniewem, lecz rzekł do swych towarzyszków: „Mogliście zrobić z moim pokojem i moją osobą co wam się żywnie podobało, wszystko jestem gotów znieść; przykro mi jednak, że przez te żarty obraziście Boga“. Innym razem jeden z kolegów podsunął mu na złość przed oczy nieprzyzwoitą fotografię. Contardo odsunął ją na bok, następnie przez chwilę pozostał w nieruchomej pozycji, a potem zwrócił się do tego kolegi z łagodnym upomnieniem. Szczególnie dokuczano Ferriniemu podczas zimowych rekreacji. W Kolegium Boromejskim nie opalano w zimie wszystkich izb, paliło się tylko w paru większych salach, przeznaczonych na naukę lub rozrywkę. Contardo dość rzadko pojawiał się w sali rekreacyjnej; łatwo można go było stamtąd wypłoszyć swawolną piosenką czy dwuznacznymi dowcipami. Częściej za to przebywał w sali do nauki. Ale i tutaj żartownisie odnaleźli go po pewnym czasie i zaczęli stosować do niego wypróbowane metody, zmuszając biednego młodzieńca do opuszczenia sali. Najprzykrzejszą katuszą moralną okazała się dla Ferriniego jazda koleją. Wyjeżdżał on do domu tylko na ferie akademickie. Pociąg bywał wtedy przepełniony studentami. Jak tylko zauważono Ferriniego w wagonie, zaraz zaczynano naumyślnie śpiewać sprośne piosenki. Biedny Contardo nie

miał gdzie się schronić, siedział więc milcząco, udając, że czyta książkę, a tylko bolesny skurcz delikatnych mięśni twarzy świadczył o jego wewnętrznym cierpieniu. I tak było przez cały czas drogi do Mediolanu.

Ta niezwykła cierpliwość, z jaką Contardo znosił przykrości osobiste, odsłania nam charakterystyczny rys jego charakteru i usposobienia, tj. ogromną łagodność i słodycz serca. Powyższe właściwości jego psychiki nadawały również ton i kierunek jego zewnętrznej działalności apostolskiej i to zarówno w czasie studiów uniwersyteckich, jak i w późniejszym życiu. Przeważa u niego raczej apostołstwo dobrego przykładu i wzorowego życia. Nie posiadał natomiast temperamentu bojowca i polemisty, nie nadawał się na działacza społecznego, a tym mniej na agitatora politycznego. Dlatego Contardo unikał polemik religijnych, choć zaczepiony potrafił bronić swych przekonań z ogniem, jakiego by się nikt nie spodziewał po jego łagodnym usposobieniu. Nie rozwijał prozelityzmu religijnego na większą skalę, ograniczył się raczej do indywidualnego oddziaływania na poszczególnych kolegów, wyzyskując nadarzające się do tego sposobności. Niekiedy starał się zaprowadzić towarzyszy do kościoła, to znowu rzucał myśli nacechowane duchem pobożności. Próbował też skupić koło siebie młodzieńców zbliżonych przekonań, a choć mu się to nigdy na większą skalę nie udało, to jednak przygotował grunt pod powstanie (w r. 1884) Kółka Katolickiego wśród młodzieży akademickiej w Pawii.

Studia prawnicze Contarda miały przebieg normalny; ukończył je w ciągu czterech lat z chlubnym wynikiem. Już na uniwersytecie zaznaczyło się u niego zamiłowanie do studiów historyczno-prawnych, którym miał później pozostać wiernym przez całe życie. Jeszcze na pierwszym roku napisał pracę pt. *Badania nad zdolnością prawną u Żydów*,¹⁾ a teza doktorska rozprawiała o korzyściach, które historia prawa karnego może wyciągnąć ze studiów nad poematami Homera i Hezjoda.²⁾ Ukończywszy uniwersytet, postanowił

¹⁾ Publikowana dopiero po śmierci Ferriniego.

²⁾ Ukazała się drukiem w r. 1881.

poświęcić się pracy naukowej nad prawem rzymskim. Studia romanistyczne stały wtedy najwyżej w Niemczech. Ferrini, uzyskawszy stypendium rządowe, udaje się w grudniu 1880 r. do Berlina, gdzie przebywał przeszło półtora roku. Czas ten zużytkował na bardzo intensywne studia, szczególnie pod kierunkiem profesorów Alfreda Pernice, Maurycego Voigta i Teodora Mommsena. Serdeczne stosunki przyjaźni nawiązał ze starym Karolem Zachariaszem von Lingental, najwybitniejszym znawcą w zakresie prawa bizantyjsko-rzymskiego, przyszłej specjalności Ferriniego.

Pobyt w dużym mieście zawsze pełen niebezpieczeństw dla młodego, niedoświadczonego człowieka, nie przyniósł żadnej szkody duchowemu życiu Contarda, przeciwnie utwierdził go jeszcze silniej na drodze doskonałości, po której już śmiałym krokiem podążał. Ferrini urządził sobie życie w Berlinie umiejętnie w sposób odpowiadający jego potrzebom fizycznym i duchowym. Zamieszkał w zakładzie S. S. Urszulanek, gdzie miał odpowiednie środowisko i kościółek na miejscu. Zaznajomił się ze studentami katolickimi, wszedł do katolickiej organizacji młodzieży uniwersyteckiej i Konferencji św. Wincentego à Paulo. Widok żarliwości religijnej katolików niemieckich, którzy przeszli ciężką próbę *Kulturkampf*, oddziaływał budująco na włoskiego przybysza. Kontakt z światem protestanckim rozszerzył horyzont jego myśli i pogłębił w nim świadomość żywotnych walorów katolicyzmu. Wrócił do kraju dojrzały i bardziej wyrobiony.

W Berlinie napisał pracę o prawie grobowców u Rzymian, publikowaną w r. 1884, następnie z inicjatywy profesora Pernice podjął się krytycznego wydania wraz z tłumaczeniem na język łaciński „Parafrazy greckiej Instytucji Justyniana“, dzieła przypisywanego Teofilowi, jednemu z autorów słynnego *Corpus iuris*. Praca nad tym wydawnictwem kosztowała go dużo trudu, musiał bowiem osobiście zbadać rozliczne rękopisy Teofila, rozrzucone po różnych bibliotekach europejskich. Druk „Teofila“ rozpoczął w r. 1884, lecz dla nieznanych nam bliżej przeszkód ukończył go dopiero w r. 1897. Dzięki powyższym pracom naukowym młody, bo dopiero 24 lat liczący Ferrini habilituje się w Pawii

w październiku 1883, a dwa lata później uzyskuje na tymże uniwersytecie katedrę egzegezy źródeł prawa rzymskiego, specjalnie dla niego ufundowaną; później dodano mu jeszcze prawo karne rzymskie. Dwa lata tylko działał na tej katedrze, bo już na wiosnę 1887 r. rząd włoski mianował go zwyczajnym profesorem prawa rzymskiego na świeżo zreorganizowanym uniwersytecie w Messynie. Ferrini, choć miał tam korzystne warunki życiowe i naukowe, nie czuł się jednak dobrze na Sycylii, bo tęsknił za oddaloną rodziną i krainą lat dziecińczych. Gdy więc w r. 1889 zawakowała katedra prawa rzymskiego w Bolonii, młody profesor poczynił starania, by ją uzyskać, wysiłki te jednak były bezskuteczne. Ferrini zniósł z pogodą i spokojem ten zawód. Wynagrodziły mu go wkrótce zaszczytne propozycje ze strony uniwersytetów w Parmie i Modenie. Zdecydował się na Modenę i przeniósł się tam w jesieni 1890 r. W Modenie przebywał przez cztery lata, po czym powołany został znowu na uniwersytet w Pawii, gdzie wykładał następnie aż do końca życia. Nie mieszkał jednak stale w tym mieście, przebywał przeważnie w Mediolanie razem z rodzicami i dojeżdżał do pobliskiej Pawii dla dopełnienia obowiązków profesorskich.

Przez cały czas od ukończenia studiów aż do przedwczesnego zgonu Ferrini rozwijał niesłychanie intensywną działalność naukową. Poza modlitwą i obowiązkami stanu ta twórcza praca naukowa wypełniała prawie całkowicie program jego zajęć dziennych. Dzięki czerstwemu zdrowiu i silnemu organizmowi swego ciała mógł pracować bardzo intensywnie, wybitne zdolności i doskonała pamięć ułatwiły mu studia badawcze. To też pomimo krótkiego życia zdołał zgromadzić imponujący dorobek naukowy, liczący razem z pracami pośmiertnymi 214 pozycji bibliograficznych. Są to przeważnie mniejsze rozprawy i artykuły analityczne, komunikaty, recenzje, nekrologi itp., poza tym mamy szereg większych dzieł analitycznych i syntetycznych oraz kilka poważnych wydawnictw źródłowych. Studia jego obracały się głównie w zakresie prawa rzymskiego; specjalnością Ferriniego było prawo wschodnio-rzymskie, bizantyjskie, a dużo zainteresowania poświęcał prawu karnemu rzym-

skiemu. Spośród licznych prac monograficznych z zakresu cywilnego prawa rzymskiego wybijają się studium o legatych i fideikomisach (Mediolan 1889). Bardziej ogólny charakter miała „Historia źródeł prawa rzymskiego” (1885); tegoż roku dał Ferrini pierwszą swoją próbę syntezy w dziedzinie prawa rzymskiego, próbę zresztą jeszcze bardzo niedojrzałą. Drugie wydanie „Prawa rzymskiego”, publikowane po kilkunastu latach (Mediolan 1898) przedstawia się już o wiele lepiej, podobnie jak wydany dwa lata później skrócony podręcznik (*Manuale di pandette*), oraz wcześniejsze podręcznikowe studium o Digestach (Mediolan 1893). Również pierwsza próba syntezy, podjęta w r. 1888 przez Ferriniego w zakresie rzymskiego prawa karnego,¹⁾ nie wydała zadowalających rezultatów. Za to drugie opracowanie tego tematu, uskutecznione po dziesięciu latach, było już znacznie lepsze, a trzecie wydane po śmierci autora pt. *Esposizione storica del diritto penale romano* (1905), mogło nawet mierzyć się z pomnikowym dziełem T. Mommsena, dotyczącym tego samego przedmiotu. Największe bodaj zasługi naukowe położył Ferrini przez swoje wnikliwe studia nad prawem wschodnio-rzymskim. Ta gałąź wiedzy była do jego czasów dosyć zaniedbana. Ferrini dał tu przede wszystkim dwa niezwykle cenne studia nad *Institutiones* Justyniana, w których wykazał, że dzieło to uważane dotąd za oryginalne jest również kompilacją, podobnie jak *Digesta*. Ferrini interesował się też wielką kolekcją prawa bizantyjskiego z IX w. zwaną bazylikami od cesarza Bazylego Macedońskiego. Poza drobniejszymi szkicami poświęcił im dwa wydawnictwa. W pierwszym opublikował razem z ks. J. Mercatim nieznaną bazylikę z palimpsestu, znalezionej w Bibliotece Ambrozyjskiej w Mediolanie. Drugie wydawnictwo miało objąć cenny kodeks zwany Tipucito, przechowany w Bibliotece Watykańskiej, a który zawierał sumariusz bazylików. Ferrini opracował część materiału, niestety śmierć nie pozwoliła mu dokończyć dzieła. Tę część rękopisu razem z pewnymi uzupełnieniami wydał dopiero w r. 1914 współ-

¹⁾ Studium wydane w dziele zbiorowym pt. *Completo trattato di diritto penale*.

pracownik zmarłego, wspomniany ks. Mercati. Wreszcie należy wymienić wartościowe wydawnictwo tzw. Księgi syryjsko-rzymskiej. Jest to pochodzący z epoki przedjustyniańskiej pomnik jurysprudence rzymskiej, zastosowanej do wschodnich prowincyj cesarstwa. Ferrini przetłumaczył to dzieło z języka syryjskiego na łaciński i przygotował tłumaczenie do druku; wydawnictwo ukazało się jednak dopiero po jego śmierci w r. 1911.

Ogromna płodność i szybkość pracy nie pozostały bez pewnych ujemnych następstw. Niektóre prace w swej pierwszej konstrukcji okazały się nie dość dojrzałymi i musiały być później poprawiane i uzupełniane. Ferrini skutecznie te poprawki z szczerą otwartością i nie próbował bynajmniej upierać się przy dawnych, błędnych zapatrywaniach. Jako wydawca, Ferrini nie był również bez zarzutu; jurysta brał w nim górę nad paleografem. Zdawał sobie jednak sprawę z tych właściwości swego umysłu i dlatego do późniejszych prac wydawniczych przybrał sobie do pomocy tegoż paleografa w osobie ks. Mercatiego. Pośpieszna praca powodowała też pewne drobne usterki np. niedokładność w cytatach. Te wszystkie braki nikną jednak wobec ogromnych walorów dorobku naukowego, w którym rozbrły zalety Ferriniego, jak olbrzymia erudycja filologiczna i historyczna, metodyczna umiejętność w opracowaniu nagromadzonego materiału, wnikliwy a umiarkowany krytycyzm przy interpretowaniu starych tekstów źródłowych, wreszcie jasność myśli i elegancja formy. Dla tych wszystkich i innych zalet prace Ferriniego zdobyły trwałą pozycję wśród dorobku nauki europejskiej z końca XIX w., a wśród studiów nad prawem rzymskim wyznaczyły dla włoskiego uczonego miejsce bardzo poczesne, obok luminarzy tej miary co Savigny i Mommsen.

W pracy badawczej Ferrini przeważnie nie poruszał zagadnień religijnych i moralnych. Ubolewał nawet nad tym, że krąg jego zainteresowań naukowych tak dalekim jest od powyższych problemów. Znalazł jednak temat, który mu pozwolił zużytkować olbrzymią wiedzę dla obrony ukochanych przez siebie wierzeń i ideałów; chodziło o sprawę wpływu chrześcijaństwa na prawo rzymskie. Ferrini posta-

nowił opracować gruntownie ten problem, dotąd tylko po-bieżnie traktowany przez uczonych. W tym celu zamierzał przeprowadzić gruntowną analizę porównawczą najstarszej literatury chrześcijańskiej oraz pism wybitnych prawników rzymskich. W r. 1894 wydał pierwsze studia tego typu nad Arnobiuszem, Laktancjuszem i Minucjuszem Feliksem. Póź-niej jednak przerwał powyższe badania, zajęty innymi za-gadnieniami i nie było mu już danym do nich powrócić.

Obowiązki profesora wyższej uczelni wykonywał Fer-rini nader sumiennie. Wykłady przygotowywał starannie i stopniowo je ulepszał; omawiał tylko rzeczy ważniejsze w sposób przejrzysty z niewymuszoną swobodą. Znać było, że wykładowca nie tylko świetnie opanował swój przedmiot, ale niejako wżył się w tę odległą epokę dziejów, o której opowiadał. Poza tym w prywatnych rozmowach wyjaśniał swym uczniom zawiłe problemy, a nieraz pobudzał ich do dyskusji i wywoływał wymianę myśli. W wykładach trzymał się ściśle przedmiotu i unikał wszelkiej celowej propagandy religijnej. Jeżeli jednak nastroczyła się po temu sposobność, nie omieszkiał zaznaczyć swoich przekonań, czasem nawet robił delikatne aluzje do spraw aktualnych. Tak np. podając definicję małżeństwa w Modestyna, podkreślał umiejętnie wszystkie jego argumenty przeciw rozwodowi. Również w rozmowach prywatnych z uczniami kierował czasem oka-zyjnie ich uwagę na zagadnienia religijne i próbował roz-prościć niektóre modne wówczas uprzedzenia przeciw ka-tolicyzmowi, ograniczając się wszakże do sfery swej kom-petencji fachowej, tj. do stosunków prawnych. Na ogół jednak był bardzo wstrzemięźliwym w tym prozelityzmie, rozumiejąc doskonale, że wobec nastrojów panujących wówczas w spo-łeczeństwie włoskim, zwłaszcza wśród młodzieży, wszelka bardziej aktywna propaganda wywołałaby skutek wręcz przeciwny. Starał się więc nie tylko słowem, ale żywym przykładem cnotliwego życia w połączeniu z wykwinłymi obyczajami towarzyskimi wzbudzić wśród swych uczniów i kolegów sympatię, a przynajmniej szacunek dla religii, której był gorliwym wyznawcą. Metoda ta dała na ogół do-bre wyniki; niewielu wprowadzie ludzi nawrócił bezpośred-nio, ale niejednego utwierdził w wierze, a wielu napełnił

czcią dla Kościoła. W stosunku do uczniów, Ferrini przestrzegał zasad naściślejszej sprawiedliwości; nigdy nie powodował się sympatiami, przeciwnie wyróżniał raczej niewierzących, chcąc ich dobrocią i uprzejmością pociągnąć ku wierze. Przy egzaminach był łagodnym i wyrozumiałym, starał się ośmielić pytanego i uwolnić go od tremy. Natomiast nie znosił jakiegokolwiek protekcji; rekomendacje nie odnosiły u niego żadnego skutku, owszem przeciwnie mogły jedynie zaszkodzić.

Dzięki swym wybitnym zaletom jako wykładowcy i człowieka, potrafił sobie Ferrini pozyskać serca młodzieży i miał na nią znaczny wpływ. Niektórzy słuchacze pozwalali sobie co prawda na żarty pod adresem wielkiej pobożności profesora, które on znosił ze zwykłą sobie wyrozumiałą łagodnością, ale gdy żartownisie przekroczyli miarę, spotykali się z energiczną reakcją ze strony samej młodzieży. Koledzy Ferriniego umieli także ocenić jego wielkie walory intelektualne i moralne. Szanowano go i lubiano powszechnie, bo był uprzejmy, uczynny i skromny, nie wysuwał się na pierwszy plan i nie narzucał nikomu swego zdania, którego wszakże nie ukrywał, owszem śmiało je wypowiadał, nie zważając na to, że często pozostawał w odosobnieniu. Tę niezależność sądu i bezwzględną sprawiedliwość, nie ulegającą żadnym prywatnym względom, okazywał Ferrini wszędzie, czy to na zebraniach Wydziału prawnego, czy to w Komisji ministerialnej dla badania kwalifikacyj kandydatów na profesorów prawa rzymskiego w całych Włoszech, czy to na zgromadzeniach różnych instytucyj naukowych, które powołały go na swego członka.

Contardo Ferrini był podobnie jak Aleksander Manzoni równocześnie gorliwym i głęboko religijnym katolikiem oraz wiernym synem swej włoskiej ojczyzny. Cieszył się z odrodzenia i zjednoczenia politycznego swego kraju, pragnął jego wielkości i szczęścia, a choć nie lubił wygłaszać patriotycznych frazesów, to za to owocną pracą starał się mu służyć i przysporzyć sławy. Jego cichą ambicją było odebrać Niemcom prymat w dziedzinie studiów nad prawem rzymskim i odzyskać go dla Włoch. Śmierć przedwczesna przeszkodziła mu w urzeczywistnieniu tych szlachetnych

aspiracji. Dla człowieka tego typu ówczesne stosunki polityczne we Włoszech stanowiły jednak źródło bolesnych udręczeń moralnych. Zjednoczenie narodowe dokonało się dzięki zniszczeniu Państwa Kościelnego. Powstał więc w duszach katolików włoskich niezwykle przykry konflikt wewnętrzny między aspiracjami narodowymi z jednej, a przywiązaniem do Kościoła z drugiej strony. A dylemat ten miał nie tylko teoretyczne znaczenie, lecz pociągał też za sobą przykre następstwa praktyczne. Po zajęciu Rzymu Stolica Apostolska zakazała katolikom włoskim brać udział w wyborach politycznych do parlamentu. Zakaz ten obowiązywał jeszcze przez cały pontyfikat Leona XIII, choć pod koniec rządów tego papieża stawała się coraz bardziej oczywistą potrzeba czynnej akcji katolickiej w życiu publicznym. Na powyższym tle stanie się zrozumiałą bolesna walka wewnętrzna, która się toczyła w duszy Contarda, ilekroć miał stanąć przed urną wyborczą. Zdawał on sobie doskonale sprawę z całej szkodliwości jego absencji, która wychodziła na korzyść wrogom Kościoła. Przyjaciele, krewni, nawet rodzony ojciec namawiali go usilnie, by rzucił swój głos dla pożytku dobrej sprawy, on jednak posłuszny nakazowi Stolicy Apostolskiej, wstrzymywał się stale od głosowania, dopiero po raz pierwszy wziął w nim udział w r. 1900, ponieważ kandydat, na którego głosował, hr. Emanuel Greppi, otrzymał zezwolenie papieskie na ubieganie się o mandat poselski.

Wysokie poczucie obywatelskie i gorącą miłość kraju okazał Ferrini w całej pełni na terenie pracy samorządowej w mieście Mediolanie. Na usilne prośby zgodził się kandydować z ramienia stronnictwa katolickiego przy wyborach komunalnych w r. 1895 i wszedł wtedy do Rady miejskiej na cztery lata. Spełniał sumiennie obowiązki radnego; pracował dużo w Komisji oświatowej Rady, gdzie najlepiej mógł wyzyskać swoje kompetencje fachowe. Katolicy w Mediolanie dzielili się podówczas na dwie główne grupy: konserwatystów i chrześcijańskich demokratów. Różniły się one częściowo programem społecznym, a jeszcze bardziej może poglądami na taktykę wyborczą. Ferrini należał do grupy konserwatywnej, z jej ramienia pertraktował parokrotnie

z przewodcami grupy chrześcijańsko-demokratycznej, mając zawsze na oku raczej dobro ogółu, aniżeli własnej partii czy grupy. Przez swój spokój i równowagę ducha przyczyniał się, jak mógł, do łagodzenia namiętności politycznych; to też cieszył się szacunkiem nawet u przeciwników politycznych.

Z przynależności Ferriniego do grupy konserwatywnej nie wynika bynajmniej, by nie miał on zrozumienia dla nowoczesnych zagadnień społecznych. Owszem widział doskonale niedolę klas pracujących i pragnął ją usunąć przede wszystkim przez poprawę stosunków moralnych wśród pracodawców i robotników. Nie był przeciwnym reformom społecznym, lecz pragnął je przeprowadzać ostrożnie. Dlatego nieufnie odnosił się do akcji organizowania związków robotniczych przez chrześcijańskich demokratów, gdyż lękał się, by te związki na skutek współzawodnictwa z socjalistycznymi organizacjami nie upodobniły się zbytnio do nich co do metody działania. Cała ta opozycja Ferriniego do chrześcijańskiej demokracji miała więc wyłącznie charakter taktyczny, a nie zasadniczo ideowy.

Poza opisaną wyżej działalnością publiczną prof. Ferrini oddawał się też różnym pracom społecznym w iniarę, jak mu na to pozwalały rozliczne jego obowiązki. Był czynnym członkiem Konferencji św. Wincentego à Paulo, przewodniczył w Komitecie parafialnym kościoła św. Marka w Mediolanie, służył bezinteresownie jako doradca prawny biskupowi w Pawii, mons. Riboldi, klasztorowi Urszulanek w Mediolanie, tudzież różnym innym instytucjom kościelnym, szczególnie humanitarnym w tym mieście, a także osobom prywatnym. Wygłaszał konferencje dla robotników, to znowu współpracował z profesorami Toniolo, Oliwi i in. w wydawnictwie naukowym dla spraw społecznych. Gdy w r. 1901/2 groziło uchwalenie ustawy rozwodowej we Włoszech, Ferrini wziął czynny udział w akcji katolików włoskich przeciwko powyższemu projektowi, uczestniczył w mediolańskim Komitecie antyrozwodowym, oraz walczył słowem i piórem w obronie nierozzerwalności małżeństwa. Cała ta praca społeczna była dla Ferriniego zajęciem dodatkowym, ale wobec jego rozlicznych zajęć naukowych i urzędowych, obciążała go dość poważnie.

Zapoznawszy się z zewnętrzną działalnością świątobliwego profesora, przyjrzyjmy się jego życiu wewnętrznemu.

Główne źródło stanowi tu obfita jego korespondencja szczególnie z pokrewnymi duchowo przyjaciółmi młodości, Pawłem i Wiktorem hr. Mapelli, a wreszcie pisma Ferriniego treści religijnej. Pisał je częściowo wyłącznie dla siebie (rozmyślenia, program życia, przygotowania do Komunii św. itp.), częściowo dla przyjaciół; te ostatnie były przeważnie treści apologetycznej. Z pism powyższych wyłania się nam sylwetka duchowa tego nowoczesnego świętego. Była to natura niesłychanie subtelna i wytworna, prawdziwy arystokrata duchowy. Nie znosił niczego, co niskie, poziome, trywialne. Tym się tłumaczy ta znana nam już wrażliwość na wszelkie dwuznaczniki, nieskromne żarty czy śliskie anegdorki. Dlatego ukochał on tak bardzo i praktykował tak przykładowie anielską cnotę czystości. Rozumiał wprawdzie doskonale doniosłość życia rodzinnego, oceniał należycie jego powaby, sam był bardzo oddany swoim rodzicom i rodzeństwu, ogromnie lubiał dzieci i umiał się z nimi bawić, ale mimo to wolał Bogu służyć zupełnie czystym sercem, wolnym od wszelkich ziemskich przywiązań. Nie poświęcił się stanowi duchownemu, choć pociągała go służba boża, szczególnie w jakim zakonie oddanym studiom, jak benedyktyni, czy jezuiti, nie czuł bowiem wyraźnego powołania do stanu duchownego, a nadto głęboka pokora powstrzymywała go od takiego właśnie wyboru. Ferrini miał bardzo wysokie wyobrażenie o dostojności stanu kapłańskiego, w swym pokornym mniemaniu nie czuł się godnym sprawowania tak zaszczytnych a tak pełnych odpowiedzialności funkcji. Ostatecznie pozostał więc świeckim, a ponieważ dla podanych wyżej przyczyn nie czuł skłonności do życia małżeńskiego, przeto ofiarował Bogu całą swą istotę w ślubie dozgonnej czystości, który złożył mając lat 22. Ślubu tego dochował święcie przez całe życie. Powyższa anielska czystość nadała jego duszy ów podniebny połot mistyczny, tak charakterystyczny dla jego psychiki. Pokój stanu bezżennego i brak trosk domowych pozwoliły Ferriniemu skierować wszystkie siły na studia naukowe i pracę społeczno-obywatelską. Z drugiej strony celibat przyczynił

się też u Ferriniego do wyrobienia hartu woli, gdyż opanowanie najsilniejszego z naturalnych popędów nie poszło mu łatwo i wymagało dużych wysiłków moralnych. W tych ciężkich walkach wewnętrznych szukał pomocy — zgodnie z ustaloną tradycją ascetyczną — w modlitwie oraz w pracy i umartwieniu.

Rozmowa z Bogiem stanowiła dla Ferriniego nieodzowną, najistotniejszą potrzebę jego gorącego serca, rwącego się w sferę nadziemskich ideałów. Poświęcał też na modlitwę dość dużo czasu, szczególnie w niedziele i święta, w dniu powszednie bowiem rozliczne zajęcia zostawiały mu zaledwie trochę wolnego czasu głównie tylko w wczesnych godzinach rannych. Contardo korzystał skwapliwie z różnych zalecanych przez Kościół praktyk pobożnych. Przysępował często do Sakramentów świętych; spowiadał się co tydzień, nieraz częściej, a od czasów akademickich przyjmował Komunię św. każdego dnia. Codziennie rano przynajmniej przez kwadrans odprawiał rozmyślanie, przygotowane starannie wieczorem. W ciągu dnia starał się odwiedzić N. Sakrament, wieczorem odmawiał zazwyczaj różaniec. Wszystkie te i inne praktyki, stosowane przez tyle osób pobożnych, przynosiły u Contarda niezwykle dodatnie wyniki dzięki temu, że były wykonywane w sposób doskonały. W modlitwie jego widzimy niesłychany pęd w górę, wynoszący duszę Ferriniego aż na wyżyny mistycznej kontemplacji. Taki stan najściślejszego zespolenia z Bóstwem, graniczący z ekstazą, następował u niego po Komunii św., często też w czasie nawiedzeń N. Sakramentu. Oto jak sam Ferrini opisuje te przeżycia w słowach przypominających wyznania mistyków:

Dusza wpatruje się w słodką piękność, w niewypowiedzianą dobroć swego Boga i mówi Mu: ja Cię kocham. On spogląda z życzliwością na swoje stworzenie, wzrusza się jego serce ojcowskie i odpowiada: Ja cię kocham. — Dusza odzywa się do Niego z uniesieniem: Ojcze! A On: O synu! — Dusza przypomina Jego dobrodziejstwa, a On z miłosnym upodobaniem przyjmuje za nie dziękczynienia. Dusza oplakuje swe uczynki, którymi obraziła tak wielką Dobroć, a On ociera jej każdą łzę i obraca ją w uśmiech. On nazywa ją swoją umiłowaną, swoją siostrą, swoją oblubienicą, a ona obejmuje ramionami swoje Dobro i woła

do aniołów: Podtrzymujcie mnie kwiatami, wspierajcie mnie miodem wonnym, ponieważ omdlewam z miłości. Cała należę do mego Umiłowanego, a On jest cały mój, On który się pasie między liliami. Biegnij Ukochany, biegnij jak zwinna kozica, jak młody jelonek...

Umartwienie było drugim ważnym środkiem, którym Ferrini posługiwał się, by utrzymać nienaruszoną czystość duszy i podnosić ją na coraz wyższe stopnie doskonałości chrześcijańskiej. Na pierwszy plan wysuwa się u niego ważniejszy typ umartwienia, tj. umartwienie wewnętrzne, umartwienie zmysłów i wszelkich nieumiarkowanych popędów czy skłonności. Na uwagę zasługuje doskonałe opanowanie pokus pychy i próżności, na które był często narażony dzięki świetnym sukcesom swych badań naukowych. Zdawał sobie dobrze sprawę z wartości swego intelektu i swych zasług naukowych, ale duch jego patrzący na wszystkie sprawy okiem wiary, przypisywał wszystko co miał dobrego, nieskończonej dobroci Bożej i Bogu składał za to dzięki. Widział tę olbrzymią przepaść, jaka oddziela wszechpotężnego Stwórcę od stworzeń choćby najdoskonalszych i upokarzał się przed Najwyższym Majestatem w poczuciu swej nicości. Jako próbkę tego usposobienia przytoczę jedno z jego ślicznych przygotowań do Komunii św., przepełnione duchem pokory:

„Oto ja przed Tobą, na kolanach przed Twoim ołtarzem, uniżony przed Twoim Majestatem! Jam proch i popiół, jam złością i grzechem, jam winą i pychą, i ja mam mówić do Ciebie, co więcej mam przybliżyć się do Twego stołu, przyjąć Ciebie do mego biednego serca? Ach! oddał się, bom ja człowiek grzeszny! Idź Panie spocząć pośród radości aniołów, czystych jak światło słoneczne, idź między cherubiny i serafiny, co płoną wieczną miłością, idź do dusz wybranych, które mają upodobanie w Tobie, dusz nieświadomych winy i własnych zasług, dusz, których życie jest poświęceniem, których nadzieją i pożądaniem Ty jesteś! Jakżeż ja będę mógł nadstawić wargi, by przyjąć Twoje Ciało niepokalane? Jak potrafię posiąść Cię nie drżąc z trwogi? Przecież Ty żądasz serca czystego i skruszonego, uniżonego i zaprawionego poświęceniem, a ja Ci przynoszę serce próżne i lekkie, pełne brudu, niesklonne do poświęceń, oziębłe w Twej miłości...”

Opanowanie próżności miało ten skutek, że Ferrini odznaczał się wielką skromnością, która czyniła jego postać

bardzo sympatyczną. Nigdy nie mówił o sobie, dobrze ani źle. To też najbliższa rodzina dopiero po jego śmierci dowiedziała się o jego rozległej uczoności i ogromnych zdobyczach naukowych. Skromność pociągała za sobą niezwykle ujmującą prostotę w obejściu. Zaznaczała się ona szczególnie w stosunku z rodzicami, do których nawet jako dorosły mężczyzna odnosił się z dziecięcą uległością. Umiał też trzymać krótko na wodzy swój język, by nie wybuchnął gniewliwym słowem w chwili oburzenia, choćby i najślusznieszego. Wystrzegał się dalej pilnie wszelkiej obmowy i plotek. Potrafił rozmowę prowadzić w sposób interesujący i dowcipny, ale nigdy nie wyrażał się o nikim ujemnie, ani ironicznie. Gdy w jego obecności ktoś naruszył dobrą sławę bliźniego albo użył wyrażenia nie dość skromnego, Ferrini przerywał rozmowę i milczał przez jakiś czas, a widać było po bolesnym wyrazie jego twarzy, jaką przykrość mu to sprawiało. W swych wystąpieniach politycznych używał zawsze formy bardzo oględnej, by przypadkiem nie urazić przeciwników. Wreszcie Ferrini opanował całkowicie tak właściwe człowiekowi przywiązanie do dóbr doczesnych. Żyjąc na świecie postawiony wysoko w hierarchii społecznej, nie mógł przestrzegać całkowitego ubóstwa, ale był istotnie — w myśl zasad Ewangelii — „ubogim w duchu”. Dla siebie oszczędny, nie żałował pieniędzy na cele szlachetne. Wspierał rozlicznych ubogich, utrzymywał biednych uczniów na uniwersytecie, a wszystko to czynił dyskretnie, ukrywając starannie swą dobroczynność przed okiem ludzkim, wskutek czego wyszła ona na jaw dopiero po jego śmierci. Pomimo znacznej szczodrośliwości potrafił porobić pewne oszczędności, ponieważ miał wcale niezłe dochody, na które składała się pensja profesorska, oraz honoraria autorskie za liczne prace. Oszczędności te włożył w spółkę przemysłowo-handlową, którą kierowali jego przyjaciele i znajomi. Spółka powyższa zbankrutowała wskutek kryzysu w r. 1900 i Ferrini stracił cały swój mająteczek. Tę poważną stratę majątkową zniósł zupełnie spokojnie jako dopust Boży a nawet wpływem swym odwiódł innych członków spółki do dochodzenia swych pretensyj na osobach kierowników

przedsiębiorstwa, którzy w tym wypadku byli niewinni, by im nie wyrządzić moralnej krzywdy.

Umartwienie zewnętrzne stosował Ferrini w sposób umiarkowany i na wskrós nowoczesny. Próbował wprawdzie używać niektórych ostrzejszych środków (włosienica), ale za radą spowiednika zarzucił je niebawem jako nieodpowiednie dla jego warunków życiowych. Poza postami kościelnymi, których przestrzegał bardzo skrupulatnie, zadawał sobie czasem drobne umartwienia w jedzeniu, np. odmawiał sobie słodczy, cukru do kawy itp., wreszcie nie korzystał z różnych, dozwolonych zresztą przyjemności światowych. Ubierał się starannie, stosownie do godności stanu, ale bez wyszukanej elegancji. Poza tym cały jego tryb życia (wczesne wstawanie, wytężona praca) był nacechowany pewnym umartwieniem. Najulubieńszą rozrywką Ferrini'ego była turystyka, którą uprawiał z zamiłowaniem. Dalekie wycieczki w góry, dawały potrzebne wytchnienie jego przeciążonemu pracą umysłowi. Widok pięknej dziewiczej natury podnosił też jego duszę do Boga, uprzątniając mu wielkość i wszechpotęgę Stwórcy. Na wycieczkach, jak w ogóle w życiu towarzyskim, okazywał się miłym i pożądanym kompanem dzięki swej stałej pogodzie i równowadze ducha, okraszanej wytwornym humorem. Nie było w nim nic z ponurego i surowego ascety, przeciwnie biła od niego głęboka radość życia, ugruntowana na tej wyższej radości wewnętrznej, która wypływała z ścisłego duchowego zjednoczenia z Bogiem. Tę radość ducha i serdeczne wylanie okazywał szczególnie osobom bliskim sobie, wobec obcych i nieznanych zachowywał się uprzejmie, lecz z większą rezerwą. Cała ta asceza, jak i mistyka Ferrini'ego odznaczały się naturalnością i prostotą, dlatego bliższe są i bardziej zrozumiałe dla psychiki nowoczesnego człowieka. Nie widzimy w nich żadnej nadzwyczajności, ani surowych umartwień, ani żadnych widzeń, objawień i w ogóle cudownych wydarzeń. Żył całkiem po prostu, nie różnił się wiele zewnętrznym trybem życia od ogółu ludzi swego zawodu, za to jego życie wewnętrzne unosiło się wysoko „nad poziomy” i gorzało ogniem uczuć religijnych o niesłychanie wysokim napięciu.

Ferrini cieszył się na ogół dobrym zdrowiem. W r. 1901 wskutek przepracowania wystąpiły u niego lekkie przypadłości sercowe, które na skutek kuracji ustępowały. W jesieni następnego roku, gdy bawił u rodziców w Suna, czuł się lepiej, więc wybrał się z kółkiem znajomych na niezbyt uciążliwą wycieczkę górską do San Martino w dolinie Anzasca. Po drodze napił się ze strumyczka wody, która była widocznie zanieczyszczona. Czy to było przyczyną choroby, czy co innego, dość, że po dwóch tygodniach wywiązał się ciężki tyfus. Serce osłabione nie wytrzymało i po kilkunastu dniach choroby, w czasie której był przeważnie nieprzytomny, Contardo Ferrini zmarł 17 października 1902 r. w willi rodziców w Suna. Zgodnie z życzeniem zmarłego pochowano go na cmentarzu w tejże miejscowości.

Wkrótce po śmierci zaczęła się szerzyć opinia świętości o Ferrinim. Energiczną propagandę za kanonizacją rozwinał naprzód prof. Ludwik Olivi. Głosił on słowem i piśmem sławę świętości zmarłego przyjaciela, zebrał najważniejsze dokumenty i przedstawił Ojcu św. Piusowi X. W r. 1911 rozpoczął się diecezjalny proces informacyjny. Tymczasem kult dla Contarda rozszerzał się w całych Włoszech i za granicą. Wydano drukiem jego pisma religijne i wtedy dopiero niejeden jego znajomy zdał sobie sprawę, do jakich wyżyn doskonałości doszedł Ferrini. Rozpoczęły się pielgrzymki do jego grobu, wiele osób doznało różnych łask za jego przyczyną. Proces beatyfikacyjny przeniósł się w r. 1924 do Rzymu, a katolicki uniwersytet Najśw. Serca Jezusa w Mediolanie został promotorem tej sprawy. Proces pociągnie się zapewne jeszcze jakiś czas, gdyż Kościół nie zwykł się śpieszyć w tak ważnych sprawach, wolno się wszakże spodziewać, że już niedługo świat naukowy katolicki doczeka się nowego patrona w osobie świeckiego profesora uniwersytetu, który życiem swym zaświadczyl, że nowoczesna wiedza i kultura może iść w parze nawet z najwyższym stopniem doskonałości chrześcijańskiej.

Dr Mieczysław Niwiński.

Możliwości i zadania bałtyckiego regionalizmu.

„Geografia polityczna Bałtyku była w ostatnich czasach przedmiotem wzmożonych zainteresowań w międzynarodowej płaszczyźnie. Zainteresowania te nie były jednak związane z rozważaniami nieprzychylnymi dla warunków ogólnego bezpieczeństwa. Są nawet powody do twierdzenia, że kilka zasad podstawowych, zaobserwowanych w długim stosunkowo okresie czasu, są w trakcie wyraźnej już konsolidacji”. Zdania te wypowiedziane przez ministra Spraw Zagranicznych Łotwy, Muntersa, z okazji otwarcia ostatnich obrad Ententy Bałtyckiej, dostatecznie charakteryzują i cele polityki pokojowo usposobionych państw Bałtyku i stopień jej osiągnięć na drodze do bałtyckiej konsolidacji. Komentując to wydarzenie, ryski korespondent *Temps’a* (13. VI. 38) podkreśla, że powszechna w bałtyckiej opinii publicznej utrata zaufania w aktywność Ligi Narodów i skuteczność zbiorowego systemu bezpieczeństwa, oraz powszechny w Europie nawrót do ściślejszych, przeważnie dwustronnych, porozumień, zmusza również państwa Bałtyku do poszukiwań nowych gwarancji ich niepodległości.

Wracając do tegoż tematu w związku z wizytą ministra Becka w Talinie, wstępny artykuł *Temps’a* (15. VI. 38) jeszcze raz zaznacza, że spowodowane tymi przemianami konieczności poszukiwania nowych dróg dla poręczenia niepodległości i bezpieczeństwa tych państw *sont évidemment de nature à favoriser un rapprochement polono-balte*.

„Takie bowiem ugrupowanie, o ile osiągnięte będzie w poszanowaniu suwerennych praw zainteresowanych krajów, wypływa z samej natury rzeczy, ponieważ trzy państwa Bałtyku, tak samo jak Polska, równocześnie zmuszone są do przeciwstawienia się ekspansji i Niemiec i Związku Sowieckiego“.

Zdecydowany nawrót do polityki aliansów, tak charakterystycznych dla przedwojennego okresu, hołdującego zasadom równowagi sił, również i w rejonie Bałtyku odrodził dążności do grupowania się państw, zagrożonych równoczesnym spotęgowaniem się wojennych nastrojów wśród wielkich sąsiadujących z nimi mocarstw. Dążności te, występujące równocześnie i we wschodnim rejonie Bałtyku i na jego południu w krajach Skandynawii, przy bardzo rozległej skali swego natężenia, wykazują ponadto powszechny wysiłek do unikania pozorów nawet skierowania ich ostrza przeciwko jakiemukolwiek bądź określonemu mocarstwu. Szeroka rozpiętość indywidualnych interesów, szukających ochrony w skonsolidowanej polityce bałtyckiego rejonu, w całej grupie tych państw znajduje wspólną dla nich wszystkich i dla wszystkich jednako żywotną podstawę. Podstawę tę stanowi obrona swobody stałego i w żadnych okolicznościach niekrępowanego użytkowania szlaków i wylotów Bałtyku.

Pojęcie niepodległości państwa ściśle jest związane z możliwościami jego swobodnego rozwoju. Rozwój zaś państw położonych nad Bałtykiem, mogących zatem tylko na jego drogach utrzymywać niekrępowane stosunki ze światem, ogromnie jest zależny od politycznego i prawnego stanu całej długości tych szlaków. Miara natomiast komunikacyjnych potrzeb tych państw jest około 30 milionów ton ładunków, rokrocznie przepływających wylotami Bałtyku. Ogólne rozwojowe dążności, pochłaniające coraz większą ilość i coraz rozmaitszą jakość surowców i żywności dla wytwórczych poczynañ człowieka, tym imperatyniejszą czynią konieczność tej bałtyckiej ze światem wymiany. Mimo bowiem powszechnych wysiłków do spotęgowania autarkii gospodarstw narodowych, naturalne warunki poszczególnych krajów wzmagają ich międzynarodową współzależność. Jak

wskazują statystyki, Europa i Północna Ameryka, produkujące przeciętnie 90% przemysłowych wyrobów świata, wytwarzają niecałą nawet połowę jego żywności, oraz tylko około 40% technicznych jego kultur.

Ostatnie miesiące, przynosząc niezwykle ożywienie politycznej działalności w rejonie Bałtyku, wzbudziły niemniejże zainteresowanie Zachodu, jak świadczą o tym równoczesne brytyjskie i francuskie na jego wodach wizyty. Jeżeli bowiem na losy państw Bałtyku decydująco wpływają warunki bezpieczeństwa jego szlaków, międzynarodowe przewroty z lat niedawnych zmuszają Zachód do poszukiwania oparcia dla swej polityki w tym właśnie rejonie. Wewnętrznie bałtyckie zespolenie spraw państw tego rejonu oraz ich intymne powiązanie ze sprawami Zachodu — dziś szczególnie warunkowane wzmagającą się, z rozwojem i uwszechstronieniem życia, międzynarodową współzależnością — niemniej również wyraźnie występuje na całej przestrzeni dziejów Europy.

Niejednokrotnie zdarzało się już w ubiegłych stuleciach, że państwa bałtyckie zmuszane były do zbiorowego stawiania czoła zachłannym projektom hegemonii, żywionym bądź przez nadbrzeżne państwo Bałtyku, bądź przez mocarstwa z poza jego granic. W walce tej o przywrócenie życiodajnej dla nich wszystkich komunikacyjnej wolności na Bałtyku, znajdowały one poparcie państw Zachodu, tak samo zagrożonych możliwościami zaistnienia bałtyckiej hegemonii jakiegoś mocarstwa. Dzieje tych lat uczą nas również, że pierwsze osiągnięcia na tej drodze zachęcają do dalszych analogicznych poczynąń. Obfity połów zdobyty przez Fryderyka II przy podziale Polski natchnął go projektami takiegoż rozbioru Szwecji. Prusko-moskiewskie czynne współdziałanie w tłumieniu styczniowego powstania przygotowuje aneksję Szlezwigu, a z nim budowę kanału Kilońskiego, tworzącego odtąd podstawę potężnej rozbudowy marynarki Niemiec i przyszłych ich planów podboju świata.

W okresie wojny światowej przewaga Niemiec na Bałtyku osiągnęła swój punkt szczytowy. Flota niemiecka gospodarowała na jego wodach niepodzielnie. Dzięki tej okoliczności, jak to autorytatywnie stwierdza profesor Haus-

hoffer,¹⁾ mogła Rzesza prowadzić długoletnie walki z całym światem.

Nic więc dziwnego, że jednym z główniejszych brytyjskich celów pokoju było pozbawienie Niemiec tej właśnie na Bałtyku przewagi. I gdyby nie sprzeciw Stanów Zjednoczonych umiędzynarodowionoby kanał Kiloński, główną ostoję niemieckiej siły na obu sąsiadujących morzach. Wersalskie jego otwarcie dla powszechnego użytku, zniesienie fortyfikacyj i zakaz ich budowy, oraz ograniczenie niemieckiej floty wojennej miało chociaż w części uszczuplić przyszłe militarne możliwości Niemiec na morzach. Swoiste załatwienie szeregu ważkich na Bałtyku zagadnień, jak sprawy wysp Alandskich. Gdańska i Kłajpedy, miało utworzyć masę powodów dla interwencji floty brytyjskiej, liczącej się ze swym niewątpliwym na tych wodach panowaniem.

Powstanie nad Bałtykiem szeregu nowych państw, jednakowo narażonych na ekspansję Niemiec i Sowieców, a dysponujących równocześnie szerokim frontem morskiego pobrzeża, z konieczności pobudziło je do poszukiwań brytyjskiej najmniej właśnie groźnej opieki. Tendencje rozwojowe ich gospodarstw narodowych, doskonale uzupełniających braki metropolitalnej gospodarki W. Brytanii, tym bardziej zacieśniały te więzy. Dlatego już w pięcioleciu 1931/1935 obroty z W. Brytanią obejmowały przeciętnie 30% zagranicznego handlu Polski, Szwecji, Danii, Finlandii, Łotwy, Litwy i Estonii.

Klęska wojenna oszołomiła Niemcy i na długie lata wytrąciła z ich dłoni inicjatywę w polityce Bałtyku. Zupełnie inną była sytuacja Sowieców, niczym nie ograniczonych w swych zbrojeniowych na morzu poczynaniach. Stąd też ani ogromnie zredukowany stan bałtyckiego posiadania, ani zainteresowanie się na Bałtyku brytyjskiego rywala, groźnego tak w Azji jak i na Morzu Czarnym, nie pozbawiło Sowiety zaczepnego animuszu. Sądzą one bowiem, że wobec zaniku niemieckiej potęgi nadszedł możliwie korzystny

¹⁾ ...dass die Unmöglichkeit für England seine Seegewalt und Wirtschaftsblockade auf die Ostsee auszudehnen ein Hauptgrund für die geopolitische Möglichkeit unseres langen Widerstandes im Weltkrieg war.

dla nich czas. Dlatego to zjawiają się w traktatach z Finlandią i Estonią klauzule, zamykające Bałtyk dla krajów nieprzybrzeżnych, a również ponawiają się analogiczne projekty na rozmaitych konferencjach.

W obliczu tych najróżnorodniejszych wysiłków, dążących do narzucenia państwom Bałtyku przewagi tego lub owego mocarstwa, nie mogły i one pozostawać bezczynne. We wschodniej też najbardziej zagrożonej ich grupie rodzi się szeroko pomyślany plan ścisłej Unii Bałtyckiej. Obejmując trzy rozmaite grupy państw nadbałtyckich, skandynawską oraz wschodnią i południowo-bałtycką, plan ów wyklucza z owej Unii tak Niemcy jak i Sowiety. Kilka kolejnych konferencji zmniejszyły niestety, tak zakres rzeczowych zainteresowań projektowanej Unii, jak również znacznie uszczupliły grono jej uczestników.

Przyczyny niepowodzeń tych pierwotnych konsolidacyjnych wysiłków na Bałtyku były rozliczne. Wewnętrzny chaos w Sowietach, zaabsorbowanie Niemiec sprawami Zachodu, oraz niekwestionowana przewaga W. Brytanii, bezpiecznej na wszystkich odcinkach swego olbrzymiego imperium, stwarzały złudzenia względnego bezpieczeństwa w rejonie Bałtyku, hamowały więc dążenia do ściślejszego jego zorganizowania. Liga Narodów, mająca być wyrazicielką nowego porządku na świecie i gwarantką kolektywnego bezpieczeństwa, na Bałtyku właśnie znaleźć mogła najbardziej przygotowanego i zainteresowanego wykonawcę jej postanowień w postaci potężnej floty spod znaków Union Jack'u. Ten ogólnie światowy stan stosunków międzynarodowych tym wyraźniej uwypuklał lokalne na Bałtyku rozbieżności. Zachęcał on bowiem grupę skandynawską do praktykowania polityki izolacji, mającej rzekomo zapewnić jej najistotniejsze gwarancje nietykalności. Świadomość własnego bezpieczeństwa podsyciała też pieniaczkie wyczyny, uniemożliwiające pojednanie południowej litewsko-polskiej grupy, jak również rozluźniała zadzierzgnięte już więzy w grupie wschodniej.

W ciągu lat ostatnich całość międzynarodowej tej sytuacji ulegać zaczęła radykalnym przemianom.

Wśród szeregu prób życia załamał się przede wszystkim mechanizm Ligi Narodów. Zawiodła również W. Bry-

tania, mająca być zbrojnym ramieniem Ligi na wszystkich morzach świata. Ufna bowiem w potencjalne walory swej *fleet in being*, zapomniała ona o przygotowaniu jej do efektywnych działań. Stwierdzenie tego faktu spowodowało jedną klęskę po drugiej. Późniejszy wysiłek zbrojeniowy nie mógł również naprawić daleko sięgających międzynarodowych skutków tego zaniedbania. Zagrożona równocześnie a poważnie na Dalekim Wschodzie, Oceanie Indyjskim, Morzu Śródziemnym, a nawet i na własnych wodach Morza Północnego, W. Brytania zmuszoną jest do osłabienia flotowych efektywów na wszystkich tych odcinkach a tym samym do poszukiwania niezbędnych już sojuszników. Rejon bałtycki, żyjący dotychczas w cieniu tej wiary w Ligę Narodów i w W. Brytanię, najdotkliwiej odczuł tę zmianę. Przemiany te jednak przyczynić się mogą i powinny do jego wydzwignięcia z roli klienta W. Brytanii na stanowisko równoprawnionego jej partnera.

Bałtyckie oddźwięki światowych tych przemian uwidoczniły się przede wszystkim we wzroście morskiej potęgi Niemiec. Dały one możliwość przywrócenia przedwojennego stanu na kanale Kilońskim, oraz, oficjalnie przez W. Brytanię uznanego, zwiększenia niemieckiej floty wojennej. Zdradzając wyraźne tendencje dorównania stanowi flot Francji i Włoch, flota niemiecka zamierza grać rolę czynnika równowagi na kontynencie Europy. Fortyfikując kanał Kiloński, powtórnie zdobyła ona możliwość niekontrolowanego przerzucania swych sił z Morza Północnego na Bałtyk, a rozbudowując, liczebny stan tych sił będzie mogła ważyć się również na ewentualne zamknięcie innych tego Bałtyku połączeń.

Wielkie znaczenie Bałtyku w polityce i gospodarstwie Niemiec nie nadaje mu jeszcze podstawowej w życiu Rzeszy roli. Naturalna bowiem geograficzna oś rozwoju Niemiec oraz ich politycznej i gospodarczej ekspansji prowadzi ku otwartym portom Morza Północnego, z Hamburgiem na czele. Realizacja *Anschluss'u*, wydłużająca tę oś ku południowi, tym bardziej zaakcentowała konieczność szukania wyjść na wolne przestrzenie oceanów, otwierających drogi do najodleglejszych punktów globu. Natychmiastowe po

Anschluss’ie przystąpienie do realizacji komunikacyjnych połączeń wspaniałej rzecznej sieci Renu, Łaby i Dunaju, zdaje się wskazywać na istotne zrozumienie naturalnych kierunków ekspansji zjednoczonego narodu niemieckiego. Kierunki na wschód, niewątpliwie ważne, jako zabezpieczające tyły zachodniego frontu ku zaniedbanym w eksploatacji ziemiom rozmaitych kontynentów, wprowadzić mogą Rzeszę w ślepą ulicę wyczerpujących zatargów z narodami, o młodzieńczym odrodzonym dynamizmie rozwoju, i osłabić tym samym siłę ekspansji otwierającej światowe perspektywy.

Geopolityczna sytuacja Bałtyku i jego połączeń z oceanami niemniej wyraźnie pomniejsza jego rolę w polityce Sowietów. Chociaż bowiem Bałtyk jest naturalną drogą w świat dla olbrzymiej połaci ich kraju, droga ta jednak podlega kontroli niezbyt dla Sowietów przychylniej Rzeszy, oraz największego na wszystkich odcinkach polityki światowej brytyjskiego ich rywala. Geograficzne warunki ich bałtyckiego wyłotu ogromnie ponadto ułatwiają całkowite jego w razie wojny zamknięcie. Zbyt duża ilość piętrzących się przeszkód nie pozwala oczywiście Sowietom na traktowanie Bałtyku jako bazy ich ofensywnych w kierunku Zachodu planów. Nie rezygnując zaś z podobnych zamierzeń, zmuszone są one do poszukiwania innych politycznie łatwiej dostępnych dróg. Stąd to północne kierunki ekspansji, umożliwione naturalnymi warunkami niezamarzających portów tego pobraża. Gigantyczny wysiłek, włożony w organizację „wielkiego północnego szlaku”, nie jest jedynie tylko obliczonym na reklamę bluffem. Realne bowiem w tej dziedzinie osiągnięcia stwarzają możliwość bezpiecznych i najkrótszych połączeń wschodnich i zachodnich krańców sowieckiego imperium, jednakowo mogących służyć za bazy wypadowe dla ich światowej ekspansji. Budowa kanału, łączącego Bałtyk z morzem Białym, wskazuje na defensywną rolę Bałtyku, przeznaczanego, tak samo zresztą jak w wypadku Niemiec, do spełniania zasłownych tylko zadań w daleko szerszych planach światowej polityki Sowietów.

Światowa zatem polityka Sowietów i Niemiec przeznaczająca Bałtykowi zadanie osłaniania ich głównych poczynań na innych frontach ekspansji, równocześnie też określa ustó-

sunkowanie się do Bałtyku głównych zachodnich rywali tak Rosji jak i Niemiec. Równoczesność brytyjskiej i francuskiej na Bałtyku wizyty może być dostatecznym dowodem wzmożonych zainteresowań Zachodu. Wcześniej bowiem czy później takie kierunki niemieckiej i sowieckiej ekspansji zagrozić muszą stanowi posiadania Zachodu tak w koloniach jak nawet być może i w metropoliach. Stąd też staje się bardziej wskazane już dziś dopomóc do politycznego skonsolidowania rejonu, skąd będzie można zagrozić ofensywnym poczynaniom tych potencjalnych jego rywali.

Defensywne zadania Bałtyku w niemieckiej i sowieckiej polityce nie wykluczają oczywiście bałtyckiej ich rywalizacji. Możliwość bowiem wygrywania przychylności Zachodu we wzajemnym zagrożeniu prowadzi niechybnie do chęci narzucenia swej przewagi dzielącemu te mocarstwa bałtyckiemu rejonowi. Jego też podporządkowanie ułatwić może dalszą ekspansję tych państw ku wolnym oceanom. Uwarunkowana różnorodnością tych wzajemnych sobie wrogich tendencji, geopolityczna sytuacja pozostałych państw Bałtyku wyraźnie wytycza linie kierunkowe ich przyszłej polityki.

Nadzieje związane z możliwościami rozwoju kolektywnych gwarancji Ligi Narodów hamowały ongiś pierwotne wysiłki organizujące Unię Bałtyku. Zawód sprawiony przez Ligę musiał z konieczności odrodzić te plany i przystosować je do zmienionych warunków. Nowe metody polityki światowej, formującej mniej lub więcej wyraźnie zarysowujące się alianse i nawracającej do dawnych zasad równowagi, nie pozwalają również na dalsze, a niebezpieczne, rozproszkowanie sił, samodzielnie tak ogromnie słabych państw bałtyckiego rejonu.

Sowieckie poszukiwania swobodnych wylotów na morzach północy, oraz niemieckie dążenia do własnego zabezpieczenia połączeń ze szlakami oceanów, wskazały Skandynawii, że jej w stosunku do spraw kontynentu izolacja nie jest równoznaczną z gwarancją jej nietykalności. Stopniowo więc zaczyna się szerzyć świadomość, że potężnemu rozwojowi lotniczych i morskich sił Sowietów i Niemiec przeciwstawić należy bardziej efektywne argumenty. Niedawna podróż min. Becka do Norwegii dała powód *Times*'om

(2. VIII. 38) do podkreślenia¹⁾ polskich poglądów na polsko-norweską w tej właśnie dziedzinie solidarność.

Jeżeli dla dalekiej Norwegii jej solidarność z bałtyckimi krajami opiera się na militarno-politycznym podłożu, to dla pozostałych państw Skandynawii, dysponujących szerokim frontem na Bałtyku, więzy te są jeszcze ściślejsze. Życie gospodarcze tych państw zależne jest bowiem bądź całkowicie bądź w przeważnej mierze od swobodnego użytkowania szlaków bałtyckich. Upodobnione do reszty krajów Bałtyku warunki niezależnego bytowania tych państw tym mocniej wiążą przyszłe ich losy z dalszym rozwojem dziejów bałtyckiego rejonu.

Brak własnych surowców lub gospodarcze zaniedbania wielu tych krajów, zbyt jednostronnie kształtują ich życie i tym imperatywniej zmuszają do poszukiwania dostawców i odbiorców na Zachodzie, mogącym im udostępnić warunki niezależnego od potężnych ich sąsiadów rozwoju. W najbardziej chudym pięcioleciu 1931/1935, siedem krajów Bałtyku, jak Polska, Szwecja, Dania, Finlandia, Łotwa, Litwa i Estonia wykazywały przeciętnie znacznie ponad 10 miliardów złotych towarowych obrotów zagranicznych. Ponieważ, jak już zaznaczyliśmy, W. Brytania obejmuje przeciętnie 30% tych obrotów, a na Francję, Holandię, Belgię i Stany Zjednoczone przypada dalsze 20%, przeto wynika, że pięć tylko państw przemysłowego Zachodu pochłania około połowy międzynarodowej wymiany siedmiu państw Bałtyku. Biorąc pod uwagę, że kwoty tych obrotów potężnieją z roku na rok, jak również rosną udziały tych przemysłowych państw, oraz najbardziej egzotycznych surowcowych krajów, będziemy musieli stwierdzić coraz ściślejszą gospodarczą zależność Bałtyku od swobody jego komunikacji ze światem.

Rywalizacja wielkich mocarstw o wpływy na Bałtyku przypomina do złudzenia podobne ich poczynania na Bałkanach. Usiłując dla własnych celów wykorzystać lokalne

¹⁾ The recent efforts of Soviet Russia to open a main sea route along the coast of Norway and the „Nordic“ propaganda of Germany in that country are said to have placed Norway in a position similar to that of Poland, between the influences of Russia and Germany.

antagonizmy, prawie każde z tych mocarstw przeważnie przeciwdziała konsolidacyjnym zamierzeniom państw obu regionów, szczególnie gdy podejrzewa, że patronuje im ktoś z przeciwników. Jedynie tylko świadomość, że konsolidacja taka pomniejszy wpływy rywali wywołać może mniej lub więcej szczerą aprobatę ogółu tych mocarstw. Jesteśmy świadkami takiego właśnie wypadku. Akt bowiem pojednania Bułgarii z ogółem jej sąsiadów znalazł uznanie tak bloku mocarstw demokratycznych, jak osi państw autorytatywnych.

W dzisiejszej sytuacji rejonu nadbałtyckiego znaleźć można dużo podobieństw. O ile bowiem mocarstwa Zachodu chciałyby stworzyć na Bałtyku taran, godzący w plecy mogącego je zaatakować przeciwnika, Niemcy i Sowiety bardzo chętnie urządziłyby z Bałtyku odskocznnię dla swych światoburczych planów. Ponieważ zaś w rozdrobnieniu sił nadbałtyckich szanse tych sprzecznych wielkomocarstwowych zamierzeń są dość niepewne, przeto, jak sądzimy, każde z tych mocarstw, z ciężkim wprawdzie sercem, aprobowałoby nawet tę konsolidację, gdyby sądziło, że to zredukuję szanse jego przeciwników.

Najbardziej nawet skoordynowane dążenia do utrzymania niezależności polityki bałtyckiej wobec wpływów rywalizujących przeciwników nie są jeszcze bynajmniej równoznaczne z zawarciem formalnego paktu bałtyckiego przymierza. W każdym bowiem nawet najsolenniejszym podpisanym akcie politycznym wykonawczą siłę jego klauzul stanowi przede wszystkim duch lojalności i chęć do współpracy u zawierających go partnerów. Dzieje ostatnich miesięcy dowiodły natomiast wyraźnie, że uświadomienie grożącego niebezpieczeństwa ożywiło w rejonie Bałtyku potężniejące pragnienie takiej właśnie współpracy, nie grożącej nikomu lecz broniącej własnych interesów. Wysuwając przypuszczenia, że bałtyckie i skandynawskie podróże min. Becka dały powód do omawiania spraw wolności Bałtyku oraz zagadnień, związanych z pozostawianiem całości tych krajów poza obrębem istniejących bloków politycznych, *Times* (2/VIII, 38) zaznacza, że wypływająca stąd koncepcja bałtyckiej Neutralności Zbrojnej opiera się raczej na dżentelmeńskim porozumieniu niż na formalnym traktacie.

Chociaż jednak dla skoordynowania wspólnych poczynań bałtyckiej obrony nie jest konieczne zawarcie formalnego aliansu politycznego, nie znaczy to tym samym, że brak na Bałtyku spraw, które by można uregulować formalnym porozumieniem całości jego państw. Owszem potrzeba takich porozumień staje się tym bardziej konieczna, że obecne cementowanie się wspólnej polityki Bałtyku jest jednak skutkiem upadku wpływów Ligi Narodów, która na Bałtyku właśnie dysponowała najszerszym bodaj zakresem kompetencji.

Realizacji takich porozumień dały początek państwa Skandynawii, łącznie z Finlandią, ujednastajniając w maju b. r. przepisy neutralności w wojnie na morzu. Uwzględniając fakt, że od czasu wojny światowej zaistniało w tej dziedzinie formalne bezprawie, przyjęcie jakiegoś wspólnego dla całości państw Bałtyku tekstu, uwzględniającego oczywiście różnorodność morskich ich warunków nie będzie faktem bezużytecznym.

Sprawa wysp Alandzkich, zdemilitaryzowanych, zneutralizowanych i podporządkowanych nadzorowi Ligi Narodów, powinna być zaliczoną do tejże kategorii zagadnień. Strategiczna bowiem ich sytuacja, umożliwiając dzierżącym je siłom zbrojnym ścisłą kontrolę wschodniego przynajmniej Bałtyku, zachęca do nagłego wojennego ich opanowania, co oczywiście jak najrealniej może zagrozić całości państw przybrzeżnych.

Swobodne użytkowanie kanału Kilońskiego — czego materialną gwarancją miał być zakaz jego fortyfikowania — stało się wątpliwym od czasu pominięcia przez Rzeszę tych formalnych jej zobowiązań. Faktyczne zanulowanie całości tych zobowiązań przez rząd Rzeszy nie odbiera im jednak ich międzynarodowej siły prawnej. Stąd też państwa Bałtyku, jako najbardziej w ich przestrzeganiu zainteresowane, mogą sobie rościć pretensje do ich uaktywnienia w tej lub innej formie.

Gdańsk i Kłajpeda, wcielone w żywy organizm narodów dla których potrzeb zostały one powołane jako swego rodzaju organizmy międzynarodowe, związane też zostały z Ligą Narodów i jej organami. Codziennie stwierdzany

fakt iluzoryczności ligowego nadzoru wymaga bardziej skutecznego zapewnienia przysługujących tym narodom uprawnień. Stwierdzenie tych uprawnień mniej lub więcej formalnym aktem kształtującego się bałtyckiego regionalizmu nie wyjdzie oczywiście poza ramy jego kompetencji. Aczkolwiek są to sprawy lokalnego znaczenia, pogwałcenie ich jednak stanie się niewątpliwie pierwszym krokiem na drodze do ustalenia bałtyckiej hegemonii gwałcącego.

Każdy akt prawny tworzy legalne ramy postępowania zawierających go kontrahentów. Lojalność w przestrzeganiu tych ram wypływa jednak przede wszystkim z zakorzenionej świadomości wspólnoty interesów. Jeżeli wspólnota duchowa zadzierzga nici sympatii pomiędzy narodami, a harmonizowane poczynania ich polityki dają czasami wyraz ich jedności, to gospodarcze powiązanie ich interesów tworzy dopiero solidne i stałe bazy ich codziennej współpracy. Otóż w tej ostatniej dziedzinie grupa pokojowo usposobionych państw Bałtyku nie wykazuje niestety dostatecznego zespolenia ich narodowych gospodarstw. Polski węgiel i szwedzka ruda uzupełniają się wprawdzie wzajemnie i są przedmiotem intensywnej wymiany. Przypuszczać można, że uprzemysłowienie i zagospodarowanie Polski spowoduje nasze zapotrzebowania na skandynawskie drzewo i bałtycki wywóz naszych wyrobów przemysłowych. Handel zagraniczny krajów Bałtyku jest jeszcze narazie konkurencyjny raczej na obcych rynkach niż uzupełniający się na własnych.

Należyte uświadomienie tego faktu może wskazać mniej lub więcej skuteczne środki naprawy. W tych dążeniach do ściślejszego i wzajemnego gospodarczego związania bałtyckich krajów nie powinno się żałować największych nawet ofiar, gdyż w ten tylko sposób stworzy się trwała podbudowę ich praktycznego solidaryzmu. Bardziej uwszechstronniona rozbudowa gospodarczych stosunków pomiędzy tymi państwami okazać się może szczególnie zbawienną, gdy w wypadku toczącej się wojny utrudnieniu połączeń z krajami pozabałtyckimi odpowiadać będzie względna swoboda bałtyckich komunikacyj. Zaniedbanie natomiast tych gospodarczych wzajemnych powiązań krajów Bałtyku grozić może stałym, a niebezpiecznym dla ich państwowej samodziel-

ności zalewem wyrobami przodującego przemysłu Niemiec, a w przyszłości może i Sowietów.

Podobieństwo politycznej sytuacji rejonów bałtyckiego i bałkańskiego, uposaża Polskę w szczególnie ważną rolę łącznika w ewentualnych zbiorowych poczynaniach obu tych rejonów. Do tego bowiem wyznacza ją i geograficzne jej położenie i potencjonalne możliwości gospodarczego rozwoju, tworzącego najbardziej istotną podstawę każdej nowoczesnej akcji. Jedność natomiast tej bałtycko-bałkańskiej akcji uzasadniają względnie nieznacznie siły prawie każdego z państw obu tych rejonów w stosunku do rozwijanego dynamizmu sąsiadujących z nimi mocarstw. Jeżeli różnorodność grożących niebezpieczeństw różniczkuje ścisłość węzłów, łączących te państwa i te grupy z sobą, to wobec nawrotu wielkich mocarstw do polityki aliansów i równowagi będzie rzeczą wysoce nierozsądną rozżarzanie spraw dzielących te państwa i te grupy, zamiast uwypuklania zagadnień, mogących je jeszcze ściślej zespolić.

Wyroki dziejów przeznaczyły każdemu narodowi mniej lub więcej szczęśliwą sytuację geograficzną. Pełne wykorzystanie tej sytuacji zależne jest jednak od istotnych wysiłków danego narodu, oraz umiejętności uchwycenia właściwego momentu działania. Pojęcie działania obejmuje również i należyte tych działań przygotowanie. Wieki ubiegłe nie wymagały skomplikowanych rzeczy tak w samym działaniu, jak i w jego przygotowaniach. Umiejące wywijać szablą, a zasobne w siłę woli, garstki awanturników zakładały ongiś podwaliny potężnych imperiów i wskazywały kierunki rozwoju swym współobywatelom. Dzisiejsze na tej niwie poczynania wymagają długotrwałych, wszechstronnych oraz inteligentnych przygotowań.

Sama nawet skuteczność wojennych działań zależy dziś więcej od technicznych i duchowych przygotowań całego narodu niż od dzielnego wyglądu żołnierza. Wojna jest jednak ostatecznym tylko i w istocie nic nie budującym środkiem. Rzeczywista potęga jest atrybutem raczej tego narodu, którego gospodarcza, społeczna i polityczna organizacja samym swym istnieniem wzbudza respekt wśród sąsiadów i zmusza ich do poszukiwań jego przyjaźni. Rów-

niez tylko ta wszechstronność przygotowań do pokojowych i wojennych działań nadaje państwu istotne walory we wszelkich poczynaniach jego międzynarodowej polityki i umożliwia pełne wyzyskanie korzystnej sytuacji geograficznej. Najbardziej umiejętna, czyniona temu lub owemu mężowi stanu, reklama nigdy nie potrafi tego zastąpić.

Zbliżony do równowagi stan sił rywalizujących z sobą wielkich mocarstw potęguje sojusznicze dla nich walory pozostałych państw, gdyż zbliżenie tych ostatnich do tej lub owej grupy mocarstwowych bloków może przeważać szalę jego powodzeń. Otóż środkowe położenie Polski w rejonie, grupującym ewentualnych sojuszników, jej siła ludnościowa, oraz możliwości rozwojowe otwierają przed nią jak najszersze pole działań. Całkowite jednak wyzyskanie międzynarodowych tych możliwości stoi w ścisłym związku z należytą rozbudową jej gospodarczej i społecznej organizacji. Natomiast zaniedbania w tej dziedzinie grozić mogą nieobliczalnymi następstwami.

Roman Piotrowicz.

Przybycie Paulinów do Polski.

Od 556 lat istnieje na ziemiach Polski sławny klasztor Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie, cel pielgrzymek tysięcy pątników. Nie doczekał się on dotychczas wyczerpującej monografii dotyczącej powstania i budowy,¹⁾ jedynie okres bohaterskiej obrony przez ks. A. Kordeckiego w wojnie szwedzkiej jest zbadany od podstaw źródłowych. Zakon oo. Paulinów zaginął najpierw na Węgrzech, skasowany przez Józefa II, w chwili kiedy liczył 150 klasztorów w całym kraju. W Polsce zaś zachował się rozprzestrzeniony w wielu miastach od macierzy polskiej Częstochowy. Dziwnym losu zrządzeniem, Węgry sprowadziły białych braci z Polski z Częstochowy w 1934 r. jakby odwracając historyczny fakt sprzed kilkuset lat.

Już w 1932 r. węgierska pielgrzymka modliła się na Jasnej Górze o szczęśliwe przeniesienie i powrót zakonu na Węgry, nie bez równoczesnego podjęcia starań o zrealizowanie tych zamierzeń. W krótkim czasie powstaje na górze św. Gellerta w Budzie skalna bazylika i dom nowicjuszy. Dopiero jednak dzień Wniebowstąpienia 10 maja 1934 r. ustalono jako termin uroczystego powrotu oo. Paulinów na Węgry. Na uroczystej Mszy św. w bazylice Jasnogórskiej byli obecni generał zakonu i hr. Zichy arcybiskup Kalocsy. Nowi bracia składali ślubny zakonny, wzruszające kazanie

¹⁾ Jesienią ukaże się rozprawka: „Fundacja klasztoru Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie w 1382 r. i jej pierwotne uposażenie”, oparta na źródłach polskich i węgierskich, szczegółowa i wyczerpująca, zaopatrzona odsyłaczami źródłowymi, których tutaj nie zamieszczamy.

wygłosił o. generał zakonu paulińskiego, w którym podkreślił ważność faktu powrotu Paulinów na Węgry i wiekowe, tradycyjne związki Węgier z Polską. Węgrzy obecni śpiewali prastarą pieśń do Matki Bożej, uznanej z dawnych czasów jako *magna Domina Hungariae*, a odpowiadającą naszej „Bogurodzicy”.¹⁾ Tak niegdyś, przed 556 laty przybywali do malutkiej Częstochowy biali bracia z tejże starożytnej Budy z przeorem generalnym Grzegorzem na czele, aby objąć pierwszą placówkę zakonu poza Węgrami. Ten właśnie fakt historyczny zamierzamy dziś bliżej przedstawić.

Można śmiało powiedzieć, że bez dokumentów przebogatego archiwum paulińskiego na Jasnej Górze w Częstochowie — sprawa przybycia oo. Paulinów i dzieje klasztoru byłyby na zawsze okryte tajemnicą. Bo jakież inne źródła historyczne nam pozostają? Nawet kronikarze współcześni, jak Janko z Czarnkowa — milczą o fundacji Częstochowy, gdy tymczasem nasz wielki dziejopis Jan Długosz, kanonik krakowski, aż cztery razy wspomina o założeniu klasztoru. Nie ma się czemu dziwić, wszak on to był promotorem sprowadzenia braci Paulinów z Częstochowy do Krakowa na Skalkę, więc w szczególniejszy sposób interesował się dziejami zakonu i jego przybyciem do Polski. Lecz Długosz stanowi źródło historyczne późniejsze o jakie 50—80 lat od czasu sprowadzenia zakonu. Spodziewać się możemy, że gdy nasz dziejopis był jeszcze młodzieniaszkiem, opowiadano mu o Częstochowie, o cudownym obrazie, doznającym już właśnie w początkach XV w. czci powszechnej, o Paulinach, księciu Opolczyku i potężnym królu Ludwiku W. Właśnie gdy Długosz miał 15 lat zdarzyło się, że na Częstochowę napadli łotrzykowie (uważani później za husytów), obrabowali kościół i obraz cudowny potłukli a klejnoty pokradli. Nie mogło to pozostać bez echa w Polsce. Dopiero w dojrzałym wieku Długosz zajął się dokumentami klasztornymi, poznał je dokładnie i pisząc np. odnośne ustępy o uposażeniu Częstochowy w swej „Księdze

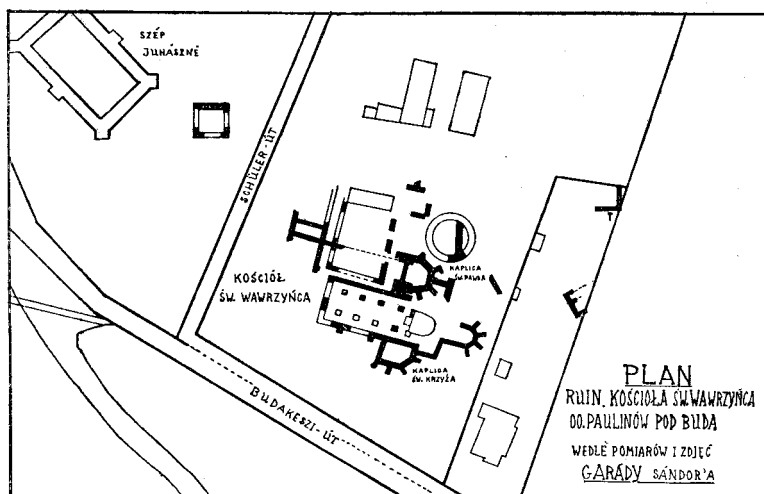
¹⁾ Czas z 22/VII 1934 r. „Powrót oo. Paulinów do Węgier” artykuł J. Uzn.

uposażeń“, miał dokumenty klasztorne przed sobą. Później przez długi czas, ważne te akta były historykom nieznane, gdyż archiwum klasztorne częstochowskie nie było dostępne dla uczonych i badaczy. Dopiero zainteresował się nim bliżej i włożył wiele lat twórczej pracy w naukowe poszukiwania nieodżałowanej pamięci ks. rektor Jan Fijałek, przygotowując do druku kodeks pt. „Zbiór dyplomów klasztoru jasnogórskiego“. I to jest główna podstawa badań nad początkami Częstochowy.

Dokumenty fundacyjne klasztoru jasnogórskiego przechowane w jego archiwum — mówią najwyraźniej, że Paulini przybyli do Polski z pod Budy, ze słynnego klasztoru św. Wawrzyńca, będącego tym dla Węgier, czym dla nas jest Częstochowa. Klasztorem tym zajmujemy się bliżej, tu bowiem odbywały się zgromadzenia generalne, tu przechowywano cenny skarb, relikwie patrona zakonu, św. Pawła Pustelnika. Istnieje jednak tradycja, niewiadomego pochodzenia, która mówi, że macierzą Częstochowy był klasztor *Maria Nostra* nad Dunajem (w komitacie Hont; dziś w budynku poklasztornym jest dom poprawczy dla kobiet), fundowany w 1342 r. przez Ludwika W. Żadnej jednak źródłowej podstawy, która by tę tradycję potwierdzała — nie udało się odnaleźć. Dlatego musimy pozostać przy tym co przekazują dokumenty.

Wspaniałą klasztor św. Wawrzyńca pod Budą, budowany w znacznej odległości od zasięgu miasta, z dala był widoczny, przy zachodzie słońca świecił białymi murami, położony *in claro monte Wudensi (Budensi)* wedle słów paulińskiego kronikarza. W XVI w. został zrujnowany i zniszczony przez Turków, którzy w 1541 r. zdobyli stolicę Węgier. Tam gdzie przeszła nawała turecka nie dochowały się żadne zabytki, żadne pamiątki, wróg niszczył wszystko co chrześcijańskie i stąd całe Węgry aż po Spisz są pozbawione starszych, średniowiecznych zabytków sztuki i kultury. Jednakowoż Turcy nie zdołali zrównać z ziemią samych budynków klasztoru św. Wawrzyńca. Dopiero wiekowe zaniedbania przyczyniły się do tego, że klasztor znikł z powierzchni ziemi. Jeszcze w 1756 r. hr. Batthyani badał

te ruiny i widział narożniki nawy kościoła z czerwonych, obrobionych kamieni, resztki murów otaczających dziedzi-
niec, dwie studnie i ślady pomniejszych budynków. Dalsze
spustoszenie cennego zabytku nastąpiło z końcem XVIII w.
i w początkach XIX, gdy budowano zajazd Szép-Juhászné
i do budowy użyto kamieni z ruin. Archeolog Henszlman
widział, będąc dzieckiem, resztki ruin sięgające miejscami
wysokości człowieka, pozostałości 7 ołtarzy, nagrobki z gó-
tyckimi napisami, resztki wspinających marmurów, czarnych,



czerwonych i białych. Niedługo po 1827 r. ruiny zarosły
trawą i znikły. Prace wykopaliskowe przedsięwziął w 1847 r.
Bugát Paweł, lekarz z zawodu z Emerykiem Henszlmanem
archeologiem, gdyż własnością Bugáta był właśnie teren
dawnego klasztoru Budakészi-ut. 89 i 93 na których stał
niegdyś klasztor. Droga Schüller-ut. dzieli na dwie części
dawne posiadłości klasztorne, jak widać na załączonym
planie, którego mi łaskawie użyczył p. Garády S. prowa-
dzący prace archeologiczne w terenie. Bugát nie zakończył
bowiem poszukiwań; po nim kontynuował je Rupp i słynny
znawca, historyk sztuki węgierskiej Diváld Kornel. Ten
ostatni w ogrodzie karczmy Szép-Juhászné, pomiędzy krza-
kami, znalazł dalsze ruiny a wzdłuż Schüller-ut., resztki
dawnych budynków pomniejszych. Dzisiaj wciąż pracuje nad

wykopaliskami p. Sándor Garády, który posiada wiele zdjęć fotograficznych z poszczególnych terenów ruin, jednak do ukończenia prac jest jeszcze bardzo daleko. Kto interesuje się tymi zagadnieniami, a pragnie zwiedzić ruiny, musi jechać taksówką za starą Budę co najmniej $\frac{1}{2}$ godziny w teren pustawy o charakterze podmiejskim, zanim dotrze do wspomnianych ulic, znajdujących się na krańcach olbrzymiego miasta. Daje nam to pojęcie, jak daleko od miasta, na odludziu wybierał sobie swe siedziby kontemplacyjny zakon białych braci eremitów.

I nasza Częstochowa była niegdyś położona daleko za osiedlem zwanym Starą Częstochową, odpowiadającym dziś dalszym częściom miasta. Tzw. Nowa Częstochowa, położona tuż pod Jasną Górą, powstała znacznie później; widoczna jest na planach XVIII w. jako luźne zabudowania i folwark. Jak stwierdza p. Garády, na podstawie położenia ruin poszczególnych klasztorów paulińskich na Węgrzech, zakonnicy nie budowali się na górach, raczej na pagórkach, najchętniej zaś w lesistych dolinach oddalonych od ludzkich osiedli, przez co pustelniczy charakter ich siedziby był zawsze zachowany.

Wróćmy jeszcze na chwilę do św. Wawrzyńca, macierzy naszej Częstochowy. Wiadomo, że wiek XIV na Węgrzech, jest okresem wzrostu i pomyślności zakonu paulińskiego, który istniał tu od połowy XIII w., a początek swój wziął od luźnych eremów rozrzuconych w lasach komitatu Pilis. Dwaj panujący: Karol Andegaweński i Ludwik W. szczególniejszą opieką otoczyli zakon. Za Karola i Ludwika powstały słynne klasztory św. Krzyża, św. Ducha, św. Władysława króla, Maria Nostra, w 1304 Bożego Ciała w Dios-Győr ulubionej później rezydencji Ludwika W. Dopiero za czasów czwartego z rzędu prowincjała zakonu Paulinów a zarazem pierwszego ich generała, Wawrzyńca, założony został interesujący nas klasztor pod Budą, dokąd przeniesiono kapitułę generalną od św. Krzyża. Wezwanie Laurentius (Wawrzyniec), wiąże się z osobą założyciela. Klasztor ten budowano prawie do XVI w. ozdabiając go wciąż marmurami, obrazami, mozaikami. Jak u nas w Częstochowie, największą czią jest otoczona kaplica cudownego obrazu,

tak u św. Wawrzyńca pełnym pietyzmu staraniem cieszyła się kaplica na płu. stronie od nawy głównej położona a zawierająca relikwie patrona zakonu św. Pawła Pustelnika. Musiała ona być wcześniejszą od zasadniczego zrębu kościoła, gdyż jest położona asymetrycznie, nie przylega bezpośrednio do nawy głównej bazyliki. Kto był w Częstochowie, zauważy natychmiast przedziwną analogię w planach budynków. Wszak kaplica cudownego obrazu również nie przylega bezpośrednio do nawy kościelnej, jest od niej oddalona o całą szerokość ołtarza Chrystusa Ukrzyżowanego i obszerną zakrystię. Zwracamy tu uwagę na ten nieobojętny dla wpływów polsko-węgierskich szczegół, który kiedyś powinni historycy sztuki dokładnie rozpatrzyć. Mimo wspaniałego rozrostu zakonu paulińskiego na Węgrzech, kraj ten nie mógł być uważany za metropolię zakonu, dopóki nie posiadał cennych szczątków patrona Paulinów — św. Pawła Pustelnika. Wiadomo, jaką rolę odgrywały relikwie w życiu religijnym i kulturalnym średniowiecza; posiadając więc relikwie patrona zakon mógł się rozprzestrzeniać z Węgier po innych krajach, zanosząc do nowych placówek drogie szczątki. Dlatego to fundacja Częstochowy, pierwszej placówki Paulinów poza Węgrami — była w zupełności zależna od poprzedzającego ją o $\frac{1}{2}$ roku faktu uroczystego przeniesienia relikwii św. Pawła Pustelnika z Wenecji do Budy, do znanego nam już klasztoru św. Wawrzyńca.

Sprowadzenie relikwii św. Pawła Pustelnika do Budy otoczone jest mnóstwem pięknych legend. I tak (wedle roczników paulińskich), projekt sprowadzenia ciała świętego podsunęli królowi Paulini z Maria Nostra. Gdy król gotował się do wojny z Wenecją, przypomnieli mu proroctwo o przyszłym zwycięstwie i zobowiązali, że w razie powodzenia w wojnie — sprowadzi święte szczątki. U współczesnego kronikarza (Jana archidiakona z Küküllő) zaledwie parę zdań czytamy o tym wydarzeniu, u późniejszego Anonima już ozdobny w szczegóły przekaz historyczny, którym posłużył się Jan Gamansio jezuita dla *Acta Sanctorum*. Szczątki św. Pawła wedle tych relacji, odbyły długą wę-

drówkę przez wschód do Konstantynopola, w 1240 r. Jakub Lanzło wenecjanin wykupił relikwie i umieścił je w kościele św. Juliana w Wenecji. Ludwik W. wśród warunków pokoju turyńskiego, po zwycięskiej wojnie z Wenecją, zastrzegł sobie wydanie relikwii św. Pawła. Późniejsze wersje, czy legendy mówią, że wśród ludności weneckiej panowało wielkie wzburzenie, tak, że Węgrzy potajemnie w nocy zabrali relikwie wraz z ciałami dwu młodzianków, przed 4/X 1381 r. Po przewiezieniu ich do Budy pierwsze pomieszczenie znalazło się w kaplicy królewskiej, a dopiero 12 listopada 1381 r. wśród wielkich uroczystości, nastąpiło ostateczne przeniesienie do św. Wawrzyńca pod Budą. Jeden z późniejszych kronikarzy paulińskich stwierdza z wielkim prawdopodobieństwem osobisty udział króla Ludwika W. przy tych uroczystościach. Mogło je widzieć i kilku panów polskich, wszak sporo ich występuje przy osobie króla, przy tego rodzaju okazjach.

Brak nam na razie dowodów, kiedy zrodziła się myśl sprowadzenia Paulinów do Polski? Wydaje się jednak rzeczą pewną, że może w czasie samej translacji i uroczystości z nią związanych, a już najpóźniej wczesną wiosną 1382 r. plan ten został wysunięty w kołach dworskich, nie bez udziału Polaków.

W związku z powyższym nasuwa się pytanie, kto był inicjatorem sprowadzenia zakonu paulińskiego do Polski, a kto fundatorem klasztoru, król Ludwik W. czy księżę Władysław Opolczyk?

Za inicjatywą królewską przemawia wiele drobnych faktów, które nie mogą znaleźć miejsca w szczupłych ramach tego artykułu, a byłyby szczegółowym udowodnieniem opieki królewskiej nad zakonem. Wiele klasztorów węgierskich król sam uposażył, wiele, za jego przykładem, panowie węgierscy. Im bliżej schyłku życia królewskiego, tym bardziej mnożą się pobożne fundacje. Mimo, że Ludwik W. szczególną opieką otaczał Paulinów, niewielu ich było przy dworze. W charakterze doradców, spowiedników, występują raczej Franciszkanie i Dominikanie, zakony wielce wpływowe w XV w. Najwidoczniej, charakter odosobnienia, kontemplacji, wiążący się z surową regułą

zakonną nie pozwolił mnichom odegrać wybitniejszej roli przy dworze węgierskim i osobie króla. Stara królowa Elżbieta też miała ulubiony swój klasztor Klarysek w Starej Budzie. Mimo tego, król musiał w szczególniejszy sposób poważać Paulinów, skoro u schyłku życia myślał o przeniesieniu ich do Polski z wielkimi uroczystościami.

A teraz parę słów o osobie Władysława Opolczyka dotychczas „oficjalnie“ od wieków uznanego jako fundatora klasztoru jasnogórskiego, który sprowadził białych mnichów do Polski. W świetle źródeł (szczegółowych dowodów, które tu pomijamy), sprawa ta przedstawia się nieco inaczej. Gdy sięgniemy do dokumentów wydanych różnymi czasy przez księcia, a zwłaszcza w okresie, gdy był palatynem węgierskim (1367—1376), przekonamy się, że prawie nigdy nie jest obecny przy uroczystych nadaniach króla, czy możliwych na rzecz Paulinów. Działalności jakiegokolwiek na korzyść mnichów węgierskich nie da się wykazać. Inny okres: żywej działalności chrystianizacyjnej i kulturalnej w czasie rządów na Rusi (do 1379 r.) jest znów w zupełności pozbawiony łączności z Paulinami. Dla wspierania akcji kościelnej na wschodnich rubieżach państwa były konieczne zakony, które szły na misje (Franciszkanie, Dominikanie) a nie stroniący od gwaru życia pustelnicy-eremici. Ni stąd ni zowąd, pierwszą fundacją paulińską Władysława Opolczyka była właśnie Częstochowa, po niej nastąpiły dalsze, czynione już z własnej inicjatywy i we własnych dobrach księcia. Mamy tu na myśli fundacje Paulinów w Głogowie na Śląsku, we Wieluniu, których dokumenty zachowały się w archiwum jasnogórskim i drukowane są w „Zbiorze dyplomów klasztoru jasnogórskiego“ uprzednio cytowanym. Zarówno z relacyj długoszowych, jak i z dokumentów fundacyjnych Częstochowy widać, że wszelkie nadania były czynione z dóbr lennych Opolczyka, które otrzymał w 1370 r. przy koronacji króla Ludwika w Polsce. Dlatego to Długosz, omawiając fundację Częstochowy pisze, że „fundacja i uposażenie przez ks. Władysława Opolskiego uczynione... było krótkotrwałe, z obcych bowiem (dóbr) ustanowione, łatwo straciło moc (prawną)“. Jagiełło zaś „niwecząc i odwołując“, wedle słów kronikarza, wszelkie zarzą-

dzenia Opolczyka na terenie jego ziem lennych — funduje Częstochowę powtórnie z wielkimi uroczystościami. Ale zaraz dalej w „księdze uposażeń” czytamy o królu węgierskim, że sprowadził Paulinów do Polski „przez księcia Władysława Opolczyka, który wtedy władzę imieniem królewskim w Polsce sprawował”... Po raz trzeci przy żywocie biskupa krakowskiego Jana Radlicy pisze Długosz o tej samej sprawie fundacji, iż król Ludwik „przez księcia Władysława Opolczyka... który w tych stronach był starostą i wsie królewskie Częstochówkę, Grabówkę i inne” nadał Paulinom. Wreszcie po raz czwarty wspominając (w księdze uposażeń) fundację Częstochowy, znów Długosz wyraża wątpliwość kto był założycielem klasztoru: *sive donatone propria suapte permotus, sive praefati Ludovici regis missione et admonitione, ut aliqui ferunt, inductus*... Takie są opinie długoszowe o inicjatywie króla Ludwika W. przy fundacji Częstochowy. Natomiast w dokumentach fundacyjnych, których mamy dwa zasadnicze: jeden zawierający właściwą fundację, drugi uzupełniający uposażenie, oba z 9 sierpnia 1382 r., książę Władysław Opolczyk stale występuje jako fundator zakonu. Jakże wytłumaczyć tę sprzeczność? Kogo właściwie uważać za fundatora? Dokumenty fundacyjne ani słowem nie mówią o osobie króla. Ażeby skutecznie wybrnąć z tej trudności, trzeba rozpatrzeć dwie okoliczności: o ile księciu mogło i musiało zależeć na osobistym pokierowaniu sprowadzeniem Paulinów do Częstochowy i w jakiej sytuacji znajdował się król Ludwik w sierpniu 1382 r.

Książę był na rok przed sprowadzeniem Paulinów do Polski w zatargu z polskim Kościołem, mianowicie za nieprawnie pobraną kolektę w dobrach biskupstwa płockiego — został obłożony klątwą, z której zwolniono go dopiero przed Wielkanocą 1381 r. Można by przypuszczać, że pobożna fundacja była rodzajem zadośćuczynienia danego duchowieństwu. Mało to jednak prawdopodobne, wobec innego faktu ważnego w rodzinie książąt opolskich.

Oto Jan Opolski zwany Kropidlą, bratanek księcia, od najmłodszych lat przeznaczony do kariery duchownej, w 1382 r. wyjechał do Italii celem uzupełnienia studiów. Gdy Mikołaj z Kurnika, biskup poznański, umierał 18. III 1382 r.,

starania o zapewnienie następstwa po nim musiały być w toku. Opolczyk miał za sobą ważny atut wobec Stolicy Apostolskiej, w postaci wielkich zasług dla chrystianizacji Rusi, nadto miał potężnego stronnika w osobie króla Węgier. Znana jest historia zatrzymania i uwięzienia elektów na biskupstwo poznańskie i gnieźnieńską stolicę, w Trewizo — w tym celu, aby nie dojechali na czas do Rzymu prosić papieża o zatwierdzenie wyboru kapitulnego. Gdyż tymczasem król Węgier (na pewno nie bez dorady ks. Opolczyka) innych kandydatów przedstawił do zatwierdzenia papieżowi, stronników rządów andegaweńskich w Polsce — w tym również Jana Kropidłę. I młodzieniaszek, zupełnie do swego poważnego zadania nieprzygotowany, zasiadł na poznańskiej stolicy, jako trzeci z rzędu biskup, powolny nowym rządóm w Polsce. Cała ta sprawa rozegrała się tuż przed przybyciem białych braci do Polski, na wiosnę 1382 r. Należy przypuszczać, że nowa fundacja związana z rodem Piastów śląskich nie mała by się przyczyniła do rozszerzenia ich sławy i podniesienia autorytetu wobec Kościoła polskiego. I uroczystości fundacyjne Częstochowy na pewno były przygotowane nader starannie, na pewno przewidziano udział króla, biskupów, stronników Węgier, panów i rycerstwa małopolskiego. Tymczasem zaszły takie okoliczności w sytuacji ogólnej w kraju, że wspaniałe plany zupełnie straciły swe znaczenie i musiały ulec gruntownej zmianie, przede wszystkim, dzięki osobie samego króla.

Wiadomo, że dłuższy czas przed śmiercią nękały króla różne dolegliwości, a ponieważ polski klimat specjalnie mu nie służył, więc przybywał do Polski jak najrzadziej. Jeśli zestawimy datę fundacji Częstochowy (9. VIII) z datą śmierci Ludwika W. (12. IX 1382) najoczywściej okaże się, że król nie mógł na uroczystości przybyć, leżał bowiem bardzo chory w Zwoleniu. W Polsce tymczasem zapanowały wewnętrzne rozterki, walki pomiędzy obozem małopolskim a wielkopolskim, niespokojne czasy, a więc zupełnie nieodpowiednie nastroje dla urządzania wielkich uroczystości, mających na celu podniesienie autorytetu rządów węgierskich wobec Kościoła polskiego. Jak był szczegółowo pomyślany program uroczystości na terenie Częstochowy, z udziałem króla

czy bez, tego nie podobna rozstrzygnąć; w każdym razie na tle współczesnych wypadków znajdujemy wytłumaczenie dla czego Opolczyk występuje na dokumentach jako fundator. Król w żadnym wypadku nie mógłby dokonać fundacji, zastąpił go więc jego najgorliwszy stronnik w Polsce, prawa ręka w polsko-węgierskiej polityce. Cała zatem zasługa przeszła tu na osobę, która miała być tylko wykonawcą królewskiej woli. I tak na całe wieki ustaliła się opinia, że książę Władysław Opolczyk staraniem swoim sprowadził Paulinów do Polski, osadził w Częstochowie, uposażył, wszystko ze specjalnej pobożności i czci jaką żywił dla zakonu. Przypuszczamy, że żyła jednak tradycja, mówiąca o właściwym fundatorze klasztoru jasnogórskiego i wykonawcy jego woli. I ta właśnie tradycja przedostała się do późniejszych o kilkadziesiąt lat *Dziejów* Jana Długosza.

Są jeszcze inne dowody wskazujące na prawdziwość twierdzenia, o osobie fundatora klasztoru jasnogórskiego. Oto dokumenty fundacyjne zawierają wymienionych świadków, którzy brali udział w uroczystości. Nie ma tam ani jednego z przedniejszych wielmożów polskich, nie ma przedstawicieli arystokracji węgierskiej. Są tylko urzędnicy, dworzanie ślascy i kapelani księcia Władysława Opolczyka. Nikt się nie zjawił na uroczystości związanej z obozem filowęgierskim, a tym mniej z księciem powszechnie w Polsce znienawidzonym. Fundację przeprowadzono pośpiesznie, w obliczu ważnych wypadków w kraju. Książę sam wnet po dokonaniu fundacji wyjechał z Częstochowy i w czasach późniejszych nie spotykamy już ani jednego dokumentu, którym by Opolczyk klasztor specjalnie jeszcze dotował. A wiemy, że było zwyczajem, ciągłe obdarowywanie ulubionych zakonów, czy to ziemią, czy czynszami, czy naczyniami kościelnymi, relikwiami itp. Częstochowa nie była więc ulubionym klasztorem księcia, mało go obchodziła, w parę lat po jej fundacji sprowadził sobie Paulinów do własnych dóbr na Śląsk. Pomniejszych dowodów byłoby jeszcze bardzo wiele, ale brak miejsca nie pozwala nam ich przytoczyć.

Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia zagadnienie, jak wyglądała Częstochowa w dobie przybycia białych braci i jak przedstawiał się przyjazd ich oraz pomieszczenie.

O samej Częstochowie w dobie sprowadzenia oo. Paulinów wiemy bardzo niewiele. Nazwa miejscowości pochodziła od jakiegoś Czanstocha, czy Częstocha, imienia słowiańskiego spotykanego nader rzadko. Po raz pierwszy spotykamy Częstochowę jako wieś rycerską w 1220 r. w przywileju biskupa Iwona zatwierdzającego nadane przez jego poprzedników dziesięciny konwentowi kanoników regularnych w Mstowie.¹⁾

Ponieważ drugi raz spotyka się dziesięciny z Częstochowy w 1250 r. w posiadaniu klasztoru N. P. Maryi we Wrocławiu, stąd przypuszczenie, że istniały jakieś związki pomiędzy Wrocławiem, Mstowem i Częstochową. Być może, że Opolczyk będąc ślązakiem dokonał właśnie wyboru tego a nie innego miejsca na przyszłą siedzibę Paulinów w Polsce. Legenda każe zatrzymać się koniom wiozącym cudowny obraz na miejscu Częstochowy. Motyw tej legendy wydaje się dość późnego pochodzenia i nasuwa analogię z pobliskich Gidel. Możliwe jest przeniesienie tego motywu legendarnego do Częstochowy, którego np. Długosz wcale nie podaje i nie zna, dopiero notuje późniejsza literatura dewocyjna.

Później, z początkiem XIV w. spotykamy już w Częstochowie parafię, jedną z najmniejszych i najuboższych w dekanacie lełowskim, sądząc z opłaty świętopietrza. Osadnictwo tych stron, w świetle prac o rodach rycerskich, a zwłaszcza cennych prac prof. Semkowicza, nie wykazuje żadnego gniazda rodowego ani wybitnego rodu w całej okolicy. Jednym słowem, Częstochowa w 1382 r. to uboga parafia, dla dwu osad Starej Częstochowy i Częstochówki. W tym Stara Częstochowa była lokowana jako wieś na prawie niemieckim 24. VIII 1356 r. Za czasów gdy wieś należała do lenna w posiadaniu Władysława Opolczyka, powstało tu miasteczko (*civitas*), mające dwa kościoły: jeden prastary na górze położony, parafialny, drugi u podnóża góry, filialny poprzedniego.

Ten to kościół parafialny na górze położony, pod wezwaniem N. Panny Maryi Dziewicy i Bożej Rodzicielki

¹⁾ Kodeks dypl. małopolski, t. I nr. 385.

w Starej Częstochowie, pamiętał dobrze Długosz z czasów swego dzieciństwa, opowiada o nim bowiem w *Księdze uposażeń*, że był zbudowany z bierwion sosnowych, miał nawę i chór murowany, z jałmużny wiernych wzniesiony i kaplicę murowaną z obrazem N. P. Maryi. Należy przypuszczać, że cała budowa była drewniana, kaplicę zaś zaczęto budować z chwilą otrzymania cennego daru — obrazu Matki Bożej, który wnet zaczął słynąć cudami. Koło tego pierwotnego kościółka znajdującego się niegdyś przy dzisiejszej kaplicy cudownego obrazu, pobudowano dla pierwszych braci Paulinów klasztor, jako że zwyczajem zakonu było osiedlanie się za miastem na wzgórzach, w pewnej odległości od ludzkich osad. W parafii duszpasterskie obowiązki spełniał Henryk Biel z Błeszna herbu Ostoja, mający pod swą pieczę również mały kościółek filialny. Tutaj to powziął Opolczyk zamiar osadzenia Paulinów — ale wedle dawnego przepisu obowiązującego w zakonie Paulinów — mnisi nie mogli objąć w posiadanie żadnego kościoła parafialnego, zanim duszpasterskie obowiązki nie zostały w nim w ogóle zniesione lub przeniesione do innego kościoła. (Podobnie było w Krakowie ze starą parafią na Skałce, dokąd sprowadzał Paulinów sam Długosz). To też 22 czerwca 1382 r. (jak stwierdzają dokumenty w archiwum jasnogórskim) nastąpił w Częstochowie zjazd uroczysty. Przybył Opolczyk z dworem, przybyli, prawdopodobnie nie razem z nim, lecz osobno, pierwsi bracia Paulini do Polski z przeorem od św. Wawrzyńca Grzegorzem na czele. W obecności księcia dokonano następujących aktów prawnych (potwierdzonych później dokumentami): a) rezygnacji Henryka Biela z Błeszna proboszcza częstochowskiego z kościoła parafialnego w Częstochowie na rzecz przeora generalnego Paulinów i braci z nim przybyłych, równocześnie zaś b) rezygnacji z uposażenia parafii. Na znak tej cesji i rezygnacji, pleban Henryk wydał przeorowi od św. Wawrzyńca pod Budą Grzegorzowi klucze kościoła w Starej Częstochowie. Aktowi towarzyszył tylko dwór książęcy i nowo-przybyli Paulini. Po czym przeor Grzegorz odjechał na Węgry, gdyż w następnych aktach fundacji klasztoru już nie jest wymieniony. Wtedy też ustalono termin uroczysto-

ści fundacji na 9 sierpnia, czyli w wigilię patrona klasztoru skąd Paulini przybywali (św. Wawrzyńca). Po uroczystości bracia pozostali już w Polsce; prawdopodobnie wykończano jakiś klaszorek dla nich. Niestety, przy braku źródeł nigdy nie stwierdzimy jakie były imiona pierwszych białych braci przybyłych do Polski i ilu ich sprowadzono. Przywieźli z sobą niewątpliwie relikwie patrona św. Pawła Pustelnika, najcenniejszy skarb nowej fundacji. Drobne części relikwii św. znajdują się wprawdzie we wszystkich kościołach paulińskich w Polsce, ale Częstochowa nie posiada niestety żadnego dokumentu stwierdzającego autentyczność tych relikwii. Wiemy zaś, że dziś relikwie św. Pawła Pustelnika w ogóle nie istnieją poza drobnymi częstkami. Wywiezione bowiem z Budy w obliczu niebezpieczeństwa tureckiego do Cieszyńska — wedle relacji dziejopisów paulińskich — spaliły się w czasie pożaru. — Innymi przedmiotami kultu przywożonymi w takich okazjach były kielichy, ornaty, obrazy. Pozostawiamy tu na uboczu kwestię, czy cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wtedy był przywieziony do Częstochowy, czy później — sprawa to bowiem mocno zawisa i wymaga osobnego rozpatrzenia. Ale każdy kto zwiedzał skarbiec oo. Paulinów na Jasnej Górze, widział wspinały ornat z gotyckim haftem, rzadkiej piękności, z herbami u dołu, do którego przywiązana jest wersja, że podarował go Paulinom książę Władysław Opolczyk. Istotnie w stylu odpowiada on epoce XIV w. Sam zresztą książę, jak już wspomniano, żadnej specjalnej opieki nad Paulinami jasnogóorskimi nie roztaczał. Bezpośrednio po dokonaniu aktu przekazania Paulinom kościoła wyjechał, najpewniej na Węgry, aby stanąć u boku chorego króla, znów go bowiem w Polsce nie widzimy aż do pamiętnego dnia 9 sierpnia 1382 r., dnia uroczystej fundacji klasztoru na Jasnej Górze.

Opisywanie fundacji i uposażenia pierwotnego klasztoru nie leży w naszych zamiarach i ramach tego artykułu. Celem jego były debaty wstępne nad problemem przybycia do Polski braci Paulinów i osadzenia ich w Częstochowie, gdzie rozpoczęli swą cichą działalność, a tak przecież chlubnie zapisaną w dziejach Polski obroną w czasie wojen

szwedzkich i rozpowszechnieniem kultu Matki Bożej. Ona to zwana na Węgrzech już od średniowiecza *Regina Hungariae*, w Polsce od najdawniejszych czasów średniowiecza doznawała powszechnej czci, aż w XVII w. zostaje otoczona jeszcze żarliwszym kultem, jako Królowa Korony Polskiej.

Dr Krystyna Pieradzka.

Przegląd Piśmiennictwa.

Alina Świdarska: *Królowie*, powieść z życia i epoki Wagnera, część druga: *Król z bajki* (Kraków 1938, skład główny: Biblioteka Polska). — Jaroslav Maria: *Król*, tłum. Henryk Leśniewski, (wyd. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska). — Mieczysław Smolarski: *Iskry na szablach* (wyd. Rój). — Edward Tomaszewski: *Widmo niedźwiedzia* (wyd. Książnica-Atlas). — Juliusz German: *Amaranty* (wyd. Książnica-Atlas). — Sergiusz Piasecki: *Piąty etap* (wyd. Rój). — John Worby: *Pamiętnik niebieskiego ptaka*, tłum. Helena Mysłakowska (wyd. Książnica-Atlas). — Kornel Makuszyński: *Szatan z 7-ej klasy* (wyd. Gebethner i Wolff).

Druga część *Krółów* Aliny Świdarskiej, nosząca podtytuł *Król z bajki*, jest już trzecią książką z bardzo interesującego cyklu wagnerowskiego tej autorki. Obejmuje ona okres burzliwego życia Wagnera, zamknięty między dwoma jasnymi momentami: wezwaniem na dwór króla bawarskiego, Ludwika II, i położeniem kamienia węgielnego pod budowę teatru w Bayreuth. Pomimo ciągłych trudności i powikłań zarówno na terenie muzycznym, jak i osobistym, ten okres życia Wagnera jest już jednak okresem osiągnięć, tryumfów, zwycięstw jego geniuszu twórczego. Dlatego zapewne choć nie tracimy tu z oczu Wagnera człowieka i twórcy, choć w dalszym ciągu widzimy jego najbliższe otoczenie, pełne jak zawsze ciekawych, nieprzeciętnych ludzi, więcej miejsca niż w poprzednich powieściach cyklu zajmuje tu jego twórczość, traktowana już obiektywnie, w oderwaniu od osoby mistrza. W *Prometeuszu i perliczce* i *Królu bez ziemi* poznaliśmy od wewnątrz mechanizm twórczości Wagnera, widzieliśmy, jak pierwsze pomysły dzieł, przelotne wrażenia długo nie raz czekają na wydobywanie na światło dzienne, jak potem dojrzewają i rosną, jak wzbogacone coraz nowymi elementami krzepną wreszcie w kształt ostateczny. W tomie, który omawiam dzisiaj, tych momentów jest znacznie mniej. Już nie *in statu nascendi* oglądamy tu opery wagnerowskie, nie od strony ich genezy, lecz w formie ostatecznej, skończonej, w jakiej poszły w świat, słuchane z zachwytem lub oburzeniem przez bywalców monachij-

skich premier teatralnych, słuchane do dziś dnia po całym świecie przez wszystkich miłośników muzyki. Opowiadając treść owych oper ze zwróceniem uwagi na najważniejsze motywy muzyczne, spełnia p. Świdarska to, co sama w przedmowie za cel główny swej pracy podała: uprzystępnia w sposób lekki i nie nużący muzykę wagnerowską i ułatwia jej zrozumienie „tym, którzy bądź z natury są mało muzykalni, bądź też brak im wykształcenia muzycznego”. Doskonałą sposobność do tych analiz, do wplecenia i organicznego związania ich z wątkiem opowiadania, stwarza fakt, iż na opisywany okres życia Wagnera przypada wystawienie takich jego arcydzieł, jak *Tristan i Izolda*, *Die Meistersänger*, oraz dwie pierwsze części *Pierścienia Nibelungów*: *Złoto Renu* i *Walkiria*. Oczywiście analizy te nie są bynajmniej z punktu widzenia muzycznego wyczerpujące. Szczegółowy rozbiór twórczości Wagnera byłby jednak nie na miejscu w powieści biograficznej o charakterze popularnym, której zadaniem jest tylko wprowadzenie czytelnika w świat wagnerowskiej muzyki. Do tego celu takie opisy, jakie daje nam p. Świdarska, stanowią drogę najwłaściwszą, gdyż zapoznanie się z treścią oper Wagnera, wobec jej ścisłego zespolenia z muzyką, jest krokiem wstępnym, niezbędnym do ogarnięcia całości. To zaś, co mówi nam autorka o samej muzyce, wystarcza zupełnie, aby wzbudzić w czytelniku zaciekawienie i chęć poznania tej muzyki wprost, nie za pomocą najsubtelniejszych choćby omówień. A na pewno o to właśnie autorce chodziło. Obok tych ściśle muzycznych partyj książki, stanowiących nowość w porównaniu z poprzednimi częściami cyklu, zanotować również należy pewne rozszerzenie tła, na którym przedstawione są losy Wagnera. Nie przestaje on naturalnie być centralną postacią powieści, jednak czy to dlatego, że życie jego w tej epoce jest nieco spokojniejsze i — przynajmniej na zewnątrz — mniej burzliwie urozmaicone, niż poprzednio, czy też dlatego, że w krąg jego najbliższych dostają się teraz jednostki tak wybitne umysłem lub stanowiskiem, jak Nietzsche i król Ludwik bawarski, dość że pobocznym figurem poświęca autorka teraz więcej miejsca, niż w tomach poprzednich, co zresztą w powieści z tak ciekawej epoki i w odniesieniu do nieprzeciętnych ludzi jest zupełnie zrozumiałe i trafne. Interesujemy się ich życiem, pragniemy wiedzieć o nich jak najwięcej, a książka p. Świdarskiej daje nam zaspokojenie naszej ciekawości, wolne ponadto od tych zastrzeżeń, jakie zwykle budzić musi w czytelniku upowieściowana biografia. Istotnie, tyle razy uroczyście poręczona przez autorkę autentyczność faktów, słów, listów i pamiętników, przytaczanych w tekście, sprawia, że odnosimy się do podanych nam wiadomości z pełnym zaufaniem, zwiększającym jeszcze przyjemność czytania tej interesującej książki. Oczywiście ta autentyczność, ta wierność możliwa jest tylko tam, gdzie istnieje znaczna ilość odpowiednich doku-

mentów danej epoki. Na szczęście ludzie XIX wieku, romantycy z tradycji, jeśli nie z ducha, lubili pisać, wywnętrzać się, ubierać w słowa swoje uczucia i przeżycia, to też epoka ta, pełna dzienników, wspomnień i nadzwyczaj obszernych korespondencji jest prawdziwą kopalnią tego rodzaju materiałów powieściowych. Ścisłe trzymanie się ich wymaga wprowadzić dużego samozaparcia ze strony autora, celowo krępującego swoją wyobraźnię, w zamian za to jednak daje powieści wagę dokumentu historyczno-obyczajowego. P. Świdarska, postawiwszy sobie ambitne zadanie absolutnej wierności dokumentom, szczęśliwie wybrnęła z nasuwających się trudności i dała nam książkę żywą, ciekawą, zbliżającą nas i do wielkiej postaci genialnego muzyka, i do tego, co jest dziełem całego jego życia. Drobne usterki języka, których w tym tomie jest już tylko kilka, zapewne w następnych tomach znikną zupełnie.

O ile książka Świdarskiej jest bardzo udanym obrazem monografii powieściowej, o tyle karykaturą tego rodzaju literackiego jest *Król Jaroslava Marii*. Czeski autor opisał w swej książce dzieje niefortunnego małżeństwa Edwarda VIII z panią Simpson. Nie wiemy, na jakich opierał się dokumentach, wydaje się jednak, że przebieg głośnej sprawy podał mniej więcej wierne, tak jak go z gazet mogła śledzić cała Europa. Natomiast na pewno produktem „wyobraźni twórczej” autora są dialogi, obficie ilustrujące stan psychiczny działających osób, dialogi rozwlekłe, niedołążne, pozbawione logiki, a nieraz i prostego sensu. Naiwny, niezdarny styl tego „utworu” sprawia, że trudno jest już nie tylko przeczytać, ale choćby przerzucić 600 stron, zapisanych zdaniami w rodzaju tego: „Królowa, z natury subtelna, w tej chwili była złamana, bardzo bowiem szczęśliwie żyła ze swym mężem, to też pragnęła pod wpływem nieszczęścia tylko jednego: spokoju”. Sytuację pogarsza niestaranność tłumaczenia: „w ogóle Anglia za wsze czasy była wielka i potężna”, „znajdziemy się pośrodku romansu”, „czuła się też historią zbulwersowana”. Długi szereg podobnych kwiatków stylistycznych dopełnia przykrego wrażenia, jakie ta powieść wywiera. W ogóle można by tą książką z czystym sumieniem podpalić w piecu i nie zajmować się jej omówieniem, gdyby nie fakt wydania jej przez Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska. Co skłoniło poważną placówkę wydawniczą do wypuszczenia w świat podobnej bzdury — pozostanie jej tajemnicą. Trudno nawet przypuścić, że względy finansowe odegrały decydującą rolę, jest bowiem więcej niż wątpliwe, żeby tego rodzaju „literatura” zdobyła sobie wielu czytelników. Ani czytelnie, ani ci, którzy mogą pozwolić sobie na kupno własnych książek, na pewno nie utopią pieniędzy w tak bezwartościowym towarze. Dla kogo więc i po co tłumaczy się takie książki? I jeszcze jedna uwaga na marginesie

tego niefortunnego wydawnictwa. Coraz bardziej przyzwyczajamy się do reklamy, do pochwał zupełnie niewspółmiernych z wartością powieści, jakimi wydawcy zaopatrują puszczone w świat książki. Oswoiłiśmy się również — niestety — z bardzo wątpliwą formą językowo-stylistyczną tych reklam, które tak słusznie napiętnował kiedyś Grzymała-Siedlecki w *Kronice Polski i Świata*, biorąc asumpt z reklamy wydawniczej *Sanatorium pod klepsydrą* Schulza. Jednakże nawet pomimo stępienia naszej wrażliwości na te sprawy nie można czytać spokojnie takich pochwał oddawanych *Królowi* jak np.: „Pełne fatalistycznego realizmu sceny z zakresu współżycia łączą się z nader interesującymi, pełnymi ekspresji momentami lirycznymi, a wszystko jest to bardzo ciekawą literaturą, świadczącą o znacznej skali kultury artystycznej autora czeskiego“. Istotnie, ta reklama jest najzupełniej na poziomie książki, którą zachwala, i świadczy „o znacznej skali kultury artystycznej“ swego twórcy.

Powieść historyczna, jak każdy większy gatunek literacki, zróżnicowała się z biegiem czasu pod piórem rozmaitych autorów, z których każdy wedle indywidualnego upodobania akcentował te czy inne jej elementy, rozwijał i pogłębiał jedne motywy, uszczuplając w zamian inne. Pierwotna powieść historyczna, taka jaką ją stworzył Walter Scott, była właściwie romansem przygód, powieścią awanturniczo-sensacyjną (oczywiście w znaczeniu ówczesnym, nieco odmiennym od dzisiejszego), rzuconą na tło niezbyt odległej przeszłości historycznej i rozszerzoną mnóstwem rysów obyczajowych, charakterystycznych dla opisywanej epoki. Dziś odeszliśmy daleko od tych pierwocin. Powieść historyczna pogłębiła psychologię postaci, wprowadziła problematykę historyczno-społeczną, nauczyła się operować tłumem, a drobiazgowo opisy ubrań i mieszkań zredukowała znacznie na rzecz szczegółów, charakteryzujących epokę od wewnątrz. Zamiast inwentarzowego opisu zewnętrznej strony życia i znajomości tylko powierzchownych jego przejawów, szukamy i znajdziemy dziś w powieści historycznej mniej lub więcej szczęśliwie uchwyconego „ducha epoki“. Niemniej jednak motyw przygody nie przestaje i nie może przestać być koniecznym elementem takiej powieści, osią jej fabuły, choć zwykle występuje on teraz w postaci rozszerzonej i uszlachetnionej, a nierzadko zmienia znacznie charakter w powieściach historycznych o typie monograficznym, takich jak np. *Żelazna korona* Malewskiej. Podobnie i koloryt czasowo-lokalny musi być nadal w powieści historycznej oddany z całą starannością, choć jak już wspomniałam, nieco inaczej pojmujemy go dzisiaj, niż to miało miejsce za czasów Kraszewskiego. Aby jednak powieść historyczna dała nam pełne zadowolenie estetyczne, jakiego oczekujemy od tego rodzaju literackiego, muszą oba te pierwotne i niezbędne jej składniki być odpowiednio dobrane

i zharmonizowane, musi też każdy z nich posiadać walory indywidualne. Tę ostatnią refleksję nasuwa nam lektura powieści Mieczysława Smolarskiego: *Iskry na szablach*.

W tym wszystkim, co dotyczy sposobu życia w opisywanej epoce, co musi być oparte na rzeczywistej historii i autentycznych materiałach znać sumienne studia autora i godne pochwały staranie o wierność. Jest w tej powieści także dążenie do ogarnięcia całokształtu życia ówczesnego, wyrażające się we wprowadzeniu przedstawicieli różnych warstw społecznych i różnych zawodów. Natomiast zawodzi najzupełniej element fikcji; fabuła powieściowa dziwnie słaba i świadcząca o ubóstwie wyobraźni autora. I nie to nawet mamy jej do zarzucenia, że pobrzmiewają w niej bardzo wyraźne echa sienkiewiczowskie. Ostatecznie walki orężem i podstępem z nieprzyjaciółmi ojczyzny, przekradania się przez szeregi wrogów do obleżonego miasta — tym razem Smoleńska, bo rzecz dzieje się za Władysława IV-go, — porwanie panny, ucieczka skrzywdzonych sierót od złego stryja i tym podobne przygody wojenne i niewojenne, to zwykły repertuar powieści historycznej i przed Sienkiewiczem i po nim. Rzecz cała w tym, jak się z tego materiału wydarzeń korzysta, czy umie się stworzyć z niego nową, organiczną całość. Otóż tego talentu właśnie Smolarski nie wykazał. Prowadzenie niby urozmaiconej akcji jest u niego jakieś bezbarwne, powieści brak życia, brak tego nerwu narracyjnego, który by zmusił czytelnika do skupienia uwagi na opisywanych zdarzeniach, a który niezbędny jest dla tego typu opowiadań. Również szwankuje charakterystyka postaci, zbyt wyraźnie podzielonych na czarne i jasne charaktery. Zнадto rozsądna, patriotyczna, ofiarna i w ogóle doskonała jest większość figur, umieszczonych przez autora po jasnej stronie. Wytworzona w ten sposób atmosfera pewnej cikliwości nie wychodzi na dobre książce. Zwłaszcza że, znając skądinąd inne oblicze ówczesnej polskiej rzeczywistości, odnosimy się z dość uzasadnionym sceptycyzmem do owych przeanielonych kreacji Smolarskiego. Na podkreślenie zasługuje specjalnie pozytywny, ciepły, serdeczny stosunek autora do staropolskiego mieszczaństwa. Widać, że autor pragnął tu przeciwstawić się, czy też tylko uzupełnić przeważające w naszych opowiadaniach o przeszłości zainteresowanie warstwą szlachecką, pragnął przedstawić tę część społeczeństwa, która istotnie w XVII wieku była już przez swój rozum i patriotyzm godną, choć pozbawioną praw politycznych, rywalką szlachty. Ten rys „ideologiczny” powieści jest może jej cechą najbardziej indywidualną, niezdolną jednak oku-
pić poważnych braków natury artystycznej.

Do książki Edwarda Tomaszewskiego: *Widmo niedźwiedzia* łatwiej byłoby się ustosunkować, gdybyśmy wiedzieli, jak ją zamierzał traktować sam autor. Podtytuł „opowiadanie

historyczne z XIV w.“ zdaje się wskazywać na to, że nie pretenduje ona do rangi powieści historycznej. Gdyby w podtytule znajdowały się jeszcze słowa: „dla młodzieży“ — bylibyśmy w domu. Wiedzielibyśmy wtedy, jakie były aspiracje autora i na jakiej płaszczyźnie należy jego książkę rozpatrywać. A zdaje mi się, że umieszczenie jej w kategorii książek dla młodzieży i ocena z tego punktu widzenia będzie tutaj najwłaściwsza. Na „młodzieżowy“ charakter książki wskazuje sam rodzaj intrygi. Są to bowiem przygody bardzo młodych chłopców, którzy w kraju niepokojonym ciągłymi napadami Tatarów i Litwinów przeżywają rozmaite niebezpieczeństwa, wychodzą z nich jednak zawsze cało dzięki swemu sprytowi i męstwu. Ten typ opowiadań znany nam jest dobrze z historycznych powieści dla młodzieży, ale też tylko w nich ma rację bytu. Od powieści historycznej w całym tego słowa znaczeniu mielibyśmy prawo wymagać ciekawych postaci naczelnych, ich pogłębienia psychologicznego oraz mniej prymitywnego arsenału przygód; — jedynie w opowiadaniu dla chłopców między 10-tym a 14-ym rokiem życia może wystarczyć takie ujęcie, z jakim stykamy się w *Widmie niedźwiedzia*. I jeżeli nawet będziemy nadal patrzeć na tę książkę z przyjętego punktu widzenia, trudno nie wytknąć jej tak poważnego braku w technice prowadzenia akcji, jakim jest zbyt wczesne i zbyt wyraźne odsłanianie tajemnicy pochodzenia Liska, która jest przecież osią całej intrygi. Od połowy książki wiemy już, jakie będzie rozwiązanie tej zagadki, a tym samym słabnie nasze zainteresowanie przygodami bohaterów. A choć sam pomysł przypadkowego odnalezienia rodziny przez chłopca, którego matkę napadł i zabił ongiś niedźwiedź, jest zupełnie w duchu takich powieści dla młodzieży, niezbyt szczęśliwą nowością są tu te wszystkie ekscentryczne akcesoria, którymi autor upiększył ten motyw, a przede wszystkim owa kaplica — nagrobek z pomnikiem, przedstawiającym scenę śmierci nieszcześliwej kobiety. Czyż jest psychologicznie możliwe, aby bolejący po stracie żony mąż chciał mieć stale przed oczami tragiczny moment jej zgonu w tak okropnych okolicznościach? Wreszcie samo umieszczenie tych przygód na tle tak bardzo odległej i stosunkowo mało znanej epoki, jak czasy Kazimierza Wielkiego, jest krokiem dość ryzykownym. Jeśli nawet będziemy patrzeć przez palce na nieuniknione dowolności w archaizacji mowy, to zawsze pozostanie nam jeszcze pewna podejrzliwość co do prawdziwości szczegółów obyczajowych, owo natrętne pytanie: „czy to aby naprawdę tak było?“ które nie pozwala na pełne poddanie się sugestiom autora. I znów: te rzeczy tracą oczywiście swoją ostrość, gdy książkę traktujemy, jako opowiadanie dla młodzieży, w którym tło historyczne jest kanwą dla przygód dzielnych młodzieńców. Wtedy żądamy już tylko od autora pewnego koniecznego minimum wierności, aby nie wprowadzał w błąd młodego pokolenia i nie wszedł

w kolizję z nauczycielem historii, nie szukamy natomiast w jego książce głębokiej i istotnej znajomości epoki. Traktowana więc jako książka dla młodzieży, powieść Tomaszewskiego będzie mogła zapewne zyskać sobie czytelników wśród młodocianych amatorów lektury.

Trzecią powieścią historyczną, którą mam dziś omówić, są *Amaranty* Juliusza Germana. I ona również nasuwa wiele zastrzeżeń. Jest oczywiście dobrym prawem każdego autora wybierać z rzeczywistego materiału historycznego te zdarzenia i postaci, te szczegóły i odcienie, które odpowiadają jego upodobaniom twórczym, i z których pomocą będzie mógł dać w swym utworze taką wizję owej historycznej rzeczywistości, jaka powstała w jego umyśle. Niemniej jednak jest równie dobrym prawem czytelnika szukać w owej wizji jakichś momentów ciekawszych, głębszych, bądź wzbogacających jego wiedzę o ludziach i świecie, bądź dających wartościowe przeżycia estetyczne. Niestety książka Germana takich momentów nie zawiera. Arcyciekawa, a przy tym głęboko tragiczna epoka Księstwa Warszawskiego i kilku najbliższych lat, poprzedzających jego powstanie, wypełniona olbrzymimi nadziejami i gorzkim rozczarowaniem, najczystszy bohaterstwem i najcięższymi ofiarami, niosąca ze sobą wypadki dziejowe światowej wagi, ukazana została w powieści Germana od strony salonowej plotki, od strony romansów i zabaw, w których szukają wypoczynku i zapomnienia uczestnicy wczorajszych i jutrzejszych krwawych walk. Dziwne pomieszanie rzeczy ważnych i drobiazgów, ciekawych szczegółów historycznych i najbanalniejszych, trącących *Iwonką*, epizodów lirycznych, lubowanie się w opisach urody niewieściej i nieporadność w kreśleniu sylwetek psychologicznych — stwarza swoisty bigos historyczno-sentymentalny. Uważnemu czytelnikowi zdawać by się mogło, że największą troską autora jest zapoznanie nas ze... sposobem ubierania się w owych czasach. Ilekroć zjawiają się na powieściowej scenie nowe postaci, zwłaszcza wojskowi, choćby to byli prości żołnierze, następuje dokładny opis umundurowania, nie pomijający barw, gatunku materiałów i futer, ilości i jakości broni palnej i siecznej... Ta kostiumowa znajomość epoki może nam nawet bardzo zaimponować, ale korzystanie z niej przy każdej okazji nie wydaje się potrzebne i nie zwiększa naszego zainteresowania książką Germana. Bardzo niemiła jest wreszcie maniera stylistyczna autora: nadużywanie przymiotników w superlatywach i budowanie zdań w ten sposób, że czasowniki znikają, a każdy rzeczownik opatrzony jest mnóstwem epitetów. Styl ten, w intencji autora zapewne emocjonalny, dla czytelnika jest jednak tylko nużący.

Gdy czyta się nową książkę Sergiusza Piaseckiego, *Piąty Etap*, niesposób nie zestawiać jej ciągle w myśli z *Ko-*

chankiem Wielkiej Niedźwiedzicy, tym pierwszym utworem, który wyprowadził Piaseckiego z więzienia, a wprowadził do literatury. Analogie bowiem między tymi dwiema powieściami są bardzo duże. W obydwóch tematem opowiadania jest właściwie życie polsko-sowieckiej granicy z tą tylko różnicą, że poprzednio oglądaliśmy je oczami przemytnika, teraz zaś prowadzi nas przez dukty graniczne, „drugie linie” i zasięki wywiadowca, t. j. człowieka zwanego oficjalnie agentem wojskowego wywiadu zakordonowego, a potocznie szpiegiem. Istota przeżyć jest w obu książkach niemal ta sama: pokonywanie niebezpieczeństw granicy, przekradanie się przez kordony straży, samotne uciążliwe wędrówki po lasach i bagnach, ciągłe napięcie nerwów, ciągła gotowość do walki lub ucieczki, ustawiczne ocieranie się z bliska o śmierć. No, i jako konieczne uzupełnienie tego rodzaju życia: wódka w niezmiernych ilościach i brutalne przygody erotyczne. Jednakże, pomimo podobieństwa w zasadniczej osnowie, *Piąty Etap* posiada wyraźne cechy indywidualne, różniące go od *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy*. Zawiera mianowicie pewne ciekawe momenty, dotyczące tego, co nazwać by można ideologią szpiegostwa. Przemytnik z *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* nie gloryfikował swego rzemiosła, nie bronił przemytnictwa, ani nie usiłował osłonić go jakimiś względami wyższej racji; byłoby to zresztą absurdalne i niemożliwe, gdyż ten proceder uprawia się jedynie dla zysku lub ostatecznie dla przyjemnego dreszczu emocji, związanej z przygodą. Roman Zabawa, bohater *Piątego Etapu* lubi wprowadzić swoje zajęcie przede wszystkim jako teren umożliwiający mu wyżycie pierwotnych instynktów i pozwalający zaspokoić tkwiące głęboko w jego niespokojnej naturze zamięłowanie do ryzyka i walki. Posiada jednak poczucie ważności swojej misji, wie, że to zło konieczne, jakim jest szpiegostwo, jest niestety naprawdę dla państwa koniecznością i potrafi bronić swej pracy, samej zasady swej pracy, w słowach bardzo gorących i doprawdy sympatycznych, choć nie zawsze dostatecznie przekonujących. Drugą odrębną cechą *Piątego Etapu* jest silnie dźwięcząca w nim nuta anty-bolszewicka, anty-sowiecka. Krytyka ustroju, który zamiast głoszonego wyzwolenia przyniósł najstraszliwszą, upadającą niewolę, głoszona nie tylko przez niespokojnego ducha Zabawę, ale i przez spokojnych obywateli sowieckiego raju; chociaż fragmentaryczna i niepogłębiona ma akcenty wielkiej szczerości i tę mimowolną siłę przekonującą, bijącą zawsze z rzeczy przeżytych naprawdę, oglądanych na własne oczy i osobiście przecierpianych. Jeżeli jako całość nowa powieść Piaseckiego ustępuje jednak *Kochankowi Wielkiej Niedźwiedzicy*, to dzieje się to wskutek kilku jej właściwości natury przede wszystkim formalnej. O ile pomysł wprowadzenia w opowiadanie dziennika Romana Zabawy uznać można za szczęśliwy (zwłaszcza, że towarzyszy mu pewne, godne podkreślenia, zróżnicowanie stylistyczne obu par-

tyj), o tyle niefortunne są częste wstawki, synchronizujące niebezpieczne i tragiczne wypadki powieści ze zdarzeniami lekkiego i łatwego, czasem nawet zbytkownego życia innych ludzi, owe krótkie i wymowne zdania w rodzaju tych: „Gdy Zabawa i Krawiec pokaleczeni, wyczerpani z sił, przepływali Oreszę, w Warszawie, w zimowym basenie, grupa młodzieży ćwiczyła się w pływaniu. Gdy myli zbolale, pokaleczone, spuchnięte stopy, w Paryżu odbywał się konkurs piękności nóżek kobiecych”. Pretensjonalność tych wstawek nie licuje z ogólnym charakterem książki, a zbyt hojne szafowanie nimi wytwarza szybko monotonię i osłabia wrażenie, które wywrzeć mogą takie zestawienia, stosowane oszczędniej i dyskretniej. Połączenie zwykłego opowiadania z dziennikiem bohatera, chociaż sprzyja pogłębieniu psychologii naczelnej postaci, osłabia jednak i przerywa normalny tok opowiadania, które nie trzyma nas już w takim napięciu uwagi, jak pierwsza książka Piaseckiego. Również odczucie przyrody, które stanowiło bardzo mocną stronę tamtej książki, tutaj nie dochodzi do głosu z równą siłą. Nie ma w *Piątym Etapie* tego podskórnego nurtu poetyczności, który płynął poprzez przygody przemytników i był jednym z głównych uroków tamtej opowieści. W ogóle granica w *Piątym Etapie* jest znacznie mniej romantyczna, niż w *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy*. Jest już nie linią przygód, ale linią dzielącą dwa wrogie sobie państwa, dwa ludy, dwa ustroje.

Pamiętnik Niebieskiego Ptaka Johna Worby nosi w oryginale angielskim tytuł *The other half — Druga połowa*, a za motto służy mu aforyzm: „jedna połowa ludzkości nie wie nawet, jak druga połowa żyje”. Tą drugą połową są oczywiście wszelkiego rodzaju niebieskie ptaki, nie chcące pracować, włóczędzy, pospolicli złodzieje lub wytrawni bandyci. Ostatnio jednak dowiadujemy się coraz częściej, jak żyje owa połowa. Coraz więcej w literaturze książek z jej życia, pisanych przez jej autentycznych przedstawicieli, a nie — jak to dawniej się zdarzało — przez obdarzonych bujną wyobraźnią osobników należących do „pierwszej połowy”. Dość wspomnieć Urke Nachalnika, czy Sergiusza Piaseckiego. Książka Worby’ego, autentycznego trampa anglo-amerykańskiego posiada zwykle wady i zalety literatury tego rodzaju: egzotyczny temat, zdolny jeszcze zainteresować, mimo, że szybko się banalizuje, bezpośredniość opowiadania, w którym wyczuwa się żywe tętno rzeczywiście przeżytych zdarzeń, szczerłość i bezpretensjonalność, ale przy tym nieunikniona monotonię „akcji”, w której wszystkie wydarzenia są bądź co bądź „na jedno kopyto”. Bo czy ów niebieski ptak będzie „nabierał” opowiadaniem o swych rzekomych nieszczęściach liłościwe osoby w Buffalo czy w Chicago, czy weźmie udział w okradzeniu folwarku na północy czy na południu Stanów, niewielka to dla czytelnika różnica, gdy zasadnicze podobieństwo zdarzeń jest ogromne. Sym-

patyczną cechą książki jest to, że autor jest z ducha i zamiłowania włóczęgą, nie złodziejem, że w „mokrej robocie” udziału nie bierze i uplanowanych złodziejstw nie lubi. Co innego czasem, gdy potrzeba przycisnąć, ściągnąć coś cichaczem. Na ogół jednak wystarcza mu wypraszenie koniecznych do życia rzeczy. Nie wzdraga się też czasem krócej lub dłużej popracować. Lęka się tylko tego, by się z kimś lub z czymś na stałe nie związać i nie stracić ukochanej swobody. Najbardziej może interesujące dla czytelnika z kontynentu są zetknięcia Worby'ego z tak częstymi w Anglii sekciarzami i maniakami religijnymi, są to bowiem epizody, jakich nie znajduje się w naszych opowiadaniach tego rodzaju. Śmieszne i przykre zarazem są opisy tych spotkań, w których włóczęga z gościńca przyjmowany jest jako wysłaniec boży, dziwaczna jest dla nas łatwowierność tych ludzi i ich zdolność przyjmowania własnych urojeń za objawienia boskie. To są swoiste szczegóły angielskiego folkloru. Ale angielska jest również psychika i postawa życiowa autora, jego optymizm, zaradność, zmysł humoru, umiłowanie wolności. Książka cała pisana jest zwięźle, rzeczowo, bez gadulstwa, bez rozpraszania się na zbędne szczegóły, bez najmniejszego cienia liryzmu. Pięknemu krajobrazowi Szkocji poświęcił autor raz jeden parę stron książki, uczcił go nawet wierszem, — ale też i na tym kończy się jego zainteresowanie przyrodą. Całą jego uwagę pochłaniają drogi i ludzie, nie ma w nim nic z tego marzycielstwa, iż tego podniesienia oczu ku gwiazdom, które wprowadza poetycką nutę w książki Piaseckiego. I jest ten pamiętnik niebieskiego ptaka książką w całości pogodną i lekką, mimo, że opisuje nieraz rzeczy bardzo brudne i przykre. Jest takim dzięki różowym okularom autora, który w tym życiu poza nawiasem prawa doskonale się czuje i sam wyznaje, że „deszcz i słońce, głód i duże obżarstwa, łachmany i szykowne garnitury, te wszystkie ciągłe zmiany losu i okoliczności stanowią właściwy urok życia włóczęgi”. Tłumaczenie niestety nie jest wolne od błędów językowych.

Gdyby komuś z nas, „szarych ludzi”, urodzonych tuż przed wielką wojną, zaproponowano wygłoszenie pogadanki pod tytułem „Książki mojego dzieciństwa” na wzór tych wspomnień, którymi dzielą się z nami co niedzielę przez radio przedstawiciele starszego świata literackiego, napewno w niejednej prelekcji znalazłoby się nazwisko Makuszyńskiego, autora *Bardzo dziwnych bajek*, tego skarbu lat dziecięcych, nieprześcignionego żadną późniejszą książką popularnego autora. Ciepłe uczucia dla dziejopisa zmagających Wicka Warszawskiego ze Śmiercią trwają więc w naszych sercach niezależnie od tego, żeśmy już Makuszyńskiego czytać przestali, i każdą nową jego książkę witamy przyjaźnie, jeśli nie jako własną lekturę, to ze względu na młodzież, która znajduje w tych zawsze ciekawych opowiadaniach najmiłą rozrywkę.

Szatan z 7-ej klasy nie robi zawodu młodocianym miłośnikom Makuszyńskiego. Od pierwszej do ostatniej strony śledzić będą z zapartym tchem nadzwyczajne przygody Adasia Cisowskiego, historię skradzionych drzwi, poszukiwanie napoleońskiego skarbu, niezwykle wydarzenia w cichej litewskiej wsi. Niejeden początkujący autor powieści sensacyjnych, niejeden również z tych, którzy sięgają po laur sienkiewiczowski próbując sił w powieści historycznej mógłby pójść do Makuszyńskiego na naukę prowadzenia akcji. Umie on tak zazębiać przygody, lekko i zajmująco wysnuwać jedne wypadki z drugich, spiętrzać trudności i rozwiązywać je w niespodziewany sposób, że utrzymuje zainteresowanie czytelnika w ciągłym napięciu i nie pozwala mu zastanowić się nad pewnym nieprawdopodobieństwem opisywanych przygód, nie pozwala pokiwać z niedowierzaniem głową nad genialną wprost intuicją, bystrością i umiejętnością logicznego myślenia, jaką obdarzony jest 17-letni „szatan”, Cisowski. Jedynym słabszym punktem tej bardzo interesującej książki jest zakończenie; ostateczne odnalezienie skarbu jest bowiem nieproporcjonalnie proste w stosunku do skomplikowanej drogi, która do tego doprowadziła, a co ważniejsze tutaj już naprawdę trudno nam uwierzyć, by przez sto lat nikomu nie wpadło do głowy zanurzyć rękę w dziupli drzewa, stojącego o kilkadziesiąt zaledwie kroków od domu. To małe rozczarowanie końcowe jest jednak drobnym tylko cieniem na tle ogólnego, bardzo miłego wrażenia, jakie pozostawia ta książka.

Mgr Hanna Wierzbicka.

Daniel Culhane: *De Corpore Mystico doctrina Seraphici. Dissertatio Doctoralis praesentata facultati theologiae Sanctae Mariae ad Lacum. Mundelein, Illinois U. S. A. Str. III, 109.*

Autor tej rozprawy doktorskiej postawił sobie za cel przedstawić naukę św. Bonawentury o Kościele jako Mistycznym Ciele Chrystusa. Doktor Seraficki, podobnie zresztą jak i inni wielcy teologowie średniowiecza, chętnie posługuje się pawłową ideą Mistycznego Ciała Chrystusa. Często do niej powraca, choć specjalnych dociekań systematycznych jej nie poświęca. Można powiedzieć, że idea Mistycznego Ciała Chrystusa przenika inne zagadnienia teologiczne poruszane przez św. Bonawenturę, jak naukę o wcieleniu Syna Bożego, o odkupieniu, o łasce, o sakramentach.

Autor omawianej rozprawy zebrał z dzieł Doktora Serafickiego sumiennie wszystko, co się odnosi do Mistycznego Ciała Chrystusa i omówił to w pięciu rozdziałach: r. I. o Chrystusie jako Głowie Mistycznego Ciała; r. II. o członkach Mistycznego Ciała Chrystusa; r. III. o czynnikach tworzących jedność mistyczną wiernych z Chrystusem i o naturze tej jedności; r. IV. o roli

sakramentów, a zwł. chrztu i Eucharystii w kształtowaniu Mistycznego Ciała Chrystusa; wreszcie r. V. o Mistycznym Ciele Chrystusa, o ile ono jest zarazem na ziemi widzialną społecznością Kościoła. — Autor starał się przedstawić samą tylko naukę św. Bonawentury, powstrzymując się od wyrażania oceny tejże i od określenia, jakie stanowisko sam zajmuje w poruszonych zagadnieniach. Tego rodzaju studia nad nauką poszczególnych Ojców Kościoła i teologów o Mistycznym Ciele Chrystusa, są bardzo pożytecznym przygotowaniem do podejmowanych w ostatnich latach prób przedstawienia w całości nauki katolickiej o Mistycznym Ciele Chrystusa. Służą one też za argument przeciw zarzutom protestantów i prawosławnych, jakoby teologii katolickiej obcą była idea Kościoła jako Mistycznego Ciała Chrystusa.

Praca, napisana po łacinie i posługująca się fachową terminologią teologiczną, może być z pożytkiem czytana jedynie przez tych, którzy mają specjalne przygotowanie teologiczne.

Ks. B. Wójcik T. J.

Ks. Dr Józef Pastuszka: *Z filozofii i psychologii komunizmu*. Dwa odczyty. Lublin, 1938. Str. 75.

Znany ze swej głębokiej wiedzy autor przedstawia nam w pierwszej części krótki systematyczny szkic filozofii komunistycznej. Zaczynając od teorii poznania będącej jakby podbudową poglądu materialistycznego, wgłębia się autor w istotę materializmu dialektycznego, nawiązując przy tym do filozofii Hegla, Darwina, Hartmanna itp., do znanych teoretyków komunizmu w rodzaju Saint Simona itd.

W drugiej części komunizm ujęty jest od strony psychologicznej. W dosadny sposób został tu przedstawiony typ człowieka komunisty, jego ideały, oraz podłoże, z którego wyrasta. Pracę tę opartą na rozlicznych dostępnych autorowi źródłach cechuje ton zasadniczy, który sprawia, że możemy ją uważać za krótką lecz doskonałą syntezę całej filozofii i psychologii rosyjskiego bolszewizmu. Nadzwyczajna przejrzystość, jasność stylu, a zarazem ta znamienita zdolność autora do przedstawiania zawiłych niekiedy pojęć w prosty dosadny sposób — której dowiódł już niejednokrotnie — nadaje całemu dziełku cechę podręcznika doskonale orientującego każdego średnio wykształconego czytelnika, w kwestii, o którą nam chodzi. I dlatego dobrze się stało, że pracę tę, umieszczoną w zbiorowym wydaniu p. t. „Bolszewizm”, przedrukowano w osobnej broszurze.

Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.

Dr Franciszek Zbroja: *Etyczne poglądy Świętochowskiego*. Nakł. autora. Str. 158.

Znana to rzecz, że myśli wielkich ludzi nie łatwo giną. Dobre czy złe trwają niekiedy wieki całe, dopóki nie znudzą się pokoleniom, dopóki nie zatrać się w pomroce przeszłości. Podobnie ma się rzecz z pozytywizmem. Choć niemal już zniknęli jawni jego pionierzy, idea sama tkwi jeszcze głęboko w społeczeństwie.

Celem niniejszej pracy jest przyczynić się do wypalenia z umysłów polskich fałszywych twierdzeń pozytywizmu przez gruntowne opracowanie, przez dogłębną krytykę zasadniczych poglądów etycznych czołowego przedstawiciela tego kierunku Al. Świętochowskiego.

Z zadania tego Autor wywiązał się pozytywnie. Omówione bowiem w dziełku zagadnienia różnicy przedmiotowej między dobrem a złem, powszechności i niezmienności zasad moralnych dyktowanych przez sumienie, należą do zasadniczych, a ich zabicie pociąga za sobą zburzenie podstaw naukowych całego systemu pozytywizmu. Opracowanie oparte na źródłach, a równocześnie jasne i przekonujące, sprawia, że książkę tę przegłębnie z zadowoleniem wykształcony myśliciel a przeczytają ją z pożytkiem również szerokie masy przeciętnej polskiej inteligencji.

Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.

I. M. Thompson: *Przywódcy Wielkiej Rewolucji francuskiej*. Warszawa 1938 r. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 303.

Książka I. M. Thompson'a: „Przywódcy Wielkiej Rewolucji francuskiej” jest zajmującą dzięki wydobyciu na światło dzienne szeregu szczegółów, dotyczących kierowników Rewolucji francuskiej i podejściu angielskiego jej autora do zagadnień związanych z tą dziejową epoką. Słabą stroną książki jest jej fragmentaryczność, wynikająca być może z ogromu tematu, który wciśnięty został w dość szczupłe ramy książki.

Thompson podaje nam coś w rodzaju krótkich monografii jedenastu przywódców Rewolucji francuskiej, od „prawicowego” Sieyès'a poczynawszy, poprzez Mirabeau, Lafayette'a, a kończąc na „lewicowych”: Dantonie, Saint Just'ie, Robespierze i Maracie. Patrząc na Rewolucję francuską poprzez jedenaście fragmentów życia tych, którzy w różnych okresach ją tworzyli, autor nie daje nam oczywiście ani jej pełnego obrazu, ani też nie wiąże faktów między sobą, natomiast przez danie charakterystyki jej wodzów, w niejednym wypadku rzuca nowe światło na historyczne zjawiska. Autor wszakże nie sili się na rzucanie jakichś nowych koncepcyj, wręcz przeciwnie stara się jedynie odtworzyć charakterystyki tych, których opisuje.

Książka jest napisana lekko, a w niektórych swych fragmentach nawet zbyt pobieżnie; jest zresztą raczej zbiorem luźnych autykułów, aniżeli czymś pisanym według jednej miary. Tłumaczenie polskie dobre, natomiast korekta dość niedbała.

H. J. Korybut - Woroniecki.

H. Barycz: „W 350 rocznicę założenia Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie”. Nakł. Gimnazjum Nowodworskiego. Kraków 1938.

Jak z tytułu można by wnioskować, książka ta ma zawierać historię gimnazjum krakowskiego, znanego powszechnie jako gimnazjum św. Anny. Niestety, gdy się ją czyta, widać, że temperament poniósł zanadto Autora, z niewątpliwą szkodą dla prawdy historycznej. Ma się wrażenie, jakby to była „historia robiona” przeciwko szkołom jezuickim i w ogóle katolickim, a za wprowadzeniem tzw. „szkoły świeckiej”. Bo przecież dzisiaj, po obszernym studium ks. Bednarskiego T. J. na temat szkół jezuitów w Polsce, chyba żaden szanujący się uczony nie będzie już wypisywał oklepanych frazesów o kosmopolitycznym, nienarodowym wychowaniu szkół jezuickich, nie ośmieli się twierdzić, że w szkołach tych rozwijano tylko uczucia religijne, lub że w ogóle jezuici byli wrogami gruntownego wykształcenia, jak właśnie usiłuje wykazać p. H. Barycz w swej rozprawie. A jeśli kto chciał postawić taki właśnie zarzut, to powinien przynajmniej wstydliwie ukryć swe nazwisko pod pseudonimem, jak to zrobiono parę lat temu w dość głośno skompromitowanej książce, o historii kultury w Polsce, gdzie chciano wmówić w czytelników, że Kościół w Polsce niczego nie zrobił dla krzewienia cywilizacji — owszem był jej wrogiem. Ale to było parę lat temu; dzisiaj pozwolę sobie tylko zapytać czy p. H. Barycz nie zna podręczników dla szkół jezuickich, jakie drukowali oni w Polsce w XVI, XVII i XVIII stuleciu, a podręczników nie dla nauki religii, ale matematyki, fizyki, chemii, przyrody, geografii, historii powszechnej i polskiej? A jeśli je p. Barycz widział w Jagiellońskiej księżnicy, to czy zadał sobie trud by przeczytać bodaj wstęp do tych podręczników gdzie autor, jezuita wyznaje, iż specjalnie pisze te książki w ten sposób, aby polską młodzież do nauki zachęcić, że uwypukla rzeczy o Polsce, dla Polaka przydatne (np. ks. Sol-ski T. J. *Geometra polski*, wyd. w r. 1683).

A jak już nazwać takie zwroty, iż szkoła założona przez Nowodworskiego była w przeciwieństwie do szkół jezuickich „szkołą świecką...”, z polską tradycją wychowawczą, iż liczone w niej z potrzebami społeczeństwa i państwa polskiego, iż posiadała jednolite polskie ciało nauczycielskie... — Jakby p. H. Barycz nie wiedział o tym, że przecież nauczycielami w szkole Nowodworskiego byli przez bardzo długi okres wyłąc-

nie księża katoliccy, że miała program zasadniczo identyczny ze szkołami jezuickimi, że więc była typową szkołą wyznaniową, klerykałną, stawiającą wychowanie religijne na pierwszym miejscu. Cały antagonizm i przeciwieństwo sprowadzało się do walki kleru świeckiego i zawsze wrogiej zakonowi Akademii krakowskiej z jezuitami. A walka ta nie toczyła się w imię jakichś nowych rzekomo narodowych czy państwowych ideałów wychowawczych, ale tylko w imię niskiej zawiści z jednej strony a zbytniej, jeśli chodzi o teren krakowski, zachłanności i uporowi z drugiej. Wy-suwany przez Brożka i innych jezuickich antagonistów zarzut obcego pochodzenia jezuitów, był frazesem zaczerpniętym z pa-szkwilów protestanckich a niechlubnie przyswojonym przez pisa-rzy katolickich niechętnych jezuitom, w którego prawdziwość nie wierzył ani Brożek z towarzyszami ani nie wierzy p. Barycz. Więc po cóż powtarza te rzeczowo nieuzasadnione frazesy i jak może nazywać gimnazjum Nowodworskiego „szkołą świecką“! Jak więc określić, takie wprowadzenie w błąd czytającej pu-bliczności? Co sądzić o kwalifikacjach naukowych autora takiej pracy? Szkoda, że tak poważna instytucja naukowa, jaką jest gim-nazjum Nowodworskiego, została uczczona jubileuszowym wy-dawnictwem, utrzymanym niestety w tonie niepoważnego artykułu, którym mógłby się popisać chyba jakiś brukowy czerwoniak.

Ks. K. Konopka T. J.

Fryderyk Lorenz: *Pionierzy techniki. (Cykl „Przemiany“). Książ-nica — Atlas. Lwów — Warszawa. Str. 355. Cena 8.80.*

Człowiek współczesny, goniący niestrudzenie za sensacją dnia, za uprzyjemnieniem sobie życia chociażby na chwilę, zna doskonale nazwiska przemijających gwiazd ekranu, interesują go żywo sukcesy jednodniowego bohatera sportu, wabi niepomaho-wanie miss piękność.

Ale kto z tych krótkodystansowych biegaczy ma w pamięci nazwisko takiego wynalazcy mechanicznego krosna, twórcy współ-czesnego dziennikarstwa czy pocisku? Kto zna ich życie, kto okiem wnikliwego i sumiennego psychologa śledzi ich wysiłki, cierpienia, walki... Któż ocenia ich głębokie, osobiste przeżycia, jakie się złożyły na naszą obecną wygodę, na postęp i bogactwo już nie tylko jednostki, ale całych społeczeństw i narodów!

Tę krzywdę niewdzięczności, niepamięci naprawić pragnie Fryderyk Lorenz, pisząc cykl przejmujących opowiadań o życiu i dziełach cichych, szerszemu ogółowi bliżej nieznanych wynalaz-ców. Zamiarem jego jest wyjaśnić, uczłowieczyć i ukształtować tytaniczną walkę wynalazców nie tylko z reakcją świata czysto materialnego, ale także buntownicze zmagania o ich prawo przeobrażenia świata na „świat maszyn“.

Trudno tu znaleźć uczone, pełne zawitych terminów technicznych wywody o poszczególnych wynalazkach, nie ma opisów skomplikowanych maszyn ani dziejów ich powolnego a ciągłego rozwoju, ale w miejsce tego znajdzie czytelnik szereg bardzo fascynujących z niezwykłą intuicją odtworzonych tragedii ludzkich, w których jakby na złocistym ekranie jawi się po mistrzowsku nakreślona odwieczna walka mądrości z głupotą wielkości z małostkowością, geniusza ze zwykłym zjadaczem chleba. Z walki tej oczywiście nie zawsze zwycięsko wychodzą jej bohaterowie. Niektórzy z nich dokonują żywota w najskrajniejszej nędzy materialnej, inni bywają niezrozumiani przez ogół, prześladowani, szczeni fanatyzmem zacofanych tłumów i chciwych współzawodników.

Oto myśli jakie w tej książce porusza autor.

Podnieść wypada na zakończenie wysokie walory literackie książki, które bezwiednie przykuwają czytelnika i czynią z „Pionierów techniki” bodaj czy nie jeden z najciekawszych utworów literatury europejskiej z tej dziedziny w ostatnich latach.

Ks. Edw. Zajdel T. J.

Aleksander Patkowski: Sandomierskie. Góry Świętokrzyskie. Z przedmową wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Z cyklu: „Cuda Polski”. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Poznań. Str. 238.

Z niekłamanym zadowoleniem bierze się do ręki każdy nowy tom „Cudów Polski”. Bo każdy jest prawdziwą chlubą polskiej bibliografii i w każdym odkryje się jakiś zapomniany czy w ogóle nieznaný zakątek ojczysty, usłyszcy zagubione echa przeszłości, zbliży się do ziem i ludzi mniej znanych a na poznanie ze wszech miar zasługujących. *Sandomierskie* owiewa duch Żeromskiego i patronuje każdej jego stronie, co znać w stylu życzliwym dla wszystkiego co ludzkie, zrodzonym z jakiejś zadumy. Autor jest z tą ziemią zrośnięty, bo z niej wyrósł i zna ją dobrze. Opowiada o niej prosto, ciekawie, a opowiadanie swe oparł na olbrzymim materiale, który pozwolił mu zobrazować i przyrodę, historię, obyczaje i kulturę ziem, nazwanych przez min. Kwiatkowskiego sercem całej Polski. Z opowiadań p. Patkowskiego dowiadujemy się, że kraina ta nie była wcale kopcuszką pośród ziem polskich, że wydała niejedną świetlaną postać, wniosła do kultury polskiej niejedną cenną zdobycz. To też w samą porę zjawia się ta książka, jako jeden z wyrazów dążeń polskiego społeczeństwa do naprawienia krzywdy, wyrażonej tym ziemiom przez rozbiory i politykę zaborczą, a częściowo i przez nas samych. Być może, że określenie „sandomierski” nie będzie już nas raziło, że nie będziemy się wstydzili nazywać Okręg Centralny okręgiem sandomierskim... Przyczyni się do tego niniejsza publikacja pojawiająca się w chwili

rozbudowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Jej zalety są niewątpliwe. Czytelnik, dla którego ta ziemia jest stosunkowo niezapisaną kartą Polski, ulega sugestii nowości i mnogości nieznanych szczegółów, niezdolny jest do krytyki. I trzeba dopiero prawdziwego znawcy tych stron, by poczynić parę krytycznych uwag, to i owo dorzucić, jak to uczynił Roman Koseła w *Prosto z Mostu* (sierpień br. Nr 36). Sandomierzanie powinni być wdzięczni p. Patkowskiemu.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Jan Wiktor: *Od Dunaju po Jadran*. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa 1938 r. Str. 285.

Jan Wiktor w swej książce *Od Dunaju po Jadran* występuje w podwójnej roli, raz jako podróżnik opisujący wycieczkę po Bałkanach, a ściślej mówiąc po Rumunii, Bułgarii i Jugosławii, a drugi raz jako myśliciel, czyniący spostrzeżenia i dygresje na temat krajów, które zwiedza. Podwójna ta rola czyni jego dzieło bardziej ważne i cenne. Bałkan jest zamieszkały przez ludy słowiańskie, które w ciągu długich wieków podlegały niewoli tureckiej. Dawne warstwy górne wyginęły, pozostał jeno chłop. Kultury serbska i bułgarska są kulturami na wskroś chłopskimi, a więc „nie wyrobionymi” i dość „prymitywnymi”. Takim jest przynajmniej nagminne przekonanie o nich w Polsce.

Jakkolwiek pojęcie o „niewyrobieniu i prymitywności” chłopskich kultur słowiańskich: bułgarskiej i jugosłowiańskiej posiada pewne podstawy oparte na rzeczywistości i sami zainteresowani Bułgarzy i Jugosłowianie to przyznają, mimo to należy wprowadzić bardzo poważne poprawki do panujących w Polsce pod tym względem pojęć. Jan Wiktor subtelnie i po mistrzowsku, na mocy rzeczowych spostrzeżeń, wykazuje, że obecna dynamika kulturalna chłopskich ludów: bułgarskiego i jugosłowiańskiego jest bez porównania większa od naszej polskiej, znajdującej się niejako w kleszczach paraliżu. Pobratymcy nasi słowiańscy na Bałkanach w Polsce jako takiej oraz w jej kulturze widzą swój wzór i słowiański Piemont; doceniają ją o wiele lepiej od nas samych. My obecnie jesteśmy „zastygli”. Zgubiliśmy się w teraźniejszości. Tę prawdę rzuca Jan Wiktor w twarz całemu narodowi polskiemu.

Perłami widomymi naszej kultury i naszego posłannictwa rozkoszują się obecnie o wiele więcej chłopskie ludy: bułgarski i serbski aniżeli my Polacy, którzy jesteśmy oderwani niejako od właściwej i wzniosłej polskiej naszej drogi i misji historycznej. Jan Wiktor, jako Polak wstydzi się tego i ma rację twierdząc, że możemy być zdystansowani przez naszych słowiańskich pobratymców, którzy z chłopskim uporem, ze swą „prymitywną” lecz

zdrową i silną młodą kulturą prą naprzód, podczas gdy my drep-
czemy w miejscu, względnie odwróciliśmy się od właściwej drogi.

Ci spośród naszych młodszych braci Słowian, którzy znają
naszą rzeczywistość obecną, chcieliby nas widzieć innymi. Nasz
przyjaciół, pełen życia staruszek, Serb, prof. Radowan Koszutić
w ten sposób wyraża się do autora książki: Nie ma jeszcze mię-
dzy wami takiego, który by rozdarł skorupę, zasklepiającą wulkan
twórczych sił. Musi się ucieleśnić mit o polskim Mojżeszu, ude-
rzającym łaską w skałę, aby Polska była tym, do czego jest po-
wołana, wskazana i pomazana: przodowniczką wolności i brater-
stwa narodów... Gdy ktoś uwolni uwięzione siły, wtedy nastanie
dzień odrodzenia i wyzwolenia...

Książka *Od Dunaju po Jadran* jest wydana starannie, w tre-
ści swej ciekawa, zawiera dużo oryginalnych myśli. Warto ją
przeczytać. Powab jej zwiększa pokaźna ilość ładnych rycin.

H. J. Korybut - Woroniecki.

Szlakiem II brygady Legionów Polskich w Karpatach
Wschodnich. Praca zbiorowa. Warszawa 1937. Wojskowy In-
stitut Naukowo-Oświatowy. Str. 402 (dodatek: dwie duże mapy).

Przewodnik historyczno-turystyczny po Gorganach i Czar-
nohorze, bo tak by w krótkości trzeba nazwać niniejszą książkę,
jest cennym dorobkiem w ogólnej sumie zdobyczy piśmienni-
czej z zakresu karpato-znawstwa polskiego. Książka ta jako
praca zbiorowa, pisana z rozporządzenia p. ministra Spraw Woj-
skowych, przeznaczona jest dla tych, którzy harmonijnie łączą
zainteresowania turystyczne z chęcią poznania fragmentu historii
walki zbrojnej o niepodległość Ojczyzny. Ale może ona służyć
również wyłącznie w celach turystycznych.

Po dość obszernym wstępie, gdzie znajdujemy ogólne wia-
domości o terenie, ludności miejscowej, pamiątkach legionowych
i o turystyce zimowej, następuje właściwa część pierwsza histo-
ryczna. W sposób drobiazgowy, kronikarski nakreślony został
przebieg działań wojennych II brygady Leg. Pol. w Karpatach
Wschodnich w roku 1914—15, w dolinie Łomnicy, Bystrzycy
Sołotwińskiej, Bystrzycy Nadwórniańskiej a wreszcie w dolinie
Prutu. Jest również wzmianka o kampanii huculskiej.

Druga część tzw. turystyczna składa się z działu infor-
macyjnego, który zawiera najniezbędniejsze pouczenia dotyczące
komunikacji kolei państwowych, kolejek leśnych wąskotorowych,
komunikacji autobusowej i wodnej, podaje wiadomości o poru-
szaniu się w strefie nadgranicznej, informuje bardzo szczegółowo
czytelnika-turystę o schroniskach na terenie Karpat Wschodnich
od przełęczy Wyszowskiej aż po dolinę Białego Czeremoszu,
a następnie w dziale ściśle turystycznym podaje dokładny spis
szlaków znakowanych i przejść nie znaczonych i nie wytyczo-

nych w terenie. Do książki zostały dołączone dwie duże, drobiazgowo opracowane mapy Gorganów i Czarnohory odbite z matrycy Wojskowego Instytutu Geograficznego, z uwzględnieniem najnowszych szczegółów turystycznych jak schronisk, domków myśliwskich, ścieżek itp. Oprócz tego mnóstwo pięknych ilustracji i szkiców wojskowych podnosi walory i tak już ciekawej pracy.

Mimo tych dodatnich cech jakie w zarysie tylko nakreśliłem, „Przewodnik” posiada jednakowoż szereg mniejszej wagi niedociągnięć, braków i nieścisłości. Dotyczy to w równej mierze działu turystycznego jak i historycznego, co zresztą w przedmowie do niniejszej pracy zostało od redakcji zaznaczone. Złożyło się na to wiele przyczyn i tak: Duży obszar, stosunkowo mało zbadany, brak szczegółowych i solidnych — syntetycznych czy monograficznych — opracowań walk II brygady Leg. Pol. w Karpatach Wschodnich, wreszcie pośpiech przy wydawaniu.

Są to jednak luki na ogół subtelniejsze, specyficznego znaczenia dla geografów, które nie przyciemniają istotnego tła, pięknie, pouczająco i praktycznie wydane „Przewodniki”. Dla turysty wybierającego się na Gorgany lub Czarnohorę jest on towarzyszem nie tylko pożądanym, ale wprost koniecznym.

Ks. Edw. Zajdel T. J.

Tadeusz Zakrzewski podpł. dypl.: Organizowanie Siły Zbrojnej w Państwie. Warszawa 1938 r. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Str. 191.

Pod powyższym tytułem podpł. dypl. Tadeusz Zakrzewski kreśli nam czynniki wchodzące w skład ogólnej organizacji siły zbrojnej Państwa, która w czasach obecnych, przy ogromnym rozwoju techniki, jest czymś bardzo skomplikowanym.

Cała jego książka jest schematem wypełnionym różnymi wiadomościami. Nie ma w niej rewelacji, ani koncepcyj nowych, natomiast są zebrane i narzucone w skrócie mniej więcej wszystkie czynniki wchodzące w skład militarnej obrony Państwa. Podpł. Zakrzewski uwzględnia oczywiście wszystkie zdobycze najnowszej techniki.

Ze spraw natury ogólnej, zasługuje na uwagę pogląd na czynnik dowodzenia. O ile dawniej dowodzenie małymi jednostkami nie przedstawiało większych trudności i dowódcy drużyn, plutonów i kompanij, będąc wykonawcami władz wyższych, mogli się należycie wywiązywać z nałożonych zadań przy względnie niewielkich umiejętnościach dowodzenia, o tyle teraz przy szybkich szeroko rozwiniętych w czasie bitwy i w związku z tym, że już w obrębie tych małych jednostek znajdują się często, by nie powiedzieć prawie zawsze, różne rodzaje broni, dowodzenie małymi jednostkami nastęrcza dla ich dowódców dużo trudności i wy-

maga zarówno dużej wiedzy fachowej, jak i zaprawy w dowodzeniu oraz opanowania nerwów, koniecznego do sprawnego myślenia w czasie bitwy. A właśnie na niższych tych dowódców, którzy są zmuszeni, wobec nowych metod walki, o wiele więcej myśleć i kierować samodzielnie podczas bitwy, przesunął się w czasach obecnych punkt ciężkości, gdyż wątpliwym jest, aby w nowoczesnej wojnie, poza dowódcą kompanii a najwyżej batalionu, wyżsi dowódcy mogli bezpośrednio w czasie bitwy kierować ludźmi. Mowa tu oczywiście o bezpośrednim wpływie dowódcy na żołnierza, a nie wpływie pośrednim, wynikającym z podanego do wykonania planu działania. Niższy zatem dowódca w czasie bitwy, staje się w całej pełni kierownikiem powierzonych sobie żołnierzy, bo szybka decyzja od niego musi pochodzić, na „rady” bowiem i snucie z kimkolwiek planów w ogóle nie ma czasu i są one w tych warunkach nie do pomyślenia.

Dowódca wyższy, zajęty przy pracy sztabowej, może wciełać w czyn albo wyłącznie swoje koncepcje, a może też uwzględnić i cudze, przejmując je oczywiście na własną odpowiedzialność, dowództwo bowiem jest wprawdzie kierowaniem, ale przede wszystkim jest braniem odpowiedzialności za wyniki tego kierownictwa. Istnieją w tym względzie dwa typy wielkich dowódców. Pierwszy to typ tworzący niemal w stu procentach samorodnie koncepcje i plany działania. Reprezentantami tego typu będą przede wszystkim wodzowie tacy jak Napoleon, Foch i Piłsudski. Typ drugi, to jednostki w rodzaju Hindenburga, ulegające chętnie sugestiom drugich. Plany działania tworzył Ludendorff, Hindenburg je aprobował, co bynajmniej nie oznacza, że Hindenburg nie był wielkim wodzem, a jeno maszyną do podpisywania podsuwanych mu rozkazów. Wszak w pewnym momencie Hindenburg przestał akceptować plany Ludendorffa, który jednak otrzymał poparcie czynników wyższych. Rezultat tego posunięcia nie był zresztą dla Niemiec korzystny. Wódz bierze przede wszystkim odpowiedzialność za wynik dowodzenia. Chodzi o to, aby wynik działań wojennych był dodatni. Kwestia czy sam tworzy plany, czy akceptuje koncepcje innych jest, pod tym kątem widzenia, drugorzędna.

H. J. Korybut - Woroniecki.

St. Andrzej Radek: Rewolucja w Warszawie 1904—1909, z przedmową M. Dąbkowskiego. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska” S. A. w Warszawie. Str. 435.

Program socjalizmu walki klas ułatwił zmontowanie starć z rządem carskim w latach 1904 i nast. w Warszawie. Była to akcja sporadyczna i bojówkarska. O zorganizowaniu na szerszą skalę działania nie można było marzyć przy wprost niesłychanej czujności „Ochrany”. Do akcji zaś bojówkarskiej, ważącej się na

najbardziej nieodpowiedzialne wyczyny, w czasach, kiedy Rosja brała cięgi od Japonii i od własnych obywateli — socjalistów, była najlepiej może przygotowana PPS.

W książce Radka uwzględnione zostały dzieje tej walki w Warszawie. Zamachy bombowe czy rewolwerowe na posterunkowych i wyższych urzędników, napady na pociągi i obrabowywanie kas rządowych od 1904 r. do 1909 oto treść książki. Do całej tej roboty odnosi się autor z niesłabnącym entuzjazmem. Wszystkie czyny bojowców znajdują jego pełną aprobatę. I równocześnie spotyka się czytelnik z ubolewaniem, że społeczeństwo tak słabo ten ruch popierało. Czyżby gniło w marazmie, albo przenosiło panowanie rosyjskich carów nad staraniem się o niepodległą Polskę? — pytamy pod wpływem wynurzeń autora. Tak moglibyśmy sądzić, o ile nie zdamy sobie sprawy, że metody walki bojowców często nie były zgodne z etyką i że socjalizm, ująwszy przewodnictwo w swoje ręce nie umiał pokierować dobrze całym ruchem. Autor zwała całą winę na brak wyszkolonych przewodników. Sądzymy jednak, że raczej socjalizm ze swego ducha i założeń nie był zdolny do tego, by natchnąć i porwać szerszy ogół społeczeństwa do idealizmu i poświęcenia.

Na uwagę zasługuje rozdział o Ochronie i metodach jej działania. Duża analogia zachodzi między nią, a dzisiejszym GPU. w Bolszewii. Widocznie dusza rosyjska ma w sobie silnie wrośniętą potrzebę szpiegowania wszystkich i wszystkiego.

Praca Radka zainteresuje niewątpliwie szerszy ogół. Zainteresuje jednak i historyków, gdyż odkrywa niejedną ciekawą, a nowy szczegół historyczny.

Ks. Br. Gładysz T. J.

Słowacja i Słowacy. Praca zbiorowa pod red. Wł. Semkowicza. Tom. I. Kraj i lud. Nakładem Sekcji Słowackiej Tow. Słowackiego. Kraków 1937, str. 268.

Na bezmiernej, zda się, przestrzeni południowej naszego państwa graniczymy z narodem, który mową swą, charakterem i wartościami ducha jest nam tak bliski, jak zapewne żaden inny. Jesteśmy — można powiedzieć — bliźniętami we wielkiej rodzinie narodów słowiańskich. Szczera ku nam sympatia, odwzajemniana zresztą jakby odruchowo, musi zwrócić oczy Polaków w stronę Południa, aby poznali i ukochali „kraj głośnych gór i cichych ludzi”, zacieśniając tym silniej więź braterstwa i przyjaźni.

Niniejsza praca bardzo dobrze przysługuje się temu celowi. Nawiazuje do usiłowań ubiegłych dziesiątków lat, łowiąc najgłośniejsze echa, które znalazły swe odbicie w naszym piśmiennictwie z zakresu poznania Słowacji i Słowaków.

Pierwsza jej część — opowiadaniowy wykaz bibliograficzny — świadczy o dość żywym zajęciu się Polaków słowackim krajem i ludem. Zainteresowanie to nie słabnie, owszem, wzrasta się obecnie mimo niekorzystnych warunków, jakie stworzył nowy układ polityczny po odrodzeniu się naszego państwa. Następnie, pominiawszy zestawienia bibliografii, książka ta jest jakby przewodnikiem dla wędrowca polskiego po szlakach cudnej ziemi, której krajobrazy zdolne są olśnić i oczarować każdego Polaka, pokazując mu zarazem na każdym kroku bogactwa ziemi oraz pomniki dalekiej, a dla Słowaka smętnej przeszłości.

Różnobarwna wstęga etnograficzna, opis kultury materialnej i duchowej podnoszą zalety pierwszego tomu. Jego wartość wydawniczą stopniują prześliczne zdjęcia, przyczyniając się tym samym do uwydatnienia i podkreślenia obfitej i dobrze rozłożonej treści.

Spodziewać się należy, że i drugi tom, mający zawrzeć dzieje Słowacji oraz jej literaturę, nie zawiedzie nadziei wydawców, ale umocni ich w pragnieniu, by szerokiej rzeszy polskich czytelników umożliwić coraz to głębszy wgląd w krainę i serce bratniego ludu.

Ks. J. Michalewski T. J.

Der feuerrote Ball. Ein Buch der Abenteuer. Herausgegeben von Josef Rick. Herder, Freiburg im Breisgau 1937. Str. 131.

Jest to zbiór opowiadań o człowieku i jego sprawach. O człowieku, który pod każdą szerokością geograficzną i w każdej chwili pragnie, by na drodze jego życia czekała nań przygoda — wielka tajemnicza przygoda. I życie tych przygód nie skąpi. Co człowiek może spotkać na swym szlaku podróży? Wielką miłość w dalekiej Laponii, jak ów bohater opowiadania *Der unvergängliche Stern*, pierwsze rozczarowanie małego Klicka z *Der Knabe und der Goldschatz*, śmierć taką, jaką opisuje J. Rick w opowiadaniu, może najładniejszym i najlepiej artystycznie wykonanym z całego zbioru pt. *Der Tod des Rennfahrers*. Przedstawił tutaj autor śmierć automobilisty w czasie wyścigów — bohater student medycyny, artysta i trochę filozof jest równocześnie zapalonym automobilistą, sławnym zwycięzcą w wielu zawodach i konkursach. W ten sposób wyżywa swą tęsknotę dali i odpowiada na zew dalekich dróg, by wreszcie na jednej z nich stanąć nagle przed Bogiem. To była jego wielka przygoda. Jest jeszcze jedno opowiadanie bardzo subtelne, pióra Alfonsa Peguet: *Die Wolke* — historia przelotnego spotkania, kilka słów, zamienionych z nieznaną osobą, którą pierwszy i ostatni raz się widzi, jakaś twarz i jakieś oczy, oglądane przez ułamek sekundy a towarzyszące nam później przez całe życie. Dla takich przygód

nie trzeba opuszczać miast i uciekać od rodziców na wzór Gustawa z *Er wollte nach Amerika*, trzeba tylko umieć patrzeć. A tego właśnie uczy ta książka.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Bronisław Gnatowski: Ku spolszczeniu asekuracji prywatnej w Polsce. Warszawa 1937. Nakł. Wyd. „Jutro pracy” Str. 72.

Wyzwolenie się spod wpływów kapitałów obcych musi prędzej czy później nastąpić — jest to postulatem naszej gospodarki narodowej. Dokonuje się to powoli i niejako etapami. Są jednak dziedziny, które bez reszty już teraz oprzeć się powinny o kapitał wyłącznie polski. Dziedziną tą są zakłady ubezpieczeniowe. Autor omawia sprawę ubezpieczeń w zakładach prywatnych. Każdy grosz przeznaczony na ten cel winien bezapelacyjnie znaleźć się w zakładach wyłącznie polskich, tak brzmi zasadnicza teza autora. Szczegółowej analizie poddana jest przy tym działalność zakładów ubezpieczeniowych o kapitałach zagranicznych. Autor omawia afery „Europy”, „Feniksa” — poddaje ostrej krytyce „uprzywilejowanie obcych”.

Broszura napisana spokojnie, rzuca znowu nieco światła na drogę, wiodącą do unarodowienia naszej gospodarki.

J. M.

Gaston Salet: *Le Christ notre vie*. Editions Casterman, Paris — Tournai 1937. Str. 104.

Chrystus w nas i my w Chrystusie, oto idea przewodnia tej książki. Autor nie silił się na jakieś nowe naświetlenie tej wielkiej prawdy o Chrystusie jako głowie ciała mistycznego, zebrał tylko i usystematyzował to, co się znajduje w tradycji, w dziełach aścetów i mistrzów życia duchownego takich jak kardynał de Berulle, Olier, Condren. Lecz czytelnik będzie wdzięczny Autorowi przede wszystkim za częste cytowanie św. Pawła, za cofnięcie tajemnicy naszej jedności z Chrystusem aż do źródeł, do objawienia. Wtedy bowiem rozumiemy dobrze to przetworzenie i przemianę pojęć ludzi, którzy z „dzieci ciemności” odrodzeni w Chrystusie stali się „dziećmi światła”, zrozumiemy też naszą rolę i nasz obowiązek w stosunku do Chrystusa. Książkę tę ze względu na jej jasny układ i świetny dobór źródeł należy polecić tym, którzy zechcą w konferencjach lub kazaniach spopularyzować naukę o pełni naszego życia — o życiu w Chrystusie.

Ks. Br. Wójcik T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Instytutu Śląskiego, Katowice, 1938 :

- Adam Bar: Karol Miarka. Studium z dziejów Górnego Śląska. Z 17 ilustracjami, str. 257.
- Zdzisław Wyżnikiewicz: Ustawodawstwo śląskie o ubezpieczeniu społecznym. Str. 121.
- Kazimierz Piwarski: Pomysł odzyskania Śląska za Jana III Sobieskiego. Str. 30.
- Józef Skoczek: Udział Śląska w rozwoju i kulturze południowo-wschodnich ziem Polski. Str. 37.
- Alfred Jesionowski: Plebiscyt i powstanie śląskie w polskiej literaturze pięknej. Str. 60.
- Roman Grodecki: Rozstanie się Śląska z Polską w XIV w. Str. 84.
- Stanisław Szczotka: Stosunki Żywiecczyny ze Śląskiem od XVI wieku do upadku Rzeczypospolitej. Str. 78.
- Kazimierz Nowakowski: Zaopatrzenie w wodę górnośląskiego okręgu przemysłowego. Str. 62.

Nakładem Ligi Morskiej i Kolonialnej:

- Rocznik morski i kolonialny 1938. Warszawa 1938, str. 435.
- Inż. Witold Hubert, kpt. mar. w st. sp.: Wpływ bitew morskich na przebieg dziejów. Warszawa, str. 101.
- Tenże: Wojny bałtyckie. Warszawa, str. 649.

Nakładem Tow. Oświaty Rolniczej, Warszawa, 1938:

- Inż. Cz. Zakaszewski, inż. St. Wawrzukowicz, St. Rychłowski i St. Sienkowski: Zagadnienie melioracji rolniczych w Polsce. Str. 102.
- Inż. K. Dąbrowski, W. Radziejowska, inż. Z. Kobylński: Prace zespołowe wsi. Str. 80.
- Zagadnienia wytwórczości zwierzęcej w Polsce. Str. 125.

Nakładem OO. Bazylianów w Żółkwi, 1938:

- O. M. Karowец: Welika reforma. Czyna sw. Wasyla. Czastina czetwerta. Str. 497.
- Łewada Preczystoji. Maryjski legendy.
- Perepowiw Antyn Łotocki. Str. 117.
- M. Czerneć: Złoczynna iskra. Str. 47.

Nakładem różnych:

- Thomas Treferus: Theatrum virtutum D. Stanislai Hosii. Pelplini 1938. Sumptibus Fundi Hosiani. Wydawnictwo Teologiczne Diecezji Chełmińskiej.
- Miłość Chrystusowa przynagla nas. Zbiór kazań charytatywnych. Nakładem Kościelnego Instytutu „Caritas”. Poznań, 1938. Str. 385.
- Stanisław Świaniewicz: Polityka gospodarcza Niemiec hitlerowskich. Nakł. „Polityki”. Warszawa, 1938, str. 278.
- Izabela Lutosławska: Córka. Powieść. Wyd. II. Wydawnictwo Stefana Dippa w Poznaniu. 1938, str. 272.

- X. Ignacy Posadzy: *Drogą Pielgrzymów. Wrażenia z objazdu kolonii polskich w Południowej Ameryce*. Wyd. IV. Nakładem Seminarium Zagranicznego. Potulice, 1938, str. 350.
- Henryk Szeliski: *Stosunki ekonomiczno-agrarne Czechosłowacji. W przedmowę zaopatrzył dr Józef Zadina, minister Rolnictwa Czechosłowacji*. Wyd. Pol. Zw. Rolników i Leśników z wyższym wykształceniem. Warszawa, 1938, str. 352.
- Ks. Czesław Lisowski: *Powstanie styczniowe w Ziemi Dobrzyńskiej*. Nakładem autora, subsydiowanym częściowo przez Radę Pow. w Rypinie. Płock, 1938, str. 226.
- Rozalia Pakowska (S. Maria Ligoria, ze Zgrom. ss. Najśw. Rodziny z Nazaretu): *Polskie przekłady poematów Byrona*. Kraków, 1938. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Warszawa, Nowy Świat 72, str. 160.
- Karol Buczek: *Z dziejów polskiej archiwistyki prywatnej. Archiwa XX. Czartoryskich*. Kraków, 1938, str. 85.
- Fr. Bernardus Przybylski O. P.: *De mariologia Sancti Irenaei Lugdunensis*. Romae, 1938, str. 111.
- Ks. Henryk Szuman i ks. Jan Cyrankowski: *Św. Andrzej Bobola, Misjonarz i Męczennik, Prorok i Patron Polski*. Nakł. Ks. Prał. Szumana. Starogard, 1938, str. 31.
- Władysław Zawadzki: *Manipulowanie pieniądzem jako narzędziem polityki gospodarczej*. Nakładem Tow. Ekonomicznego w Krakowie. Kraków, 1938, str. 28.
- O. Bernard od Matki Bożej: *Duchowość Brata Alberta*. Nakładem Braci Albertynów. Kraków, 1938, str. 256.
- Ks. Karol B. Garside: *Prorok Karmelu*. Przekład z angielskiego. Wstęp napisał Edward F. Garesché T. J. Bibliotheca Carmelitana. T. IV. Kraków, 1938. Część I, str. 140. Cz. II, str. 149.
- Maria Rodziewiczówna: *Róże panny Róży*. Pisma. T. 34. Poznań. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Str. 238.
-

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z zagadnienia żydowskiego w Polsce.

Nie bez pewnej satysfakcji możemy dziś stwierdzić, że pismo nasze, było jednym z pierwszych, które, niemal nazajutrz po odzyskaniu przez naród niepodległości, usiłowało zwrócić uwagę polskiego społeczeństwa na doniosłość zagadnienia żydowskiego. Już w styczniu 1919 r., naczelny naówczas redaktor *Przeglądu Pow.* ks. J. Urban, w obszernym artykule: „Co robić z Żydami?“, wskazał odważnie na wielkość niebezpieczeństwa związanego z tym właśnie zagadnieniem w Polsce. Wystąpienie to przeszło niestety naówczas bez większego echa. Do tego samego tematu wróciliśmy w styczniu r. 1934, w okresie kiedy rzeczowe naświetlenie doniosłości tej kwestii i sformułowanie konkretnych postulatów uchodziło w pewnych kołach prawie za „antypaństwową robotę“. Echo było wprawdzie mocne, ale wnet przebrzmiało, a wyniki nie sięgnęły poza ramy prasowych starć czy aprobat.

Dziś sytuacja uległa gruntownej przemianie. Sprawa żydowska nie schodzi z łamów naszej publicystyki; nie ma prawie zebrania politycznego na którym by nie było o niej mowy; wszystkie ugrupowania polityczne roztrząsają to zagadnienie i ogłaszają swe programy czy tezy; jesteśmy nawet świadkami swoistej licytacji, bo im kto dłużej pomijał problem żydowski milczeniem, tym hałaśliwiej usiłuje teraz zdystansować innych. Powiedzmy bez eufemizmów, iż sprawa żydowska stała się tematem politycznie modnym i doniosłym. Oczywiście cieszymy się szczerze z faktu, że społeczeństwo polskie dostrzegło nareszcie i uświadomiło sobie cały ogrom niebezpieczeństw grożących nam wskutek

wielowiekowej beztroski i zaniedbań w tej dziedzinie. Równocześnie jednak, właśnie dlatego, że sprawa ta szybko dojrzeła, że w społeczeństwie wybiera reakcja, że nie brak konkretnych planów i posunięć, uważamy za nasz obowiązek powrócić znowu do tego tematu, by przestrzec przed upraszczaniem skomplikowanego zagadnienia i sprostować niektóre błędne a z etyką katolicką niezgodne poglądy.

Przede wszystkim podkreślić trzeba dwa pewniki: Jednym z nich jest fakt, że nikomu poza nami Polakami nie zależy na szybkim i pomyślnym rozwiązaniu żydowskiego zagadnienia w Polsce. Drugim pewnikiem jest również niewątpliwa teza, że nigdzie na świecie problem żydowski nie jest tak trudny do rozwiązania jak właśnie w Polsce.

Jest rzeczą zbędną uzasadniać twierdzenie, iż tylko społeczeństwo naprawdę i świadomie polskie pragnie na serio rozwiązania u nas kwestii żydowskiej. Nie chcemy przeczyć, iż drobny odsetek żydostwa tęskni za jakimś ułożeniem *modus vivendi* z Polakami; bo wprawdzie trudno przeniknąć tajniki duszy kształtowanej zasadami talmudu, ale życie jest życiem, a interes interesem, już zaś w atmosferze obecnej i żyć ciężiej i interesy są coraz trudniejsze. Wszak w imię tej na wskroś praktycznej i z materialistycznym poglądem na świat zgodnej zasady część niemieckiego i międzynarodowego żydostwa potrafi współpracować nawet z narodowym socjalizmem. Ogromna jednak większość żydostwa w Polsce marzy uparcie o przywróceniu stanu z pierwszych lat naszej niepodległości, o utrzymaniu zatem swych faktycznych przywilejów i tworzeniu z Polski jakiejś ziemi obiecanej, Judeo-Polonii. Na takie zaś ujęcie sprawy żaden Polak, kochający wiarę i ojczyznę żadną miarą zgodzić się nie może i dlatego nie wierzymy w dochodzące nas z pewnych stron zapewnienia, że i Żydzi pragną szczerze mądrego rozwiązania tego zagadnienia.

Ale jeżeli stanowisko Żydów polskich może jeszcze w niektórych ośrodkach myśli politycznej budzić jakieś złudzenia czy wątpliwości, to postawa zajęta w tej sprawie przez inne nasze mniejszości narodowe z Ukraińcami i Niemcami na czele jest najzupełniej przejrzysta. A stanowisko to określa nie sympatia do Żydów, ale zacietrzewieniem nacjonalistycznym i wpływami obcych agentur podtrzymywana nienawiść do polskiego państwa. Ciągłe pokutuje w tych kołach przekonanie, iż osłabienie narodu polskiego i spoistości naszego państwa jest jedyną drogą do zrealizowania postulatów grup mniejszościowych. Brak jasnej i konsekwentnej polityki wewnętrznej polskich rządów mści się tu stokrotnie, ale działają też niewątpliwie wrogie polskiemu państwu obce agentury. Tylko bowiem na tym tle można zrozumieć nie-

wątpliwy dziś alians elementów ukraińskich i niemieckich, którego wynikiem jest wzmożona w ostatnich miesiącach antypaństwowa akcja. W 20 lat po uzyskaniu niepodległości nie zdołaliśmy rozwiązać pomyślnie żadnego z problemów naszych narodowych mniejszości, żadnej nie pozyskaliśmy dla szczerzej i lojalnej współpracy, na żadną z nich nie możemy więc liczyć w pomyślnym rozwiązaniu sprawy żydowskiej. Stwierdzenie to smutne i przygnębiające, ale gorszym jeszcze byłoby karmienie się złudzeniami. Wobec kwestii żydowskiej stoimy zatem sami i nikomu innemu poza rdzennymi Polakami nie zależy na szybkim i pomyślnym jej rozwiązaniu.

Ale to dopiero połowa prawdy. Jest bowiem rzeczą niewątpliwą, iż wiele wrogich nam czynników usilnie zabiega o to, by kwestia żydowska była w naszym państwie ciągłym ośrodkiem wrzenia i rozbicia, by stanowiła nieustannie ropiący wrzód, grożący zakażeniem całego organizmu państwowego. W tym właśnie kierunku zdąża systematyczna robota prowadzona z najrozmaitszych, nawet skądinąd wrogich sobie, ośrodków. Komintern, socjalistyczna międzynarodówka, potężne zagraniczne alianse Izraela, masoneria... podały sobie ręce do zgodnej współpracy w tym właśnie kierunku tak za granicą jak i na terenie naszego państwa, działając bądź jawnie i otwarcie, bądź skrycie i w konspiracji, przy użyciu wszelkich nawet najbardziej niegodziwych środków, nie pomijając i najgroźniejszego chwytu prowokacji, jakim jest wciskanie się w polskie szeregi, podburzanie do nieprzemysłanych a z etyką niezgodnych wystąpień, szerzenie rozłamów i wzajemnej nienawiści w polskich, a nawet sztandarowo narodowych szeregach. Z tych faktów niewątpliwych, choć rozłożonych w dość rozległej skali, musimy sobie zdać sprawę; nie wolno nam zapominać, iż samoobronę przed zalewem żydowskim przeprowadzić musimy sami, nie tylko bez sprzymierzeńców, ale wprost przeciwnie przy kontrakcji jawnych i zakonspirowanych wrogów.

Na tym tle łatwiej stwierdzić drugą prawdę, równie niewątpliwą choć niedocenianą przez ogół, że nigdzie na świecie zagadnienie żydowskie nie jest tak trudne do rozwiązania jak u nas.

A więc przede wszystkim w grę wchodzi potworna wprost liczba żydostwa, mieszkającego na terenie Rzeczypospolitej. Nie ma na całej kuli ziemskiej innego państwa, które by posiadało tak wysoki procent Żydów w stosunku do swej aryjskiej ludności. Wedle spisu z r. 1931 na 31,900.000 mieszkańców mieliśmy 3,114.000 Żydów, czyli prawie 10%. Tymczasem z wyjątkiem byłej Austrii, gdzie po *Änschluss* ie

stosunek procentowy gruntownej uległ już zmianie, ilość Żydów w żadnym państwie nie przekracza 2⁰/₀. Już ten przerażający stosunek procentowy u nas, sam przez się powoduje olbrzymią trudność w pomyślnym rozwiązaniu zagadnienia.

Równocześnie w żadnym państwie na świecie nie ma tak zróżniczkowanego elementu żydowskiego i o tak odmiennych terenowych nasileniach jak u nas w Polsce. Od największych bogaczy, rekinów finansjery do skrajnych nędzarzy, od fanatycznych hassydów do zdeklarowanych bezbożników, od skrajnych nacjonalistów-syjonistów do ich zapadłych przeciwników agudowców, od zdeklarowanych komunistów, członków międzynarodówek do Żydów-Polaków mojącego wyznania... wszystko to tak pomieszanę u nas i skłębioną we wzajemnych tarciach, że nie podobna mówić o jakiejś jednolitej fizjonomii mas żydowskich w Polsce.

Ale i terenowo zagadnienie to jest niezwykle skomplikowane. Inaczej przecież wygląda ono na naszych kresach wschodnich, a inaczej w województwach zachodnich. Przecież doniosłość problemu żydowskiego w Poznaniu czy Bydgoszczy przedstawia się zgoła inaczej niż w Brodach czy Pińsku. Weźmy pod uwagę trzy województwa południowo-wschodnie: lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie i zastanówmy się nad wymową cyfr na tym terenie. Znajdziemy tam prawie 3 miliony Polaków, tyleż bez mała (2,800.000) Ukraińców, a przeszło pół miliona Żydów i to skupionych gęsto w miastach i miasteczkach. Trzeba więc na tym terenie mówić o trzech narodowościach a nie dwóch, a taktycznie, te pół miliona stanowi właśnie języczek u wagi.

Czy w tych warunkach narodowy socjalizm zdołałby zastosować z powodzeniem wypróbowane już w Rzeszy metody? A właśnie wzór niemiecki działa podniecająco na pewne odłamy naszego społeczeństwa, znajduje gorących zwolenników metod stosowanych w Berlinie czy ostatnio w Wiedniu. Wystarczy jednak chwila głębszego zastanowienia się nad problemem, by ostudzić te zapęły, by ocenić trzeźwo i realnie możliwości stosowania niemieckiego wzoru i niemieckich metod.

Przede wszystkim trzeba podkreślić antropologiczny fakt, odmiennej psychiki obu narodów, odmienne koleje historycznego rozwoju i narodowej tradycji.

Niemcy państwo bogate, o nieprzerwanym rozbiorem rozwoju narodo - państwowym; naród przyzwyczajony od stu kilkudziesięciu lat do bezwzględного posłuchu; o twardej strukturze duchowej, graniczącej z brutalnością; wychowany na tradycjach krzyżackich, zaprawiony więc do gwałtu i gloryfikujący gwałt; o mentalności urobionej przez Lutra i racjonalizujących pastorów. Niemcy opanowane od kilku

lat przez jakiś obłęd podszytego pogańską religią i mistyką rasizmu, naród zdecydowanie chory na kompleks wyższości, a ujęty w żelazne kleszcze dyscypliny partyjnej, nie gardzącej w potrzebie terrorem. Pod taranem tej masy 70-ciu milionów znalazła się garść, bo zaledwie 600.000 Żydów, zupełnie zeuropeizowanych, uznających dotychczas bez zastrzeżeń Niemcy za swoją ojczyznę, Żydów zgłęichszaltowanych nie do odróżnienia od Niemców, Żydów prawie bez wyjątku zamożnych, często bardzo bogatych i szeroko skoliigaconych z Niemcami, mających szerokie i silne oparcie w finansjerze żydowskiej i międzynarodowej. W tych warunkach nawet przymusowa emigracja nie przedstawia poważniejszych trudności.

A u nas szeroka, wyrozumiała natura słowiańska, pełna sentymentalizmu, zrośnięta z tolerancją religijną i narodowościową, gloryfikująca swobodę, a nawet swawolę. A dalej, nasza rzewna sielankowość, brak wytrwałości i konsekwencji w działaniu, nasz Jankiel z „Pana Tadeusza” i nasz pachciarz czy karczmarz, zrośnięty z polską wsią, nasz „pocziwy” lichwiarz, niezawodzący w potrzebie, nasz cichy żydowski wspólnik w głośno manifestującej swą aryjskość firmie, nasze panusie jeżdżące za Żelazną Bramę, bo tam przecież o 10 groszy taniej... Z drugiej zaś strony ponad 3 miliony zsolidaryzowanych Żydów od nędzarza w chałacie z wileńskiego zaułka, Kazimierza czy Nalewek, do wygolonego i ubranego jak Anglik, sunącego własnym Cadillac’em potentata finansowego, w stolicy. Niezapomnijmy nadto o ich licznych przymierzeńcach.

Trudno zaprzeczyć, iż w tych warunkach wyglądają nieco naiwnie marzenia pewnych grup o przeszczepieniu metod niemieckich na terenie Polski. Zresztą nawet przy zastosowaniu narodowo-socjalistycznego wzoru wyniki siłą faktu musiałyby być odmienne, gdyż jak nie trudno zrozumieć, zagadnienie żydowskie w Polsce nie może być rozwiązane w tym tempie co w Niemczech. Nie wystarczy chwilowy wysiłek, nie wystarczy nawet objęcie władzy przez partię najbardziej antysemitką! Wmawianie zatem w nasze społeczeństwo błyskotliwych obietnic, że „gdy my obejmemy rządy kwestia żydowska w krótkim czasie zostanie zlikwidowana” jest albo naiwne albo nieuczciwe, w obu zaś alternatywach musi wywołać tylko jeden niezawodny skutek, iż społeczeństwo chore i tak nagminnie na brak silnej i nieustępliwej woli, widząc, że obietnice zawodzą, popadnie w stan apatii i zniechęcenia sprzed lat kilku czy kilkunastu. W takim więc nierealnym podejściu do zagadnienia tai się nie małe niebezpieczeństwo. Rozwiązanie bowiem żydowskiego problemu wymaga u nas dłuższego czasu; musi

być zatem realizowane długim, konsekwentnym i nieustępliwym wysiłkiem tak rządu jak całego społeczeństwa.

Zresztą choćby nawet hitlerowskie metody miały wydać i u nas upragnione rezultaty, zastosowanie ich, przynajmniej w całej rozciągłości, nie da się żadną miarą pogodzić z zasadami katolickiej etyki, do której przecież przynależy się olbrzymia większość narodu. Skrajny rasizm niemiecki jest nie tylko naukowym absurdem, nie tylko z jego metod widać barbarzyństwo sprzeczne z godnością kultury zachodniej, ale nadto jest herezją urągającą katolickiej dogmatyce i etyce. Metody hitlerowskie musiałyby spaczyć do głębi naszego narodowego ducha, a w dalszej perspektywie doprowadziłyby niechybnie do kulturalnego zdziczenia. Jeśli bowiem pozwolimy sobie dziś na stosowanie w walce z niebezpieczeństwem żydowskim środków sprzecznych z naszą religią¹⁾, to jutro zechcemy ich użyć wobec innych mniejszości a pojutrze nic już nie stanie na przeszkodzie, by je zastosować wobec własnych braci o innych politycznych czy religijnych poglądach. Staczanie się po równi pochyłej w odmęt barbarzyństwa dokonywa się prędko nawet i w 20 wieku. Przykładów na stwierdzenie tej tezy nie brak niestety we współczesnej Europie.

W okresie dwudziestolecia naszej niepodległości wzmocniliśmy się wybitnie tak materialnie jak i moralnie. Rozwój naszej gospodarki i politycznego znaczenia nie ulega wątpliwości. Nabrano do nas zaufania, zaczęto liczyć się z nami. Zamiast ironicznych uwag o *Saison-Staat* i podpalania cygar naszymi banknotami jesteśmy dziś świadkami zabiegania mocarstw o dobre stosunki z Polską i szukania naszej waluty. Otóż przy regulowaniu sprawy żydowskiej będziemy mieć niewątpliwie przeciw sobie całe międzynarodowe żydostwo z jego przemożnymi wpływami i sprzymierzeńcami.

¹⁾ Zaznaczamy mimochodem, iż środki te w naszych warunkach są często bezskuteczne i wprost bezrozumne. Tak np. niewielu zapewne wie, że w czasie antyżydowskich awantur 19 marca b. r., wybito w Warszawie 95 szyb wystawowych w żydowskich sklepach. Otóż wszystkie te szyby były ubezpieczone w 3 towarzystwach asekuracyjnych, w Polonii (kapitał polski) 50 szyb, w Piaście (kapitał włoski) 40 szyb, oraz w Ves-cie (kapitał polski) 5 szyb. Razem wypłaciły te towarzystwa około 60,000 zł odszkodowania. Jest rzeczą oczywistą, że na miejsce wybitych szyb trzeba było wstawić nowe, ale ponieważ w kraju nie mamy ani jednej huty, wyrabiającej szyby o takich rozmiarach, więc wszystkie trzeba było zakupić w hurtowniach fabryk belgijskich i czeskich. Hurtownie musiały oczywiście uzupełnić swe składki, wobec czego suma 60,000 zł musiała wywędrować do Belgii i Czech. Ale co najsmutniejsze to fakt, że właśnie hurtownikami w tej dziedzinie są w Polsce wyłącznie trzy firmy żydowskie: Degenschein, Weissblatt i Gelleder, które na tej transakcji zyskały niemało. Oto realne skutki nieetycznej i nieprzemysłanej akcji.

Nie wolno nam zatem przez nieprzemyślane posunięcia tracić nic z naszego materialnego i moralnego kredytu, jaki uzyskaliśmy w świecie. Niemcy, Italia, Anglia czy Stany mogą sobie pozwolić na wiele; my z pewnością nie, gdyż, pomijając wszystkie inne względy, jesteśmy jeszcze na dorobku, odrabiamy stracone stokilkadziesiąt lat, musimy oszczędzać a nieraz i zaciskać zęby z myślą o przyszłości. Italia z powodu najazdu na Abisynię spotkała się z kontrakcją wszystkich państw Ligi Narodów, poniosła mnóstwo szkód materialnych i moralnych; ale już w rok po tym nawet Anglia musiała ustąpić i usunąć swego ministra spraw zagranicznych. Niemcy mają w tej chwili zmobilizowaną przeciw sobie opinię przynajmniej połowy świata. Ale gdyby dziś zechciały zrobić na serio gest pokojowy w stosunku do Anglii, to rynek finansowy potężnego imperium jutro stanie dla nich otworem. My na takie warunki poczekać jeszcze musimy dość długo.

Oto ogromne trudności piętrzące się u nas na drodze do rozwiązania zagadnienia żydowskiego; oto liczne niebezpieczeństwa z którymi akcja rządu i społeczeństwa liczyć się musi w swej koniecznej i zdecydowanej walce z żydowskim zalewem.

I trzeba przyznać, jak już zaznaczyliśmy na wstępie, że znaczny odłam społeczeństwa polskiego trudności te docenia, z niebezpieczeństw grożących nam ze strony żydowskiej masy zdaje sobie sprawę. Kwestia żydowska ruszyła niewątpliwie z miejsca. Wśród partyj politycznych Stronnictwo Narodowe, wysunęło nawet to zagadnienie na plan pierwszy. I choć pod adresem tego stronnictwa, a zwłaszcza jego radykalnych odprysków, padają nieraz zarzuty, że z antysemityzmu uczyniło środek politycznej rozgrywki, że szermuje nim demagogicznie, że podżega nieraz do ekscesów antyżydowskich — mimo to nikt nie może uczciwie zasług tego Stronnictwa w tej właśnie dziedzinie zaprzeczyć. Pod wpływem wyteżonej a długoletniej akcji Stronnictwa Narodowego społeczeństwo polskie otrząsnęło się z apatii, żywo zainteresowało się problemem, zaczęło go studiować, do czego dopomógł szereg źródłowych prac, przystąpiło wreszcie do czynu samoobrony gospodarczej i kulturalnej. Bez wątpienia przykład niemiecki podziałł również podniecająco, zwiększając z jednej strony niebezpieczeństwo dalszego przyływu żydostwa do Polski, z drugiej zaś podając gotowe wzory, nie zawsze niestety zgodne z postulatami katolickiej etyki. Jesteśmy jednak głęboko przekonani, że kierownicze czynniki Stronnictwa Narodowego, które zdecydowanie w swej zwartej masie stoi przy katolickiej ideologii, nie zejda nigdy na manowce rasizmu i pogańskiego ultranacjonalizmu, przed

którym coraz mocniej przestrzega sędziwy Sternik Chrystusowego Kościoła.

Akcja Narodowego Stronnictwa nie pozostała bez wpływu także i na inne polityczne partie. Rzecz wysoce znamienna, iż nawet panujący niepodzielnie w Polsce od r. 1926 reżim zaczął się żywiej zajmować zagadnieniem żydowskim, być może z lęku, by wobec postawy społeczeństwa, nie utracić politycznego znaczenia. Za czasów BBWR prawie żaden z pływowych polityków nie poświęcał uwagi żydowskiemu zagadnieniu, owszem wprost przeciwnie Żydzi, wchodząc w skład Bloku, odgrywali w nim polityczną rolę i cieszyli się poważaniem i poparciem. Wszak, kiedy dn. 11. II. 1931 r. Żyd, poseł Wiślicki, zawołał w Sejmie, „że znalazło się w Polsce stronnictwo, które razem z Żydami chce budować Polskę“, żaden z posłów nie zgłosił sprzeciwu! Dziś jakżeż znamienna różnica. Już płk Koc, tworząc OZoN, nie mógł pominąć zagadnienia żydowskiego. Jego szef sztabu Kowalewski ujął kwestię jeszcze odważniej. Obecny premier Składkowski, który niegdyś tak hojnie obdarowywał obywatelstwem polskim szerokie masy rosyjskiego żydostwa, zdobył się przy nowym kursie na aprobatę walki gospodarczej z Żydami. Wreszcie nowy szef Obozu gen. Skwarczyński posunął się jeszcze dalej niż jego poprzednik. Znamienna to ewolucja poglądów! Nic więc dziwnego, że i Rada Naczelna Obozu poświęciła kwestii żydowskiej szereg uchwał, jakżeż odmiennych w swej treści od zasad panujących niegdyś wszechwładnie w szeregach reżimowego Bloku. Także *Gazeta Polska*, półoficjalny organ Zjednoczenia omawia piórem swego naczelnego publicysty żydowski problem i formułuje antyżydowskie postulaty.

Pisząc na wiosnę i w jesieni ub. r. o OZoNie wyraziłszy poważne wątpliwości czy potrafi on stać się „instrumentem zjednoczenia społeczeństwa pod hasłem narodowym i katolickim“. Przewidywania nasze okazały się, jak dotychczas, całkowicie słuszne i nic nie wskazuje na to, by w tym kierunku miała nastąpić jakaś poważniejsza zmiana. Tym niemniej musimy stwierdzić, iż stanowisko zajęte przez Radę Naczelną Obozu w sprawie żydowskiej jest wysoce znamienne i świadczy o pozytywnej ewolucji ugrupowania, dla którego żydostwo przed paru jeszcze laty było nietykalnym tabu. Uchwalone tezy, że Żydzi należą do zaprzańskiej grupy ogóln żydowskiej, że są czynnikiem osłabiającym normalny rozwój polskich sił narodowych i państwowych, że zagadnienie to wymaga planowego rozwiązania przez czynniki państwowe i społeczne, że wszelkie akcje o charakterze demagogicznym i anarchicznym przeszkadzają w jego rozwiązaniu, że udział Żydów w naszym

życiu gospodarczym winien być zredukowany, tak samo jak wysoki ich udział w niektórych zawodach wolnych, że trzeba uniezależnić prasę, książkę, teatr, radio, kino itd. od wpływów żydowskich... te wszystkie stwierdzenia są bezwzględnie słuszne i wyrażają to, co sfery narodowo-katolickie głosiły od dawna. Pociuszającym jest fakt, że zdrowa ta ideologia przenika powoli we wszystkie partie, które pragną rzetelnie pomyślnego rozwoju polskiego państwa.

Jeżeli jednak dokonana przez Radę Naczelną OZOŃu diagnoza niebezpieczeństwa żydowskiego jest na ogół trafna a egzegeza p. Miedzińskiego, przeprowadzona na łamach *Gazety Polskiej*, diagnozę tę w niektórych punktach słusznie uzupełnia, to natomiast proponowana przez te czynniki terapia przedstawia dużo do życzenia.

Szef obozu Zjednoczenia gen. Skwarczyński, przemawiając w rocznicę ogłoszenia deklaracji płk. Koca, widzi: „rozwiązanie problemu żydowskiego w radykalnym zmniejszeniu liczby Żydów w Polsce. Możliwe to jest, zdaniem jego, „w drodze przeprowadzenia planu emigracji, który musi uwzględnić interesy państwa i być realnym“. P. Miedziński odrzuca nawet „wszystkie inne metody rozwiązania tej kwestii, na rzecz projektu masowej, zorganizowanej emigracji, likwidującej nieznośny nadmiar Żydów w Polsce“¹⁾ i dochodzi do ostatecznego wniosku „innego wyjścia niż planowa, zorganizowana emigracja nie ma“.²⁾ Rada Naczelna OZOŃu w tezie IV dochodzi do przekonania, że „rozwiązanie kwestii żydowskiej w Polsce może być osiągnięte przede wszystkim przez jak najbardziej wydajne zmniejszenie liczby Żydów w państwie“, zatem przez popieranie emigracji.

Otóż w takim postawieniu sprawy kryje się naszym zdaniem poważne niebezpieczeństwo. Nikt nie zakwestionuje tezy, iż możliwie szybka i jak najszerza emigracja Żydów z Polski jest środkiem radykalnym i zasadniczym, który ten groźny dla państwa i narodu problem rozwiąże bez reszty. Natomiast wyznamy bez żadnych omówień, iż w realność tego lekarstwa w obecnej chwili trudno nam uwierzyć. Po prostu nie wierzymy, aby w krótkim czasie, nawet przy wielkim wysiłku rządu i przy szczerej pomocy całego społeczeństwa udało się doprowadzić do skutku masową emigrację żydostwa. Nie wątpimy, iż kiedyś to nastąpić musi, jesteśmy bezwzględni zwolennikami popierania wszelkich wysiłków podejmowanych w tym właśnie kierunku, ale czekanie na tę zbawczą chwilę i wmawianie

1) *Gazeta Polska* z 26. V. Nr 143.

2) *Gazeta Polska* z 27. V. Nr 144.

w społeczeństwo, że to jest j e d y n e wyjście, że wszystkie inne „metody należy zarzucić“, ¹⁾ wydaje nam się z gruntu błędne i prowadzić musi do apatii oraz defetyzmu.

Najpierw bowiem jawi się zasadnicze pytanie; dokądże ta emigracja ma być skierowana? Wobec sytuacji panującej w Palestynie, która, jak wszystko zdaje się wróżyć, nieprędko ulegnie korzystnej zmianie, liczniejsza emigracja do tego kraju, nawet przy zrealizowaniu zbrojnych planów Żabotyńskiego, jest fikcją. Anglia ograniczyła zresztą bardzo silnie nawet ów pierwotny a niewystarczający kontyngent emigracyjny. Z pewnością nie wszyscy wiedzą, iż w pierwotnym, rocznym kontyngencie emigracyjnym, wyznaczonym przez Anglię, Polska wśród wszystkich innych państw miała najwyższy procent. Otóż po ograniczeniu kontyngentu spadł wydatnie i nasz procentowy udział. Ale o dziwo, w bardzo krótkim czasie potrafiły Niemcy odzyskać całkowicie swój dawny kontyngent, oczywiście kosztem państw innych, a starania naszej dyplomacji, w które nam chyba wątpić nie wolno, nie odniosły najmniejszego skutku. A więc to jedyne dotychczas miejsce, dokąd mogliśmy odprowadzać naturalny roczny przyrost ludności żydowskiej, może i z pewną nieznaczną nadwyżką, zostało w chwili obecnej silnie okrojone prawnymi ograniczeniami.

Kraje Europy i Ameryki są dla naszej emigracji żydowskiej praktycznie zamknięte. Jedynie Francja może przyjąć drobną ilość i to Żydów finansowo niezależnych. Czyż więc należy oczekiwać na gościnny Madagaskar, Rodezję, Abisynię, Kenię czy Angolę? Być może, że dyplomacja nasza odniesie w tym kierunku jakiś świetny sukces. Ale kiedy? Tymczasem zaś społeczeństwo polskie ma cierpliwie czekać, aż mu rosa oczy wyje, gdyż p. Miedziński zawyrokował, iż „wszystkie inne metody należy zarzucić“. Otóż wbrew temu twierdzeniu czołowego publicysty *Gazety Polskiej* zaryzykujemy tezę, iż przy „zarzuceniu wszystkich innych metod“ walki z żydowskim zalewem nie doczekamy się nigdy wydatnej emigracji Żydów. Emigracja ta bowiem, jej warunki i ujścia zależą w wysokim stopniu od współpracy naszego i międzynarodowego żydostwa. Jego presja i zabiegi zdołałyby nawet dziś poprawić naszą emigracyjną sytuację, a zakulisowe wpływy potentatów finansjery i polityki żydowskiej, pod parciem trzymilionowej masy polskiego żydostwa, znalazłyby niewątpliwie odpowiednie dla emigracji tereny. Tymczasem ta masa nie myśli bynajmniej o opuszczeniu gościnnych terenów Polski.

¹⁾ *Gazeta Polska* z 26. V. Nr 143.

I tutaj właśnie otwiera się szerokie pole dla odpowiedniej polityki samoobrony, przy zastosowaniu tych „innych metod”, z których p. Miedziński tak wspaniałomyślnie rezygnować pragnie. Czyżby ten oficer sztabu uległ machiawelizmowi żydowskiego oskrzydlenia?

Przypomnijmy jedną z tez Naczelnej Rady OZoNu. To najwyższe kolegium Obozu Zjednoczenia orzekło, iż wysoki udział Żydów w niektórych zawodach może być zredukowany „przez wprowadzenie ogólnych przepisów prawnych, dających możliwość selekcji z punktu widzenia interesów państwowych”. W tezie powyższej widzimy inicjatywę w kierunku ustawy ograniczającej prawa Żydów w Polsce. I takie prawne zmiany dojść muszą do skutku, by dzieło samoobrony było akcją na całej linii legalną. A podstaw do takiej właśnie reformy nie trzeba bynajmniej pracowicie szukać. Wszak Naczelna Rada przyznaje otwarcie, iż Żydzi przynależą do pozapaństwowej grupy ogólnie żydowskiej. A p. Miedziński podzielił polskie żydostwo na dwie tylko części: „komunistyczną”, i tę uważa za otwartego wroga oraz „zachowawczą”, którą określa „jako ciężką przeszkodę w naszym życiu narodowym”. Wyciągnijmy z tych przesłanek konsekwentne wnioski. Z komunizmem walczyć nam chyba wolno oraz walczyć trzeba i to całym rygorem prawnych postanowień i ich bezwzględne wykonania. Niemniej wolno nam walczyć z „grupą pozapaństwową”, „z punktu widzenia interesów państwowych”, zwłaszcza jeśli ta grupa, jak stwierdza p. Miedziński, jest nadto „ciężką przeszkodą w naszym życiu narodowym”. Przejrzystość sytuacji wzrośnie, gdy zwrócimy uwagę na fakt, iż w tej zachowawczej części polskiego żydostwa mamy przecież liczną frakcję syjonistów, czyli obywateli polskich, dla których jednak centrum zainteresowań, trosk i umiłowań stanowi narodowe państwo żydowskie. Już więc nie tylko interes państwowy i dobro polskiego narodu ale elementarna logika dyktuje, iż ludziom tym nie tylko nie można powierzać żadnych urzędów oraz stanowisk publicznych, ale można i trzeba zgodnie z katolicką etyką uznać ich za obcokrajowców, ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu.

Także prawne ograniczenia Żydów w dziedzinie handlu, przemysłu a przede wszystkim wolnych zawodów okazują się już w tej chwili absolutną koniecznością wobec stanu posiadania polskiego kupiectwa, przemysłu i tej rzeszy bezrobotnych inteligentów Polaków.

Rada Naczelna OZoNu stwierdziła w swej tezie XIII, że „w rozwiązywaniu sprawy żydowskiej rola pozytywna przypada młodemu pokoleniu”. Tę rolę pozytywną widzi Rada Naczelna chyba nie w wybijaniu szyb, awanturach ulicznych

itp. nieetycznych wystąpieniach. Istotnie znajdujemy we wspomnianej tezie słowa, że „ta rola ma polegać na wytrwałym i gruntownym przygotowaniu się do stopniowego obsadzenia placówek społecznych, gospodarczych i kulturalnych“. Jeśli jednak te słowa Rady Zjednoczenia nie mają być przyjęte przez młodzież jako ględzenie pedagogiczne, to dostęp do tych placówek musi być odpowiednio zapewniony, a zapewniony być w tej chwili może nie tylko przez obalenie zbrodniczej kumulacji urzędów i pensyj w rękach uprzywilejowanych, ale także, może przede wszystkim, przez owoprowadzenie ogólnych przepisów prawnych, które by ograniczyło „wysoki udział Żydów“ w handlu, przemyśle i wolnych zawodach.

Nie można też pominąć milczeniem tak doniosłej kwestii szkolnictwa. Na pewnym jej odcinku „rola pozytywna“ przypadła już młodemu pokoleniu. Jego walka o *numerus clausus* przyniosła faktyczne rezultaty, ale stan faktyczny jest dotychczas niezadawalający a co ważniejsze nie uregulowany prawnie. Etyka, praworządność, dobro narodu wymagają w tej dziedzinie energicznych i definitywnych reform. Cóż dopiero mówić o szkolnictwie średnim i powszechnym!

Przypomnijmy 122 uchwałę Synodu Plenarnego, którego postanowienia mają wejść obecnie w życie:

Na mocy prawa przyrodzonego i uroczystych orzeczeń papieskich, a zwłaszcza na mocy encykliki o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży, rodzice katoliccy powinni się domagać, aby ich dzieci kształciły się w katolickich szkołach wyznaniowych... Aby młodzieży nie narażano na szkody religijne i moralne... przez łączenie młodzieży katolickiej z żydowską i przez powierzanie wychowania młodzieży katolickiej nauczycielom innowiercom.

A ileż ograniczeń prawnych pociągnąć za sobą musi zrealizowanie postulatu Naczelnej Rady o uniezależnieniu naszej prasy, teatru, kina, radia... od wpływów żydowskich! Chyba, że postulat ten obliczony jest wyłącznie na czysto papierową czy politycznie-propagandową manifestację. A nie można się łudzić, że przeprowadzenie tych wszystkich, z punktu widzenia etyki najślusznieszych żądań, natrafi na zorganizowany sprzeciw żydostwa oraz jego sprzymierzeńców, jeśli np. uchwalona już ustawa o rytualnym uboju nie może się doczekać pełnej realizacji.

Jeśli tych wszystkich i podobnych kwestyj nie uregułuje w krótkim stosunkowo czasie prawo, jeśli nie dojdzie rychło do sprawiedliwych, logicznych i energicznych reform samoobrony przed żydowskim zalewem, to nie tylko perspektywy emigracji żydowskiej z Polski zamienią się w iluzję, ale nadto dojdzie niewątpliwie do żywiołowego i nieda-

jącego się łatwo opanować odruchu mas. A jesteście przekonani, iż na tym i sami Żydzi wyszliby najgorzej. Przykład Trzeciej Rzeszy ma swoją wymowę.

Oto niektóre tylko racje, dlaczego tezę p. Miedzińskiego w kwestii metody rozwiązania żydowskiego zagadnienia w Polsce musimy bezwzględnie odrzucić.

Podkreślając zdecydowanie konieczność pewnych reform prawnych, które by mogły skutecznie przygotować i przyspieszyć emigrację mas żydowskich z Polski, nie myślimy, być oczywiście bezwzględnymi przeciwnikami asymilacji Żydów. Nie ma żadnej racji (poza obłądną i pogańską teorią rasizmu), by tamować proces asymilacyjny, z tym jednak ważkim zastrzeżeniem, byśmy pragnąc ułatwić ruch asymilacyjny wśród Żydów, sami nie zatracili własnego duchowego oblicza, a za asymilację nie zapłacili duchowym zżyczeniem polskiego społeczeństwa. Dlatego asymilacja musi być szczerą i gruntowną, musi u jej zwolenników pociągać za sobą faktyczne zerwanie solidarności z tymi Żydami, którzy wyznają nacjonalizm żydowski. P. Miedziński widzi jedyną gwarancję pełnej asymilacji w fakcie walki z bronią w rękę o niepodległość Polski. Kryterium to i zbyt wąskie i niezupełnie jasne. Znamy jednostki, które były się o niepodległość, które konsekwentnie „w nagrodę” zajęły wybitne i odpowiedzialne stanowiska urzędowe, a których działalność i popieranie żydostwa, musi budzić wielkie zastrzeżenia nie tylko z narodowego ale i państwowego punktu widzenia. Dla nas, na podstawie doświadczenia wieków, warunkiem asymilacji jest prawie wyłącznie przyjęcie katolicyzmu, płynące z głębokiego przekonania, a nie metrykalna tylko zmiana wyznania lub przejście do obozu bezbożników czy bezwyznaniowców.

W ostatnim zeszycie *Przeglądu* zamieściliśmy charakterystyczny artykuł żydowskiego konwertyty właśnie na temat możliwości asymilacji narodowej oraz religijnej Żydów. Z punktu widzenia katolickiej etyki możemy przyjąć wyrażone tam zasadnicze tezy, dlatego nie myślimy ich tutaj powtarzać¹⁾.

Podkreśliśmy za to tym usilniej prawdę, iż katolikom, z hierarchią katolicką na czele, nie wolno patrzeć obojętnie na rosnący w Polsce zalew żydowski, na jego wpływy, działalność oraz aliance. Wrogie usposobienie żydostwa dla katolicyzmu jest niewzruszonym historycznym dogmatem. Łączenie się Żydów z wrogami katolickiego obozu i ideowe roz-

¹⁾ Odbitka tego artykułu pt.: „Nawrócony Żyd o Żydach w Polsce”, jest do nabycia w Wydawnictwie Księży Jezuitów, Warszawa — Rakowiecka 61. Cena 25 groszy.

sadzanie ideologii katolickiej stanowi jaskrawą cechę czołowych i najbardziej wpływowych sfer żydowskich i ich organizacji międzynarodowych. To jest ten dziejowy atawizm, ta anarchia ducha, która im każe w każdym społeczeństwie detronizować katolickie ideały. Dokoła żydowskich menderów wyrasta i skupia się zastęp goimów, przepojonych podświadomością zacznem żydowskiej umysłowości i będących jej podatnym, a wobec społeczeństwa mniej podejrzanym narzędziem. Spokojna ocena polskiej rzeczywistości jest niezwruszonym tej tezy stwierdzeniem.

I dlatego problem rozwiązania kwestii żydowskiej w Polsce uznajemy za ogromnie doniosłą sprawę nie tylko państwa i narodu ale i Kościoła.

Ks. Edward Rosibowicz.

Sprawy Państwa.

Czwarty kryzys wojenny w ciągu roku. — Rokowania w pozycji do strzału. — Zagrożony Gdańsk a korytarz słowacko-małopolski. — Niebezpieczeństwo wojny i niebezpieczeństwo pokoju. — Watykan, „nowa reformacja” i Polska.

Lato w polityce międzynarodowej było nie tylko gorące ale wprost gorączkowe. Obok nowego *salto mortale* w układzie sił między osią rzymsko-berlińską a ententą anglo-francuską przyniosło dwa kryzysy wojenne, na Dalekim Wschodzie i w Europie, co łącznie z poprzednimi czyni cztery kryzysy od zeszłorocznej jesieni.

Teoretycznie mogły być te wakacje także pełne wspomnień, gdyż zbiegły się podczas nich aż trzy rocznice: dwa lata wojny hiszpańskiej, prawie dwa lata osi rzymsko-berlińskiej i rok wojny chińskiej. Wszystkie te trzy zjawiska pozostawały między sobą w najściślejszym związku przyczynowym, który tu nieraz referowałem. Miały swój punkt wyjścia w Hiszpanii, stając się z kolei czynnikami i znacząc etapy wzrastającego zagrożenia pokoju powszechnego.

Wstrząsy następowały po sobie coraz szybciej i są coraz gwałtowniejsze. Jesienią ub. roku wojna wisiała na włosku nie tylko na Dalekim Wschodzie, jednak w Europie nie dawało się to jeszcze odczuć bezpośrednio. Marcowy zamach austriacki Niemiec minął bez wojowniczej reakcji, ale zamach majowy na Czechy spowodował drugi z rzędu kryzys wojenny, znacznie od jesiennego ostrzejszy, bo grożący wybuchem natychmiast i na miejscu. W dwa miesiące później trzeci kryzys sowiecko-japoński doprowadził już wprost do działań bojowych pod Czang-Ku-Feng. A w dwa tygodnie po nim niemiecka zbrojna demonstracja przeciwko Cze-

chom i Zachodowi zmobilizowała 1½ milionową armię oraz pogotowie bojowe w Sowietach, zdolne otworzyć ogień, z dnia na dzień, w Europie. Wszystko więc zdaje się za tym przemawiać, że pewne procesy związane z wojną hiszpańską, chińską i dążeniami osi rzymsko-berlińskiej dojrzewają do rozwiązań stanowczych, drogą pokoju lub wojny.

Lecz przejdźmy do relacji wydarzeń „wakacyjnych”. Jak zaznaczyłem, w ciągu lata nastąpiło nowe *salto mortale* w położeniu osi i Europy. Spowodowały je w pierwszym rzędzie trzy doniosłe fakty: Jerzy VI w Paryżu, starcia japońsko-rosyjskie na Dalekim Wschodzie oraz „manewry” niemieckie. Dokoła nich skupiły się impulsy i rozwinęły procesy przekształcające.

Niepowodzenie majowego zamachu Niemiec na Czechy zostało wywołane solidarnością ententy anglo-francuskiej, ściślej — rozstrzygającą postawą Anglii. Tak znaczny, choć tylko defensywny sukces odniesiony bezpośrednio po ofensywnej, aczkolwiek dość sztucznej manifestacji Hitlera i Mussoliniego w Rzymie, zachęcił mocarstwa zachodnie nie tylko do wspaniałej kontrmanifestacji odwiedzin Jerzego VI w Paryżu, lecz i do tym silniejszego, rzeczywistego zwarcia ich politycznych dążeń. W stosunku do Włoch, usilnie wciąż goniących za współdziałaniem z Anglią, ale omijających Francję, ta solidarność anglo-francuska wyraziła się w stopniowo coraz wyraźniejszym nacisku na Rzym, by zechciał swą politykę uzgodnić również z „łacińską siostrzycą”. Biorąc za powód wycofanie ochotników z Hiszpanii, Anglia odroczyła wejście w życie układu z Włochami.

Nie dość na tym. Ze strony ententy ujawniła się dążność do wyzyskania trudnej sytuacji Włoch między wciąż jeszcze niezdobytą dla nich przez Franca Hiszpanią, a już przez Niemcy zdobytą Austrią, w ten sposób, by Włochy wciągnąć do przeciwniemieckiej Stresy, a równocześnie wysadzić je całkowicie z Hiszpanii i zredukować do Albanii na Bałkanie. W tym celu, bardzo silnie poprzednio już przyciśnięta, czerwona armia hiszpańska okazała się nagle zdolną do mocnej ofensywy nad rzeką Ebro, w której odrzuciła wojska powstańcze, zadając im poważne straty. W tej niespodziance umoczyły rękę nie tylko Sowiety, lecz i Francja. Czerwona armia nie tylko okazała się doskonale zaopatrzoną w materiał bojowy, ale także wzmocnioną przez dopływ świeżego ochotnika. Franco wprawdzie odzyskał później stracony teren, ale go to dużo kosztowało. Dzienniki zaś lewicowe francuskie wkrótce potem uroniły niedyskretną łzę żalu z powodu poległych w walkach nad Ebro kilku tysięcy... Francuzów, oczywiście komunistów.

W dalszym rozwinięciu tej akcji, w Szwajcarii nastąpił zjazd czerwonego premiera Barcelony z londyńskim przedstawicielem gen. Franco, niewątpliwie w zamiarze układów pokojowych pod

patronatem anglo-francuskim. Gdyby pokój taki doszedł do skutku, to Hiszpania najprawdopodobniej musiałaby się wyrzec totalizmu, prawego czy lewego, a powrócić w starą koleję demokratyczno-parlamentarną. Może by za to dostała jakieś kredyty, ale tym pewniej weszłaby pod protektorat polityczny mocarstw zachodnich. Na razie układy szwajcarskie zawiodły, ale Mussolini musiał mocno znów poprzeć Franco, a jego ugodzie z Anglią na zdrowie to nie wyszło.

Równocześnie na Bliskim Wschodzie, świeża kredytodawczyni sił zbrojnych Turcji, W. Brytania użyła tam swego wpływu by wyrównać spór francusko-turecki o Aleksandrettę, wzniecony z górą rok temu dla nacisku na Francję w Syrii na tle rapallitańskiego okresu¹⁾ rzymsko-berlińskiej osi. Obok odnowionej w ten sposób dawnej przyjaźni francusko-tureckiej zarysowała się jeszcze nowa. Anglia, jako tradycyjna protektorka Grecji uzyskała jej zgodę na uzbrojenie Bułgarii, a Francja ofiarowała na ten cel pożyczkę 300 milionów franków. Bułgaria znajdowała się od dawna w obliczu wpływu Italii, która tam osadziła na tronie swoją królową i zaliczała Bułgarię do systemu „protokółów rzymskich” wraz z Austrią i Węgrami. Ponieważ Rumunia i Jugosławia należą do Małej Ententy czyli domeny wpływu Francji, więc na Bałkanie mogłoby niewiele dla Włoch pozostać, pomimo ich zeszłorocznego paktu z Jugosławią. Miejsce projektowanego w Rzymie *condominium* anglo-włoskiego zajęłoby w najlepszym razie *condominium* zbiorowe, z przewagą anglo-francuską. Wyjechała z tego powodu do Italii po pomoc carowa bułgarska, wybierał się i sam car Borys, ale co im Mussolini poradzi — nie wiadomo. Były jakieś próby porozumienia między Rzymem a Paryżem, dokąd nagle przybył francuski przedstawiciel przy Kwirynale, ale z tego też nic nie wynikło.

W Paryżu widocznie przewidywano, że tego rodzaju warunki nie dadzą się narzucić Włochom bez silnego nacisku, przeto zastosowano z dawna, jeszcze za pacyfizmu, wypróbowany środek wygrywania Niemiec przeciwko Włochom, środek zresztą który się już wówczas okazał szczególnie skuteczny... dla Niemiec. Okazja po temu nasuwała się dobra, bo Niemcy, po majowej porażce czeskiej, były odosobnione i nawet tak zaniepokojone zbrojeniami Zachodu, że wysłały do Londynu kpt. Wiedemana, osobistego sekretarza Hitlera z propozycją paktu lotniczego, o który dawniej daremnie u nich zabiegała Anglia. Mógł więc łatwo pojechać na układy do Niemiec z Francji generał Le Rond, a później szef lotnictwa francuskiego gen. Vuillemin. Ententa anglo-francuska całą parą nawracać poczęła do Niemiec, zgodnie z tradycją pacyfistyczną Briand'a.

¹⁾ Szczegóły w referatach miesięcznych pierwszej połowy 1937 roku do września włącznie.

Rezultat stąd na razie wyniknął taki, że Mussolini posłał czym prędzej do Berlina marszałka Balbo, by i Włochy przyczepił do ewentualnego „lotniczego paktu czterech”. A także delegował w charakterze pośrednika mającego podreperować nadwyżoną oś rzymsko-berlińska, regenta Węgier, adm. Horthy, który odwiedzał niedawno przedtem Rzym. Równocześnie Mussolini „huknął pięścią w stół” i zajął postawę wyzywającą nie tylko wobec Francji lecz również Anglii. Swej prasie polecił rozwinąć atak przeciwko obu mocarstwom zachodnim, poparł opór Franca przeciwko ewakuacji ochotników, udaremnił przezeń układy pokojowe szwajcarskie, a w Palestynie wzniecił wojnę domową arabsko-żydowską. Wreszcie pojechał *duce* na Pantellerię, manifestacyjnie sprawdzać jej pogotowie bojowe, bardzo nieprzyjemne dla Anglii, bo niebezpieczne dla komunikacji między Gibraltarem a Suezem.

Tak się przedstawia mechanizm przyczyn dzięki którym lato odwróciło sytuację Włoch i Niemiec: w czerwcu jeszcze odosobnione i przyciśnięte były Niemcy, a w sierpniu — Włochy. Niemniej ważnym zmianom uległo położenie Niemiec także od strony Moskwy. Po majowej przewadze anglo-francuskiej nad Niemcami w sprawie czeskiej, Rosja powzięła nadzieję, że Zachód może jednak utrzyma w spokoju Niemcy, gdy ona zechce wystąpić w obronie Chin i przeprowadzić na swoją korzyść wielką rozgrywkę z Japonią. Nagliła do tego Moskwę obawa, iż celowo przez nią przygotowana okazja względnie łatwego zwycięstwa nad pogrążoną w Chinach Japonią może minąć, gdy „makaki” zdobędą Hankou i zniszczą zdolność Chin do dalszej wojny regularnej. Wtedy bowiem znaczna część sił japońskich, dotąd zajętych na teatrze chińskim, mogłaby zostać przerzuconą do Mandżurii, widoki łatwego ze strony Moskwy zwycięstwa ulotniłyby się, a zamiast projektowanej, sowieckiej hegemonii w Azji (oraz nacisku stamtąd na mocarstwa zachodnie i politykę ich wobec Niemiec) Moskwa ujrzałaby się w obliczu hegemonii japońskiej i groźniejszego niż kiedykolwiek „żółtego niebezpieczeństwa”. Celowo więc poczęła mnożyć zajścia na pograniczu Mandżurii, dążąc do konfliktu, lecz pilnie zarazem obserwując jak się wobec naprężenia na Dalekim Wschodzie zachowa Europa i — Niemcy.

One zaś nie dały długo czekać na objawy reakcji ze swej strony. Po całym świecie rozbiegły się wieści, iż ruch budowlany w Trzeciej Rzeszy prawie zamarł, bo wszystkie ręce robocze skierowano do prac fortyfikacyjnych nad Renem, nad granicą zachodnią Czech, na Śląsku i w Prusach Wschodnich. Niemieckie fabryki materiału wojennego otrzymały rozkaz pracy na trzy zmiany. Równocześnie Niemcy nie lekceważyły lipcowych odwiedzin Jerzego VI w Paryżu, nie wycofywały się z układów o pakt lotniczy zachodni, choć zmuszone były przyjąć do wiadomości

angielską misję pojednawczą lorda Runcimana w Pradze. Zbrojenia świadczyły jednak wyraźnie, że Berlin nie zamierza pozostać biernym, w razie zaangażowania się Moskwy w wojnę z Japonią. Gdyby ją Moskwa łatwo i szybko zwyciężyła osiągając potężne umocnienie swego stanowiska w Azji a pośrednio i w Europie, to byłby tytuł oczywisty dla Niemiec do kompensaty w Czechach. Przede wszystkim jednak podczas samej wojny rosyjsko-japońskiej, nieunikniony bezwład Moskwy w Europie współ z niepokojącymi dla Zachodu możliwościami w Azji, osłabiałby Anglię i Francję na tyle, żeby to znacznie ułatwić mogło niemieckie zamiary wobec Czech.

Było więc jasne jakie są te zamiary na wypadek wojny na Dalekim Wschodzie. Mimo to Moskwa znajdowała się tam w położeniu poniekąd przymusowym, więc po odwiedzinach królewskich w Paryżu i misji Runcimana w Pradze zdecydowała się jednak wysondować do ostatka tak lokalne szanse wojenne w stosunku do Japonii, jak własne bojowe pogotowie społeczno-psychologiczne. Stąd dramatyczny incydent „próbnej bitwy” rosyjsko-japońskiej pod Czang-Ku-Feng. Militarnie wypadł on na niekorzyść Sowietów, ponieważ Japończycy okazali się twardzi w defensywie, sporny obiekt zagarnięty zniemacka odebrali i już go z rąk nie wypuścili, zadając atakującym nieproporcjonalnie ciężkie straty w czołgach i ludziach. Również „próba generalna” wewnętrznego pogotowia społecznego wypadła w Sowietach niepomyślnie, dominującym bowiem jej rysem była panika. Jeżeli jednak Moskwa spod Czang-Ku-Feng ostatecznie się cofnęła, jeżeli odstąpiła tym samym od zamiaru odsieczy dla zagrożonego przez Japończyków Hankou, to momentem rozstrzygającym w tej decyzji stała się przede wszystkim postawa Niemiec. W miarę jak rosło prawdopodobieństwo, a nawet prawie że pewność wojny rosyjsko-japońskiej, Niemcy coraz jawniej potęgowały zbrojenia i coraz agresywniej występowały wobec Czechosłowacji, mimo brytyjskiego w niej mediatora. Nie mogła się już Moskwa łudzić, że jeśli ugrzęźnie w ofensywie na Mandżurię, jeśli sprawi tam sobie proporcjonalny do Czang-Ku-Feng wpływ krwi i środków, to na zachodzie będzie musiała ograniczyć się do roli bezsilnego obserwatora wojny powszechnej albo „pokojowego” przyrostu potęgi Niemiec co najmniej o Czechy; a może o coś więcej jeszcze, na północnym od nich wschodzie.

Przed tą perspektywą cofnęła się więc Rosja, dopuszczając Japończyków pod Hankou. Niemcom to było również nie w smak jak podobny rosyjski zwrot pokojowy na Dalekim Wschodzie w jesieni r. 1937. Tym razem wszakże zareagowały inaczej niż na początku rb. gdy spokojnie wysunęły swoje postulaty wobec Halifaxa w Berlinie. Hitler nie chciał i nie mógł nagle, jakby „na skinienie Moskwy”, cofać się z rozpędu gorączkowych dozbrojeń. Incydent pod Czang-Ku-Feng pouczył go że można nie tylko być w pogotowiu do wojny, ale nawet ją rozpocząć, a jednak się

jeszcze z niej wycofać. Postanowił więc podobną „generalną próbę” wojny przeprowadzić w Niemczech i zastosować jako nową taktykę „dyplomatyczną” w sprawie czechosłowackiej. A więc na śląskim i saskim pograniczu Czech zgromadzono 100 tysięcy szturmowców i „legion sudecki”, naszpikowane bronią maszynową. Wewnątrz Czech, na obszarze niemiecko-sudeckim rozsnuło gęstą sieć miejscowej, tajnej organizacji zbrojnej, pozostającą w kontakcie ze szturmówkami i gotową do inscenizacji zbrojnego powstania. Według rozkazu z Berlina może ono wybuchnąć z dnia na dzień i spowodować „żywiotowe” wtargnięcie do Czech szturmówek na pomoc. W następnym i ostatecznym stadium wkroczyłaby armia niemiecka „w celach pacyfikacyjnych”... Ponieważ zaś problemat czechosłowacki jest bardziej europejski niż miejscowy i posiada swój punkt ciężkości na linii Renu, przeto równocześnie z forsowną jej fortyfikacją zarządzono w Niemczech „wielkie manewry” i połączono je z „próbną” mobilizacją w niebywałych rozmiarach — 1½ miliona ludzi. Po takim przygotowaniu może Hitler liczyć jeszcze na to, że gdyby uderzył na Czechy i powalił je dostatecznie szybko, to choćby mocarstwa zachodnie mobilizowały, a nawet rozpoczęły działania, to — wypróbawwszy siłę oporu niemieckich fortyfikacyj — jeszcze się rozmyślał jeśli znajdują się wobec nowego w Czechach „faktu dokonanego”.

Nikt nie zaprzeczy, że cały ten zespół środków wytworzył dla mediacji lorda Runcimana w Pradze atmosferę wprost wymarzoną — ze stanowiska Niemiec. W pozycji do strzału, z palcem na cynglu... prowadzić pragną Niemcy układy o pokójowy podbój Czechosłowacji... Zachód ze swej strony przygotował się do nich przez nową, „solidarną” jak za czasów abisyńskich, anglo-francuską rozterkę z Włochami. Wpędza je ona pod protekcję zmobilizowanego „na próbę” Berlina, samą zaś ententę prowadzi do najserdeczniejszych uścisków lotniczych Vuillemina z szefami wojskowymi Niemiec. Nieomal jak nieboszczycy Briand i Streseman na wiekopomnym śniadaniu w szwajcarskim Thoiry... I pod tym kątem przeto wkroczyły Niemcy niespodziewanie w niebywałą dla nich oddawna *Hoch Konjunktur*...

Niemiecka taktyka dyplomatyczna jest o tyle nową, że „demonstracji zbrojnej w takiej skali świat jeszcze nie oglądał. Czy będzie dla Niemiec skuteczną? Przypuszczać wolno, że tak. Zależy to głównie od tego czy się niemiecką gotowość do natychmiastowej wojny przyjmuje na serio, lub też nie. Na zachodzie wprowadzie jeszcze nie wygasły złudzenia pacyfistyczne rodem z Genewy. Za jej dobrych czasów opiewały one na „pokój wieczny”, obecnie zostały zredukowane do pokoju „co najmniej na jedno pokolenie”, a w Polsce nawet tylko „na dziesięć lat”. Tak wierzą najbardziej ideowe głowy libero-kapitalizmu i pacyfizmu na zachodzie, oraz najzagorzalsi wyznawcy „wielkich planów” budowy kapitalizmu w Polsce.

Czy mają słuszość? Owszem mogą się nie mylić, wszakże nie bez bardzo istotnych zastrzeżeń. Najpraktyczniejsze z nich dotyczy walnego argumentu pacyfistów, że Niemcy nie są do wojny gotowe, bo nie mają dostatecznej ilości wyszkolonych rezerw, zwłaszcza oficerskich, oraz że nie mają dość surowców dla prowadzenia dłuższej wojny. To „święta” prawda, tylko że nie należy jej przeceniać. Gdyby bowiem Niemcy trwały nadal bierne w takim stanie w jakim się znajdują obecnie, to po kilku latach mogłyby już wprowadzić rozporządzać dostateczną ilością wyszkolonych rezerw ale surowców by im nie przybyło, zawaliby się ekonomicznie i zostałyby zdystansowane przez mocarstwa zachodnie w technicznym wyścigu zbrojeń. Dlatego Niemcy w chwili obecnej wołałyby jeszcze wprowadzić pokój niż wojnę, ale tylko o tyle, o ile wyzyskałyby korzyści zapewniające im na pewien czas gospodarczą możność istnienia i rozwoju; a ponadto gwarancję, że stosunek sił między nimi i ich partnerami nie przesunie się dla nich ujemnie. Warunki te sformułował przecież Hitler na początku roku wobec Halifaxa. Najważniejsze z nich są: 1^o „zapobiegawczy” przyrost potęgi w Austrii i Czechach, 2^o kolonie, 3^o surowce i współpraca gospodarcza „według planu van Zeelanda.

Ustępstw tych dotąd Niemcy nie otrzymali, więc próbują je wymusić groźbą wojny. Czy groźba ta stanowi jedynie kolo-salny *bluff*, lub jest realna? Czy Niemcy mieliby widoki wywalczenia orężem korzyści wyżej wymienionych, lub takich, które by je zastąpić mogły? Byłoby tragiczną lekkomyślnością ludzić się, że takich widoków Niemcom brak. Rozporządzają oni olbrzymią mechaniczną siłą pierwszego uderzenia wojennego, oraz prawdopodobnie zdolnością podtrzymania go przynajmniej w ciągu kilku miesięcy. Gdyby ten swój atut zechcieli wygrać np. na francuskiej linii Maginota, to załamałoby się po kilku miesiącach i skończyłoby tak jak w r. 1918. Ale oni już nie powtórzą błędu owej zachodniej ofensywy z poprzedniej wielkiej wojny. Natomiast ufortyfikowali się tam potężnie po to żeby się bronić, a całą straszną siłę swego pierwszego uderzenia skierować na sąsiadów północno-wschodnich, nierównie od Anglii, Francji i oczywiście Niemiec słabszych, a przeważnie nieufortyfikowanych. W tym kierunku zdają się Niemcy posiadać realne widoki osiągnięcia szybkim gwałtownym uderzeniem tak wiele, żeby to mogło przeobrazić mapę tej części Europy w sposób katastrofalny nie tylko dla Czechosłowacji. Mogłoby też ten atak zapewnić Niemcom przyrost terytorium, w żywności i surowcach dostateczny, żeby ich uzdolnić do nieuchronnego w tej perspektywie starcia z Rosją Sowiecką. Incydent pod Czang-Ku-Feng, jakby błyskawicą oświecił woj-skową, a zwłaszcza społeczną zdolność wojenną Rosji, jako kolo-sa na glinianych nogach.

Dlatego to nie można niemieckiej zbrojnej demonstracji po-
czytywać jedynie za *bluff* i dlatego mało jest prawdopodobne,
ażeby Zachód był zdolny uratować pokój inaczej jak za pomocą
nowych, szczególnie poważnych na rzecz Niemiec ustępstw. Czyim
kosztem? Politycznie najmniej kosztowną, choć ekonomicznie
dwuznaczną byłaby „współpraca gospodarcza” mocarstw wielko-
kapitalistycznych z Niemcami, oraz plan van Zeelanda. To jednak
Niemców nie zadowolni. W dwóch zaś pozostałych „punktach
Halifaxa” Zachód tradycyjnie, od czasu pacyfizmu, stoi na stano-
wisku *prima caritas ab ego*; do ustępstw kolonialnych zawsze był
mniej skłonny niżli do wschodnio-europejskich. Wprawdzie teraz
w grę weszły bezpośrednio tak podstawowe dla wersalskiej rów-
nowagi wartości jak przymierze francusko - polskie, ale też prze-
ciwko niemu właśnie, poprzez Czechosłowację, godzi cały ciężar
niemieckiej zbrojnej demonstracji.

Nie tylko zresztą pośrednio. Wpółśród olbrzymiego napięcia
jakie ta demonstracja wywołała w Europie, Czechosłowacja znaj-
duje się wprawdzie na pierwszym planie, ale „ożywił się” bardzo
również plan drugi, polski. „Pokojowy” nacisk niemiecki prze-
ciwko nam wzmógł się niezmiernie w dwóch zwłaszcza kierun-
kach: awantur i prowokacyj gdańskich oraz burzliwej postawy
antypaństwowej naszych mniejszości narodowych, z Ukraińcami
na czele. Ich kontakt z Berlinem stał się już prawie jawny,
zwłaszcza w Gdańsku, gdzie podobno zorganizowano centralę dys-
pozycyjną tego współdziałania. Prasa zaczyna już wymieniać na-
wet liczby dziesiątków milionów jakie fundusz propagandowy
Trzeciej Rzeszy przeznaczył dla sprawy ukraińskiej w Polsce.
Tragiczny, zupełnie w stylu *Kominternu* — G. P. U., — los dwóch
urzędników konsulatu niemieckiego w Warszawie (którzy kiero-
wali niemiecką „akcją mniejszościową” na naszym gruncie,
a z których Berlin nie był zadowolony), jak błyskawicą oświetlił
mroczną tajemnicę tej *pénétration pacifique*.

Zjawiska te wskazują aż nadto wyraźnie, że gdyby tylko
Niemcom udało się „pokojowo” czy inaczej, osiągnąć rozbicie
Czechosłowacji na miniaturową kopię dawnych federalistycznych
Austro-Węgier, to natychmiast przystąpiliby do podobnej „oswo-
bodzicielskiej” roboty w Polsce. Autonomia terytorialna Mało-
polski Wschodniej, postulat forsowany obecnie przez Ukraińców,
stanowiłaby geopolityczne uzupełnienie autonomii Słowaczyny po
drugiej stronie Karpat. Przedłużyłaby tamten, ewentualnie już
Niemcom podległy „korytarz” przez zaprzyjaźnioną z nimi Ruś
Czerwoną, na razie „autonomiczną” wobec Polski, ale z góry
przeznaczoną na „remont” niemieckiej „hetmańskiej” Ukrainy.
Wszak to najprostsza do niej droga, ta sama, którą cenili sobie
i cenią tak bardzo również nasi „bracia” Czesi. Tylko, że teraz
posłużyłaby już komu innemu. Na tym zresztą nie koniec. Także
droga bałtycka do Rosji jest ważna, więc w Malborgu zaczęto

formować „legion pomorski” na wzór już czynnego na saskim pograniczu Czech „legionu sudeckiego”. Na samym wreszcie Pomorzu i w Wielkopolsce trwa i rozwija się niezmordowane „penetracja gospodarcza” zachodniego sąsiada, datująca się nie od dzisiaj.

Znakomity publicysta londyński p. Garvin z *Observer*, oraz niemniej znakomity dyplomata, ambasador amerykański przy dworze angielskim, podobnie jak ich ideowi współwyznawcy w Warszawie, łatwo mogą się okazać genialnie przewidującymi w poglądzie, że z powodu Czechosłowacji wojna powszechna nie wybuchnie; tym samym zaś pokój zostanie zapewniony nie tylko na lat dziesięć, ale nawet na całe pokolenie. Nie trzeba by w tym celu wprowadzać na razie żadnych nowych poważnych zmian mapy politycznej Wschodu Europy na korzyść Niemiec. Oprócz planu van Zeelanda, surowców i jakiego Kamerunu w Afryce, Berlin zadowolniłby się z pewnością przebudową Czechosłowacji na państwo federalistyczne oraz jakimś europejskim drobiazgiem z rodzaju np. — Gdańska.

Jakże to więc powściągliwy, jak wprost pacyfistycznie powściągliwy w swoich życzeniach jest hitlerowski Berlin, dla jak minimalnych postulatów mobilizuje 1 $\frac{1}{2}$ miliona żołnierzy i fortyfikuje wszystkie swoje granice!!

Trudno rzeczywiście odmówić Niemcom uznania, nie tyle jednak dla tak wielkiej powściągliwości, ile dlatego, że na odwrót niż pacyfiści zachodni, tak doskonale umieją odróżniać pozory od istoty rzeczy. Gotowi są wszak prawie niekniętym na mapie pozostawić Wersal północno-wschodni, a wraz z nim nienaruszalność teoretyczną francuskich przymierzy. Chodzi wszak tylko o to, ażeby te wartości figurowały nadal właśnie i jedynie na papierze, oni zaś, Niemcy, skrupulatnie szanując do czasu ów papier, postaraliby się zwolna, lecz gruntownie, przeobrażyć wyrażoną na nim treść. Chodzi im na początek przede wszystkim o to, ażeby sfederalizowana i osaczona Czechosłowacja stała się *de facto* bezwolnym narzędziem w ich rękę, przynosząc Niemcom, wspólnie z Austrią, faktyczny przyrost potęgi o $\frac{1}{3}$ część ludnościowo, terytorialnie i geopolitycznie. Chodzi dalej Niemcom o to, ażeby Czechosłowacja mogła się stać w ich rękę narzędziem osaczenia Polski od południa i skutecznego przeciwko nam nacisku na rzecz ukraińskiej autonomii w Małopolsce Wschodniej. Chodzi wreszcie Niemcom także o to, ażeby faktycznie już zmilitaryzowany na ich korzyść Gdańsk, mógł być obsadzony przez wojska Trzeciej Rzeszy, może nawet ufortyfikowany. Wobec takiej zmiany Polska możeby zrozumiała, że jej gdyński dostęp do morza posiada wyłącznie z łaski Niemiec, bo po przejściu Gdańska w ręce armii niemieckiej obrona wojskowa brzegu polskiego jest absolutną techniczną niemożliwością. W końcu zaś

aspirują jeszcze Niemcy i do tego, ażeby trzeci z kolei po Dawesie i Youngu, gospodarczy pakt międzynarodowy van Zeelanda, na który by się w razie zwrotu pokojowego zanosilo, wytworzył dla nas warunki zbliżone do tych, jakie były wytwarzane przez pakt poprzednie. Niebezzasadnie choć nie dość skutecznie starali się Niemcy wtedy przekonać nas, że „droga po dolary prowadzi przez Berlin“, że obfity napływ kredytów z Zachodu moglibyśmy otrzymać tylko przez niemieckie ręce.

Gdyby w tych rękach znalazły się wszystkie trzy wyżej wymienione środki presji na Polskę, to mogliby sobie Niemcy powiedzieć, że osiągnęli naprawdę doskonałą podstawę do dalszej „penetracji pokojowej“ w wewnętrzne nasze życie gospodarcze i polityczne. Jakże chętnie podjęliby wtedy wszelką polską myśl ustrojową federalizmu i decentralizacji. Po autonomii Lwowa logicznym następstwem stałaby się autonomia Wilna w rewizji z Kownem. Ścisła „współpraca gospodarcza“ z kapitałem niemieckim mogłaby w Polsce stworzyć potężny przemysł niemiecki i ugruntować niemiecki kapitalizm. Kto wie, czy w tym biegu myśli i faktów nie wynurzyłoby się dobrodziejstwo np. osuszenia błot poleskich dla celów polskiej kolonizacji, w zamian za niemiecką kolonizację Wielkopolski i Pomorza... Wszak za Beselera częstowano nas już dotkliwie „migracją“ wewnętrzną w tym kierunku. Czy odebrano nam jeszcze wcześniej i formalnie Pomorze wraz z Gdynią? Chyba nie, bo takie „formalności“ mogłyby się stać zbędne, gdyby cały kraj stanął otworem dla najbliższego „sprzymierzeńca i opiekuna“...

Pokój, pokój!... Tak, wtedy pokój na długie lata, czy nawet pokolenia byłby zapewniony, z wyjątkiem jedynie dalszej wyprawy Niemiec, oraz polskich, ukraińskich i innych wojsk posiłkowych — na Rosję. Ale wynik tej kampanii w takich warunkach najniezawodniej odpowiedziałby dążeniom Berlina.

Zapewniony byłby pokój i zapewniony rozsądny bez eksperymentów rozwój kapitalizmu, jeśli nie polskiego, to w Polsce. A jednak, gdy przed Europą i przed nami tak blisko, tak nagle, tak bezwzględnie jak dotąd jeszcze nigdy, stała alternatywa wojny lub pokoju... takiego, to jakże trudna jest odpowiedź na pytanie czy taki pokój naprawdę byłby dla polskiej niepodległości mniej groźny niż nawet natychmiastowa wojna z Niemcami w obronie Czechosłowacji?

O wyborze rozstrzygać będziemy jednak nie my i nie wszystkie nawet wielkie mocarstwa, lecz przede wszystkim Anglia i Niemcy, bo Francja i Włochy wzajemnie się unieruchomiły. Z tego też głównie powodu nastroje na zachodzie są wprawdzie stanowcze, lecz wyraźnie miększe niżli 20 maja.

Czy i co wśród tych dramatycznych perypetyj przedsiębrała w ciągu tego tragicznego lata Polska? Ze względu na stopień wy-

konania naszych „wielkich planów”, a więc i stopień dynamizacji politycznej na zewnątrz, Polska niewiele przedsięwziąć mogła. P. minister Beck spędził lato bardzo pracowicie. Tak się dlań przyjemnie złożyło, że w tym upalnym czasie mógł prowadzić swoją dyplomację wyłącznie na chłodnej północy. Objechał niemal wszystkie tamtejsze stolicy zapewniając wszędzie, że nie zamierza z nich wytwarzać żadnego „bloku”. Gdyby go jednak nawet utworzył to losów świata i Polski jeszczeby to nie rozstrzygnęło. Wszystkie państwa skandynawsko-bałtyckie, nawet razem wzięte, ważą w europejskim układzie sił mniej niż Czechosłowacja, bo ludnościowo niewiele ją przerastają, a są uboższe i znacznie gorzej uzbrojone. Na dojrzewanie wrzodu gdańskiego, polityka północnych podróży najmniejszego wpływu wyrzucić nie mogła. Może tylko wywarła pewne dodatnie wrażenie na drogiej p. ministrowi Litwie. W sumie, ruchliwa nasza „orientacja północna”, w zestawieniu z grozą sytuacji, przypomina bardzo rosyjską bajkę Kryłowa pt. *Bielku w kalesie... Ja pa diełam goncom u barina balszowo...* Ponadto zdołaliśmy sprowadzić do Warszawy na wrzesień międzynarodowy zjazd parlamentarno-ekonomiczny. Rozstawiamy sieci na kapitał zagraniczny na wypadek realizacji jakiegось nowego Dawesa czy van Zeelanda. W płaszczyźnie polskiej stawki na kapitalizm jest to celowe. Tą drogą może nam się uda przychwycić jakiś znaczniejszy okrucuch zachodniego kapitału mocą samego faktu, a więc jeszcze ponad głową Berlina. Później to mogłoby się stać dużo trudniejsze.

Tyle zdziałała Polska w polityce międzynarodowej. Że to niewiele w stosunku do zagrożeń, tłumaczyć nie trzeba. Co jednak Polska zasadniczo przedsięwziąćby powinna, ażeby się od nich obronić? Czy nie byłoby celowym wejść w porozumienie z Moskwą przez pakt francusko-sowiecki? Nie, bo Moskwa jest dziś jeszcze wprawdzie militarnie dość potężna, ale społecznie tak słaba, iż wojna z Niemcami szybko by ją wtrąciła w klęskę, czy to na polach bitew, czy w drodze wewnętrznej „kontrrewolucji”. Po wtóre lekarstwo to mogłoby się okazać groźniejszym od samej choroby, dlatego, że gdybyśmy wprowadzili do Polski czerwoną armię i wespół z nią stawili czoło Niemcom, to zachodzi *maximum* prawdopodobieństwa, iżby się taka rozprawa zakończyła „kompromisem” niemiecko-rosyjskim, mocą którego utracilibyśmy na rzecz Niemiec ponownie ziemie zachodnie, a wraz z pozostałą częścią naszego terytorium musielibyśmy przywiązać się „na amen” do Sowietów, to znaczy prędzej czy później wejść w skład tego Związku Socjalistycznych Radzieckich Republik. Byłby to więc nowy rozbiór według starego dziejowego wzoru.

Wyjścia z ciężkiego impasu, w którym się Polska obecnie znalazła zapewnić jej nie zechce i nie może nikt obcy: ani Niemcy, ani Moskwa, ani nawet mocarstwa zachodnie, ani „zbałkanizowany” i zagrożony wraz z Polską środkowy wschód.

Zasadnicze wyjście z impasu istnieje, ale możemy je rozewrzeć tylko własnymi rękoma. Trzeba skupić kraj w jednolitym wysiłku, zdynamizować ekonomicznie i politycznie w tempie co najmniej równie śpiesznym jak to już uczyniły totalizmy, jednak — nie uciekając się do totalizmu, bo jest on dla nas niedostępny i nie byłby skuteczny. Ażeby takie zadanie wykonać na to nie ma innego sposobu, jak wstąpić na drogę przebudowy ustroju, którą wskazuje chrześcijaństwo. Na tej drodze musielibyśmy wykonać robotę pionierską, przodującą, twórczą, bo nie wystarczyłby nam korporacjonizm fasadowy, który można łatwo naśladować, lecz musiałby to być korporacjonizm integralny, dogłębny. Trzeba na to świadomości, woli i wysiłku. Trzeba przebudowy nie tylko urządzeń, ale i pojęć, obyczajów i — dusz.

W ciągu tego tragicznego lata dało się żywo odczuć, jak blisko związane są losy katolicyzmu z problematem ekspansji Niemiec oraz zagrożenia przez nie narodów ościennych, zwłaszcza Polski. Gdyby się Hitlerowi powiodło zrealizować swoje plany wobec Czech i Polski, podnieść potęgę Niemiec o 33%, wyprowadzić je ze środkowo-europejskiej blokady, otworzyć przed nimi dostęp na Ukrainę, to na tak znacznym tryumfie oparty może by się pokusił o „religijną unifikację” swego narodu „ponad” obu wyznaniem chrześcijańskimi, w niemieckiej wierze w krew i ziemię. Zapowiedzi takiej „nowej reformacji” ożywiły się ub. lata i skojarzyły z nowymi pogłoskami o usiłowaniu kierowniczych czynników hitlerowskich, by Kardynała Innitzera skłonić do ogłoszenia się głową Kościoła niemieckokatolickiego, oderwanego od Stolicy Apostolskiej.

Być może iż impulsu tym knowaniom dostarczyły także tarcia jakie nastąpiły w ciągu lata między faszyzmem włoskim a Stolicą Apostolską. Włochy znalazły się w ciężkim położeniu. Próby zneutralizowania zaboru Austrii przez sojusz z Anglią nie powiodły się. Mussolini czuje się przykutym do rydwanu Hitlera i zależnym odeń, musi starać się być mu użytecznym i zalecać się ideowo. Musi nade wszystko zająć uwagę swego narodu, znaleźć nowy przedmiot dla jego namiętności politycznej, by nie zastanawiał się zanadto w jaki to niebezpieczny wawóz zabrnęła rzutka polityka jego władzy po zaborze Austrii. W lipcu więc Mussolini polecił ogłosić rodzaj deklaracji *quasi*-naukowej, formułującej i proklamującej zastosowanie zasady rasistowskiej do narodowości włoskiej.

Krok ten zaniepokoił Ojca świętego. Niezadługo odpowiedział nań dwukrotnie w przemówieniach publicznych, jak zwykle — *suaviter in modo sed fortiter in re*. — Podkreślając te właściwości katolicyzmu, które go przeciwstawiają totalnemu nacjonalizmowi, podniósł zwłaszcza Ojciec święty ponadnarodowy uniwersalizm celów i dążeń Kościoła rzymskiego, oraz wyłączność

Chrystusowego panowania nad duszami ludzkimi, które winny wszystkie swe siły oddać na służbę Bogu. Można to było interpretować jako pewnego rodzaju „totalizm” katolicki.

W pewnej mierze zwracały się te posunięcia papieskie przeciwko włoskiemu faszyzmowi. Chodzi tu jednak jedynie o to, ażeby go utrzymać w pewnej w stosunku do Kościoła dyscyplinie. To się zresztą dość łatwo powiodło, gdyż Mussolini zdaje sobie sprawę jak wysoką wartość dla włoskiej racji stanu posiada rzymski światowy prymat religijny. Inna rzecz stosunek do Niemiec. Zabór Austrii przez Niemcy zasadniczo złamał oś rzymsko-berlińską, ponieważ zagraża Włochom zależnością i już ją im daje realnie odczuć. Choć więc „oś” jeszcze się trzyma, dzieje się tak głównie tylko przez współzawodnictwo z Zachodem. Jednak im silniej wzrastać będzie potęga Niemiec, tym bardziej narzucać się będzie Włochom konieczność oporu i pomocy przeciwko trwałej wasalizacji wobec Berlina. Jeśliby równolegle z zaborem Austrii, ewentualnie Czech ogłoszono w Niemczech „nową reformację”, to w dziedzinie ducha fakt ten oddziała na Italię podobnie jak zabór Austrii w dziedzinie materialnej: pogłębi przepaść między członami „osi”.

Nie można wprawdzie zamykać oczu także i na niebezpieczeństwo, które zarówno Kościołowi jak i samym Włochom zagrażać może gdyby Włochy nie zdołały obronić swej politycznej i duchowej niezależności od Niemiec i na prawdę stały się ich „wiernym wasalem”. Na razie mamy okres przejściowy, którego wyniku z góry przesądzić się nie da i który dalszych tarć między katolicyzmem a partią faszystowską nie wyłącza. Może jednak i powinna obecna powściągliwość Mussoliniego wobec Watykanu rozwinąć się w trwałą zgodę ideową i polityczną, zwłaszcza jeżeli równocześnie spotężnieje prąd katolickiego renesansu religijnego, obyczajowego, kulturalnego, społecznego i międzynarodowo-politycznego; jeśli wprowadzi realnie w życie nowe wartości, wskaże i otworzy nowe drogi. Stać się to może i powinno tym snadniej, że nie same tylko Włochy ciągną ku współdziałaniu z Kościołem. Z powodu wojny domowej w jeszcze trudniejszym od nich położeniu znajduje się Hiszpania gen. Franco. Władca 70% ziemi hiszpańskiej wciąż jeszcze musi walczyć z totalizmem czerwonym, obawiać się wasalizacji wobec faszystowskich Włoch, lub też parlamentaryzacji i nowego w niej odrodzenia komuny — pod naciskiem liberalnych potęg Zachodu. Nie dziw przeto, że i Franco ostatnio ogłosił oświadczenie wierności nowej Hiszpanii dla wiary i Kościoła, oraz idei społeczno-politycznej. W nich jedynie znajduje się ośrodek krystalizacyjny, wyniesiony ponad walczące prądy i potęgi materializmu, zdolny skupiać wszystkich przez nie zagrożonych.

Trzecią narodową pozycją, która nie tylko z kultury i tradycji, lecz mocą swego położenia, współdziałać musi z katolicyz-

mem — jest Polska. Nad nią, obok Czechosłowacji, zawisło bezpośrednio widmo zagłady, więc ona, Polska, powołana jest do twórczej w tym współdziałaniu inicjatywy. Musi ją podjąć przede wszystkim w obronie swego narodowego bytu; musi się stać punktem wyjścia zarówno katolickiej przebudowy społecznej, jak nowej katolickiej myśli polityczno-międzynarodowej. Musi poziom świadomości i czynu zbiorowego dzwignąć zarówno ponad wszystkie trzy złe moce rozdzierające dziś człowieczeństwo, ponad oba totalizmy i ponad demo-liberalizm.

Jeśli tę swoją misję na nią przez Opatrzność włożoną podejmie i wykona, to w całej Europie wywoła potężny odruch zestrzelenia w jedno ognisko wszystkich jej narodowych sił twórczych. Jedynie w tym ognisku wiecznej prawdy znajduje się, utajone dotąd, rozwiązanie obu straszliwych zagadek, które sfinks dziejów, na ich zakręcie stawia zaślepionemu człowieczeństwu: sprawiedliwości społecznej i sprawiedliwości międzynarodowej.

Na takie „grunwaldzkie duchowe starcie“, na taką wiedeńską odsiecz obłożonego przez pogaństwo Kościoła i wiary, wzywa naszą ojczyznę głos Przedwiecznego ustami jego Namiestnika. Oczy Rzymu nie od dziś obrócone są na Polskę i nie od dziś oczekują nowego cudu nad Wisłą. Jeśli się doń Polska znów porwie, to ją błogosławieństwo Boże wyprowadzi na starodawny szlak chwały i czoło jej uwieńczy może potrojną koroną duchowego *imperium mundi*.

Andrzej Prawdziec.

Ofiary wadliwego wychowania.

Dziecko łączy w sobie wszystkie radości wiosny, kwiatów, słońca i wesołych ptaszków. Raduje się, kwitnie, promienieje, szczebioce... Śmiech dziecka jest najradośniejszym głosem świata. Gdyby na szerokim świecie zabrakło tego głosiku — byłoby smutno i źle, mimo wszystkich pieśni ptaszcących, mimo szumu drzew i zapachu kwiatów. Ten jeden mały głosik raduje i ulepsza świat. Ten jeden malutki śmiech rozjaśnia życie...

Niekiedy dziecko powie coś takiego, zapyta o coś z takim wyrazem małej twarzyczki, że nie wiedząc, co mu odpowiedzieć, odczuwa się instynktownie, że dziecko, to drobny człowiek, którego ustami odzywa się nieodgadniona, nieśmiertelna dusza. Z tym wątlm, subtelnym, jakby mistycznym stworzeniem trzeba się jednak umieć obchodzić umiejętnie tak, jak ogrodnik hoduje ciekawy, cenny a delikatny kwiat. Bo nic łatwiejszego, jak urazić duszę dziecka, jak ją odepchnąć od siebie, jak zatruć i skazić. Bo wielu nie zdaje sobie sprawy, jakie to tragedie dzieją

się nieraz w duszy dziecięcej i ile niewypowiedzianego żalu zmieścić się może w drobnutkim sercu. Dziecko, które płacze z powodu stłuczonej lalki, cierpi tak samo, jak człowiek dorosły po stracie ukochanej osoby. I rośnie dziecko — rozwija się powoli, tęskni i cierpi, a rodzice często nie wiedzą nic o tym, bo dusza dziecka obchodzi ich często mniej... niż jego brzuszek.

Świat dziecka, to świat odrębny, oryginalny, poetyczniejszy od naszego. W świecie tym króluje na ogół niepodzielnie szczere, i zazwyczaj czyste jak kryształ uczucie. Wszystko więc, co zmierza do poznania tych zagadkowych istotek, każde poczynanie w kierunku rozwinięcia ich szlachetnych skłonności, jest rzeczą pierwszorzędną wagi — ważniejszą niewątpliwie od politycznych rebusów i szarad, a nawet od premier teatralnych i występów gwiazd ekranu. Grzechem wielkim jest spaczanie ich szlachetnych duszyczek, na które i tak rzuci się kiedyś z zajądlnością namiętną życie...

A oto dziecko podраста. Po latach dziecięcych przychodzi okres nieletności, ten najniebezpieczniejszy czas w życiu człowieka. Młodzieniec to materia wybuchowa, łatwo zapalna, z którą mimo to obchodzimy się najczęściej z zadziwiającą lekkomyślnością, z karygodnym niedbalstwem. Dobrze sytuowani rodzice nie żałują pieniędzy na wykształcenie syna; matka przepada za jedynakiem; jednak w złe pojętej miłości patrzy pobłażliwie na wybryki ulubieńca, pozwala na wszystkie jego zachcianki, wymagające niejednokrotnie większych sum pieniężnych; równocześnie jednak nie obchodzą jej zbytnio jego zasady religijno-moralne, nie myśli o wyrobieniu w nim silnej i odpornej na zło woli. Ojciec zajęty jest pracą biurową, wieczorami chodzi na posiedzenia, na karty do klubu, czy też przesiaduje w kawiarni — stąd cała praca wychowawcza spoczywa w rękach matki. I podobnie jak w dzieciństwie syna nie zdawali sobie rodzice sprawy, czym jest ich dziecko, co się w jego duszy dzieje, do czego dąży — tak i obecnie obce im są cele i dążenia synowskie. Wystarcza im świadomość, że lekkomyślny i szukający poza domem przyjemności młodzieniec, przechodzi przy pomocy korepetytorów, często i protekcji z klasy do klasy, cieszy ich jego rozkwitająca młodość i towarzyskie przymioty.

I płynie równo i spokojnie życie w dostatnim domu. Aż oto pewnego dnia, kiedy właśnie obydwójce rodzice podczas popołudniowej pogadanki rozczulają się nad zaletami najlepszego według ich mniemania syna, snują prognozytyki jego świetlanej przyszłości, spada jak grom z pogodnego nieba wiadomość: „Syn wasz aresztowany za fałszerstwo czy nawet za kradzież z włamaniem, dokonaną w towarzystwie znajomych policji włamywaczy”. — Matka mdleje. Ojciec popadł w osłupienie, później próbuje oponować: — „To niemożliwe! — Nasz syn? — To tylko strasz-

liwe posądzenie!" — A jednak wiadomość okazała się prawdziwą. Syna zatrzymano w areszcie rewencyjnym.

Obrazek wzięty dosłownie z życia.

A teraz zapytajmy kryminologii. Czy to w ogóle możliwe, aby dziecko bogatych rodziców, które nie zaznało nigdy nędzy i głodu, mogło się stoczyć zupełnie poza wiedzą rodziców na dno upadku? Bo o ile ogółowi wiadomo, przestępstwo gnieździ się jedynie gdzieś w zaułkach i zakamarkach przedmieść, w środowiskach zgangrenowanego otoczenia, najzgubniejszych wpływów i deprawacji. Otóż tak nie jest. Kryminologowie podają mnóstwo przykładów, które wykazują dowodnie, że wielu przestępców urodziło się w dobrobycie. „Jakżeż często — pisze jeden z tych uczonych — dzieci najporządniejszych naszych współobywateli stają przed kratkami sądów jako sprawcy krwawych zbrodni. Człowiek nie rodzi się ani cnotliwym, ani występny, ale może się stać jednym lub drugim. Decyduje o tym w pierwszym rzędzie wychowanie. Wpajanie w dziecko zasad etycznych, dobrych nawyków i szlachetnych chęci, stwarza silny, piękny, społecznie pożyteczny charakter ludzki. Jednak zasady te wpajać musi dom rodzinny wcześniej — znacznie wcześniej, niż dziecko do szkoły pójdzie i niż czytać zacznie”.

Potęę racjonalnego wychowania stawili najwybitniejsi myśliciele i pedagodzy wszystkich krajów i czasów, począwszy od zamierzchłej starożytności, aż do doby współczesnej. Dzieci prawie wszystkie bez wyjątku są w wysokim stopniu biernymi i podatnymi na wpływ istotami, które można wychowywać w ten sposób, aby posiadały taki charakter, jaki się im nadać pragnie. Rozumna miłość i odczucie potrzeb dziecka potrafią skierować plastyczną jego duszę zarówno ku dobru, jak i ku złu. Przyczyną zaś niedomagań i przestępczości dzieci jest przede wszystkim nieumiejętne, szkodliwe i nienaukowe ich traktowanie. Każdy kto chce założyć ogródek działkowy, lub hodowlę ryb, kupuje książki i podręczniki, informujące go na ten temat — tylko dzieci wychowuje się często zupełnie bezplanowo i przystępuje się do tego tak ważnego zadania bez żadnego teoretycznego przygotowania. Nie wystarczy kochać dziecko, zapewnić mu dostateczne utrzymanie i możliwość nauki — ale trzeba być jego przyjacielem, poznać wewnętrzne tajniki jego duszy. Dziecko wykoleja się zazwyczaj z tego powodu, że nie znajduje w domu należytego zrozumienia i natrafia wciąż tylko na mur zakazów, wiecznego moralizowania, a nawet grózb. A wiadomo, że jeżeli władza rodzicielska zasadza się tylko na samych ograniczeniach i zaporach, staje się ona dziecku również niemiła, jak i zasady w imię których działa. Może nawet zmusimy dziecko do uległości i posłuszeństwa, ale zmusimy tylko zewnętrźnie powagą, czy nawet surowością, zamiast skłonić wewnętrznym przekonaniem. Analogiczne rezultaty wyda nieograniczona swoboda oraz bezkarność.

Zapyta ktoś: od czego mamy szkoły? Odpowiem, że szkoła przez niezbędną karność, przez stały regulamin i jednolity porządek normuje tak szablonowo i życie i postępowanie uczniów, że wprost zamyka sobie wstęp do wewnętrznych tajników ich duszy i zmuszona jest poprzestawać w wysokiej mierze na czyistość zewnętrznych rezultatów. Poznaje głównie ich stronę bierną — nie poznaje dostatecznie czynnej, ocenia posłuszeństwo — nie docenia inicjatywy.

W naszym wypadku popełnienia przestępstwa przez syna zamożnej, dobrze sytuowanej i kulturalnej rodziny, rodzice z ręką na sercu powiedzieć sobie muszą: Nasza wina! Bo faktycznie ojciec nie zajmował się wychowaniem dziecka, matka zostawiała mu nieograniczoną wolność i swobodę. Niech się wyszumi! Robił tedy syn co chciał wobec braku jakiegokolwiek kontroli. Potrafił się maskować i okłamywać matkę, bo kłamstwa nauczyła go sama, opracowując mu zadania i podpisując fałszywe usprawiedliwienia nieobecności w szkole. Sąd po rozprawie umieści ofiarę zaniedbania wychowawczego w zakładzie poprawczym, gdzie będą zastosowane środki działające dodatnio na stronę moralną, na wolę i charakter. Po powrocie syna do domu, obowiązkiem rodziców będzie wystąpić z całym autorytetem wobec niego. Muszą roztoczyć nad nim jak najściślejszy dozór, muszą znać każdy jego brak, bo tylko w ten sposób ochronią go od zdemoralizowanego towarzystwa i ewentualnej recydywy. „Strzeż pilnie kroków i uczynków twego syna i miej ustawiczną pieczę nad nim — mówi kryminolog Aschaffenburg — bo wtedy jego uczucie pewności fizycznej poszuka sobie ujęcia nie w formie kryminalnej lub niemoralnej. Będzie on raczej ubiegał się o nagrodę i zdobywał ją na placu sportowym, krzyż honorowy na polu bitwy, medal ratunkowy przy wypadku niebezpiecznym, sławę bohaterską w walce o ojczyznę”.

O ile chodzi o ogólną statystykę przestępców młodocianych w Polsce i innych krajach, to ilość ich stanowi blisko 50% wszystkich przestępców w ogóle. Z liczby tej przypada prawie 50% na nieletnich z dobrze sytuowanych rodzin. Wielu mężów nauki zwróciło ostatnio uwagę na zastraszający wprost wzrost przestępczości wśród dzieci, wołając o roztoczenie specjalnej opieki ze strony domu rodzinnego i państwa i rozwinięcie w tym kierunku odpowiedniej polityki kryminalnej. Ten wzrost dziecięcej przestępczości konstatujemy zwłaszcza w krajach, gdzie się nadmiernie rozwija życie przemysłowe (Ameryka, Anglia). Procentowy udział młodocianych przestępców jest obecnie w całym szeregu przestępstw wprost przygniatający, jak np. przy kradzieży, złośliwym uszkodzeniu cudzej własności i przestępstwach natury seksualnej. Stoi to niewątpliwie w związku z lekkomyślnością młodzieńczą, gwałtownością żądz a słabo rozwiniętą wolą, dalej przy kradzieży, z niemożnością zaspokojenia swych potrzeb,

z pewną skłonnością dzieci do wandalizmu, a w końcu w związku z brakiem odpowiedniego uświadomienia seksualnego i słabym opanowaniem instynktu płciowego

Wykazy statystyczne w kwestii przestępczości nieletnich są wprost zastraszające. Statystyka polska rozumie przez nieletnich osoby do ukończonych 17-tu lat życia. Liczba tych przestępców sięgała u nas np. w r. 1925 do 20.000. Co za okropna cyfra! Co dziesiąty przestępca, to młodociany — często dziecko jeszcze, które niejednokrotnie było już recydywistą. Tyle mówi zimna i sucha cyfra statystyczna. A dodać należy, że wśród tych młodocianych znajduje się stale 16⁰/₀ dziewcząt, to znaczy, co szósty młodociany przestępca — to dziewczyna. Zaznaczyć należy, że i u nas najwyższy procent małoletnich przestępców mają województwa o największym uprzemysłowieniu, a mianowicie zachodnie wraz z Górnym Śląskiem (co ósmy przestępca, to młodociany), mniej południowe ze Śląskiem Cieszyńskim (co dziesiąty młodociany), w końcu idą województwa wschodnie (co 12-ty). Statystyka nieletnich naszych przestępców wykazuje, że przeważają u nich przestępstwa przeciw naruszaniu cudzego mienia, a więc zwłaszcza kradzież i przestępstwa pokrewne, następnie bójki i okaleczenia, w końcu przestępstwa przeciw porządkowi społecznemu.

W końcu należałoby się zaznajomić ze statystyką wyników, jakie daje umieszczanie małoletnich przestępców w zakładach wychowawczych i poprawczych. Słynne jest amerykańskie reformatorium Elmira w Stanie Nowojorskim. Chłopcom daje się tu możliwość dźwignięcia się, dzięki przymusowemu, nie poniżającemu ich godności ludzkiej obchodzeniu się z nimi, dzięki umiejętnemu wychowaniu fizycznemu, starannemu kształceniu ogólnemu i zawodowemu, wszechstronnemu rozwijaniu zdolności psychicznych, dostarczaniu rozrywek duchowych, dzięki higienicznym i kulturalnym warunkom życia i pracy, oraz innym urządzeniom, działającym dodatnio na charakter i moralność. I oto 78 — 80⁰/₀ tych skazańców wypuszcza się jako zupełnie poprawionych, czyli jak się tam mówi „uleczonych“ i mogących przynieść pożytek społeczeństwu.

Zakład wzorowy w Nancy przez umiejętne stosowanie odpowiednich zasad pedagogicznych osiąga zdumiewające rezultaty. 90⁰/₀ dzieci przestępnych powraca na uczciwą drogę życia.

Zakłady opiekuńcze w Niemczech (Fürsorgeerziehung) podają, że w 10 latach ostatnich zdołano tam poprawić 75⁰/₀ nieletnich przestępców.

W ciągu ostatnich 30 lat, w których zaprowadzone zostały w Anglii zasadnicze reformy w traktowaniu przestępców nieletnich, liczba tychże płci męskiej od 16 — 20 lat zmniejszyła się przeszło o 50⁰/₀, płci żeńskiej o 75⁰/₀.

Nasze zakłady wychowawcze dla przestępców nieletnich do 13-go roku życia i zakłady poprawcze dla przestępców nieletnich

do 17-go roku życia — prowadzą również energiczną akcję w kierunku moralnego i fizycznego odrodzenia swych wychowanków, uczą czytania i pisanie, wpajają zasady religijne. Racjonalna opieka i zdrowa atmosfera, oraz kompletna zmiana warunków są najlepszymi czynnikami wychowawczymi. To też pokazny odsetek nieletnich opuszcza te zakłady, jako jednostki uleczone i zabezpieczone od powrotu na drogę występku. Niestety za mało mamy jeszcze w Polsce zakładów wychowawczych, które w drodze prewencyjnej przyjmowałyby złych chłopców, czy też dziewczęta, zdradzające złe skłonności. W ten sposób zagradzałoby się im drogę do przestępstwa.

Powstaje pytanie, dlaczego nie udaje się zakładom poprawić wszystkich bez wyjątku wychowanków? Doświadczenia wykazują, że im wcześniej i silniej zostało dziecko zdemoralizowane, tym trudniej wykorzenić z niego wrażenia pierwszych lat. Do wtóre najczęściej środowisko i warunki życiowe, w które wstępuje wychowanek po wyjściu na wolność, są tak nieprzyjemne, że niszczą wkrótce dodatni dorobek wyniesiony z zakładu. Wreszcie wśród tych dzieci, pochodzących przeważnie z warstw najniższych, ubogich, istnieje niemała liczba ofiar, o mniej lub więcej ciężkiej degeneracji (25% i więcej), względnie patologii psychicznej, które dziełu wychowania i poprawiania stawiają wielkie trudności, aczkolwiek — jak wykazują najnowsze doświadczenia — i te trudności można przynajmniej w znacznej mierze pokonać.

*Jan Wierzbówka.
Nadkom. P. P.*

NACZELNY REDAKTOR: *KS. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.*

Druk ukończono dnia 5 września 1938 r.

Spis rzeczy tomu 219.

Artykuły:

	Str.
Ks. T. Karyłowski: Na powitanie św. Andrzeja Boboli . .	3
Dr Andrzej Niesiołowski: Religia społeczności naro-	
dowej	10
Konwertyta: Konwertyta w sprawie żydowskiej	25
Kazimierz Kiersnowski: Małe środki i wielka obłuda	36
St. Szczutowski: „Sanacja“, konsolidacja i chłopi	50
Dr Otto Forst Battaglia: Współczesna Belgia	69
Dr Apolinary Żukowski: Najnowszy prąd w socjalizmie	92
Wacław Borowy: Prześladowani katolicy angielscy	
i szkoccy, w Polsce XVI w.	110
Dr A. Żukowski: Chodzi o coś więcej niż o Maritain'a . .	193
F. Walczyński: Młot XX wieku	204
St. Szczutowski: Rooseveltyzm i korporacjonizm	212
Dr Mieczysław Niwiński: Contardo Ferrini — nowo-	
czesny święty	230
Roman Piotrowicz: Możliwości i zadania bałtyckiego	
regionalizmu	248
Dr Krystyna Pieradzka: Przybycie Paulinów do Polski	262

Przegląd piśmiennictwa.

Gertruda von Le Fort: Chusta Weroniki. — Jarosław Iwaszkiewicz: Pasje błędniarskie. — Czesław Straszewicz: Przekłeta Wenecja. — Maria Ukniewska: Strachy. — Jan Straszewski: Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki. — Józef Paciorek: Słońce wśród chmur. — Antoni i Maria Bechczyrudniccy: W retorcje życia. — Maria Kuncewiczowa: Kowalscy się odnaleźli (Młr Hanna Wierzbicka)	125
K. Wrotny - Klimowiczowa: Tajemnica człowieczeństwa (Ks. B. Waczyński T. J.)	134

	Str.
Josephus de Guibert S. J.: Theologia spiritualis ascetica et mystica (Ks. J. Zorè T. J.)	138
Ks. dr Stan. Adamczyk: Tomistyczna teoria poznania zmysłowego (Ks. Antoni Kuśmierz T. J.)	140
Pierre Mandonnet O. P.: St. Dominique, l'idée, l'homme et l'oeuvre, augmenté de notes et d'études critiques par M-H. (S. M. R.)	142
Index Librorum Prohibitorum SSmi D. N. Pii PP. XI iussu editus (Ks. Wład. Rejowicz T. J.)	144
Preces et Pia Opera Indulgentiis ditata (Ks. Wład. Rejowicz T. J.)	144
Basilius Steidle O. S. B.: Patrologia seu Historia Antiquae Litteraturae Ecclesiasticae, scholarum usui accomodata (Ks. B. Waczyński T. J.)	145
P. Croizier S. J.: Devant l'ordre nouveau, Responsabilités et Devoirs des Catholiques (S. M. R.)	146
Chanoine P. Magaud: Les Evangiles du dimanche expliqués et commentés (S. M. R.)	147
Dr med. Carla Zawisch: Werden des christlichen Arztes (Ks. St. Podoleński T. J.)	147
Jerzy Kuncewicz: Republika globu (H. J. Korybut-Woroniciecki)	149
Tadeusz Teslar: Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku (H. J. Korybut-Woroniciecki)	150
Józef Orzech: Samouczek do nauki języka łacińskiego	151
Antoni Trepieński: Dziennikarz na prowincji	151
Alina Świdarska: Królowie. — Jarosław Maria: Król. — Mieczysław Smolarski: Iskry na szablach. — Edward Tomaszewski: Widmo niedźwiedzia. — Juliusz German: Amaranty. — Sergiusz Piasecki: Piąty etap. — John Worby: Pamiętnik niebieskiego ptaka. — Kornel Makuszyński: Szatan z 7-ej klasy (Młr Hanna Wierzbicka)	277
Daniel Culhane: De Corpore Mystico doctrina Seraphici (Ks. B. Wójcik T. J.)	287
Ks. Dr Józef Pastuszka: Z filozofii i psychologii komunizmu (Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.)	288
Dr Franciszek Zbroja: Etyczne poglądy Świętochowskiego (Ks. Stefan Kwiatkowski T. J.)	289
I. M. Thompson: Przywódca Wielkiej Rewolucji francuskiej (H. J. Korybut-Woroniciecki)	289
H. Barycz: „W 350 rocznicę założenia Gimnazjum im. Barłomieja Nowodworskiego w Krakowie” (Ks. K. Konopka T. J.)	290
Fryderyk Lorenz: Pionierzy techniki (Ks. E. Zajdel T. J.)	291
Aleksander Patkowski: Sandomierskie (Ks. Aleksander Kisiel T. J.)	292
Jan Wiktor: Od Dunaju po Jadran (H. J. Korybut-Woroniciecki)	293

	Str.
Szlakiem II brygady Legionów Polskich w Karpatach Wschodnich (Ks. Edw. Zajdel T. J.)	294
Tadeusz Zakrzewski: Organizowanie Siły Zbrojnej w Państwie (H. J. Korybut-Woroniecki)	295
St. Andrzej Radek: Rewolucja w Warszawie 1904—1909 (Ks. Br. Gładysz T. J.)	296
Słowacja i Słowacy (Ks. J. Michalewski T. J.)	297
Der feuerrote Ball (Ks. Br. Wójcik T. J.)	298
Bronisław Gnatowski: Ku spolszczeniu asekuracji prywatnej w Polsce (J. M.)	299
Gaston Salet: Le Christ notre vie (Ks. Br. Wójcik T. J.)	299

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Lipiec — sierpień: Powrót św. Andrzeja Boboli do Polski (Ks. Jan Pawelski T. J.)	153
Wrzesień: Z zagadnienia żydowskiego w Polsce (Ks. Edward Kosibowicz T. J.)	302

Sprawy Państwa:

Lipiec — sierpień: Bezsenne noce kanclerza Hitlera. — Katolicyzm polityczny. — Dunaj, Bałkan i Hiszpania. — Sowiety i Ameryka. — Pokój kapitalistyczny (Andrzej Prawdzic)	159
Wrzesień: Czwarty kryzys wojenny w ciągu roku. — Rokowania w pozycji do strzału. — Zagrożony Gdańsk a korytarz słowacko-małopolski. — Niebezpieczeństwo wojny i niebezpieczeństwo pokoju. — Watykan, „nowa reformacja” i Polska (Andrzej Prawdzic)	315
Kronika gospodarcza (Dr M. J. Ziomek)	169
Ze świata filmu (Zdzisław Broncel)	173
Dziecko a przestępstwo (Jan Wierzbówka)	181
U progu dwudziestolecia Polskiego Czerwonego Krzyża (Ks. St. Nawrocki T. J.)	185
Ofiary wadliwego wychowania (J. Wierzbówka)	328